



# REYES MONFORTE

**Autorka bestsellerów**

*Niewierna,  
Okrutna miłość,  
Pocałunki piasku,  
Ukryta róża,  
Burka miłości*

## Rosyjska namiętność

*Opowieść kobiety, o której życiu mogłaby marzyć  
każda dziewczyna. Wzruszająca, mądra, napisana pięknym  
językiem, wciągająca od pierwszych zdań. Gorąco polecam.*

JOANNA MORO

REYES MONFORTE

Rosyjska  

---

namiętność

Przełożył Zbigniew Zawadzki

WYDAWNICTWO WAM

*Dla Pepe, bohatera mojej najpiękniejszej historii*

Musimy żyć. Nieważne, ile niebios upadło.  
D.H. LAWRENCE, *Kochanek lady Chatterley*

To właśnie wtedy dowiedziałam się, że miłość jest nie tylko źródłem radości i zabawą, ale też częścią niekończącej się tragedii życia, że niesie w sobie zarówno wieczne potępienie, jak i przemożną siłę nadającą życiu sens.

NADIEŻDA MANDELSZTAM

Jesteśmy naszą pamięcią,  
jesteśmy tym chimerycznym muzeum niestałych form,  
tym stosem potłuczonych luster.

JORGE LUIS BORGES, *Cambridge*\*

(...) choć osamotniony,  
Swobodę myśli przekładam nad trony.

BYRON, *Don Juan*\*\*

Jeśli za bardzo rozpieszczano cię w dzieciństwie, późniejsze życie może okazać się nieznośnie trudne. Lina wcale nie twierdziła, że ta zasada, powtarzana w jej rodzinie do znudzenia, aż stała się swego rodzaju mantrą, stanowi wyjaśnienie, dlaczego znalazła się w krainie wiecznej zmarzliny, gdzie zima trwa osiem miesięcy, temperatura spada poniżej minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a wiatry znad Arktyki przynoszą śnieżne burze, zakrywające kilkumetrową pierzyną śmiertelnie groźną tundrę, pokrytą mchem i błotem. Od dawna już przestała zadawać sobie pytanie, za co los postanowił się na niej zemścić, zsyłając ją w to miejsce, położone na północ od sześćdziesiątego siódmego równoleżnika.

Jej życie było jak nieustające święto do chwili, kiedy ktoś nagle zgasił światło, a cęgi z kutego żelaza rozdarły na strzepy jej wcześniejszą egzystencję. Mogła się tego spodziewać, mogła właściwie zinterpretować pewne sygnały, które teraz jawiły się przed jej oczami całkiem jasno i wyraźnie, mimo nocnej ślepoty, na którą zapadła w lodowym piekle i z której powodu musiała przemykać się wśród łagrowych baraków jak cień, próbując namacać wejście do baraku kuchennego rękami popękkanymi od północnego wiatru. Miała w nim zjeść swoją ostatnią dzienną rację – kubek rozwodnionej zupy ze zgniłej kapusty z kromką kwaśnego chleba. Był to cały posiłek na zakończenie czternastogodzinnego dnia przymusowej pracy. Uśmiechała się z tą samą godnością, jaka była widoczna na jej twarzy, gdy sędzia skazywał ją na dwadzieścia lat w obozie stanowiącym część Gułagu. Została oskarżona o szpiegostwo i zdradę ojczyzny. Nie była rozpieszczonym dzieckiem. Raczej osobą, która ocalała i próbuje się przystosować do warunków i scenariuszy wymyślanych przez życie. Do postojów na stacjach, na których wolałaby nigdy nie stawiać stopy.

Jak co noc jej pamięć przywoływała słowa, które Karolina, babcia ze strony matki, wypowiedziała do niej spokojnym i swojsko brzmiącym głosem. Babcia była nauczycielką literatury francuskiej i pisała nowele, które opowiadała swojej jedynej wnuczce, słuchającej ich z szeroko otwartymi oczami. Lina spędzała długie miesiące wakacji na Kaukazie z babcią oraz dziadkiem Władysławem Adalbertowiczem Niemyskim – polsko-litewskim arystokratą, piastującym wysokie stanowiska w rządzie rosyjskim w okresie rozbiorów, kiedy jego rodzinne ziemie należały do Rosji. Mieszkali w przytulnym drewnianym domu położonym pośród bujnej roślinności i wodnych kaskad, wśród krajobrazów, które rozbudzały w dziewczynce miłość do przyrody. Jej dzieciństwo rozbrzmiewało bajkami La Fontaine'a czytanyymi po francusku. Ale jej ulubioną bajką był *Świerszcz* Jean-Pierre'a Claris de Florianiana. Lina mogła słuchać tej historii tysiące razy, nie nudząc się, choć morał zrozumiała w pełni dopiero jakieś czterdzieści lat później. Jej pamięć przez cały czas przechowywała melodię i słowa powiastki.\*

*Raz biedny świerszcz niepozorny*

*Ukryty przez ziola kwitnące*

*Patrzył, jak motyl niesforny*

*Fruwa beztrosko po łące.*

*(...)*

*„Ach! wzdychał świerszcz, jak moje i jego*

*Różne są losy! Jejmość natura*

*Jemu dała wszystko, mnie zaś niczego:  
Talent mój marny, jeszcze gorsza figura”.*

*(...)*

*Gdy świerszcz tak biadał, na łąkę stadkiem*

*Nadbiegły dzieci i zaraz*

*Widać, jak wszystkie naraz*

*Motyła ścigają (...).*

*Wkrótce zostaje złapany.*

*Jeden ciągnie za skrzydło, drugi nie szczędzi główki,*

*(...)*

*Nie trzeba było wcale aż tyle harówki,*

*By biedny zwierzak padł rozerwany.*

*„Och! och!, mówi świerszcz, już myślę pogodnie;*

*(...)*

*Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.*

Po skończonej bajce babcia Karolina zawsze przez dłuższą chwilę milczała, przyglądając się wnuczce, po czym powtarzała jej dla pamięci morał po francusku: *Pour vivre heureux, vivons cachés* – „Aby żyć szczęśliwie, żyjmy niepozornie”.

To właśnie ona pomogła Linie zwalczyć strach przed ciemnością. Pewnej nocy, kiedy dziewczynka prosiła ją, żeby pozostawiła w pokoju zapalone światło, babcia Karolina usiadła na jej łóżku i zaczęła się bawić długimi warkoczami małej.

– Zamknij oczy i słuchaj ciszy, odgłosów burzy i wycia wilków... To jest muzyka, moje dziecko, cudowna partytura. Powinnaś się w nią wsłuchać uważnie. Niczym ci nie zagraża, towarzyszy ci tylko, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama.

Wspomnienie głosu babci przynosiło pocieszenie. Lina próbowała ułożyć jakoś zbolące ciało na wąskim sienniku rzuconym na drewniane deski, gdzie sypiała. Mocno zaciskała powieki, aż do bólu. Poczwała w oczach bolesne ukłucia, towarzyszące pękaniu ropnych strupów, które utworzyły się z powodu siarczystego mrozu i wyniszczenia niedożywionego organizmu. Ale nie przejmowała się bólem. Niemal cieszyła się, że rana się otworzyła i wycieka z niej strumyczek czegoś ciepłego, co spływa po policzkach. Jej oczy błyszczały z powodu gorączki, nękającej ją od kilku dni. Teraz starała się ich nie otwierać, zmarszczyła brwi, starając się skupić na obrazie, który towarzyszył jej przed chwilą. Chciała do niego powrócić. Poczuć raz jeszcze ten sam błogostan jak wtedy, gdy Siergiej komponował, a ona siedziała u jego boku z wyrazem uległości w oczach, gotowa poddać się bez oporu światu niekontrolowanych doznań. Ciągi nut, których całe mnóstwo wydostawało się nieustannie z umysłu Prokofiewa, aby za pośrednictwem jego szczupłych i bladych palców zaatakować z impetem klawisze fortepianu, przenosiły ją do odmiennego, dalekiego świata. Ten świat, osadzony w innym wymiarze, był oddalony od ziemi, po której stąpała, i od codziennych problemów. Lina odbierała tę muzyczną nirwanę jako zapowiedź wieczności. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała teraz wrócić do tamtego świata, do tamtych chwil życia, kiedy wszystko się zaczęło, kiedy los zaczął zapisywać jej historię z niezmierną beczelnością, którą zawsze w jej przypadku wykazywał. Potrzebowała posłuchać muzyki swojego życia.

Dobiegające z zewnątrz wycie wilków też mogłoby stać się częścią tej samej partytury, która zaczynała powstawać w umyśle Liny, ale kompozytorka nie dała mu na to przyzwolenia. Od dawna już nie bała się wilków, podobnie jak nocnych ciemności, a nawet niepokojących odgłosów, które dobiegały z baraków łagru w Abez niedaleko Workuty. Bała się tylko zapomnienia. Jedyнным luksusem, który chronił ją i pozwalał jej nie czuć wszechobecnego zimna, były wspomnienia. Wiedziała, że każdy dzień pracy w łagrze odbierał jej rok życia, ale każda noc wypełniona wspomnieniami przedłużała je o te utracone dwanaście miesięcy. Cieszyła się, że jej pamięć nie blaknie, bo była jedynym lodolamaczem, jakim Lina dysponowała. Jedyne życie, które potrafiła sobie stworzyć, żeby nie zostać pokonaną przez los, polegało na przechadzaniu się pośród wspomnień. Oczywiście wspomnienia bołą i pieką, jak alkohol wylany na otwartą ranę. Ale w ostatecznym rozrachunku leczą, uzdrawiają zranione ciało i usuwają infekcję, choć na skórze pozostaje blizna – ślad, który nigdy nie zniknie.

Lina przykryła się wystrzępionym kocem, a jej ciało zmieniło się w nieokreślony kształt ukryty pod wytartym materiałem, będącym siedliskiem brudu, pluskiew oraz wszy. *Pour vivre heureux, vivons cachés*. Słowa powtarzane przez babcię przejęły rolę pałeczki z kości słoniowej, dostatecznie lśniącej i jasnej, by odcinała się od ciemności sali koncertowej, w którą wyobraźnia Liny zamieniła obozowy barak. Widziała, jak pałeczka drży między jej palcem wskazującym a kciukiem, szukając najlepszej pozycji. W końcu – stabilna i pewna – była gotowa, by subtelnym ruchem przeciąć powietrze i zacząć odmierzać rytm odczytywany z pięciolinii pamięci.

W umyśle Liny pojawił się pierwszy obraz. Zobaczyła zalane słońcem wieże Notre Dame, jaśniejącą w świetle kopułę kościoła Inwalidów, skąpaną w jasnych promieniach wieżę Eiffla. Zobaczyła siebie samą, witającą nowy, 1924 rok przy stoliku u Pruniera – w jednej z najlepszych paryskich restauracji, w której później dzieliła się z Ernestem Hemingwayem półmiskiem ostryg uzupełnianych kolejnymi kieliszkami sancerre. Podobnie zresztą było podczas ich pierwszego spotkania w kawiarni Le Pantheon w pobliżu placu Saint-Michel, które też sobie przypominała. Po kilku sekundach wyobraźnia Liny przeniosła ją znów do luksusowej restauracji Pruniera, bez wątpienia jej ulubionego lokalu we francuskiej stolicy. Była tam pierwszego dnia, kiedy mogła już wychodzić z domu po urodzeniu pierworodnego, Światosława. Przyszła na kolację w towarzystwie przyjaciół – Maurice’a Ravela, Francisa Poulenca i Raymonda Roussela. Babcia Karolina miała rację: zamykając oczy, Lina była w stanie usłyszeć *Preludium do Popołudnia fauna* Debussy’ego, które rozbrzmiewało tak często w jej domu przy paryskiej rue Valentin Haüy pod numerem 5. Widziała samą siebie, jak mknie wraz z Siergiejem saniami po zamrożonej rzece Moskwie i ogląda widowisko z udziałem promieni słonecznych odbijających się od Kremla. Kolejne obrazy biegły coraz bardziej w głąb, odtwarzając podróż jej życia. Znów pozwalała się uwieść magnetyzmowi Marleny Dietrich, podnoszącej kieliszek, aby stuknąć się z nią w restauracji Victor Hugo w Beverly Hills, wymieniała zwierzenia z Coco Chanel, która twierdziła, że „aby być niezastąpionym, trzeba się ciągle zmieniać”, i słuchała intymnych zwierzeń Walta Disneya, który – jak wszyscy – był nią zafascynowany. Patrzyła znów w wielkie oczy Pabla Picassa, który mówił jej, że jest zachwycającą kobietą, a „ten Rosjanin nie zrobił



nic, żeby na nią zasłużyć”. W studiu panny Stein, pod numerem 27 przy rue de Fleurus, słuchała jej słów o tym, że „człowiek może sobie kupować obrazy albo stroje”, ale że „nie wierzy, by był w stanie kupować jedno i drugie, niezależnie od tego, jak byłby bogaty”. Przypominała sobie szczerość Kiki z Montparnasse’u, szepczącej jej do ucha, że „w Paryżu wszyscy mówią o miłości, ale nikt nie umie jej uprawiać”. Śmiała się, wspominając komentarz jej bliskiego przyjaciela, twórcy Ballets Russes, Siergieja Diagilewa, siedzącego na brzegu łóżka, w którym Lina dochodziła do siebie po drugiej ciąży: „Kobieta z synem jest jak generał; z dwoma staje się marszałkiem”. Pamiętała pełne zrozumienia spojrzenie generała de Gaulle’a całującego jej dłoń: „Niecierpliwie czekamy na panią w Paryżu, pani Prokofiew”, uparte pytania Federica Garcii Lorki: „Jest pani pewna, że nie urodziła się w Kordobie?”, pełne śmiechu biesiady z Charlesem Chaplinem, Imperium Argentyną i Igorem Strawińskim w jego letnim ustroniu La Fléchère nad jeziorem Bourget, noce w paryskim Empire spędzane na słuchaniu Carlosa Gardela i lakoniczne zdanie Pierre’a Reverdy’ego zapisane na kartce: „Co stałoby się z marzeniami, gdyby ludzie byli szczęśliwi?”. Coco Chanel miała rację: pamięć jest rodzaju żeńskiego.

Utrzymujący się od dłuższej chwili głuchy stukot przerwał serię obrazów, które wyświeblała pamięć Liny. Nie miała problemów ze zidentyfikowaniem źródła tych hałasów. Nie musiała nawet specjalnie podnosić wzroku, żeby w szparach między deskami baraku dostrzec, jak głowy więźniów, których martwe ciała ciągnięto po schodach, uderzają o ich stopnie. Była oswojona z tym widokiem aż nadto. Jakby chodziło o dobrze dostrojoną orkiestrę, w odgłosy nocy włączały się coraz to nowe dźwięki: Lina rozpoznawała stłumiony szloch dobiegający z pryczy poniżej, zmieszany z serią niezrozumiałych słów modlitwy, świst wiatru przedostającego się przez szczeliny w ścianach, szepty którejs z więźniarek dręczonej koszmarnym snem; do tego dochodziły jeszcze dźwięki dobiegające z innego wymiaru czasowego: pobrzękiwanie kluczy noszonych przez strażników więzienia Lefortowo, gęsta cisza korytarzy Łubianki, wiadomości wystukiwane łyżkami o ściany cel i nadawane alfabetem Morse’a – w jedynym dostępnym więźniom języku – zaczynające się zawsze od pytania: „Kto ty jesteś?”. A przede wszystkim głos sędziego śledczego Riumina: „Czasami życie przenosi nas w miejsca, które nam nie odpowiadają, i nie możemy na to nic poradzić; pozostaje pogodzić się z losem”.

Lina zwinęła się w kłębek, prycza zaskrzypiała, jakby i ona jęczała pod ciężarem rzeczywistości. *Pour vivre heureux, vivons cachés. Pour vivre heureux, vivons cachés.* Jej umysł poszukiwał jakiejś deski ratunku, która pozwoliłaby jej nie utonąć; żeby ją znaleźć, musiała wrócić do początku, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie po raz pierwszy przybrała kształt jej wielka namiętność, która doprowadziła ją do najokrutniejszego z piekieł...

# CZEŚĆ PIERWSZA

---

## *Nowy Jork*

Miłość –  
to z prześcieradeł  
bezsennością rwanych  
zrywać się (...).  
Dla nas  
miłość  
to nie ustronie w raju,  
dla nas  
miłość  
huczy tylko o tym,  
że znowu,  
znowu do pracy się nadaje  
serca  
wystygły motor.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI,

*List z Paryża do towarzysza Kostrowa o istocie miłości\**

– Ta przeklęta grypa narobi więcej złego niż wojna.

Olga Niemyska przytrzymała słuchawkę telefonu jedną ręką, w drugiej trzymając kubek mleka przeznaczony dla cierpiącej na anemię córki. Był wieczór i dzwonek telefonu zakłócił rodzinny spokój w mieszkaniu przy Washington Heights pod numerem 145. Niedawno się tam wprowadzili. Telefon zaniepokoił Olę. Reagowała tak zawsze, gdy dzwonek rozlegał się po dziewiątej wieczorem, a jej mąż, Juan Codina, był akurat w podróży poza krajem. Jednakże szybko rozpoznała dobrze znany głos przyjaciółki, Wiery, która zapraszała ją na koncert w nowojorskiej Carnegie Hall. Miał się odbyć nazajutrz, we wtorek 10 grudnia 1918 roku.

– Zabroniłam Linie podróżować metrem i piętrowymi pociągami. Są źródłem infekcji. Tak, tak... Oczywiście, że sobie przypominam, przecież to ja ją urodziłam... Wiem, że ma dwadzieścia lat i nie jest dzieckiem. Ale ma dość problemów z anemią. Tylko tego jej potrzeba, żeby złapała tę sakramencką grypę. Hipochondryczka? Wiera, proszę cię, przecież jesteś specjalistką...

Wiera Danczakowa była uznaną badaczką w dziedzinie nowotworów i pionierką prac nad komórkami macierzystymi. Trzy lata wcześniej porzuciła swój rodzinny Sankt Petersburg i wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zniechęcona niestabilnością, jaka zapanowała w jej ojczystym kraju w związku z udziałem Rosji w wielkiej wojnie, dewastującej świat od 28 lipca 1914 roku.

– Jesteś biologiem i powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że grypa zabije więcej ludzi niż ta przeklęta wojna, chociaż nikt nie chce tego głośno powiedzieć – kontynuowała Olga. – Za każdym razem, kiedy słyszę, jak Lina kaszle, serce zamiera mi w piersi. A ty mówisz, żebyśmy nie przesadzała.

Ta piękna kobieta o długich, jasnych włosach i zjawiskowych niebieskich oczach mówiła szybko, nie robiąc pauz, lecz wystukując wypowiedzianymi słowami przyjemny dla ucha rytm. W jej głosie słychać było melodyjność charakterystyczną dla wielkiej sopranistki, która całkiem niedawno przemierzała Europę, występując na jej scenach. Olga pochodziła z bardzo starej rodziny, co często lubił podkreślać w żartach jej mąż Juan Codina, hiszpański tenor urodzony w Barcelonie, którego poznała, gdy oboje przebywali we Włoszech, w szkole przy Teatro alla Scala w Mediolanie. Choć Olga nie lubiła o tym opowiadać, jej rodzina ze strony ojca, Niemyscy, należała do pradawnego rodu wywodzącego się od polskich królów. Ojciec, Władysław, zajmował ważne stanowiska w rosyjskiej strukturze politycznej, w której zawsze wyróżniał się liberalnymi poglądami, choć lubił także obnosić się ze swoją surowością i formalizmem. Olga, powodowana najwyraźniej chęcią podkreślenia, że nie przywiązuje do tych spraw wagi – czy to ze skromności, czy ze wstydu – marszczyła brwi za każdym razem, kiedy w gronie przyjaciół przypadło jej wspomnieć (zawsze na prośbę męża), że jej ojciec był radcą stanu. Być może dlatego, a także ze względu na katolicyzm Juana Codiny – Niemyscy byli kalwinistami – ojca Olgi nie napawała entuzjazmem idea zawarcia przez córkę małżeństwa z kimś, kogo nazywał zwykłym amatorem.

– Nie jest nawet wystarczająco dobry, żeby błyszczeć własnym blaskiem. To zwykły amator. Kto to widział, żeby artystę męczyła trema? Równie dobrze mogłabyś wyjść za dozorcę – powiedział w końcu córce, kiedy ta upierała się, żeby porozmawiać o małżeństwie.

Wszystkie ojcowskie obiekcje zniknęły, gdy 20 października 1897 roku pod numerem 4 przy ulicy Bárbara de Braganza w Madrycie na świat przyszła Carolina Codina Niemyska. Od tego dnia, kiedy tylko rodzice dziecka wyjeżdżali na tournée, Lina zostawała pod opieką dziadków na Kaukazie – jeśli było lato, albo w Odessie – jeśli działo się to podczas rosyjskiej zimy. Mała czuła się u nich szczęśliwa, bo miała wszystko, czego potrzebowała w swoim życiu sześciolatki: miód – smakołyk szczególnie bliski jej dziecięcemu podniebieniu, który zresztą sama umiała wybierać z uli dzięki rozumnym lekcjom, jakich udzielał jej zaprzyjaźniony z dziadkami pszczelarz, a przede wszystkim teatr. Mała Lina śpiewała, recytowała i tańczyła w salonie dla jednego jedyne go widza: dziadka Władysława. Surowość, którą zwykle demonstrował starzec, rozpuszczała się jak kostka cukru w kubku ciepłego mleka, kiedy wnuczka siadała mu na kolanach i patrzyła na niego na wpół przymkniętymi oczami. To spojrzenie odziedziczyła po Juanie Codinie; to ono wiele lat później wzmacniało magnetyczną siłę jej oczu. Dziadek pozwalał nawet, żeby małe paluszki dziewczynki bawiły się jego długą i gęstą brodą. Tym przywilejem nie cieszyła się nawet jego żona, która nieustannie ostrzegała męża:

– Zanadto rozpieszczamy tę małą, a ty jesteś za to w największym stopniu odpowiedzialny.

Już w wieku czterech lat Lina była prowadzana przez dziadka za rączkę do najlepszych restauracji w mieście i dostawała ogromne bukiety kwiatów, które on sam starannie przygotowywał. Dziadek pozwalał jej wybierać jajka od kur i uczył ją naśladować dźwięki wydawane przez gęsi, za którymi dziewczynka biegała z małym kijkiem, nieraz przyplacając tę śmiałość przykrym upadkiem.

Ale kiedy w listopadzie 1907 roku dziadek Władysław zmarł na zapalenie płuc, którego jego organizm nie zdołał zwalczyć – było to zaledwie dwa lata po pogrzebie jego żony – Olga i Juan uznali, że nadeszła pora, by rzucić się w wir nowej przygody, z dala od Europy, szczególnie od Rosji, do której nigdy więcej już nie wrócili. W pierwszy dzień nowego, 1908 roku wylądowali na Ellis Island z walizką pełną marzeń. Do portu, stanowiącego dla milionów imigrantów bramę wejściową do Stanów Zjednoczonych, dotarli na pokładzie statku Statendam, który kilka dni wcześniej, 21 grudnia 1907 roku, wypłynął z Boulogne-sur-Mer. Od tej chwili Nowy Jork stał się ich domem. Od pierwszych dni mieli świadomość, że ani on – czterdziestolatek, ani ona – trzydziestopięciolatka nie są w najlepszym wieku do rozpoczynania oszałamiającej kariery muzycznej w nowym kraju. Ale Juan i Olga aspirowali wyłącznie do tego, żeby mieć trochę lepsze życie. Za sprawą charakterystycznego dla tej rodziny zapału Lina opanowała pięć języków: rosyjski, którego nauczyła się od matki i wcześniej od dziadka Władysława, angielski, który przyswajała sobie od opiekunek, francuski – język, którym mówiła babcia Karolina, hiszpański, którego nauczyła się dzięki ojcu, a także, ku niezadowoleniu Olgi, kataloński. Matka Liny wciąż strofowała męża:

– Nie rozumiem, dlaczego musisz mówić do swojej córki po katalońsku. Przecież

ten dialekt nigdy jej nie będzie potrzebny!

Jeszcze wiele lat później Lina pamiętała, że te słowa budziły w ojcu wielki gniew. W takich chwilach wydawało jej się, że jego wydatny, czarny wąs zaczyna żyć własnym życiem.

– Dialekt? Kataloński to zupełnie odrębny język. Lina, powiedz matce, że Katalonia była wielkim mocarstwem, obejmującym część Hiszpanii, Prowansji i Langwedocji. No proszę, powiedz jej to, bo chyba zapomniała.

Olga kręciła głową z wyraźną dezaprobatą, mrużąc przy tym:

– Wielkie imperium... Idź i opowiedz tę bajkę carowi Mikołajowi II... Jemu opowiadaj o wielkim imperium... i carowej.

W takich momentach rodzice Liny zaczęli porozumiewać się ze sobą za pomocą pisemnych notatek, żeby córka nie mogła usłyszeć dalszego ciągu rozmowy. Zawsze też tak postępowali, kiedy musieli porozmawiać o problemach finansowych.

– Nie róbcie tego. Przestańcie pisać, bo nie wiem, o czym mówicie – protestowała zwykle mała, ale na próżno.

Rodzice Liny dość szybko nawiązali kontakty z licznym nowojorskim środowiskiem rosyjskich uchodźców. Cała rodzina chętnie spotykała się z nimi, by jeść, pić i godzinami debatować o abdykacji cara Mikołaja II, dojściu do władzy bolszewików i pojawieniu się na scenie niejakiego Włodzimierza Iljicza Uljanowa, którego niedługo później świat poznał pod nazwiskiem Lenin. Podczas tych spotkań z rodakami można było usłyszeć różnego rodzaju opinie – od najpoważniejszych do najbardziej szalonych.

– Mówią, że żona cara rzeczywiście była niemieckim szpiegiem. Dlatego dokonano zamachu na Rasputina, który miał za duży wpływ i na nią, i nawet na decyzje podejmowane przez samego cara. Słyszałem, że Rasputin wykorzystywał hipnozę.

– Przypomnijcie sobie, jak trudno go było uśmiercić: nie wystarczyła ani trucizna, ani kule. W końcu wrzucili go do Newy i tam się utopił.

– Nie mogę uwierzyć, żeby zrobili to rosyjscy arystokraci. Słyszałam, że w zamachu brały udział brytyjskie tajne służby...

– Nie zdziwiłbym się, bo mieszkałem jakiś czas w Anglii. Ale że cara Mikołaja zawiodła nawet jego własna rodzina! Ani syn, chory na hemofilię, nie nadawał się na jego następcę, ani córki. A kiedy poprosił o azyl polityczny króla Anglii Jerzego V, swojego kuzyna, z którym zresztą byli podobni jak dwie krople wody, tamten mu odmówił, bojąc się rewolucyjnej zarazy. Nie chciał ryzykować i nawet zmienił nazwę dynastii królewskiej. Jednym pociągnięciem pióra wykreślił dynastię saksońsko-koburską, bo brzmiało to zbyt niemiecko. To wcale nie żart. I nazwał się pierwszym monarchą z domu Windsorów!

– Cała Europa boi się, że rewolucyjny duch bolszewizmu się rozniesie. Boją się tej pandemii bardziej niż grypy. Za każdym rogiem wietrzą spiski, szpiegów i próby zamachu stanu. W tej chwili Ameryka to chyba najlepsze miejsce do życia.

Podczas jednego z takich spotkań Olga poznała Wierę Danczakową, która była nie tylko wybitnym naukowcem, ale także obiecującą pianistką. Wiera uwielbiała dobrą muzykę (żartowały często, że „tak jak wszyscy szanujący się Rosjanie”) i podziwiała piękny głos Olgi. Od pierwszej chwili między kobietami wywiązała się głęboka przyjaźń,

zrodzona z wzajemnego podziwu i wzmacniana nostalgią za ojczyzną. Często można je było zobaczyć razem na koncertach pianistycznych, w operze i w teatrach muzycznych, których tak wiele ogłaszało się na nowojorskich afiszach.

I oto teraz Wiera proponowała Oldze pójście na występ młodego rosyjskiego pianisty i kompozytora, który dopiero co przyjechał do miasta, poprzedzany famą obrazoburcy i rewolucjonisty.

– Chcesz, żebym ryzykowała zarażenie się grypą po to, żeby obejrzeć muzycznego bolszewickiego dekadenta, bębniącego w klawisze steinwaya jak tatarski dzikus?

Odpowiedź Wiery, udzielona na drugim końcu linii telefonicznej, zbiegła się z protestującym gestem przysłuchującej się rozmowie obu kobiet Liny. Dziewczyna, popijając małymi łydkami dzienną porcję wapna, mającego pomóc na niski poziom żelaza we krwi, żywo zainteresowała się koncertem i zapragnęła na niego pójść.

– Ja też chcę iść – powiedziała wysokim głosem do matki, która w gruncie rzeczy również miała ochotę posłuchać młodego rodaka.

– Siergiej Prokofiew – ciągnęła Olga, nie zwracając najmniejszej uwagi na Linę. – Tak, kobieto, jasne, że już o nim słyszałam. Czytam gazety i słucham radia. Futurysta, wizjoner niedawno przybyły z tajemniczej Rosji – mówiła, powtarzając słowo w słowo to, co o muzyku pisała nowojorska prasa. – Ale nie sądzę, żeby najbardziej mu przypadło do gustu określenie, które przykleiły do niego gazety: „najbardziej obiecujący młody muzyk rosyjski od czasu Igora Strawińskiego”. Tym, którzy zaczynają, nie podoba się zwykle, kiedy porównuje się ich z namaszczoneymi.

Lina przesłała matce szeroki uśmiech, dzięki któremu jeszcze bardziej zalśniły jej egzotyczne oczy. Wiedziała, że Olga przyjęła zaproszenie Wiery w dużej mierze ze względu na nią. Lina odziedziczyła po swoich przodkach talenty artystyczne. Marzeniem jej życia stała się kariera śpiewaczki operowej. Była gotowa zrobić wszystko, żeby to marzenie spełnić. Wiedziała, że przed nią długa droga, ale pragnęła ją za wszelką cenę przemierzyć. Na prośbę rodziców, którzy nieustannie napominali ją, że powinna się nauczyć liczyć na siebie samą – „bo w życiu nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć i jak cię zaskoczy los” – Lina chodziła do szkoły biznesu, gdzie zdobywała kwalifikacje sekretarki, a jednocześnie pobierała lekcje śpiewu. Dzięki kontaktom rodziców i własnej znajomości języków dość szybko znalazła pracę i nawiązała znajomości wśród elity kolonii rosyjskiej w Nowym Jorku.

– Mamo, nie powinnaś go nazywać bolszewikiem. – Pod wpływem słów córki na twarzy Olgi wykwitła mina niemalże komiczna. Rzadko udawało się zaskoczyć Olę nieoczekiwanym komentarzem. – Breszkowska wyjaśniała mi wczoraj różnicę między komunistami a bolszewikami i powiedziała, że ci drudzy są gorsi niż carat. Jej zdaniem, żeby mówić o Rosji, trzeba było w niej żyć, cierpieć i przede wszystkim ją rozumieć. A nie wszyscy mieli taką możliwość.

Lina od kilku tygodni pracowała jako tłumaczka, asystentka i stenotypistka Jekatieriny Breszkowskiej, nazywanej przez wielu Ciotką Rewolucji. Była to działaczka anarchistyczna, którą zesłano na Syberię za związki z organizacjami socjalistycznymi.

– Poza tym ona mówi, że rewolucja rosyjska to zamach stanu, który kompromituje ideę socjalizmu, a Lenin jest fanatykiem kontrolowanym przez niemieckich agentów –

dodała Lina takim tonem, jakby czytała pod dyktando, co odbierało jej słowom wszelkie ślady wiarygodności.

Olga przyglądała jej się z wyrazem twarzy świadczącym zarówno o dumie, jak i o matczynym lęku. Sprawiało jej niekłamaną satysfakcję, że córka jest z charakteru tak do niej podobna – silna, pewna siebie i zdecydowana – że ma w sobie tę nieokiełznaną swobodę, która dla połowy świata jest ledwie mirażem. Jednocześnie budziło to jej zaniepokojenie. Świat przekształcił się w zaminowane pole i konieczna była pewna ostrożność; trzeba wiedzieć, gdzie można postawić stopę i wbić sztandar wolności.

Olga nie reagowała na słowa córki przez kilka sekund, choć wydawało się jej, że mijają godziny.

– Mam nadzieję, że kiedy wejdiesz jutro do Carnegie Hall, będziesz umiała znaleźć inny temat do rozmowy, moja panno. Wiesz przecież, co oboje z twoim ojcem myślimy na temat polityki. – Widząc, że córka nie przyjmuje jej rady do wiadomości z należytą powagą, powtórzyła ostrzeżenie bardziej zdecydowanym głosem. – Lina, posłuchaj mnie uważnie: unikaj polityki tak samo jak grypy. To śmiertelnie niebezpieczny wirus i kiedy się nim zarazisz, trudno go zwalczyć. Zrozumiałaś mnie?

Młoda kobieta z przekonaniem pokiwała głową, aż zafalowały jej długie, bujne włosy koloru smoły, które odziedziczyła po ojcu. Nie bardzo wiedziała, co oznaczały słowa, które przed chwilą wymówiła, powtarzając jak papuga fragment jednej z licznych tyrad wygłaszanych przez Breszkowską. Ograniczyła się do zebrania nut na najbliższą lekcję śpiewu i do uporządkowania zbioru wycinków prasowych poświęconych Oldze, który trzymała w rękach. Lina z przyjemnością spoglądała na nazwisko matki pojawiające się w programach, przechowywanych w tekturowym pudełku wraz z egzemplarzami czasopism i gazet, w których pisano o Oldze. Marzyła, że któregoś dnia zdoła pójść drogą matki, że zostanie wielką śpiewaczką operową i będzie oglądać swoje nazwisko wypisane wielkimi, świecącymi literami na budynkach mieszczących najważniejsze sceny.

Tej nocy nieznane jej dotąd niecierpliwe wyczekiwanie na wydarzenia dnia następnego nie pozwalało zasnąć z typową dla niej łatwością. W jej głowie rozpętała się wojna melodii, zwrotek i pieśni. Lina miała wielką ochotę posłuchać tajemniczego człowieka, o którym wszyscy mówili i z którym mało kto rozmawiał. Zmusiła się do zamknięcia oczu, mając nadzieję, że tym popędzi mijające godziny.

Carnegie Hall była wypełniona po brzegi. Wyglądało na to, że nikt nie chce przegapić tego, co ma się wydarzyć po południu. Zachwycona Lina przez kilka chwil wdychała charakterystyczny zapach tego miejsca. Robiła to z takim przejęciem, zamknawszy uprzednio oczy, że ktoś, kto by ją przy tym zobaczył, pomyślałby, że dziewczyna wprowadza się w trans albo że za chwilę zemdleje na środku głównego holu, ozdobionego subtelnymi ornamentami w tonacji białej i złocistej. Zupełnie jakby chodziło o jakiś rytuał, Lina wzięła trzy głębokie wdechy, próbując wciągnąć do płuc całe powietrze wypełniające pięć pięter, które składały się na majestatyczne wnętrza gmachu, przebiegła też w swojej wyobraźni wszystkie sto pięć stopni prowadzących do górnych łóż. Potem powoli otworzyła oczy i spojrzała na sklepienie, które wydawało się przyglądać jej i mówić: „Czekam na ciebie”.

Nie była w stanie określić dokładnie, jak pachnie ten teatr, ale wiedziała, że nie chce spędzić ani jednego dnia życia bez wdychania tej woni.

Przyszły dość wcześnie, popisując się punktualnością, którą wpajano Linie od małego jako pierwszą, zasadniczą regułę dobrego wychowania. Obecność Liny zawsze stawała się wydarzeniem. Jej egzotyczna uroda stanowiła idealne uzupełnienie naturalnej elegancji, którą dodatkowo wzmacniał dar konwersacji i dobry gust, jeśli chodzi o stroje. Magnetyzm młodej kobiety nieuchronnie przyciągał do niej spojrzenia wszystkich wkoło, zarówno mężczyzn, którzy nie mogli oderwać od niej oczu, jak i kobiet, nieprzystających się dziwić, jak z pozoru prosta suknia z czarnego jedwabiu z niewielkimi koronkowymi mankietami w niebieskawym tonie może tak idealnie podkreślać piękną kobiecą sylwetkę. Jedynymi dodatkami do sukni Liny były kołnierz z białego futra, kapelusik skrywający dyskretnie zebrane, falujące włosy oraz maleńka torebka zawieszona na długim i cienkim łańcuszku, huśtająca się tuż przy biodrze właścicielki. Linie zawsze udawało się zaznaczyć swoją odrębność od reszty publiczności, i to nie tylko sposobem ubierania się, ale także zachowaniem. Matka uśmiechała się, nie mogąc ukryć uczucia dumy, którym napawała ją córka. Lina przemieniła się w piękną kobietę, choć Olga wciąż potrafiła w niej dostrzec ekstrawertyczne dziecko o ładnych rysach i długich warkoczach.

Siedząc obok Wiery i matki, Lina zajmowała jeden z dwóch tysięcy ośmiuset czterech foteli sali koncertowej. Nie dało się tam już zmieścić ani jednej dodatkowej osoby. Wszyscy chcieli być obecni przy prezentacji nowej rosyjskiej sensacji w nowojorskiej świątyni muzyki. Kiedy zgasły światła, Lina zaczęła szybko i nerwowo mrugać powiekami, jakby przeczuwała, że nie będzie mogła tego zrobić przez cały czas trwania koncertu. Nienawidziła charakterystycznego festiwalu kaszlu i odchrząknięć, bez którego nie mógł się obyć początek żadnego koncertu. Orkiestra składała się w większości z rosyjskich muzyków, a dyrygował nią Władimir Altschuler. Wieczór rozpoczynała *II Symfonia e-moll* Siergieja Rachmaninowa, którego Lina poznała osobiście w 1909 roku i którego muzykę od tamtego czasu uwielbiała. Od pierwszych chwil zwrócił jej uwagę wzrostem, mocną budową, ogromnymi dłońmi z wydatnymi knykciami, a także wystudiowaną elegancją – był odziany w trzyczęściowy garnitur, niewątpliwie



podkreślający jego sylwetkę i pasujący do nienagannyh manier. Zapamiętała na zawsze wyznanie, które jej złożył:

– Słyszę muzykę w głowie. Kiedy ten dźwięk ustaje, przestaję ją zapisywać. To jest moja tajemnica.

Po tym dziele w programie koncertu nastąpiły krótkie utwory, a wśród nich, jak powiedziała jej na ucho Wiera Danczakowa, *Scherzo na cztery fagoty* samego Siergieja Prokofiewa. Ale główna atrakcja nadeszła później: *I Koncert fortepianowy* autorstwa głównego bohatera wieczoru.

Lina zobaczyła wchodzącego na scenę mężczyznę: szczupłego blondyna o zgrabnej sylwetce, ubranego w idealnie skrojony frak, z bardzo krótkimi włosami zaczesanymi do tyłu z użyciem może nieco nadmiernej ilości brylantyny. Ogólnie postać artysty uderzała elegancją. Skierował się bezpośrednio do fortepianu, nie patrząc na publiczność. Lina nie potrafiła rozstrzygnąć, czy chodzi o przypadek nadmiernej pewności siebie, czy artystycznej wyniosłości. Kiedy palce pianisty rozpoczęły bieg po klawiaturze, młoda słuchaczka poczuła dreszcze. Weszła w nieznany jej wcześniej stan wewnętrznego napięcia, jakby stała się jednym z osiemdziesięciu ośmiu klawiszy fortepianu Steinwaya. Może jednym z pięćdziesięciu dwóch białych, które Prokofiew uwielbiał, a może jednym z trzydziestu sześciu czarnych, których od dziecka nie znosił. Chęć ich unikania doprowadziła go do skomponowania w wieku pięciu lat utworu w skali lidyjskiej – całkiem zresztą nieświadomie. W miarę jak trzy części wykonywanego teraz utworu przechodziły bez żadnej przerwy kolejno jedna w drugą, emocje Liny narastały. Przez chwilę czuła, że brakuje jej powietrza, a serce pompuje krew w szaleńczym tempie, grożącym rozsądzeniem jej piersi. Fala palącego gorąca zalała jej ciało. Jej umysł przestał dostrzegać upływ czasu, niewiele brakowało, by Lina przestała też dostrzegać przestrzeń pod stopami. Miała wrażenie, że płynie, że jest poza granicami rzeczywistości, w stanie bliskim ekstazy. Nigdy w życiu nie słyszała niczego podobnego.

Kiedy muzyka ucichła i Prokofiew natychmiast zdjął ręce z klawiatury fortepianu, jakby zaczęła go parzyć, w Carnegie Hall zapanowała pełna napięcia cisza. Słyszać było jedynie ciężki oddech mistrza, zmęczonego wysiłkiem. Po kilku sekundach sala eksplodowała zgłębkiem aplauzu. Na twarzy kompozytora pojawił się nieśmiały uśmiech. Prokofiew uniósł już teraz wzrok, potoczył nim po rzędach teatralnych foteli i kolejno, coraz wyżej, po wszystkich piętrach sali, aż dotarł do poziomu najwyższego – górnych łóż. Publiczność prosiła go, żeby powtórzył utwór raz jeszcze. Zmuszono go do siedmiokrotnego wyjścia na scenę. Lina nie mogła przestać klaskać – biła brawo tak energicznie, jakby zależało od tego jej życie. Dopiero potem zdała sobie sprawę, jak bardzo bołą ją dłonie, które z powodu tak gwałtownie wyrażanego aplauzu przybrały cynobrowy kolor.

Miała ochotę krzyczeć, skakać, pozwolić płynąć łzom i zapisać w swojej pamięci obraz tego wirtuoza uczuć, który stał teraz na środku sceny i raz za razem zginał ciało w nieco sztywnych ukłonach, wyglądających niemal na hołdy składane publiczności. W pewnej chwili, kiedy sylwetka artysty wyprostowała się po kolejnym ukłonie, Lina poczuła, że niebieskie oczy Prokofiewa napotyka ją wzrok. Przez chwilę w tej wymianie spojrzeń skoncentrował się dla niej cały wszechświat. Nigdy się nie

dowiedziała, czy takie zdarzenie rzeczywiście miało miejsce, czy też była to oniryczna wizja podsunęta przez jej podniecenie – ale tak to wtedy odebrała. Kiedy minęły już magiczne sekundy, młoda kobieta zaczęła klaskać z jeszcze większą siłą i entuzjazmem niż poprzednio. Jakies dwie panie, które przekroczyły już pięćdziesiątkę, ubrane ekstrawagancko i eksponujące kosztowną biżuterię, posłały jej zaniepokojone spojrzenie. Nie rozumiały zachwyty dziewczyny czymś, co ich zdaniem zasługiwało jedynie na uprzejme i powściągliwe uznanie.

– Spójrz, co za oczarowanie – powiedziała jedna z nich, która wydawała się starsza, być może za sprawą nieumiejętnego doboru czerwieni szminki. – Wygląda na to, że ktoś się dzisiejszego wieczoru zakochał.

Śmiechy towarzyszące temu komentarzowi zezłościły Linę, która nie miała zwyczaju gryźć się w język, gdy czuła się zaatakowana. Olga, znająca gwałtowne reakcje córki w podobnych sytuacjach, nie miała nawet czasu interweniować, żeby zapobiec spodziewanej riposcie.

– Niech pani nie opowiada głupstw. Czy panie niczego nie rozumiały? – Kobiety odwróciły się, skryte za zasłoną szeptów i śmiechów. Lina zwróciła się ku Oldze i Wierze, szukając u nich zrozumienia. – Niczego nie rozumiały! Dwie stare krowy bez rozumu, za to z pretensjami do wykształcenia. O takich opowiada tata. Chyba przespały cały koncert. – Oczy Liny lśniły takim blaskiem, że cała jej twarz wydawała się rozpalona pochodzącym od nich ogniem, zupełnie jakby dziewczyna miała wysoką gorączkę. – Taki piękny rytm... ta umiejętność zaskakiwania... harmonia i język... energia... końcowa apoteoza. To była czysta doskonałość!

– Kochanie, uspokój się, bo coś ci się stanie – ostrzegła ją potem w szatni matka, dopinając ostatnie guziki płaszcza i wciągając na dłonie rękawiczki, po tym jak schowała program koncertu do małej welwetowej torebki.

– Nie jest znowu taki przystojny... – dodała cichym głosem z nutą przyjaznej ironii Wiera, która nie potrafiła ukryć, że rozgrywająca się na jej oczach scena ją bawi.

– Kto? – spytała Lina wojowniczo, nie kryjąc swoich emocji.

– Och! No proszę cię, Lina... Kto? – żartowała sobie Wiera, przesadnie akcentując to krótkie słowo, którym dziewczyna próbowała zademonstrować udawaną ignorancję w tej sprawie. – Uprzedzam cię, że aby stać się znaną sopranistką, trzeba być dobrą aktorką. A ty w tej chwili nie grasz za dobrze.

Droga do domu była dla Liny męką, gdyż musiała znosić komentarze, spojrzenia i żarty swoich towarzyszek. Trwało to jeszcze po powrocie, kiedy wszystkie trzy zasiadły w mieszkaniu Olgi i Liny przy herbacie, żeby dokończyć rozmowę o koncercie. Niezależnie od tego, ile starań Lina wkładała w wychwalanie wspaniałej techniki Prokofiewa, nieokrzesanego radykalizmu i niepokojącego wigoru jego muzyki, słyszała w kółko jeden komentarz:

– To oczywiście, kochanie, wynika to z twoich słów: nie zakochałaś się w nim, tylko w jego muzyce i w sposobie grania. To zawsze mija. Może ta myśl cię uspokoi...

Tej nocy, w odosobnieniu własnego pokoju i mając ciemność za najważniejszego sojusznika, Lina, tak jak uczyła ją babcia Karolina, zamknęła oczy i raz jeszcze wsłuchiwała się w piękną melodię, która zdołała dostarczyć jej więcej emocji niż jakakolwiek znana

wcześniej muzyka.

Nie musiała czekać dłużej niż parę tygodni, żeby się przekonać, że tym razem los postanowił stać się jej sprzymierzeńcem. Był zimny poranek, jak zawsze w lutym w Nowym Jorku. Lina szła do pracy w finansowej dzielnicy miasta. Cieszyła się z niedawno powierzonych jej obowiązków. Zarabiała prawie dwadzieścia dolarów tygodniowo, co pozwalało jej zachować trochę pieniędzy na własne wydatki, obejmujące właściwie wyłącznie ubrania, czasopisma i muzykę. Szła szybkim krokiem, uciekając przed zimnem, choć zwracała baczną uwagę, by unikać zaśnieżonych i oblodzonych fragmentów chodnika. Nie była pewna, czy bardziej boi się grypy, czy siniaków, którymi jej ciało mogło się pokryć w wyniku głupiego i na dodatek zawstydzającego upadku na ulicy. Kiedy miała do przejścia już ostatni, krótki odcinek dzielący ją od schodów do metra, musiała zwolnić kroku. Przeszukiwała nerwowo kieszenie płaszcza, ale nie mogła znaleźć pięciocentowej monety potrzebnej do opłacenia biletu. Zawsze przygotowywała ją sobie poprzedniego dnia wieczorem. Zdjęła rękawiczki, aby umożliwić palcom swobodniejsze poszukiwania. Bez rezultatu. Rozejrzała się wokół siebie, sprawdzając, czy moneta nie upadła na ziemię. W tym momencie usłyszała głos, który sprawił, że podniosła wzrok. Zobaczyła państwa Stahlów – małżeństwo odnoszące przeróżne sukcesy i dobrze znane w Nowym Jorku, nie tylko w kręgach rosyjskiej emigracji. Lina czuła głęboki podziw dla Very Janacopoulos, słynnej brazylijskiej śpiewaczki o pięknym głosie, która wyszła za Aleksieja Stahla, znakomitego rosyjskiego prawnika. Stahl zasiadał w rosyjskiej Dumie, ale wyjechał z kraju, kiedy do władzy doszedł Lenin i bolszewicy utworzyli rząd. Potrafił właściwie zinterpretować słowa wodza rewolucji rosyjskiej, który ostrzegał przed „niepewnymi elementami” i wzywał do odizolowania ich w łagrach. Stahl zachował w pamięci słowa dekretu wydanego przez Lenina 8 sierpnia 1918 roku: „Należy zorganizować specjalną straż złożoną z wyselekcjonowanych ludzi godnych pełnego zaufania, aby przeprowadzić kampanię zastraszania przez masy ludowe kułaków – chłopów i producentów rolnych będących właścicielami wielkich gospodarstw – kleru i Białej Gwardii. Wszystkich podejrzanych należy internować w obozach koncentracyjnych”. Aleksiej Stahl znalazł się na takiej liście podejrzanych. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa postanowił przedostać się na drugą stronę Atlantyku. Jak w przypadku wielu innych obywateli rosyjskich, celem jego ucieczki były Stany Zjednoczone.

Stahlowie przekonali Linę, by poszła z nimi na pierwszą tego dnia kawę. Aleksiej obiecał, że potem odwiedzie młodą znajomą do pracy swoim samochodem. Vera Janacopoulos – czyli Vera Diva, jak mawiał o niej mąż – namówiła ją z kolei, żeby przyszła na bardzo szczególny recital, który miał się odbyć w nowojorskiej Aeolian Hall. Stahlowie znali osobiście kompozytora i chcieli go przedstawić Linie, bo była osobą bardzo interesującą, młodą i miała w mieście niewielu przyjaciół.

– Siergiej Prokofiew? – Lina powtórzyła nazwisko, obawiając się, że jej rumieniec będzie zanadto widoczny. – Byłabym zachwycona, uwielbiam jego muzykę. Niedawno widziałam go w Carnegie Hall. Ale nie chcę, żebyście mi go przedstawiali. Nie zniosłabym kolejnych żartów mojej matki i jej znajomych na temat tego, jaka jestem „zakochana w jego muzyce”. Nie wytrzymałabym tego.

Lina usłyszała śmiech Aleksieja, który z ironią w głosie wspomniał coś na temat wielkich problemów młodości, ale tym razem postanowiła nie wpadać w złość i ograniczyła się do wymiany porozumiewawczych spojrzeń z Verą. Resztę dnia spędziła w stanie absurdalnej szczęśliwości, z niemądrym uśmiechem na twarzy i z wyobraźnią krążącą nad miejscem położonym przy Czterdziestej Drugiej Ulicy w centrum Manhattanu. Postanowiła nic nie mówić matce. Przynajmniej na razie.

Zdecydowała się na prostą, ale elegancką suknię w kolorze ciemnoczerwonym z delikatną czarną lamówką. Na wierzch założyła futro z szynszyli, które miało ją chronić przed zimnem. Uwielbiała to okrycie, delikatne, eleganckie i skrojone tak, że idealnie dopasowywało się do jej figury. Był to prezent od ojca, który wkładała, chcąc uświetnić wyjątkowe okazje. Czymś takim właśnie był dla niej dzisiejszy koncert, niezależnie od tego, jak bardzo starała się to ukryć. Próbowwała przekonać samą siebie, że niepokój, który w niej narastał od chwili, gdy otrzymała zaproszenie od Stahlów, wynika jedynie z oczekiwania na muzykę rosyjskiego wizjonera. Ale nie zdołała się oszukać. Kiedy koncert miał się już rozpocząć, na moment przed zgaśnięciem świateł w sali, Lina wyjęła z torebki czerwoną szminkę i ukradkiem poprawiła kontur ust. Przez chwilę wstydziła się tego kokieterijnego gestu, poczuła nawet, że się rumieni, czemu próbowała zapobiec, dotykając dłońmi twarzy.

Kiedy po koncercie Stahlowie zaproponowali, żeby udać się za kulisy, by przywitać się z Prokofiewem i pogratulować mu występu, Lina wymówiła się, twierdząc, że musi iść do łazienki, i zapowiadając, że zaczeka na Stahlów w holu. Vera uśmiechnęła się i matczynym ruchem poprawiła lśniące, faliste włosy Liny.

– Zaraz wracamy, nie odchodź – poprosiła dziewczynę.

Sala koncertowa powoli pustoszała, w końcu także hol zaczął świecić pustkami. Zegarek pokazywał, że Lina czeka już ponad piętnaście czy nawet dwadzieścia minut. Przez chwilę bała się, że znajomi o niej zapomnieli, było to jednak mało prawdopodobne. Myślała też, że może wyszli innymi drzwiami i czekają na nią na ulicy. Kiedy już dostatecznie znużyło ją słuchanie stukania własnych obcasów o posadzkę, postanowiła pójść na poszukiwanie Stahlów. Podchodziła właśnie do bocznych drzwi prowadzących do jednej z sal, kiedy nagle ktoś je otworzył, uprzedzając Linę gotową już do ich pchnięcia. W ten oto sposób Siergiej Prokofiew po raz pierwszy wkroczył w jej życie: przez drzwi.

– Tu pani jest – zwrócił się do niej najsympatyczniejszym tonem, jaki Lina kiedykolwiek słyszała. Jego głos wywarł na niej duże wrażenie. Nie tak go sobie wyobrażała. Prawdę mówiąc, w ogóle go sobie nie wyobrażała. Prokofiew wydał jej się młodszy, niż gdy widziała go na scenie, lekko pochylonego nad fortepianem. Przez chwilę czuła, że może utonąć w intensywnym błękicie jego oczu, jakby znalazła się na środku oceanu. Nigdy wcześniej nie widziała tak magnetycznego koloru tęczy.

– Pani przyjaciele mówili mi, że się pani przede mną chowa.

– Ja, ja... – Lina próbowała coś mamrotać, ale język jej się zaplątał, jakby słowa, które próbowała wypowiedzieć, musiały toczyć walkę z innymi, w których zawarte były jej prawdziwe myśli.

Prokofiewa bawiła ta sytuacja. Wykorzystał kilka sekund zakłopotania

dziewczyny, żeby przyjrzeć się jej urodzie, idealnym rysom jej anielskiej twarzy naznaczonej rumieńcem, który dodawał jej jeszcze uroku, i przede wszystkim pięknemu uśmiechowi, od którego nie mógł oderwać oczu.

– Przez chwilę myślałem, że mój występ panią rozczarował i pobiegła pani do domu.

– Nie! Byłam zachwycona – powiedziała w końcu, odzyskawszy pewność siebie, co nastąpiło, kiedy tylko przestała mieć poczucie, że jej spojrzenie stało się więźniem oczu młodego kompozytora. – Sądzę, że Rachmaninowa zagrał pan po mistrzowsku, chociaż co do Aleksandra Skriabina... Z punktu widzenia precyzji zabrakło może odrobinę wierności tekstowi... według mnie.

– Ależ wydaje mi się, że *Etiudę nr 12* zagrałem bardzo ekspresyjnie – odpowiedział Prokofiew, rozbawiony, ale też nieco zasmucony komentarzem pięknej dziewczyny. – Nie chcę się usprawiedliwiać, ale ten przekłety fortepian był dla mnie zbyt twardy. To nowy steinway i o mało nie złamałem sobie na nim palca – powiedział, pokazując kciuk lewej dłoni. – W każdym razie kazali mi wychodzić na scenę i kłaniać się dziesięć razy przed przerwą i osiem razy na końcu koncertu, a trzy razy nie miałem innego wyjścia, jak tylko bisować. Nie wspomnę już o pięćdziesięciu osobach, które omal nie urwały mi ręki, składając gratulacje.

– Wiem o tym – rzuciła Lina. – Ja też tam byłam.

– Proszę powiedzieć, czy zawsze jest pani taka szczerą? I przede wszystkim – wtrącił jeszcze jedno pytanie, przecierając białą chusteczką swoje niewielkie okulary – czy zawsze się pani śmieje w taki sposób?

Mówiąc te słowa, nie mógł oderwać oczu od ust młodej kobiety.

– W jaki sposób? – chciała doprecyzować Lina, bardziej zaniepokojona niż zawstydzona.

– No w taki... Pani już wie. Tak jakby za każdym razem był to pierwszy śmiech w pani życiu.

– Tylko wtedy, kiedy muzyka zdoła obudzić we mnie takie uczucia, jakbym słyszała ją pierwszy raz w życiu. Tak jak wtedy, kiedy słuchałam w Carnegie Hall pana *I Koncertu fortepianowego*.

– Naprawdę? – spytał Prokofiew, nie ukrywając, że jej wyznanie nappełniło go dumą. – Proszę powiedzieć: podobało się pani?

– Wpadłam w ekstazę. – Ta odpowiedź wprawiła kompozytora w zdumienie, a jednocześnie sprawiła mu radość. – Pierwszy raz w życiu słyszałam coś podobnego. – Wytrzymali wzajemnie swoje spojrzenia przez kilka sekund; Lina miała w tej sztuce znacznie więcej doświadczenia niż on. – Oczywiście trzeba pamiętać, że grał pan na głównej scenie Carnegie, a to daje pewną przewagę: akustyka tam jest tak dobra, że sala staje się dodatkowym instrumentem. Wszystko, co w niej rozbrzmiewa, ma dużą szansę przejść do wieczności.

– Więc ja nie miałem w tym żadnej zasługi?

Szelmowski uśmiech Liny rozświetlił jej spojrzenie; wydawało się, że ten blask oślepi Prokofiewa.

Z jednego z korytarzy zaczęły dobiegać odgłosy przyspieszonych kroków. Po

chwili nadeszli Stahlowie, którzy nie mogąc doczekać się bohatera wieczoru, postanowili go poszukać.

– Wie pani – odezwał się znów kompozytor do Liny – zaraz pójdę do Sherry’s z paroma przyjaciółmi, żeby wypić kilka piw i zjeść trochę sera. Uwielbiam ser! Potem pogram w brydża, a kiedy dotrę do domu, otworzę swój dziennik i opiszę dzisiejszy wieczór. Ale o pani chyba nie będę dziś pisał. Wolę poczekać do jutra.

– Prowadzi pan dziennik? Cóż za strata czasu! Mógłby pan w tym czasie napisać jakąś wspaniałą partyturę – odpowiedziała Lina.

– Skąd pani wie, że to, co zapisuję w tym zeszycie, nie jest równie wspaniałe?

Prokofiew schylił się, żeby ucałować jej rękę, która okazała się gładka i delikatna. Lina z kolei zauważyła, że dłonie Siergieja są starannie wypielęgnowane; ten szczegół pozytywnie ją zaskoczył. Nigdy wcześniej nie widziała u mężczyzny śladów manikiuru.

– W każdym razie robię to w dość szczególny sposób. Nie znajdzie pani na kartach mojego dziennika ani jednej samogłoski.

Lina podjęła tę uwodzicielską grę. Nie tylko nie była dla niej nieprzyjemna – jak zapewne by się działo w przypadku jakiegokolwiek innej osoby, która ośmieliłaby się powiedzieć jej coś takiego – ale wręcz ją bawiła.

– Ach, tu jesteście – odezwał się w końcu Aleksiej Stahl, który nadszedł, gładząc, jak to miał w zwyczaju, swoją rudą brodę, przedmiot jego wielkiej dumy. – Widzę, że już się poznaliście, więc nie muszę was przedstawiać. – Ani jego, ani Very uwadze nie umknęły spojrzenia, jakie wymienili między sobą Prokofiew i Lina. – To dobrze. Skorzystam więc z okazji i zaproszę was oboje na weekend do naszego domu na Staten Island. Skrzyknęliśmy niewielką grupkę przyjaciół. Będzie miło. Starczy dla wszystkich wódki, podamy też wspaniałe brazylijskie danie, które Vera Diva przyrządza jak nikt inny. Więc jak? Mogę na was liczyć?

Lina nie chciała jeszcze potwierdzać swojej obecności, tłumacząc, że musi sprawdzić, jakie ma zobowiązania. Jednak ledwo widoczny uśmiech Prokofiewa był odpowiedzialny za jej całkowitą pewność, że z zaproszenia skorzysta.

Nie było łatwo przekonać matkę, która nawet zadzwoniła do Stahlów, by potwierdzili, że podczas weekendu będą w ich domu także inni goście. Z pewnością nie bardzo jej się podobało, że córka przyjęła zaproszenie, ale rozumiała, że musi jej zaufać. Lina nie była już dzieckiem. Była dorosłą młodą kobietą, inteligentną, wykazywała niezwykłą jak na swój wiek dojrzałość oraz silnie rozwiniętego ducha niezależności, który niewątpliwie był owocem ciągłej nieobecności rodziców w czasach jej dzieciństwa. Źródłem największych obaw Olgi była uroda córki, zanadto fascynująca dla niedawno przybyłego z Rosji muzyka, głodnego nowych znajomości i „pozbawionego zbyt wielu znajomych w swoim wieku”. Olgę przekonały w końcu słowa Very Janacopoulos:

– Są młodzi, kochają muzykę, będą się dobrze bawić. Poza tym będziemy przez cały czas w pobliżu, więc nie masz się czym martwić.

Ale powody do zmartwienia były.

Na widok śniegu czuła się zawsze tak, jakby ktoś pozbawiał ją części duszy, a jednocześnie narzucał milczenie – ciężkie od nostalgii, wspomnień i tego szczególnego, tajemniczego doznania tkwiącego gdzieś we wnętrzu, trudnego do nazwania i niepokojącego. Być może lśniąca i nieskalana pokrywa, która okryła rozległą przestrzeń posiadłości wynajmowanej przez Stahlów, obudziła w niej wspomnienia dzieciństwa spędzonego w Rosji u dziadków: Karoliny i Władysława. Zawsze wspominała lata dziecięce z szerokim uśmiechem na twarzy, pamiętając o szczęściu, którego doznawała w rodzinnym kraju. W jej głowie nabierały życia sceny z udziałem niespełna ośmioletniej dziewczynki, uradowanej z wizyty na trzecim piętrze wielkiego domu towarowego w Moskwie, do którego zabrała ją matka, żeby wybrać dla niej płaszcz – plisowany i z guzikami w kształcie liści – oraz czapkę z aksamitu, które miały ją chronić przed moskiewskim zimmem.

– Dostaliśmy go właśnie z Paryża – podkreśliła sympatyczna sprzedawczyni, która nawet nie zdawała sobie sprawy, że zasiała w małej dziewczynce pragnienie wyjazdu do tajemniczego miasta we Francji, gdzie szyją tak piękne płaszcze jak ten, który właśnie mierzyła. Jeszcze wiele lat później Lina zachowała jako amulet jeden z tamtych ślicznych guzików w kształcie liścia.

Nagle wzdrygnęła się, usłyszawszy za sobą głos Prokofiewa.

– W moim kraju, w Sankt Petersburgu, teraz zwanym Piotrogradem, podczas letniego przesilenia słońce zachodzi dopiero w nocy, a firmament wypełnia się wtedy światłem i barwi na kolory niebieski, fioletowy, złocisty oraz najrozmaitsze odcienie różu. Wydaje się wówczas, że niebo się otworzy i ukaże się raj. To *biełyje noci*, białe noce, podczas których słońce zachodzi dopiero o dziesiątej wieczorem i nigdy nie zapada całkowita ciemność. Miasto robi się bardziej romantyczne niż kiedykolwiek indziej.

Siergiej zamilkł na kilka sekund ze wzrokiem utkwionym w tym samym horyzoncie, który chwilę wcześniej obserwowała Lina. Wydawało się, że szuka czegoś w pamięci; dziewczyna nie wiedziała, czy robi to po to, by o tym zapomnieć, czy aby trwać przy wspomnieniu.

– Wszystko oczywiście ma swoje wytłumaczenie – ciągnął Prokofiew. – Piotrogród położony jest na tak wysokiej szerokości geograficznej, że słońce nie chowa się za horyzontem i nie pozwala nocnemu niebu ciemnieć. – Znów zamilkł. Lina patrzyła, jak po jego twarzy wędrują cienie, mimo jasności skóry. – „Jest coś nieopisanie wzruszającego w naszej petersburskiej przyrodzie, gdy z nadejściem wiosny okaże nagle całą swą moc, wszystkie dane jej z nieba siły, okryje się liśćmi, ubierze się, ubarwi kwiatami...” Podoba się pani Dostojewski? – spytał, przytoczywszy fragment *Białych nocy*\*

– Mój dziadek Władysław dużo go czytał. Znał na pamięć całe fragmenty jego powieści. Próbował i mnie ich nauczyć, ale chyba wszystko zapomniałam. Byłam wtedy bardzo mała.

– Mamy jeszcze parę godzin do kolacji. Proszę powiedzieć, Lina: lubi pani spacerować?

Podczas gdy przyjaciele Stahlów komentowali w domu ostatnie wiadomości z wojny domowej toczącej się w Rosji, dwoje młodych dotarło do położonego w pobliżu rezydencji lasu. Nie przestawali mówić, żartować i dzielić się okruciami swojej przeszłości, w której próbowali znaleźć wspólne punkty. Siergiejowi pochlebiało, że piękna, młoda dziewczyna – półkrwi Hiszpanka – spotkana w Stanach Zjednoczonych mówi tak dobrze po rosyjsku; jeszcze bardziej schlebiał mu jej wyjątkowy zachwyty dla jego muzyki. Nie potrafił nic poradzić na to, że entuzjazm dziewczyny sprawia mu ogromną przyjemność.

– To wszystko dlatego, że nie czytała pani niektórych krytycznych recenzji publikowanych w prasie. – Próbował popisywać się skromnością, której tak naprawdę nie miał. – Może to i lepiej. Oszczędzę pani przykrości ich czytania. Różne recenzje wyrażają różne upodobania. „Brooklyn Daily Eagle” twierdzi, że właściwie miałem być lwem rewolucji muzycznej, ale w dniu koncertu ten lew zaryczał tak delikatnie jak łagodna gołębica. Inni mówią o lawinach chromatyzmu w czarnych klawiszach i oazie spokoju w białych. Ale najzabawniejsi są ci z „New York Timesa”. Jak zawsze! Nazywają mnie psychologiem najwstrętniejszych emocji, takich jak nienawiść, wściekłość, gniew, i określają moją muzykę jako piekielną miksturę przyrządzoną w kotle czarownic. – Popatrzył na Linę, oczekując z jej strony jakiejś reakcji na te słowa. – Nie śmiesz to pani?

– Śmieszło, kiedy czytałam to po raz pierwszy. – Ta odpowiedź znów miło polechtała ego Prokofiewa. „Więc ta ślicznotka interesuje się mną, przejmuję się tym, co o mnie piszą”. – Ale są jeszcze lepsze recenzje. Mnie najbardziej podobała się ta, w której napisali: „Weź jednego Schönberga, dwóch Ornsteinów, trochę Satiego, wymieszaj to wszystko starannie z Medtnerem, dodaj kroplę Schumanna, pełen kubek Skriabina i Strawińskiego, a otrzymasz coś zbliżonego do Prokofiewa”. Przynajmniej dobrze zapisali pana nazwisko, co w tym kraju nie zawsze się gazetom zdarza. – Ich spojrzenia spotkały się na kilka chwil. – Naprawdę jest dla pana ważne, co piszą recenzenci?

– Wcale nie. Przeciwnie, bawią mnie. Mam tak od dziecka. Kiedy byłem studentem konserwatorium w Sankt Petersburgu, najmłodszym i najbardziej kreatywnym, jeśli pozwoli pani, że tak się określe, profesorowie odrzucali mój sposób rozumienia muzyki i komponowania, mój sprzeciw wobec konserwatywnych idei. Stawiali mi zaniżone oceny, karali mnie, oskarżali o brak szacunku dla kultury, dla tego, co nazywali świętą tradycją. Sądzę, że nie byli gotowi na moją muzykę. Nie obwiniam ich. Nie wiem też, czy świat już jest na nią gotowy.

Uśmiechnął się w wymuszony sposób i zamilkł, z nostalgią rozpamiętując tamten etap życia, tak wyraźny w jego pamięci. Koncert w Carnegie Hall przywołał jedno z jego najwcześniejszych wspomnień, z 1914 roku, kiedy zdobył Nagrodę Rubinsteina w klasie fortepianu i ku zaskoczeniu wszystkich, zamiast zagrać klasyczny koncert, wykonał swoją własną muzykę: *I Koncert fortepianowy*. Wciąż sprawiało mu przyjemność przypominanie sobie momentu, kiedy wszedł na scenę i zobaczył, jak dwadzieścioro członków jury otwiera trzymaną na kolanach partyturę. „Niezapomniany widok dla kompozytora, który właśnie opublikował swój utwór” – zapisał tego dnia w swoim dzienniku. Nie wszyscy rozumieli jego muzykę, ale nie sposób było jej nie podziwiać.



Matka Siergieja postanowiła, w nagrodę za odniesiony sukces, zafundować mu podróż do Londynu, którą rozpoczął w czerwcu 1914 roku. Już w następnym miesiącu wybuchła wielka wojna. Wszystko to wydawało się teraz tak odległe, a jednocześnie tak bliskie. Siergiej zamknął oczy i zaczął głęboko wdychać zimne powietrze, które ożywiło jego płuca i pomogło oddalić niektóre widma przeszłości, nawiedzające go z nadmiernym uporem.

– Lubię to czyste powietrze, którym się tu oddycha. Wszystko jest takie piękne – skomentowała Lina, zakłopotana przedłużającym się milczeniem.

– Ale nie tak jak okolice Piotrogradu. – Głos Siergieja znów stał się melancholijny, można też było odnieść wrażenie, że jego wzrok zagłębia się w całkiem inny pejzaż niż las, przez który teraz szli.

– Tęskni pan za Piotrogiem? – Lina odczekała kilka sekund, zanim ponowiła pytanie. – Brakuje panu kraju?

– Brakuje mi bliskich, matki... To skomplikowane.

Wspomnienie matki, Marii Grigoriewny, wywołało u Prokofiewa atak melancholii. Cierpiał na nią dość często, choć niewiele osób o tym wiedziało. To matka pomogła mu odnaleźć powołanie artysty. Kiedy była z nim w ciąży, po tym jak straciła dwie małe córki, ciągle grała na fortepianie. Był to jej sposób na oderwanie się od niepokoju, które pod koniec XIX wieku targały światem, gotowym otworzyć się na rozmaite awangardy. Siergiej przyszedł na świat 23 kwietnia 1891 roku w małej ukraińskiej wiosce Soncowka. Ojciec opowiadał mu potem, że po raz pierwszy doprowadził swoją matkę do płaczu ze wzruszenia w wieku zaledwie dwóch lat, kiedy to wdrapał się jakoś na wysokość klawiatury fortepianu i położył malutkie rączki na klawiszach, wydobywając z nich swoje pierwsze dźwięki. Koncentrował się na białych klawiszach, bo czarnych nie sięgały jego małe paluszki. Kiedy w wieku pięciu lat skomponował swój pierwszy utwór na fortepian, *Indiański galop*, przyjaciele Marii z konserwatorium zaczęli jej mówić, że ma u siebie w domu nowego Mozarta. To ona była jego pierwszą miłością, wyznaczyła kierunek całego jego życia, gdy pewnego dnia wzięła dziewięcioletniego chłopca za rękę i zaprowadziła go do moskiewskiego teatru Bolszoj na operę. Po tej pierwszej przyszło zresztą wiele kolejnych: *Faust*, *Kniaź Igor*, *Śpiąca królewna*. Tamtego wieczoru mały Siergiej zaczął tworzyć szkic operowy na głos i fortepian – *Olbrzym*, a rok później, w wieku dziesięciu lat, skomponował kolejną operę, *Na bezludnych wyspach*. To właśnie wtedy matka zrozumiała, że nie należy kiełznać porywczego ducha chłopca, jego zmysłu krytycznego, muzycznego buntu i chęci zerwania z tym, co zastane. Siergiej zawsze powtarzał, że prawdziwą wizjonerką w ich rodzinie była matka, a nie on. To ona przekonała go, żeby wyjechał z Rosji, co nastąpiło 17 maja 1918 roku. Oczy tej odważnej kobiety oglądały już zbyt wiele okrucieństw popełnianych podczas rewolucji rosyjskiej. W dniu, w którym wybuchła rewolucja 1917 roku, Piotrogród został obsadzony przez czterdzieści tysięcy funkcjonariuszy carskiej policji. Maria nie rozumiała polityki, ale rozumiała życie. Kiedy zobaczyła, jak ludzie podążający – za przewodem strajkujących robotników z przemysłowych dzielnic miasta – na manifestację przez jeden z mostów zostali zaatakowani przez konne siły porządkowe i zmasakrowani, wiedziała, że sprawa na tym się nie skończy. Piotrogród potrzebował trzech dni, żeby pomścić ofiary policyjnej

akcji. Gdy to się działo, Siergiej brał udział w wieczorze muzyczno-literackim wraz ze swoim przyjacielem, pisarzem Maksymem Gorkim. Było mu z tego powodu przykro, tak samo jak wtedy, kiedy się dowiedział, że w Moskwie odgłosy wystrzałów mieszały się z ciągłymi okrzykami: „Niech tu przyjdą, niech tu przyjdą”, które słychać było na ulicach. Te ulice wkrótce pokryły się trupami, a ambulanse nawet nie próbowały ich zbierać. Ludzie bali się bowiem, że znajdują się na celowniku karabinu wciśniętego w dłoń jakiegoś nieszczęśnika, któremu bolszewicy kazali strzelać do wszystkiego, co się rusza. Klęska Rosji w wielkiej wojnie, poczucie, że armia rosyjska zmierza ku pewnej zagładzie, upadające morale oddziałów, choroby i głód dziesiątkujące lud rosyjski – wszystko to stanowiło skuteczną pożywkę dla rewolucji. Jej wybuch i późniejsza wojna domowa zaskoczyły Siergieja i jego matkę na przedmieściach Moskwy, ale szybko przeniosły się do Piotrogradu. Milion ludzi pochowało się w domach, obawiając się strzałów, które siały większe przerażenie niż głód i niż tyfus zaczynające przekształcać Moskwę w ogromne cmentarzysko. Maria nie chciała, żeby jej syn musiał ponownie oglądać na własne oczy sceny podobne do tej, której świadkiem stał się pewnego dnia i która na kilka godzin odebrała mu mowę: widział strumień krwi wypływającej z rany człowieka, do którego przed chwilą strzelano – strumień krwi, która w ciągu kilku sekund zamarzła na śniegu, łamiąc jego biel. Ten koszmarny obraz wciąż tkwił przed oczami Siergieja, jakby został wypalony w jego mózgu. Maria chciała oszczędzić synowi okropieństw wojny i życia w świecie racjonowania żywności, przepustek, pozwoleń, rekwizycji i zakazów – a w taki właśnie świat przekształciła się Moskwa. Matka Siergieja mogła znieść wszystko, ale przecież jej syn urodził się po to, żeby świat słuchał innych dźwięków, przeżył inną rewolucję, niemającą nic wspólnego ze strachem, z odgłosami strzałów ani z czerwonymi sztandarami powiewającymi na budynkach. Coś podobnego mówił nowy komisarz ludowy do spraw kultury, Anatolij Łunaczarski, kiedy spotkał się z Siergiejem. Prokofiew miał żal, że premiera jego opery *Gracz*, opartej na powieści Fiodora Dostojewskiego, zaplanowana na 1917 rok, została zawieszona ze względu na wybuch rewolucji lutowej.

– Jesteś rewolucjonistą w dziedzinie muzyki. My jesteśmy rewolucjonistami w życiu. Powinniśmy współpracować, ale jeśli masz ochotę emigrować do Ameryki, ja ci nie będę tego utrudniał – powiedział mu Łunaczarski.

Kilka miesięcy wcześniej ten robiący szybką karierę polityk – a wcześniej krytyk sztuki i dziennikarz – zainspirował proces sądowy przeciwko Bogu, którego oskarżono o zbrodnie przeciw ludzkości. Na ławie oskarżonych umieszczono Biblię. Wyrok wykonano o szóstej trzydzieści rano 17 stycznia 1918 roku: w niebo nad Moskwą wystrzelono pięć serii z karabinów maszynowych.

Nie można powiedzieć, że Siergiej nie lubił polityki. Raczej nie lubił o niej mówić – może dlatego, że nigdy jej nie rozumiał ze względu na absurdy, którymi często była nasycona. I nie potrafił jej pojąć, nawet gdy mógł już patrzeć z perspektywy, którą uzyskuje się z biegiem lat. Ani w rodzinnej Rosji, ani w Nowym Jorku, a jeszcze mniej w tamten weekend na Staten Island.

– Straszne jest to, co się wydarzyło w Piotrogradzie. Lepiej o tym nie myśleć. Mam tylko nadzieję, że moi bliscy i przyjaciele nie ucierpieli. – Siergiej znów skierował wzrok na ogołoczone z liści drzewa, ukazujące swoje rachityczne, nagie pnie.

Po chwili napotkał spojrzenie Liny, które zdawało się w milczeniu towarzyszyć Siergiejowi w trakcie tej krótkiej, ale rozdierającej serce przechadzki po wspomnieniach.

– Chyba się zgubiliśmy. A jak znam Stahlów, wcale nie złączą nas szukać. Lepiej spróbujemy więc sami odnaleźć drogę. Poza tym umieram z głodu.

Po raz pierwszy świadomość zagubienia nie przerażała Liny, która z ochotą przyjęła ramię Siergieja, po czym oboje kontynuowali marsz.

Weekend upłynął w miłej atmosferze. Wydawało się, że Siergiej postawił sobie za cel zaskakiwanie Liny i być może właśnie to pragnienie doprowadziło w niedzielę rano do niefortunnego incydentu. Goście Stahlów postanowili wybrać się na przejażdżkę łódkami zacumowanymi przy pomoście w małym zakolu rzeki niedaleko domu. W trakcie przejażdżki kompozytor zaczął się zachowywać całkiem jak dziecko, uderzając swoją łódką w inną – tę, którą płynęła Lina. Młoda kobieta wpadła w złość, próbując nakłonić Siergieja, żeby zaprzestał infantylnej zabawy.

– Doprowadzi pan do tego, że wpadniemy do wody! Tego pan chce?

– O co tyle hałasu? Czy pani nie umie pływać, panno Linette? – odpowiedział wyzywającym tonem.

– Umie doskonale, panie Prokofiew.

– Więc będzie mi pani musiała to zademonstrować – odparł i ponownie zaatakował łódkę Liny. Uderzenie sprawiło, że siedząca dziewczyna upadła na plecy na wąską drewnianą ławeczkę, biegnącą w poprzek łódki mniej więcej w połowie jej długości. Widząc upadek Liny, Siergiej wybuchnął głośnym śmiechem, powodując jeszcze większe – może trochę przesadne – wzburzenie młodej kobiety.

– *Vous êtes méchant!*<sup>1</sup> – rzuciła po francusku, choć ton jej głosu nie był spójny z jasnym blaskiem oczu.

– Czego oczekujesz od Rosjanina, który wyruszył w drogę ku sławie geniusza i który nigdy nie zajmował się niczym innym poza muzyką? W ten sposób cię kokietuje, drogie dziecko – wyjaśniała jej potem miss Janacopoulos, jak mówił na nią Prokofiew. – Tacy oni są. Wierz mi, mam spore doświadczenie, jeśli chodzi o faunę żyjącą na rosyjskich stepach – dodała, rzucając znaczące spojrzenie Aleksiejowi, swojemu mężowi.

Obie kobiety zaczęły się śmiać z niedawnego zdarzenia. Lina nadal przyglądała się Prokofiewowi. Rozumiała, że musi trochę potrwać, zanim Siergiej pozbędzie się niedojrzałości, którą zwykły wykazywać cudowne dzieci. Miała wrażenie, że – zgodnie z tym, co jej wielokrotnie mówiono – również Siergieja w dzieciństwie życie zanadto rozpieszczano. Może dlatego czuła z nim taką bliskość, choć teraz akurat płynęli w osobnych łódkach.

Kiedy towarzystwo zjadło suty posiłek, Siergiej zdał sobie sprawę, że musi okazać Linie serdeczność, żeby zrekompensować jej swoje zachowanie podczas wycieczki po rzece. Korzystając z faktu, że większość gości opowiedziała się albo za spacerem po okolicy, albo za sjestą w bibliotece z książką w rękę, albo też za odpoczynkiem w rozwieszonych na werandzie hamakach – pod kocem i z filiżanką gorącej herbaty – kompozytor postanowił zaprosić Linę do salonu, w którym na honorowym miejscu stał ogromny fortepian.

– Ma pani kilka minut? – spytał ją, mobilizując całą swoją uprzejmość, którą kilka

godzin wcześniej utracił, płynąc łódką. – Chciałbym, żeby pani czegoś posłuchała.

Usadowił swoje niezgrabne ciało przy fortepianie i zanim zbliżył dłonie do klawiatury, odwrócił się jeszcze raz do Liny, mówiąc:

– Specjalnie dla pani. Nie co dzień to robię. Jest pani gotowa? – uśmiechnął się, widząc, jak Lina kiwa głową. – Obawiam się, że nie, więc lepiej będzie, jak się pani rozsiądzie wygodnie.

Ręce Siergieja dotknęły klawiszy fortepianu tak jak dłonie artysty dotykają kamienia, który zaczynają rzeźbić. Muzyk zaczął grać własny *II Koncert fortepianowy*. Jego umysł przeniósł się w czasy, w których utwór powstawał: śmierć ojca, zapowiedzi nadchodzącej wielkiej wojny, w ogniu której miał spłonąć świat, a przede wszystkim samobójstwo Maximiliana Schmidthofa, jednego z najserdeczniejszych przyjaciół Siergieja, który do niego właśnie zaadresował swój pożegnalny list. Kiedy występ się skończył, wydawało się, że muzyk wraca po krwawych zmaganiach na odległym bitewnym polu.

Lina była nieomal w ekstazie. To nie była muzyka, to coś znacznie więcej. Piers Liny gwałtownie falowała, jakby kadencja pierwszej części i wirtuozeria scherza wyznaczyły rytm jej oddechu. Choć próbowała coś powiedzieć, słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Całkiem oniemiała od sekwencji nut, tonów, kadencji...

– To policzek wymierzony gustowi publiczności. Tak powiedzieli, kiedy wysłuchali tego po raz pierwszy. Niektórzy wychodzili z sali w czasie koncertu z okrzykiem: „Niech piekło pochłonie tę futurystyczną muzykę, koty na dachu robią lepszą”. Wciąż jeszcze wspomina się skandal, który wtedy wywołałem. – Takie były pierwsze słowa wypowiedziane przez Siergieja, kiedy znowu unormował mu się puls, przyspieszony przez wysiłek grania.

Uśmiechnął się, widząc działanie czaru, który rzucił na swoją jedyną słuchaczkę.

– Powinna pani oddychać, moja droga, jeśli chce pani nadal żyć – powiedział w reakcji na trans, w jaki wpadła jego najbardziej zagorzała wielbicielka. Awangardowy charakter utworu najwyraźniej jej nie tylko nie zbulwersował, ale wręcz ją zafascynował.

Kiedy Siergiej usadowił się wygodnie na stołku, przyjmując typową dla siebie pozycję – ze skrzyżowanymi nogami, jednym ramieniem opartym na klawiaturze i drugim swobodnie podpierającym bok – przechylił lekko głowę i przyszykował się na przyjęcie z ust Liny spodziewanej długiej serii hymnów pochwalnych. Nagle poczuł w skroniach silny, przeszywający ból, na tyle gwałtowny, że złapał się rękami za głowę, jakby się bał, że ona za chwilę eksploduje. Z ust wyrwał mu się głośny, chrapliwy jęk. Kartki partytury ustawione na podpórce z przodu fortepianu rozsypały się po podłodze, a z wnętrza instrumentu dobiegł głośny łoskot wywołany osunięciem się Siergieja na klawiaturę – tak jakby klawisze wydały z siebie taki sam okrzyk strachu jak ten, który wydobył się z gardła Liny.

– Siergiej, co z tobą?

W jej głosie słychać było lęk. Podbiegła do Prokofiewa z taką szybkością, jakby od jej pomocy zależało jego przetrwanie. Była przerażona jak rzadko kiedy w życiu.

– Co mogę zrobić? Powiedz, co mogę zrobić!

Po kilku sekundach rozpacz, kiedy nie wiedziała, jak zareagować, w końcu

usłyszała słowa Siergieja.

– Nie bój się – prosił, podczas gdy intensywny ból po prawej stronie twarzy ustępował. – Cierpię na straszliwe migreny, którym moja muzyka najwyraźniej nie podoba się tak jak tobie.

Na chwilę zapomniał o powracającym lęku przed dolegliwością, która męczyła go od lat. Czasami nie pozwalała mu komponować ani dotykać fortepianu. To samo działo się z jego rodakiem i przyjacielem Siergiejem Rachmaninowem, któremu silne nerwobóle – pozostałość po zapaleniu nerwu trójdzielnego – ograniczały możliwości twórcze. Lęk przed tymi cierpieniami był częścią całego zespołu obsesji Prokofiewa. Podnosząc wzrok, dostrzegł zatroskanie na twarzy Liny. To wyzwoliło w nim przyływ czułości, do której nie był zanadto przyzwyczajony.

– Naprawdę mi przykro, że cię zmartwiłem – wyznał, sięgając po okulary, które w trakcie ataku zsunęły mu się z nosa, ale szczęśliwym trafem nie spadły na podłogę.

– Pozwól, ja to zrobię – poprosiła, wyciągając chusteczkę, żeby wyczyścić szkła. Miała wrażenie, że za chwilę się rozpłaczę. To uczucie ją zawstydzało, chociaż w końcu udało się je pokonać. – Śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Nie rób tego więcej – powiedziała, nie ośmielając się spojrzeć mu w oczy, bo nie chciała oglądać uprzedzająco grzecznej miny Siergieja.

– Wiesz, co mi najlepiej robi na te okropne nerwobóle? Dobra, gorąca czekolada.

Kiedy Lina szła do kuchni, żeby przygotować lekarstwo zasugerowane przez Siergieja, dotarł do niej jego głos, który sprawił, że zatrzymała się i odwróciła.

– Cieszę się, że przeszliśmy na ty. Miałem już wrażenie, że jestem uwięziony we wnętrzu suit *Goyescas* Granadosa i nie mogę z niej wyjść.

Linę pozytywnie zaskoczyło odniesienie do hiszpańskiego pianisty i kompozytora. Woliała myśleć, że te słowa wynikają raczej z chęci Siergieja, żeby sprawić jej przyjemność, niż ze wspólnej pasji do muzyki.

Kiedy Lina wróciła do domu po pierwszym weekendzie spędzonym w rezydencji Stahlów, wiedziała już, że w jej życiu wydarzyło się coś bardzo ważnego. Zakochała się bezgranicznie w Siergieju Prokofiewie, przy czym przerażało ją, że sama nie wie, czy to uczucie skoncentrowane jest na nim, czy na jego muzyce. Ale nie było to dla niej najważniejsze, inaczej niż dla jej matki, która nie potrzebowała dużo czasu, żeby właściwie odczytać błysk pojawiający się w spojrzeniu córki.

– Nie podoba mi się twój wyraz twarzy – powiedziała, zdając sobie sprawę, że Lina nie zawsze słucha jej rad. – Chciałabym, żebyś była ostrożna.

– W sprawie grypy czy polityki? Na co mam tym razem uważać? – spytała niezbyt grzecznie Lina.

– Na swój ton, młoda damo. Na ton, który często cię gubi.

Matka i córka wzajemnie się uwielbiały, ale miały na tyle podobne charaktery, że często dochodziło między nimi do kłótni, w trakcie których jedynie ojcu Liny udawało się skutecznie mediować – o ile tylko był w domu. Obie były uparte, miały żywy temperament, łatwo wpadały w złość i lubiły demonstrować swoją wolność i niezależność. Kiedy któraś wbiła sobie coś do głowy, dążyła do celu, nie bacząc na koszty. Prawdziwe problemy pojawiały się wtedy, kiedy Olga pragnęła czegoś całkiem

przeciwego niż Lina. Siergiej Prokofiew – od chwili, w której zjawił się w życiu obu kobiet – stał się źródłem nieustającego konfliktu między nimi.

– Chcę go poznać – rzuciła matka. Linę całkiem zamurowało. – Chcę, żeby przyszedł do tego domu, i chcę z nim porozmawiać. I chcę, żeby mi wyjaśnił, jakie ma zamiary.

– Kogo chcesz poznać? – spytała Lina, zaskoczona nieoczekiwanym życzeniem matki, najwyraźniej wypowiedzianym całkowicie poważnie.

– Nie wiesz kogo? Będziesz musiała przestać używać w odniesieniu do niego tego zaimka. Już nikt w to nie wierzy.

Lina roześmiała się w duchu. Prokofiew sprowadzony do roli zaimka. Podobała jej się ta semantyczna metamorfoza, za którą była odpowiedzialna wyłącznie ona.

<sup>1</sup> Jest pan niegodziwy! (jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Weekendowe spotkania w domu Stahlów w tamtym zimnym 1919 roku przekształciły się w stały zwyczaj, z którego żadne z nich dwojga nie chciało rezygnować. Dla Siergieja te dni odpoczynku i rozluźnienia były idealną ucieczką, której potrzebował, poza tym sprawiało mu przyjemność towarzystwo „nowej wielbicielki”, jak zwykł określać Linę wśród przyjaciół.

– Wydaje mi się, że od dawna nikt mnie tak nie kochał jak to czarujące dziecko. Zawsze czegoś takiego poszukiwałem i nigdy nie udawało mi się znaleźć. Ale dużo w niej rezerwy. Niegrzeczne dziecko, nie chce przyjść do mnie do domu.

Aleksiej patrzył wtedy na niego z miną szcwanego lisa, z którą harmonizowała ruda broda.

– Jestem przekonany, że to tylko pozory. Daj jej trochę czasu. Akurat ty, przyjacielu, powinieneś umieć panować nad kadencją aż do samego końca, jesteś przecież ekspertem – mawiał, opróżniając kieliszek wódki, który rzadko wypuszczał z dłoni.

Lina wiedziała, że jest bezgranicznie zakochana w mężczyźnie, który był od niej o sześć lat starszy, choć wyraźnie już widoczne początki łysienia sprawiały, że różnica wieku wydawała się większa. Chciała z nim przebywać, pragnęła go. Liczyła dni, godziny i minuty, które pozostawały do chwili, kiedy znów mieli być razem. Tęskniła za dzwonkiem telefonu oznajmiającym kolejne spotkanie. Z większą ochotą chodziła na lekcje śpiewu, w jej interpretacjach było teraz więcej życia i nawet jej nauczycielka, nieskora zwykle do zbędnych pochwał, pogratulowała Linie nowych subtelności, które pojawiły się w jej głosie.

Oboje czekali na chwile, kiedy będą razem. W trakcie pierwszych miesięcy znajomości rezydencja na Staten Island przekształciła się w ich tajną kryjówkę. Ponieważ dom Stahlów zawsze był wypełniony przyjaciółmi, stał się też idealnym alibi dla pragnącej spędzać ze sobą czas pary, która zresztą dość szybko wykorzystywała jakiś moment, żeby na długie godziny zniknąć z oczu pozostałym gościom: Lina z Siergiejem chodzili na długie spacery po zamrożonym ogrodzie, jesienią zbierali liście, tworzące u ich stóp gruby pomarańczowy dywan, przyglądali się gwiazdom, o których Lina opowiadała najróżniejsze historie. Siergiej z trudem odrywał wówczas od niej wzrok. Oboje lubili też rozmawiać w przytulnej bibliotece gospodarzy o swoich upodobaniach literackich.

– Spróbuj Kanta albo Freuda. Obaj są interesujący. Zawsze odkrywasz w swojej głowie coś nowego, czego zupełnie się tam nie spodziewałaś – radził Linie erudyta Prokofiew, który od zawsze był pozeraczem lektur.

Każdego dnia ich światy przenikały się coraz bardziej i to sprawiało, że oboje czuli się jako para coraz swobodniej w obecności innych osób. Nie mieli ochoty obnosić się ze swoją przyjaźnią, ale coraz mniej przejmowali się tym, że widziano ich razem. Pewnego popołudnia Stahlowie postanowili rozpałcić w przydomowym ogrodzie ogromne ognisko. Lina i Siergiej zebrali mnóstwo suchych liści, do których oboje mieli słabość i którymi potrafili się bawić długie godziny. Zaczęli je palić. Tego dnia było dość zimno i dlatego

rzucając je w płomienie, podchodzili bardzo blisko do ogniska, którym zajmował się Aleksiej, pilnujący, by dokładać drewna i by dym nie dusił zgromadzonych gości. Rozbłyśki płomieni pożerających suche liście odbijały się na twarzach Liny i Siergieja. Od niej, owiniętej kaszmirowym szalem, który Siergiej przyniósł jej z wnętrza domu, bił prawdziwy blask. Przez dłuższą chwilę Prokofiew nie mógł oderwać od niej oczu. Chciał na zawsze zachować ten obraz w głowie. Dlatego bardzo spodobał mu się pomysł Very, żeby zrobić zbiorowe zdjęcie.

– Tak będzie dobrze. Teraz się uśmiechnijcie, nie krępujcie się – poprosiła gospodyni z tym swoim szczególnym brazylijskim akcentem, którego nie potrafiła się pozbyć, zwłaszcza gdy czuła się rozluźniona. – Siergiej, czemu ty zawsze musisz trzymać coś w rękach? – strofowała go. – Czy mógłbyś odłożyć grabie i objąć Linę?

Kłęb gęstego dymu, który właśnie wydobył się z ogniska, sprawił, że część fotografii jest nieco zamglona. Ale można na niej zobaczyć, jak Siergiej wypełnia zalecenia Very: jego dłoń wydaje się delikatnie gładzić po głowie stojącą obok kobietę. Przez lata, na rozmaitych etapach życia Lina przyglądała się temu zdjęciu. I zawsze wypowiadała ten sam komentarz, który przyszedł jej do głowy, kiedy po raz pierwszy wzięła fotografię do ręki: „On stał w tej mgle, a ja obok niego; on jak wojownik Walkirii, który ocalił mnie przed stosem pogrzebowym”.

Siergiej znał marzenia Liny, która pragnęła zostać sławną śpiewaczką operową, i zaczął się interesować jej postępami wokalnymi, choć nie zawsze robił to w najlepszym stylu. Pewnego razu, kiedy towarzystwo w poobiedniej porze zgromadziło się wokół kominka Stahlów, zapytano Linę, jakiego utworu uczy się obecnie. Okazało się, że jest na etapie bardzo dramatycznego romansu Antona Rubinsteina *Noc*. Widząc wśród nielicznego audytorium żywe zainteresowanie utworem, Lina, zachęcana przez obecnych, przemogła początkową nieśmiałość i zaczęła śpiewać. W pewnej chwili przerwał jej stanowczy głos Siergieja.

– To nie tak idzie – powiedział, siedząc w jednym z najbardziej oddalonych foteli salonu. Jego słowa zabrzmiały jak wyrok sądu wojskowego. – Powinno być inaczej. Źle to śpiewasz.

– Nieprawda – odpowiedziała zagniewana Lina, która nie była pewna, czy bardziej boli ją ton Siergieja, czy wstyd, który odczuwa. – Tak właśnie uczę się z matką. Myślę, że ona dostatecznie dobrze zna ten utwór. Śpiewała go wiele razy na różnych scenach Europy.

– Ani słowa tak nie idą, ani muzyka. – Siergiej wstał ze złością z fotela, skierował się do fortepianu i akompaniując sobie, zaczął przy nim śpiewać romans, który stał się kością niezgody.

– A teraz ja nie rozpoznaję ani jednej nuty, którą grasz. A jeszcze mniej to, co śpiewasz. – Lina ironicznie skomentowała okropny głos Prokofiewa.

– Tak przynajmniej było zapisane przez autora w oryginalnej wersji.

– To chyba pierwszy raz, kiedy raczysz kierować się tradycją... – wytknęła mu Lina, wiedząc, że te słowa, wypowiedziane akurat w tym momencie, mogą mieć niszczycielską moc. Tego ranka bowiem w „Tribune” ukazała się recenzja uznająca Prokofiewa za ultramodernistę pozbawionego wszelkiego szacunku dla tradycji



muzycznej.

Wymiana słów trwała jeszcze kilka chwil, a towarzyszył jej pojedynek na niechętnie miny, nabierający coraz większej intensywności. Siergiej i Lina rzucali sobie złowrogie spojrzenia. Na kilka sekund zapadła krępująca cisza. W tym czasie niektórzy goście nieznacznie zerkali po sobie i wymieniali ledwo widoczne uśmiechy wtajemniczenia.

– No już, już... Nic się nie dzieje. Kłótnia zakochanych – wtrącił się Aleksiej, za co został obrzucony pełnym dezaprobaty spojrzeniem żony. – Nie wtrącajmy się, to sprawy tych dwojga – upierał się na przekór wszystkiemu.

Lina nie była w stanie zrozumieć reakcji Prokofiewa. Wyszła z pokoju, starając się powstrzymać łzy wściekłości dławiącej jej gardło. Komentarz Aleksieja bez wątpienia wzmocnił jeszcze plotki, które i tak już zaczynały krążyć po mieście i które stawiały ją – pannę żyjącą na początku XX wieku – w bardzo niezręcznej sytuacji. Ale jeszcze bardziej bolało ją niesprawiedliwe i niegrzeczne zachowanie Siergieja. Miała ochotę podbiec do niego i wymierzyć mu policzek, ale powstrzymała się, bo wiedziała, że stając z nim twarzą w twarz, musiałyby zapanować nad swoimi prawdziwymi emocjami, które niekoniernie popychały ją do uderzenia go. Od tygodni ośmielała się myśleć, jak mógłby wyglądać ich pierwszy pocałunek, wyobrażała go sobie podczas bezsennych nocy, jednocześnie tłumiąc w sobie pewne towarzyszące tym wizjom myśli, od których oblewała się rumieńcem. Ale było dla niej jasne, że to nie ona powinna zrobić w tej sprawie pierwszy krok. Poza tym była wściekła na gwałtowną reakcję kompozytora, tym bardziej że ten publiczny występ sporo ją kosztował. Musiała poznać jeszcze wiele szczegółów dotyczących osobowości i życia człowieka, który wyrócił jej świat do góry nogami, ale nie chciała się od niego oddalać. Nie wiedziała na przykład nic – albo prawie nic – na temat nienawiści, jaką Siergiej odczuwał do Antona Rubinsteina, fundatora konserwatorium w Sankt Petersburgu i kluczowej postaci w świecie rosyjskiej edukacji muzycznej. Nie miała też pojęcia, że jako dziecko Siergiej prosił matkę, żeby nie grała *Nocy*, który to utwór w jej interpretacji brzmiał równie mdło, jak przed chwilą w wykonaniu Liny.

– Mamo, zagraj coś innego. Wolę Beethovena – to było całe wyjaśnienie, jakiego wtedy udzielał.

Nie zdarzało się to często, ale przynajmniej dwa razy Siergiejowi i Linie udało się zostać samym w domu Stahlów, ze względu na jakieś artystyczne zajęcia gospodarzy poza Nowym Jorkiem. Chodziło o kilka zaledwie godzin darowanej intymności, ale ten czas wystarczył, żeby jeszcze bardziej wzmocnić uczucia, które z każdym dniem wydawały się coraz bardziej intensywne. Jednakże idylliczna sceneria domu na Staten Island powoli stawała się dla nich zbyt ciasna, zaczęli się dusić w dotychczasowych dekoracjach, a jednocześnie towarzyszyło im zbyt wielu widzów. Siergiej przekonał Linę, żeby spędzali popołudnia w kinie, przenieśli spacerować do Central Parku i zaczęli bywać w pewnej dyskretnej nowojorskiej restauracji. Nie odniósł jednak takiego samego sukcesu, namawiając ją do odwiedzenia jego mieszkania w hotelu Calumet. Nie był to budynek z luksusowymi apartamentami, ale przy piętnastu dolarach tygodniowej opłaty Siergiej mógł sobie pozwolić dodatkowo na wypożyczenie fortepianu, dzięki czemu mógł ćwiczyć, kiedy chciał, przygotowano mu bowiem jeden z pokoiów o najlepszej akustyce

i najbardziej oddalonych od reszty gości.

Siergiej wszelkimi sposobami próbował zwabić do siebie Linę. Pewnego dnia powiedział jej, że jest chory, i prosił, żeby go odwiedziła. Kiedy indziej potrafił zniżyć się do błagania jej o współczucie, po tym jak w przeddzień koncertu skaleczył się w kciuk lewej dłoni, co – według jego własnych słów – zmuszało go do gry „o dwadzieścia pięć procent gorszej” niż normalnie. Przy jeszcze innej okazji próbował obudzić jej zazdrość, twierdząc, że jeśli nie zgodzi się spędzić u niego popołudnia, sprowadzi inną kobietę, a konkretnie początkującą aktorkę Dagmar Godowsky, córkę polskiego pianisty otoczoną sławą *femme fatale* i znaną później z głośnych romansów z Rudolfem Valentino, Charlesem Chaplinem, a także jednym z bezpośrednich konkurentów Prokofiewa – Igorem Strawieńskim. Żadna z tych taktyk wywierania nacisku nie przyniosła efektu. Lina obrała bardzo jasną strategię i nie ustępowała przed kaprysami ani tym bardziej przed bezczelnymi i wywieranymi po amatorsku naciskami, które świadczyły, że jej ukochany ma niewielkie doświadczenie w dziedzinie podbojów. Za radą swojego przyjaciela Aleksieja Siergiej starał się zachowywać cierpliwość, ale czasami zapominał się, przez co sprawy komplikowały się jeszcze bardziej, tak jak pewnego popołudnia, gdy oboje z Liną wychodzili z kina. Kiedy Siergiej uznał, że znów został odrzucony, wbił wzrok w swoją towarzyszkę i powiedział, że nie można sprowadzać wszystkiego do oglądania filmów i spacerowania po Central Parku.

– To się robi nudne – dodał, nie miarkując ani słów, ani tonu, co zresztą przydarzało mu się dość często.

Ten komentarz zdegradował Linę do tego stopnia, że postanowiła od razu wracać do domu. Pod pretekstem, że boli ją głowa, poprosiła Siergieja, żeby ją odprowadził, jak tego wymagały elementarne normy dobrego wychowania. Kiedy zdała sobie sprawę, że Prokofiew prowadzi ją do najbliższej stacji metra, żeby ją tam zostawić, spojrzała na zegarek, a potem skierowała gniewny wzrok na Siergieja.

– Co ty wyrabiasz? – spytała go rozzłoszczona, a on nie uświadamiał sobie nawet, w czym problem. – Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? – Była tak urażona i rozczarowana, że miała ochotę natychmiast spoliczkować „bolszewickie dziwadło”, jak z uporem nazywała go Olga Niemyska. – Czy ty się spotykasz z kobietami, które nie wymagają od ciebie minimum dobrego wychowania?

Siergieja tak zaszokowały jej słowa, że przez kilka chwil nie był w stanie zareagować. Tymczasem Lina rzuciła się pędem w dół po schodach prowadzących do stacji metra, nie próbując ukryć wściekłości. Musiał zbiegać, przeskakując po kilka stopni naraz, żeby ją dogonić, złapać za ramię i zatrzymać.

– Rzeczywiście kretyń ze mnie.

Zauważył, że Linie zbiera się na płacz, i to całkowicie go rozbroiło. Choć nieraz wykazywał się brakiem taktu i grzeczności, uświadomienie sobie, do jakiego stanu doprowadził kobietę, która budziła w nim coraz silniejsze uczucie – jakiego do tej pory nie znał – było ponad jego siły.

– Wybacz mi, proszę.

Lina po raz pierwszy usłyszała, jak Siergiej prosi o przebaczenie, i nie mogła się oprzeć zdziwieniu, że z jego ust wyszły takie słowa. Nie pozostawało jej nic innego, jak

docenić ten bezprecedensowy fakt i przyjąć przeprosiny, czego zresztą tak naprawdę bardzo pragnęła. Wrócili na ulicę i oboje wsiedli do taksówki, w której Siergiej objął ją i powtarzał wielokrotnie te same słowa:

– Jestem kretynem. To się więcej nie powtórzy. Naprawdę kretyn ze mnie.

Od chwili, w której Prokofiew zawitał do jej świata i która miała odmienić jej życie, Linę dręczyła ciągła karuzela uczuć, których doświadczała. Próbowwała wyjaśnić sobie, czy te wszystkie emocje, zaburzające jej świadomość i pogrążające ją w zmysłowym transie, ilekroć przebywała w towarzystwie Siergieja, są związane z nim, czy z jego muzyką. Przez wiele dni starała się zrozumieć naturę tych dziwnych dreszczy, których nigdy wcześniej nie doświadczała. Próbowwała wyobrażać sobie Siergieja z dala od fortepianu i sal koncertowych, kiedy jego dłonie nie są zajęte zapisywaniem partytury ani też jego palce nie ślizgają się po klawiaturze z czułością i zawziętością, z jaką – jak podejrzewała – mogły też dotykać kobiecego ciała. Ale te eksperymenty myślowe wydały jej się śmieszne. Nie chciała przecież zadowolić się jedną częścią swoich doznań. Pragnęła wszystkiego, potrzebny jej był i ten mężczyzna, i jego muzyka, bo osobno nie dawało się ich zrozumieć.

Pragnęła spacerów po parku i zbierania liści, popołudniowej herbaty w restauracji Sherry's, dygresji na temat Freuda, podejmowanych przez Siergieja prób nauczania jej gry w szachy, a szczególnie jego ulubionego wariantu: obrony sycylijskiej – bardzo ryzykownej, w której chodzi o zniszczenie defensywy przeciwnika.

– Przesunięcie piona sprzed królowej o dwa pola naprzód to zasadniczy ruch w obronie sycylijskiej. To jest rozwiązanie agresywne, silne, bo jeśli dojdzie do wymiany i zbitia białego piona sprzed królowej, czarne piony nadal będą brały udział w grze w centrum, podczas gdy białe pozostaną słabe. – Lina przytakiwała w milczeniu; uwielbiała obserwować Siergieja wykazującego taką pasję wobec czegoś, co nie było fortepianem. Ale wolała unikać udziału w sytuacjach, kiedy w geniuszu budziło się szaleństwo, którego miała być jedynym świadkiem. Pewnego popołudnia Prokofiew pomógł jej wysiąść z taksówki, która przywiozła ją pod adres wskazany przezeń dzień wcześniej. Bez zbędnych ceregieli zadał jej pytanie:

– Podarujesz mi czternaście minut swojego życia?

Pytanie zaniepokoiło ją, ale nie tak jeszcze jak to, co przeżyła chwilę później, wchodząc do budynku z czerwonej cegły, w którego wnętrzu krył się stary, opuszczony teatr. Nie potrafiła zgadnąć, o którą ze scen chodziło, nigdy nie była w tym miejscu, nie знаła też zbyt dobrze okolicy, w jakiej się teraz znalazła. Siergiej poprosił, żeby zajęła miejsce w zupełnie pustej sali teatralnej. Scena była zasłonięta czerwoną kurtyną. Dobiegały zza niej jakieś dźwięki, które ktoś niezdarnie próbował uciszyć. Siergiej, usadowiwszy się w fotelu tuż za nią, spytał, czy pozwoli sobie zawiązać oczy. Poważnie już zaniepokojona Lina odmówiła.

– W takim razie jestem zmuszony ci zaufać. Zamknij oczy i nie otwieraj, aż cię poproszę.

– Ale przecież nic nie zobaczę – poskarżyła się.

– Nie ma nic do oglądania. Tylko słuchaj – powiedział i uśmiechnął się, widząc uległość, z jaką młoda kobieta ustąpiła.

Rozległy się pierwsze akordy *I Symfonii D -dur*, której kompozytor nadał nazwę *Symfonii klasycznej*. Podczas gdy świat wykrwawiał się w zmaganiach wielkiej wojny, Prokofiew spędził lato 1917 roku w wiejskim domu niedaleko Piotrogradu, w wyłącznym towarzystwie Immanuela Kanta i z jednym, obsesyjnie brzmącym w głowie pomysłem muzycznym. Był u progu stworzenia czegoś całkiem odmiennego, nawet nie korzystał z fortepianu przy komponowaniu. Spędził mnóstwo dni z pomysłem napisania symfonii w stylu Haydna, o klasycznym układzie i dużo prostszej niż inne jego utwory. Zrobił to w pamięci, nie słuchając ani jednej nuty z tego, co zapisał na pięciolinii. Wszystko działo się w jego głowie, w której były też instrumenty: smyczki, drewniane, dęte... Ta płynąca z niego prostota wydała mu się ciekawą prowokacją i z rozbawieniem myślał o konsternacji, jaką wywoła.

I teraz oto Lina wysłuchiwała czterech części utworu skomponowanego w stylu klasycznym, od którego Prokofiew zazwyczaj tak uparcie uciekał. *Allegro*, *Larghetto*, *Gavotta* i *Finale molto vivace* wywarły przemożny wpływ na rytm uderzeń jej serca i wypełniły ją emocjami o takiej intensywności, jakiej rzadko doświadczała. Nie była w stanie odzyskać równego oddechu. Uznała, że najprawdopodobniej wysłuchiwała najpiękniejszej muzyki, jaką miała okazję poznać w życiu. Kiedy orkiestra przestała grać, cisza wydawała się jednocześnie grzmiąca i pusta, wydrażona i nabrzmiała, boleśnie intrygująca. Głos Siergieja przerwał ten gęsty stan bezdźwięczności, który zapanował we wnętrzu teatru.

– Gdyby Haydn żył, taka byłaby jego nowa symfonia.

Spojrzał na Linę i zauważył, że wciąż pozostaje pod urokiem tego, co właśnie usłyszała. Miała otwarte oczy, nie potrafiła opanować łez. Nie wiedziała, jak przyswoić piękno tej muzyki. Symfonia wprowadziła ją w takie emocje, że przez gardło nie chciały jej przejść żadne słowa. Siergiej doprowadził do tego, że ta kobieta o twarzy anioła nie tylko stała się jego muzą, ale też najbardziej oddaną wielbicielką; było to dla niego źródłem ogromnej satysfakcji.

– Powiniennem był zawiązać ci oczy – powiedział z ironią, stwierdziwszy, że nie dotrzymała obietnicy dotyczącej opuszczonych powiek. – W przyszłości trudno mi będzie ci zaufać.

Kiedy skierowali się ku tylnej części sceny, być może pod wpływem panującej tam ciemności, Lina pokonała swoje własne opory, którym za radą matki pozostawała wierna przez kilka miesięcy, i nachyliła się powoli ku Siergiejowi. Ten przyjął zawarte w tym geście zaproszenie bez najmniejszego sprzeciwu, wręcz odwrotnie... Lina musiała odreagować to wszystko, czego za sprawą Siergieja właśnie doświadczyła. Pocałowała go, zamknąwszy oczy, tak jak sobie obiecywała, słuchając *Symfonii klasycznej*. Był to ich pierwszy pocałunek po sześciu miesiącach spotkań. Siergiej wyczuł na wargach Liny słony smak łez.

Oboje wielokrotnie i na różne sposoby wyobrażali sobie ten moment, ale nie tak: nie jako akt niemal konspiracyjny, dokonany na zapleczu starego teatru i pod osłoną ciemności, która okazała się idealnym sprzymierzeńcem ich ust, mogących wreszcie powiedzieć sobie to, co oboje uciszali przez długie miesiące. Rzeczywistość dorównała oczekiwaniom, jakie żywili w swoich umysłach, a nawet je przerosła. Żadne z nich

dwojga nie spieszyło się z oderwaniem się od drugiego, jakby wokół nich zatrzymał się czas i jakby istnieli tylko oni. Oboje czuli, co to jest pierwszy pocałunek; w przypadku Liny nie było to tylko odczucie, ale rzeczywistość. Siergiej był pierwszym mężczyzną, którego pocałowała w ten sposób, bez pośpiechu, bez lęków, pragnąc tego naprawdę i nie zastanawiając się, co będzie potem. Jego zaś bawiła ta scena i pozwolił Linie – co zdarzało się rzadko w przypadku jego poprzednich podbojów – grać w niej, przynajmniej na początku, główną rolę. Nie spodziewał się tak wylewnej reakcji ze strony osoby, która wielokrotnie wykazywała nieśmiałość i rezerwę, ale i ona nie spodziewała się tych czternastu minut życia, które właśnie zgodziła się podarować Siergiejowi. Lina nie miała wątpliwości: potrzebowała ich obu, Siergieja i Prokofiewa, w takim samym stopniu.

Po kilku dniach założyła szynszylowe futro, które tak bardzo podobało się Siergiejowi, niedawno kupione czarne buty na obcasach, a głowę owinęła elegancką, jedwabną, cynobrową chustą. Miała nadzieję, że ta ostatnia część garderoby pozwoli jej – po przekroczeniu progu hotelu Calumet – przejść bez zwracania na siebie uwagi recepcjonisty. Wiedziała, że chodzi o skomplikowane przedsięwzięcie, bo należała do młodych kobiet przyciągających urodą i elegancją wszystkie spojrzenia. Dotarła do pokoju Siergieja, drżąc – nie wiedziała, czy ze wstydu, ze strachu, czy z niepokoju o to, że ktoś mógł ją rozpoznać, kiedy wchodziła do hotelu. Jej drżenie nie uszło uwadze Siergieja, który przez cały czas zdawał sobie sprawę, jak wielką wagę ma dla niej krok, na który się zdecydowała, ulegając jego uporczywym namowom. Tym razem to on przejął inicjatywę, delikatnie i zręcznie prowadził ją przez wszystkie etapy nieoczekiwanego debiutu, który miał się dokonać tego popołudnia. Przyglądał się jej przez kilka chwil, jakby wciąż nie wierzył, że ta piękna kobieta – wyglądająca w tej chwili raczej jak przestraszone dziecko, mające wkroczyć na nieznaną teren – rzeczywiście przed nim stoi. Lina odłożyła torebkę i okulary na jedną z szafek i zabrała się do zdejmowania jedwabnej chusty, która nadal zakrywała jej głowę.

– Zostaw to mnie – poprosił ją Siergiej.

Jego palce powoli rozwiązały węzeł chusty, a potem pozwoliły jej opaść na podłogę. Zaczął delikatnie całować Linę, jego usta wolno przesuwają się po jej policzku, szyi, odnalazły płatek ucha, wyszeptaly tam coś, od czego oddech Liny przyspieszył. Siergiej nie chciał jej poganiać, bał się, że zbyt gorączkowe działanie może ją wystraszyć i skłonić do ucieczki. Ale Lina nigdzie nie miała ochoty iść, sądząc po drżeniu, które stopniowo ją przenikało, w miarę jak ręce Siergieja zaczynały docierać do zakątków jej ciała, o których nawet ona sama nie wiedziała, i kreślić mapę całkiem nowych zmysłowych doznań. To on nadawał rytm, w końcu był specjalistą. Ona na razie zachowywała się jak widz, pozwalając nieść się fali i akceptując potulnie to, co miało się wydarzyć.

– Jesteś pewna? – spytał, bardziej z obowiązku niż z prawdziwego przekonania.

– Nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna – odpowiedziała, nie przestając mu się przyglądać. Przez chwilę wydawało się, że powie coś jeszcze, w końcu wszelkie słowa pozostały zamrożone na jej wargach.

– Bądź spokojna – próbował ułagodzić ją Siergiej, wyczuwając lęki, które musiały pojawiać się w jej umyśle. – Zaufaj mi.

I tak zrobiła. Zaufała mu, szła jego śladem, była posłuszna jego prośbom, gestom, słowom – aż nadeszła chwila, w której zaczęła się zachowywać tak, jak dyktowały jej emocje doświadczane za jego sprawą. Bała się otworzyć oczy, bo nie chciała stwierdzić, że wszystko było tylko snem, że najszczęśliwszy moment jej życia był wytworem fantazji, że miała do czynienia z jeszcze jednym nocnym marzeniem sennym – takim jak zwykle, gdy gasło światło i wyobraźnia przejmowała kontrolę nad umysłem. Głos Siergieja przełamał także tę barierę strachu.

– Otwórz oczy, Lina – poprosił, kiedy ich ciała przylgnęły do siebie.

– Dlaczego? – spytała, jakby nie miała ochoty na przyglądanie mu się.

– Bo chciałbym, żebyś na mnie spojrzała i zobaczyła mężczyznę, który będzie cię kochał najbardziej ze wszystkich, których spotkasz.

– Ale do tego nie potrzebuję na ciebie patrzeć. Widzę cię nawet wtedy, kiedy mam zamknięte oczy.

Ręce Siergieja były obdarzone zdolnością docierania do miejsc, których nie poznał nikt przed nim, dotykania regionów niedostępnych dla innych rąk poza jej własnymi. Potrafiły wydobywać z niej dźwięki nigdy wcześniej niesłyszane, ukryte w krtani Liny i czekające, aż ktoś je wyzwoli i idealnie wymoduluje. Nie mogła przestać się zastanawiać, czy i Steinway czuje coś podobnego, kiedy palce Prokofiewa biegają po jego klawiaturze. Teraz lepiej rozumiała dygot, szaleństwo, namiętność i życie, które tkwiły w jego nutach. Nie mogło być inaczej.

Godziny biegingy tak szybko, że popołudnie niepostrzeżenie przeszło w wieczór.

Kiedy Lina wychodziła z hotelu, uświadomiła sobie, że nieustannie się uśmiecha, niemalże nie zdając sobie z tego sprawy. Czuła, że jej związek z Siergiejem się umocnił, i to nie tylko przez nową intymność i jedność ciał. Nie chodziło wyłącznie o związek fizyczny, ale o coś dużo głębszego. Miała poczucie, że nie są już dwiema osobnymi i niezależnymi istotami, że narodziło się między nimi coś, dzięki czemu pozostaną połączeni i trudno będzie ich kiedykolwiek rozdzielić.

Po raz pierwszy w życiu robiła takie rzeczy. Coś jej mówiło, że nie po raz ostatni.

Ich romans nadal miał nieco konspiracyjny charakter. Zwykle woleli zachowywać dyskrecję, żeby uciszyć złe języki. Ale pewnego dnia Siergiej zaskoczył Linę niezwykłą propozycją: chciał, żeby poszli na koncert Siergieja Rachmaninowa. Oznaczało to publiczne pokazanie się razem – choć chodziło wyłącznie o wydarzenie muzyczne.

Oldze to wyjście nie wydawało się stosowne. Uważała je za krok przedwczesny, choć para spotykała się już od miesięcy w domu Stahlów, nie licząc wielu innych wycieczek, których Lina postanowiła nie ujawniać matce, aby uniknąć napięć. Ta zawsze jednak podejrzewała, że instynkt macierzyński jest lepszym źródłem informacji niż słowa córki.

– Pamiętaj, że wciąż nie jesteście zaręczeni, w żaden sposób nie sformalizowaliście swoich relacji. On cię jeszcze nie poprosił o rękę. Czyżbyś nie czytała gazet? Nie widziałas zdjęć, na których pokazywał się z tą Stellą Adler, nie mówiąc o wielu innych?

Samo nazwisko tej kobiety było powodem zdenerwowania Liny. Traktowała ją jako swoją najgroźniejszą rywalkę i rzeczywiste zagrożenie dla jej własnego, rodzącego się dopiero, ale obiecującego związku z Siergiejem. Nie lubiła panny Adler, kobiety,

z którą widywano Prokofiewa w czasach, zanim w jego życiu pojawiła się Lina. Choć w wypadku Stelli większe znaczenie mogły mieć motywacje zawodowe niż nadzieje na potencjalny romans z Siergiejem, ta kobieta lubiła pojawiać się w pobliżu Siergieja i znikać. Irytowało to Linę i wywoływało jej zazdrość, Prokofiew natomiast zdawał się w ogóle tego nie zauważać. Początkowo wręcz go cieszyła ta miłosna dwoistość.

– Krążę między Liną a Stellą jak Ziemia między Księżycem a Słońcem – wyznał kiedyś swojemu przyjacielowi, Aleksiejowi.

Ten damski kosmos oślepił go do tego stopnia, że pewnego dnia wysłał każdej z kobiet kosz róż, tyle że popełnił straszny błąd i pomylił dołączone bileciki. Zrozumiał wtedy, że nie chce utracić Liny i że Stella pozostanie dla niego niedająca się okiełznać tajemnicą, której nigdy nie zdoła rozszyfrować z braku czasu i cierpliwości. Ale to było za mało, żeby przekonać Olgę, upierającą się, że należy sformalizować relację, która powoli stawała się już tematem rozmów w artystycznych kręgach nowojorskiej socjety.

– Wiem, że chcesz iść z nim na ten koncert. Ale jeśli to zrobisz, wszyscy zobaczą was razem w miejscu publicznym i twoja reputacja będzie splamiona. A takie plany bardzo trudno jest potem wyczyścić.

– Mamo, proszę cię, to koncert Rachmaninowa – błagała ją Lina niemal ze łzami w oczach, widząc, że przywiązanie matki do dobrych obyczajów stanowi zagrożenie dla planowanego wieczoru, który podświadomie zdążyła już wyidealizować. – Przecież chodiliśmy wspólnie wiele razy, żeby go posłuchać. Nie pamiętasz, co mi powiedział w dniu, kiedy nas sobie przedstawiono? Że jestem bardzo dobrze wychowaną młodą kobietą. To były jego słowa.

– Właśnie dlatego nie chcę, żeby jego opinia na twój temat zmieniła się z powodu jednego niefortunnego wyjścia.

Choć matka wielokrotnie ją irytowała, Lina rozumiała jej troskę i ciągle zwracanie uwagi na rolę wizerunku publicznego, prestiżu i opinii, na które każdy zapracowuje swoim postępowaniem. Musiała zachować ostrożność, unikać złośliwych plotek rozpuszczanych przez ludzi. Nie chciała stać się zwykłym kaprysem i przejściową rozrywką modnego muzyka, jego chwilową towarzyszką. Prokofiew zaczynał być sławną osobistością, uznaną i rozpoznawaną, a to zawsze przyciągało uwagę osób głodnych sławy i męskiego towarzystwa, choć – jak sam zauważył kiedyś z sarkazmem – „sławny kompozytor ma zazwyczaj w kieszeni ledwie trzy dolary”. Nietrudno było go zobaczyć w towarzystwie kobiet, które próbowały go uwodzić. Ale on nigdy nie wykazywał podobnej aktywności. Vera Janacopoulos wyznała kiedyś:

– To rosyjskie dziwadło nie ma ani ochoty, ani czasu na zalecanie się. Chociaż ostatnio wydaje się, że czyni pewien wyjątek – powiedziała, najwyraźniej robiąc aluzję do Liny, która zaczerwieniła się, słysząc te słowa; nie potrafiła zapanować nad tym odruchem.

Nawet jej ojciec, Juan Codina, który rzadko wtrącał się w wychowanie córki, czuł się w obowiązku interweniować.

– Matka ma rację. Pan Prokofiew powinien zrozumieć, że pochodzisz z dobrej rodziny. Trzeba zwracać uwagę na takie rzeczy i od początku stawiać sprawy jasno, żeby unikać nieporozumień, które w przyszłości mogą stać się źródłem sporów.

– Juan, proszę cię, nie wyjeżdżaj mi znowu z tym błogosławionym dziedzictwem królów polskich w rodzinie mojego ojca, dobrze? – rzekła Olga zmęczonym tonem, obawiając się kolejnych odniesień do dziadka Władysława, na temat którego Juan lubił ironizować przy każdej okazji. – W tym momencie chyba bym tego nie zniosła.

– Ależ nie, kobieto, mam na myśli siebie. Zawsze zapominasz, że mój kraj był kiedyś imperium. – Juan puścił oko do córki, która nieraz już słyszała podobne spory między rodzicami. – Olga, nie złość się, proszę. Lepiej rozmawiać o tym, niż wspominać, jak wujek naszej córki, inżynier, zaraził się malarią, kiedy układał kabel na dnie bagna, nie sądzisz?

Lina uwielbiała ojca. Czowała się z nim silnie związana, chociaż fizycznie bywali oddaleni, z powodu licznych artystycznych zajęć.

Ale mimo szacunku, jaki żywiła dla rodziców, w tej chwili liczyło się dla niej jedno: żeby mogła przyjść na koncert Rachmaninowa wsparta na ramieniu Siergieja i po raz pierwszy wystąpić z nim publicznie jako para. Niemniej okazało się, że nie można wyciszyć echa słów matki, szczególnie kiedy najmłodsza córka kompozytora *Wyspy umarłych*<sup>2</sup> zbliżyła się do Liny, żeby się przywitać, i z pewnością siebie pasującą do nastolatki spytała:

– Państwo planują ślub?

W tym momencie Lina dziękowała Bogu, że nie ma przy niej Olgi.

Lina stopniowo stawała się niezbędną częścią życia Siergieja. Oboje karmili się sobą wzajemnie, a rezultaty zawsze były korzystne dla niego i dla niej. On starał się wspomóc ją w karierze artystycznej. Podobał mu się jej głos, który miał przyjemne brzmienie lekkiego sopranu i pewne subtelności, które odpowiednio ćwiczone powinny pozwolić jej zabłysnąć. Ona z kolei oddawała mu do dyspozycji swoją wiedzę, i to nie tylko muzyczną. Dzięki talentowi do języków obcych i doświadczeniu tłumaczki nie sprawiało jej kłopotu przekładanie librett pisanych dla Siergieja, które zwykle ukazywały się po rosyjsku albo po francusku.

Ale wkład Liny w ich życie sięgał znacznie dalej. Nie wiedziała, w którym momencie do tego doszło, ale jej obecność stała się niezbędnym źródłem energii potrzebnej Prokofiewowi do tworzenia. Widział w niej swoje najprawdziwsze źródło natchnienia, i to pomimo ustawicznego krzątania się wokół niego wielu innych kobiet pragnących odegrać tę rolę. Zaczął ją nazywać Ptaszkiem, co nawiązywało do określenia *żar-ptica*, które w folklorze rosyjskim odnosi się do ptaka o pięknych, lśniących piórach, powstałego z magicznego ognia, przybyłego z dalekich krain i niosącego jednocześnie błogosławieństwo i przekleństwo temu, kto zdoła go złapać. Wkrótce zaczynał tym czułym zdrobnieniem wszystkie listy do niej. Dawała mu siłę moralną, której potrzebował, kiedy sprawy nie szły tak, jak oczekiwał, bo przeżywał chwilowy kryzys twórczy albo odwoływano premierę któregoś z jego utworów.

– Diagilew odrzucił twoją *Suitę scytyjską*? Nieważne, usiądź do fortepianu i skomponuj mu nową – powiedziała kiedyś z taką pewnością siebie, że Siergiej natychmiast zaczął pisać balet *Blazen*.

– Premiera *Miłości do trzech pomarańczy* się opóźnia? To dobry moment, żebyś napisał coś inspirowanego powieścią tego młodego poety, który ci się tak spodobał,



Walerija Briusowa – powiedziała kiedy indziej, mając na myśli książkę *Ognisty anioł*, skomplikowaną opowieść o opętaniu przez diabła, czarnej magii i torturach hiszpańskiej inkwizycji. – I co z tego, że mistycyzm i religia to nie są twoje specjalności? Ale namiętność już tak, podobnie jak ludzkie uczucia bólu i goryczy. Jesteś Prokofiewem. Zdaj sobie z tego sprawę, a reszta przyjdzie sama.

Lina zawsze miała przygotowane właściwe słowa, precyzyjne argumenty. Siergiej potrzebował tego, by wydobyć się z otchłani, w którą zwykły go wtrącać wszelkie życiowe komplikacje. Lina lubiła czuć się niezbędną. To sprawiało jej przyjemność.

Stała się ekspertem w dziedzinie zarządzania charakterem geniusza, w którego nieuchronnie przekształcał się Prokofiew. Bezbłędnie rozpoznawała jego obsesje i podchodziła do nich z niezbędnym zrozumieniem. Na przykład wtedy, gdy upierał się, żeby zliczać wszystkie telefony odebrane po koncercie i w ten sposób mierzyć odniesiony sukces, albo analizował natężenie aplauzu publiczności, rozważając jednocześnie, jakie czynniki zewnętrzne mogły wpłynąć na rezultat: rękawiczki na dłoniach kobiet mogące tłumić klaskanie, dzień tygodnia, w jakim odbywał się koncert, wiek, płeć i pozycja społeczna słuchaczy, pogoda panująca na zewnątrz sali koncertowej... Dla niego nie były to dziwactwa ani manie, ani ekstrawagancje miłości własnej artysty, tylko zmienne, które mogły wpłynąć na sukces jego dzieła i co za tym idzie, na niego samego. Lina nauczyła się odczytywać znaczenie rumieńca, który pojawiał się na jego obliczu, kiedy sprawy nie szły tak, jak Siergiej sobie tego życzył, albo kiedy czuł się odrzucony przez jakiegoś impresaria lub kobietę i zaciskał szczęki, napinając wszystkie mięśnie twarzy. Jego reakcje fizyczne, których nawet on sam nie kontrolował, były dla niej jak otwarta książka. Umiała rozszyfrować jego spojrzenia, kiedy je rzucał z krainy wspomnień, w której chwilowo przebywał, albo kiedy była w nich gorączka poprzedzająca narodziny nowego utworu. Potrafiła rozróżniać mowę jego oczu, kiedy przekazywały gniew, strach, radość, ból albo kiedy rozbłyskiwał w nich szary, świetlisty odcień, zwiastując zażartą obronę czegoś, co Siergiej uważał za swoje. Był to ulubiony odcień Liny, ponieważ ukazywał bez żadnych złudzeń mężczyznę ukrytego pod maską dziecka. Rozumiała długie okresy jego milczenia, jego ucieczki w samotność, kiedy wzrok Siergieja przykuwały nuty stojące na fortepianie Steinwaya, na który przerzucał w sposób niemal chorobliwy wszelką muzykę, jaką podsuwał mu umysł i jakiej czasami nie był w stanie przetwarzać z dostateczną prędkością.

Lina potrafiła usmierzać niepokoje i niepewność tego genialnego człowieka za pomocą cierpliwości, której brakowało jej podczas własnych lekcji śpiewu. Kierowała nim delikatnie, ale stanowczo, tknęła wytrzymałą, choć cienką jak pajęczyna sieć, która miała amortyzować ewentualne upadki. A Siergiej umiał okazywać jej wdzięczność – na swój sposób. Pewnego dnia postanowił zaprezentować jej swój liryczny utwór *Miłość do trzech pomarańczy*. Pomysł był rezultatem jego przyjaźni z dyrygentem Cleofontem Campaninim. W pierwszej chwili Prokofiew pomyślał, że ma idealną okazję, żeby wystawić operę *Gracz*, którą napisał przed laty na podstawie powieści Fiodora Dostojewskiego i z której był szczególnie dumny. Jednak nie był w stanie zrealizować tego marzenia, ponieważ zapis partii orkiestry zostawił w Rosji i nie miał sposobu, by go odzyskać. Nieskory do poddawania się przeciwnościom losu – i jak zawsze przy wsparciu

Liny – skoncentrował się zatem na opowieści, o której myślał już od lat: *Miłości do trzech pomarańczy*, operze satyrycznej opartej na bajce napisanej przez Włocha, Carla Gozziego. Historia wydawała się nieco absurdalna: młody książę, syn Króla Treflowego, został zczarowany przez złą wiedźmę Fatę Morganą, która nakazała mu wędrówkę po świecie w poszukiwaniu trzech pomarańczy. W owoce w istocie zaklęte były trzy księżniczki. W trzeciej z nich książę znalazł swoją wielką miłość.

– Chciałbym, żebyś pomogła mi przetłumaczyć to na angielski – poprosił Linę. – Vera Janacopoulos zobowiązała się to zrobić, ale jest za bardzo zajęta swoimi występami. Poza tym ty lepiej znasz język. Istnieje możliwość wystawienia opery w Covent Garden w Londynie i byłoby idealnie mieć przekład libretta. Oczywiście zapłacę ci za to. – Lina uśmiechnęła się, nie do końca wiedząc, czy robi to na myśl o obiecany wynagrodzeniu, czy o zaufaniu, jakim obdarza ją Siergiej, zwracając się właśnie do niej z takim zleceniem. – To jeszcze nie wszystko. Chciałbym, żebyś zapomniała o jednej z pomarańczy, o księżniczce Violetcie, bo zniknie z tej opowieści.

Lina okazała zdziwienie, unosząc brwi i szeroko otwierając oczy. Nic nie rozumiała. Chodziło o pierwszą z trzech pomarańczy pojawiających się w bajce.

– Od teraz otrzyma imię księżniczki Linetty. – Ta zapowiedź sprawiła, że twarz Liny rozjaśniła się: jej własne imię miało zostać nadane jednej z postaci opery. – Kochanie, w ten sposób właśnie weszłaś na scenę.

Kiedy Lina dotarła do domu, nie mogła się powstrzymać przed opowiedzeniem wszystkiego matce. Sławny Prokofiew nadał jej imię jednej z postaci ze swojego nowego dzieła. Jak zwykle Olga nie omieszkała wylać jej na głowę wiadra zimnej wody.

– Nie bądź naiwna. Obiecał ci to, żeby zrobić dobre wrażenie.

– Mamo! – Lina zaprotestowała w dziecięcy sposób. Nawet się nie rozgniewała. Była zbyt podniecona, żeby się rozzłościć.

– Zaczekaj, aż to zostanie napisane i wystawione. Wtedy porozmawiamy. Poza tym księżniczka Linetta umiera z pragnienia. Czy nie byłoby lepiej, żebyś zastąpiła księżniczkę Ninette?

– No, nie wiem, przecież ona się zamienia w ogromnego, włochatego szczura.

– Tak, ale wychodzi za mąż za księcia.

– Mamo, to jest bajka...

– Wiem. Ale pamiętaj, że czasem bajki stają się rzeczywistością. Zapomniałaś już o tych, które opowiadała ci babcia, kiedy byłaś mała?

Lina wiedziała, że w gruncie rzeczy matka uwielbia Siergieja, choć głównie chodziło o to, że nie sposób było go nie uwielbiać, jeśli posłuchało się jego muzyki. Zresztą oboje uwielbiali się wzajemnie i szanowali swoje osiągnięcia artystyczne. Co więcej, ukochany Liny zniósł próbę ognia pierwszego spotkania z Olgą, próbę zakończoną jego zdecydowanym sukcesem – mimo że matka dzień w dzień dokładała wszelkich starań, żeby ukryć to przed córką. Nie chciała ani osłabiać własnej czujności, ani żeby Lina uznała to za dowód słabnięcia troski, którą w Oldze wciąż wywoływał ten związek. Podczas pierwszego spotkania Siergiej i Olga, zjednoczeni wspólną namiętnością do muzyki oraz skrywaną tęsknotą za ojczyzną, rozmawiali o przyszłości nowych lokatorów Kremla i o wyniszczającej Rosję wojnie domowej toczony przez

Czerwonych i Białych. Oboje zrozumieli wówczas, że wspólny ból odczuwany na odległość może ludzi łączyć mocniej niż wspólna radość przeżywana z bliska.

<sup>2</sup> Poemat symfoniczny Siergieja Rachmaninowa.

Było zimno i robiło się późno. Szarawe ulice Nowego Jorku z wymuskanymi jezdniami usłane były po bokach licznymi kopczykami śniegu, które rozświetlały asfalt do chwili, gdy ich blask gasł, zduszony przez mieszaninę błota, oleju i samochodowych spalin.

„Jak krótko żyją spadające z nieba kryształki, gdy dotrą na ziemię” – myślała często Lina, widząc, jak znikają kruche, białe kopczyki, które tworzyła zamrznięta woda po wydostaniu się z chmur.

Jej drobne ciało nie znajdowało dostatecznej ilości upragnionego ciepła pod osłoną nowego, perłowszarego futra, które dostała w prezencie od matki i które dziś postanowiła po raz pierwszy włożyć. Umówiła się z Siergiejem w jednym z ich ulubionych miejsc, w gmachu Woolwortha – wówczas, w 1919 roku, najwyższym drapaczu chmur na świecie.

Przychodząc na miejsce spotkania, Lina drżała. Z trudem udało jej się opanować dygotanie ciała, miała zgrabiłe ręce, chociaż chroniła je futrzanymi rękawicami, które jednak okazały się bardziej dekoracyjne niż skuteczne. Zmarzły jej też usta, co utrudniało wyraźną mowę, a czubka własnego nosa prawie w ogóle nie czuła: jego czerwony kolor sprawiał, że twarz dziewczyny nabrała dziecinnego wyrazu.

– Czasami zapominasz, że pochodzę z Hiszpanii, z kraju, w którym zawsze świeci słońce, a temperatura nie jest torturą, tylko ciepłą pieśczęcią. Rozumiem, że nie masz pojęcia, co oznacza to przyjemne uczucie, ale byłoby wspaniale, gdybyś brał to pod uwagę, jeśli nie chcesz, żebym umarła z wyziębienia. Potrzebuję gorącej kawy z mlekiem. Zobaczymy, czy zdoła mnie przywrócić do życia. – Lina zdała sobie sprawę, że jak dotąd nie pozwoliła powiedzieć ani słowa Siergiejowi, który przyglądał się jej z rozbawieniem, czekając na odpowiedni moment, żeby coś wtrącić. Znała go. Coś się z nim działo. Miał jej coś do powiedzenia, ale nie znajdował sposobu, jak to zrobić. Umiejętność wykorzystywania sposobności nie należała do jego mocnych stron, ale w tej niezręczności tkwiła część jego uroku. Nikły uśmiech na twarzy i szelmowski blask jego spojrzenia pozwalały Linie spodziewać się dobrych wiadomości.

– Chciałbym, żebyś poszła ze mną do klubu Bohemians na kolację, która będzie wydana na cześć pianisty Harolda Bauera. To przyjęcie galowe. – Pełen ekspresji wzrok Liny rozjaśnił się bardziej niż zwykle, a uśmiech zakwitł na jej twarzy niczym kwiat. Siergieja ten uśmiech zachwycał – zawsze świeży i radosny, wyglądał, jakby dopiero debiutował, jakby do tej pory Lina przechowywała go w stanie dziewiczym, nie używając ani razu, w oczekiwaniu na kogoś, komu objawi go po raz pierwszy. – Posadzą nas przy honorowym stole, więc tym bardziej musisz się zrobić na bóstwo, bo wszyscy będą na ciebie patrzeć – powiedział jak wytrawny pochlebca.

Początkowa radość, która na kilka chwil odjęła Linie mowę, przekształciła się w smutek, który pojawił się na jej twarzy. W co ma się ubrać? Właśnie ta troska zdołała przyćmić jej zadowolenie. Nie miała żadnej wieczorowej sukni, w każdym razie dostatecznie efektownej, by mogła ją włożyć na tak wyjątkową i ekskluzywną okazję.

Miała iść na pierwsze w swoim życiu galowe przyjęcie i traktowała je jak próbę ogniową. Po raz pierwszy Siergiej poprosił ją, żeby poszła z nim na wydarzenie tej rangi, trzymając go pod ramię jako jego oficjalna partnerka. Wyjście na koncert Rachmaninowa było czymś innym. Klub Bohemians to znacznie trudniejsze wyzwanie, wymagające innego zachowania. Nie wiedziała, czy bardziej ekscytuje ją możliwość uciszenia złych języków, czy perspektywa udziału w zdarzeniu, w którym wielu chciałoby uczestniczyć, nawet za wysoką cenę. Musiała wypaść doskonale – sama dla siebie, ale przede wszystkim dla Siergieja; tak przynajmniej czuła.

Olga potraktowała brak odpowiedniej sukni jako idealny pretekst, żeby wybić córce z głowy pomysł uczestnictwa w kolacji. Myliła się jednak, sądząc, że to wystarczy. W obliczu jednego z najważniejszych wyzwań jej życia – porównywalnego z czekającym ją pewnego dnia występem jako Gilda w *Rigoletcie* Verdiego czy Liu w *Turandocie* Pucciniego – Lina nie zamierzała się poddać z powodu takiego drobiazgu jak suknia. Jeśli to będzie konieczne, sama ją sobie uszyje.

Ratunek przyszedł za sprawą Very Janacopoulos, która pojawiła się w ich domu z kreacją mającą przemienić Linę w Kopciuszka w wersji balowej. Wybrała dla niej suknię z lamy w kolorach różu i srebra; tkanina, wyglądająca jak płynny metal, jeszcze bardziej podkreślała wspaniałą figurę młodej kobiety. Lina prezentowała się w niej zjawiskowo, promieniowała światłem, młodością i urodą. Wyglądała na aktorkę, która ma w sobie tyle uroku, że absolutnie nie musi go zazdrościć największym współczesnym gwiazdom kina, takim jak Clara Bow czy Gloria Swanson.

Kiedy matka zobaczyła ją, stojącą na środku salonu, nie mogła powstrzymać się przed zadaniem pytania:

– Naprawdę zamierzasz iść pod rękę z tym człowiekiem? – Olga zmuszała się, żeby nie przyznać, jak piękna jest jej córka.

– Mamo, proszę cię, tam będzie wielu innych muzyków. To wieczór ściśle artystyczny. Nic się nie wydarzy. Zaufaj mi.

– Ale nie mogę zaufać ludzkim językom. Co sobie ludzie pomyślą? Będą sądzić, że jesteś jedną z jego wielu towarzyszek. Nie jesteś jego narzeczoną ani żoną, nawet się z nim nie zaręczyłaś! Pomyśl o tym, przecież będą mówić, że jesteś kolejną młodą kobietą lekkich obyczajów. – Olga miała świadomość, że ten komentarz, choć podyktowany przez rozsądek, jest w przypadku jej córki niesprawiedliwy.

– Wiesz, że jeśli mi nie pozwolisz, to nie pójdę – wyznała Lina, świadoma, co ryzykuje, składając taką deklarację. – I wiesz także, co to dla mnie oznacza. Wszystko zależy od ciebie.

Chwilę później dzwonek do drzwi przerwał ciszę, jaka zapadła w mieszkaniu. Przeszedł Siergiej, który nawet nie próbował ukryć wrażenia, jakie robiła na nim uroda Liny. Kiedy zdołał się już otrząsnąć, stwierdził, że wyraz twarzy Olgi Niemyskiej nie wróży nic dobrego.

– Chcę, żebyś ją odprowadził do domu nie później niż o dwunastej. – To polecenie zabrzmiało bardziej jak groźba niż cokolwiek innego, szczególnie gdy uznawszy, że to nie powinno być jej ostatnie słowo, Olga dodała: – Nie! O wpół do dwunastej.

– Wróci do domu o jedenastej. Daję pani słowo – przyrzekł Siergiej.

– Tak będzie dla ciebie lepiej. Bo inaczej sama pójde jej poszukać... Jej i ciebie.

Lina była bardzo zdenerwowana. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że znalazła się w centrum uwagi zgromadzonych i że przyciąga wszystkie spojrzenia, które można było podzielić mniej więcej po połowie: jedne wyrażały głęboki podziw mężczyzn, inne zazdrość kobiet. Atrakcyjność młodej Hiszpanki stawała się powoli tematem szeroko omawianym w nowojorskich artystycznych kręgach. Wszyscy pragnęli poznać tę kobietę, przyjrzeć się południowej urodzie charakterystycznej dla jej rasy: czarnym włosom elegancko poskręcanym w loki, czarnym oczom w kształcie migdałów, delikatnym rysom, nieco kanciastym, ale łagodnym, dzięki którym wyglądała równie pięknie i z makijażem, i bez niego, idealnej sylwetce – wąskiej w talii, harmonijnej i proporcjonalnej, choć drobnej i podwyższonej zwykle przez odpowiedni dobór butów na obcasie, które podkreślały urok jej figury. Wiele osób marzyło, by mieć okazję porozmawiania z tajemniczą Hiszpanką, a także posłuchać jej wokalnych występów, do których tak starannie się przygotowywała. Znajomość aż pięciu języków, świetne maniery, ujmujące zachowanie – choć zawierające rozkoszną domieszkę nieśmiałości, przez niektórych mylnie branej za naiwność – a także talent muzyczny i upodobanie do sztuki czyniły z niej idealną uczestniczkę i główną atrakcję wszelkich ważnych i modnych uroczystości.

Lina z przyjemnością rozmawiała o muzyce wielkich współczesnych kompozytorów, na przykład o pomnikowej *V symfonii cis-moll* Gustava Mahlera. Z dumą mówiła też o wirtuozerii Pabla Casalsa, Katalończyka, sławnego wiolonczelisty i kompozytora. Często powoływał się na niego ojciec Liny, głównie z powodu tego, że Casals odmawiał występów w Rosji po rewolucji i dojściu bolszewików do władzy. Lina sprawiała też przyjemność rozmowa o niemalże chorobliwym perfekcjonizmie Artura Toscaniniego, błyskotliwego dyrygenta, którego Olga Niemyska poznała w Mediolanie, gdy został dyrygentem w La Scali. Pozostał związany z tym teatrem aż do 1908 roku. Jednym słowem: Lina znalazła się w swoim raj, którego nie zamierzała opuszczać.

– Chciałbym, żebyś poznała Artura Rubinsteina. – Zaraz po przyjsciu do klubu Bohemians Siergiej zaczął przedstawiać Linę różnym osobom. – „The New York Times” traktuje go w swoich recenzjach dużo lepiej niż mnie, pewnie z powodu jego żydowskiego pochodzenia. Nie ma to nic wspólnego z jego interpretacjami Chopina. Na pociechę zostaje mi to, że w Carnegie Hall zostałem przyjęty cieplej niż on. – Siergiej uśmiechnął się, widząc oczarowane spojrzenie, które znajomy pianista skierował na jego towarzyszkę. Uznał za wskazane ostrzec Linę przed człowiekiem, który przed nią stał: – Będzie próbował cię oszołomić, opowiadając o swojej namiętności do muzyki twoich rodaków, takich jak Manuel de Falla, Isaac Albéniz czy Enrique Granados. Ale miej się na baczności, kochanie: on się przechwala swoją niezaprzeczną famą uwodziciela i swoją... Jak to cię określił mój ukochany Tomasz Mann? Radością użycia?

– *Joie de vivre*. Musisz podszkolić się we francuskim, Prokofiew. Mann mówił o mojej radości życia. – Rubinstein ujął rękę Liny i nachylił się ku niej, udając, że składa pocałunek, ale bez muskania ustami skóry, jak nakazywał protokół. – Proszę go nie słuchać. Jak już pani pewnie wie, pani uroczy towarzysz traci cały urok, kiedy jego dłonie odrywają się od fortepianu.

Lina cieszyła się chwilą, co nie przeszkodziło jej oblać się rumieńcem, kiedy odwracając się, żeby wziąć podany przez kelnera kieliszek szampana, usłyszała komentarz wspaniałego polskiego pianisty.

– Prokofiew, gdzie pan znalazł tę piękność? – spytał Rubinstein. – Sądzę, że z kimś takim u mojego boku, patrzącym na mnie tak jak ona patrzy na pana, natchnienie nigdy by mnie nie opuszczało. Chyba pan widzi, że ona jest w panu bezgranicznie zakochana?

– Nie tylko to. Stała się w moim życiu osobą niezbędną. Potrzebuję jej przy sobie. Może mnie pan nazwać egoistą.

– Przychodzą mi do głowy gorsze określenia, mój przyjacielu. Gratulacje, jak najbardziej, z najgłębszych pokładów mojej zazdrości, która gdyby mogła, zamieniłaby się w rywalizację. Ale sądzę, że ta bitwa byłaby dla mnie przegrana, a skoro wiem to z góry, nie będę szedł na całkiem bezsensowną wojnę.

Wieczór upływał w swobodnej atmosferze – swobodniejszej, niż oczekiwała Lina, której bez trudu przyszło stać się jedną z jego centralnych postaci. Zewsząd docierały do niej uśmiechy, rozmowy o sztuce, komplementy i gesty uznania. To właśnie tam po raz pierwszy zaczęto mówić o możliwości wyjazdu do Paryża. Ta sugestia padła z ust Rubinsteina, który był duszą tego wieczoru.

– Droga Linette, tłumaczyłem już Prokofiewowi, że warto wybrać się do Paryża. To tam się dokonuje rzeczywista rewolucja artystyczna. Przyjeżdżają twórcy z całego świata i zamieniają to miasto w stolicę kulturalnego kosmosu. Powinna pani posłuchać, jak tam rozmawiają ludzie, jak grają muzycy, zobaczyć, jak piszą pisarze, jak malują malarze, jak tańczą komici... I jak się ubierają, rozmawiają, palą papierosy i śmieją się kobiety! Tam się rodzi nowe społeczeństwo, wolne, niezależne, otwarte, bez lęku przed awangardą, nieskrępowane moralnością ani tradycją. To jedyny raj na ziemi, gdzie możemy z klasą dojść do siebie po zamęcie wojny. To miasto każdą rozchwianą płytą chodnikową wydziela z siebie urok. Wie pani, moja droga, że armia francuska jechała na wojnę taksówkami?

– Taksówkami? – spytała zaskoczona Lina.

– To było rozwiązanie znalezione w ostatniej chwili – odpowiedział Rubinstein. – Francja zmobilizowała ponad dziesięć tysięcy rezerwistów, żeby ich przerzucić na front, ale armia miała do dyspozycji transport tylko dla czterech tysięcy. Resztę rozmieszczono w ponad sześciuset czerwonych samochodach Renault AG. To ten sam model, który został wybrany dla miejskich taksówek. Zaimprovizowany pochód wojenny żołnierzy w charakterystycznych niebieskich mundurach wyruszył sprzed Pałacu Inwalidów w Paryżu i przejechał przez miasto, okrążając Łuk Triumfalny, a potem sunąc przez Pola Elizejskie. Warto było obejrzeć ten spektakl. Nigdy w żadnym mieście świata patriotyzm nie defilował po ulicach z taką godnością jak wtedy, 7 września 1914 roku – orzekł Rubinstein. – Do tego potrzebna jest najprawdziwsza fantazja, którą różni idioci mogą mylić z ekscentrycznością. Proszę mnie posłuchać, Linette: właśnie tam trzeba teraz być. Paryż stanie się wielkim świętem, którego lepiej nie przepuścić. Poza tym wszyscy zostali zaproszeni. A pani, jeśli wolno mi tak powiedzieć, może być boginią w tym mieście światła. Zresztą, prawdę mówiąc, pani może zostać boginią w każdym miejscu na świecie, na które się pani zdecyduje.

Była to pierwsza z wielu publicznych okazji, gdy Lina i Siergiej wystąpili jako para. Lina stała się kobietą, o której mówili wszyscy w artystycznym świecie Nowego Jorku. Każdy chciał ją zobaczyć, pozdrowić, porozmawiać z nią. Czuła się swobodnie w obliczu oczekiwania, jakie budziła jej obecność. Miała tylko nadzieję, że pewnego dnia to zainteresowanie nie będzie wywołane jedynie jej wyglądem i rolą towarzyszką najgorętszej aktualnej sensacji muzycznej, Siergieja Prokofiewa, ale także występami w głównej roli w operze *Śnieżka* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa. Musiała tylko bardzo tego chcieć i nadal pracować nad osiągnięciem celu, tak jak ją zachęcał Siergiej.

Stale słyszała komplementy od najrozmaitszych mężczyzn, gdy pojawiała się razem z Prokofiewem na różnych uroczystościach, przyjęciach, koncertach, w restauracjach czy na zwykłych spotkaniach towarzyskich. Lina triumfowała na niezwykle balu przebierańców zorganizowanym przez choreografa i tancerza Adolfa Bolma, jedną z gwiazd baletu Diagilewa. Bolm nalegał później, aby oboje z Siergiejem przyszli na pierwsze przedstawienie jego własnej trupy Ballet Intime. Wszyscy zalecali się do Liny, ale ona miała oczy i serce otwarte tylko na jedną osobę. Potrafiła po mistrzowsku zapanować nad każdą sytuacją i wybrnąć z niej elegancko. Siergiejowi te składane jej hołdy nie tylko nie przeszkadzały, ale wbijały go w dumę. Obserwował ją uważnie i wydawało mu się, że patrzy na którąś z tancerek słynnych Ballets Russes swojego przyjaciela Diagilewa, poruszających się wśród teatralnej scenografii z niezwykle delikatnością, kruchych, ale pewnych miejsca, jakie zajmują na scenie, oraz tego, do którego zmierzają. Tak właśnie było w przypadku zalotów austriackiego dyrygenta Artura Bodanzky'ego – dawnego asystenta Mahlera – a także polskiego pianisty Józefa Hofmana. I choć Linę bawiły te umizgi, nie zwróciła też większej uwagi na słynnego rosyjskiego rzeźbiarza Gleba Deriużyńskiego, który zagroził, że za jej obojętność zemści się na popiersiu Siergieja, nad którym właśnie pracował.

– Gliniana głowa Prokofiewa wychodzi naprawdę dobrze – powiedział jej Deriużyński w trakcie ośmiogodzinnego maratonu brydżowego. Siergiej był miłośnikiem tej gry. – Ale nie wyobrażam sobie, jak wyszłaby pani głowa, gdyby tylko pozwoliła mi pani nad nią popracować. Jednak pani rysy nie powinny być utrwalane w glinie, wymagają raczej delikatnego, białego marmuru. Czy zechce mi pani uczynić kiedyś ten honor?

Uśmiech niedoszłej modelki zwiastował odpowiedź, która dawała obietnicę, ale nie pozwalała mieć pewności.

– Może kiedy uda mi się wygrać z Prokofiewem w brydża albo w szachy, będziemy mogli o tym porozmawiać – odparła rozbawiona Lina, znająca zasłużoną sławę doskonałego szachisty, jaka od małego towarzyszyła Siergiejowi. Jej ukochany wygrał podobno z samym Capablancą na turnieju pokazowym w 1914 roku. Gdyby Prokofiew nie odnalazł swojego miejsca w świecie partytur, bemoli i krzyżyków, stałby jeszcze przed nim otworem świat sześćdziesięciu czterech pól oraz szesnastu białych i szesnastu czarnych figur. Te dwa tak różniące się od siebie kolory – zarówno na szachownicy, jak i na klawiaturze fortepianu – miały zawsze symbolizować odcienie jego życia.

Pewnego ranka Lina zauważyła, że Siergieja bardziej niż zwykle absorbują własne myśli. Sądziła, że może chodzić o jego zbliżające się trzydzieste urodziny.



Przygotowywała na tę okazję specjalny posiłek w domu przyjaciół, do których mieli pójść po porannym spacerze nad brzegiem rzeki Hudson. Kupiła Siergiejowi śliczną papierošnicę i zamierzała oddać ją do grawera, żeby wyrył krótki wers jednego z wierszy Anny Achmatowej, do którego Prokofiew skomponował muzykę. Przygotowania dobiegały już końca, a zajmowała się nimi z wielką delikatnością i ostrożnością, żeby nie przesadzić z uroczystym charakterem wydarzenia. Wiedziała bowiem, że osiągnięcie trzydziestego roku życia nie jest czymś, co szczególnie zachwyca Siergieja.

Lecz jego zamyślenie nie miało nic wspólnego z urodzinami. Rozmowa z przyjacielem, Arturem Rubinsteinem, na temat zalet wyjazdu do Paryża poruszyła w jego głowie jakieś sprężyny, dzięki czemu zaczęły nabierać kształtu pewne idee. Od jakiegoś czasu Prokofiew myślał o powrocie do Europy, żeby móc rozwijać twórczość. Miał wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych jego kariera zaczyna popadać w stagnację, i to nie tylko z powodu odwołania premiery skomponowanej przezeń opery *Miłość do trzech pomarańczy*. Uzasadniano je nagłą śmiercią dyrygenta orkiestry chicagowskiej opery, Cleofontego Campaniniego, ale Prokofiew i tak żywił obawę, że jego muzyka może powoli stawać się monotonna. Ta myśl go przerażała. Potrzebował świeżego powietrza, które pomogłoby mu oddychać głębiej, bardziej energicznie, i pozwoliłoby w sposób oryginalny, odkrywczy i wyjątkowy przelewać na papier nutowy wszystko, co dźwięczało mu w głowie. Takie właśnie było prawdziwe brzmienie muzyki Prokofiewa, a utracenie go oznaczałoby śmierć za życia. I tak przedstawiał to Lina w trakcie śniadania w hotelu Pennsylvania przy Siódmej Alei, między Trzydziestą Drugą a Trzydziestą Trzecią Ulicą, gdzie spotkali się przed wyjazdem Siergieja do Chicago. Jechał tam, żeby spróbować rozwiązać różne problemy wynikłe w związku z odwołaniem jego oczekiwanej opery.

Tego ranka zjawił się trochę blady, z wymizerowaną twarzą, choć jak zawsze idealnie ogolony. Wydawał się nieco osłabiony. Ciemne obwódki wokół powiek nie były w jego przypadku rzeczą normalną, tym bardziej więc zwracały uwagę. Robił wrażenie zmęczonego.

– Co byś powiedziała na podróż do Paryża? – Pytanie wywołało wyraz zdziwienia na twarzy Liny. – Mogłabyś tam kontynuować lekcje śpiewu. Znam pewną panią profesor z Sankt Petersburga, Felię Litwin, która potrafiłaby wydobyć z twojego głosu wszystko, co się da. Bez trudu bym ją przekonał, żeby cię przyjęła jako swoją uczennicę. I jestem pewien, że niedługo mogłabyś wystąpić w jakimś teatrze. Co o tym sądzisz?

– To sprawka Rubinsteina? – spytała Lina trochę nieufnie.

– Nie, to sprawa moja, twoja, nasza. – Siergiej nie kłamał, ale też nie mówił całej prawdy. Miał jeszcze ważniejszy powód, który popychał go do przepłynięcia Atlantyku i powrotu na stary kontynent.

– To z jej powodu? – spytała Lina, a w jej wzroku pojawiła się cała armia cieni.

– Czyjego? – Przez chwilę wydawało mu się, że Lina potrafi czytać w jego myślach.

– Stelli Adler – odpowiedziała, odstawiając delikatnie filiżankę kawy na spodek, choć jej wyobraźnię wypełniały ponure myśli. – Widziałam liścik, który ci zostawiła w hotelu. Napisała, że chce się z tobą zobaczyć. – Wydawało się, że Siergiej jest

zaskoczony tymi słowami, co trochę ulżyło Linie. – Nie chcę, żebyś myślał, że bez pozwolenia przeszukuję twoje rzeczy albo że zamieniam się w histeryczkę, którą kieruje zazdrość. Ten liścik dał mi recepcjonista, pewnie sądząc, że ci go po prostu przekaże. Myślałam, że to może coś ważnego, i dlatego go przeczytałam. Sam mi powiedz, czy to coś ważnego.

– Chodzi o inną kobietę.

Widząc zaniepokojenie, jakie pod wpływem tego wyznania pojawiło się na twarzy Liny, Siergiej nie mógł się powstrzymać od wymuszonego uśmiechu, przez który jednak nadal przebijały melancholia i smutek. Ta demonstracja miłosnej podejrzliwości – bez wątpienia sprowokowanej przez niego, z czego nie był szczególnie dumny, przynajmniej w tym momencie – obudziła w nim pewną czułość wobec Liny.

– Nie bądź głupia, przecież wiesz, że to bzdury, powinnaś to już rozumieć. Stella chciała tylko, żebym jej dał kilka lekcji gry na fortepianie – powiedział zgodnie z prawdą, przynajmniej w części dotyczącej jego.

– No tak, jasne, lekcje gry... – odpowiedziała Lina, ujmując znów w dłoń filiżankę z gorącą kawą.

– To przez matkę się martwię.

Po tych słowach poczuła się głupio: odegrała właśnie zupełnie absurdalną scenę zazdrości. Nie pierwszy już raz twarz Siergieja zasnuła chmura niepokoju, wywołanego niemożnością wyciągnięcia matki z Rosji. Zażarta wojna domowa między bolszewikami i tak zwaną Białą Armią, walczącą o przywrócenie dawnego porządku, rujnowała kraj, niosąc głód i śmierć. Zapasy wyczerpały się już dawno temu, sklepowe półki świeciły pustkami, w nielicznych kawiarniach, które wciąż były otwarte, cukier zastąpiono maleńkimi karmelkami z anyżu, a epidemia tyfusu przykrywała niczym czarny płaszcz coraz większe połacie kraju. Siergiej cierpiał, wyobrażając sobie matkę pośród tej pustyni, choć nie był w stanie sobie uświadomić, jaki naprawdę jest rozmiar ludzkich cierpień.

– Twoją matkę? – zdołała spytać.

– Nie jestem pewien, czy docierają do niej pieniądze, które regularnie jej wysyłam. Tylko niektóre z jej listów do mnie dochodzą, a od tych, które dostaję, kraje mi się serce. Nie wszystko mi opowiada, żeby mnie nie martwić, ale wiem, że jest chora, ma problemy z oczami, a tam nie ma dostępu do leczenia, którego potrzebuje. Każdego dnia grozi jej oślepienie. I wszystko wydaje się zmierzać ku gorszemu. Niepewność połączona z niemożnością wyciągnięcia jej z kraju... Zżera mnie to. Boję się, że już jej nie zobaczę. Może we Francji byłoby więcej możliwości. Ale niczego nie dam rady zrobić, jeśli ciebie przy mnie nie będzie.

Lina ujęła jego dłoń i przycisnęła je do swojej piersi, uprzednio ucałowawszy. Chwytała ją za serce jego mina zranionego, porzuconego dziecka, które pozbawiono nadziei na pocieszenie. Siergiej urodził się, żeby być szczęśliwym i triumfować, ale wydarzenia zdawały się odbierać mu tę możliwość.

Jeszcze tego samego ranka, kiedy Lina pożegnała się z nim na dworcu kolejowym, zaczęła snuć plany podróży do Europy. Jeśli coś było dla niej oczywiste – poza marzeniami o karierze sławnej śpiewaczki operowej – to pragnienie spędzenia reszty życia u boku tego mężczyzny. Nie miało znaczenia, gdzie będzie jej dom, bo domem był

on. Problemy mogły się pojawić w jej domu rodzinnym. Była już w stanie wyobrazić sobie gwałtowny sprzeciw Olgi Niemyskiej, kiedy córka opowie jej o planach na przyszłość. Ufała bardziej niż kiedykolwiek reakcji ojca, choć jego wsparcie nie miało nadmiernej siły sprawczej. Była to cena, którą płacił za ciągłą nieobecność w domu. Ale Lina nie dopuszczała możliwości, żeby ktokolwiek – nawet dwie istoty kochające ją najbardziej na świecie – miał obrabować ją z marzeń, jeszcze zanim zaczęła je realizować.

W dniu jego wyjazdu nie chciała odprowadzać Siergieja na nabrzeże. Czuła, że byłaby zdolna rzucić się w szare wody nowojorskiego portu, kiedy zobaczy, jak on będzie się oddalał, ponieważ nie zdołała zrobić cokolwiek, żeby temu zapobiec. Pewnej nocy poprzedzającej jego wyjazd miała nawet sen, w którym jej ciało znikało między falami spowodowanymi przez statek w momencie wypływania z portu, a Siergiej tymczasem niespokojnym wzrokiem szukał jej pośród lasu ramion żegnających go krewnych i przyjaciół. Tonąc i znikając w migoczącej wodzie, widziała go, nieświadomego rozgrywającej się tragedii, rozglądającego się charakterystycznym zagubionym spojrzeniem, nieświadomego losu, jaki przypadł w udziale Linie. Obudziła się zrana potem, zdyszana i z trudem łapiąc powietrze, niemal jak przy ataku astmy. Musiała tłumić poduszką głośny oddech, żeby nie obudzić matki.

Kilka tygodni wcześniej poszła z Siergiejem kupić bilet na statek płynący na trasie Nowy Jork – Londyn, z przewidzianym postojem w Hawrze. Bilet wystawiony był na wtorek 27 kwietnia. Godzina wypłynięcia: szósta po południu.

W poprzednich dniach z Londynu nadchodziły dobre wiadomości. Zainteresowanie planowanym tam spektaklem było z każdym dniem większe. I nie tylko to. Wyjazd z Rosji Marii Grigoriewny stawał się bardziej realny, dzięki niez mordowanym wysiłkom jej syna. Gdyby wszystko poszło tak, jak przewidywano, Maria powinna niebawem wsiąść w Noworosyjsku na statek płynący do Konstantynopola. Siergiej zamierzał po przyjeździe do Francji pociągać za wszystkie możliwe sznurki, żeby wyrobić matce odpowiednie dokumenty i umożliwić jej przyjazd do Paryża. Nie było to łatwe zadanie, ale Siergiej był zdeterminowany nie ustawać w wysiłkach aż do końcowego sukcesu.

Niedzielę poprzedzającą wyjazd Siergiej i Lina postanowili spędzić we dwoje. Nie wiedzieli, ile czasu potrwa rozłąka, ponieważ decyzja Liny o wyruszeniu w ślad za Siergiejem ciągle się opóźniała, podobnie jak chicagowska premiera *Miłości do trzech pomarańczy*. Właśnie tego dnia Lina postanowiła zaskoczyć go propozycją wycieczki do hrabstwa Orange na północy stanu Nowy Jork.

– Będzie mi brakowało takich detali, o których potrafisz pomyśleć – powiedział Siergiej, odnosząc się do wyboru akurat tego hrabstwa w dolinie rzeki Hudson, którego nazwa była oczywistą aluzją do tytułu opery.

Ładna pogoda stała się sprzymierzeńcem Liny. Był idealny dzień na piknik, który przygotowywała przez cały tydzień. W piknikowym koszu nie brakowało dwóch ulubionych produktów Siergieja: sera i wina.

– Nie jesteś głodna? – spytał, widząc, że Lina nic nie je i wydaje się mocno zaabsorbowana kaczkami pływającymi po parkowym stawie oraz chwianiem się koron stuletnich drzew w lekkich podmuchach wiatru.

– Boję się, że nie będziesz za mną dostatecznie tęsknił.

– Pewnie, że nie będę – powiedział i uśmiechnął się na widok zaskoczonej miny swojej towarzyski – bo przyjedziesz do mnie, zanim zdążę się porządnie stęsknić.

– Tak, jeśli uda mi się przekonać matkę, żeby się zgodziła na mój wyjazd. Za każdym razem, gdy zaczynam o tym mówić, wybucha dyskusja, która zawsze kończy się słowami „jeszcze zobaczymy”. Kiedy już mi się wydaje, że ją przekonałam, pojawia się coś, co napawa ją wątpliwościami. Czasem myślę, że specjalnie tak się zachowuje, że bawi się ze mną, jakbym wciąż była dzieckiem. Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam.

– Więc się nie męcz. Pojedź ze mną, nie będzie problemów z kupnem biletu. Nie czekaj na decyzję matki. Przekaż jej swoją i tyle.

– Zwariowałaś? – spytała urażona Lina. – Chcesz, żebyśmy wyjechała, nic nie mówiąc, bez jej zgody? Tak się spraw nie załatwia.

– Lina, spraw się nie załatwia, kiedy do akcji wkracza twoja matka. Wszystko jedno, jakie sygnały jej przekazujemy, jak zgodni z nią jesteśmy... Ona nigdy dostatecznie nam nie ufa. Od początku próbuje storpedować nasz związek. I nie zaprzeczaj, bo wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Nie rozumiesz tego – powiedziała, podnosząc się z trawnika, na którym przedtem rozłożyli koc. – To moja matka! Nie mogę się tak zachowywać.

– To ty nie rozumiesz. Nie mogę żyć, czekając na to, co twoja matka zdecyduje albo nie zdecyduje w naszej sprawie. To nie jest sprawiedliwe ani dla mnie, ani dla ciebie. Musisz sama przeżyć swoje życie, nikt tego nie zrobi za ciebie, a już na pewno nie twoja matka.

Siergiej też wstał i szukał bliskości ciała Liny. Jej rozpalone policzki świadczyły o gniewie sprowokowanym przez słowa Siergieja. On jednak wiedział, że ten rumieniec i blask oczu były też wynikiem poczucia bezsilności wobec niezdecydowania matki. Otoczył ją ramionami i pocałował, nie czekając na pozwolenie – ani jej, ani tym bardziej matki. Jak zwykle Lina nie stawiała żadnego oporu.

– Wiesz, że mam rację – powiedział.

– Siergiej, nie chcę się kłócić. Za kilkadziesiąt godzin wyjeżdżasz. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyśmy te nasze ostatnie chwile spędzili, rozmawiając o mojej matce i spierając się, kto ma rację.

– Powiedz, co zamierzasz zrobić? – spytał, chcąc spełnić jej życzenie.

– Odprowadź mnie do domu.

Słyszając to, Siergiej się skrzywił.

– Dobrze – powiedział, nadal pragnąc zachować się zgodnie z jej wolą. – Pozbieram te rzeczy i odprowadzę cię. Olga się ucieszy, widząc, jak wcześniej wraca jej córka.

– Nie powiedziałam, że chcę iść do domu mojej matki – wyjaśniła Lina. Wyobraźnię Siergieja wypełniły sceny, które na razie mogły istnieć tylko w jego umyśle. – Może nie potrafię się zdecydować, żeby pojutrze jechać z tobą do Paryża, ale mogę zdecydować, co chcę robić dziś. A chcę być z tobą.

Potrzebowali zaledwie pół godziny, żeby zamienić trawnik i koc piknikowy na prześcieradła w łóżku stojącym w pokoju Siergieja. Nie był to jego plan, tym razem Lina pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. Chciała być z nim, przytulić się do niego i nigdy się nie odsunąć. Kiedy dłonie Siergieja wędrowały po jej ciele, czuła się najbezpieczniej,

najdalej od świata, od uprzykrzonych zewnętrznych hałasów, od wszystkiego, co nie było ich wspólnym kosmosem. W jego ramionach znalazła swoje miejsce na świecie i nie chciała pozwolić, żeby ją stamtąd usunął jakikolwiek statek, podróż czy decyzja matki. Jeszcze nie wiedziała, jak to osiągnąć, ale była zdecydowana szybko dołączyć do Siergieja w Paryżu czy w jakimkolwiek innym mieście, które wybierze życie. Byle być u jego boku.

Spędzili całe popołudnie, snując plany, a ich ciała odkrywały nieznane wcześniej pieszczoty. Pili wino i wymieniali spojrzenia i uśmiechy, za którymi próbowali skryć zakazaną zabawę. Oboje się nią cieszyli i nikomu nie pozwalali się w nią mieszać.

– Nadal nie chcesz mnie odprowadzić do portu na pożegnanie? – spytał Siergiej, przylgnąwszy do niej całym ciałem.

– Nie dałabym rady, choćbym chciała. Chyba wariowałabym jeszcze bardziej, niż będę wariować w domu, wyobrażając sobie, jak statek odpływa, a ty się oddalasz. – Lina uśmiechnęła się, bez trudu znajdując właściwą odpowiedź na zabiegi Siergieja. – Znam siebie. Mogłabym popełnić jakieś głupstwo, które by ci się nie spodobało.

– Mylisz się. Uwielbiam, kiedy popełniasz głupstwa. Powinnaś to robić częściej.

Kiedy przekazał kufer personelowi portowemu i wszedł na pokład, usłyszał komunikat, że statek wypłynie z opóźnieniem ze względu na powstałe w ostatniej chwili problemy techniczne. Siergiej skorzystał z okazji, zszedł na ląd i odnalazł telefon. Metaliczny dźwięk dzwonka zakłócił ciszę panującą w mieszkaniu przy Washington Heights numer 145, do którego wcześniej posłaniec dostarczył wspaniałe bukiet czerwonych róż dla Liny – tym razem z właściwie zaadresowanym bilecikiem – oraz kopertę z obiecanyimi stu pięćdziesięcioma dolarami jako zaliczką za angielski przekład libretta *Miłości do trzech pomarańczy*.

– Powiedz, że przyjedziesz, że nie zostawisz mnie samego – błagał ją Siergiej, słuchając jednocześnie szlochów rozmówczyni, która przyciskała do ucha słuchawkę telefonu, jakby chciała w ten sposób powstrzymać wypłynięcie statku. – Nie chcę przeżyć tej przygody bez ciebie, to nie byłoby to samo. Powinniśmy być razem. To absurd, żeby miało być inaczej.

Niezdecydowanie Liny było spowodowane oporem matki, która nie chciała dać swojej zgody. Ta sytuacja doprowadzała do rozpaczki Siergieja – nie rozumiał nieufności Olgi Niemyskiej i jej lęku przed wyruszeniem córki w podróż, która niewątpliwie wpłynęłaby korzystnie na jej przyszłość artystyczną. Nie rozumiał też jej wątpliwości dotyczących charakteru ich relacji: sądził, że dostarczył już dość dowodów bardziej niż oczywistych na to, że szanuje Linę i chce wobec niej podjąć poważne zobowiązania.

Gdy statek z Siergiejem na pokładzie wypływał na wody Atlantyku, Lina zaczęła się zastanawiać, jak doprowadzić do tego, by mogła podążyć wyznaczanym przez morską pianę śladem za swoim marzeniem i za mężczyzną, wokół którego było zbudowane. „Nie wiem, co zrobię, jeśli zostanę sama, jeśli jego ze mną nie będzie. Po prostu oszaleję”.

Wiedziała, że matka będzie przeszkodą w realizacji planu. Choć Lina podkreślała zawodowe znaczenie podróży, Olga wciąż reagowała marszczeniem brwi. Te zmarszczki na jej czole budziły w Linie inne skojarzenia, niemające nic wspólnego z lekcjami śpiewu. Jeśli matce wciąż wydawało się niestosowne, żeby córka bez formalnych zaręczyn

pokazywała się pod rękę z Siergiejem na jakiegokolwiek uroczystości czy koncercie w Nowym Jorku, można sobie było wyobrazić, co pomyśli o ucieczce do Europy. Nie chodziło o to, że nie podobało jej się to „bolszewickie dziwadło”, jak go nazywała za każdym razem, gdy jego imię stawało się zarzewiem sporu między matką a córką. Wręcz przeciwnie, Olga bardzo polubiła Siergieja. Ale mimo tego zbliżenia, zarówno na płaszczyźnie osobistej, jak i muzycznej, wciąż bała się opinii ludzi i krzywdy, jaką złe języki mogły wyrządzić „jej małej”. Wiedziała, że Siergiej kocha jej córkę i że nie zaszedł tak daleko w żadnej relacji z innymi kobietami. Ale wciąż czuła się w obowiązku wznosić wokół swojego dziecka mur ochrony i ostrożności, który doprowadzał i Linę, i Prokofiewa do rozpacz.

Niebawem zaczęły przychodzić listy od Siergieja, z francuskimi znaczkami. Lina rzucała się na te koperty chciwie, jakby w środku miała znaleźć sekret własnego szczęścia. Siergiej opowiadał ze szczegółami o pełnym emocji przybyciu do Paryża. Jego przyjaciel Diagilew porzucił swoje zajęcia choreograficzne z Ballets Russes i przyszedł go powitać okrzykami: „Oto przybył Sierioża Prokofiew!”. Opisywał dzień po dniu perypetie związane z poszukiwaniem mieszkania, z biurokratycznymi pułapkami i dreptaniem wokół papierów potrzebnych do ściągnięcia do Paryża matki, opowiadał o nowych kontraktach, które proponowały mu teatry paryskie i europejskie, o postępach prac nad kolejnymi kompozycjami, o klimacie artystycznym, tak różnym od nowojorskiego, i o wyśmienitym jedzeniu, które podawano w każdej restauracji w mieście. Ale najbardziej pobudzały wyobraźnię Liny spotkania z wielkimi artystami, które Siergiej drobiazgowo relacjonował:

„Poznałem Ravela i błagał mnie, żebym go nie nazywał maestrem. Strawiński okazał się bardzo sympatyczny, nawet pomógł mi zdobyć fortepian, żebym nie tracił ani chwili bez komponowania. Picasso to wyjątkowy człowiek, a kiedy mu o tobie opowiadałem, powiedział, że pragnie poznać swoją piękną rodaczkę. Jeana Cocteau poznałem na przyjęciu w domu pewnej fascynującej kobiety, pani Edwards, czyli Misi. Na pewno ci się spodoba, jest bardzo wyrafinowana, elegancka i nawet najznakomitsi ludzie padają do jej stóp. Sądzę, że w Paryżu sztuka i kultura nie istniałyby, gdyby ta kobieta nie pociągała za sznurki. Wszyscy mówią, że ma niezwykłą intuicję do nowych talentów i nie ma w zwyczaju się mylić. A co najlepsze, obiecała mi, że zrobi wszystko co możliwe, żeby przyspieszyć sprawy z wizą matki. Każdej nocy i każdego dnia myślę o tym, że chciałbym cię przedstawić tym wszystkim ludziom. Czy zmusisz mnie, żebym po ciebie pojechał? Potrzebuję cię tu przy mnie, u mojego boku. Nie mogę żyć bez ciebie. Nie karz mnie swoją nieobecnością”.

Te listy podsycaly w Linie wewnętrzny ogień. Czasami poważnie zastanawiała się nad spełnieniem swojego sennego koszmaru, w którym rzucała się do morza, żeby dopłynąć wpław do Hawru.

Całymi tygodniami poszukiwała najlepszego sposobu, aby w rozstrzygającej rozmowie przeciwstawić się matce. Obmyślała argumenty, które uzasadniały jej decyzję o przeniesieniu własnego życia do Europy, choć tak naprawdę wiatr, który miałby ją przenieść, i tak zawsze wiałby w stronę Siergieja. Układała w głowie całe serie pytań, które mogły wyjść z ust matki.

- Podróżować do obcego kraju z kimś, kto nie jest twoim mężem?
- Gdzie byś spała?
- Gdzie byś mieszkała?
- Co byś robiła w nieznanym mieście?
- Kto by cię pilnował?
- Co pomyśleliby ludzie?

To ostatnie pytanie stało się niezmienną frazą, którą Olga Niemyska zwykła kończyć wszystkie swoje wypowiedzi. „Co powiedzą ludzie?”. Lina nigdy nie umiała wyartykułować odpowiedzi, wciąż czekając na odpowiedni moment, żeby oświadczyć:

– Ludzie przestaną myśleć o tobie, kiedy tylko ty przestaniesz myśleć o nich. To bardzo proste.

Ale czas wypowiedzenia tego buntowniczego zdania wciąż nie nadchodził. Lina musiała się powstrzymać, działać inteligentnie i próbować sprawić, aby matka dostrzegła w tej sytuacji szansę na jej przyszłą karierę. Oczywiście lekcje śpiewu z jedną z najlepszych nauczycielek w Paryżu miały swoją wagę, ale nie wydawały się Oldze wystarczającym uzasadnieniem podróży. Był to pomysł Siergieja i to stanowiło problem. Lina próbowała uzyskać przychylność ojca, co nie kosztowało jej zbyt wiele trudu, choć niedogodnością było to, że Juan wciąż przebywał poza domem, a przez telefon ojcowskie pozwolenie brzmiało mniej przekonująco.

– Poza tym – dodawała Lina, recytując z pamięci scenariusz, który wymyśliła w ostatnich tygodniach – nie będę sama. W Paryżu są twoi przyjaciele, Zelda i Henry Liebmanowie. Oni mogą się mną zająć i w każdej chwili opowiedzieć ci, co robię. No i jeszcze Vera i Aleksiej Stahlowie! Tam będzie prawie jak w domu! Mamo, proszę cię, czy kiedykolwiek dałam ci powody, żeby mi nie ufać? Wiem, że to trudna decyzja, dość ryzykowna, ale spójrz na mnie: znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny, a ja cię nigdy nie oszukałam. Czy to teraz już nie jest nic warte? – Argumenty kończyły jej się, w miarę jak obserwowała milczenie Olgi i jej nieprzeniknioną minę, niepozwalającą żywić większych nadziei. – A jeśli to wszystko dla ciebie nic nie znaczy, pomyśl, że gdzieś trzeba będzie spędzić letnie wakacje. Czy jest lepsze miejsce niż Paryż?!

Kiedy w końcu udało jej się osiągnąć coś na kształt zakamuflowanej zgody matki, nie mogła w to uwierzyć. Z takim impetem podbiegła, żeby jej podziękować, że Olga ledwo utrzymała się na nogach. Lina napisała do Siergieja, żeby jej oczekiwał, że wreszcie wyruszy do Paryża i że będą razem, choć nadal istniały pewne konkretne przeszkody, które już na wstępie mogły opóźnić – jeśli nie anulować w ogóle – wymarzoną podróż. Najpierw Olga zachorowała i pod nieobecność ojca Lina nie zamierzała zostawić jej samej. Kiedy okazało się, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, wynikł niefortunny problem z biletami na statek, którym Lina miała płynąć. Realizacja marzenia znów była zagrożona. Ale Lina ufała, że los będzie jej sprzyjał, i tak się w końcu stało.

Ostatnia noc, którą spędzała w Nowym Jorku, była szczególna, choć wszyscy czuli się trochę niezręcznie. Olga nie potrafiła ukryć smutku, który pokrywał cieniem jej twarz, podczas gdy Lina nie umiała powstrzymać radości wywołanej nadchodzącą podróżą. Ta sprzeczność nastrojów bardzo ją męczyła. Żal jej było matki, jednocześnie już za kilka godzin miało zacząć się spełniać jedno z jej największych pragnień. Właśnie miała wypić



ostatnią szklankę mleka, które od długiego czasu podawała jej codziennie matka w ramach walki z anemią. Zdenerwowanie Liny było tak wielkie, że szklanka wypadła jej z ręki i płyn wylał się na klawisz fortepianu. Kontrast białej cieczy z czernią instrumentu wywołał w niej niepokojącą wizję, która na chwilę zapała jej dech w piersi. Przez kilka sekund oczekiwała całkiem zrozumiałego gniewu matki, lecz nie nadchodził. Olga ograniczyła się do podania córce drugiej szklanki napoju. Z jej ust nie wydobyło się ani jedno słowo, nie uczyniła żadnego gestu dezaprobaty, jakby nie widziała, co zaszło. Lina odetchnęła głęboko, jak zwykła robić, kiedy chciała zapanować nad sytuacją. Przypomniała sobie morał jednej z bajek, które opowiadała jej babcia Karolina – że nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba patrzeć przed siebie i nie myśleć o tym, na co nie ma już rady. I tak zachowała się Lina.

# CZEŚĆ DRUGA

---

## *Paryż*

Posłuchajcie!

Przecież skoro zapalają gwiazdy –

widać – komuś jest to potrzebne?

Widać – ktoś bardzo chce, żeby były?

Ktoś na fąfle te mówi: perełki podniebne?

(...)

Posłuchajcie!

Przecież

skoro zapalają gwiazdy –

widać – komuś jest to potrzebne?

Widać – to konieczne,

by co wieczór

nad dachami

zapalała się choć jedna gwiazda?

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI\*

Co stałoby się z marzeniami, gdyby ludzie byli szczęśliwi?

PIERRE REVERDY

Niebieskawe wody Sekwany, wyglądające tak, jakby otaczały serdecznym uściskiem okolice portu w Hawrze, przyniosły radość młodej pasażerke. Intensywny błękit, lśniący i krystaliczny, przypominał jej spojrzenie Siergieja. Wkrótce stwierdziła, że błękitny we Francji są bardziej błękitne niż gdzie indziej – na przykład błękit mundurów armii francuskiej, dobrany chyba z nadzieją, że żołnierze będą się wtapiać w tło nieba, świetlisty błękit na paletach malarzy wystawiających obrazy na Place du Tertre na wzgórzu Montmartre, morski błękit kreacji Coco Chanel wypełniających witryny jej *maison de couture* pod numerem 31 przy rue Cambon, krystaliczny błękit basenu w kabarecie Lido, w samym sercu Pól Elizejskich, ciemny błękit fasady kawiarni Procope, z jej lustrami i obrazami w złożonych ramach, orzeźwiający błękit trunków wypełniających kieliszki w kawiarni Le Dôme... Wiele miesięcy później Picasso w rozmowie z Liną potwierdził jej pierwsze wrażenie: paryski błękit sam w sobie był całą paletą kolorów.

Błękit był bez wątpienia dobrym kolorem na początek nowego życia.

Po ponad dziesięciu dniach morskiej podróży czuła się dziwnie, stąpając po stałym lądzie. Cieszyłaby się, gdyby pierwszą znajomą twarzą ujrzaną po zejściu z transatlantyku była twarz Siergieja, ale tak się nie stało. Przekazała tragarzom ciężki kufer – wypełniony głównie ubraniami i partyturami – żeby móc objąć i ucałować ukochanego stojącego u stóp trapu, tak jak to widziała w filmach i jak tysiące razy wyobrażała sobie podczas bezsennych nocy. Ale rzeczywistość okazała się inna. Być może ta nieoczekiwana i rozczarowująca nieobecność Siergieja miała coś wspólnego z dwudniowym opóźnieniem jej przyjazdu do Paryża. Lina pocieszała się, myśląc, że ukochany musiał mieć jakiś ważny powód. Jednak zaraz po zejściu ze statku poczuła się zażenowana. Odwracała się na wszystkie strony, obrzucając wzrokiem tłum zgromadzony na nabrzeżu, jakby czuła bliskość spotkania, które jednak nie następowało. Było to trochę dziwne, nie wiedziała, jak opisać tę sytuację, a tym bardziej jak ją zinterpretować. Była zmęczona, to wszystko. Przyjaciele matki przyjechali po nią do portu w Hawrze i mieli się nią zaopiekować. Powitali ją bardzo serdecznie, z uśmiechami, uściskami i całą gamą komplementów, od których czuła się zmieszana, choć była do nich przyzwyczajona.

– Nic dziwnego, że twoja matka prosiła, żeby nie spuszczać cię z oka. Jesteś piękną dziewczyną – skomentowała jedna z najbliższych przyjaciółek Olgi Niemyskiej, Clara Spencer, stanowcza i pogodna Amerykanka, która w czasie wielkiej wojny stała się jedną z pierwszych kobiet lotniczek. Lina zyskała w niej lojalną i hojną przyjaciółkę, nieoczekiwaną sojuszniczkę, punkt odniesienia i życiową busolę.

– Jestem pewna, że będziemy dobrymi przyjaciółkami – przepowiedziała Clara. I wcale się nie pomyliła.

Umieszczono ją w jednym z pokoiów mieszkania, które Spencerowie zajmowali w Paryżu przy rue Bassano. Miejsce wydało się Linie idealne, choć wiedziała, że nie zostanie tam długo. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było zatelefonowanie do hotelu Du Quai Voltaire, w którym mieszkał Siergiej. Zostawiła mu wiadomość, po czym

sympatyczny recepcjonista poinformował ją, że pan Prokofiew nie wrócił jeszcze z podróży do Londynu, gdzie szykował premierę opery *Miłość do trzech pomarańczy* oraz zajmował się przygotowaniem do wystawienia baletu *Błazen*, nad czym pracował wspólnie z Diagilewem. Lina wpadła w zadumę, próbując bezskutecznie pozbyć się narastającego niepokoju, który zaczynał ciążyć jej w piersi. „Powinien już wrócić. Wiedział, że dziś przyjeżdżam” – mówiła sobie, próbując zapanować nad bestią: wielką troską, która zaczynała rosnąć w jej głowie. Pierwszej nocy nie była w stanie zasnąć. Dziwiło ją, że nie dostała od niego żadnej wiadomości. Nie pojmowała, jaki był sens tych wszystkich nalegań, których pełne były jego listy, próśb przekazywanych w telegramach i jego wysiłków, żeby kupić jej bilet na rejs o dwa miesiące wcześniejszy, niż pierwotnie planowali – aby mogła przyjechać do Paryża z końcem czerwca, a nie w sierpniu – skoro wreszcie, kiedy dotarła do celu, nawet się nie pojawił, żeby ją odebrać. Nie mogła zrozumieć, co wydarzyło się w życiu Siergieja przez ostatnie dwa dni. A już zupełnie nie mogła wpaść na to, że oboje rozminęli się w porcie w Hawrze zaledwie o kilka minut. Kiedy okręt, którym Lina przyплыnęła z Nowego Jorku, przybijał do jednego z portowych nabrzeży, do pobliskiego pirsu cumował statek, który przywiózł Siergieja z Londynu. Był to jego pierwszy postój w nagle zaaranżowanej podróży do Marsylii, dokąd z kolei miał przyплыnąć francuski parowiec o nazwie Souirah, którym podróżował ktoś bardzo szczególny. Całkiem niespodziewanie – choć przecież było to wydarzenie oczekiwane od dwóch lat – Siergiej został zawiadomiony, że jego matka niebawem pojawi się w porcie w Marsylii. Działania podejmowane przez panią Edwards, czyli Misię, i samego Prokofiewa, przy nieocenionej pomocy Stahlów i Strawińskiego – który nie po raz pierwszy wznosił się ponad swoją wieczną rywalizację z Siergiejem – umożliwiły wystawienie wizy oraz kupno biletów. Maria Grigoriewna weszła na pokład statku, gdzie ulokowano ją w kabinie trzeciej klasy. Minęło już kilka miesięcy od czasu, kiedy rozstała się z Rosją, wypływając z Noworosyjska, i trafiła do obozu dla uchodźców koło Konstantynopola. Pobyt w obozie nadwerżył jej i tak już pogarszające się zdrowie.

Zrozumiały i niemal szaleńczy pośpiech Siergieja, który chciał jak najszybciej dotrzeć do Marsylii, sprawił, że musiał tam czekać wiele godzin na przybycie francuskiego parowca, wiozącego jego matkę. Statek dotarł do portu dopiero o dziesiątej wieczorem. Siergiej spędził czas oczekiwania na włóczeniu się po mieście i nie wiedział, że Lina wypatrywała go ponad dziewięćset kilometrów stamtąd. Sądził, że transatlantyk, którym płynęła z Nowego Jorku, opóźni się jeszcze bardziej, ale tak się nie stało. Kiedy Souirah w końcu dotarł do portu, Siergiej spędził mniej więcej dwie godziny, bezskutecznie szukając matki. Wchodził na pokład i schodził, rozpytywał wśród załogi, przypatrywał się wysiadającym pasażerom, rozpaczał, przeszukując miejsce przeznaczone na bagaże. Nigdzie ani śladu matki. Miał już zrezygnować z poszukiwań, przekonany, że Maria nie zdążyła na statek albo wydarzyło się coś innego, o czym wolał nie myśleć, gdy nagle usłyszał wypowiedziane po rosyjsku słowa:

– Umówiłem się z panią Prokofiew. Musiała zajść jakaś pomyłka. Chyba się nie spóźniłem.

Siergiej odwrócił się, żeby zobaczyć, kto to powiedział, i od razu na niego wpadł. Był to Schletzer, kuzyn jego przyjaciela, pianisty Aleksandra Skriabina. Przypadkowo

spotkał się na pokładzie z matką Siergieja i obiecał zobaczyć się z nią po zejściu na ląd. Prokofiew, prowadzony przez niego, znów wszedł na statek w poszukiwaniu matki. Z trudem ją rozpoznał. Od ostatniego spotkania minęły dwa lata, ale wydawało się, że to raczej dwie dekady. Maria Grigoriewna miała zmęczoną twarz. Można było odnieść wrażenie, że skurczyła się o kilka centymetrów i na pewno straciła sporo na wadze. Skórę miała zniszczoną przez słońce, a cerę w dziwnym brązowym odcieniu, tak odmiennym od jej zwykłej bladości. Wzrok Marii zagubił się za zaparowanymi okularami, które ukrywały poważnie pogorszony stan oczu, więc nawet nie zdawała sobie sprawy z obecności syna. Siergiej poczuł w sercu ukłucie, które natychmiast stłumił. Podbiegł do matki, żeby jak najszybciej wyciągnąć ją z wypełnionej ludźmi kabiny. Kiedy Maria znalazła się obok niego, smutek i zmęczenie znaczące jej wymizerowaną twarz natychmiast zniknęły. Objęli się jak dwoje rozbitków, którzy zgubili się podczas wieloletniego pobytu na bezludnej wyspie. Minęło kilka minut, zanim zdołali się rozdzielić. Za nimi było tyle czasu, tyle życia, tyle milczenia...

Siergiej podał jej ramię, żeby ją poprowadzić. Ze względu na zmętniały wzrok potrzebowała pomocy przy schodzeniu ze statku. Było już późno, dlatego postanowili spędzić w Marsylii noc, a także część następnego dnia. Maria miała za sobą długą drogę, ale nie chciała rozstać się z rzeczami, z którymi wyjechała z Rosji: dwoma płaszczami, które pomogły jej w walce z niepogodą, małą torebką, którą zawiesiła sobie na szyi, ponieważ w niej znajdowały się jej dokumenty tożsamości, oraz z rzeczą najważniejszą: teczką pełną partytur, listów, librett – między innymi wielce wyczekiwanego *Gracza* – i manuskryptów. Był wśród nich cenny dziennik, który Siergiej pisał przez całe życie i zostawił przez zapomnienie w biurku swojego domu, kiedy wyjeżdżał z Rosji 17 maja 1918 roku. Siergiej był poruszony, gdy wyobrażał sobie, przez co musiała przejść ta kobieta, aby nie utracić teczki, najdroższej pamiątki po synu.

Spędzili dwa dni w Marsylii i dopiero trzeciego przybyli do Paryża. Siergiej przypuszczał, że również Lina jest już w mieście. „Czy można być szczęśliwszym człowiekiem?” – zadawał sobie pytanie, wiedząc, że dwie kobiety, które najbardziej pragnął mieć przy sobie, przyjechały w tym samym czasie. Urządził matkę w spokojnym hotelu na brzegu Sekwany i pobiegł szukać Liny pod adresem, który ona sama zostawiła dla niego recepcjoniście, dzwoniąc pierwszego dnia z pytaniem o Siergieja. Ale kiedy tam przyszedł, nie zastał jej. Znów poczuł się osaczony przez to samo poczucie utraty, z którym mierzył się dwa dni wcześniej w marsylskim porcie, gdy nie mógł znaleźć matki. Przez kilka minut chodził tam i z powrotem po ulicy, aż jakaś kobieta – elegancko ubrana i z porozumiewawczym uśmiechem na twarzy – zamierzająca wejść do budynku usytuowanego na końcu rue Bassano, blisko Pól Elizejskich, zbliżyła się do niego, jakby go od dawna znała. W pewnym sensie tak było, choć znajomość polegała wyłącznie na opowieściach Olgi Niemyskiej na jego temat.

– Wszystko z nią w porządku, proszę się tak nie martwić – powiedziała, podczas gdy Siergiej przyglądał się jej, nie rozumiejąc, kim jest ta kobieta, która przedstawiła się jako Clarita i uśmiechała się do niego z pewnością siebie zdradzającą umiejętność panowania nad sytuacją. Wynikało to z faktu, że dysponowała większą ilością informacji niż jej rozmówca. – Jest naprawdę śliczna – podkreśliła rozbawiona. – Mam tylko

nadzieję, że znajdzie pan dobrą wymówkę, żeby wytłumaczyć te dwa dni spóźnienia.

– Tak, mam dobrą wymówkę – potwierdził, uśmiechając się. – I wiem, że ją to uszczęśliwi.

– Cieszę się. Ale proszę przyjść trochę później. Jeszcze jej tu nie ma. – Twarz Siergieja znów się wykrzywiła. – Nie mówiła tego matce, bo Olga jest gotowa sama tu przyjechać, ale potrzebowała zaledwie dwóch dni, żeby się spakować i przenieść do hotelu. Myślę, że byłby to świetny pomysł... – powiedziała i zrobiła pauzę, jakby chciała podkreślić wagę swoich słów za pomocą adresu, który notowała na wyjętym z torebki kawałku papieru – gdyby pan tam poszedł i zaczął jej pokazywać Paryż. Mnie nawet na to nie pozwoliła...

Musiał czekać kilka godzin, zanim ją zobaczył, zmierzającą ku budynkowi, którego adres przekazała mu Clarita. Jej widok wreszcie przyniósł mu pocieszenie. Była taka piękna. Przebywała w Paryżu dopiero od dwóch dni, a wydawało się, że jej obcasy przez całe życie depczą paryskie chodniki. Szła nienagannie ubrana: w delikatnym płaszczu zarzuconym na ramiona niby lekki żakiet. Jej śliczne loki ukrywały się pod kapeluszem w kształcie hełmu, spod którego wystawała jedynie część niesfornych kręconych włosów. Wydawało się, że nie kroczy, tylko płynie po trotuarze, że jej stopy odrzucają pomysł ocierania się o chodnik. Przez kilka chwil Siergiej przypatrywał się jej, jakby robił to po raz pierwszy w życiu. Zobaczywszy go, Lina obdarowała go jednym z uśmiechów przygotowywanych ostatnio specjalnie dla niego. Ten uśmiech zdołał przełamać ciszę, która zaległa w hotelowym holu. Dopiero przedłużające się uściski i koncert wymienianych pocałunków były w stanie trwale zmienić atmosferę.

– Ale gdzie... – zdołała zadać tylko pół pytania.

– Długa historia. Moja matka, Marsylia, wiza... Najważniejsze, że już tu jesteś – powiedział, popychając ją w kierunku schodów, żeby wejść na górę do pokoju. – Mam ci tyle do opowiedzenia.

– Nie. Lepiej chodźmy na spacer do Lasku Bulońskiego. W życiu nie widziałam piękniejszych kasztanów, a jeśli pójdę tam z tobą, wydadzą mi się jeszcze wspanialsze.

– Lina, to jest Paryż – wyznał jej z miną współuczestnika spisku, mając na myśli to, że powinna porzucić przesady przywiezione z Nowego Jorku. Pragnął być z nią, cieszyć się wzajemną bliskością, obsypać ją pocałunkami i pieścizotami wstrzymywanymi od tak dawna. Nie chciał tracić ani minuty życia, odkładając spotkanie, którego oboje pożąдали, choć każde z nich chciało do niego dojść swoją drogą.

– Wiem. I wiem też, że nie jestem twoją żoną... jeszcze – powiedziała z uśmiechem, a potem znów go pocałowała. – Chcę, żebyś mi pokazał wszystko, o czym pisałeś w listach. Mamy dla siebie cały czas tego świata.

Paryż otworzył się przed obojgiem w najpiękniejszych chwilach późnej wiosny 1920 roku. Ulubioną okolicą Liny był Montmartre. Żeby dostać się w to miejsce, w którym tak łatwo przychodziło się zatracić, trzeba było wsiąść w kolejkę linową, która wspinała się na strome wzgórze o wysokości trzystu metrów, oddzielające położoną w dole część dzielnicy Montmartre od części górnej, nad którą dominowała imponująca bazylika Sacré-Coeur. Kiedy Lina z Siergiejem docierali już na górę, podziwiali białą poświatę, która zdawała się zasnuwać Paryż jak płótno jednego z artystów zaludniających

ulice Montmartre'u i okrywała też kopuły kościoła Sacré-Coeur, strzeżone z bliska przez kościół Świętego Piotra. Lina szukała jakiegoś wygodnego zakątka, z którego można by obserwować spektakl mający się niebawem rozegrać. W tym punkcie Paryża świat zatrzymał się na kilka chwil, zaniemówił i przyglądał się zmierzchowi spowitemu delikatną i przezroczystą złotawą zasłoną opadającą na dachy miasta, jakby chciała stworzyć cienki dywan dla ludzi pragnących się wśród nich zgubić. Lina mogłaby godzinami podziwiać ten widok, gdyby pomarańczowe lśnienie słońca nie zniknęło tak szybko, wchłaniane przez ziemię. Czas uciekał za szybko. W tym miejscu Lina zrozumiała, że najpiękniejsze momenty życia nie trwają wiecznie, że mają swój rytm, swoje tempo, jak utwór muzyczny, swoją kadencję – poza tym sztuka szybko znika, mając wyznaczone bardzo przypadkowe daty ważności. Na tym wysokim paryskim wzgórzu Lina oddychała głęboko, tak jak to robiła w Carnegie Hall, kiedy po raz pierwszy spotkała Prokofiewa.

Siergiejowi wydawało się, że wieża Eiffla oferuje lepszą panoramę, ale Lina była innego zdania. Nie chodziło tylko o widoki, ale też o światło i wspaniałą jedność nieba i ziemi. Później oboje kierowali się na Place du Tertre. Po drodze decydowali, czy usiąść w La Maison Rosé, gdzie z pewnością udałoby się spotkać Picassa albo Gertrudę Stein. Jeśli był już odpowiednio późny wieczór, decydowali się raczej na Au Lapin Agile przy rue Saules pod numerem 22. Był to najstarszy kabaret Paryża. Jakiegokolwiek miejsce by wybrali, Lina nigdy nie opuszczała Montmartre'u bez odwiedzin w À la Mère de Famille, jednej z najstarszych cukierni świata. Pożądliwym spojrzeniem błędziła po wnętrzu drewnianych skrzynek, gdzie na ukontentowanie podniebień wielbicieli słodyczy czekały słoiki marmolady, koszyczki z kandyzowanymi owocami, pudełka pełne ciasteczek migdałowych, góry cukierków, woreczki z karmelkami czy tace wypełnione figurkami z cukru i czekolady.

Rubinstein miał rację. Paryż był rajem dla zmysłów i Lina nie zamierzała go opuszczać dopóty, dopóki pozwoli jej na to życie.

Nie traciła czasu i zapisała się na lekcje śpiewu, które obiecywał jej Prokofiew. Zajęcia miała trzy razy w tygodniu, a resztę czasu poświęcała na szukanie tańszego hotelu. Pod żadnym warunkiem nie chciała się zgodzić na wspólne mieszkanie z Siergiejem, tym bardziej po przyjeździe jego matki. Nie zamierzała rezygnować z zasad i zdrowego rozsądku, które zawsze uwidaczniały się w jej postępowaniu. Nie chodziło tylko o obietnice złożone Oldze, ale przede wszystkim o nią samą. Nie traciła kontaktu z przyjaciółmi matki, z którymi wdawała się w ożywione pogawędki przy stole i których wiele razy zapraszała na koncerty i spektakle, jeśli nie mogła iść na nie z Siergiejem. Nie zapomniała też pisać do matki. W listach zawsze pytała o ojca, opowiadała o swoich postępach artystycznych i o szczęściu, jakiego zaznaje w Europie. Nie wyznawała wszystkich szczegółów swojego nowego życia w Paryżu. „Mamo, dotrzymuję obietnicy, że nie dostarczę ludziom tematów do plotek” – podkreślała w każdym liście.

Wszystko wydawało się iść zgodnie z planem, z wyjątkiem wiadomości otrzymanych w prestiżowej klinice okulistycznej, gdzie sformułowano diagnozę niepozostawiającą wątpliwości: Maria Grigoriewna cierpiała na zaawansowaną i szybko postępującą jaskrę. Musiała poddać się operacji, którą zaplanowano na okres jesienny.

Ważne było, że wykryto chorobę w porę, zanim ślepotą stała się nieodwracalna.

Wydawało się, że energia Siergieja jest niespożyta: pracował nad swoim *Błaznem*, domyślał program koncertów symfonicznych w Londynie i przyszłych recitali w Paryżu, komponował utwory fortepianowe i zostawał mu jeszcze czas, by poznawać pisarzy takich jak Aleksiej Tołstoj, Iwan Bunin czy Aleksander Kuprin i razem z nimi brać udział w biesiadach artystycznych, które przeciągały się do późna w noc.

Niemniej jednak wciąż był niespokojny. Jego główna obsesja dotyczyła znalezienia domu, w którym mógłby spędzić lato razem z matką. Znalazł w końcu taki dom w Mantes-la-Jolie, nad brzegiem Sekwany, mniej niż godzinę drogi od stolicy. Tam doszło do oczekiwanego od dawna spotkania. Siergiej zajął się prezentacją uczestniczek.

– Mamo, chciałbym ci przedstawić Linette Codinę. To moja przyjaciółka, amerykańska współpracownica. – Nie wiedząc nawet, jak do tego doszło, zrozumiał w pewnej chwili, że zaplątał się we własnych wyjaśnieniach. Widział oniemiałą ze zdziwienia twarz Liny, nierozumiejącej ani dokonanej właśnie przez Siergieja zmiany jej narodowości, ani znaczenia słowa „współpracownica”. – Właśnie pracuje nad przekładem *Pomarańczy miłości*. – Kiedy zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił w tytule własnej opery, poprawił się, choć zrobił to drżącym głosem, osiągając dość komiczny efekt. – To znaczy, chciałem powiedzieć, *Miłości do trzech pomarańczy*. No właśnie. Tłumaczy moje libretto na angielski. Poza tym jest śpiewaczką. No, prawdę mówiąc, przygotowuje się do tego zawodu. – Po chwili niespodziewanej ciszy uznał, że trzeba coś jeszcze dorzucić, ale zdołał zmienić temat, bo sam zdawał sobie sprawę, że zdradzają go nerwy. – Przypilnuję, żeby nam podali herbatę albo kawę... albo co też tam mają do podania.

Maria Grigoriewna popatrzyła na syna i szybko skierowała wzrok na Linę, która nie wiedziała, gdzie się podziać po tej pożałowania godnej prezentacji.

– Siergiej, to, że niedługo pewnie osłepnę, nie znaczy, że pewnych rzeczy nie widzę – powiedziała w końcu Maria.

– Co chcesz przez to powiedzieć, mamo? – spytał, biorąc się energicznie do czyszczenia okularów, jakby naprawdę tego potrzebowały.

– Do mojego syna można mówić tylko wtedy, kiedy siedzi przy fortepianie, jeśli się chce, żeby cokolwiek zrozumiał – zażartowała, zwracając się jednocześnie do Liny. – Powiedz, Linette... – Maria postanowiła tak się do niej zwracać, przynajmniej na razie – ...z której części Europy pochodzisz? Bo najwyraźniej takiej naturalnej elegancji jak twoja żadna Amerykanka nie widziała nawet na obrazie... Zakładając, że w ogóle oglądała w życiu jakiś obraz.

Lina z trudem powściągnęła śmiech. Spodobała jej się Maria. Była szczerą, bezpośrednią i inteligentną. Co więcej, umiała zachować cięty humor, który towarzyszy ludziom zmuszonym do walki z życiem. Lina z radością zauważyła, że i ona przypadła Marii do gustu.

Jej szczęście mącił tylko przez chwilę jeden z charakterystycznych dla Siergieja krótkich ataków złości, które tak dobrze znała. Decyzja Liny, żeby spędzać z nim w domu w Mantes-la-Jolie jedynie weekendy, wzbudziła jego silny sprzeciw.

– A co byś chciał? – spytała go, nie pojmując, dlaczego nie jest w stanie jej zrozumieć. – Żebym przeraziła twoją matkę, przyjeżdżając do twojego domu



i zamieszkuje w nim ot tak, po prostu? Co ona o mnie pomyśli? Przypominam ci, że przedstawiłaś mnie jako amerykańską współpracownicę, która zajmuje się tłumaczeniem na angielski jednego z twoich librett.

– A ja ci przypominam, że nie wierzyłem w ani jedno słowo, które wtedy wypowiedziałem.

– Gdybyś kłamał choć w połowie tak dobrze, jak komponujesz...

Przez kolejne tygodnie Lina przyjeżdżała do domu w Mantes w piątki po południu, spędzała tam weekend, a w niedzielę po południu Siergiej odprowadzał ją na stację, gdzie łapała pociąg do Paryża. Dbała o to, by odbywać lekcje śpiewu regularnie. Nie zamierzała ich w żadnym wypadku porzucać. Pomimo pocałunków kradzionych na peronie dworca i w przedziale pociągu Siergiej zwykł przychodzić do domu zdenerwowany, że spędza z Liną tak mało czasu. Któregoś z takich wieczorów matka zaproponowała rozwiązanie.

– Zorganizuj to tak, żeby śpiewała w domu – brzmiała rada Marii wypowiedziana spokojnym głosem przy kolacji. – Niech ona śpiewa, a ty będziesz grał na fortepianie. Oczywiście ja od tego ogłuchnę, ale ponieważ jestem już na wpół ślepa, nie będzie to miało szczególnego znaczenia.

Siergiej popatrzył na matkę. Uwielbiał tę kobietę, która przed laty wolała poświęcić swoje oczy i zostać w barbarii, żeby tylko on mógł wpatrywać się w klawisze fortepianu. Teraz z kolei gotowa była poświęcić słuch, aby umożliwić synowi trwanie w związku, który usiłował przed nią ukryć.

I tak oto pod koniec lipca 1920 roku Siergiej zdołał przekonać Linę, wykorzystując jedyny argument, którego nie mogła odrzucić: pojawienie się nauczycielki śpiewu udzielającej lekcji w jego domu. Lina spędziła sierpień w pięknym domu nad Sekwaną, towarzysząc Siergiejowi i obserwując go w milczeniu, kiedy komponował, biorąc lekcje śpiewu, ucząc się gry w szachy, spacerując po przylegających do ich rezydencji lasach, wchodząc w coraz bliższą relację z Marią Grigoriewną i ciesząc się kolacjami organizowanymi w domu razem z przyjaciółmi i współtowarzyszami, z którymi Siergiej pracował przy balecie *Blazen*: z Siergiejem Diagilewem i dwoma jego najbliższymi współpracownikami, malarzem Michaiłem Łarionowem oraz jego towarzyszką, także malarką, Natalią Gonczarową – dwójką awangardowych twórców rosyjskich, reprezentujących kubizm i rajonizm i pracujących nad dekoracjami do spektaklu.

Te wieczory okazywały się wielce owocne na gruncie artystycznym, co nie przeszkadzało wcale temu, żeby po próbach, kiedy wszyscy relaksowali się w trakcie przyjemnej kolacji i następującej po niej pogawędki, ożywianej paroma kieliszkami czegoś mocniejszego, towarzystwo oddawało się żartom, śmiechowi i anegdotom opowiadanym zwykle przez Diagilewa. Bohaterami tych opowieści, wywołujących powszechną wesołość słuchaczy – a nierzadko i zgorszenie – byli inni koledzy z kręgów artystycznych. Lina miała szczególny dar: wszyscy ją lubili. Wprawiało to Siergieja w dumę, bo czuł się dzięki temu jak triumfator. W przypadku Diagilewa ta fascynacja miała jeszcze drugie dno, o którym wkrótce opowiedział współtowarzyszom, szczególnie Linie, która oczarowała go od pierwszej chwili.

– Zakochałem się w pani kraju, tak jak Prokofiew zakochał się w pani: od pierwszego wejrzenia. – Te słowa rozśmieszyły Linę, a Siergieja wprawiły w zabarwioną

pychą wesołość. – Pamiętam ranek, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Sewilli. W 1917 roku. Nie wiem, czy chodziło o ciepło ludzi, których spotkałem, czy o temperaturę, którą pokazywały termometry, ale w tym starym Kozaku od razu stopniało serce – wspominał. – Podobało mi się, cokolwiek widziałem, i wszystko to chciałbym zabrać do domu.

– To się przytrafia prawie każdemu, kto po raz pierwszy przyjeżdża do Hiszpanii – z dumą zapewniała Lina. – Ludzie chcą wywieźć wszystko, zwłaszcza taniec i muzykę.

– Akurat ten oto pani uniżony sługa nie zamierzał okraść was z flamenco. Ale wiedziałem dobrze, czego chcę. Przygotowywałem spektakl – *Trójgraniasty kapelus* – z dekoracjami mojego uwielbianego Pabla Picassa i z muzyką przyjaciela, Manuela de Falli.

– Ja bym dodała, że twojemu ukochanemu Ravelowi przydarzyło się w Hiszpanii to samo – odpowiedziała śmiało Lina. – I znalazłeś w Sewilli to, czego szukałeś?

– Tak sędzę. Znalazłem to w kawiarni Novedades. Rasowy tancerz, męski, z wielkim temperamentem, typowy Hiszpan. Miał na imię Felix. Był niezwykle silny. W krótkim czasie doprowadził do tego, że mój zespół tańczył farrucę<sup>3</sup>. Znienawidził mnie, kiedy go poinformowałem, że nie wystąpi z nami na scenie teatru Alhambra w Londynie. Ale przecież ja miałem swój balet i potrzebowałem tylko nauczyciela tańca. On tego nie rozumiał. Jakżeż on krzyczał! Nie pojąłem nic z tego, co z siebie wyrzucał, ale nigdy nie spotkałem u nikogo takiej siły głosu.

– Obawiam się, że nie zachował dobrych wspomnień o tym, co się nazywa rosyjską duszą – zażartował Siergiej.

– Jeśli taki gniew Hiszpanów jest cechą narodową – powiedział Diagilew – powinieneś uważać, żeby ich nie drażnić.

Wszyscy się roześmiali, choć Lina wciąż usiłowała zapanować nad rumieńcem, który wykwitł na jej policzkach pod wpływem uparcie powtarzanych osobistych aluzji Diagilewa.

– Uwierz mi, że ciebie to też dotyczy – ostrzegł go Siergiej z ironią w głosie.

Diagilew od początku spodobał się Linie, ale ich wzajemne zrozumienie ukształtowało się podczas tej kolacji. Uwagi szefa Ballets Russes na temat Manuela de Falli i Sewilli wypełniły ją czułością. Obiecała sobie, że jeszcze tego samego wieczoru, kiedy wróci do swojego pokoju, napisze do ojca i oznajmi mu, że go kocha, że za nim tęskni i że czuje się związana z nim tak mocno, jak tylko można sobie wyobrazić.

– Nie zasmuciłem pani, Linette? – spytał Diagilew, dostrzegłszy na twarzy młodej kobiety cień melancholii.

– Nie, przeciwnie. Bardzo mnie ten wieczór uradował. Nie wiedziałam o pana hiszpańskiej przeszłości – odpowiedziała z uśmiechem, odzyskując dobry humor. Ona i Siergiej byli w Paryżu, jedli kolację z przyjaciółmi. Już samo to, tak jak i wszystko, co miało nadejść, powinno być świętem. – Ja z kolei ostrzegam, że mam za sobą przeszłość rosyjską.

– A przed sobą przyszłość, moja droga – dopowiedział Diagilew, odnosząc się ponownie do jej związku z Siergiejem, choć przy tej okazji nie przypawił Liny o rumieniec. Para wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. – I to będzie piękna i bogata

rosyjska przyszłość. – W tym momencie wstał i wzniosł w górę kieliszek, wydając z siebie toast, który podchwycili wszyscy. – *Gorko*<sup>41</sup>

Zgodnie z rosyjską tradycją, jeśli w trakcie wesela rozlega się taki okrzyk, narzeczeni powinni się pocałować. Przynajmniej raz Prokofiew zachował się zgodnie z tradycją.

W domu, w którym obecność przyjaciół była elementem i pożądanym, i częstym, tego typu biesiady ciągnęły się do późnej nocy, kolacje trwały niemal do świtu. Pewnego wieczoru Siergiej i Łarionow zaczęli zachowywać się jak dzieci: pierwszy przyjmował zabawne pozy, unosząc w górę nogi i ramiona i naśladując ruchy tancerzy, drugi rysował jego wygłupy na kartkach papieru. Kiedy zobaczyła to Maria Grigoriewna, natychmiast ofuknęła obu za ich zachowanie.

– Wielcy ludzie nie mogą być komikami. Należą do wieczności. Nie wstyd wam? Co ludzie pomyślą?

To ostatnie pytanie przypomniało Linie matkę; nie potrafiła opanować wzruszenia do tego stopnia, że poczuła w oczach łzy. Może z tego powodu podbiegła do Marii, która przed wyjściem z salonu odwróciła się jeszcze raz, żeby zbesztać syna.

– I zostaw w spokoju swoje ręce. Żyjesz z nich.

To właśnie Lina zajmowała się zwykle matką Siergieja. Nie tylko nie kosztowało jej to żadnego wysiłku, ale czerpała z tej opieki radość. Zrozumienie między nimi z każdym dniem się pogłębiało. Hiszpanka była poruszona obserwowaniem kobiety, która przekroczyła sześćdziesiątkę, i podziwianiem godności, jaką wykazywała pomimo przeszkód stawianych jej przez los. Tylko z nią Maria rozmawiała o okropnych rzeczach, przez które przeszła w obozie dla uchodźców – nigdy nie chciała dzielić się tymi wspomnieniami z synem.

– Życie może być cudowne, jeśli nie przestajesz walczyć. – Lina wiedziała, że nigdy nie zapomni tego zdania, które zawsze towarzyszyło matce Siergieja. – Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz tego, co ja musiałam oglądać. Ale ty nie masz się czym przejmować. Mój syn nigdy by na to nie pozwolił. Miłość jest najlepszą ochroną.

Te słowa napełniały Linę szczęściem. Czasami zadawała sobie pytanie, czy zrozumienie, jakie istniało między nią a matką Siergieja, nie było głębsze niż porozumienie z jej synem.

Podczas gdy Siergiej siedział zamknięty w swoim gabinecie, Maria Grigoriewna dzieliła się z Liną wspomnieniami z jego dzieciństwa, które wciąż były w jej pamięci żywe.

– Pamiętasz, jak któregoś wieczoru powiedziałam do syna, żeby zostawił ręce w spokoju, bo z nich żyje? Od małego zawsze mu to powtarzam. Byłam pewna, że Siergiej zostanie wielkim pianistą, i żyłam w obsesyjnym lęku: żeby tylko nie upadł i nie uszkodził sobie małych rączek. Za każdym razem, kiedy szedł się pobawić z innymi dziećmi z miasteczka, biegłam za nim, żeby się upewnić, czy nie dzieje mu się nic złego.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Siergieja, jak leci na złamanie karku i płata rozmaite figle, nawet kiedy był mały. Zawsze myślałam, że był poważnym dzieckiem, że spędzał całe dni, grając na fortepianie, z dala od ulicy.

– No więc się myliłaś. Musiałam nawet zatrudnić drugą nauczycielkę. Mieliśmy

już jedną, Niemkę, ale chciałam, żeby Siergiej miał francuską guwernantkę. Nigdy nie zapomnę jej nazwiska: Louise Roblain. Ani nocy, kiedy ją przywieziono dyliżansem z Warszawy. Przyjechała głodna, biedne dziecko. Myślę, że nie jadła od paru dni. Kiedy postawiłam jej na stole coś do jedzenia, z głodu nawet nie poznała, że smaruje energicznie chleb nie marmoladą, jak jej się wydawało, tylko czymś zupełnie innym. Ale dobre wychowanie nie pozwoliło jej protestować, że konfitura jest słona i pachnie rybą, i w ogóle jest taką dziwną galaretką.

– A co to było? – spytała Lina, nie mogąc sobie wyobrazić odpowiedzi.

– Zaczekałam do następnego dnia i wytłumaczyłam jej, że marmolada to był kawior. Nie udało mi się nigdy doprowadzić do tego, żeby go polubiła. A jej nigdy nie udało się doprowadzić do tego, żeby Siergiej przestał się zachowywać jak dziecko i żeby sobie obniżał szczydła, kiedy szedł się bawić. Ileż ja razy ją strofowałam, że źle go pilnuje, chociaż robiła wszystko dobrze... teraz to widzę! Ale jej praca polegała na tym, żeby ani na sekundę nie oddalać się od dziecka, nie zostawiać go samego i przede wszystkim pilnować, żeby nie upadł na ziemię i nie zrobił sobie krzywdy, szczególnie w ręce. A Siergiej cały dzień padał na ziemię. Na szczęście nigdy nie wystawiał rąk, kiedy się przewracał, tak jak to wszyscy robią! – Maria zamyśliła się w bardzo podobny sposób, jak robił to jej syn: jej spojrzenie gdzieś uciekło, milczała, zachowywała się, jakby jej ciało nadal przebywało w salonie, ale głowa przeniosła się w inne miejsce, oddalone o tysiące kilometrów.

– Co się z nią potem stało? Widziała ją pani później?

– Straciłam z nią kontakt, kiedy wybuchła wielka wojna. Chciała wyjechać. Martwiła się o rodzinę, która mieszkała w Polsce.

W takich chwilach Lina podchodziła do Marii, obejmowała ją i pomagała poradzić sobie choćby w pewnym stopniu z emocjami, które były niewskazane ze względu na ciśnienie w oku i osłabione serce. Nietrudno było zrozumieć, skąd pochodzą ataki melancholii tak częste u Siergieja, w trakcie których zwykł zamykać się w sobie, jego spojrzenie stawało się nieobecne, ogarniało go przygnębienie i poczucie pustki, skłaniające do odizolowania się od świata.

Gdy skończyło się lato, życie znów przeniosło się do Paryża. Maria Grigoriewna przeszła operację okulistyczną, zakończoną sukcesem – między innymi dzięki długotrwałej rekonwalescencji, w której jak zawsze ważną rolę odegrała Lina. To ona zajęła się opieką nad chorą w pierwszych dniach po zabiegu. Obie spędziły wiele czasu w pokoju hotelu Du Quai Voltaire, gdzie Maria chwilowo przebywała razem z synem, podczas gdy Lina wynajęła pokój w domu blisko opery, przy rue des Italiens. Ani przez chwilę nie przeszło jej przez myśl, żeby przyjąć propozycję Siergieja i zamieszkać razem z nimi w tym samym hotelu, choć ta oferta obejmowała wynajęcie osobnego pokoju, i to nawet na innym piętrze. Na dodatek Lina przebywała w Paryżu i chciała zanurzyć się w atmosferę wolności, niezależności i szalonej rozrywki, która przepełniała miasto. Mieszkać samej i samodzielnie dbać o siebie to była dość pociągająca idea i spełnienie wielu jej oczekiwań. Dlatego postanowiła poszukać pracy, niezależnie od wsparcia finansowego, które oferował jej Siergiej i które wielokrotnie maskował jako zapłatę za tłumaczenia. Lina świetnie wiedziała, że honoraria, których żądały tłumaczki, nie były

nawet w połowie tak wysokie jak kwoty, które ona dostawała. Rozumiała, że jest jeszcze za wcześnie, żeby dano jej rolę w którymś z licznych spektakli wystawianych w paryskich teatrach – mimo najlepszych kontaktów, jakie mógł mieć Siergiej i jakie niewątpliwie mogły ułatwić sprawę. Wciąż jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment, Lina nie była jeszcze przygotowana, żeby zrobić ten ważny krok.

Jak to bywa prawie zawsze w życiu, decydująca okazja pojawiła się całkiem niespodziewanie w trakcie jednego z wieczorów w nocnych lokalach Montparnasse’u, w których bywały najważniejsze postacie awangardy artystycznej, przybyłe do Paryża z najbardziej nieoczekiwanych zakątków świata. Tego akurat wieczoru Lina i Siergiej towarzyszyli Siergiejowi Diagilewowi, Jeanowi Cocteau i nieodstępującemu go Raymondowi Radiguetowi – młodziutkiemu pisarzowi, który był pogrążony w pracy nad swoją pierwszą książką *Opętanie*. Opowiadał w niej historię miłości młodzieńca i żony francuskiego wojskowego walczącego na froncie. Można było pójść do kawiarni Le Dôme, do La Rotonde, La Closerie des Lilas albo do La Coupole, ale Cocteau uparł się na Le Jockey. Występowała tam młoda dziewczyna, która śpiewała prowokacyjne teksty, uzupełniając je ciętymi ripostami i gestami raczej pikantnymi niż dającymi do myślenia, ale sprawiającymi, że widzowie wybuchali entuzjazmem. Nazywała się Alice Prin, ale wszyscy znali ją jako Kiki z Montparnasse’u. Lina była zaskoczona, kiedy po zakończeniu spektaklu ta bogini prowokacji i przesady zbliżyła się do ich stolika i wybrała ją właśnie jako najlepszą towarzyszkę do spędzenia reszty wieczoru – ku niezadowoleniu pozostałych biesiadników. Lina nie mogła nic poradzić: czuła się wręcz zahipnotyzowana obecnością Kiki.

Zaczęły rozmawiać i wkrótce wyznawały sobie różne rzeczy z taką łatwością, z jaką szampan lał się do kieliszków.

– Niedawno przyjechałaś do Paryża, prawda? To widać. I że nie przeżyłaś głodu, też widać. – Kiki zauważyła urodę Liny, jej elegancję i wyrafinowanie widoczne we wszystkich ruchach. Hiszpanka od pierwszej chwili zrobiła na niej miłe wrażenie. Roztaczała wokół siebie subtelną i wytworną aurę, jak aktorka filmowa. – Nie myśl, że to nic nie znaczy. Na to zawsze jest jeszcze czas. Ja już nie pamiętam dnia, w którym przyjechałam do tego miasta. Kiedy moja matka się dowiedziała, że pozowałam nago pewnemu malarzowi, powiedziała, że jestem kurwą i że nie chce mnie więcej widzieć. Miałam siedemnaście lat, gdy znalazłam się na ulicy. Ale posłuchaj mnie dobrze – powiedziała, opróżniając kolejny kieliszek szampana, dopiero co podany przez kelnera, do którego Kiki uparcie mówiła Pierre. – To było najlepsze, co mi się mogło przytrafić. Teraz moim światem jest Montparnasse i ta rodzina, wszyscy ci wielcy artyści, których tu widzisz. Lecz nie daj się im oszukać. Wszyscy mówią o miłości, ale nikt jej nie umie uprawiać.

Przez cały wieczór Lina nie przestawała śmiać się ze zdarzeń, o których siedząca przy niej kobieta opowiadała, jakby znały się od dziecka.

Nigdy nie zapomniała pierwszej rozmowy z Kiki, po której nastąpiło wiele innych – zarówno oszukańczo powierzchownych, jak i prześmiewczo głębokich.

W ciągu najbliższych dni Lina doszła do wniosku, że zastosuje się do rady Kiki. Być może pod wpływem lęku przed tym, z czym może mieć do czynienia w La Chauve

Souris, wołała wcześniej porozmawiać o tym z Siergiejem, który potrafił trzeźwo ocenić sytuację. Znał los tego przedsięwzięcia muzycznego, wymyślonego w Rosji w 1908 roku przez Nikitę Baliewa, zmuszonego przez sytuację polityczną po rewolucji bolszewickiej do przekształcenia teatru w wędrowną trupę, odwiedzającą z sukcesem takie miasta jak Nowy Jork, Londyn i Paryż. W ich repertuarze znalazły się występy artystów uświetniających sceny teatrów w carskiej Rosji, a także spektakle o bardziej eksperymentalnym charakterze, sytuujące się między operą a kabaretem i zdobywające uznanie publiczności.

– Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Świetny sposób, żeby wejść w kontakt z tym światem. I pomogłoby ci opanować to nieszczęsne zdenerwowanie, które zjada człowieka za każdym razem, kiedy wychodzi na scenę – powiedział Siergiej.

Lina знаła tę dolegliwość, którą odczuwało wielu artystów stających oko w oko z publicznością, bo wielokrotnie widziała jej objawy u własnego ojca. Przerażało ją, że mogłaby odziedziczyć po nim to uczucie strachu, scenicznego zawrotu głowy. Była świadoma, że musi z nim walczyć.

Nie była pewna, czy wynikało to z wcześniejszej rozmowy Siergieja z Nikitą Baliewem, czy z jakości jej głosu, ale bez trudu zdobyła kontrakt w La Chauve Souris.

Jej głos od początku się podobał. Na pewno należał do najlepszych, jakie słyszano w La Chauve Souris, a jej interpretacje wszystkim sprawiały przyjemność. Ale Lina nie przekonywał ani spektakl, ani miejsce. Nie czuła się tam komfortowo, dręczyły ją wątpliwości i wstyd. Za ich sprawą w chwilach poprzedzających wyjście na scenę całe jej ciało zaczynało dygotać. Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, odbierając możliwość wydobywania jakiegokolwiek dźwięku. Dłonie jej się pociły, czuła suchość w ustach, w skroniach bolesne pulsowanie, a jej głos nie osiągał takiego tonu jak powinien. Nie podobały jej się warunki panujące za kulisami, a na scenie czuła się dość śmiesznie. Sądziła, że lokal nie dorasta do jej możliwości i nie odpowiada temu, o czym zawsze marzyła; bała się, że pozostawanie w nim przez dłuższy czas może okazać się szkodliwe, o ile chciałaby robić karierę w świecie opery.

Próbowała, ale nie wyszło to dobrze. Nie czuła rozczarowania, raczej ulgę. Znała życiorysy wielu artystów i gratulowała sobie, że zdobyła własne doświadczenia. Początki nie są łatwe, każdy w którymś momencie ponosi klęskę, czyta miażdżące recenzje i zniechęcające słowa, a nawet myśli o rzuceniu ręcznika na ring. Ale zamiast stracić serce i popaść w zniechęcenie, bohaterowie tych opowieści szli dalej swoją drogą bez oglądania się do tyłu. To niepowodzenie sprawiło, że Lina w większym stopniu poczuła się artystką. Bo coś się przecież zaczynało.

<sup>3</sup> Jedna z odmian flamenco, tradycyjnie tańczona tylko przez mężczyzn.

<sup>4</sup> Z ros. „gorzko”.

– Potrzebuję powietrza.

Lina wparowała do pokoju jak podmuch wiatru – chłodnego i nieprzewidywalnego, gotowego wzbić w górę partytury, na które Siergiej próbował przenieść roje nut kłębiących się w jego głowie i walczących o to, by zeskoczyć na pięciolinię, gdzie mogłyby rozpocząć nowe życie. Pierwszy raz się zdarzyło, że w tak gwałtowny sposób Lina weszła do świątyni, w której komponował. Ale słowa jej nauczycielki śpiewu wytrąciły ją z równowagi. To nie był dobry dzień. Chciała podzielić się z kimś swoimi uczuciami, a także tym, czego nie mogła powiedzieć pannie Litwin. I tą osobą musiał być właśnie on, który najbardziej ją kochał i interesował się nią. Gniew Liny wcale nie ustępował, wręcz przeciwnie – następowało *crescendo*, tak jak w *Suicie scytyjskiej* Prokofiewa, jednej z jej ulubionych, bo uważała ją za dowód geniuszu orkiestrowego kompozytora, który teraz akurat wpatrywał się w swoją ukochaną, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Mówi, że nie umiem oddychać! To jak, według niej, przeżyłam tyle lat? Siedziałam w jakiejś bańce powietrza? Te dawne sławy starzeją się i wariują. Najgorsze, że ona by chciała, żebym ja też zwariowała. Chcę zmienić nauczycielkę. Chciałabym spróbować z Emmą Calvé. Ona będzie mnie lepiej rozumieć.

Lina była pełna entuzjazmu i nadziei, kiedy zaczęła lekcje śpiewu z szanowaną sopranistką z Sankt Petersburga – Felią Litwin – którą Siergiej namówił, opowiadając jej o możliwościach wokalnych przyszłej uczennicy.

– Ma piękny głos, ale trzeba go wypolerować – brzmiało orzeczenie maistry.

Jednak Linie nie podobały się niektóre komentarze nauczycielki.

– I mówi, że nie mam cierpliwości! Ja! Ja, żywy obraz cierpliwości! Uwierzyłybyś w to?

– Czy mógłbym uwierzyć, że cierpliwość nie jest twoją mocną stroną? Robisz wszystko, co możesz, żeby mi ułatwić odpowiedź – powiedział Siergiej, patrząc na nią sponad okularów.

Od wejścia Liny nie zdołał jeszcze zareagować na sytuację, zdejmując dłonie z klawiatury. Przyglądał jej się przez kolejnych kilka sekund. Była dziś naprawdę piękna. Rumieniec na twarzy przydawał jej szczególnej aury, dzięki której wyglądała płomiennie i olśniewająco; jak mawiała Maria Grigoriewna, „z gorączką wszystko wydaje się ładniejsze”. Ale jego proces twórczy właśnie ucierpiał przez tę nieoczekiwaną przerwę, a nuty, które czekały rozwścieczone w jego głowie, zaczynały ją rozsadzać, błagając o możliwość wyjścia na zewnątrz.

– Nie mogłaś poczekać, aż skończę, żeby mi to opowiedzieć?

Lina spojrzała na niego, jakby akurat wymierzył jej policzek w trakcie ataku nerwowego, a ten otrzymany cios zdołał chwilowo uspokoić jej wściekłość, ale jej nie zdusił, wręcz przeciwnie. Wiedziała, że Siergiej ma rację, że nie powinna wchodzić do niego w taki sposób, kiedy jest w trakcie procesu tworzenia, że mogła co najwyżej pozostać milczącym widzem, tak jak to często robiła wcześniej. Ale tego dnia nie czuła

się dobrze. Była zdenerwowana, niespokojna, przejęta wydarzeniami i hiszpańska krew – argument-fetysz, którego zwykła używać matka, żeby tłumaczyć wybuchowe usposobienie Liny – zawrzała w jej żyłach. Ona też potrzebowała swojej porcji zrozumienia przez innych i po prostu dała się ponieść nastrojowi. Ale rezultat był inny, niż oczekiwała. Na jej twarzy dawało się dostrzec rozczarowanie, które niedługo potem znalazło odbicie w słowach.

– Zaczynam mieć dość tej sytuacji. Czuję, że zawsze jestem w twoim życiu na drugim miejscu, że mnie nie cenisz, że w gruncie rzeczy cię nie obchodzę, jestem dla ciebie tylko rozrywką. Moja matka miała rację. – Było to zdanie, którego Siergiej chyba najbardziej nienawidził, ponieważ stało się pociskiem w coraz częstszych kłótniach między nim a Liną. – Czasami wydaje mi się, że chcesz być ze mną tylko po to, żeby przedstawiać mnie swoim przyjaciółom i popisywać się przed nimi, pysnić się jak paw. – Rumieniec i podekscytowanie Liny powoli przekształcały się w niekontrolowaną wściekłość. – Kim ja dla ciebie jestem? Jaką rolę gram w twoim życiu?

– Nie będę prowadził teraz tej rozmowy. Raz jeszcze mówię, że nie. To ponad moje siły. – Siergiej zdjął okulary i zaczął czyścić szkła białą chusteczką. Był to jego częsty gest, kiedy miał do powiedzenia coś, co wiązało się z silnymi emocjami, i nie wiedział, jak to z siebie wyrzucić. – Muszę przyspieszyć podróż do Stanów Zjednoczonych.

– Zamierzasz mnie tutaj zostawić? – spytała Lina, która nie wiedziała, czy ma wybuchnąć płaczem, czy zacząć krzyczeć.

– Nigdzie cię nie zamierzam zostawiać. Zamierzam pracować. Świetnie wiesz, jak wygląda życie artystów. Twój rodzice wyjeżdżali na tournée, kiedy byłaś mała, i nie mówiłaś im, że cię zostawiają.

– Bo przebywałam z dziadkami. Byli moją rodziną.

– Tu jest moja matka. Też jest twoją rodziną, dobrze o tym wiesz! – Siergiej także zdążył już stracić cierpliwość. Źle znosił sytuacje pełne napięcia. Zawsze czuł się podczas nich niepewny i zagrożony. – Mieszkasz w Paryżu, uczysz się śpiewu. Lina, czego jeszcze chcesz?

– Ciebie. Nie pytaj mnie dlaczego, ale chcę ciebie. I chcę być z tobą, ale nie byle jak, nie w ten sposób. – Zaczynała nową bitwę w ramach tej samej starej wojny, którą toczyli już od dawna: o sformalizowanie ich związku i ustabilizowanie jej sytuacji.

– Bardzo dobrze. Jedź ze mną.

– Nie mogę opuszczać lekcji. Nie mogę jechać za tobą za każdym razem, kiedy masz koncert w jakimś miejscu na świecie. Ja też mam swoje marzenia, chociaż tobie się wydają nieważne.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale on też się tak zachowywał wobec niej. Siergiej interesował się postęпами Liny, ale często nie wyrażał się o nich z takim entuzjazmem, jakiego ona pragnęła i za jaki byłaby wdzięczna. Taki już był: kiedy muzyka wrzała w jego głowie, żądając wyjścia na zewnątrz, zamykał się w swoim świecie i nikt ani nic nie było w stanie go stamtąd wyrwać. Jego muzyka stała na pierwszym miejscu, była jego życiem. „My, Rosjanie, kochamy muzykę, ponieważ jest zjawiskiem bardziej realnym niż życie” – zwykł do niej mawiać, nie po to żeby karmić swój skrajny egocentryzm, tylko dlatego, że tak naprawdę czuł.



– Lina, nie zachowuj się jak rozkapryszony dzieciak. Chyba wiedziałaś, jak wygląda mój warsztat pracy? Właśnie dostałem potwierdzenie, kiedy odbędzie się premiera mojej opery *Miłość do trzech pomarańczy*, kończę balet *Błazen* i zacząłem komponować *III Koncert fortepianowy*. Tak trudno ci to zrozumieć? – pytał Siergiej. Wydawał się zmęczony, pokonany, jakby wrócił z jakiejś wojennej potyczki. Nie lubił się kłócić i można to było zauważyć.

– A czemu wyjeżdżasz tak nagle? Dopiero co wróciłeś z ostatniej trasy koncertowej...

– Muszę się zobaczyć z Niną Koshetz. Być może będzie idealnym głosem do mojej opery. Jest w Nowym Jorku i prosiła, żebym przyjechał na przesłuchanie.

Była to ostatnia rzecz, którą Lina chciała usłyszeć. Wypowiedziane przez Siergieja nazwisko zdołało zmienić jej nastrój z równą łatwością, z jaką w swoim czasie dokonywało tego nazwisko Stelli Adler.

Siergiej zaczynał lepiej rozumieć przyczyny złości Liny. Najwyraźniej nazwisko ukraińskiej sopranistki musiało zostać wypowiedziane przez panią Litwin, ponieważ Nina była jedną z jej wybitnych uczennic. Linie nie podobała się ta Nina. Najpierw przez długi czas ciągnął się za nią cień Stelli Adler, a teraz w otoczeniu Siergieja pojawiała się kolejne nazwisko. Ukrainka chciała zdobyć rolę w operze *Miłość do trzech pomarańczy* i była gotowa zrobić wszystko, żeby to osiągnąć. Niezależnie od tego, ile razy Siergiej powtarzał Linie, że chodzi wyłącznie o kontakty zawodowe, i jak niedorzeczne wydawały mu się jej obawy, nie zdołał przedstawić niezbędnych argumentów, żeby ją przekonać.

– Lina, nie możesz mi urządzić takich scen zazdrości. Są absurdalne i dziecinne, a poza tym okropnie niesprawiedliwe. Nie doprowadzą nas nigdzie. Wiesz przecież, że interesuje mnie tylko jej głos. Przykro mi, ale jest cudowny. Odpowiada mi bardziej niż głos Very Janacopoulos! Potrzebuję głosów, dobrych głosów. Myślę o sukcesie utworu, o niczym więcej. A ty powinnaś to rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny.

– Potrzebujesz głosów? A co z moim? Powiedz mi: kiedy twoim zdaniem będę w stanie zaśpiewać na scenie? Jeśli ty z twoim nazwiskiem i kontaktami nie jesteś w stanie mi pomóc, to kto to zrobi? Żadna śpiewaczka nie dokonała niczego bez pomocy. Nawet twoja uwielbiana Nina Koshetz, jak dobrze wiesz...

– Przecież jest jeszcze za wcześnie. Rozmawialiśmy już o tym tysiąc razy – odpowiedział, dokładając starań, żeby miarkować słowa i nie zranić jej wypowiedzianym w chwili gniewu osądem. Wiedział, że Lina ma dobry, wręcz wspaniały głos, ale nie miał pewności, czy okaże się dostatecznie niezwykła, by zatriumfować na scenie. I oczywiście nie sądził, żeby była już gotowa wyjść na deski teatru, tym bardziej że zdawał sobie sprawę z jej niepewności i zdenerwowania w takich chwilach. Rekomendowanie jej na tym etapie byłoby przedwczesne i nie mieściło się w jego planach. Choć Lina w to nie wierzyła, wyrządzał jej w ten sposób przysługę. Inne postępowanie oznaczałoby wrzucenie jej do jamy pełnej dzikich bestii, które mogłyby ją unicestwić. – Sądziłem, że to rozumiałaś.

– Wiesz, co rozumiałam? Że ona bez przerwy do ciebie pisze. Dostajesz listy po dziesięć i piętnaście stron, w których opowiada ci, co przekazało jej medium: że będzie miała z tobą romans! Jak może być tak bezwstydną! Nie dość jej zamieszania, jakiego

narobiła w małżeństwie Rachmaninowa? Jak ty możesz jej na to pozwalać? – Serce Liny skakało w jej piersi, utrudniając oddychanie. W takich momentach z jej ust mogły się wydostać dowolne słowa. – Nie mówiąc już o tym, że to Żydówka.

– Dość tego! Wiesz, że nie lubię, kiedy tak mówisz. – Krzyk Siergieja, a właściwie głośny ryk, słycać było w całym domu.

Ręce Marii Grigoriewny zaczęły się trząść. Siedziała w sąsiednim pokoju i układała wycinki prasowe, w których występował jej syn i które później przechowywała wklejone do zeszytu. Te krzyki Siergieja i Liny bolały ją i przerażały.

Przez chwilę panowała cisza, wypełniona takim samym napięciem, jakie w spustoszonej terenie zostawia po sobie niszczycielski huragan. Lina uciszyła się, obserwując, jak twarz Siergieja nabiera koloru ognia w rezultacie podniecenia, w jakie wpadł. Złapał się rękami za głowę, bo czuł, że w jej wnętrzu rodzi się kolejny atak migreny, który będzie ją zaraz rozsądzał. Ciało Liny też odczuwało uwolnione napięcie. Od kilku miesięcy, po tym jak przeszła operację wyrostka robaczkowego, kilkucentymetrowa blizna męczyła ją nagłymi ukłuciami bólu, szczególnie przy zmianie pogody albo kiedy przeżywała stres. A ostatnio burze nigdy nie przychodziły z nieba, tylko z ziemi, którą dzieliło ze sobą tych dwoje.

– Skoro jedziesz do Nowego Jorku, nie będzie dla ciebie problemem odwiedzić moją matkę – powiedziała w końcu Lina, godząc się z nieuniknionym. – Albo przynajmniej do niej zadzwonić. Chyba że będziesz zbyt zajęty panną Niną „Rozbijaczką Par” Koshetz. – Wypowiedziała te słowa najspokojniej w świecie. – Zostawiam cię teraz z twoją pracą. Nie chcę przeszkadzać geniuszowi.

Siergiej nie zaliczał się do tych, którzy w takiej sytuacji wybiegają za kobietą, żeby wyładować swój gniew. Nie leżało to w jego naturze ani w temperamencie. Maksimum tego, na co sobie pozwalał, to dopaść fortepianu i zagrać jakiś utwór, który działał uśmierzająco na wzburzenie w jego duszy. *Życzenie* Chopina nigdy w takich sytuacjach nie zawodziło. Słuchając tej muzyki wykonywanej przez Prokofiewa, także Lina odzyskiwała równowagę emocjonalną.

Maria Grigoriewna próbowała pośredniczyć w załagodzeniu tego nieporozumienia, tak jak wiele razy wcześniej. Udało jej się dotrzeć matczynym głosem do serca Liny.

– Nie naciskaj na niego, Linette. Jest jak dziecko. Jeśli czuje się prześladowany, zamknięty, wybiega i pędzi na złamanie karku. A dzieci czasami nie umieją wrócić do domu.

Lina zatrzymała się i przez chwilę patrzyła na Marię. Zbliżyła się do niej i pocałowała ją, jak własną matkę. Ta kobieta widziała już i słyszała zbyt wiele. Lina nie chciała dokładać jej kolejnych ciężarów.

Być może ta podróż okaże się dla obojga zbawcza. Może odległość podziela jak skuteczny balsam przyłożony na ranę, która coraz częściej się otwierała i coraz trudniej zablizniała.

Listami, które kursowały przez Atlantyckie, próbowali skracać dzielący ich dystans fizyczny i myślowy. Ich korespondencja zawsze płynęła swobodnie. Pisali do siebie ze szczerością, snuli plany i składali sobie obietnice, zawsze też dominowało w tych listach poczucie humoru – wspólne obojgu. Porozumiewali się po angielsku, żeby pisać

o sprawach osobistych, podczas gdy rosyjski i francuski służyły im do rozpisywania się o kwestiach zawodowych. Ale tym razem kontakt pocztowy też nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Sytuacja nie poprawiła się, kiedy Lina dostała ze Stanów Zjednoczonych list od Siergieja, w którym – zgodnie ze zwyczajem relacjonowania ze szczegółami, co robił dzień po dniu – opowiadał z nieco nadmiernym entuzjazmem o premierze filmu Johna Forda *Hitchin' Posts*. Główne role grali tam Frank Mayo oraz Dagmar Godowsky. Za każdym razem, gdy w którymś z listów Siergieja Lina widziała nazwisko jakiejś kobiety, uważała to za prowokację, szczególnie jeśli nazwisku towarzyszyły obszerne pochwały. Odpowiadając na listy, nie ukrywała swoich reakcji. „Cieszę się, że spotykasz się z tą wampirzycą pierwszej klasy, ale wolałabym, żebyś mi oszczędził szczegółów, bo i ja zacznę ci z taką samą precyzją chirurga opowiadać o swoich spotkaniach”.

Lina żałowała swoich cholerycznych ataków wywoływanych przez chorobliwą zazdrość. Coraz trudniej było jej się kontrolować, ale wiedziała, co ma zrobić, i czyniła wysiłki, żeby to osiągnąć. Nie chciała prowokować wybuchów Siergieja i bała się, że jedna niewłaściwa reakcja może zniszczyć cały ich romans. Kochała go i pragnęła z nim być, choć irytował ją jego brak zdecydowania w kwestii sformalizowania związku. Uznała, że rzeczą najmądrzejszą i najmniej szkodzącą jej zdrowiu będzie wzmocnienie w relacjach z nim samej siebie, schowanie dumy do kieszeni i korzystanie z uroków pobytu w Paryżu, niezależnie od tego, gdzie w danej chwili znajduje się Siergiej. Wydawało się to skomplikowane, ale Lina nie zamierzała się poddawać. Zamierzała wcielić w życie francuską zasadę militarną wypowiedzianą przez Georges'a Dantona w trakcie rewolucji francuskiej: „Do zwycięstwa potrzebna nam odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi”.

W tym względzie Lina była gotowa poczuć się bardziej francuska niż *Marsylianka*. Miała odpowiednie znajomości i dostatecznie dużo energii, żeby dać się ponieść świątecznemu nastrojowi Paryża, w którym wymagano właściwie tylko ochoty na dobrą zabawę i czegoś do zaoferowania. A ona dysponowała obiema tymi rzeczami.

Stałym przystankiem na trasie jej wieczornych wyjść stały się kluby jazzowe. Syciła się atmosferą tych lokali, skąpanych w muzyce, która pozwalała zapomnieć o wszystkim, co istniało poza klubowymi czterema ścianami. Linę ogarnął istny szal słuchania tego rodzaju muzyki, wprowadzonego do Europy przez Amerykanów, a konkretnie czarnoskórych żołnierzy wchodzących w skład oddziałów armii USA przybyłych do Paryża w czasie wielkiej wojny. Powracające jazzowe motywy uruchamiały w ciałach słuchaczy chęć zatracenia się w szaleńczym rytmie, bez myślenia o tym, co się zdarzy, gdy muzyka ucichnie.

Jazz nie był jedynym gatunkiem muzycznym, który ożywiały paryskie noce. Lina słuchała jeszcze innych, które w zapale do integrowania się z ludźmi często ze sobą myliła, na przykład swinga i charlestona. Kobiety rzucały się do tańca, wykonując swobodne, spontaniczne ruchy, angażując w to ducha improwizacji oraz nadmiar energii. Odzwierciedlało to idealnie atmosferę, którą oddychało miasto. Każdy dzień ofiarował Linie sposobność, by odkryć coś nowego. Wreszcie czuła się usatysfakcjonowana swoimi postępami na zajęciach z nową nauczycielką, Emmą Calvé, która wypowiedziała

magiczne słowa:

– Pani głos brzmi bardzo dobrze. Już niedługo będzie pani gotowa, żeby wyjść na scenę i pokazać światu, kim pani jest.

Potwierdziła również pewne podejrzenia, które jej uczennica od jakiegoś czasu żywiła.

– Pani głos brzmi jak prawdziwy, lekki sopran. A pewnie usiłowano z pani zrobić sopran liryczny lub dramatyczny. To jest wbrew naturze pani głosu. Zupełnie do pani nie pasuje.

Być może właśnie te słowa były Linie potrzebne, żeby wzmocnić jej poczucie własnej wartości – proste słowa pozwalające odetchnąć, zdanie niosące w sobie uznanie, które ugruntuje jej wiarę w swoją przyszłość profesjonalnej śpiewaczki. Jej repertuar rozszerzał się niemal codziennie, a głos brzmiał coraz lepiej, co pozwalało jej brać udział w niewielkich koncertach czy wieczorkach muzycznych, do których sama wybierała pieśni. Pierwsze oklaski, jakie otrzymała, wywołały w niej dziwne uczucie. Za każdym razem, gdy z jej ust wydobywały się arie – czy to ze *Złotego kogucika* Rimskiego-Korsakowa, czy to z opery *Lakmé* Léo Delibes’a – Lina miotła się między zdenerwowaniem a podnieceniem. Nie miała wątpliwości, że właśnie takiego świata pragnęła, aczkolwiek nie potrafiła uniknąć wrażenia, że czegoś jej brakuje, żeby poczuć pełnię życia. Brakowało jej Siergieja, jego aprobaty, jego obecności, utkwionego w niej spojrzenia niebieskich oczu. Chciała, żeby słuchał, jak interpretuje jedną z jego pieśni, *Wspomnienie słońca*, do słów poetki Anny Achmatowej, żeby uczestniczył w tym, co ją samą uszczęśliwia. Chciała, żeby był blisko niej i stał się świadkiem chwil jej radości, sukcesów, żeby razem z nią cieszył się pochwałami i postępami. Jakże pragnęła, żeby wysłuchał jej doskonałej interpretacji arii z *Manon*! To samo poczucie niekompletnego szczęścia dopadało ją za każdym razem, kiedy szła na jakiś koncert, siadała w ogródku kawiarni albo zakładała po raz pierwszy nową suknię – bez jego udziału. Jej duszę ogarniał wtedy smutek, wywołany nieobecnością kogoś tak bardzo kochanego, tak głęboko umiłowanego. Wszystko wyglądałoby lepiej, gdyby on był u jej boku. Choć próbowała temu zaprzeczać, popadła w zależność od Siergieja, otepiającą jej zmysły. Przerazało ją, że pod nieobecność Prokofiewa nie potrafi osiągnąć pełni zadowolenia, bo żadna pełnia nie była bez niego tak naprawdę kompletna. Przerazała ją nieprzyjemna obawa, że nic nie może się skończyć dobrze, jeśli on na to nie patrzy, nie słucha, nie szepcze jej do ucha komentarza, który uwieczniłby dany moment i zapewnił mu trwałe miejsce w pamięci.

Ale musiała iść naprzód, choć nie chciała całkiem dać się ponieść.

Lina potrafiła czerpać zadowolenie z odkrywania uroków miasta. Czasem polegała w tym względnie na sprawdzonych, a czasem na improwizowanych przewodnikach. Pewnego dnia funkcję tę pełnił młody Raymond Radiguet. Przypadkowo spotkawszy Linę, zaoferował jej swoje usługi. Obiecał, że Paryż znajdzie się u jej stóp. Jego towarzystwo sprawiało Linie pewną przyjemność, choć był od niej sporo młodszy. Bawiła ją ta gra paradoksów, która dość szybko nabrała kształtu w jej głowie: Raymond próbował ukryć starego dorosłego pod postacią dziecka, podczas gdy Prokofiew ukrywał dziecko pod postacią dorosłego mężczyzny.

Pisarz upierał się, że nakreśli dla niej wyobrażoną mapę Paryża.

– Żeby się w czymś zakochać, trzeba to najpierw podziwiać. Jeśli nie znasz dobrze terenu, w który się zapuszczasz, możesz żałować.

Lina nie wiedziała, czy ukryte intencje, które przypisywała wszystkim słowom wypowiedzanym przez Raymonda, powstawały w jej głowie, czy też istotnie w nich tkwiły.

– Gdyby trzeba było wybrać dzielnicę Paryża, która stanowi o charakterze miasta – powiedział Raymond – głosowałbym na Ósmą. Według mnie jest najbardziej elegancka i dostojna, z Polami Elizejskimi, la Madeleine, Łukiem Triumfalnym i operą. Oczywiście nie należy pogardzać Osiemnastą, w której znajdziesz magię Montmartre’u i Clichy. A skoro rozmawiamy o placu Clichy, powiedz, czy lubisz kino.

Nagle umysł Liny zdominował obraz Dagmar Godowsky, czego odbiciem była jej niezadowolona mina. Kiedy to się skończy? Kiedy uda jej się dojść do stanu, w którym wszechświat Prokofiewa nie będzie wiecznie tkwił w jej głowie i przestanie wyznaczać wszystkie wymiary jej życia?

– Cóż... Tak... – odpowiedziała głosem pełnym wahania.

– Zresztą to nie ma znaczenia – ciągnął dalej Raymond. – Chodzi tylko o to, żebyś zobaczyła w kinie Gaumont Palace sześć tysięcy foteli zajętych przez widzów. To największa sala projekcyjna na świecie, warto się tam wybrać na jakiś film. Robi wrażenie, kiedy się widzi całą salę pełną, niezależnie od tego, kto pojawia się na ekranie.

Wyczerpani – Lina zapomniała bowiem, że Raymond to nie Siergiej, jeśli chodzi o pasję spacerowania – usiedli przy jedynym wolnym stoliku w ogródku kawiarni Le Dôme, gdzie jej towarzysz przywitał się z paroma zaprzyjaźnionymi pisarzami, ona zaś pozdrowiła kilkoro innych znajomych.

– Mówiono mi, że stałym klientem tej kawiarni był Lew Tołstoj. Mam zresztą wrażenie, że Paryż jest pełen takich duchów. Nie wiem, czy wystarczyłoby miejsca dla wszystkich, o których się mówi, że tu bywali albo nadal bywają – powiedział pisarz, odmawiając wzięcia cukru, który Lina podała mu do kawy. – Ale zawsze miło dzielić jakieś miejsce z rodakiem, kiedy jest się z dala od domu.

– Przypominam ci, że jestem Hiszpanką, a nie Rosjanką.

– No właśnie, dziwiła mnie taka egzotyka u bolszewiczki – odpowiedział, wypowiadając ostatnie słowo ironicznym tonem.

Lina przyjęła ten komplement szerokim uśmiechem, a jej zagubione spojrzenie wędrowało wokół jakichś nieznanymi ludzi, którzy przed nimi defilowali.

– Jesteś smutna? – spytał Raymond zdziwiony zmianą w zachowaniu Liny, która nagle zamilkła po całym popołudniu wypełnionym rozmową i wesołymi opowieściami.

– Nie – skłamała, ufając w swoje zdolności aktorskie, które tak podkreślała pani Litwin. – Tylko się zastanawiam. Wybacz mi, jestem źle wychowana.

– Myślisz o nim? – spytał, nie zważając na niedyskretny charakter swojej ciekawości. Widział ją wcześniej w towarzystwie Prokofiewa, tak jak i ona widziała go z Jeanem Cocteau. Jej związek był publiczną tajemnicą w mieście, w którym nie było miejsca na sekrety, bo o wszystkim rozmawiano, wszystko sobie pokazywano i wyobrażano.

– Nie myślę o nikim.

– Wszyscy o kimś myślimy. Wszyscy robimy coś dla kogoś. – Przyglądając się Linie, wiedział, że jego słowa trafiły w sam środek tarczy, i zachwycił się własną celnością. – A ty dla kogo śpiewasz, Linette?

– Dla siebie – skłamała ponownie.

– Jesteś kłamczuchą. Piękną, zachwycającą i błyskotliwą kłamczuchą. I pewnego dnia to właśnie może cię uratować.

Lina odstawiła filiżankę z kawą, którą trzymała w dłoniach tak, jak gdyby był to skarb potrzebujący ochrony.

Wracając do domu, postanowiła, że nie pozwoli nogom odpocząć, i poszła dalej po paryskich brukach, choć nie ułatwiały jej tego wysokie obcasy, z których nigdy nie rezygnowała. Porzuciła pomysł, żeby wracać metrem.

Przeszła ulicą pełną różnokolorowych straganów. Niczego nie szukała, chciała tylko, żeby jej oczy wyłapywały różne szczegóły świata, który otwierał się przed nią z każdym kolejnym krokiem. Nie przyglądała się mijającym ją osobom, aż natknęła się na ubraną na czarno kobietę z długimi, lekko siwiejącymi włosami i mądrym wyrazem twarzy, choć wyglądającą nieco niechlujnie. Siła jej spojrzenia, czystego i lśniącego, zmusiła Linę do opuszczenia wzroku na kawałek kartonu, który kobieta trzymała w trzęsących się rękach – widniał tam krótki komunikat zapisany nierównymi literami: *Votre avenir pour dix francs*<sup>5</sup>. Kobieta nie odezwała się ani słowem, nawet nie zachęcała jej do skorzystania z usługi. Ograniczyła się do uważnego spojrzenia, bez żadnych gestów, bez nalegania, bez argumentów, bez żadnych próśb.

Przez kilka chwil przedłużającej się niepewności pomysł wejrzenia w przyszłość wydawał się Linie atrakcyjny. W końcu pokonała w sobie pokusę szpiegowania własnego życia. Wolą dać mu się zaskoczyć, jak to zresztą zawsze do tej pory robiła.

Tej nocy życie ją rzeczywiście zaskoczyło.

<sup>5</sup> Z franc. „Twoja przyszłość za dziesięć franków”.

Wcale nie przesadzała. W linijkach listu od jego matki nie było ani jednego kłamstwa mającego ukryć jakieś ostrzeżenie. Maria Grigoriewna ani trochę nie koloryzowała rzeczywistości, kiedy pisała do syna, donosząc mu o sukcesie, jaki jego *Suita scytyjska* odnosi w paryskim Palais Garnier, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej w Salle Gaveau. „Miałeś rację, tamta sala była za mała na tak wielką orkiestrę. Ale jedno się ani trochę nie zmieniło: twój utwór niesie przekaz. Ogarnia mnie wzruszenie, kiedy patrzę, jak Lina emocjonuje się tym dziełem, szczególnie czwartą częścią, tą ze *Wschodem słońca*”.

Nie można jednak było wykluczyć, że Maria celowo dodawała do tej relacji pozornie niewinne komentarze, które w gruncie rzeczy miały skrywać całkiem inne intencje. Na przykład opisywała, jakby chodziło po prostu o jedną informację więcej, jak pięknie Lina wyglądała w łoży, którą dzieliła z Ravelem. „Przez cały czas okazywał zachwyt naszą Linette, tak jak wszyscy mężczyźni, którzy się do niej zbliżali z uśmiechem i pełną gamą komplementów. Nic dziwnego. Pięknieje z dnia na dzień i widać, że jest szczęśliwa”.

Ilekróć wzrok Siergieja natrafiał na zapisane imię Liny, niepokoiło go dziwne uczucie smutku, przeczucie nieszczęścia, pozbawiające radości z sukcesu jego dzieła w Paryżu i wytrącające ze sztucznego spokoju, jaki towarzyszył mu podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych. Zawsze kiedy sądził, że jego uczucia wobec niej stygną, że ich relacje dochodzą do martwego punktu i że pewnie należy się z tym pogodzić, przychodził list od matki albo też imię Liny pojawiało się w innym miejscu, budząc to, co wydawało mu się uśpione.

Lina też o nim nie zapominała, a tym bardziej nie była skłonna pozwolić, by on zapomniał o niej. Może z tego powodu postanowiła wysłać mu telegram z gratulacjami po premierze *Miłości do trzech pomarańczy* w Chicago. Kiedy Siergiej trzymał w rękach ten arkusik papieru, poczuł przemożną potrzebę powrotu do Paryża.

Nie chciał jej zawiadamić o przyjeździe. Nie umiał wytłumaczyć dlaczego. Mało prawdopodobne byłyby wyjaśnienia romantycznej natury, że chodzi o niespodziankę sprawioną ukochanej – przede wszystkim dlatego, że Siergiej nienawidził niespodzianek i na gruncie sentymentalnym był po prostu analfabetą. Wolał wszystko kontrolować, choć zdarzały mu się także improwizacje. Na dodatek Siergieja zawstydziała myśl, że może robi to, chcąc odkryć coś, co skłoni go do drastycznych rozwiązań – na dobre lub na złe – dotyczących jego związku.

Kiedy zobaczył zbliżającą się Linę, wiedział, że nie chce utracić tej kobiety stąpającej na wysokich obcasach, ubranej w zwiewną suknię z dużym dekoltem, na który opadał naszyjnik z kilku zwojów pereł, tańczących na jej ciele w skomplikowanym rytmie – choć jej samej ich ruchy wydawały się tak naturalne jak oddychanie. Elegancki kapelusz w stylu ściśle dopasowanego hełmu inkrustowanego maleńkimi kryształkami zakrywał włosy, znacznie skrócone zgodnie z najnowszymi kanonami mody, w których nie było już miejsca dla długich warkoczy. Jej drobna sylwetka, okryta szalem

zadrukowanym wzorem w stylu *art déco*, którym otulała się przez cały wieczór, przepelniona była zmysłowością widoczną przy każdym kroku Liny, jak zawsze eleganckiej. Po raz pierwszy zdarzyło jej się – za namową kilku przyjaciółek, czołowych paryskich *flappers*<sup>6</sup>, i za aprobatą Kiki z Montparnasse'u – pokryć lekkim makijażem kolana, żeby bardziej błyszczały przy poruszeniach spódnicy. Kończąca się poniżej kolan, zaczynała widowiskowo wirować przy każdym kroku stawianym przez Linę. Kobieta szła roztargniona, zatopiona w myślach, szybkim krokiem, co pozwoliło jej dotrzeć na wezwanie Marii wcześniej, niż przewidywała. Matka Siergieja – w porozumieniu z synem – poprosiła ją bowiem o przybycie, tłumacząc, że nie czuje się najlepiej.

Falowanie jej sukni ustało nagle, gdy Lina go zobaczyła. Potrzebowała kilku sekund, żeby się otrząsnąć. Wydało jej się, że widzi zjawę, przeraziła się, że oglądany obraz okaże się snem albo zasadzką jej wyobraźni. Nie wiedziała, czy bardziej zaskakuje ją nieoczekiwana obecność Siergieja, jego atrakcyjność, która rzuciła się jej w oczy po tylu tygodniach rozstania, czy też pierwsze słowa, które wyszły z jego ust.

– Chyba kiedyś mi powiedziałaś, że nie możesz beze mnie żyć – odezwał się.

– Czasami ja też się myślę.

Można było sądzić, że to ciemność wieczoru pomogła im rzucić się sobie w ramiona, ale zrobiliby to samo nawet w promieniach słońca oświetlającego w środku dnia złoconą kopułę kościoła Inwalidów. Cały świat zewnętrzny przestał istnieć. Przez jakiś czas – którego nie umieli określić – istnieli tylko oni dwoje. Lina czuła się szczęśliwa. W końcu wróciła w jego ramiona. Z jej duszy zniknął gniew, wątpliwości, nieufność, które karmiły się rozłąką. Siergiej wrócił do niej i czuła, jakby przywrócił też jej krwi zdolność krążenia w żyłach, jej sercu bicie, oczom zdolność widzenia, a życiu namiętność. Znow wszystko mogło się dobrze skończyć.

– Tęskniłam za tobą – odezwała się w końcu Lina, która odzyskała przyjemne poczucie, że jest w domu.

– Znam na to lekarstwo – odpowiedział, ujmując jej dłoń i zachęcając ją, żeby wyszła razem z nim na spacer po ulicach nocnego i tajemniczego Paryża.

– Ale twoja matka...

Uśmiech Siergieja potwierdził, że Maria Grigoriewna ma się lepiej, niż Lina myślała.

– Ach, rozumiem. Niezła parka łgarzy – skomentowała rozbawiona, odkrywając spisek.

Tej nocy i wielu kolejnych znowu rozkwitły ich zabawy i namiętności. To Artur Rubinstein namówił ich, żeby przyszli do Le Boeuf sur le Toit. Był to obowiązkowy przystanek w trakcie paryskich wieczorów. Stoliki zajmowali tam tacy sławni goście jak Pablo Picasso, Coco Chanel, Ernest Hemingway, Charlie Chaplin, Francis Poulenc, Igor Strawiński, Maurice Ravel, André Breton i sam Siergiej Diagilew.

Niezbyt daleko od tego lokalu znajdował się dom Coco Chanel, w którym wybrana grupa artystów zwykła kończyć wieczory. To Diagilew, serdeczny przyjaciel Coco i jej przyjaciółki Misi, żony hiszpańskiego malarza José Maríi Serty, przekonał Siergieja i Linę, żeby zakończyli biesiadę w niezwykłym mieszkaniu projektantki mody pod numerem 29 przy rue de Faubourg Saint Honoré. Lina podziwiała wyjątkowe dekoracje



w mieszkaniu, utrzymane w tonacji bieli i beżu oraz w atrakcyjnym i oryginalnym kolorze czekoladowym, który nadał aurę wytworności mieszkaniu urządzonemu z trudną do podrobienia luksusową elegancją. Ale tym, co wręcz odebrało Linie głos, było pojawienie się Coco Chanel otulonej imponującym białym płaszczem, wykończonym i delikatnie oblamowanym futrem z rosyjskich soboli. Wyglądała jeszcze bardziej oszałamiająco niż na zdjęciach, które Lina widziała kilka lat wcześniej, w 1920 roku, w piśmie „Vogue”. Coco zauważyła podziw w jej spojrzeniu i podeszła do młodej kobiety, o której Diagilew opowiadał jej cuda.

– Panno Chanel, w życiu nie widziałam nikogo tak cudownie eleganckiego, tak doskonałego... – Lina zadbała o to, żeby potraktować królową Paryża w sposób, jaki ona lubiała.

– To samo powiem tobie, moja kochana. I mów mi Coco – powiedziała, przebiegając wzrokiem po ciele Liny. – Mając cię przed oczami, nie pojmuję, dlaczego niektóre kobiety nie potrafią zrozumieć idei naturalnej elegancji. – Nie przestając palić, Coco zdjęła płaszcz i wyciągając ramię w kierunku Liny, podała go jej. – Proszę. Byłabym zachwycona, gdybyś go przyjęła.

– Nie mogę... – wyjąkała Lina, nie umiejąc dokończyć zdania.

– Nie tylko możesz, ale powinnaś. – Coco wzięła Linę za rękę i zaprosiła ją, by usiadła obok niej na jednej z puszystych sof stojących w salonie, pozostawiając resztę gości, żeby zabawiali się sami. – Nie potrafię oprzeć się szczególnej słabości do wszystkiego, co rosyjskie. No cóż... – doprecyzowała. – Do piękna rosyjskiej natury. I widzę, że z tobą dzieje się to samo. – W jej uśmiechu można było zauważyć pewną pikanterię; było jasne, że nie chodzi jej o płaszcz, który właśnie podarowała Linie, tylko o Prokofiewa, który w tym momencie konwersował ze Strawińskim, Diagilewem i Misją, nieświadomy tego, że stał się obiektem uwagi obu kobiet. – Rosjanie mają w sobie coś szczególnego. Ten wieczny sprzeciw wobec życia, namiętność, którą próbują ukryć, sprzeczność między przyjemnością a cierpieniem, która ich utrzymuje w ciągłym napięciu... Ich podejście do życia sprawia, że są nieodparcie atrakcyjni. – Coco Chanel uśmiechnęła się do Liny, znajdując w niej osobę, przed którą mogła się otworzyć. – Jestem właśnie w trakcie czegoś, co niektórzy nazwali słowiańskim okresem Chanel. Wydaje im się, że mnie tym obrażają, podczas gdy jedyne, co czują, to ogromna zazdrość.

– A dlaczego mieliby cię obrażać? – spytała Lina niewinnie.

– Przez mojego kochanka, moja droga, wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza, pierwszego kuzyna cara Mikołaja II, który jako członek rodziny Romanowów został wysłany na front perski<sup>7</sup>. Powinnaś posłuchać jego opowieści o tym, jak uciekł przed losem i postanowił przedostać się do Francji. Uwielbiam historię, którą opowiadał mi ze szczegółami, jak wyjeżdżając pośpiesznie z Rosji, znalazł jeszcze czas, żeby zabrać ze sobą trochę klejnotów rodzinnych, między innymi kilka sznurów pereł, które... zgadnij, komu je podarował i gdzie wylądowały – powiedziała Coco, dotykając dłońmi naszyjnika z pereł, który miała na szyi i o którym już wiele osób wiedziało, że stał się jej fetyszem.

– Naprawdę? – spytała Lina, jakby usłyszała największy z sekretów, którym zresztą ta historia w sporej mierze była. – Kiedy opowiem to Siergiejowi, pewnie mi nie uwierzy.

– Sądząc po tym, jak na ciebie patrzy, uwierzy we wszystko, co mu powiesz. Tacy

są Rosjanie. To moje odkrycie. Chyba nie potrafiłabym teraz żyć bez Dymitra. Miłość jest najlepszą z możliwych inspiracji. Zatrudniłam jego siostrę i wiele jego rosyjskich przyjaciółek, które znalazły się na wygnaniu w Paryżu. Różne damy dworu szyją w mojej pracowni i razem stworzyłyśmy unikalną kolekcję. Musisz przyjść, moja droga, i ją obejrzeć. Nie tylko ich praca jest tańsza niż praca Francuzek, ale i mistrzostwo, z jakim potrafią łączyć haft, oraz zastosowanie futra i drogocennych kamieni jest zdumiewające. Nigdy nie sądziłam, że zainspirują mnie rosyjskie, chłopskie wzory i że odniosę dzięki temu sukces. Oczywiście rozmaici Rosjanie też nie myśleli, że perły carskiego imperium trafią na moją szyję. – Coco znów się uśmiechnęła. – Widziałas zdjęcia w „Harper’s Bazaar”? – spytała z miną zadufanego w sobie dziecka. Potwierdzający gest Liny wzniosł próżność Coco na jeszcze wyższy szczebel.

– Zachwyciło mnie to, na którym wystąpiłaś w czarnej jedwabnej piżamie, gryząc perły. Ale nigdy nie wpadłabym na to, że są prezentem od wielkiego księcia.

– No więc teraz już wiesz. Mam nadzieję, że zdołasz dotrzymać tajemnicy... albo i nie. Kogo to w końcu obchodzi.

Spotkanie w domu Coco toczyło się dalej, lecz one dwie wydawały się nie zauważać radosnego zamętu panującego w salonie. Coco chciała poplotkować i wypytać swoją nową damską zdobycz – niewątpliwie ubarwiającą paletę jej przyjaciół – o wiele rzeczy, a Lina miała do wysłuchania mnóstwo zaskakujących opowieści, przy których, wobec szczerości i otwartości projektantki, od czasu do czasu oblewała się rumieńcem.

– Ilu miałaś kochanków? – To pytanie zaskoczyło Linę. Jej policzki zapłonęły pod warstwą makijażu. – Och, doprawdy, nie oburzaj się, chyba nie jesteś jedną z takich. – Coco przyglądała jej się z ciekawością. Lina wydawała jej się niepokojąca i uzależniająca, zachwycała ją, nie można było się jej oprzeć. Lina schowała się za swoim cynobrowym uśmiechem, starając się odsunąć od siebie to pytanie, nie dlatego, żeby ją gorszyło, tylko dlatego, że zawstydziała ją skromność własnego doświadczenia. – Ach, rozumiem. W ten sposób daleko nie zajdziesz. Jeśli chcesz odnosić triumfy, musisz zrobić coś, żeby zmienić tę sytuację.

– Nie mam takiego zamiaru. Nawet nie wiem, czy byłabym w stanie – zapewniła swoją rozmówczynię Lina. – Kocham Sergieja. Podziwiam go i kocham. Będziesz się śmiała?

– Raczej ograniczę się do zazdrości. Ja też kochałam w taki sposób, tak szaleńczo i bezgranicznie – powiedziała, przypominając sobie swoją wielką miłość, Arthura Capela<sup>8</sup>. – Ale rozmawiajmy o tobie. Jesteś pewna, moja droga, że dobrze wybrałaś? – Lina nie rozumiała naturalności, z jaką Coco zadała to pytanie. Co więcej, nie chciała jej zrozumieć. – Dzięki swoim kochankom stałam się bogata. Przyjrzyj mi się: sierota bez własnego domu, bez miłości, bez ojca i matki. Moja samotność dała mi znaczną przewagę nad innymi. Nędza życia przyniosła mi siłę i dumę, żądzę wygrywania i wolę, żeby być wielką. A kiedy zetknęłam się w życiu z luksusową elegancją i przyjaźnią Strawińskiego czy Picassa, nigdy nie czułam się ani głupia, ani gorsza. Dlaczego? Bo wiedziałam, że to z pomocą takich ludzi odnosi się sukcesy.

Przez kilka sekund obie kobiety milczały. Lina była zajęta swoimi wyobrażeniami, a Coco Chanel – wspomnieniami.

– Powiedz, Lino. Czy naprawdę jesteś pewna, że dobrze wybrałaś? – Projektantka mody jako pierwsza wróciła do rzeczywistości.

– Chyba nie mogę się skarżyć.

– Zawsze możesz się skarżyć. Właściwie to powinnaś, jeśli chcesz, żeby cię ludzie słuchali i żeby cię to zaprowadziło w miejsce, w którym chcesz się znaleźć, albo choćby pozwoliło wydostać się z miejsca, w którym jesteś. Chcesz mojej rady? – spytała, zaciągając się po raz kolejny dymem z papierosa. – Poszukaj sobie bogatego kochanka i pozbadź się litości. To dobry sposób, żeby radzić sobie w życiu. Masz odpowiednią twarz, ciało i talent, żeby tak postąpić. Umiesz się poruszać, robisz to tak, jakbyś była urodzona, żeby paradować. Przy każdym ruchu bije od ciebie elegancka zmysłowość, uwodzisz spojrzeniem i sama twoja obecność staje się źródłem takiej ilości światła, że potrafisz oślepić tych, którzy nie mogą przestać ci się przyglądać. Na dodatek to wszystko wydaje się u ciebie całkowicie naturalne, nie musisz się do niczego zmuszać, nie musisz podejmować jakiegokolwiek wysiłku. Żadna z moich modelek nie dorasta ci do pięt. No i przy tym wszystkim okazuje się, że nie miałaś żadnych kochanków.

– A kto ci powiedział, że nie miałam? – odpowiedziała pytaniem Lina, próbując podjąć grę z Coco.

– Mówią mi to twoje oczy. Są bardzo niedyskretne. I oczywiście sposób, w jaki na niego patrzysz. To właśnie w spojrzeniu przechowujemy najważniejsze tajemnice. Możesz mi wierzyć, że niektórzy nie potrafią ich dochować. – Coco poprawiła sobie kolczyki i znów zaciągnęła się papierosem. – Nie zrozum mnie źle. Lubię osoby przekraczające granice, a Prokofiew właśnie taki jest. – Paryska królowa elegancji nie kłamała. Nie zawahała się przed sfinansowaniem kolejnej premiery *Święta wiosny*<sup>9</sup> po skandalu, jaki utwór wywołał siedem lat wcześniej przy okazji swojej pierwszej prezentacji. – Uwielbiam prowokację, bunt, ostrość idei, którymi żywią się rewolucje. Ale prawdziwe rewolucje, nie ta bolszewicka. Ci kretyni uważają, że wymyślili coś nowego, a przecież wszyscy wiemy, kto stoi za tym spektaklem, który się rozgrywa w tekturowych dekoracjach. Mam rosyjskich i niemieckich przyjaciół, którzy zapewniają mnie, że to Żydzi wymyślili komunizm. To, co się dzieje w Rosji, to judeobolszewicki spisek. Coś ci powiem: tak naprawdę boję się tylko Żydów i Chińczyków. Ale tych pierwszych o wiele bardziej. Mam nadzieję, że nie gorszy cię to, co mówię.

Linę fascynowała ta kobieta. Nie potrafiła temu zaradzić. W niczym nie przypominała jej znajomych, które znała wcześniej. Była elegancka, wyrafinowana, kobieca, wykształcona, niezależna. Genialna prowokatorka, bezczelna i zabawna, czasami wydawało się, że wolałaby urodzić się mężczyzną. Wszystko, co wychodziło z jej ust, skłaniało Linę do myślenia.

– Chodź, chcę ci coś pokazać – powiedziała Coco, biorąc ją za rękę i prowadząc do pokoju położonego w głębi mieszkania. Siergiej obserwował tę scenę, rozmawiając z Misią Sert i Diagilewem. Musiał poczekać kilka minut, żeby zobaczyć, jak obie kobiety wracają, śmiejąc się i dzieląc zwierzeniami. Miały błysk w oku i były pogrążone w ożywionej rozmowie, dotykając od czasu do czasu dłońmi własnych nosów.

– Spokojnie – szepnęła Misia do ucha Siergiejowi. – Nie ukradnie ci jej.

– Wiem – zdołał odpowiedzieć, oblewając się rumieńcem i opróżniając kieliszek

z resztek szampana. Najwyraźniej troska na jego twarzy została zauważona.

– Taki jesteś pewien? – spytała Misia, udając zaskoczoną, jakby sprowokowała ją do tego pewność siebie Prokofiewa. – Nigdy nie lekceważ geniuszu artysty. A Coco jest artystką. Mówi ci to utalentowana pianistka, która jako dziecko grała utwory Beethovena, siedząc na kolanach u Liszta.

Kiedy wrócili do domu, Siergiej chciał wiedzieć, co się wydarzyło w prywatnym pokoju w mieszkaniu Coco. Był zaniepokojony, a może zazdrosny. Widział i słyszał zbyt wiele rzeczy dotyczących Coco Chanel, jej nocnego życia i upodobania do zażywania różnych substancji. Być może chodziło tylko o plotki, ale teraz to jego wyraźnie zżerała zazdrość. Kiedy Lina wysłuchiwała jego domysłów, wybuchła głośnym śmiechem.

– Zdradziła mi swoją wielką tajemnicę – wyznała rozbawiona, opierając się pokusie dalszego ciągnięcia gry. Nie chciała tego robić, kiedy zobaczyła zmartwienie na twarzy Siergieja. – To zapach, za pomocą którego zamierza zrewolucjonizować świat. Nie wierzysz? Sam możesz go powąchać – powiedziała, przysuwając nadgarstek do nosa Siergieja. – Czujesz jaśmin, gorzką pomarańczę, różę, wanilię, drewno sandałowe, olejek neroli, wetywerię...? – Siergiej nic nie rozumiał, ale zapach mu się podobał. – Ona jest po prostu genialna. To pierwsze perfumy stworzone przez projektantkę mody *haute couture*: Chanel No. 5. Dała mi mały flakonik. Spójrz, sama buteleczka już jest klejnotem. Nie wiem za dobrze dlaczego. Jak na nią patrzysz, wygląda niby zwyczajnie, ale ma swój urok. Zdaje się, że inspirowała ich butelka rosyjskiej wódki, którą Coco dostała w prezencie. Podoba ci się? – spytała, jakby jego aprobata miała zmienić jej opinię. – Wiesz, że ten zapach stworzył człowiek, który był perfumiarzem cara Mikołaja II, Ernest Beaux? Na dodatek Coco powiedziała mi, że jest związana z Dymitrem Pawłowiczem, pierwszym kuzynem cara...

– Coś mi wspominał Strawiński... – przerwał jej Siergiej z bardziej już wypogodzoną twarzą.

– Któż to może wiedzieć lepiej niż on... – dodała Lina, przypominając sobie wyznanie samej projektantki na temat bliskiej relacji, którą utrzymywała z kompozytorem, oddając mu nawet do dyspozycji swój dom w Bel Respiro na przedmieściach Paryża, żeby się w nim urządził razem z rodziną w trudnym dla niego okresie problemów finansowych.

– Lina... – Ton Siergieja kojarzył się z ojcowskim upomnieniem.

– Co? Przecież to on jest żonaty. To on powinien się zgorszyć, a nie ty.

Nie była to jej ostatnia wizyta w rezydencji Coco Chanel. Obie czuły dla siebie wzajemny podziw. Lina pragnęła znów ją zobaczyć. Chętnie przyjęła zaproszenie do odwiedzenia sklepu projektantki przy rue Cambon.

Nie umiała powiedzieć, czy do Le Boeuf sur le Toit bardziej ciągnęła ją atmosfera tego lokalu, czy fakt, że tamtejsze spotkania zwykle kończyły się w apartamencie Coco. Lina nie była szczególną entuzjastką szampana, choć większość jej przyjaciół wykazywała wielkie upodobanie do musującego napoju. Zawsze myślała, że niektórzy z nich pili, żeby wynagrodzić sobie suche lata spędzone w Stanach Zjednoczonych podczas obowiązującej tam prohibicji. Pieniące się wino nie służyło jej, co zdołała stwierdzić wiele razy. Wciąż jeszcze pamiętała, jak zmarnowała wieczór, kiedy odbywała

się premiera baletu *Błazen*. Miejscem świętowania sukcesu była znana restauracja na Montmartrze. Centralnym punktem uroczystości był właśnie szampan. Ale jej organizm, nieprzyzwyczajony do jego spożywania, zbuntował się i kazał jej biec do toalety, gdzie wymiotowała prawie przez dwadzieścia minut. Zniknął gdzieś jej zegarek – prezent od matki – który nosiła na przegubie. Lina nic nie pamiętała. Nie potrafiła jasno myśleć i choć miała zaburzone widzenie, w całym lokalu zaczęła dostrzegać złodziei. Następnego dnia Siergiej podarował jej nowy zegarek. Miał dużą wartość i Lina doceniała ten gest, ale nie był to zegarek od jej matki. Od tego dnia kieliszek szampana stał się – przynajmniej dla niej – po prostu jeszcze jednym akcesorium, z którym obnosiła się podczas wieczornych wyjść, takim jak futrzana etola, czarna suknia czy długa fifka na papierosy. Musiała przystosować się do okoliczności i zachowywać się na każdej scenie tak, jak tego od niej oczekiwano. Nie mogła z powodu słabej tolerancji na alkohol rezygnować z nocnego świata. Było zbyt wiele twarzy, które musiała oglądać, zbyt wielu przyjaciół, których trzeba było spotkać, zbyt wiele nowych teorii spiskowych, których trzeba było wysłuchać, i długich rozmów z nieznanymi, które trzeba było przeprowadzić. To one zresztą stawały się zwykle źródłem najlepszych historii.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale pewnego dnia jeden z jej długich spacerów zakończył się w pobliżu placu Saint-Michel. Chciało jej się pić, miała też ochotę na coś do jedzenia. Weszła do jednej z pierwszych kawiarni, które napotkała. Ta wydała jej się sympatyczna: Le Pantheon. Usiadła przy stoliku i w oczekiwaniu na realizację zamówienia wyciągnęła z torebki partyturę, nad którą od pewnego czasu się koncentrowała. W pewnej chwili poczuła, że ktoś jej się przygląda. Przed nią siedział mężczyzna o nieco niechlujnym wyglądzie. Dawało się w tym człowieku wyczuć pewną nutę szorstkości, kontrastującej z sympatyczną twarzą. Pił rum Saint James. Pisał coś w oprawionym w płótno zeszytce o niebieskim grzbiecie, nieustannie otwierając go i zamykając. Jednocześnie temperował starannie ołówek, którego grafit zużywał się zbyt często. Mężczyzna niecierpliwie przelewał na papier jakieś historie, słowa, idee, postacie. Pisał dużo i robił to bardzo szybko, a od czasu do czasu ołówek nieruchomiał na środku linijki. Ilekroć mężczyzna używał temperówki, wykorzystywał przerwę, żeby rzucić okiem na Linę, popatrującą w okno, jakby czekała na kogoś, kto nie przychodzi. Po kilku minutach tajemniczy człowiek zamknął gwałtownie zeszyt, jakby nagle coś sobie przypomniał, i zbliżył się do stolika Liny. Zaniepokojona zobaczyła, jak do niej podchodzi.

– Przyjdzie? – spytał.

– Kto?

– Ten idiota, na którego pani czeka.

Lina przyglądała mu się przez kilka chwil. Uwagę przykuwała siła i śmiałość jego czystego i jasnego wzroku. Był to przystojny mężczyzna z wąsem poruszającym się w rytm uwodzicielskich półuśmiechów. Lina nie była w stanie odpowiedzieć sobie jasno na pytanie, czy jego wygląd wydaje jej się atrakcyjny, czy nie, ale z pewnością jego zachowanie ją pociągało. Zaskakiwała pobudzająca wyobraźnię pewność siebie mężczyzny. Lina postanowiła, że podejmie grę, którą tamten zaczął.

– Na nikogo nie czekam – odpowiedziała, nie przestając się uśmiechać mimo dość

ostrego tonu wypowiedzianych słów. – Właściwie to tylko pan się pojawił.

– Pozwoli pani? – spytał nieznajomy, wskazując na puste krzesło obok niej, które, jak wynikało z jego gestu, zamierzał zająć. – Nazywam się Ernest Hemingway, jestem dziennikarzem, chociaż zamierzam zarabiać na życie jako pisarz. I dzięki pani skończyłem właśnie pisać chyba dobre opowiadanie. Czuję się pani dłużnikiem. Proszę powiedzieć: lubi pani innych ludzi? Jeśli odpowie pani, że nie, to będzie znaczyło, że nie wypróbowała ich pani jak trzeba.

Nie czekał, aż Lina odpowie na pytanie, które okazało się retoryczne. Odwrócił się, podniósł rękę i poprosił kelnera o tuzin ostryg i karafkę sancerre.

– Widzi pani? Byłem pewien, że pani posmakują – wyznał po kilku chwilach, widząc, z jakim apetytem Lina zjada ostrzygi.

Oboje pograżyli się w spontanicznej rozmowie – zabawnej, improwizowanej, ale łatwej do prowadzenia, bo mówili o najważniejszych rzeczach, używając najprostszycich słów, tak jak on lubił pisać. Ich konwersację stopniowo zaczęły wypełniać wzajemne zwierzenia, podobnie jak wino raz za razem wypełniało kieliszki. Obojgu te zwierzenia przychodziły z jednakową łatwością. Pozwalali się nieść rozmowie, nie było w niej przerw ani milczenia, ani też przeszkód wynikających z ostrożności. Dwoje nieznajomych siedzących twarzą w twarz, złączonych ze sobą przez przypadek, którzy – jak się wydawało – czekali całe życie, żeby się spotkać i podzielić swoimi przeżyciami.

– Moja pierwsza żona, Hadley, podarowała mi przenośną maszynę do pisania marki Corona – powiedział w pewnym momencie Hemingway. – A co on pani podarował?

– Kto? – spytała ponownie Lina.

Zdała sobie sprawę, że wielokrotnie używała tego zaimka, odnosząc się do Siergieja. Pierwszy raz zrobiła to, kiedy Wiera Danczakowa zasugerowała po koncercie w nowojorskiej Carnegie Hall, że Prokofiew podoba się Linie. A potem, kiedy matka prosiła ją, żeby trzymała się od niego z daleka. I teraz znowu – w rozmowie z tym interesującym amerykańskim pisarzem. Zadawała sobie pytanie, czy to o czymś świadczy.

– Ten, który chyba się spóźnia. Najpewniej się zgubił.

Lina spojrzała na swojego rozmówcę. Przypadł jej do gustu ten śmiały i zabawny Amerykanin. Maria Grigoriewna na pewno zażartowałyby sobie z głodu kultury, z jakim przyjeżdżają do Europy ludzie ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ „ich historia jest równie starożytna jak tapicerka ostatniego samochodu, do którego wsiedli”. Ten mężczyzna pochodził z prowincji, zachowywał się bezpośrednio, a jego obecność nie tylko nie krępowała Liny, ale – wręcz odwrotnie – sprawiała jej przyjemność.

– Więc co pani podarował?

– Muzykę mojego życia.

Ta odpowiedź spodobała się Hemingwayowi. Przynajmniej w części.

– No proszę! W tej sytuacji powinienem coronę od żony wyrzucić przez okno...

Właśnie tam, przy stoliku w Le Pantheon, kosztując po raz pierwszy ostryg, Lina zadała najbardziej zwariowane pytanie w życiu. Niewątpliwie było ono efektem działania wspaniałego wina.

– A pan co pisze? – Zanim skończyła to zdanie, już czuła się głupio. „Jak można

pytać pisarza, co pisze? – pomyślała. – Czytasz i się dowiadujesz?”. Modliła się, żeby odpowiedź padła jak najszybciej i zatarła głupie wrażenie, jakie pozostało po jej wścibstwie.

– Piszę opowiadania. O wszystkim, co mi się wydaje znajome. To mi pozwala nie zastanawiać się nad tym, o czym pisać. – Opróżnił kieliszek i zamówił kolejny rum Saint James. Kilka minut temu przestał pić wino, być może dlatego, że jak na jego podniebienie zanadto przypominało wodę. Dobrze się czuł obok tej kobiety o uwodzicielskim spojrzeniu, które nie pozwalało oderwać od niej oczu. – Bo jednak nie jest takie ważne, o czym piszę, ale jak i po co. Chcę pisać w taki sposób, żeby wywierać efekt, ale żeby czytelnik nie zdawał sobie z tego sprawy. W ten sposób im więcej przeczyta, tym większy będzie efekt. A pani? W jaki sposób chce pani śpiewać? Po co chce pani być sławną sopranistką? Myślała pani o tym?

Te słowa kazały jej ponownie zastanowić się nad tym, czy dobrze przemyślała, co naprawdę chciałaby robić w życiu. Lina nie mogła wykluczyć, że w gruncie rzeczy ślizga się po powierzchni jakiegoś marzenia, nie wiedząc wcale, jaką formę miałyby w rzeczywistości przyjąć ani jak do niego dotrzeć. Zapewne przyszła pora, żeby się obudzić, a głos Amerykanina zadziałał jak skuteczny i głośny budzik.

Przez kilka dni po spotkaniu z Hemingwayem pozostawała zamyślona. Ona też chciała śpiewać w taki sposób, w jaki on pisał: śpiewać tak, żeby wywierać wrażenie, ale żeby słuchacze nie zdawali sobie z tego sprawy. Im więcej będą słuchać, tym większy będzie efekt. Tak, właśnie tego chciała. I czuła, że nadeszła pora, żeby zacząć to robić. A by to się stało możliwe, musiała podnieść głos na człowieka, którego najbardziej kochała, ale przez którego najbardziej też cierpiała.

– Mediolan? – Siergiej powtórzył nazwę włoskiego miasta, jakby usłyszał ją po raz pierwszy, jakby nigdy nie istniała La Scala czy Galeria Wiktora Emanuela. – Co będziesz robić w Mediolanie?

– Przygotowywać się. Uczyć się i próbować występów w teatrze. Proszono mnie, żebym przygotowała rolę w *Rigoletcie*, a pewien znajomy załatwił mi rolę w operze *La Wally* Alfreda Catalaniego. Małą rolę, ale dla mnie to nie ma znaczenia, bo to jednak coś i przede wszystkim okazja. Jeśli teraz tego nie zrobię, będę żałowała przez całe życie. – W niebieskich oczach Siergieja widziała zaskoczenie. Nie spodziewał się takiej wiadomości i nie podobało mu się to, co słyszał. – Poza tym sam mi zawsze tłumaczysz, że praca jest najważniejsza. Chcę tylko posłuchać twojej rady.

– Możesz to zrobić tutaj.

– Nie, nie mogę. I dobrze o tym wiesz. Ty możesz tutaj działać, ale nie ja. Siergiej, potrzebuję powietrza, od pewnego czasu ci to powtarzam. I może oboje potrzebujemy trochę przestrzeni. Powinieneś to rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Siergiej jednak nie chciał tego przyjąć. Sprzeciw, jaki wywołała w nim wiadomość o jej planowanym wyjeździe do Włoch, był silniejszy, niż się spodziewała.

– To nie ma nic wspólnego z *Rigolettem* ani z żadną inną operą – stwierdził.

Jego ucho wielkiego kompozytora i wybitnego pianisty umiało wyłapywać dźwięki spoza słyszalnego zakresu. Siergiej nie potrzebował wiele czasu, żeby zrozumieć przekaz ukryty w słowach wypowiedzianych przez Linę i stanowiący prawdziwe źródło jej decyzji.

Nie pierwszy już raz w ich życie wkradała się kwestia małżeństwa.

– Wiesz, że nie czuję się komfortowo w tym związku. Wiem, że to jest Paryż i nikt się tu nie przejmuje tym, co mówią ludzie, ale moja sytuacja jest skomplikowana. Występuję jako twoja żona, ale w rzeczywistości jestem tylko twoją kochanką. Musisz mnie zrozumieć.

– Nie byłoby źle, gdybyś ty też próbowała mnie zrozumieć. Przez całe życie wierzyłem, że małżeństwo to coś wymyślonego po to, żeby zniszczyć wielką miłość. Jak miałbym teraz zmienić zdanie? Dlaczego nie cenisz tego, co mamy? Na Boga, przecież jest nam dobrze. Czy może będziemy się bardziej kochać, jeśli się pobierzemy? – W głębi duszy Siergiej zadawał sobie inne pytanie, którego nie odważył się wypowiedzieć na głos, żeby nie obrazić Liny. „Jak mam się ożenić, skoro wiem, że nie będę potem szczęśliwy? Ślub byłby jak wrzucenie mnie do rzeki z przywiązaniem do nogi kamieniem”. – Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą żenić. Po prostu nie chcę się żenić. Boję się tego, co może się zdarzyć. Widziałem już, jak wielkie miłości ulegały destrukcji po podpisaniu papieru, przez przekłętą rutynę, która niszczy namiętność. – Bał się. Nowa sytuacja przerażała go. Stał przed perspektywą utraty czegoś więcej niż towarzystwo, za którym tęsknił, czegoś więcej niż piękna kobieta całująca ziemię, po której on stąpa, czegoś więcej niż oddana wielbicielka każdej nuty wychodzącej spod jego rąk i z jego głowy. Zamilkł na chwilę, żeby odetchnąć i uporządkować myśli. – A jeśli nie zgodzę się na twój wyjazd do Mediolanu? – spytał, okazując irytację, która zaczynała modulować jego głos i nadawać mu ponury ton. – Jeśli nie będę chciał, żebyś wyjeżdżała?

– Jako kto? – Spojrzenie Liny mówiło więcej niż słowa wychodzące z jej ust. Siergiej wiedział o tym. – Mąż ma władzę nad żoną, tak samo jak żona nad mężem. Ale kim my jesteśmy?

– Ty mi powiedz. Zdaje się, że widzisz to dość wyraźnie.

– Nie chcę być tajną kochanką. Nie chcę ukrywać tego, co daje mi w życiu najwięcej szczęścia, a teraz muszę to robić.

– Niektórzy wolą pokazywać światu, co mają w życiu cennego, a inni chronią to przed cudzymi spojrzeniami. Ale to nie oznacza, że kocham cię mniej. To nie ma dla ciebie znaczenia?

Znalazł odpowiedź na dnie zniewalającego spojrzenia Liny, w którym tyle razy się zatracił. Jednak tym razem trudno mu tam było odnaleźć samego siebie.

Coco Chanel miała rację: to właśnie w spojrzeniach kryją się najważniejsze tajemnice.

<sup>6</sup> Angielskie słowo, którym w latach 20. XX wieku określano kobiety hołdujące nowoczesnym zwyczajom.

<sup>7</sup> Tym terminem określa się działania bojowe prowadzone w latach 1917–1919 na terytorium Iranu przez wojska rosyjskie, najpierw carskie, potem podporządkowane Rządowi Tymczasowemu Kiereńskiego.

<sup>8</sup> Znany angielski gracz w polo.



<sup>9</sup> Balet Igora Strawieńskiego, którego paryska prapremiera w 1913 roku stała się jednym z największych skandali w historii muzyki.

– Są dni, kiedy nienawidzę ludzkości i chciałabym być sama.

Linie dopiero co udało się uciec przed tłumem zaludniającym ulice Mediolanu i świętującym karnawał, który przekształcił miasto w kolorowe płótno przedstawiające różnorodną obfitość – płótno godne Paola Veronesego z jego *Godów w Kanie Galilejskiej*. Niemilknący hałas w tym włoskim mieście sprawiał, że tęskniła za oazą ciszy, którą dla niej była muzyka. W jej mieszkaniu w pensjonacie przy Piazza del Duomo pod numerem 8 o zapanowanie nad okolicą walczyły takie utwory, jak *At Dawning* Charlesa Wakefielda Cadmana, *Rigoletto* Giuseppe Verdiego czy *Życzenie* Fryderyka Chopina.

Ale ten ogłuszający zamęt dotyczył nie tylko mediolańskiej enklawy.

Na świecie słyhać było nieustający wrzask, który wydawał się lepszy niż zduszony krzyk więźnacy w gardłach największych narodów Europy. Rosyjska wojna domowa dobiegła końca, pozostawiając więcej znaków zapytania niż odpowiedzi dotyczących ogromnego cmentarza, na którym spoczęło – według różnych źródeł – od dziesięciu do dwudziestu milionów ofiar wojny, głodu i epidemii z lat 1917–1922. Podczas gdy oddziały Armii Czerwonej okupowały Władywostok, dobijając nadzieje stawiającej coraz słabszy opór armii Białych, Czarne Koszule<sup>10</sup> pod przywództwem Benita Mussoliniego maszerowały na Rzym, dzierżąc faszystowskie sztandary.

Wydarzyło się to przypadkiem, jak to się zwykle dzieje z najważniejszymi i najbardziej pamiętnymi faktami w życiu: Lina widziała Mussoliniego, zanim wszedł w Mediolanie do pociągu, który zawiózł go do Rzymu. Tam został premierem, sformował swój pierwszy gabinet i wygłosił pierwsze przemówienie jako prezes Rady Ministrów. W odbiornikach radiowych metalicznie dźwięczał jego głos:

„Odrzuciłem możliwość całkowitego zwycięstwa i mogłem sobie na to pozwolić. Narzuciłem sobie sam pewne granice. Powiedziałem sobie, że największa mądrość to ta, której nie porzuca się po zwycięstwie. Z trzystu tysiącami młodych ludzi uzbrojonych po zęby, zdecydowanych na wszystko i pełnych prawie mistycznej gotowości, żeby wykonać każdy mój rozkaz, mogłem ukarać wszystkich, którzy oczerniali faszyzm i próbowali obrzucać go błotem. Mogłem, ale nie chciałem tego, w każdym razie nie na samym początku”.

Lina wyłączyła radio. Nie za takim dźwiękiem tęskniły jej uszy i umysł. Woląła skoncentrować się na uwodzicielskim głosie Mary Garden śpiewającej *At Dawning*. Ta pieśń stała się idealnym balsamem, niosącym ulgę jej duszy.

*All the sounds of morning meet,  
break in yearning at your feet.  
Come and answer, come, my sweet,  
I love you, I love you...*

Od dwóch lat mieszkała we Włoszech i nadal wszystko przypominało jej jego. Nie umiała stwierdzić, czy było to przekleństwo, czy błogosławieństwo. Wypełniła swoje życie profesjonalnym zgiełkiem, za którym tęskniła, bo chciała być wciąż zajęta, oderwana i odciągnięta od swojej jedynej słabości, źródła własnej frustracji, pozostającej

wszakże jednocześnie główną racją jej istnienia: od Siergieja Prokofiewa. Ta sprzeczność utrzymywała ją przy życiu, pozwalała jej zachować siłę w obliczu kłód spadających pod nogi. Wiedziała, że związek z Siergiejem to tor przeszkód, które musi pokonać. Żeby jej się to udało, musiała zachować siłę. Nie było innego sposobu, aby to zrobić, w każdym razie ona nie mogła go znaleźć.

Lina potrafiła z łatwością zawierać przyjaźnie i Włochy nie były pod tym względem wyjątkiem. Umiała stać się najbardziej pożądaną uczestniczką każdego spotkania towarzyskiego czy wydarzenia artystycznego. Była w La Scali, żeby obejrzeć operę *Borys Godunow*, zaprzyjaźniła się z ważnymi przedstawicielami włoskich kręgów artystycznych, na przykład z poetą i wydawcą Marinettim czy dyrygentem i szefem mediolańskiego wydawnictwa muzycznego Ricordi i Spółka. Zawsze mając w pamięci rady niezwykle wymagającego Prokofiewa, zdawała sobie sprawę, że musi pracować bardzo dużo, żeby osiągnąć choć trochę. Koncentrowała się na lekcjach śpiewu, uczyła się włoskiego, pracowała nad wysokimi tonami, walczyła z niefortunnymi zapaleniami i przeziębieniami, które odbierały jej głos na kilka dni, niwecząc parokrotnie plany debiutu w teatrze. W końcu pewnego dnia udało jej się zobaczyć swoje nazwisko wypisane wielkimi literami na operowym afiszu: LINA LLUBERA. Był to pseudonim artystyczny, który uzgodnili między sobą Lina i Siergiej. Przez ponad dziesięć minut obserwowała z drugiej strony ulicy reklamy rozmieszczone na fasadzie mediolańskiego Teatro Carcano, tak jakby to nazwisko nie należało do niej. Wzięła do ręki aparat fotograficzny, który przysłał jej Siergiej, zorientowawszy się, że swój zostawiła w Paryżu. Wstyd nie pozwalał jej zrobić upragnionego zdjęcia od razu pierwszego dnia. Ale zrobiła je kilka dni później. Musiała utrwalić te chwile i nie przyznawała się do tego nikomu poza samą sobą.

Tak naprawdę chodziło o zastępstwo, ale nie byle jakie. Sopranistka Marina Campanari, wnuczka słynnego barytona Giuseppe Campanariego, z powodu niedyspozycji nie mogła wziąć udziału w premierze i Lina śpiewała zamiast niej. W końcu więc przemieniła się w Gildę z opery *Rigoletto*, śpiewając arię *Caro nome* – jedną z najpiękniejszych. Pieśń młodej, zakochanej kobiety, która obwieszcza umiłowanemu: „Mój ostatni oddech będzie dla ciebie”.

W garderobie, zanim wyszła na scenę, żeby przeżyć swoją wielką chwilę, czuła się spokojna. To doznanie było pułapką, bo dobrze wiedziała, że walka z nerwami zacznie się później, już na scenicznych deskach. To tam trema może dokonać największego spustoszenia. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Zobaczyła profil młodej dziewczyny ubranej na biało, która za chwilę ma przeżyć wielkie rozczarowanie, bo dowie się, że miłość jej życia była widmem. Lina przemieniła się w młodą i słodką Gildę, zakochaną w mężczyźnie, który twierdzi, że jest biednym studentem, ale w rzeczywistości to książę Mantui. Nie ma żadnych skrupułów, żeby dziewczynę oszukać i ukryć przed nią swoją prawdziwą tożsamość oraz naturę donżuana. Za kulisami, tuż przed wyjściem na scenę, pamięć Liny przywołała wspomnienie Siergieja. Pozwoliła sobie myśleć o nim tylko przez kilka sekund. Była teraz Gildą, nadszedł jej moment i nie zamierzała go zmarnować. Jej głos zabrzmiał pewnie, słodko i czysto. Szybko zdobyła uwagę publiczności.

*Gualtier Maldé... nome di lui sí amato,*

*ti sculpisci nel core innamorato.  
Caro nome che il mio cor  
festi primo palpitar,  
le delizie dell'amor  
mi dêi sempre rammentar!*

Podobała się samej sobie. Przechadzała się po scenie z pewnością doświadczonej aktorki. Głos pieścił jej gardło, jakby był delikatnym i słodkim balsamem, który wszystkim sprawia przyjemność. Czuła spokój. Światło na scenie było idealne, cisza wśród publiczności jej sprzyjała: nikt się nie poruszał, jakby czas się zatrzymał i wszyscy chcieli jej słuchać.

*Col pensiero il mio desir  
a te ognora volerà,  
e pur l'ultimo sospir,  
caro nome, tuo sarà*

Wiedziała, że przez siedem minut – tyle miała trwać aria – jej dominacja będzie absolutna. Ale w połowie występu coś się zaczęło psuć. Kiedy zostały zaledwie trzy minuty do końca, Lina przestała czuć się pewnie na scenie. Za kulisami zauważyła jakiś ruch – w każdym razie tak jej się wydawało – który ją rozproszył. Ważne, że aria trwała dalej, a jej głos padł ofiarą przeciwnika, który prześladował ją przez całe życie i który postanowił nie przepuścić także tej okazji: paniki, która sparaliżowała jej kroki na scenie, tej samej paniki, którą odczuwał jej ojciec i którą usiłował zachować w tajemnicy. Zdenerwowanie chwyciło ją za gardło i w finale, choć wypadła poprawnie, nie błysnęła tak, jak się spodziewała.

– Uspokój się, nie wariuj. Wszystko poszło lepiej, niż myślisz – próbował ją przekonać reżyser przedstawienia podczas jednej z przerw. – Nikt tego nie zauważył. Z tych niuansów zdajecie sobie sprawę tylko wy, artyści, i robicie z tego nie wiadomo co.

– Mogłam to zaśpiewać lepiej – użalała się Lina niemal ze łzami oczach, pijąc drugą filiżankę kawy, która była jej najskuteczniejszym lekarstwem na wszystko, pozwalała też nawilżyć struny głosowe i przywrócić głosowi gładkie brzmienie. – Mogłam wypaść idealnie, tak jak na próbach.

– Lina, to jest premiera, nerwy. Jutro wyjdzie ci idealny występ. Nie myśl już o tym i przestań pić tyle kawy. Działa moczopędnie; tylko tego brakuje, żebyś w środku sceny musiała biec za kulisy.

– To Arturo, ten głupi, próżny baryton. Nie umie siedzieć cicho ani na scenie, ani poza nią – powiedziała, odnosząc się do swojego partnera, Artura Rombolego, którego winiła za rozproszenie jej uwagi. – Recenzent z „Il Corriere della Sera”, który przychodził na próby, miał rację, kiedy mówił, że Romboli ma tendencję do rozpychania się.

– Będzie lepiej, jak o tym zapomnisz. – Reżyser wypowiedział te słowa raczej jak polecenie niż rodzicielską radę. – Musisz znowu wyjść na scenę, a ojciec otworzy ci oczy i powie, że twój ukochany jest oszustem. Ty go przekonujesz, żeby jednak tamtego nie zabijał, i poświęcasz się, by uratować mężczyznę, którego kochasz, chociaż cię oszukiwał – mówił, odnosząc się do granej przez Linę postaci. – Jesteś profesjonalistką. Lina nie ma teraz znaczenia. Jesteś Gildą. Będziesz miała jeszcze czas na lamenty

u Saviniego.

Lina posłuchała go i opera potoczyła się dalej bez żadnych nieoczekiwanych zdarzeń, zaników głosu ani dziwnych kształtów poruszających się za kulisami. Ciężkie wydarzenia w teatrze zawisły znów nad Liną, kiedy razem z resztą zespołu świętowała premierę w znanej restauracji Saviniego, usytuowanej przy wejściu do imponującej Galerii Wiktora Emanuela II. Od 1881 roku było to miejsce spotkań artystów, muzyków, aktorów i innych przedstawicieli świata kultury. Kiedy Arturo Romboli usiadł obok Liny i zaczął jej opowiadać, że dokładnie przy tym stole siadywali Giuseppe Verdi, Giacomo Puccini oraz Eleonora Duse – ale nie podjął najmniejszej próby przeproszenia jej – Lina poczuła złość.

– Nigdy ci tego nie wybaczę, Arturo – powiedziała, ukrywając gniew pod żartobliwym tonem. – Nie możesz mi robić takich rzeczy w dniu mojego pierwszego występu.

– Oczywiście, że mogę – odpowiedział radośnie włoski gwiazdor. – Właściwie było to prawie obowiązkowe. Potraktuj to jako chrzest ogniowy. Jeszcze mi za to podziękujesz, kiedy już będziesz wielką gwiazdą i nauczysz się, że w czasie twojego występu nic, co dzieje się poza sceną, nie ma znaczenia. – Arturo wypił duszkiem zimne piwo, które właśnie przyniósł mu kelner. – Kiedy śpiewasz, świat nie istnieje. Istniejesz tylko ty. Jeśli sama tego nie czujesz, nie oczekuj, że zrobi to publiczność. Wbij to sobie do swojej ślicznej główki. I wypij coś innego niż woda. Przecież świętujemy sukces.

Lina zdała sobie sprawę, że Romboli ma we wszystkim rację. Dzbanek piwa pomógł jej zapomnieć i przegonić widmo scenicznej paniki, do której nie przyznawała się sama przed sobą. Nie chciała pogodzić się z myślą, że strach, który nigdy nie onieśmielał jej w życiu, miałby unicestwić jej marzenie w chwili, w której była już tak blisko jego urzeczywistnienia.

„Są dni, kiedy nienawidzę ludzkości i chciałabym być sama. Ale nie jestem stworzona do życia w samotności”.

Lina potrafiła uciec z Paryża, odwrócić się od swojej miłości, rzucić wyzwanie losowi, ale wiedziała, że nie sposób uciec od prawdy. A prawdą był dla niej Siergiej. Dlatego nie chciała całkiem zrywać z nim kontaktów, choć zdarzały się dni, kiedy to rozważała czy wręcz tego pragnęła. Jednak wydawało jej się to decyzją samobójczą. Utrzymywali kontakt listowny – otwarty i szczery, choć zdominowany przez te same lęki, które nękały świat. Prokofiew nie chciał rewolucji, które zaburzały ustalony porządek i równowagę emocjonalną. Lina walczyła o zmianę, która nie chciała nadejść. W słowie pisanim potrafiła znajdować najlepszą broń przeciwko Siergiejowi. „Nie jestem jedną z twoich drewnianych figur szachowych. Jestem osobą z krwi i kości, mam swoje uczucia. Nie możesz się mną bawić”. Ale porównanie, które ich oboje najbardziej rozbawiło, dotyczyło metafory zakazanego owocu. Wobec nalegań Siergieja na jak najszybsze spotkanie Lina dała mu jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty wkładać do swojego koszyka zielonych jabłek, ponieważ potrzebuje w życiu dojrzałości. Siergiej nie tylko się nie zniechęcił, ale odpisał jej: „Och, mój Ptaszku. A jak one, twoim zdaniem, mają dojrzeć, skoro je zostawiasz? Jeśli będziesz je uderzać albo opalać zapalkami, żeby szybciej dojrzały, osiągniesz tylko tyle, że zgniją”.

Pomimo nieustającej serii wzajemnych oskarżeń tęsknota oraz pragnienie zobaczenia się i odzyskania dawnej więzi, której obojgu brakowało, zwyciężyły z apetytem na dojrzałe owoce. Siergiej przeprowadził się na pewien czas w pobliże Monachium, do małego, uroczego miasteczka Ettal, gdzie zamieszkał wraz z matką w imponującym domu zwanym Christophorus. Sądził, że nic go już nie wiąże z Paryżem, skoro nie ma tam Liny. Miał też nadzieję, że znajdzie natchnienie do pracy nad operą *Ognisty anioł*, jeśli zamieszka blisko Alp Bawarskich, w miejscu, które opisywał rosyjski poeta Walerij Briusow. „Piszę do ciebie z tej majestatycznej posiadłości, w której pokoje są elegancko umeblowane, wszędzie jest elektryczność, łazienka, ogrzewanie parowe, balkony, dywany, szerokie łóżka, miękkie sofy, trzyjęzyczna biblioteka i obrazy futurystów na ścianach. Miejsce, o jakim nigdy nawet nie marzyłem. Obok jest klasztor, powietrze pachnie jak miód, a cisza brzmi cudownie. Kiedy przyjedziesz?”

Siergiej potrafił być bardzo przekonujący, gdy na czymś mu zależało. Ale to nie jego list miał decydujące znaczenie, lecz – po raz kolejny – opatrnościowa interwencja Stahlów, którzy właśnie wybierali się w podróż do Europy i namówili Linę, żeby spotkała się z nimi w domu Prokofiewa. Kazała się prosić przez pewien czas, ciesząc się z niecierpliwości kompozytora. Ten nadal zachowywał się jak dziecko, kiedy tylko dostrzegał, że życie nie daje mu tego, za czym tak bardzo tęskni. Lina cieszyła się, czując, jak jej ciało znów się budzi przed rychłym spotkaniem z Siergiejem. Wszystko wydawało się jej sprzyjać.

Za każdym razem jednak – jakby chodziło o jakieś dziwne, niepisane prawo – kiedy w życiu osobistym Liny zaczynał panować jakiś ład, jej kariera zawodowa cierpiała. Tym razem doszło do odwołania przedstawienia w Weronie, w którym miała śpiewać jedną z głównych ról, wcześniej zniknęła z afisza *Rigoletta* w Mediolanie, trochę później katar zniweczył jej szansę na kolejną premierę. Nie miała wątpliwości, że nadszedł moment na spotkanie z Prokofiewem.

Nie spodziewała się zobaczyć go czekającego na nią na peronie dworca kolejowego w Monachium i trzymającego w ręku zielone jabłko. Na ten widok nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Kiedy pokonywała niewielką odległość dzielącą ją od niego, zauważyła, jak dwa lata jej biernego oporu we Włoszech zawaliły się nagle jak wąty domek z kart. Nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa, a serce bić z nadmiernym pośpiechem.

– Jabłka dojrzewają, Ptaszku – powiedział Siergiej, zanim wziął w ramiona osobę, na której najbardziej na świecie mu zależało.

Pocałował ją tam, na miejscu, nie zwracając uwagi na spojrzenia obcych. Nie spieszył się, jakby chciał odpłacić jej za nieobecność w trakcie ostatnich miesięcy. Całował ją z intensywnością, z jaką rzadko robił to wcześniej. Jego dłonie przebiegały drogę między szyją a talią Liny, ucieszone tym, że ciało ukochanej poddaje im się z taką samą uległością jak zawsze. Podobało mu się, że Lina zawsze zamyka oczy, kiedy ją całował, tak jakby pozbywała się własnej woli i zdawała się na niego, który z kolei wołał mieć oczy otwarte, żeby upewnić się, czy oddanie się Liny jest ślepe, bezwarunkowe. Dzięki temu czuł się zwycięzcą. Przez kilka sekund nic nie mówili, przemawiały tylko ich spojrzenia i zachłanność ich ust.

– Dlaczego mi to robisz? – spytał Siergiej, zabawiając się gryzieniem warg Liny, jakby nie chciał znać odpowiedzi na swoje pytanie.

– Co? Że cię całuję? – ledwo zdołała odpowiedzieć.

– Zmuszasz mnie, żebym za tobą tak okrutnie tęsknił. Wariuję, myśląc o tobie, wyobrażam sobie, co robisz i z kim jesteś.

– Jestem z tobą. Teraz jestem z tobą.

– Teraz to czas zbyt krótki. Nie wystarczy. Jak dla mnie za mało. I wiem, że dla ciebie też – powiedział i znów zaczął ją całować.

Czekał już zbyt długo, żeby musieć się kontrolować na zimnej stacji kolejowej. I nie potrafił się kontrolować po przyjeździe do domu. Znów byli razem. Tej nocy przekonali się, że ich ciała wcale nie stały się sobie obce, tak jak się tego czasami obawiali.

Powtórnie widzieli się w czasie obchodów Nowego Roku 1923, chociaż wtedy podróż Liny miała bardziej burzliwy przebieg. Pociąg dotarł z opóźnieniem, ale i tak znacznie wcześniej niż wysłany z Mediolanu telegram, w którym Lina informowała Siergieja o dacie i godzinie przyjazdu. Na peronie nie czekał na nią ani kompozytor, ani zielone jabłka. Musiała zadowolić się obecnością sympatycznego syna szefa stacji, który wziął od niej walizkę i oferował swoje towarzystwo w trakcie półtoragodzinnej drogi do rezydencji Christophorus. Kiedy Prokofiew zobaczył ją zbliżającą się do domu w środku nocy, brodzącą po kolana w mokrym śniegu, ale z szerokim uśmiechem na twarzy, wszelkie jego wątpliwości zniknęły, tak jak zniknęły ślady stóp Liny zasypywane przez śnieżycę, która spadła na Ettal. Wszystko było jasne. To się miało wydarzyć w nowym roku. Po tournée Prokofiewa po Hiszpanii. Właśnie o tym zdecydował.

– Kocham tylko ciebie i nie chcę nikogo innego – wyszeptał jej do ucha. – I myślę, że nadchodzi pora, żeby wracać do Francji.

– Wiem. Ale nie zamierzam jechać z tobą do Paryża bez obrączki na palcu.

To nie była groźba. Przynajmniej w uszach Siergieja te słowa nie zabrzmiały jak stanowczy nacisk, tak jak by to było przed laty w Paryżu. Ale wiedział, że coś musi zrobić.

Po długim i tajnym spotkaniu z niejakim porucznikiem Ewaldem, który podjął się przewyciężenia komplikacji biurokratycznych utrudniających zawarcie małżeństwa między Rosjaninem i Hiszpanką na terytorium Niemiec, 8 października 1923 roku Lina została panią Prokofiew. Maria Grigoriewna oraz rosyjski poeta Borys Baszkirow wystąpili jako świadkowie wraz z porucznikiem Ewaldem i jego żoną. Bolesna nieobecność Olgi Niemyskiej i Juana Codiny nie zmąciła szczęścia panny młodej, choć silnie oddziaływała na stan jej uczuć jeszcze przed uroczystością. Ale nic i nikt nie zdołałoby zakłócić chwili, o której marzyła od tak dawna. Inauguracja jej nowego stanu cywilnego przyćmiła nawet wyczekiwaną premierę *Śnieżki* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, o której marzyła od czasu, kiedy zdecydowała, że zostanie sopranistką.

To ona postanowiła przechowywać świadectwo ślubu. Wpatrywała się w nie tyle razy, że nauczyła się go na pamięć:

Rejestr Stanu Cywilnego Ettal, nr 5/1923

Kompozytor Siergiej Siergiejewicz Prokofiew

Zamieszkały: mieszkaniec Ettal

Data urodzenia: 23 kwietnia 1891

Miejsce urodzenia: Soncowka, Jekatierinosław, Rosja

I artystka Carolina Codina

Zamieszkała: mieszkanka Ettal

Data urodzenia: 20 października 1897

Miejsce urodzenia: Madryt, Hiszpania

I magiczne słowa umieszczone nad podpisami obojga i oficjalną pieczęcią:

Zawarli związek małżeński

Dziesięć dni później małżonkowie – Siergiej Prokofiew i Lina Codina – pojawili się publicznie w paryskiej operze, żeby wziąć udział w premierze *I Koncertu skrzypcowego* Prokofiewa, którym dyrygował bliski kolega i wielbiciel kompozytora Siergiej Kusewicki. Stawili się wszyscy przyjaciele, jakby wiedzieli, że jest kilka powodów do świętowania: Pablo Picasso, Igor Strawiński, Artur Rubinstein, Siergiej Diagilew, Alexandre Benois, Karol Szymanowski, Anna Pawłowa – tego wieczoru nieodmiennie zachwycona Liną.

– Jak miło cię widzieć, gdziekolwiek by to było – wyznała jej primabalerina, która zawsze miała dla niej dobre słowo.

Sukces, którego nie odniósł tego wieczoru koncert Prokofiewa, stał się udziałem jego zachwycającej żony. Strawiński podszedł do Liny.

– Jesteś naprawdę piękna. Czy to makijaż?

Lina zaprzeczyła ruchem głowy i obdarzając go jednym ze swoich szerokich uśmiechów, pokazała mu palec serdeczny lewej ręki, na którym jak gwiazda lśniła złota obrączka.

Nie był to jedyny sekret, który skrywała Lina. Źródłem blasku bijącego tego wieczoru od jej ciała nie była wcale obrączka.

Wróciła do domu. I to pod rękę z miłością swojego życia, która przekształciła się w jej męża, a także z nowym członkiem rodziny, który niebawem miał się narodzić. Tylko ona o tym wiedziała. Są sekrety, które lepiej ukrywać do chwili, aż nadejdzie najlepszy moment, żeby się nimi dzielić. Wszystko w swoim czasie.

<sup>10</sup> Czarne Koszule, czyli Milizia Volontaria per la Sicurezza Nazionale – organizacja paramilitarna założona we Włoszech w 1923 roku (przyp. red.).



– Jest trochę brzydki i siny.

Siergiej wpatrywał się w małą istotę, która leżała w kołysce i wykonywała ruchy jak leżący na grzbiecie kotek. Kołyska umieszczona była obok łóżka matki, półprzytomnej od czasu skomplikowanego rozwiązania. Noworodek okazał się rannym ptaszkiem i przyszedł na świat o ósmej czterdzieści pięć 27 lutego 1924 roku. Mimo wyczerpania porodem i pewnych komplikacji medycznych Lina wyglądała naprawdę pięknie. Być może dlatego niedoświadczonemu ojcu kontrast między urodą matki i wyglądem dziecka wydał się tak dziwny.

– Tylko to ci przychodzi do głowy? – Olga Niemyska przybyła trzy dni wcześniej, wysławszy przedtem z Nowego Jorku telegram zawierający jedno słowo i datę: „Przyjeżdżam 24”. I dotrzymała zapowiadanego terminu. Żadnemu z nich dwojga nie pozwolono asystować przy porodzie małego, co zirytowało przyszłą babcie.

– Jestem jej matką. To normalne, że mąż idzie z przyjaciółmi do kabaretu na Montmartrze i się upija – rzuciła w stronę ginekologa córki, sympatycznego doktora Gabriela Vouffégo, choć tak naprawdę jej słowne pociski wymierzone były w Siergieja, który poprzedniego wieczoru wybrał się na miasto wraz z Aleksiejem Stahlem, żeby uczcić nadchodzące narodziny pierworodnego. – Ale matka musi być u boku córki, przynajmniej w najważniejszych chwilach jej życia.

Było jasne, że gniewa się na zięcia, którego obciążała odpowiedzialnością za swoją nieobecność na ślubie córki.

– To niewiarygodne. Od lat proszę cię, żebyś się oświadczył, a kiedy to robisz, postanawiasz nie zawiadamiać mnie z dostatecznym wyprzedzeniem, żebym mogła być obecna na uroczystości. Niejeden powiedziałby, że zrobiłeś to specjalnie, żeby się na mnie zemścić – oświadczyła mu przy kilku okazjach.

Siergiej uznał, że warto zabrać teściową na spacer po okolicach szpitala Saint Antoine, choć rozmowa z nią nie była tym, na co miał w tym momencie największą ochotę.

– Mam nadzieję, że nie będzie bardzo płakał – dodał świeżo upieczony ojciec, pokonując swój strach przed wzięciem syna na ręce. Bał się, że mu się wyslizgnie z objęć. – Ale podoba mi się. Nie rozumiem tylko, dlaczego Lina nie chce, żebyśmy mu dali na imię Askold.

– Bo nie sądzę, żeby imię kijowskiego władcy z ery przedchrześcijańskiej przyniosło nam wiele radości, a szczególnie twojemu synowi. – Głos położnicy brzmiał słodko, delikatnie, niemal dziecinnie. Lina próbowała przezwyciężyć ciężką senność, która ją opanowała. Siergiej podszedł do łóżka, żeby ją pocałować, co powitała z nieśmiałym, ale pełnym czułości uśmiechem. – On ma twoje oczy, tatusiu.

– Wszystkie dzieci zaraz po urodzeniu mają niebieskie oczy. – Olga musiała mówić, żeby nie poddać się nachodzącym ją w takich momentach myślom. Jeszcze dużo czasu potrzebowała, żeby pogodzić się ze swoją nieobecnością na ślubie córki i pospiesznym przybyciem na świat wnuka.

Powrót Liny do zdrowia trwał dłużej i był bardziej skomplikowany, niż oczekiwano. Pozostawała osłabiona, podczas porodu straciła dużo krwi i jej anemia bardzo się nasiliła. Nastroje Liny nieustannie falowały, a tę zmienność dodatkowo wzmacniały dwie okoliczności: ciągły płacz małego Światosława – w końcu wybrano dla niego rosyjskie imię łączące określenia „świat” i „sława” – oraz niemalże klaustrofobiczne warunki związane z zalecanym przez lekarzy odizolowaniem pacjentki w domu. Irytacja, jaką budziły w niej ciągłe awarie windy w ich kamienicy, oraz niemożność wchodzenia i schodzenia po schodach w okresie popołożowym też nie pomagały w usmierzaniu jej niepokoju. Choć wspólne mieszkanie z Olgą Niemyską nie było wolne od różnych zadrażnień, okazało się niemal darem opatrności: to ona zajęła się poszukiwaniem nowego domu i znalazła go pod numerem 5 przy ulicy Charlesa Dickensa, ona też przez pierwsze dni zajmowała się noworodkiem.

Lina miała w tym okresie wiele czasu, żeby zastanawiać się nad życiem. Wydawało jej się jakimś wielkim librettem, w którym postacie pojawiały się i znikwały za sprawą kaprysów wyobraźni kompozytora. Jej syn przyszedł na świat zaledwie kilka miesięcy po śmierci jej przyjaciela Raymonda Radigueta, który padł ofiarą gorączki tyfoidalnej. Poruszyła ją wiadomość, przekazana przez innego z przyjaciół, Jeana Cocteau, że kilka godzin przed śmiercią młody Raymond przeczuwał swój koniec. Wyznał Jeanowi, że przed upływem trzech dni zostanie rozstrzelany przez żołnierzy Boga. Te słowa okazały się prorocze. Kiedy Siergiej podarował Linie jego książkę *Opętanie*, pograżyła się w lekturze niemal jak w hipnotycznym transie. Podczas gdy resztę czytelników gorszyły opowiedziane w powieści zdrady, których dopuszczała się żona pewnego wojskowego podczas wojny światowej, Linę poruszała łatwość, z jaką można wyrzucić krzywdę ukochanej osobie, i to w imię miłości. Taką właśnie refleksją emanowała historia opisana przez Raymonda. Przez długi czas Lina obsesyjnie wracała do tej myśli – prawie tak często jak do makabrycznej współzależności między życiem i śmiercią, którą od czasu, kiedy urodziła pierwszego syna, zaczęła dostrzegać wszędzie wokół siebie.

Niemniej jednak zgon, który poruszył wszystkich – ze względu na możliwe ogólnoświatowe następstwa – miał miejsce kilka tygodni wcześniej, dość daleko od Paryża. Włodzimierz Lenin, przywódca rewolucji rosyjskiej i sprawca wszystkich jej straszliwych konsekwencji, zmarł w wyniku wylewu krwi do mózgu. Temperatura trzydziestu stopni poniżej zera, która zmroziła Moskwę w styczniowy poranek 1924 roku, nie przeszkodziła milionom osób przejść ulicami miasta i towarzyszyć w żałobnym kondukcje przywódcy Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, którego był założycielem. Niektórzy żegnali wodza, który dał im wszystko, co niezbędne, żeby budować proletariacki raj, inni dyktatora, który zmienił prawa człowieka w świstek papieru. Długo nie cichły teorie spiskowe, które po śmierci Lenina krążyły po szerokich, ośnieżonych terytoriach Związku Radzieckiego. Siergiej miał okazję zetknąć się z nimi podczas coraz częstszych spotkań z przedstawicielami rosyjskiego świata artystycznego, których wielu przybyło do Paryża po jego i Liny powrocie. Kompozytor dobrze się czuł między „naszymi”, jak zwykł o nich mówić. Brał udział w sympozjach, spotkaniach klubowych, wydarzeniach literackich i muzycznych, w których uczestniczyli wielcy pisarze rosyjscy na uchodźstwie. Prokofiew organizował też w swoim domu kolacje, na

które przychodzili jego rodacy, między innymi Dmitrij Mereżkowski, Iwan Bunin, Aleksander Kuprin, Aleksiej Remizow czy Michaił Łarionow.

Pewnego wieczoru udział w takiej kolacji wziął redaktor rosyjskojęzycznego dziennika „Poslednije Nowosti”, wychodzącego w Paryżu. Siergiej lubił jego towarzystwo, bo człowiek ten zwykł przynosić najnowsze wiadomości z kraju ojczystego, w którym wiele z nich nie trafiało na łamy prasy ani w żaden inny sposób nie wydostawało się na światło dzienne.

Teraz ten człowiek był w Paryżu, w bezpiecznym domu Prokofiewów przy ulicy Charlesa Dickensa, gdzie toczyła się prowadzona cichym głosem rozmowa. Nikt z obecnych nie był dobrego zdania o bolszewikach, na których spadała odpowiedzialność za okrucieństwa, do jakich dochodziło w ich kraju. Rozmowa ożywiła się, kiedy ktoś zaczął ciskać gromy na rozmaitych ponurych osobników przemienionych ostatnio w przywódców politycznych obiecujących ludowi to, czego nigdy nie zamierzali mu dać. Konwersacja zahaczała też częściowo o okoliczności śmierci Lenina.

– Wyizolowali jego mózg i zbadali – powiedział redaktor dziennika.

– Nikt poza nimi nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego.

Wypowiedzi biesiadników zaczęły krążyć wokół rozmaitych teorii spiskowych. Niektórzy używali przy tym żartobliwego tonu, podczas gdy inni ze sporą pewnością siebie wyrażali wątpliwości co do przyczyn śmierci Lenina.

– Dziwne, że akurat wtedy, kiedy planował wyrzucić Stalina z sekretariatu partii, jego zdrowie nagle się pogorszyło, zapadł w śpiączkę i umarł – skomentował redaktor rosyjskiego czasopisma.

– Umarł na wylew krwi. Zrobili sekcję zwłok i okazało się, że zabiła go miażdżyca.

– Protokół z autopsji podpisało tylko ośmiu z dwudziestu siedmiu lekarzy, którzy byli obecni – zaznaczył Remizow.

– Chcesz bronić tego samego co Trocki, który już w czerwcu 1917 roku określił bolszewików jako nieznaczącą garstkę demagogów? Chcesz myśleć tak jak on, że Lenin został otruty i że z pewnością stał za tym Stalin? – spytał Bunin.

– Ja tylko mówię, że nie wierzę w takie przypadki. I że niektóre cyjanki są stosowane do leczenia syfilisu, podobnie jak jodek potasu. Choć wiele osób upiera się przy odwrotnym poglądzie, znam lekarzy, którzy zapewniają mnie, że Lenin wcale nie cierpiał na tę chorobę. Więc co leczono u niego cyjankiem? Mózg Lenina zamienił się w kamień, a coś takiego mogą spowodować główne naczynia krwionośne, a nie drobne naczynia w oponach mózgowych, które atakuje syfilis. To jest kwestia nauki, czystej nauki, a nie salonowych teorii spiskowych – orzekł redaktor „Poslednich Nowosti”.

– Chodził z kulą, która utkwiała mu w szyi w wyniku zamachu dokonanego jakiś czas temu. Dziwne, że nie umarł wcześniej.

– Tym, co jakiś czas temu utkwilo w okolicach jego karku, był wiszący nad nim cień aroganckiego Stalina, czyhającego, żeby zająć jego miejsce. No i teraz Stalin ma, czego chciał: Lenin będzie obecny, ale milczący. Stalin postanowił go zabalsamować, ignorując pragnienie Lenina, żeby pochować go obok matki w Piotrogradzie. Przepraszam, Piotrogród już umarł, tak jak i Lenin. Teraz to jest Leningrad. To chyba pierwszy przypadek nacjonalizacji ludzkiego ciała. Co wcale nie przestaje budzić

zdziwienia, zważywszy, że to właśnie Lenin rozpoczął praktykę zabierania chłopom ziemi i dobytku. Sam miał gębę pełną proletariatu, ale nie pozwalał temu proletariatowi włożyć coś do gęby.

– Podobno zostawił testament, w którym ostrzega przed walkami wewnętrznymi, szczególnie między Stalinem i Trockim.

– To może być dobry materiał na rosyjską powieść. Trzeba by porozmawiać z Dmitrijem Mereżkowskim – skomentował ironicznie Remizow.

– Prokofiew, a ty co myślisz? – spytał Łarionow milczącego kompozytora, który najwyraźniej wolał przysłuchiwać się rozmowie.

– Mnie nie interesuje polityka – odpowiedział z uśmiechem Siergiej. – Traktuję to jako coś obcego. Mój świat to muzyka.

– To niemożliwe, nie możesz tak myśleć. Poza tym to niebezpieczne. Nikt nie może traktować polityki jako czegoś obcego, bo żyjemy zanurzeni w niej. Choćbyśmy nie chcieli, ona wpływa na nasze życie.

– Przykro mi, przyjacielu, ale powtórzę: cały ten świat jest mi obcy. Ja, tak jak Archimedes, zadowolam się rysowaniem kółek na piasku i tylko chciałbym, żeby nikt mi ich nie deptał.

Nie pierwszy raz Siergiej opowiadał tę historię o zamordowaniu greckiego matematyka podczas drugiej wojny punickiej, kiedy siły rzymskiego generała Marka Klaudiusza Marcellusa wkroczyły do Syrakuz po dwóch latach oblężenia. Archimedes był akurat w ogrodzie przy swoim domu i rozważał pewien problem matematyczny. Wchodzącego do ogrodu żołnierza poprosił tylko, żeby nie podeptał narysowanych na piasku kół. Nie prosił o oszczędzenie życia, liczył się dla niego narysowane koła, jego praca. Chwilę później w tym właśnie miejscu żołnierz zamordował Archimedesa, wbrew rozkazom swoich przełożonych.

Po raz pierwszy Lina wyszła ze swojego szczególnego poporodowego więzienia, żeby wziąć udział w kolacji z przyjaciółmi u Pruniera – w jednej z jej ulubionych paryskich restauracji. Znów mogła sobie przypomnieć smak ostryg ułożonych na pagórku kruszonego lodu, których od tak dawna nie jadła, czy kraba po meksykańsku, Siergiej natomiast opowiedział się za wybornymi omułkami i zupą z homara z odrobiną soli – zbyt mocno przyprawioną jak na delikatne podniebienie Liny.

Tęskniła za przepychem lokalu, jego ekskluzywną atmosferą i wyrafinowanym, choć nadmiernie drogim menu opartym na owocach morza, świeżych rybach i luksusie dostępnym tylko dla nielicznych – ogromnych puszkach kawioru. Były one częścią dekoracji w stylu *art déco*, jaki dominował w lokalu. Lina była szczęśliwa i dawało się to zauważyć. Jej oczy lśniły szczególnym blaskiem, i to nie tylko ze względu na idealny makijaż, który je powiększał i nadawał im wygląd narysowanego czarną linią obiektu architektonicznego, ale ze względu na widoczną satysfakcję z powrotu do radości paryskich wieczorów. Na to pierwsze wyjście wybrała niebieską jedwabną suknię Lanvina z delikatnym obramowaniem, inkrustowaną małymi kryształkami, o niskim i luźnym pasie oraz długich, bardzo luźnych rękawach. Ten model zaledwie kilka miesięcy później zainspirował projektantów sukni wieczorowej Maharani z 1925 roku. Dodatkowo do sukni był ściśle przylegający do głowy kapelusz w stylu *cloche* naszywany

cekinami, które dodawały jeszcze więcej blasku twarzy. To nakrycie głowy stało się nieodłącznym elementem stylu Liny, z którym trudno byłoby jej się rozstać. Nie miała zresztą na to ochoty. Wiedziała, że kapelusz podkreśla jej idealne rysy, jakimi nie mogło się pochwalić wiele kobiet.

Od czasu porodu jej uroda jeszcze zyskała: ciało Liny wróciło do formy w rekordowym czasie, zupełnie jakby nie wydało na świat nowego życia. Tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy wyszła znów z domu, z trudem rozstała się z małym Światosławem, a zdecydowała się na to wyłącznie dlatego, że zgodziła się zostać z nim Olga Niemyska. Siergiej, zachwycony ideą posiadania w domu małego Prokofiewa, skarżył się, że dziecko jest nadmiernie rozpieszczone, szczególnie przez obie babcie, choć pogarszające się zdrowie Marii Grigoriewny było dla wszystkich źródłem wielu zmartwień. Matka Siergieja zrobiła się słaba, wzrok znów zaczynał jej się psuć, a stan ducha nie kojarzył się z silną i odważną kobietą, jaką zawsze była. Wszyscy się o nią martwili, a najbardziej syn, choć jak zawsze robił to po cichu, przełykając własny ból i ukrywając go pod maską chłodu i powagi. Kamienna twarz pozwalała mu nie uzewnętrzniać prawdziwych uczuć.

Od narodzin małego Lina i Siergiej postanowili zredukować liczbę wieczornych wyjść. Ograniczały się one do koncertów, premier, kolacji z przyjaciółmi – najchętniej u siebie w domu – i spotkań literackich. Nie widywano ich równie często jak kiedyś w nocnych klubach, po których dawniej krążyli aż do świtu, wydeptując chodniki ulic Montparnasse’u i Montmartre’u. Nowe życie wymuszało, aby ich wieczory były bardziej wypełnione słowami, a mniej jazzem.

Siergiej z każdym dniem dostawał coraz więcej zamówień na koncerty, opery i balety ze wszystkich zakątków świata. Ku jego początkowemu niezadowoleniu wiele z nich przychodziło od różnych ważnych wysłanników ze Związku Radzieckiego, którzy zachowywali się w sposób dość natarczywy. Ze względu na aktualne okoliczności powrót do ojczyzny nie znajdował się w jego planach na najbliższą przyszłość. Siergiej mieszkał w Paryżu, w środowisku otwarcie antybolszewickim, a sposób, w jaki opuścił swój kraj, wielu ludzi mogło interpretować jako ucieczkę do przodu, połączoną z pokazaniem pleców duchowi rewolucji, rodzącemu się wtedy w Rosji. Prokofiewowi zawsze udawało się trzymać na uboczu i nie podsycać podejrzeń ani jednej, ani drugiej strony, nigdy też nie zadeklarował się publicznie przeciwko bolszewizmowi. Można nawet było argumentować, że zrobił coś przeciwnego: w trakcie koncertu na rzecz Stowarzyszenia Przyjaciół Związku Radzieckiego, dwa tygodnie po chicagowskiej premierze *Miłości do trzech pomarańczy*, która odbyła się 30 grudnia 1921 roku, stwierdził: „Bolszewicy wspierają sztukę i robią co mogą, żeby przyczynić się do jej rozwoju. Jestem przekonany, że kultura muzyczna ma przed sobą w Związku Radzieckim wielką przyszłość”. Sądził, że jego słowa pozostaną w jakimś schowku, ale wiele lat później przekonał się, że tak nie było. Oferty nadchodziły także ze Stanów Zjednoczonych, Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Niemiec. Chciano, aby zaspokoił oczekiwania mnóstwa ludzi głodnych jego muzyki. Na razie Związek Radziecki musiał zaczekać na swój kawałek tortu.

Rytm pracy Siergieja stał się dość szaleńczy i ciało zaczęło wysyłać sygnały świadczące o niezadowoleniu z takiego obrotu spraw. Bóle głowy coraz bardziej się

nasilały i kończyły się wyniszczającymi migrenami, które były jedyną siłą zdolną powstrzymać geniusza. Czuł się przez nie słaby, bezbronny, niejako pozbawiony kontroli nad własnym życiem. Utrudniały mu dostęp do muzyki, która rodziła się w jego głowie.

Lina cierpiała, widząc, jak jej mąż przy każdym ataku próbuje walczyć z potworem bólu i rzadko odnosi zwycięstwo. Nie potrafiła uchronić go w żaden sposób przed tą dolegliwością, która zaburzała jego charakter i stan ducha. Ataki złości, w trakcie których na kilka minut zdawał się tracić kontrolę nad swoją wolą, stawały się coraz częstsze. Wybuchał z powodu dowolnego drobiazgu pozbawionego jakiegokolwiek zrozumiałego znaczenia; szczególnie dotyczyło to spraw związanych z punktualnością. A jego żona zwykle była w pobliżu. Oczywiście czas trwania tych wybuchów wściekłości był ograniczony, ale równoważyła to ich intensywność.

Pewnego dnia, podczas jednej z podróży, które Prokofiewowie lubili odbywać z przyjaciółmi, Lina postanowiła, że w czasie, gdy Siergiej goli się w hotelowej łazience, ona pójdzie obejrzeć dom, w którym urodziła się Joanna d'Arc. Miała tam iść wraz z przyjacielem i – w tym przypadku – towarzyszem podróży, kompozytorem Nikołajem Nabokowem. Wszyscy byli umówieni, że o wpół do dziesiątej wyjadą z Orleanu i będą kontynuować podróż po Francji. Ale Lina i jej przyjaciel chcieli przedtem zwiedzić muzeum Joanny d'Arc, podczas gdy zainteresowania architektoniczne Prokofiewa ograniczały się do zadawania pytań, jak to możliwe, że przy budowie katedry w Chartres ustawiono posągi tak wysoko, a one nie pospadały.

Lina i jej towarzysz spóźnili się kilka minut. Kolekcja starych monet w muzeum Joanny d'Arc – wśród nich znajdowało się także kilka rosyjskich z czasów Piotra Wielkiego – zatrzymała ich chwilę dłużej, niż się spodziewali. Pod wpływem krzyków Siergieja Lina zaczęła płakać i nie mogła przestać przez kilka godzin.

– Cóż to za brak odpowiedzialności! Wydaje się wam, że kim jesteście? Czy ja jestem może waszym służącym, żebym spełniał wszystkie wasze zachcianki!? Wiecie, co wam powiem? Zabierajcie walizki i jedźcie dalej pociągiem.

Po kilku przygnębiających minutach nastroje się uspokoiły i wszyscy troje wsiedli w końcu do samochodu, żeby kontynuować podróż. Przez godzinę żadne z nich nie otworzyło ust. Słysząc tylko płacz Liny, która czekała na przeprosiny męża, te jednak nie następowały. W końcu Nikołaj spojrział z powagą na Siergieja i powiedział, że jeśli nie zmieni swojego zachowania, jego żona i on zostawią go samego i wsiądą do pociągu. Ku zaskoczeniu wszystkich Siergiej ograniczył się do uśmiechu, jakby wszystko, co się wydarzyło, nie było na serio, i przyznał, że sytuacja trochę wymknęła mu się spod kontroli. Był to jego sposób na przeprosiny.

Lekarze zalecali, żeby obniżył intensywność muzycznych procesów twórczych i więcej odpoczywał. Zasugerowali też, że pomocny może się okazać kontakt z przyrodą. Ale geniusz Prokofiewa nie znał odpoczynku. Nie potrafił robić przerw, choćby chciał. Muzyka wciąż powstawała w jego głowie i Siergiej czuł potrzebę wyrzucania jej stamtąd, aby jego mózg nie eksplodował i nie rozpadł się na tysiąc kawałków. Zdarzały mu się noce, kiedy budził się, walcząc o oddech, zlany potem, z rozpaloną twarzą i oczami, w których malowało się szaleństwo. Można było pomyśleć, że znajduje się w szponach potwora strachu: biegł do swojego gabinetu i przenosił na papier wszystko, co mu

dyktował zamknięty w jego głowie demon. Potrafił spędzić w tym stanie długie godziny. Zdarzały się dni, w których świt zastawał go przy fortepianie, zapisującego coś gorączkowo w zeszycie z partyturą, tak jakby nie było pięciolinii dostatecznie szerokiej, żeby pomieścić to wszystko, co płodził jego umysł. Kiedy kończył, wyglądał jak wojownik, który dopiero co wrócił po krwawej i brutalnej walce. Wyczerpany, z opuszczoną gardą, przygotowany, by zaakceptować wolę losu i pokornie dać mu się prowadzić. W takich chwilach jego pierś wznosiła się i opadała tak gwałtownie, jakby serce Siergieja było umieszczone we wnętrzu bomby zegarowej, która zaraz wybuchnie. Wtedy zajmował w ramionach Liny miejsce przeznaczone dla małego Światosława, który odstępował ojcu tę szczególną oazę matczynych objęć, pieśczęt i czułości, jak gdyby rozumiał, że potrzebuje tego miejsca bardziej niż on.

Sytuacja się uspokoiła, kiedy w życiu małżonków pojawiły się dwa słowa należące do kategorii cudownych: Chrześcijańska Nauka. Wszystko zaczęło się od zwyczajnego spotkania ze starym znajomym, który opowiedział Prokofiewom, że stał już nad grobem ze względu na ciężkie problemy z sercem i wówczas pośrednictwo kapłana Kościoła Chrześcijańskiej Nauki uratowało mu życie. Znajomy wcale nie wydał im się szaleńcem i Prokofiewowie przyjęli jego zaproszenie do domu na herbatę, żeby dłużej porozmawiać na ten temat. Nie mieli nic do stracenia. Chrześcijańska Nauka wydawała się systemem uzdrawiania duchowego opartym na modlitwie. Poprzez modlitwę właśnie ludzie osiągnęli lepsze samopoczucie fizyczne, a także emocjonalne, znajdując wśród dogmatów Nauki wiele odpowiedzi na pytania zadawane przez życie, które dotychczas pozostawały bez odzewu. Z pewnością nie po raz pierwszy Siergiej usłyszał wtedy o Mary Baker Eddy, twórczyni tego nurtu religijnego, o którym dowiedział się już w czasie pobytu w Nowym Jorku.

Uwagę obojga małżonków zwróciło przekonanie członków Kościoła Chrześcijańskiej Nauki, że ludzka wola potrafi przewyciężyć wszystko inne, a siła umysłu zdolna jest poradzić sobie z dyktatem ciała. Stopniowo oboje przekonywali się, że zagłębianie się w Naukę działa uspokajająco na Siergieja, łagodzi jego ataki wściekłości, łagodzi niepokoje, wątpliwości i przyływy melancholii. Prokofiew zauważył nawet polepszenie ogólnego zdrowia: bóle głowy osłabły, migreny stały się mniej intensywne, poprawił się też stan jego serca. Widząc te efekty u męża, Lina wkrótce również stała się wierną wyznawczynią tych nauk.

Oboje stali się regularnymi bywalcami Drugiego Kościoła Chrześcijańskiej Nauki, mieszczącego się pod numerem 58 przy bulwarze Flandrin w Paryżu. Zawiązała się tam przyjaźń między nimi a jedną z kapłanek, panią Getty. To właśnie do niej przychodzili, kiedy czuli, że życie ich przerasta i grozi wymknięciem się spod kontroli. Jej słowa działały wówczas jak najlepsze lekarstwo:

- Nie myślcie o bólu, a wtedy ból nie pomyśli o was.
- Trzymaj się pasji tworzenia, bo twórczość jest przejawem życia.
- Depresja to oszustwo fabrykowane przez śmiertelny mózg, przez coś, co nie ma nad nami władzy. My jesteśmy przejawem życia, czyli siły duchowej.
- Praca twórcza jest czymś nierozzerwalnie z nami związanym, nasze pragnienie pracy jest naturalne.

– Bóg jest wyłącznie miłością i dobrocią, przyjmuje wyłącznie wymiar duchowy.

Ta sama kobieta okazała się niezwykle ważna dla Liny w kontekście jej ciągłej tremy i scenicznej paniki:

– Śpiewaj, jakbyś stała przed Bogiem i nikim innym.

Kapłance udało się nawet osiągnąć to, czego nie potrafiły zdziałać żadne medykamenty mające wyleczyć Linę z zaników głosu i przeziębień.

– Choroba nie została stworzona przez Boga i w związku z tym jest czymś nierzeczywistym. Lekarstwem na niedomagania ciała jest lepsze zrozumienie Boga i ducha.

Pewnego popołudnia Lina przyszła do gabinetu tej kobiety na kolejną sesję. Tamta zakryła jej oczy dłonią. Przez ponad dziesięć minut koncentrowała się zamknięta w kompletnej ciszy, którą w końcu przerwała, mówiąc:

– Teraz już jesteś zdrowa.

Siergiej też przychodził na takie sesje, nie tyle w sprawie bólów głowy, ile ze względu na problemy kardiologiczne, które zaczynały go już martwić. Kiedy spotkanie dobiegło końca, pani Getty zapewniła go, że bóle serca nigdy więcej się nie pojawią.

Choć żadne z nich nie sądziło, że mają się czego wstydzić, Siergiej i Lina postanowili nie opowiadać nikomu o swoich doświadczeniach z Chrześcijańską Nauką. Obawiali się, że w niektórych sprawach umysły innych mogą nie być tak otwarte jak ich własne. Poza tym najważniejsze było ich dobre samopoczucie, stan pełni i satysfakcji, dzięki któremu stali się bardziej produktywni i który poprawił nawet relacje między nimi oraz ich życie rodzinne. Cieszyli się, że Siergiej nauczył się skuteczniej stawiać czoło trudnościom życiowym, że jego zdrowie się polepszyło. To, co inni ludzie mogli na ten temat myśleć, nie miało dla nich najmniejszego znaczenia. Wystarczyło im zmaganie się z presją muzycznych upodobań publiczności.



Przez kilka miesięcy ich życie wydawało się być całkiem pogodnie. Rodzina Prokofiewów cieszyła się spokojem, który dawno już nie gościł w ich codzienności. Siergiejowi ani przez chwilę nie ciążyło małżeństwo z Lina, wręcz odwrotnie. Od czasu, gdy oficjalnie złączyli swoje losy, wszystko zdawało się zmierzać ku lepszemu. Napięcia ustąpiły, zniknął cień wątpliwości żywionych przez Olgę Niemyską i wiszących nad jej córką. Było pewne, że relacje między Lina i Siergiejem nie są nadal całkiem wolne od sporów, prowokowanych zawsze przez pozbawione znaczenia drobiazgi. Prokofiew, ze swoim wybuchowym charakterem, wyolbrzymiał sporne kwestie przez kilka minut, po czym tracił zainteresowanie i siły do kłótni. Wtedy wykazywał skruchę, kurczył się przed swoją żoną i – ponieważ nie miał skłonności do werbalizowania swojego żalu – dawał znać za pomocą języka ciała, że przeprasza.

Niewątpliwie pomagały w tym zalecenia Chrześcijańskiej Nauki, a także fakt, że sukcesy i sława Prokofiewa stawały się coraz większe i sięgały coraz dalej. Zamawiano u niego coraz więcej koncertów, recitali, oper, baletów, utworów kameralnych i wokalnych, koncertów na fortepian i skrzypce... Wszyscy chcieli wypisywać nazwisko Prokofiewa na afiszach swoich teatrów, słuchać jego muzyki, składać hołdy kompozytorowi, pianiście i dyrygentowi, o którym mówił cały świat, pozyskać jego obecność w Europie, Azji, Stanach Zjednoczonych... I oczywiście połączyć to z obecnością jego żony, „efektywnej, wyrafinowanej i zachwycającej Liny Llubery”, jak ją określano w niektórych artykułach prasowych, które nadal pozostały najlepszymi listami polecającymi jej męża. Lina była świadoma, że jej kariera muzyczna poważnie zahamowała po narodzinach Światosława, ale wiedziała też, że zdolnościami wokalnymi nie dorównuje Mary Garden<sup>11</sup> i że jej lęk przed występami na scenie, w połączeniu z narastającą skłonnością do bezgłosu i przeziębień, nie pomagają w karierze. Ale to nie znaczy, że porzuciła swój sen. Po prostu nie trzymała się go już tak kurczowo. Czasami trzeba podejść do marzeń bardziej na luzie, dać im więcej czasu i przestrzeni, żeby mogły się zmaterializować.

Prokofiewowie odzyskali siły i energię dzięki długiemu pobytowi wypoczynkowemu w Villa Béthanie – wspaniałym domu w Saint-Gilles-sur-Vie, gdzie mogli korzystać z ogromnej plaży z białym piaskiem i morza. Siergiej intensywnie pracował, choć pozwalał sobie codziennie na krótkie przerwy, które spędzał, kąpiąc się w oceanie. Lubił to robić wcześniej rano, bo wody Atlantyku były wtedy chłodniejsze niż zwykle, co Linę – z jej skłonnościami do przeziębień – skutecznie odstraszało. Światosław też nie przepadał za zimną wodą i wolał czekać razem z matką, aż słońce zacznie ogrzewać piasek i powierzchnię morza. Jako matkę Linę wzruszało obserwowanie, jak Siergiej przygląda się swojemu synowi. Rzadko widoczny był na jego twarzy wyraz tak błogiej radości. Wydawało się, że muzyka nagle przestawała brzmieć w jego głowie i w tej rzadkiej ciszy to właśnie mały Światosław stawał się jedyną melodią wartą słuchania, kontrolowania w niej rytmu i panowania nad pauzami. Siergiej nie zdawał sobie nawet sprawy z uśmiechu, który wykwitał na jego twarzy, kiedy dziecko

patrzyło na niego albo odwracało się w jego stronę, śmiejąc się i wyciągając ramiona.

Pewnego popołudnia, kiedy matka i syn bawili się na brzegu morza, pojawił się Siergiej w marynarce w biało-czerwone pasy i usiadł obok nich. Było ciepło i po krótkim czasie kompozytor zaczął się pocić. Lina poradziła mu, żeby zdjął marynarkę, ale odmówił.

– Jeśli ją zdejmę, zostanę w białej koszuli, a to przypomni Światosławowi człowieka z apteki, który go co tydzień waży. Za każdym razem, kiedy mały go widzi, zaczyna krzyczeć i płakać. Nienawidzi go. A ja nie chcę, żeby mnie znienawidził.

Lina była przekonana, że charakteryzująca Siergieja nieumiejętność wyrażania uczuć zniknęła wraz z narodzinami Światosława. I gratulowała sobie tego. Czowała się spełniona, szczęśliwa, otwarta na życie, wydawało jej się, że nie może prosić o nic więcej. Przez pewien czas przerażało ją to uczucie absolutnego szczęścia, czuła się wobec niego słaba, bezbronna, jakby zagrażało jej duszy, jakby taka ilość zadowolenia musiała skutkować wyrzutami sumienia. Bała się, że jej szczęśliwa gwiazda stanie się obiektem ataków zazdrości ze strony losu, sprowokuje zemstę życia. Było to uczucie absurdalne i niesprawiedliwe. Woląла więc nie dawać więcej pożywki swoim lękom. Powinna się przyzwyczajać do dobrego samopoczucia, do szczęścia. Nie było w tym nic złego. Natura ludzka ma skłonność do wymierzania sobie kary, podczas gdy powinna koncentrować się na radowaniu się, bez myślenia o planach na przyszłość. Lina coraz lepiej zdawała sobie z tego sprawę. Ale świadomość nie zawsze stanowi gwarancję całkowitego zwycięstwa.

Kiedy już wszystkie instrumenty w orkiestrze jej życia zdawały się brzmieć idealnie dzięki cudownemu wzajemnemu zrozumieniu, muzyka nagle zamilkła. Coś w ich życiu zniecka pękło. Dotyczyło to Siergieja. Dwunastego grudnia 1924 roku zmarła Maria Grigoriewna. Kobieta, która po raz pierwszy pokazała mu fortepian, która zapisywała na pięciolinii muzykę wychodzącą z jego dziecięcej głowy, gdy miał zaledwie pięć lat, która poświęciła dla niego całe swoje życie, zgasła na zawsze. Teraz dopiero Siergiej zdał sobie sprawę, jak bardzo kochał osobę, która niewątpliwie była pierwszą miłością jego życia. Jak zawsze Lina stała u jego boku, wspierała go, koła jego płacz, wysłuchiwała jego wątpliwości, szanowała jego milczenie i zachowywała się tak, jak to robiła od czasu, kiedy go poznała: była wsparciem, najlepszą sojuszniczką, lojalną towarzyszką podróży, najbardziej oddaną admiratorką. Jego wielką miłością. Śmierć Marii Grigoriewny była wielkim ciosem także dla niej. Zniknęła jej wierna powiernica, rozumiejąca jej lęki i wątpliwości, najlepsza doradczyni, jaką kiedykolwiek miała i jakiej już nie będzie miała w przyszłości – przynajmniej jeśli chodzi o relacje z Siergiejem. Lina czuła się tak, jakby i jej samej umarła matka.

Melancholia nie była tylko stanem ducha. Dla Siergieja stała się także konkretnym miejscem na ziemi. Śmierć matki pozostawiła pustkę, którą trzeba było zapełnić. Paryż wydał mu się za mały, a może chodziło o brak świeżego powietrza, który odczuwały jego płuca. Szpony życia zaczynały go chwytać i dusić. Musiał wyjść na zewnątrz, odetchnąć i nawet jeśli nie zapomnieć o wszystkim, bo to akurat było niemożliwe, to przynajmniej umniejszyć znaczenie własnego istnienia, spojrzeć na nie z pewnej perspektywy. Oboje z Liną mieli ochotę wybrać się w jakąś podróż i uznali, że teraz nadszedł dobry moment, żeby ten plan zrealizować. Można było liczyć, że Światosław przystosuje się do rytmu

życia rodziców, choć czasami wolał zostać w ramionach opiekunki. Podróże stały się dla Prokofiewów dobrą terapią, i to nie tylko wtedy, kiedy były naznaczone profesjonalnymi zobowiązaniami. Czasami oboje mieli wrażenie, że za ich niemal chorobliwym upodobaniem do podróżowania kryje się w gruncie rzeczy chęć ucieczki od rzeczywistości, byle dalej i byle szybciej, jakby w ten sposób mieli oszukać los albo przynajmniej oddalić się od niego. Ich obsesją stały się wyjazdy, bieg do przodu, przemierzanie całego świata, peregrynacje od miasta do miasta – bez oglądania się za siebie.

– Żadne miasto nie jest tak piękne jak Nowy Jork, kiedy się do niego dopływa – powiedział Siergiej na widok Statuy Wolności, stojąc na pokładzie transatlantyku De Grassé, którym płynęli do Stanów Zjednoczonych.

Im dalej był od domu, tym rozsądniej się zachowywał, przyjeżdżając do nowego kraju, pomimo nerwowości, w jaką wprawiało go przechodzenie przez kontrolę paszportową. Zwykł tłumaczyć te odczucia w zgodzie z logiką:

– Porządnym Rosjanin zawsze czuje się obserwowanym emigrantem.

Nowy Jork był jednym z pierwszych przystanków północnoamerykańskiego tournée Prokofiewa. Cieszyło to Linę, która mogła spotkać się z ojcem po wielu latach, a Siergiej miał w końcu okazję poznać go osobiście, do tej pory bowiem nigdy się nie widzieli. Od samego początku obaj mężczyźni idealnie się rozumieli i chociaż Siergiej żartował sobie z błędów, które robił Juan Codina, mówiąc po francusku i rosyjsku („Światosław mówi lepiej niż pan, drogi teściu”), nie było między nimi żadnej nieufności, która cechowała relacje Prokofiewa z Olgą. Podczas długo oczekiwanego spotkania między ojcem i córką Juan wyznał Linie coś, czego nigdy potem nie zapomniała i co przypominała sobie w najtrudniejszych momentach.

– Jeszcze tego nie wiesz, ale wyszłaś za mąż za geniusza.

Nie była to jedyna wiadomość, która w uszach Liny zabrzmiała jak piękna muzyka i napełniła ją radością. Po wielu latach, które minęły od czasów, kiedy jej rodzice przyплыli po raz pierwszy na Ellis Island, mogli wypełnić obietnicę, którą złożyli, opuszczając stary kontynent: że wrócą do Europy. Olga i Juan myśleli o tym od dawna i uznali, że przyszła pora, aby zamieszkać w małym miasteczku na południu Francji. Niewiele rzeczy mogło bardziej uszczęśliwić ich córkę. Siergiej, ze swoim zmysłem praktycznym, od razu stwierdził, że skończą się dylematy, kto się zajmie małym Światosławem, kiedy oni będą musieli wyruszyć w jakąś podróż i nie będą chcieli zostawiać dziecka pod wyłączną kuratelą opiekunki. Na początku Lina poczuła się nie najlepiej, że podchodzi do sprawy tak egoistycznie, ale udało jej się zwalczyć te wyrzuty sumienia. W końcu jej rodzice postępowali z nią podobnie, a nie było przecież żadnych wątpliwości, że łączyła ich z nią najprawdziwsza miłość.

Po powrocie do Paryża wzięli z kolei kurs na Niceę, Cannes, Monte Carlo, Szwajcarię, Niemcy, Rzym... W niektóre dni świat był dla nich za mały.

Ponowny przyjazd do Włoch obudził wiele wspomnień. Wenecja, Neapol, Siena, Florencja, po raz kolejny Mediolan – miasto, które stało się poczekalnią w procesie umacniania ich związku. Wielkie wrażenie na Linie wywarł powrót do Genui, gdzie spędziła pewien czas, kiedy była mała, a jej sąsiedzi mówili o niej „mała Rosjaneczka”.

Zasmuciło ją, gdy przekonała się, że czas pozacierał ślady jej dzieciństwa. Prawie nic nie zostało z dawnych ulic, szkoły, sklepów. Nie było już małego drewnianego budynku, w którym mieściła się piekarnia z marmurową ladą. Olga zabierała ją tam, żeby kupić świeże babeczki, po których na rękach zostawało ciepło, na ubraniu zapach, a w sercu niepokój, że mama odkryje brak jednej bułeczki o maślanym smaku, wciąż obecnym w ustach małej. Zniknęło też miejsce, gdzie kiedyś ślizgała się na łyżwach, marząc, że zostanie sławną tancerką. Lina wpatrywała się w nowe oblicze Genui z pewnym przygnębieniem. Zdarza się, że czas postępuje z naszymi wspomnieniami niesprawiedliwie. Być może dlatego Lina nie potrafiła śpiewać w tym mieście, bo jej głos tłumiała nostalgia. Słuchała tam tylko *II Sonaty* Prokofiewa.

Ale najważniejsze przeżycia, które oboje zapamiętali na zawsze, czekały na nich w Rzymie. Mieli wystąpić w Akademii Świętej Cecylii. Siergiej przygotowywał się do wykonania *III Koncertu fortepianowego*, podczas gdy Lina modliła się, żeby jej głos nie ucierpiał przez nadal niedające się opanować ataki lęku scenicznego. Kiedy byli w sali prób, zaskoczyło ją pojawienie się nieznanego młodego mężczyzny. Obcy zazwyczaj nie mieli wstępu na próby. Młodzieniec podszedł do Siergieja i wręczył mu list w zalakowanej kopercie z wielką, czerwoną pieczęcią. Było to zaproszenie na audiencję u papieża. Oboje małżonkowie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Czegoś takiego się nie spodziewali.

W wyznaczonym dniu w hotelowym pokoju, w którym mieszkali Prokofiewowie, panowało widoczne zdenerwowanie.

– Biała czy czarna? – Pytanie kompletnie zaskoczyło Linę, której w końcu udało się znaleźć czarną, długą sukienkę, bez dekoltu i z rękawami, odpowiadającą normom protokołarnym Watykanu. Dzięki hojności matki kompozytora i pianisty Alfreda Casellego mogła uczestniczyć w uroczystości, mając na sobie elegancki i stosowny strój, zgodny z zasadami *savoir-vivre*'u, których przestrzeganie zawsze ją charakteryzowało. Suknia była nieco zbyt obszerna, ale Lina miała spore zdolności krawieckie, dzięki którym potrafiła poradzić sobie z każdą sztuką garderoby. – Kamizelka, Lino, biała czy czarna?

– Oczywiście że biała – powiedziała, kończąc upinać we włosach czarną mantylkę, w której wyglądała tak naturalnie, jakby nosiła ją na co dzień. – A jeśli będzie chciał wiedzieć, jakiego jesteśmy wyznania? – spytała, gnębiona wątpliwościami ostatniej chwili. – Co powiemy? Nie wiem, czy mu się spodoba, jeśli będziemy mówić o Chrześcijańskiej Nauce. A jak spyta, czy mamy dzieci?

– To akurat jest łatwe – odpowiedział z ironią, do której zwykle się odwoływał, kiedy jego żona robiła się nerwowa. – Mamy syna. Nie musimy się nad tym długo zastanawiać.

– A jeśli będzie chciał wiedzieć, czy go ochrzciliśmy? Albo czy chcemy mieć więcej dzieci? – Jej usta, dyskretnie pociągnięte różową szminką, zgodnie z zaleceniem, że kobiety nie powinny przesadzać z makijażem, zamieniły się w fabrykę pytań. – Jeśli nas zapyta, czy wierzymy w jego nieomyślność? Co wtedy powiemy?

– Najlepiej powiedzmy, że szanujemy ten dogmat. Przecież jesteś mistrzynią w radzeniu sobie z takimi sytuacjami. Nie wiem, czemu się tak denerwujesz.

Lina spojrzała na niego. Było jeszcze coś, co ją napawało troską, choć wiedziała, że dla Siergieja nie stanowi to pewnie żadnego problemu.

– Wiesz, że papież jest absolutnie pozbawiony tolerancji dla komunizmu.

– A co to ma z nami wspólnego? Ja jestem kompozytorem urodzonym w Rosji. Nie stałem się od tego ani komunistą, ani antykomunistą. Moją jedyną ideologią jest muzyka. Nie wiem, dlaczego ludzie mają kłopoty ze zrozumieniem czegoś tak prostego. Włącznie z tobą, jak widzę. – Siergiej nie wypowiedział tych słów jako wyrzut. Był świadomy, że narodowość uwidoczniła w jego paszporcie może w pewnych miejscach stanowić rodzaj piętna.

Żadne z hipotetycznych pytań, które niepokoiły Linę, nie okazało się problemem, kiedy małżonkowie stanęli w końcu przed Piusem XI. Właściwie to on odpowiadał na pytania, których nawet nie trzeba było zadawać.

– Gratulacje, pani Prokofiew. Dzieci to błogosławieństwo – powiedział papież, pomagając Linie wrócić do pozycji wyprostowanej po złożeniu głębokiego ukłonu.

Lina zaczerwieniła się. Obszerna suknia natchnęła Ojca Świętego myślą, że jego rozmówczyni jest w ciąży. Uznała oczywiście, że nie wypada wyprowadzać go z błędu, i ograniczyła się do uśmiechu, pokiwania głową i spojrzenia na Siergieja, który nic nie rozumiał i zastanawiał się właśnie, czy szmaragd w pierścieniu na prawej dłoni papieża – który właśnie ucałował – jest otoczony perłami czy diamentami.

– To perły, Siergieju. Sądzisz, że powinniśmy go zaprosić na twój następny koncert? – spytała później Lina.

– Przecież to jest papież – odpowiedział, chcąc przez to powiedzieć, że Pius XI może mieć ważniejsze rzeczy do robienia.

– A ty jesteś Prokofiew.

Odpowiedź Liny jak zawsze stanowiła radość dla ego Siergieja.

Wróciwszy do Paryża, Prokofiew zdał sobie sprawę, że od lat towarzyszy mu cień Związku Radzieckiego. Niezależnie od tego, w jakim zakątku świata się znalazł, zawsze był tam ktoś, kto mówił o Moskwie, Leningradzie, Odessie, Kijowie, Charkowie, o bogactwie kultury radzieckiej, o geniuszu tamtejszej muzyki, wielkości teatrów i jakości baletów. Było wręcz niemożliwe, żeby jego kraj nie pojawiał się jako temat rozmów. A od pewnego czasu wszyscy jakby zmówili się, żeby przekonywać Prokofiewa, jak słuszną rzeczą byłby powrót do ojczyzny, aby także Rosjanie mogli cieszyć się jego muzyką. Dostawał propozycje, zaproszenia i oferty, żeby wystawiał na różnych scenach swoje opery i balety, żeby dawał koncerty w filharmoniach Związku Radzieckiego. Ale dotychczas zawsze uprzejmie odrzucał te propozycje, uzasadniając swoją nieobecność w ojczyźnie szczerze wypełnionym kalendarzem.

Propozycje stawały się coraz bardziej natarczywe i przychodziły od dobrych przyjaciół. Kompozytor i krytyk muzyczny Borys Asafiew, którego Siergiej podziwiał i któremu zadedykował swoją *Symfonię klasyczną*, napisał do niego list z wiadomością, że Teatr Maryjski w Piotrogradzie – od niedawna zwanym Leningradem – chciałby wystawić *Miłość do trzech pomarańczy*. Wcześniej nadszedł list od Aleksandra Gauka, kompozytora i dyrygenta, dawnego kolegi Siergieja ze studiów. Proponował mu on wystawienie w tym samym teatrze *Gracza*. I nie był to jedyny teatr rosyjski, który

wzdychał do kompozycji Prokofiewa: to samo dotyczyło teatru Bolszoi w Moskwie, teatru w Kijowie, w Odessie...

Kolejną częścią tej parady ofert była propozycja złożona przez przedstawiciela dyrekcji Państwowej Orkiestry Symfonicznej ZSRR Borysa Krasina: chodziło o zorganizowanie dziesięciu koncertów symfonicznych w Moskwie i Leningradzie, z możliwością rozszerzenia tej serii także na Charków i Rostów nad Donem.

– Wystawiał pan w Kolonii *Miłość do trzech pomarańczy*. Musiał pan wychodzić do publiczności dwadzieścia razy. Dlaczego nie dać takiej samej sposobności widzom rosyjskim? Czy Rosjan jest mniej niż Francuzów, Amerykanów, Niemców, Włochów albo Hiszpanów?

Pokusy atakowały zewsząd. Niedługo później Prokofiew dostał kolejną atrakcyjną propozycję od kierownictwa Persimfanów<sup>12</sup> – pierwszej orkiestry symfonicznej działającej w Moskwie bez dyrygenta. Byłoby to pięć koncertów wypełnionych dziełami kompozytora. Mur niechęci Prokofiewa i jego oporu przed wпадnięciem w radzieckie sieci się kruszył. Oferta zorganizowania serii koncertów przedstawiających jego najważniejsze utwory wpłynęła na zdolności decyzyjne kompozytora.

– Czymś takim honoruje się jedynie Beethovena na stulecie jego śmierci – wyznał żonie, która obserwowała, jak twarz męża zrobiła się o dziesięć czy dwadzieścia lat młodsza. – Jak mógłbym odmówić? Czy coś mogłoby mi sprawić większą radość?

Lina natknęła się na to samo zdanie w librecie *Brzydkiego kaczątka*. Ale w ustach Siergieja brzmiało ono inaczej. Było w nim po równo troski i podniecenia.

Prokofiew tak długo zwlekał z odpowiedzią w sprawie ewentualnego wyjazdu do Związku Radzieckiego, że niektóre z wabiących go osób przestawały już pełnić swoje funkcje i na ich miejsce pojawiali się następcy z tą samą misją. Było tak w przypadku profesora Jaworskiego, muzykologa o dużych wpływach w radzieckim świecie muzycznym. Zajął on miejsce Krasina na czele Państwowej Orkiestry Symfonicznej ZSRR.

– Jest pan bardzo popularny wśród publiczności w Rosji. Nie przesadzę, jeśli powiem, że pańska sława dorównuje tej, którą w swoim czasie cieszył się Czajkowski. Prokofiew, powinien pan jechać do Rosji. Niczego pan nie ryzykuje.

Choć Prokofiew wiedział, że rozmówca chce polechtać jego próżność, ów emisariusz miał po swojej stronie dodatkowy argument: był przyjacielem Dymitra Szostakowicza, nadziei rosyjskiej muzyki. Szostakowicz wyraził swój podziw dla Prokofiewa, a wiele lat później zapisał jedną z najbardziej kontrowersyjnych kart w historii muzyki Związku Radzieckiego. Ale tego jeszcze wówczas nikt nie był w stanie sobie wyobrazić.

Również reżyser teatralny Wsiewołod Meierhold przyjechał do Paryża w towarzystwie żony, pierwszej gwiazdy jego teatru, aby kusić Prokofiewa nową propozycją dotyczącą adaptacji powieści Dostojewskiego, jako że rozmowy z Gaukiem nie doprowadziły do celu.

– Obiecuję panu, że nie będzie pan miał żadnych problemów, będzie pan korzystał z pełnej swobody i nikt nie będzie robił żadnych przeszkód, kiedy zechce pan wyjechać z kraju. Daję panu na to słowo honoru człowieka teatru.

Widząc wyraz twarzy Siergieja, Meierhold zrozumiał, że trafił w sedno i że tu właśnie tkwiły zasadnicze obiekcje Prokofiewa. Dlatego dodał jeszcze na koniec:

– I osobiście zobowiązuję się do tego, że dwaj gwardziści, którzy zostaną wyznaczeni panu do towarzystwa, będą komunistami bardziej oddanymi teatrowi niż partii. Chyba w tym zawarłem wszystko.

Pomimo obietnic, uprzejmych słów i atrakcyjnych ofert Prokofiew bał się wyjazdu do ojczyzny. Docierały do niego pogłoski mówiące o zubożałym kraju, którego ludność żyła w ustawicznym strachu, głodowała, chorowała, była pozbawiona wolności. Słyszał o powszechnym strachu przed sąsiadami, którzy mogli zamienić się w fałszywych donosicieli, o braku nadziei na przyszłość. Ale martwiło go też – i to mocno – jaką reakcją jego wizyta w Związku Radzieckim wywoła na Zachodzie. Podkreślał zawsze, że jest wolnym duchem i że nie interesuje go polityka. Zwykł mawiać: „Moja muzyka jest bardziej rzeczywista niż czas i przestrzeń”.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie rozważał zbyt poważnie możliwości wyjazdu. Ale jednak coś się działo w jego wnętrzu, coś zaczynało budzić się w jego głowie. Nie sposób było przechodzić obojętnie obok zachwyty, które przekazywali mu radzieccy wysłannicy. Nie chciał poddać się pokusie sławy ani popełnić grzechu próżności. Wolał traktować powrót jako ponowne spotkanie z przeszłością, ze swoją rosyjską istotą, jako formę zaspokojenia tęsknoty za własnym krajem, szczególnie nasilającej się po śmierci matki, która osierociła go także w tym sensie, że pozbawiła go korzeni. Wszyscy emisariusze sprawiali wrażenie, że zależy im na jego wizycie niezależnie od ceny, jaką przyszłoby zań zapłacić. Wyglądało na to, że tkają wokół niego pajęczą sieć. Nie zdawał sobie jednak jasno sprawy, że to nie on będzie ofiarą, która w tej sieci skończy. Ciągłe udzielał odpowiedzi odmownych.

Właśnie skończyli zamykać wynajęty dom w Samoro, niedaleko Fontainebleau. Letnie domy były prawdziwą oazą dla zmysłów Liny. Spacer, Siergiej komponujący przy fortepianie i grający *Śnieżkę*, żeby Lina mogła śpiewać, kiedy nie zajmowała się małym Światosławem ani pracą zainicjowaną przez Marię Grigoriówną – wycinaniem i porządkowaniem recenzji prasowych poświęconych Prokofiewowi. Życie idealne. Rodzina, miłość i muzyka. Ale z nadejściem jesieni znów przeżywali koszmar poszukiwania mieszkania w Paryżu. W niektórych latach zmieniali mieszkanie aż pięć razy rocznie, nie licząc czasu spędzanego w hotelach między jedną przeprowadzką a drugą. Najnowszym nabytkiem było sześciopokojowe lokum przy rue Troyon. Zbyt głośne jak na gust Liny – częściowo za sprawą silnika elektrycznego otwierającego drzwi do garażu znajdującego się obok mieszkania. Z jego powodu mieli wyjątkowe jak na nich problemy ze snem. Nim jeszcze skończyło się meblowanie i otwieranie nowo przeniesionych pudeł z rzeczami, Lina poczuła, że to mieszkanie nie przyniesie jej zadowolenia.

– Każda przeprowadzka przybliży nas do grobu – zauważyła zmęczonym głosem, urządzając ich nowy dom. – Mój Boże, kiedy dorobimy się własnego kąta?

Siergiej spojrział na nią z wdzięcznością aktora, który słyszy wypowiedzaną przez partnera kwestię, po jakiej przychodzi pora na jego odpowiedź. Nie było to nic przemyślanego, ale trudno też byłoby powiedzieć, że chodziło o pełną improwizację. Po

prostu nadarzyła się idealna okazja, z której nie mógł nie skorzystać.

– A co byś powiedziała, żeby pojechać do Związku Radzieckiego?

Lina nie wiedziała, czy to nieoczekiwane pytanie jest odpowiedzią na żądanie własnego kąta, czy dopełnieniem jakiegoś kontraktu, w którym chodziło o coś więcej. Nie mogła nic na to poradzić: pamięć podsunęła jej całkiem niedawne wspomnienie. Zdarzenie miało miejsce kilka dni wcześniej w studiu jej przyjaciółki, Anny Ostroumowej-Lebiediewej, słynnej rosyjskiej malarki, która właśnie pracowała nad portretem Liny. Pozowanie trwało już niemal dwie godziny, kiedy Anna powiedziała coś, co nie pozwoliło Linie zasnąć ani tej nocy, ani w ciągu kilku następnych. Jak zawsze malarka wypowiadała się krytycznie o reżimie bolszewickim w swoim kraju. Opowiedziała Linie, jak po śmierci poety Briusowa – autora dzieła, które stało się dla Prokofiewa inspiracją przy pisaniu libretta do *Ognistego anioła* – ktoś postanowił wypełnić jego czaszkę, opróżnioną w wyniku pośmiertnej trepanacji, stronicami dziennika „Prawda”.

Strach wywołany tą opowieścią przytłoczył Linę w studiu malarki, ale tkwił w niej jeszcze w chwili, gdy rozmawiała z Siergiejem. Nienawidziła sytuacji, w których jej głowa zamieniała się w ekran filmowy, a na nim zaczynały się pojawiać fragmenty dawniejszego życia, jakby chodziło o długotrwałe i kłopotliwe *déjà vu*. Prawie zawsze takie wizje okazywały się wyrazistymi przestrogami, ostrzegającymi o nadciągającym niebezpieczeństwie. Mimo dobrze rozwiniętej intuicji Lina nie zawsze umiała albo chciała odpowiednio interpretować takie sygnały.

– A co byś powiedziała, żeby pojechać do Związku Radzieckiego?

Głos Siergieja brzmiał spokojnie, przekonująco, potrafiła nawet wyczuć w nim pewien ton marzenia. Na kilka sekund, które wydawały się wiecznością, jej serce przestało bić. Wzrok przykuwały oczy Prokofiewa.

Związek Radziecki. W tych dwóch słowach zawierało się tak wiele wyobrażeń.

<sup>11</sup> Szkocka sopranistka (1874–1967), która zrobiła wielką karierę sceniczną we Francji i w USA w pierwszych trzech dekadach XX wieku.

<sup>12</sup> Nazwa od ros. Pierwyj simfoniczeskij ansambl biez dirizora – zespół istniał w latach 1922–1932.



– I podasz rękę tym mordercom?

To bezpośrednie pytanie znajomego, Borysa Wernina, nie zaskoczyło go, ale nie potrafił też zaradzić temu, że wywołało w nim smutek.

Lina zrobiła krok w kierunku męża. Chciała położyć dłoń na ramieniu Siergieja, który wciąż siedział przy fortepianie. Musiał przetrwać ostre słowa przyjaciela. Pragnęła go uspokoić. Wiedziała, że komentarz Wernina celnie go ugodził i okazał się bolesny. Czuły gest Liny przyniósł ulgę i pomógł poradzić sobie z bólem.

– Nie mam do ciebie pretensji, że tak myślisz. Mogę cię zrozumieć, ale spróbuj też zrozumieć mnie – odpowiedział Siergiej.

– Co zrozumieć? Że uległeś pokusie? Że twoja próżność zaprowadzi cię w miejsce, z którego dziesięć lat temu wyjechałeś, bo przeczuwałeś, że nie przypadnie ci do gustu to, co tam powstaje? Sądzisz może, że nie próbowali tego samego ze Strawińskim albo z twoim ukochanym Znosko-Borowskim? – Borys zadawał kolejne pytania, odnosząc się do rosyjskiego pisarza i szachisty przebywającego na uchodźstwie we Francji. – Stalin nie dlatego chce, żeby do kraju wracali wielcy rosyjscy muzycy, ponieważ jest melomanem. Chce ich użyć dla wywarcia propagandowego efektu wśród ludu. Chce was znacjonalizować, tak jak znacjonalizował ziemię, prawo i wolność swoich poddanych. Czy ty tego nie widzisz?

– Teraz dopuszczają własność prywatną i wolny handel wewnętrzny, zatrudniają zagranicznych inżynierów, sytuacja się zmienia...

Siergiej miał na myśli nieśmiałą liberalizację wprowadzaną w Związku Radzieckim i nazywaną Nową Polityką Ekonomiczną. Wielka wojna, rewolucje z lutego i października 1917 roku oraz wyniszczająca wojna domowa całkowicie zrujnowały kraj. Rząd bolszewicki uznał, że mniejszym złem będzie cofnąć się o krok, jeśli chodzi o komunistyczne ideały w dziedzinie przebudowy społeczeństwa, i wyciągnąć kraj z nędzy, która w żaden sposób nie pozwalała modernizować gospodarki. W tym celu wprowadzono pewne nowe posunięcia – do tej pory wręcz nie do pomyślenia w państwie, w którym obowiązywały reguły ekonomiczne podyktowane przez komunizm wojenny. Rząd spowolnił proces nacjonalizacji, zróżnicował pensje i zdecydował się na nową politykę, która pobudziła produkcję. Rozluźniono też nacisk na rolników, którym nie rekwirowano zboża, tylko pozwolono je uprawiać i sprzedawać na wolnym rynku, żądając jedynie obowiązkowych dostaw w wysokości dziesięciu procent zbiorów.

Ale dla Borysa Wernina, podobnie jak dla przedstawicieli zagranicznego kapitału, którzy nie chcieli słuchać syreniego śpiewu bolszewickiego rządu, bo mu – całkiem rozsądnie – nie ufali (ani w czasach, gdy przewodził mu Lenin, ani teraz, za Stalina), te przejawy liberalizacji były jedynie ułudą, mrzonką na sprzedaż przeznaczoną dla zewnętrznego świata, żeby podreperować wizerunek przed powrotem do prawdziwego ducha bolszewizmu.

– Nawet już mówisz tak jak oni, a jeszcze nie postawiłeś stopy w Moskwie. – W wyrazie twarzy Borysa było więcej smutku niż złości. – Wyjechałeś z Rosji, ponieważ

na ulicach wybuchła rewolucja i wiedziałeś, że to dopiero początek. Nie wyjechałeś z powodu choroby ani dlatego, że spadł na ciebie deszcz zamówień z Japonii albo ze Stanów Zjednoczonych. Jestem twoim przyjacielem. Nie zdołasz mnie oszukać. A kiedy próbujesz to robić, obrażasz mnie.

– Kto ma moralną legitymację, żeby pozbawiać mnie prawa powrotu do mojego kraju, chodzenia po ulicach mojego miasta, uściskania przyjaciół? Chcę grać swoją muzykę w teatrze Bolszoi w Moskwie, tak jak ją grałem w Carnegie Hall w Nowym Jorku, w Palais Garnier w Paryżu albo w wiedeńskiej operze. To ty mnie nie obrażaj. Nie rozmawiajmy o moim braku skromności, o wyniosłości, o przyjemności, jaką sprawiają mi plotki. Tutaj też jest to wszystko i nikt nie mówi, że mu to przeszkadza! – Początkowy spokój przeradzał się w trudną do opanowania irytację. – Ale jeśli chcę jechać do Związku Radzieckiego, jestem ni mniej, ni więcej, tylko zdrajcą. Dlaczego musisz wszystko skazać polityką?

– To oni to robią! Oni skazą polityką twoją muzykę, twój przyjazd, ciebie samego! Siergiej, nie bądź naiwny. W żadnym miejscu na świecie nie można żyć poza polityką. A już na pewno nie w Związku Radzieckim w XX wieku.

– Nie jadę tam po to, żeby zostać na stałe. Jadę, żeby przedstawić publiczności rosyjskiej swoją muzykę, a kiedy już skończę, wrócę do Paryża. W czym problem?

– W tym, że nie pozwolą ci wyjechać. Będzie ci się wydawać, że w ostatniej chwili wyniknęły jakieś problemy wizowe, pociąg, którym będziesz jechał do domu, może ulec jakiejś awarii, coś będzie nie tak z pieczętką w paszporcie, niefortunnie opóźni się wydanie zaświadczenia o tranzycie. Albo coś bardziej subtelniejszego, na przykład nagły pomysł na roczne tournée koncertowe po całym kraju. Problem polega na tym, że kiedy powiesz, że chcesz wracać do domu, oni ci odpowiedzą, że już jesteś w domu.

Siergiej wiedział, że obawy Borysa są podyktowane raczej jego przyjacielską troską niż zawziętym antybolszewizmem. Lina nie potrafiła ukryć, że żywiła podobne lęki. Wiedziała – między innymi na podstawie lektury dzieł swojego ukochanego Stendhala – że na ludzkie życie składa się mnóstwo szczegółów. Nie podobało jej się, jak pewien przedstawiciel kierownictwa Państwowej Orkiestry Symfonicznej ZSRR poklepał Siergieja po kolanie, kiedy ten potwierdził w końcu, że pojedzie do Związku Radzieckiego. Nie przekonało jej też zadane Siergiejowi podchwytliwe pytanie, mimo że Prokofiew potraktował je jako przejaw czysto muzycznego zainteresowania:

– Czy możemy zawiadomić prasę, że przyjedzie pan do ZSRR?

Linie wydawało się, że są to komplementy nadmiernie rozbudowane, objawy cynicznej gotowości do złożenia wszelkich możliwych obietnic, byle tylko osiągnąć cel. Ale Siergiej wiedział, że ten konkretny wysłannik pracował dla Anatolija Łunaczarskiego, człowieka, który był w gabinecie Lenina komisarzem do spraw kultury i który pozwolił Prokofiewowi wyjechać z Rosji w 1918 roku, kiedy nie było to wcale łatwe. Teraz, pod rządami Stalina, Łunaczarski próbował dotrzeć do artystów, którzy udali się na emigrację, i przekonać ich, żeby przyjęli zaproszenie Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR.

Nieufność, którą wzbudził w Linie ten osobnik, sprawiła, że kiedy przestał ich nękać, żona Siergieja przyjęła z ochotą jego następcę, profesora Jaworskiego, który przywiózł nową propozycję. Zrozumienie było wzajemne. Jaworski był znacznie

bystrzejszy od swojego poprzednika i dość szybko zdał sobie sprawę z wpływu, jaki na Prokofiewa i na jego decyzje ma ta piękna kobieta. Nowy szef Państwowej Orkiestry Symfonicznej ZSRR uznał, że Lina z jego punktu widzenia jest prawdziwą kopalnią złota. Jej uroda i uwodzicielska figura mogły okazać się nieoczekiwanymi sojusznikami, których Jaworski z pewnością nie zawahałby się wykorzystać dla swojej sprawy.

– Rosjanie są panią zachwyceni, droga pani. Pragną poznać Hiszpankę, która zdołała uwieść naszego wielkiego rosyjskiego geniusza – mówił, wiedząc, że takie słowa podziałyby na próżność każdej kobiety, więc Lina zapewne nie będzie wyjątkiem, ponadto zna nastawienie swojego męża, a właściwie jego niemal ślepy upór, by jechać do rodzinnego kraju. Może właśnie to zaślepienie przeszkodziło Siergiejowi zrozumieć prawdziwy sens komentarza wypowiedzianego przez Jaworskiego:

– Zdjęcie pana żony cieszyło się w Związku Radzieckim takim powodzeniem, że radziłbym panu zostawić ją w Paryżu.

Słuch kompozytora zwykle funkcjonował znacznie lepiej niż u innych ludzi, ale tym razem Prokofiew nie zwrócił uwagi na fałszywe tony. Nie dotarło do niego zawarte w słowach Jaworskiego ostrzeżenie, uznał je raczej za „elegancki żart”. Był już zdecydowany i żaden niestosowny komentarz ani błędnie zinterpretowany gest nie zdołałby odwieść go od planu podróży do Związku Radzieckiego. Ale nie mógł tego planu zrealizować samotnie. Nigdy by tego nie potrafił zrobić. Potrzebował cichego moralnego wsparcia i wiedział, że znajdzie je w osobie Liny.

– Skoro tego chcesz, skoro ma cię to uszczęśliwić, jedźmy do Moskwy.

Były to jedyne słowa, które pragnął usłyszeć.

Siergiej od dziecka wykazywał obsesyjne upodobanie do kolei. Marii Grigoriewnie z trudem udawało się go nakłonić, żeby zostawił choć na chwilę mały drewniany pociąg, który ciągnął za sobą, jakby zabawka była przedłużeniem jego własnego ciała. Nigdy potem nie wiedział, czy matka nie przesadzała w tych opowieściach, ale kolejowa obsesja nie opuszczała go niemal do czasu wstąpienia do konserwatorium. Pociągi wiernie oddawały istotę tego, co składało się na jego życie: ciągłe podróże, z góry wyznaczone trasy, oczekiwane przystanki i stacje przesiadkowe. Nawet Światosław w swoich nieporadnych rysunkach zawsze uwzględniał pociągi, którymi podróżowali Siergiej i Lina. „Pociąg, którym mama i tata przyjechali do domu”. Odjazd lub przyjazd kolejowego składu zawsze oznaczały początek nowej przygody.

Trzynastego stycznia 1927 roku Siergiej Prokofiew wsiadł do jednego z wielu pociągów, którymi miał podróżować do kraju. Kraju, z którego wyjechał w maju 1918 roku, przekonany, że już nigdy do niego nie wróci. A teraz wracał razem z żoną i z walizką pełną marzeń, projektów i zobowiązań. Wiedział, że robi ważny krok, ale nie wdawał się w ocenę swojej sytuacji i potencjalnych zagrożeń. Opadło go więcej wątpliwości, niż się spodziewał, ale nie zamierzał pod żadnym pozorem z kimkolwiek się nimi dzielić. Również z żoną, której po uporczywej kampanii, jaką przeprowadził, żeby zdobyć jej zgodę na tę podróż, nie chciał już martwić. Po Linie widać było emocje, jakie wywoływała w niej myśl o podróży do Rosji. Nie tylko jej mąż jechał do miejsca, w którym niegdyś był szczęśliwy i w którym narodziło się wiele wciąż wyraźnych sytuacji z dzieciństwa. Lina też miała swoje wspomnienia, jak choćby tamten prześliczny

plisowany płaszcz z „importowanymi z Paryża” guzikami w kształcie liści, kupiony w wielkim moskiewskim sklepie. Włożyła rękę do kieszeni lamparciego futra, które wybrała, żeby chroniło ją przed mroźną rosyjską zimą. Był tam. Guzik w kształcie liścia, który od tamtego czasu towarzyszył jej jako talizman. Uśmiechnęła się, jakby z tego niewielkiego przedmiotu płynęła jakaś nieznaną energią.

Jednym z pierwszych przystanków była Ryga, stolica Łotwy – od 1918 roku niezależnej republiki. Obawy przed nadmierną ostentacją skłoniły Siergieja do zostawienia futrzanego płaszcza w Paryżu.

– Musisz przestać myśleć jak Rosjanin, jeśli chcesz, żeby cię słuchano jak kompozytora światowej sławy – powiedziała mu Lina, która nie rozumiała tego kompleksu, objawiającego się ukrywaniem jakichś w sumie mało ważnych detali w imię absurdalnych przekonań.

Pierwsze zdjęcie Prokofiewów przedstawiające ich długo oczekiwany wyjazd zostało opublikowane w głównych czasopismach radzieckich, a zrobiono je przy okazji występu w ryskiej operze. Egzotyczna uroda Liny, ubranej w wytworną, niebieską suknię wystającą spod futra, nie uszła uwadze fotografów, którzy postanowili uczynić ją bohaterką niejednego zdjęcia sławiącego jej elegancję. Pierwszy występ obojga małżonków został dobrze przyjęty, choć tym razem to ręce Siergieja lekko drżały, kiedy rozległy się dźwięki *V Sonaty* – bardziej niż głos Liny, kiedy zaśpiewała dwie serie romansów włączonych do programu koncertu. Prokofiew wiedział, że Ryga była czymś w rodzaju próby generalnej przed przyjazdem do Moskwy, ale zachowywał się niespokojnie i nerwowo mimo sympatycznego przyjęcia przez kilku starych przyjaciół i znajomych. Podczas przedstawienia opery *Noc majowa* Rimskiego-Korsakowa znów poczuł napady częstoskurczu. Przypisał to ciężarowi wspomnień, które go osaczyły. Ale kiedy w domu jednego ze starych kolegów zobaczył fotografię swojego dobrego przyjaciela, kompozytora Nikołaja Miaskowskiego, wątpliwości zasnuły jego twarz cieniem. Miaskowski wyglądał na zmęczonego, wyraźnie osłabionego, miał wypisany na twarzy smutek i zagubiony wzrok. Wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Zniknęła gdzieś elegancka postawa, którą się zawsze wyróżniał, miał teraz sylwetkę człowieka przedwcześnie postarzałego, ubrany był w starą i sfatygowaną wełnianą kurtkę, której najwyższy guzik, zapięty na wysokości szyi, sprawiał wrażenie, że chce go udusić. Siergiej poczuł niepokój. Zdradził się z tym przed żoną – był to jedyny sygnał zdenerwowania, który pozwolił sobie jej przekazać, pierwszy objaw słabości. W jego wyobraźni pojawiło się widmo Borysa Wernina, siejąc strach, z którym nie potrafił sobie poradzić, póki nie podzielił się nim z Liną.

– A jeśli po przyjeździe do Moskwy zaczną nam robić trudności z powrotem do Paryża? – mówił, a Lina przyglądała mu się z czułością matki, która otula dziecko, żeby uchronić je przed odgłosami nocy i rozproszyc lęki. – Nie lepiej wracać od razu? Z Łotwy nie mielibyśmy problemów.

– Od kiedy to Prokofiew postanawia wszystko rzucić i uciekać? Od kiedy brakuje mu odwagi, żeby stawić czoło władzy? – Pocałowała go, delikatnie zdejmując mu okulary, żeby je oczyścić. – Pojedziemy do Moskwy, odniesiesz największy sukces w dotychczasowym życiu i wrócimy do domu na czas, zanim moi rodzice zdążą całkiem

rozpuścić Światosława. Słyszysz mnie?

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Ptaszku – odpowiedział, ustępując przed jej umiejętnością przewidywania przyszłości, tak jak cały świat ustępował przed jej urodą.

– Nic. I lepiej dla ciebie, żeby dalej tak pozostało.

Wraz z kolejnymi odcinkami podróży pociągi coraz wierniej upodobniały się do miejsc, do których zmierzały. Pierwsze składy wyposażone były jeszcze w pewne wygody, ale w miarę jak podróżni przemierzali kolejne kilometry, pociągi stawały się coraz bardziej prymitywne. Wewnątrz wagony nie wyglądały lepiej niż na zewnątrz: woda zamarzała, światła prawie nie było, zimno wdzierało się przez zdradzieckie nieszczelności w źle dopasowanych oknach, prześcieradła dawno utraciły pierwotną biel i kazały wątpić w swoją czystość, jedzenie było podłej jakości. Niemniej żadna z tych rzeczy nie była w stanie zniechęcić Prokofiewów.

Do posterunków kolejowych, gdzie przeprowadzano uciążliwe kontrole, często docierały z Moskwy telegramy z rozkazem: „Umożliwić przejazd Prokofiewa i jego żony”. W jednym z takich miejsc plany małżonków omalże nie zostały pokrzyżowane. Któryś z funkcjonariuszy podejrzliwie przyglądał się jednemu z librett Prokofiewa, napisanemu po francusku i angielsku. Kompozytor wiozł ten tekst swojemu przyjacielowi, Borysowi Asafiewowi. Nagle, na oczach zdumionego Siergieja i funkcjonariusza, Lina wybuchła płaczem.

– Wszystko w porządku, nic mi nie jest – powtarzała wśród szlochów oszołomionemu funkcjonariuszowi, który przestraszył się, że to on stał się przyczyną rozpaczliwej podróży, a przede wszystkim, że złamał rozkaz umożliwienia przejazdu. – Zobaczyłam dziecięce bućki w walizce tamtej pani i przypomniał mi się mój mały Światosław.

Siergiej, równie skonsternowany, nie był pewien, czy Linie chodziło o przyspieszenie formalności, czy może o to, by zapobiec przeszukaniu walizki siedzącej obok nich kobiety, która była najwyraźniej przerażona, czy może istotnie odezwały się w niej uczucia macierzyńskie. Po raz pierwszy Prokofiew z zazdrością pomyślał o kobiecym temperamencie. On też miałby ochotę uronić kilka łez, żeby dać upust zdenerwowaniu.

Niewiele czasu potrzebowali, by zrozumieć, że ich wizyta jest traktowana jak sprawa wagi państwowej. Nie tylko wszystkie formalności podczas kolejnych kontroli były załatwiane szybciej niż na początku, ale jeszcze wręczono Prokofiewom pozwolenie przejazdu, które mogli wymienić na paszporty Ligi Narodów przy wyjeździe ze Związku Radzieckiego. Dzięki temu nie stali przed koniecznością wyrabiania sobie paszportów radzieckich, do czego w innym przypadku byliby zmuszeni. Zresztą natychmiast po przyjeździe do Moskwy, na prośbę Maksyma Litwinowa – jednego z wysokich funkcjonariuszy partyjnych i znanego dyplomaty<sup>13</sup> pochodzenia żydowskiego – wydano rozkaz wyrobienia kompozytorowi i jego żonie paszportów radzieckich bez konieczności zrzeczenia się dotychczasowych dokumentów.

– Naszym pragnieniem jest, żeby czuli się państwo jak najwygodniej i robimy w tym celu wszystko, co możliwe.

To właśnie zdanie najczęściej powtarzali członkowie komitetu powitalnego. Kiedy

Siergiej uświadomił sobie, że przygotowano mu spotkanie z prasą i licznymi przedstawicielami świata radzieckiej polityki i kultury, musiał zmierzyć się z pokusą, by wsiąść w samochód i uciekać. Uspokoił się, widząc wśród organizatorów przyjacielską twarz Borysa Asafiewa. Skoro on tam był, nie mogło się stać nic złego. Po zrobieniu kilku zdjęć, wręczeniu bukietu kwiatów pani Prokofiew, licznych uściskach dłoni i przekazaniu wielu prezentów – w większości nieprzydatnych – para została odwieziona do hotelu Metropol.

Zajechawszy przed hotel, zlokalizowany w pobliżu placu Czerwonego, Kremla i równie niedaleko gmachu, którego historii Lina nie знаła, nazywanego Łubianką, Siergiej zorientował się, że towarzyszy im eskorta w postaci dwóch dodatkowych samochodów. W jednym jechał niejaki Cuker, ważny funkcjonariusz partyjny, który miał im towarzyszyć podczas całej podróży, żeby – jak sam to określał – „ułatwić państwu pobyt”. Podając temu człowiekowi rękę, Siergiej wolał nie myśleć, na czym miały polegać te ułatwienia. Przywitał się też z Lwem Cajtlinem, członkiem i twórcą orkiestry symfonicznej o nazwie Persimfans, który również przyjechał w pierwszym z towarzyszących im czarnych aut konwoju.

Weszli do Metropolu. Uwagę Liny zwrócił fakt, że w holu ani trochę nie wyczuwało się normalnego hotelowego rytmu. Miała wrażenie, że placówka jest zamknięta.

– Myli się pani. Hotel działa, ale przyjmuje tylko specjalnych gości. Od kilku lat... – choć Cuker tego nie doprecyzował, wszyscy wiedzieli, że chodzi o moment dojścia bolszewików do władzy – ...budynek jest siedzibą różnych instytucji państwowych, a niektórzy członkowie Centralnego Komitetu Wykonawczego mają tu nawet swoje mieszkania.

Prokofiewowie wyłapali określenie „instytucje państwowe”; ich spojrzenia i uśmiechy skierowały się tymczasem ku Cukerowi, którego oblicze zdobił optymistyczny grymas, wymalowany także na twarzach pozostałych członków komitetu powitalnego.

– Ale jedno piętro zarezerwowane jest dla szczególnych gości zagranicznych, którzy nas odwiedzają, a także dla ważnych osobistości artystycznych, jak w państwa przypadku.

– Ile jest w budynku pięter hotelowych? – spytała Lina, nie mogąc powściągnąć ciekawości.

– Tylko jedno. Tam właśnie państwo będziecie. Czy to stanowi dla pani jakiś problem?

– Wręcz przeciwnie – wtrącił się Siergiej. – Nie ma żadnego problemu. A teraz, jeśli pan pozwoli, chcielibyśmy odpocząć przed...

– Właśnie o tym chciałem powiedzieć. Samochód będzie na państwa czekał przed drzwiami i zabierze państwa na kolację. Zostawię recepcjonistom polecenie, żeby państwa zawiadomiono, kiedy samochód przyjedzie. – Siergiej miał już zamknąć drzwi, zostawiając sympatycznego, ale też trochę irytującego Cukera w korytarzu, ale ten wykonał gest wskazujący, że wciąż ma coś do przekazania. – Chciałem panu powiedzieć, że przed kolacją zaplanowaliśmy spotkanie z prasą. Chcemy, żeby nasz naród się dowiedział, że odwiedza nas taka osobistość jak pan.

– Teraz? – spytał Siergiej, nieco zbity z tropu tym pośpiechem. Miał ochotę trochę odpocząć, wziąć prysznic, no i pochodzić z żoną po ulicach Moskwy, po których nie stapał prawie od dziesięciu lat.

– Nie, nie teraz – odpowiedział Cuker takim głosem, jakby miało chodzić co najmniej o tygodniową zwłokę. – Za pół godziny będzie dobrze?

– Za pół godziny będzie źle – odparł Siergiej z uśmiechem, który łagodził jego odpowiedź. Był zanadto zmęczony, żeby stawić czoło pytaniom prasy, miał za sobą długą podróż. Ale był w Związku Radzieckim, a to gwarantowało intensywność przeżyć. Będzie miał jeszcze czas, żeby odpocząć. – Ale skoro tak to zostało zaplanowane, nie będę robił problemów.

Kiedy w końcu zdołali zamknąć drzwi i zostali w pokoju sami, Lina nie potrafiła już dłużej gryźć się w język.

– Czy tak będzie przez całą podróż? – spytała, padając na łóżko. Sprawdziła czystość pokoju, styl, w jakim został umeblowany. Jej uwagę zwróciła lniana pościel.

– Obawiam się najgorszego – zażartował Siergiej, nalewając sobie szklankę wody z dzbanka, który stał na stole. Zdziwiło go, że nie było butelek z wodą.

– Uważaj, Prokofiew – ostrzegła go rozbawiona Lina, podchodząc do niego od tyłu i zamykając go w uścisku – żeby cię nie otruli – powiedziała, chcąc złagodzić napięcie wywołane rozmaitymi komentarzami, ostrzeżeniami i radami, które musieli znosić przed wyjazdem z Paryża.

Jej słowa sprawiły, że oboje wybuchnęli śmiechem. Gdy próbowali stłumić odgłosy wesołości, zdali sobie sprawę, że od chwili wejścia do pokoju mówią ściszym głosem.

– Dlaczego rozmawiamy tak cicho? – spytała Lina wśród śmiechów i szeptów. – Myślisz, że to prawda z tymi mikrofonami pod łóżkiem, jak ostrzegali Diagilew i Strawiński?

Rozbawiona zaczęła szukać w wazonach rozstawionych po pokoju dla dekoracji, w szufladach, za obrazami wiszącymi na ścianach, w poduszkach, w lampie i w nocnej szafce. Podniosła słuchawkę telefonu i przyłożyła ją sobie do ucha. Nagle twarz jej skamieniała, jak u marmurowych figur, które widziała na fasadzie hotelu Metropol, jakby usłyszała głos z zaświatów.

– Słyszałam jakiś trzask. Nie żartuję.

Siergiej spojrział na nią i uśmiechnął się.

– Na wszelki wypadek uważaj, co mówisz. I kontroluj swój język – powiedział, najwyraźniej będąc w dobrym humorze.

Z mikrofonami czy bez, zmęczony mniej czy bardziej, sławny kompozytor, jak go określano nieraz w gazetach, czuł się szczęśliwy. To sprawiło, że jego żona zapomniała – przynajmniej na chwilę – o trzaskach w telefonie.

Po spotkaniu z dziennikarzami przewieziono ich do jednej z lepszych restauracji, mieszczącej się przy ulicy Preczystienka. Siergiej przypomniał sobie to miejsce. Przed wybuchem rewolucji niejednokrotnie chodził do restauracji Praga. Zawsze lubił dobrze zjeść i uważał, że ma wyrobiony zmysł smaku, co zresztą demonstrował w każdej podróży, w którą wyruszał.

– Widać, że to artysta. Woli dobre menu w restauracji niż piękną katedrę – zwykł

żartować sobie jego przyjaciel Aleksiej Stahl.

Jak wiele innych rzeczy w porewolucyjnej Rosji, również Praga przeszła transformację i mieściła teraz w swoich murach znaną publiczną jadłodajnię Mosselprom. Mimo nazwy<sup>14</sup> świadczącej o publicznym charakterze było to jedno z miejsc, gdzie kultywowano sztukę gastronomiczną na dobrym poziomie, za sprawą wysokich cen dostępną jednak tylko nielicznym.

– Tą restauracją zarządzają ludzie z przeszłości, rozumie pan – tłumaczono Siergiejowi, dając do zrozumienia, że restaurację prowadzą ludzie ukształtowani w dawnym imperium carskim. – Oni się najlepiej uwijają przy piecu, temu się nie da zaprzeczyć.

Wydawało się, że nikt nie chce przegapić pierwszej kolacji Prokofiewa w Moskwie. Zupełnie jakby ktoś otrzymał zlecenie zgromadzenia na liście gości wszystkich nazwisk o strategicznym znaczeniu. Siergiej spotkał przy okazji tej biesiady dobrych przyjaciół, takich jak Borys Asafiew, kompozytor Nikołaj Miaskowski, poeta i dramaturg Włodzimierz Majakowski, który stał się jednym z głównych publicystów w kraju, a także dwóch stałych członków świty, których zdążył już poznać po przyjeździe – Cajtlina i Cukera. Z typowym dla siebie poczuciem humoru zaczął ich nazywać tse-tse, jako że ich ciągłe krążenie naokoło małżeństwa Prokofiewów przypominało mu bzyczenie much. W połączeniu z nieustającym słowotokiem obu mężczyzn rzeczywiście groziło to wprowadzeniem Siergieja i jego żony w śpiączkę. Widział też inne twarze, które nie wydawały mu się tak dobrze znane, ale które należały – jak się wkrótce dowiedział – do najważniejszych osobistości muzycznych kraju, a także do ludzi ze sfer politycznych i partyjnych.

Niełatwo było ukryć zaskoczenie na widok kolacji, którą dla nich przygotowano: dziczyzna, zupy, ryby, pieczywo wszelkiego rodzaju, najlepsze wina, najdroższe mocne trunki. Nie spodziewali się, że zobaczą takie delikatesy w mieście, w którym wyczuwało się głód, niezaspokojone potrzeby i niedobory. To była jedna z pierwszych sprzeczności, która zakłóciła ich spokój na rosyjskiej ziemi. Lina musiała panować nad manierami, żeby nie zauważono upodobania, jakie od pierwszej chwili poczuła do wyśmienitych blinów z kawiozem. Nigdy w życiu nie jadła nic smaczniejszego. Cienkie gorące placuszki, bardzo delikatne, rozplływały się w ustach dzięki idealnemu połączeniu ze słoną ikrą. Do tego zalecano akompaniament w postaci zmrożonej wódki.

– Najwspanialszy jest kawior z białugi – skomentował Cuker, który choć zabiegał o to na początku, nie zdołał usiąść obok Prokofiewa i musiał zadowolić się podziwianiem go z naprzeciwnika. – I najdroższy. Łatwo to zrozumieć. Otrzymuje się go z samic jesiotra, które zawsze są nerwowe, w ciągłym ruchu, pływają to w jedną, to w drugą stronę. Trudno je złapać, ale warto włożyć w to wysiłek. Uzyskuje się z nich produkt drobny i delikatny, pełen smaku, który trudno zapomnieć.

A jeszcze trzeba było zachować miejsce na chałwę – przepyszny deser z karmelu i ziarna sezamowego – oraz bezy. Tak przynajmniej radził Siergiejowi jego sąsiad przy stole, Maksym Litwinow, dyplomata i ważny dygnitarz partyjny, przyszły minister spraw zagranicznych, który ułatwił im zdobycie radzieckich paszportów i skrócił wiele innych biurokratycznych procedur.



Rozmowy między biesiadnikami krążyły przede wszystkim wokół wciąż powracających wyrazów uznania dla artystycznej twórczości Prokofiewa oraz urody jego żony, „także wybitnej artystki”, jak to podsumowywano. Potem rozmowa stała się bardziej luźna. Może nawet za bardzo.

– Prokofiew, miał pan czas przejść się po Moskwie? – spytał Cajtlin. – Mógłby pan stwierdzić, że to, co się mówi za granicą o nędzy, która niszczy nasz kraj, jest ordynarnym kłamstwem. Witryny naszych sklepów są pełne kawioru, słodyczy, napojów... I gdzie jest ten głód, o którym tyle mówią niektórzy na Zachodzie? – Jego przemowa stała się tak gwałtowna, że zaczęła przypominać występ ciskającego gromy kaznodziei.

– Byłem za bardzo zajęty gorącym przyjęciem i starałem się sprostać wszystkim obowiązkom, które dla mnie zaplanowano. Ale mam nadzieję, że w ciągu najbliższych paru dni będę miał czas na przechadzki, jeśli tylko rytm prób i koncertów pozwoli. Chciałbym pokazać miasto Linie.

– A proszę powiedzieć, jaki jest Paryż? Mówią nam, że brakuje trumien dla tych, co umierają na grypę – odezwał się Cuker.

Oszłupienie widać było zarówno na twarzy Siergieja, jak i Liny. Oboje nie rozumieli, o czym mowa.

– To godne pożałowania, że naród tak cierpi i nie można nic zrobić, by opanować zarazę, która go dziesiątkuje. W naszej ojczyźnie mieliśmy zaledwie jeden czy dwa przypadki tej choroby, i to u osób, które zaraziły się w trakcie pobytu za granicą. – Nikt nie podważał danych przedstawionych przez Cukera, który wydawał się dysponować wszelkimi informacjami, włącznie z takimi, które nie istniały albo brzmiały uderzająco nieprawdziwie. Nikt nie zaprotestował i nie wiadomo nawet było, czy chodzi o ostrożność, wstyd, czy po prostu o wspólnotę poglądów z autorem tych rewelacji. – Macie państwo szczęście, że opuściliście Paryż. To była rozsądna decyzja i podjęta w najlepszej chwili – podsumował z sarkazmem Cuker z pozycji dygnitarza partyjnego, która zabezpieczała go przed głosami krytycznymi wobec czegokolwiek, co mówił. Ale nie wziął pod uwagę okoliczności i nie docenił kobiety, która siedziała naprzeciwko niego.

– Nie opuściliśmy Paryża. – Głos Liny brzmiał ostro, choć głównie zdziwił wszystkich dźwięk jej rosyjskiego. Nie mówiła zbyt wiele w trakcie kolacji. – A brak trumien nie jest we Francji żadnym problemem, podobnie jak grypa.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Lecz tym razem nie z powodu zachwyty, jak to zwykle w jej przypadku bywało, ale zdziwienia i pewnego zaskoczenia.

– No proszę. Widzę, że pani nas oszukiwała, pani Prokofiew. – W końcu Cuker zdecydował się przerwać niezręczne milczenie, które zapadło po słowach Hiszpanki. – Mówi pani doskonale po rosyjsku, a myśmy sądzili, że nas pani nie rozumie.

– Bardzo pan uprzejmy, ale nie mówię zbyt dobrze. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Będzie nam bardzo miło pomóc pani w tej sprawie – wtrącił się Litwinow.

Odpowiedź Liny ograniczyła się do promiennego uśmiechu, dzięki któremu biesiada mogła wrócić na poprzednie tory. Żona Siergieja miała wrażenie, że wszystkie rozmowy, które słyszała od przyjazdu do Związku Radzieckiego, kryją w sobie jakieś

drugie dno, co wywoływało w niej stres.

Ale pozorny spokój, jaki zapanował przy stole, okazał się – jak wiele innych rzeczy w tym kraju – złudny. Po pewnym czasie odezwał się Miaskowski, proponując toast na cześć honorowych gości wieczoru.

– Cieszy mnie, że mój przyjaciel Siergiej znalazł czas, żeby uczyć żonę swojego ojczystego języka – powiedział, nie zdając sobie sprawy, że u Liny znajomość rosyjskiego wynikała z pochodzenia matki. Sama zainteresowana zamierzała to sprostować, ale nie zdążyła. – Cieszy mnie też, że towarzysz Prokofiew nie zapomniał rosyjskiego.

– Dlaczego miałbym zapomnieć?

Głos adresata tej uwagi zabrzmiał poważnie, tak jakby Siergiej usłyszał właśnie z ust przyjaciela najgrubszą obelgę. Wszyscy znieruchomieli, trzymając w powietrzu kieliszki zimnej wódki. Po raz kolejny nie dało się ukryć skrępowania, które zapanowało wokół stołu.

– To język, w którym się wychowywałem i którym posługuję się także w życiu zawodowym. I ja, i ty komponujemy po rosyjsku. Jak można coś takiego zapomnieć?

Szybko pożałował tonu odpowiedzi, której udzielił Miaskowskiemu, swojemu przyjacielowi. Wiedział, że to było nie na miejscu, ale nie umiał się powstrzymać. Zdawał sobie sprawę, że to pierwsze wyjście na kolację w restauracji przy ulicy Preczystienka było zbyt pospieszne: odczuwał zmęczenie po podróży, wyczerpało go spotkanie z prasą, przytłoczyły powitania i przemówienia, fotografie, wywiady, publiczne przemowy. Nadmierna uwaga innych, którą przyciągał, przejściowo pozbawiła go sił. Jak to z nim zwykle bywało, nie znalazł sposobu, żeby wytłumaczyć się przed Miaskowskim, i pozwolił przemówić swojej głowie zamiast sercu.

– Twoja *VI Symfonia* budzi moje emocje – powiedział w końcu. – Mógłbyś być nowym Czajkowskim, gdybyś pojechał ze mną do Paryża. Wciąż jeszcze możesz to zrobić.

Siergiej miał okazję wysłuchać tej symfonii w roku, w którym powstała, czyli w 1923. Kompozytora zainspirowała tragedia narodu rosyjskiego, tak boleśnie podzielonego przez rewolucję i wojnę domową.

– Nie musisz do mnie mówić tak cicho. Nie ma tu mikrofonów.

Ten komentarz Miaskowskiego był wolny od goryczy, a zawierał nawet odrobinę humoru. Na twarzy Siergieja pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

– Lina ma obsesję na ich punkcie – powiedział w charakterze wyjaśnienia. Bał się, że obraził swojego rozmówcę. Od przyjazdu do Moskwy miał zwiększone poczucie winy. – Sądzi, że są zainstalowane pod łóżkiem.

– No bo są...

Siergiej spojrzał na niego, nie mogąc ukryć pewnego zakłopotania. Twarz przyjaciela pozostawała nieprzenikniona, jakby nie robiła na nim wrażenia powaga wymawianych słów. Wydawało się, że nie żartuje.

Kiedy kolacja się skończyła, znów pojawiły się samochody i narzucone gościom towarzystwo w charakterze eskorty. Lina przyglądała się pewnemu budynkowi usytuowanemu w Kałasnym Pierieułku, blisko restauracji, z której właśnie wyszli. Pomyślała, że to musi być pierwszy radziecki drapacz chmur. Nie robił na niej wrażenia

wysokością, co było zrozumiałe, zważywszy, że Lina długo mieszkała w Nowym Jorku, ale podobały jej się kolorowe dekoracje zdobiące ściany budynku, zaprojektowane przez rosyjskich grafików.

– „W Mosselpromie jest najlepiej, tak jak w żadnym innym sklepie”<sup>15</sup>. – Głos Włodzimierza Majakowskiego wyrwał ją z niemal hipnotycznego transu, w jaki wpadła, przyglądając się kolorowemu malunkowi. Intonacja poety była odpowiednia dla hasła reklamowego – nie bez powodu, jak się później okazało. To proste zdanie stało się sloganem reklamowym wszystkich podstawowych produktów rolniczych i przemysłowych w Związku Radzieckim, czy to piwa, papieru, oleju czy tytoniu. – Tutaj też umiemy robić malowidła na ścianach, plakaty i sztukę. Nie sądźcie, że potrafił to tylko Toulouse Lautrec, kiedy w 1891 roku namalował plakat Moulin Rouge.

Majakowski wydał się Linie wspaniałym mężczyzną, inteligentnym i niezwykle twórczym. Szła za nim fama wojownika, *enfant terrible*, ale ten tupet udawało mu się przekształcić w twórcze działania w agencji reklamowej Konstruktor, która, jak wszystko w tym kraju, pracowała dla państwa. Z jego głowy wyszły teksty do najśłynniejszych plakatów, szyldów, afiszów i neonów propagujących najbardziej znane krajowe produkty.

Wrócili do hotelu zmęczeni pierwszym wieczorem w Moskwie. A właściwie kompletnie wyczerpani. Lina skorzystała ze schronienia, jakie dawała winda wioząca ich na właściwe piętro, żeby mocno objąć męża. Oboje tego potrzebowali i ten przejaw czułości zadziałał na nich oczyszczająco.

– Chyba jesteśmy bardziej zdenerwowani, niż należałoby oczekiwać – powiedział Siergiej z taką samą słabością w głosie, jaką dawało się słyszeć po najsilniejszych atakach migreny. – Powinniśmy się uspokoić.

– Chyba Związek Radziecki trochę nas przerasta. – Lina w czuły sposób podkreśliła ich wspólnotę, zamykając Siergiejowi usta pocałunkiem. Na jego wargach wciąż czuła smak kawioru i wódki. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie anegdotę, którą opowiadała jej Maria Grigoriewna – o francuskiej nauczycielce jej syna, Louise Roblain, i jej zabawnym pomyleniu kawioru z marmoladą. Małżonkowie nie zwierzali się sobie z tego, ale w trakcie tej podróży – która zapowiadała się emocjonująco, jak jazda kolejką górską – oboje silnie odczuwali obecność matki Siergieja.

Kiedy otworzyli drzwi swojego apartamentu, zobaczyli go. Stał tam, zajmując centralną część salonu. Przez kilka chwil ta nieoczekiwana obecność napawała ich strachem. Nie było go w tym miejscu, gdy wychodzili. Nie spodziewali się też zastać go po powrocie. Wielki, czarny fortepian wyglądał, jakby przyszedł na świat na środku apartamentu. Był całkiem nowy, chyba nikt jeszcze nie położył dłoni na jego klawiaturze, o czym świadczyła twardość mechanizmu.

– Powiedziałem tylko, że tęsknię za fortepianem, na którym mógłbym grać.

– Naprawdę są skutecznymi. Dobrze, że nie zatęskniłeś za koniem, jednym z tych, na których twoja matka jeździła w Soncowce.

Zdawało się, że życzenia Prokofiewa zamieniają się w przepisy prawa.

Stojąc przed nieoczekiwaną zjawą, jaką był imponujący instrument, zaczęli ponownie żałować niektórych swoich reakcji. Nie wiedzieli jeszcze, że w apartamencie hotelu Metropol ich życie stawało się właśnie ciągłą walką z własnym poczuciem winy.

<sup>13</sup> Od 1921 roku wiceminister, w latach 1930–1939 minister (czyli w nomenklaturze radzieckiej ludowy komisarz) spraw zagranicznych.

<sup>14</sup> W okresie NEP-u działało Moskiewskie Stowarzyszenie Przedsiębiorstw Przetwarzających Produkty Rolniczo-Przemysłowe, w skrócie Mosselprom.

<sup>15</sup> *Нигде кроме, как в Моссельпроме*, hasło autorstwa Majakowskiego reklamujące Mosselprom; Majakowski był też współautorem znanego muralu zdobiącego gmach Mosselpromu.

Był zdenerwowany.

Nie pociły mu się ręce, jak wielu jego kolegom pianistom, ale uderzenia serca wydawały się małymi, tłumionymi wstrząsami sejsmicznymi rozrywającymi pierś. Błagał tylko niebiosa, żeby jakaś niefortunna migrena nie popsukała tego koncertu w Moskwie – pierwszego po dziesięciu latach nieobecności. Próbował przypominać sobie zalecenia Chrześcijańskiej Nauki. Bardzo by chciał mieć teraz możliwość porozmawiania z panią Getty.

– Graj na fortepianie, jakbyś występował przed Bogiem – powtarzał sobie raz po raz.

Ale nie zawsze to działało. Jego spojrzenie padało co pewien czas na kalendarz biurowy, postawiony w tym miejscu chyba po to, żeby podtrzymywał jego niepokój: 24 stycznia 1927 roku. W tym momencie wiedział już, że zapamięta tę datę, żeby później wspominać ją albo z radością, albo z zamiarem zagrzebania jej w niepamięci. Z garderoby słyszał szmer oczekującej go publiczności. Nie chodziło o to, żeby zagrać dobrze. Sala pełna była ludzi, którzy znali jego *III Koncert* niemalże lepiej niż on. Nie wystarczyło zagrać poprawnie. Musiał osiągnąć doskonałość. Wysłuchał samotnie jak pustelnik suity z *Błazna* w wykonaniu orkiestry Persimfansów. W końcu do jego uszu dobiegły oklaski, ale oznajmił już wcześniej, że nie wyjdzie się ukłonić, niezależnie od tego, jak gromkie będą brawa. Musiał się skupić na swojej grze. Musiał zapanować nad emocjami, uspokoić myśli. Rozglądał się po garderobie, którą przygotowano specjalnie dla niego. Poczł beznadziejną samotność. Z całego serca pragnął, żeby Lina była przy nim.

– Maestro, kiedy tylko pan zechce.

Głos, który dobiegł zza drzwi garderoby, należał do pierwszego trębacza orkiestry, który miał za zadanie zawiadomić Prokofiewa o momencie jego spodziewanego wyjścia na scenę. Ten moment właśnie nadszedł.

Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, czy odpowiedział cokolwiek trębaczowi, choćby przez grzeczność. Kiedy szedł korytarzami prowadzącymi na scenę, jego umysł wypełniały rozmaite obrazy: spotkanie z Marią Grigoriewną w porcie w Marsylii, dziecięca niechęć do czarnych klawiszy, morskie kąpiele małego Światosława, trzy dolary w kieszeni w chwili, gdy przybył do Stanów Zjednoczonych, gdzie pisano o „bolszewickim dziwadle”, które właśnie dotarło do Nowego Jorku, samobójstwo jego przyjaciela Maxa, słowa ludowego komisarza do spraw kultury („Jesteś rewolucjonistą muzyki, my jesteśmy rewolucjonistami życia. Powinniśmy działać razem, ale jeśli chcesz wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, ja ci w tym nie będę przeszkadzał”), pytanie, które zadał mu przyjaciel Borys Wernin („Podasz rękę tym mordercom?”), ironia Miaskowskiego („Nie zapomniałeś rosyjskiego?”)...

Chciał się uspokoić, a jaki sposób mógł być lepszy niż myśl o Linie? Lina, zawsze Lina. Naszło go wspomnienie ich pierwszego pocałunku – tamtych chwil w kulisach za teatralną sceną, w miejscu bardzo podobnym do tego, przez które teraz szedł, tuż przed

swoim występem. Wyobrażał sobie Linę, jak siedzi w łożu, zarezerwowanej dla niej przez organizatorów, i walczy ze zdenerwowaniem, które można było porównać tylko z jego własną tremą – a może nawet i większym.

Usłyszał, jak pod jego stopami skrzypią sceniczne deski, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tymi dźwiękami. Skądś, z samych trzewi teatru, wyrwała się wielka owacja, nie zostawiając miejsca na jakiegokolwiek inne odgłosy. Orkiestra stała, światła oślepiały Prokofiewa, co właściwie go cieszyło, bo wołał nie widzieć tego, co się dzieje dookoła. Poczuł zagrożenie, że zaleje go morze zamętu i wątpliwości. Postanowił się uklonić – raz, drugi, trzeci – ale oklaski nie milkły. W końcu zdecydował się zająć miejsce przy fortepianie, sądząc, że w ten sposób zobliguje publiczność i członków orkiestry do wygaszenia okazywanego entuzjazmu, ale pomylił się. Nikt nie zamierzał przestać klaskać i wyrażać w ten sposób swojego uznania dla kompozytora oraz radości z powrotu syna marnotrawnego do domu. Prokofiew zaczynał się bać, że ten nadmiar uczuć przydusi go i rozproszy jego skupienie. W programie był *III Koncert na fortepian i orkiestrę*, zdaniem Liny najwspanialszy koncert XX wieku. Siergiej potrzebował skupienia, a emocje były w tej sytuacji nieodpowiednim sojusznikiem. Postanowił poradzić sobie z owacją, od której trząsał się teatr: usiadł na stołku przed fortepianem. „Kiedyś się w końcu zmęczą” – ta myśl stała się jedyną wewnętrzną podporą, na jakiej mógł się wesprzeć. Opuszkami palców dotknął klawiszy fortepianu. Były zimne. Albo może jego ręce zanadto rozgrzane. Był przekonany, że temperatura jego ciała wzrosła o kilka stopni. Zamknął oczy, a wtedy cisza zaczęła obejmować rządy w sali, aż w końcu jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było intensywne pulsowanie krwi w jego skroniach. Nikt nie odważył się zakaszleć. Najcichszy szept nie wyrwał się z niczyich ust. Nikt nie westchnął. Siergiej miał wrażenie, że wszyscy wstrzymali oddech.

Wciągnął głęboko powietrze, tak jak pokazywała mu Lina, ucząc go technik rozluźniania się. Był u siebie. Moskwa przywitała go głośnym aplauzem. Towarzyszyli mu przyjaciele. Jego rodacy przechowali pamięć o nim przez dziesięć lat. Czuł obecność żony, wyobraził sobie nawet, że jej dłoń ściska go za ramię. Nadszedł w końcu ten moment. Poczuł zawrót głowy, ale dłonie zbuntowały się i nie czekały na rozkaz z mózgu, żeby rozpocząć bieg po klawiaturze. Pierwsze dźwięki *III Koncertu* wypełniły teatr, choć Prokofiew słyszał je tylko w swojej głowie. Mógłby przysiąc, że jest sam, że w jakiś magiczny sposób sala opustoszała, że gra gdzieś pośród pustki, bez słuchających go czyichkolwiek uszu ani oczu wpatrujących się w sylwetkę zgiętą nad polakierowanym na czarno i pysznie lśniącem fortepianem. Zapomniał o wszystkim, co jeszcze sekundy wcześniej wypełniało jego głowę, i dał się ponieść.

Kiedy skończył, czuł się tak, jakby właśnie ocknął się po głębokim śnie. Przez kilka chwil trwała cisza, a potem z tej samej nicości, wśród której – jak sądził – się poruszał, wzniósł się najpotężniejszy łoskot wiwatów, jaki Siergiej kiedykolwiek słyszał w teatrze. Zdawało mu się, że ktoś przepuszcza te odgłosy przez potężny wzmacniacz, bo brzmiały jak zniekształcone, wyolbrzymione, trąciły jakąś przesadą. Czy to wszystko jest snem? Czy Siergiej wciąż czeka w garderobie i za chwilę się obudzi? Czy to się dzieje naprawdę? Nie ośmielał się nawet podnieść wzroku, wyprostować się, przejść na środek estrady i skłonić się przed publicznością, bo może ta eksplozja triumfu dzieje się tylko w jego

głowie? W końcu otworzył oczy. I wtedy ich zobaczył. Wszyscy stali, bijąc brawo z takim zapalem, jakby dostali właśnie jakiś wspaniały prezent, który miał zmienić ich życie albo jego sens. Zaczęli skandować jego nazwisko, co jeszcze nigdy mu się nie przytrafiło. Twarze publiczności wyrażały mieszaninę podziwu, satysfakcji i nieskończonej wdzięczności. Prokofiew omiółł spojrzeniem całą salę, od pierwszego do ostatniego rzędu, spoglądając na poszczególne piętra, popatrując na łoże. Wiedział, że musi to zapamiętać, zachować w głowie, bo taki sukces będzie mu trudno kiedykolwiek powtórzyć. Największy triumf w jego karierze – nie miał co do tego wątpliwości. Kiedy natrafił wzrokiem na łożę Liny, wydarzyło się coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył na scenie, widząc reakcję publiczności: roześmiał się, tak jakby w końcu naprawdę to wszystko poczuł. Zrobił to otwarcie, z całą szczerością, nie hamując się. Uśmiech wciąż jeszcze gościł na jego twarzy, kiedy zobaczył Linę tonącą we łzach. Była tak wstrząśnięta reakcją widowni jak i on sam. Prokofiew miał jeszcze jakieś wątpliwości, ale widząc emocje żony, zdał sobie sprawę, że jego percepcja nie jest niczym subiektywnym. Pragnienie triumfu na ojczyźnej ziemi nie zniekształciło mu obrazu rzeczywistości. Stał właśnie w obliczu największego sukcesu w życiu, na dodatek osiągniętego we własnym kraju. Czas zatrzymał się i po raz pierwszy nie miał dla Prokofiewa znaczenia. W namacalny sposób potwierdzało się to, co zamieściła w tytule artykułu jedna z gazet w listopadzie 1918 roku, kilka dni po jego przyjeździe do Nowego Jorku: „Moja muzyka jest bardziej rzeczywista niż czas i przestrzeń”. To, co działo się w moskiewskim teatrze, świadczyło, że mówił wtedy prawdę.

Jego pamięć ledwo ogarniała wszystkie zagrane tego wieczoru bisy. Odgłos sukcesu był tak donośny, że na chwilę zagłuszył w jego głowie gawot z jednej z symfonii oraz toccatę. Kiedy szedł w końcu do garderoby, usłyszał wykonywaną przez orkiestrę suitę *Miłość do trzech pomarańczy*. Chciał usiąść, dać upust emocjom, krzyczeć, skakać, oddychać, żeby oddalić niebezpieczeństwo hiperwentylacji. Był tak podniecony, że miał ochotę zderzyć się ze ścianą, aby choć w ten sposób pozbyć się nadmiaru zgromadzonej i kipiącej w jego ciele energii. I znowu bisy, i znowu rozgrzana do czerwoności publiczność, i maestro wychodzący raz jeszcze, żeby się jej ukłonić. „Prokofiew! Prokofiew! Prokofiew!” – wyrывało się ze wszystkich gardeł. Przez chwilę chciał już to przerwać, zniknąć i zanurzyć się w oceanie emocji, które groziły eksplozją. Ale musiał wyjść na scenę. Nie był w stanie policzyć, ile razy zginał grzbiet w ukłonie przed szalejącą widownią. Nie potrafił zliczyć, ile razy z jego ust wychodziło słowo „dziękuję”. Stracił rachubę minut, które spędził, stojąc na środku sceny, szukając wsparcia w spojrzeniu Liny i przekazywanych na odległość pozdrowieniach przyjaciół i kolegów zajmujących pierwszy rząd. Czuł się dumny z decyzji o powrocie do kraju. Żałował nawet, że nie zrobił tego wcześniej. Ten triumf nie tylko wzmacniał jego próżność muzyka. Dawał mu życie jako człowiekowi i jako Rosjaninowi.

Kiedy wrócił do apartamentu w hotelu Metropol, był w stanie napisać wyłącznie jedno zdanie w zaimprovizowanym naprędce dzienniku (swoją bowiem zostawił w Paryżu). „Sukcesu, jaki przeżyłem dziś wieczorem, nie da się porównać z żadnym innym”. Był przekonany, że to, co kilka godzin wcześniej wydarzyło się w teatrze, zostawi na nim jakieś głębokie piętno. Nie mylił się. Ani on, ani Lina. Nie wiedziała

jeszcze jak, ale była pewna, że ich życie się odmieni.

Podobne sukcesy Prokofiew odnosił podczas pozostałych koncertów organizowanych w całym kraju, zarówno w Moskwie, Kijowie, jak w innych miastach. W pociągu, którym wracali z Kijowa, Lina przeżyła bardzo szczególne chwile, spotkawszy hiszpańskiego gitarzystę Andrésa Segovię, z którym mogła rozmawiać w języku swojego ojca. Dzięki temu mogli się porozumiewać tak, że przydzielony hiszpańskiemu muzykowi agent tajnej policji niczego nie rozumiał; zresztą polityka i tak nie była centralnym tematem ich rozmowy.

Sukces powtórzył się także w Odessie, w Charkowie, a zwłaszcza w Leningradzie. W tym ostatnim mieście – przed śmiercią Lenina zwanym Piotrogradem – Siergiej przeżył część swojego dzieciństwa i młodości. Lina odwiedzała miejsca, w których jej mąż bywał przed opuszczeniem Rosji, poznając jego przyjaciół i dawnych kolegów z konserwatorium.

– Popatrz, w tym domu mieszkałem przez wiele lat razem z matką. Na tym placu, dokładnie tam, na tamtej ławce, zacząłem pisać swój dziennik. A na tym moło nad Newą umawiałem się z przyjaciółmi, żeby grać w szachy i rozmawiać o muzyce. W tej rzece utopił się Rasputin... albo jego utopili, nie wiem, czy kiedyś się dowiemy, co się naprawdę zdarzyło.

Szczególne wrażenie robił na nim piękny i zadziwiający kościół Zbawiciela – zarówno w dzień, jak i w nocy, kiedy jego efektowny kształt odbijał się w wodach Kanału Gribojedowa. Tak samo było z pałacem Katarzyny, dawną letnią rezydencją carów. Urzekł go rokokowy styl tego budynku. Siergiej z trudem znajdował w pamięci architektoniczne klejnoty podobnej klasy jak te, które odkrywał teraz.

Szczególne momenty przeżył wtedy, gdy w końcu spotkał się ze swoimi krewnymi. Ale jako jedno z najważniejszych doznań w Leningradzie zapamiętał wizytę, którą złożyli razem z Liną – jako goście honorowi – w Ermitażu. W jego pamięć wryły się potężne korytarze i płatanina schodów prowadzących do galerii wypełnionych cennymi i różnorodnymi dziełami sztuki. Nigdy nie zapomniął błękitów, zieleni i różów, którymi ozdobione było miasto, ani koloru złotego, który wypełniał wnętrza zabytków. Leningrad wydawał mu się złotym miastem. Miastem, w którym wszystko mogło się zdarzyć.

I właśnie tam zdarzyło się coś, co wydawało się im niemożliwe: Siergiej odniósł sukces, który przerósł ten sprzed paru dni w Moskwie. Pierwsza zapowiedź triumfu, jaki czekał Prokofiewów, dotarła do nich w Teatrze Maryjskim, gdzie uczestniczyli jako zwykli widzowie w przedstawieniu opery *Miłość do trzech pomarańczy*. Wystawili ją dwaj przyjaciele autora – dyrygent Władimir Dranisznikow i reżyser Siergiej Radłow. Spektakl okazał się wielkim sukcesem, choć przyćmiło go inne wydarzenie, związane z lożą, którą zajmowało małżeństwo. Ich obecność została powitana wielką owacją publiczności, ale Siergiej szybko zdał sobie sprawę, że oklaski były przeznaczone głównie dla jego żony, która zaczynała budzić wśród Rosjan podobny podziw jak wszędzie, gdzie się pojawiała. W ostatnich dniach jej fotografie przedrukowały wszystkie znacniejsze gazety kraju, ozdabiając nimi pierwsze kolumny i artykuły, w których mowa była o młodej, egzotycznej i pięknej hiszpańskiej żonie kompozytora. Czytelników ciekawiło wszystko, co jej dotyczyło: sposób ubierania się, fryzury, to jak chodzi, uśmiecha się,



mówi, jej spojrzenia, znakomite maniery, wyrafinowany styl, życie u boku genialnego Prokofiewa i oczywiście jej kariera śpiewaczki, choć ta kwestia akurat w mniejszym stopniu interesowała opinię publiczną. Lina była świadoma tego braku zainteresowania, dlatego przyjęła do wiadomości, że jej własna droga artystyczna będzie związana z drogą męża, który czasem akompaniował jej na fortepianie, kiedy śpiewała. Taka postawa nie była dla niej uciążliwa, Lina korzystała przy tym ze wskazań Chrześcijańskiej Nauki. Tak ułożyło się jej życie i nie było sensu się skarżyć. Może w niezbyt odległej przyszłości sprawy przyjmą inny obrót i również ona otrzyma swoją wielką szansę.

Również sukces odniesiony przez Prokofiewa w sali Kolumnowej, gdzie wykonano jego *Suitę scytyjską*, przybrał nieoczekiwane rozmiary: owacja była większa niż w Moskwie.

Na odwrocie kartki, na której po triumfie moskiewskim Siergiej zanotował pojedyncze zdanie, dopisał teraz komentarz: „Leningrad przerósł sukces w Moskwie. Nie wiem, jak zdołam przetrwać to, co tutaj przeżywam”. Złożył kartkę z największą starannością i wetknął ją między strony Biblii, która towarzyszyła mu w podróży i która dzięki zarządzeniom Litwinowa nie była w ogóle sprawdzana podczas kontroli. Wolał nie myśleć, co by się działo, gdyby ktoś ją zobaczył. Może nic. A może bardzo wiele. Na razie nie było z tym żadnych problemów.

Wizyta w Związku Radzieckim miała potrwać dwa miesiące i Siergiej wiedział, że nie wytrzyma takiego natężenia przejawów gościnności, jakie nieustannie przygotowywali partyjni organizatorzy. Wolał ćwiczyć, skupiać się na koncertach, kłaść się wcześniej do łóżka, odpoczywać, odżywiać się prawidłowo i relaksować. Chciał zwiedzać z Liną miasto, spacerować po jego ulicach i placach. Chciał przejechać saniami po zamarzniętej rzece Moskwie i patrzeć na Kreml, polakierowany na szafranowo przez odbłaski słońca. Miał ochotę odwiedzić siostrę przyjaciela, Maxa Schmidthofa, któremu – gdy dowiedział się o jego samobójstwie – zadedykował *II Koncert fortepianowy*. Wyraził wolę udania się na wykład, który za kilka dni miał wygłosić Trocki; na wiadomość o tym Cuker nieomal dostał zawału serca. Siergiej pragnął odwiedzić różne zakątki swojego kraju, które wybrałby sam, a nie te, które znalazły się w oficjalnym rozkładzie zajęć. Chciał spędzać z rodziną tyle czasu, ile uważał za wskazane, bez czającego się wszędzie Cukera czy samego Litwinowa i bez nieodłącznej eskorty towarzyszącego mu jak cień samochodu tajnej policji, który próbowano zamaskować jako rodzaj ochrony utrzymywanej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie chciał, by jego życzenia były przez kogokolwiek źle interpretowane. Był wdzięczny za uprzejmość i życzliwość przejawiane przez całe jego otoczenie. Nie mógł zaprzeczyć, że jakoś też z tego korzystał. Wiedział, że bez towarzystwa oficjeli nie miałyby w ogóle takich doświadczeń jak to, co przeżył w trakcie prywatnej wizyty na Kremlu. Zaproponował ją Cuker, a Litwinow – którego żona Ivy zachwyciła się Liną, bo mogła z nią rozmawiać po angielsku – musiał użyć swoich wpływów, żeby zwiedzającym pozwolono wyjść z posterunku straży; zamknięto ich tam bowiem, kiedy się okazało, że przepustki straciły już ważność.

Do momentów, które oboje małżonkowie najbardziej lubili – może dlatego, że przeżywali je tylko we dwoje – należały żartobliwe podsumowania dnia, które urządzali sobie po powrocie do apartamentu w hotelu Metropol. Chichocząc i szepcząc, opowiadali

sobie anegdoty o niedawnych wydarzeniach. Siergiej śmiał się głośno jak rzadko kiedy, gdy wspominał, jak umiejętnie jego żona odwracała bieg rozmów, które czy to z niewiedzy, czy z naiwności nie do końca rozumiała.

– No a skąd ja miałam wiedzieć, że chodzi jej o żołnierzy Białej Armii, kiedy mnie zapytała, czy w Paryżu wszyscy taksówkarze są biali? Więc powiedziałam, że tak, podobnie jak w Nowym Jorku – opowiadała Lina, zabawnie tłumacząc, dlaczego udzieliła takiej, a nie innej odpowiedzi na pytanie pani Litwinow. – A ty też mogłeś mnie wspomóc, rzucając mi jedno z tych twoich spojrzeń.

– Jak według ciebie miałem to zrobić? Ona próbowała ich przekonać, żeby nas nie trzymali pod kluczem na Kremlu z powodu braku stałych przepustek.

– Podoba mi się Litwinow – przyznała Lina. – Budzi we mnie zaufanie. I wygląda tak dobrotliwie jak nauczyciel w szkole.

– Mnie raczej przypomina aptekarza, do którego chodzisz, kiedy cię bolą zęby. Ale ten nauczyciel czy też pan magister z apteki właśnie wywłaszczył bank w Tbilisi. – Ta informacja sprawiła, że Lina otworzyła szeroko oczy i zaczęła uważnie słuchać. – Chce też wysłać swoje dzieci, żeby studiowały w Anglii i nauczyły się dobrze angielskiego, a słyszysz sama, jak mówi o tym kraju: że gdyby mógł, toby na niego napadł. Na szczęście ani nie chce, ani nie może. – Siergieja rozbawił zgorszony wyraz twarzy Liny. – Nie rób takiej miny. Na tym etapie powinnaś już być przyzwyczajona do rosyjskiej niekonsekwencji.

– A co zrobisz z tym, o co cię prosił twój kolega Nikołaj Gołowanow? Jemu chyba nie zdołasz odpowiedzieć, że jego żona, najlepszy sopran w kraju, nie dostanie roli w *Miłości do trzech pomarańczy*. Pamiętaj, że mówi się o nim jako o przyszłym dyrektorsze teatru Bolszoi. To człowiek o dużych wpływach.

– Jak to nie zdołam? Zrobię to, gdy tylko znajdę sposób, żeby mu powiedzieć, że jego żona nie zmieści się we wnętrzu pomarańczy – odpowiedział ironicznie, odnosząc się do obfitych kształtów śpiewaczki.

Niezależnie od ciepłego i pełnego szacunku przyjęcia, zgotowanego mu w Związku Radzieckim, Siergiej chciał jednak zachować kontrolę nad swoim pobytem w tym kraju, swobodnie chodzić do sklepów, restauracji, domów przyjaciół i sal koncertowych – nie chciał, żeby ktoś go ciągle prowadził za rękę. Obawiał się, że nie zdoła być na wszystkich spektaklach, na które go zapraszano, i zdawał sobie sprawę, że na którejś z niezliczonych oficjalnych uroczystości może po prostu zasnąć ze zmęczenia. Służyły one niby oddawaniu mu hołdu, ale zaczynał się czuć na nich jak kukielka w rękach kapryśnego dziecka.

Uzgodnił z Liną, że to ona będzie reprezentować ich oboje w trakcie wszelkich wydarzeń towarzyskich.

– Ponadto – powiedział z dumą – oni i tak wolą patrzeć na ciebie. Co ja na to poradzę? Nie mam innego wyjścia, muszę się z tym pogodzić. Moja żona rozkochała w sobie moich rodaków, a mnie pozostaje tylko grać na fortepianie.

Nie mylił się. Wszyscy walczyli o miejsce u boku Liny. Sam Cuker, poza tym, że pod nieobecność Siergieja zamieniał się niemal w jej oficjalnego towarzysza, zawsze dbał o to, żeby łokciami i kolanami wywalczyć sobie miejsce obok Liny na wszystkich

fotografiach, które potem zamieszczały gazety. Wiedział, jak sprawić, żeby Hiszpanka wciąż miała zajęcie, a do tego była zadowolona. Wymyślał różne sposoby, żeby jej zorganizować prywatną wizytę w wielkim moskiewskim domu towarowym Gostorg, gdzie zaprezentowano jej kolekcję futer przeznaczonych wyłącznie na eksport do innych krajów europejskich, ale które wyjątkowo oddano również do jej dyspozycji. Lina zakochała się w niebieskim futrzanym płaszczu z lisów i w ślicznej białej pelerynce. Cuker zadbał o to, żeby pelerynka stała się oficjalnym podarunkiem i wyrazem wdzięczności za złożenie wizyty. Nie żałowano niczego, żeby fetować żonę wielkiego mistrza. Przed opuszczeniem budynku Lina przeszła przez jedno z pięter domu towarowego. Nie było to wcześniej zaplanowane, ale kiedy zobaczyła ogromne okno i wielkie lustro w złoconej ramie, tak intensywnie opadły ją wspomnienia, że o mało nie zasłabła. To właśnie tam przed laty matka kupiła jej plisowany płaszczyk z guzikami w kształcie liści oraz aksamitną czapkę, które chroniły ją przed zimmem w trakcie kilku pierwszych podróży do Rosji.

– Czy pani dobrze się czuje, pani Prokofiew? – spytał Cuker, obawiając się jakiejś gwałtownej niedyspozycji swojego gościa.

– Bardzo dobrze.

Miała zamiar podzielić się z nim pięknym wspomnieniem, które groziło jej emocjonalnym kryzysem. Ale kiedy na niego popatrzyła, zobaczyła nieschodzący z jego twarzy uśmiech, który robił wrażenie tatuażu, a czasami wyglądał na wymuszony, i zrozumiała, że lepiej tego nie robić. Z pewnością nie zainteresowałoby go to, co miała do opowiedzenia, choć udawałby, że jest inaczej.

Trzymając Cukera pod ramię, Lina chodziła na różne przedstawienia, a Siergiej w tym czasie zostawał w hotelu, ćwicząc na fortepianie, który wciąż zajmował centralne miejsce w apartamencie w Metropolu. Pewnego popołudnia Cuker zadzwonił i zaproponował coś, co jak się spodziewał, przypadnie Prokofiewowi do gustu. Chodziło o zaproszenie na *Carską narzeczoną*<sup>16</sup>. Ale przed spektaklem goście przeszli przez gabinet reżysera i wielkiego mistrza teatru, Konstantina Stanisławskiego w Moskiewskim Teatrze Artystycznym. Instytucja ta miała niebawem świętować trzydziestą rocznicę powstania. Cuker dobrze odrobił lekcję i wiedział, że Lina wciąż marzy o wejściu na deski sceniczne i odegraniu na nich czegoś ważniejszego niż rola wokalnego uzupełnienia niektórych koncertów i recitali męża. Stanisławski, gdy tylko ją zobaczył i dowiedział się o jej aktorskich aspiracjach, zaprosił ją do współpracy w teatrze.

– Mówiono mi wiele dobrego o pani zdolnościach scenicznych. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pani przyjęła tę ofertę.

Nie była to jedyna propozycja, jaką otrzymała tego wieczoru. Gdy skończyło się przedstawienie *Carskiej narzeczonej*, Lina wychwalała reżyserię spektaklu i napomknęła, że zachwycalaby ją możliwość pracy w takim teatrze.

– Jest na to proste rozwiązanie. Kiedy podpisujemy kontrakt? – Cuker wreszcie znalazł idealną okazję, żeby jej to zaproponować.

Lina chciała pojechać do hotelu Metropol i opowiedzieć o wszystkim Siergiejowi. A jeśli to prawda? Jeśli Związek Radziecki rzeczywiście da jej możliwość zrealizowania marzeń, której nie znalazła w żadnym innym miejscu na świecie? Siedząc w aucie

wiozącym ją do hotelu, zdawała sobie sprawę, że jej wyobraźnia działa zbyt szybko. Ale nie mogła się powstrzymać przed fantazjowaniem o tym, jak przeprowadza się do Moskwy i staje się jedną z najważniejszych aktorek teatralnych tego miasta. Była pewna, że Siergiejowi podobałby się pomysł zamieszkania na jakiś czas w Związku Radzieckim. Trudno mu się było dziwić. Odkąd przyjechali do tego kraju, mąż Liny zachowywał się swobodniej, był szczęśliwszy, miał lepszy humor i nie borykał się z tyloma kłopotami zdrowotnymi co poprzednio. Odzyskał część własnej historii, przyjaciół, rodziny. Odnosił największe sukcesy w karierze, widział, że jego talent jest doceniany. Przy każdym występie miał publiczność po swojej stronie, krytyka wychwalała jego muzykę – z jednym wyjątkiem artykułu opublikowanego w czasopiśmie „Życie Artystyczne”, gdzie napisano, że Prokofiew nie ma prawa wypowiadać się o Związku Radzieckim, i zażądano, żeby otwarcie przyznał, jaki jest jego stosunek do rządu bolszewickiego.

Stan podniecenia, w jakim znalazła się Lina, sprawił, że wyjątkowo wylewnie pożegnała się z Cukerem, całując go w oba policzki. Obdarowany przyjął te pocałunki z mieszaniną zadowolenia i niepewności. Lina niemal przefrunęła przez pusty jak zawsze hol Metropolu, w windzie bezskutecznie próbowała uspokoić oddech i z trudem trafiła kluczem do zamka drzwi. Nie mogła już się doczekać, żeby opowiedzieć o wszystkim mężowi.

Jej radość nie trwała długo. Gdy tylko otworzyła drzwi apartamentu, stanęła w obliczu czegoś kompletnie nieoczekiwanego. Siergiej był wyraźnie wściekły. Nie mogła zrozumieć jego zachowania. Wróciła co prawda później, niż przewidywała, ale samo przedstawienie zaczęło się z opóźnieniem, a potem, ze względu na obecność wielkich tłumów, wyjątkowo dużo czasu zajęło wychodzenie z teatru. Długo też trwało odbieranie płaszcza w teatralnej szatni.

– Nie mogę być zależny od twoich powrotów. Nie mogę wyczekiwać, aż się zjawisz, nie mając nawet pojęcia, gdzie jesteś! Przypominam ci, że jesteś moją żoną i masz być przy mnie! – Ewentualna obecność mikrofonów straciła dla Siergieja znaczenie. Mówił podniesionym głosem, który brzmiał wręcz śmiesznie i całkowicie nie na miejscu. Lina obawiała się, że jego krzyki słychać na korytarzu czy nawet w innych pokojach.

– Sam mnie prosiłeś, żebym przyjmowała zamiast ciebie te zaproszenia. Byłam w teatrze, o czym dobrze wiesz. Co to wszystko ma znaczyć? Co ci tak bardzo przeszkadza?

– Nie mogę spać, kiedy ciebie przy mnie nie ma. I kiedy przychodzisz tak późno, muszę na ciebie czekać bez snu. Nie mogę żyć w takiej zależności od ciebie! Czy to tak trudno zrozumieć? – krzyczał, a jego twarz zaczęła przybierać cynobrowy kolor, który zwykle zwiastował rychłe nadejście silnego bólu głowy, całkowicie obezwładniającego Siergieja.

– Tak, to trudne.

Jedną z charakterystycznych cech Liny było nieustępowanie mężowi w trakcie kłótni. Maria Grigoriewna radziła jej często, żeby mu nie odpowiadała, pozwalała się wyładować, żeby traktowała go jak dziecko rozzłoszczone tym, że ktoś zepsuł mu zabawkę, i potrzebujące czasu, żeby się uspokoić. Ale jej południowa natura nie znosiła

w takich sytuacjach ustępstw ani milczenia, ani tchórzliwych reakcji. Kochała Siergieja i jeśli miała mu coś do powiedzenia – mówiła to. Nie była jego matką ani przyjaciółką, ani kochanką. Była jego żoną i w jej pojęciu szczerowość odgrywała w tej relacji rolę równie ważną co wzajemne zrozumienie.

– Tak, trudno mi zrozumieć, co się dzieje, jeśli mi o tym nie mówisz. Nie wierzę, że trzydzieści minut spóźnienia może cię wprawić w taki stan. Nie jesteś ani tak niepoważny, ani szalony. – Popatrzyła na niego tak, jak tylko ona umiała, ze skupieniem, uważnie, szukając na dnie jego spojrzenia tego, czego nie mówiły usta. – Co się dzieje?

– Dzisiaj Światosław kończy trzy lata, a nas przy nim nie ma – powiedział Siergiej, ścisząc głos.

– Kłamiesz. Tu nie chodzi o Światosława. Dziś rano nie wydawał ci się taki ważny – powiedziała z naciskiem, przypominając sobie krótki atak płaczu, który jej się przytrafił tego dnia. Siergiej sam ją uspokajał i twierdził, że przesadza, że dziecko ma się dobrze z dziadkami i że wkrótce wszyscy znów będą razem. – Zapytam cię raz jeszcze: co się dzieje? Co się stało, że tak się zachowujesz? Jeśli mi nie powiesz, nie zdołam ci pomóc.

Nie trwało to nawet sekundy: Siergiej kompletnie się rozkleił. Obraz jej męża załamanego, pokonanego przez niesprzyjające okoliczności, pozbawionego choćby iskry nadziei, z dłońmi ściskającymi skronie i powstrzymującego się od płaczu zawsze miał na Linę przemożny wpływ.

– To Szurik.

Starła się jak najszybciej dopasować to imię do jakiegoś obrazu. W ostatnich dniach w jej umyśle wryło się mnóstwo przydomków, imion i nazwisk, które ze sprawnością sekretarki próbowała uporządkować, żeby móc z nich korzystać w odpowiednim momencie. Przypominała sobie. Szurik. Kuzyn Siergieja. Poznała go wraz z resztą rodziny kilka dni wcześniej. Teraz już przypominała go sobie świetnie, zupełnie jakby przed nią stał. Młody człowiek, który pomógł im wyjść z pewnego budynku przez tylny dziedziniec, kiedy chcieli wymknąć się towarzyszącej im eskorcie i cieszyć się nieskrępowaną przechadzką po ulicach Moskwy. Milczenie, w jakie zapadł Siergiej, nie pozwalało jej zrozumieć szczegółowo, jak poważna jest sytuacja. Sądząc po minie męża, mogło chodzić o śmierć albo jakiś straszny wypadek. Cisza ją zabijała. Ale nie chciała go pospieszać. Potrzebował czasu, żeby wyrzucić na zewnątrz to, co w sobie tłumił.

– Co się z nim stało?

– Dzisiaj po południu go aresztowali. Zawieźli na Łubiankę. A ja nie mogę nic zrobić.

To wtedy po raz pierwszy Lina usłyszała nazwę tej ponurej instytucji, którą stworzono, by zajęła szczególne miejsce w walce z występkami popełnianymi przeciwko interesom radzieckiego ludu. Niemniej jednak słyszała już wcześniej z ust różnych krewnych męża komentarze, które – zważywszy na okoliczności – należało uznać za dość niefortunne; bała się też, że mogą mieć niepożądane konsekwencje, szczególnie dla Prokofiewa. Pamiętała wieczór, kiedy razem z Nadią, żoną Szurika, oraz Katią, inną kuzynką Siergieja, przyszła do teatru na przedstawienie *Cara Fiodora Iwanowicza*

Aleksieja Tołstoja. Kiedy w chwili absolutnej ciszy, jaka zapanowała w teatrze, krewni zaczęli wypowiadać na głos komentarze na temat wysokiej jakości życia w epoce carskiej, Lina chciała zapaść się pod ziemię. Nie wspomniała nawet o tym Siergiejowi, żeby go nie martwić. Teraz żałowała, że tego nie zrobiła.

– Jak to nie możemy nic zrobić? Jesteś niemal bohaterem narodowym, który wrócił do ojczyzny. Jeśli Siergiej Prokofiew nie mógłby nic w tej sytuacji zrobić, wątpię, czy sam Stalin dałby radę!

– Po tym, jak poszłaś do gabinetu Stanisławskiego, rozmawiałem przez telefon z Cukerem. Opowiedziałem mu, co się dzieje. Powiedziałem mu, że Szurik jest młodym chłopakiem, z którym nie ma żadnych problemów, że nie zrobił nic złego.

Siergiej zamilkł na chwilę, przypominając sobie odpowiedź Cukera: „Młodym chłopakiem, który zaciągnął się do Białej Armii, jeśli dobrze rozumiem”.

– I powiedział mi, że nie ma w zwyczaju torpedować pracy swoich towarzyszy z bezpieczeństwa państwowego, szczególnie gdy chodzi o sprawy kontrrewolucji. Kiedy przebywałaś z nim w teatrze, nie mogłem nic zrobić, żeby cię poinformować. Potrzebowałem cię przy sobie, a ty byłaś z człowiekiem, który odmawia mi pomocy.

– Zawsze jestem przy tobie, choć fizycznie może mnie nie być, słyszysz? Zastukamy do innych drzwi – powiedziała szybko, zaczynając rozumieć, dlaczego Cuker nic jej nie powiedział o telefonie Siergieja. Gdyby to zrobił, musiałby odwołać jej obecność w teatrze. Ale nie miało to już znaczenia. Trzeba było pomyśleć o następnym kroku. – Porozmawiamy z Litwinowem. On ma dostateczną władzę, żeby coś zrobić. Mogę pomówić z Ivy, jego żoną. Uwielbia mnie, choćby dlatego, że rozmawiam z nią po angielsku. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Jutro zrobimy wszystko co trzeba.

– Jutro – odpowiedział jak automat. – Nie masz pojęcia, czym jest rosyjskie więzienie. Nie wiem nawet, czy on przeżyje dzisiejszą noc.

Lina spojrzała na niego, ale nie odważyła się sformułować na głos pytania, które ją nurtowało: „A czy ty masz pojęcie?”.

Następnego dnia Siergiej miał w planie spotkanie z Meyerholdem, który chciał go przekonać do wystawienia *Gracza* w teatrze Bolszoi. Reżyser zauważył, że Prokofiew jest zdenerwowany, nieobecny w rozmowie, którą prowadzili. Kiedy dowiedział się, dlaczego Siergiej planuje zwrócić się do Rady Komisarzy Ludowych z prośbą o pomoc, starał się go powstrzymać.

– Nie pomoże ci taki hałas. Zostaw to mnie. Znam kogoś, kto może nam pomóc. Ale ty siedź cicho, Prokofiew.

Parę godzin później pili herbatę z byłą żoną Maksyma Gorkiego, Jekatieriną Pieszkową, dyrektorką Politycznego Czerwonego Krzyża<sup>17</sup>, która obiecała zrobić wszystko co w jej mocy i powtórzyła zalecenie sformułowane przez Meyerholda.

– Niech pan nic nie robi – powiedziała, zapisując na kartce papieru nazwisko Aleksandra Rajewskiego, bo tak naprawdę nazywał się Szurik. – Pan jest gościem Związku Radzieckiego. Wielkim Prokofiewem. Nikt nie będzie chciał, żeby wyjechał pan z tego kraju niezadowolony. Być może coś by pan od nich uzyskał, ale na zawsze pozostałby pan ich dłużnikiem. A nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawią, żeby odebrać ten dług. Zostałoby to w pana *dossier* i w każdej chwili mogłoby być wykorzystane

przeciwko panu. Dziś to może nie mieć znaczenia, ale takie rzeczy stają się istotne, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

*Dossier? Jakie dossier? Wykorzystać przeciwko niemu? Co mieli wykorzystać przeciwko niemu i dlaczego? Siergiej nic nie rozumiał, tak jakby ta kobieta mówiła jakimś szyfrem. Ale jedyne, na czym mu zależało, to zobaczyć kuzyna wypuszczonego z Łubianki. Zdecydował więc, że posłucha rad i nie będzie zadawał żadnych pytań, na które i tak zapewne nie otrzymałby oczekiwanych odpowiedzi. Pieszkowa z pewnością lepiej wiedziała, jak w Związku Radzieckim funkcjonują te mechanizmy. Raz jeszcze uświadomił sobie, że on tak naprawdę zna się tylko na muzyce i powinien się zachowywać odpowiednio do tego.*

Po paru dniach Meyerhold przekazał mu, że ktoś z działaczy partyjnych, w związku z naciskami Prokofiewa, doprowadził do tego, że Szurikowi zmniejszono wyrok o jedną trzecią.

– To za mało. On musi wyjść z więzienia. To niesprawiedliwe. Nie zrobił niczego, żeby go trzymać w więzieniu.

– Nie musiał nic robić... ostatnio... – skomentował cichym głosem Meyerhold, jakby pragnął przekazać te słowa bardziej samemu sobie niż przyjacielowi. – Nawet w ogóle nie musiał nic robić. Liczą się intencje.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Siergiej nadal nic nie rozumiał albo nie chciał rozumieć.

– To, co już usłyszałeś od Jekatieriny. Pamięć bolszewików jest niezwykła i wiecznotrwała. Cokolwiek zrobisz dziś, może mieć konsekwencje za dziesięć lat. Będą to pamiętać, pomnożą przez dziesięć i wystąpią przeciwko tobie.

Widząc wyraz twarzy przyjaciela, Meyerhold pożałował ostrości swoich słów i postanowił jakoś złagodzić ich wymowę. Celem tego spotkania było namówienie Prokofiewa, żeby zdecydował się wystawić *Gracza*, a Meyerhold nie tylko tego nie osiągnął, ale jeszcze nastraszył Siergieja.

– Chodziło mi o to, żebyś wykazał cierpliwość. W końcu uda się wyciągnąć twojego kuzyna z więzienia. Ale tutaj sprawy toczą się w innym rytmie. Nawet członkom partii trudno jest interweniować w takich przypadkach. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że nie jesteś dostatecznie przekonany komunistą, skoro wstawiasz się za wrogiem ludu – wyjaśniał, usiłując uniknąć wzroku przyjaciela. Nie potrafił ominąć tych słów. Siergiej jeszcze tego nie wiedział, ale Meyerhold zaczynał mieć problemy z niektórymi przełożonymi z partyjnego wydziału kultury.

Nadal toczyły się próby i przedstawienia, nadal Prokofiew odnosił sukcesy. Postanowił posłuchać Meyerholda i innych, którzy zapewniali go, że niebawem jego kuzyn zostanie wypuszczony na wolność. Zaczynał czuć niechęć do Cukera za jego odmowę zajęcia się sprawą Szurika, ale starał się nie uzewnętrzniać tego uczucia. Nie byłoby to korzystne ani dla niego, ani dla jego kariery. Poza tym pamiętał słowa Meyerholda: „Nawet członkom partii trudno jest interweniować w takich przypadkach”. Tu nie chodziło o nic osobistego. Cuker robił wszystko co w jego mocy, żeby pobyt Siergieja w Związku Radzieckim przebiegał możliwie gładko i wygodnie, szczególną uwagę poświęcał przy tym Linie. Nie ulegało wątpliwości, że wypełniał rozkazy

otrzymywane z góry, ale zawsze można to robić na różne sposoby. Siergiej zrozumiał to lepiej, kiedy poszedł z żoną obejrzeć dzieło Konstantina Treniewa *Lubow Jarowaja*. Autor opowiada tam historię z czasów wojny domowej o niemożliwej do spełnienia miłości między wdową, silnie związaną z ideami rewolucyjnymi, i młodym żołnierzem Białych. Kobieta odrzuca w końcu swoją wielką miłość do wroga ludu, ponieważ głos jej rewolucyjnego sumienia okazuje się silniejszy niż wszelkie inne intymne i osobiste uczucia. Siergiej wychodził z teatru zamyślony i nie miał ochoty na rozmowę. Dlatego mówiła Lina, ścisząc głos bardziej niż zwykle, choć byli na ulicy.

– Nie wydaje ci się, że to trochę propaganda? Gdybym ja była na miejscu Lubow i gdyby przydarzyła mi się taka historia, chyba nie umiałabym odrzucić miłości.

– Taka jest surowa rzeczywistość. Ale nie przejmuj się. Ty nigdy nie będziesz musiała wybierać – powiedział Siergiej, obejmując żonę. Szli w kierunku restauracji, w której umówili się na kolację z przyjaciółmi: Miaskowskim i Asafiewem. Pierwszy z nich miał odnieść Siergiejowi dziennik, który ten zostawił u niego na przechowanie kilka dni przed wyjazdem z Rosji, drugi zaś miał mu oddać kilka utworów scenicznych napisanych w młodości, których Maria Grigoriewna nie zdołała odzyskać przed swoim nagłym wyjazdem z kraju. Wszystko wracało więc na miejsce. Siergiej pocałował Linę. Ostatnie, czego by sobie życzył, to żeby jego żona – życiowa towarzyszka i najskuteczniejsza podpora – martwiła się.

Podczas pobytu w Rosji Prokofiewowie doprowadzili do perfekcji coś, co nazwali własnym językiem kontemplacyjnym. W ciągu dwóch miesięcy stali się ekspertami od interpretacji własnych spojrzeń. Niejednokrotnie porozumiewali się bez słów, czy to z ostrożności, czy z niemożności dobrania odpowiednich wyrazów do tego, co widzieli. Kiedy odwiedzali Miaskowskiego w jego mieszkaniu, doświadczyli kolejnej charakterystycznej sprzeczności tkwiącej w rosyjskiej naturze: na widok niedostatku, w jakim żył kompozytor, zmuszony dzielić mieszkanie z innymi osobami, wahali się, czy lepszą reakcją będzie milczenie, czy zalew słów mających dać wyraz ich smutkowi. Prokofiew zadawał sobie pytanie, jak można żyć na tak małej, gęstej od ludzi przestrzeni, bez ciszy niezbędnej muzykowi do pracy. Nazywano to programem kwaterunkowym. Siergiejowi przychodziły do głowy inne określenia, lepiej pasujące do rzeczywistości. Rozumiał teraz wiele żartów, w których były ukryte wymówki kierowane do niego, do Strawińskiego, Rachmaninowa czy innych osób, które zapewniały o swojej rosyjskiej tożsamości, ale z odległości tysięcy kilometrów od kraju. Nie znajdował w sobie odwagi, żeby mieć ludziom za złe te pretensje. Sam nie wiedział, jak by zareagował, gdyby sytuacja się odwróciła. Bał się o tym myśleć.

Ale czasami wymieniane między małżonkami spojrzenia nie wystarczały, żeby rozluźnić ściśnięte gardła. Zdarzały się chwile, w których musieli siłą powstrzymać potrzebę mówienia, wyrażania opinii, komentowania. Nie chcieli też rozmawiać w samochodzie, który dzięki uprzejmości władz partyjnych nieustannie mieli do dyspozycji. Być może obsesja Liny dotycząca mikrofonów, która zaczęła się od żartu, rozwinęła się w paranoję, ale woleli zachować ostrożność. Po prostu. Dlatego często wykorzystywali odwiedziny u któregoś z krewnych – poza oficjalnym rozkładem zajęć – żeby wychodzić z budynków tylnymi wyjściami, wymykając się eskortie w jakichś



uliczkach i zewnętrznych dziedzińcach. Korzystali przy tym z zaimprovizowanych planów ucieczki – jak je nazwali w swoim własnym języku. Jeśli ich oficjalnym przewodnikom udawało się rozszyfrować te sztuczki, Siergiejowi i jego żonie zawsze pozostawało wytłumaczenie, że po tylu latach chcieli sobie znów pochodzić po moskiewskich ulicach; czasami też stwierdzali po prostu, że się zgubili.

– Zauważyłeś? – spytała Lina, która nawet na otwartej przestrzeni, na przykład na ulicy, wołała mówić ściszym głosem. – Siostrzenica Miaskowskiego, ile ona może mieć? Czternaście, piętnaście lat? Widziałeś, jak ona mówi do swojej matki, z jaką pogardą nazywa ją burżujką? W mechaniczny sposób wyrzuca z siebie komunistyczne slogany, jakby w ogóle nie przechodziły wcześniej przez jej mózg. „Cała władza w ręce rad”. „Chleba, pokoju, ziemi”. Wydaje się, że to Jules Romains<sup>18</sup> mówi o wielkim świetle ze Wschodu albo François Furet pisze o ogólnym zachwycie Październikiem. Przecież ona ząbkowała, kiedy wybuchła rewolucja! A Miaskowski nie może nic zrobić? To w końcu jest jego mieszkanie...

– To jego mieszkanie, tylko że widzieliśmy tam jeszcze ze dwadzieścia innych rodzin. – Siergiej nie upierał się przy tej liczbie, ale zrobiło na nim wrażenie tak wielkie zbiorowisko osób w jednym mieszkaniu, w którym normalnie mogło się pomieścić nie więcej niż troje czy czworo ludzi. – I tak dziwne, że jeszcze wychodzi jako tako na zdjęciach – ciągnął dalej, przypominając sobie nieco zmizerowanego Miaskowskiego na fotografii, którą widział w Rydze. – Biorąc pod uwagę, cośmy widzieli, musiało to być dość trudne.

Lina rozumiała, co chciał jej powiedzieć mąż. Oparła się na jego ramieniu i szli dalej. Było dość zimno, ale we własnym wnętrzu Lina zaczynała wręcz zamarzać.

Trzy dni przed końcem objazdu i rozpoczęciem przygotowań do powrotu Prokofiew po raz ostatni wziął udział w przedstawieniu jego dzieła w Związku Radzieckim. *Symfonia klasyczna, II Koncert fortepianowy* oraz *Suita scytyjska* zabrzmiały tym razem inaczej, bo były już naznaczone pożegnaniem. Oklaski rozbrzmiewały od wielu minut, a Siergiej wciąż jeszcze nie wiedział, czy ma wyjść i złożyć ukłon, czy też powstrzymać się od obecności na scenie; jednakże krzyki dobiegające z sali niejako wezwały go na estradę, gdzie po raz kolejny świętował wielki sukces.

Tego wieczoru nikt nie chciał wychodzić. Publiczność pozostawała w swoich fotelach, muzycy żądali obecności Prokofiewa, goście specjalni oczekiwali na niego w holu, w korytarzach i przy wyjściu z teatru – wszyscy chcieli mu pogratulować. Przyjaciele cierpliwie czekali w garderobie, a dziennikarze spodziewali się ostatniej deklaracji kompozytora przed wyjazdem. Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, Aleksiej Iwanowicz Rykow, też nie chciał stracić okazji, by pozdrawić Prokofiewa i jego zachwycającą żonę. I pragnął skorzystać z ostatniej możliwości pokazania się na zdjęciach, które słynnej parze mieli robić fotografowie prasowi.

– Czy wizyta w Związku Radzieckim była dla pana pożyteczna? – spytał Rykow w obecności wygłodniałych dziennikarzy, uśmiechając się jednocześnie i do Prokofiewa, i do fotografów.

– Ten pobyt wywarł na mnie ogromne wrażenie.

– A więc pan wróci?

– Człowiek zawsze wraca do miejsca, w którym był szczęśliwy.

Ta odpowiedź wydawała się zadowalać wszystkich i Siergiej odetchnął z ulgą. Stał się ekspertem w dziedzinie strategii semantycznej, mistrzem gry słów, w której musiał okazywać się bardziej pomysłowy niż przy grze w szachy czy w brydża. Lina wpatrywała się w niego i posłała mu jeden ze swoich szerokich uśmiechów, które ostatnio wyćwiczyła specjalnie dla niego. Siergiej nie wiedział, czy była to nagroda za elegancję, z jaką wybrnął z sytuacji wobec przedstawicieli prasy czyhających na jego ostatnie słowa i w obecności szefa rządu, czy też za wypowiedź o tym, że był szczęśliwy.

Gdyby pierwszego dnia pobytu ktoś mu powiedział, że ta wizyta minie tak szybko, nie uwierzyłby. Oboje z Liną czuli pewien smutek, wiedząc, że zostawiają kraj, który niewątpliwie przyjął ich z otwartymi ramionami. Zdawali sobie sprawę, że nigdy nie zdołają zapomnieć odniesionego tu sukcesu, który przekształcił się w ich życiu w coś na kształt wzorca, według jakiego mierzone będą efekty wszelkich przyszłych występów.

Dwudziestego trzeciego marca 1927 roku o mało nie spóźnili się na pociąg, jakby to była jakaś zabawa z losem. Zbyt wiele niekończących się pożegnań, przedłużonych pocałunków, choć skracanych w pośpiechu, uścisków mających wyrazić życzenie uniknięcia śmierci, obietnic, które ze względu na siarczysty rosyjski mróz przekształcały się w białą mgiełkę natychmiast po wypowiedzeniu... Wyjeżdżali, zostawiając za sobą wiele spraw, być może z intencją, by tu któregoś dnia wrócić i pozbierać porozrzucane teraz klocki. Ale o wiele więcej wywozili ze sobą – mnóstwo doświadczeń, które trzeba było zmagazynować w pamięci, żeby się w niej nie zatary i zasyłały przyszłe wspomnienia. Prokofiew nienawidził pożegnań, bo nie był w nich dobry. Gdyby mógł, zamknąłby się w tym czasie w pokoju i grał na fortepianie. Lina radziła sobie lepiej, jak zresztą prawie w każdej sytuacji.

Kiedy już ulokowali się w kolejowym przedziale i bagażowy rozmieścił w nim ich ciężkie i wielkie walizki, wypełnione rzeczami kupionymi przez Linę w domu towarowym Gostorg, ale także paczkami z pamiątkami, listami, książkami, fotografiami i zapisami kompozycji, które wróciły do dawnego właściciela, Siergiej położył głowę na oparciu fotela i zamknął oczy. Pragnął uporządkować i posegregować chwile, które przeżył w trakcie tej podróży – wszystkie i każdą z osobna.

Stukot pociągu oznaczał, że wracają do domu. Czekali tam na nich Światosław i jego dziadkowie, Olga i Juan, czekało ognisko domowe, praca Siergieja, czekali przyjaciele – Siergiej Diagilew, Pablo Picasso, Coco Chanel, Igor Strawiński, Ernest Hemingway – znajome zakątki Montmartre’u, spacer po Ogrodzie Luksemburskim, po bulwarze Saint Germain i Dzielnicy Łacińskiej z jej cudnymi ogródkami kawiarnianymi. Jednego dnia usiądą w Le Dôme, nazajutrz zajmą stolik w La Closerie des Lilas, gdzie na pewno nie natkną się na nikogo z dnia poprzedniego, bo – jak powiedział Linie Hemingway – „tam nie spotkasz żadnego poety”.

Wracali do życia, do swojego prawdziwego życia. Może dlatego Siergiej nie chciał oglądać się za siebie. Nie otwierał oczu, aż intuicja powiedziała mu, że dworzec został już wiele kilometrów za nimi i jedynym krajobrazem, jaki zobaczy przez okno, będzie niezmierny obszar białego, dziewiczego śniegu, w którym nikt nie zostawił swoich śladów. Przynajmniej na razie.

<sup>16</sup> Opera Nikołaja Rimskiego-Korsakowa.

<sup>17</sup> Organizacja pomocowa, szybko zlikwidowana przez radzieckie władze bezpieczeństwa; w czasach, o których mowa, Pieszkowa kierowała organizacją o nazwie Pomoc Więźniom Politycznym i Zesłańcom.

<sup>18</sup> Jules Romains (1885–1972), francuski pisarz, poeta, publicysta.

– Nie zamierzam wsiadać do tego grata.

Związła deklaracja Liny w sprawie fiata, nad kupnem którego zastanawiał się jej mąż, była całkowicie jasna. Nie było w niej miejsca na wątpliwości ani dwuznaczności. Auto jej się nie podobało.

– Jedyne powód, dla którego nie chcesz tego samochodu, to twój upór. Chcesz kupić panharda, bo ma na chłodnicy litery SYP<sup>19</sup>.

– Powiedziałałabym, że jestem romantyczką. Siergiej Y. Prokofiew – nadal upierała się przy własnej interpretacji owego skrótu.

– Ale skoro nawet nie zdawałaś egzaminu na prawo jazdy, nie bądź grymaśna.

– A ty prowadzisz jak szalony! – odcięła się, zarzucając mu upodobanie do szybkiej jazdy, które sprawiało, że przekraczał dozwoloną prędkość.

– Tak samo jak komponuję. Jakoś do tej pory nie słyszałem, żebyś się na to skarżyła.

Po wielu naradach zdecydowali się na ballota<sup>20</sup>, odrzuciwszy uprzednio pomysł, żeby wzorem de Falli i Mompou<sup>21</sup> opowiedzieć się za ehrhardtem<sup>22</sup>.

Była to ważna decyzja. Samochód mógł odmienić ich życie, dając im wolność, której poprzednio nie doświadczali z braku możliwości swobodnego przemieszczania się. Nie będą już potrzebowali usług żadnego szofera. Sami będą teraz kierować swoim życiem i niezwłocznie nadadzą tej zasadzie praktyczny wyraz.

Niemniej jednak – podobnie jak w przypadku muzycznych dzieł Prokofiewa – wkrótce pojawiła się krytyka, szczególnie z ust niektórych rosyjskich przyjaciół-wygnañców mieszkających w Paryżu, którzy zaczęli sobie żartować z wysokiego poziomu życia Prokofiewa, zawdzięczanego ponoć tournée po Związku Radzieckim. Siergieja bolały te insynuacje i czuł się zobowiązany tłumaczyć, że jego podróż po ziemi rosyjskiej nie przyniosła mu wielkich zarobków. W końcu postanowił pójść za radą Liny i przestał udzielać wyjaśnień, które i tak nikogo nie interesowały. Diagilew też wsparł inteligentną sugestią Liny, jak zresztą niemal wszystko, co wychodziło z ust pani Prokofiew, dla której czuł prawdziwy podziw. Nie ustawał w okazywaniu go, kiedy tylko miał okazję.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Zazdroszczą ci sukcesu w Związku Radzieckim. Żaden z nich go nie odniósł, więc najłatwiej mieć pretensje. Wszyscy twierdzą, że tam nie jadą z powodów moralnych, ale może nie jadą z obawy przed klęską. W niektórych przypadkach ich duma by tego nie zniosła. Spójrz na mnie, ja też nie pojechałem. Nawet mi nie proponowali.

– Bo się boją, że pozabierasz im wszystkie baleriny do swoich Ballets Russes. – Siergieja zaskoczył wybuch śmiechu przyjaciela, bo mówił to całkiem poważnie. – Naprawdę. Sami mi to powiedzieli.

Powróciła życiowa rutyna sprzed wyjazdu do Związku Radzieckiego. Najważniejsze było znalezienie domu, najchętniej na stałe. W końcu znaleźli go pod numerem 5 przy ulicy Valentin Haüy. Wkrótce zapełnili go przyjaciele i znajomi, którzy

zamienili to miejsce w nowy punkt spotkań najważniejszych artystów rosyjskiego Paryża. Lina wkładała wiele wysiłku w przygotowanie każdego przyjęcia, każdej kolacji i cieszyła się tym – szczególnie wtedy, gdy organizowała turnieje brydżowe i szachowe, w których nieodmiennie triumfował Siergiej.

– Wypadałoby, żebyś się zachował jak dobry gospodarz i od czasu do czasu dał wygrać komuś innemu. Ludzie przestaną tu przychodzić! – żartowała Lina.

– Nigdy w życiu! Mam swoją godność. Widziałas kiedyś Rosjanina, który nie chciałby wygrać?

Wszyscy wypytywali go o doświadczenia z podróży po Związku Radzieckim. Także ze Związku Radzieckiego przychodziły pytania. Wyrażane przez niektórych apele, żeby raz jeszcze pojechał do ojczyzny, nasiliły się po tym, jak Diagilew zaproponował Prokofiewowi skomponowanie baletu *Le pas d'acier – Stalowy krok*. Utwór miał być pochwałą industrializacji dokonującej się w ZSRR w szczytowym okresie liberalizacji zainicjowanej przez rząd bolszewicki i określanej jako Nowa Polityka Ekonomiczna. Wielu postrzegało to dzieło Prokofiewa jako wyraźne poparcie dla radzieckiej rzeczywistości. „Postępujemy słusznie i nasi wielcy rodacy to dostrzegają. Pokażmy to światu i naszemu własnemu społeczeństwu radzieckiemu”. Taką interpretację przyjmowali działacze partyjni wysokiego szczebla.

Mimo sukcesu baletu, wystawionego 7 czerwca 1927 roku, krytyka wyrażona przez jednego z przyjaciół Prokofiewa, Jeana Cocteau, szczególnie zabolowała kompozytora. „Mam pretensje do choreografa, Leonida Massine’a, że coś tak ważnego jak rewolucja rosyjska przekształcił w zabawę noworoczną, zaadaptowaną dla potrzeb pań płacących sześć tysięcy franków za lożę. Nie mam nic przeciwko kompozytorowi ani scenografowi”. Choć Lina przypuszczała, że wypuszczona przez Cocteau strzała miała ugodzić Diagilewa za jego przyjaźń z Massine’em, wyjaśnienie Siergieja brzmiało w jej uszach okrutnie:

– Nie potrafi sobie poradzić ze śmiercią Raymonda Radigueta. Zbyt wiele go kosztuje pogodzenie się z jego relacją z Martą, czy nawet z tobą, chociaż to już oczywiście w innym sensie.

Wspomnienie Raymonda zasmuciło Linę. Po raz kolejny wstrząsnęło nią przesłanie jego książki *Opętanie*, opowiadającej o łatwości krzywdzenia ukochanej osoby – w imię miłości właśnie.

Ale Prokofiew wolał skupiać się na życzliwych recenzjach jego uwielbianej madame Sert, Pabla Picassa, Siergieja Diagilewa, Maurice’a Ravela i Raymonda Russela. I na sukcesach, jakie jego utwór odnosił w Londynie, Paryżu i Monte Carlo. Ucieszyła go wiadomość, że *Stalowy krok* ma zostać niebawem pokazany w Związku Radzieckim, gdzie wciąż mówiono o dobrym przyjęciu jego opery *Miłość do trzech pomarańczy*. Początkowo rozważano pomysł, żeby Prokofiew udał się do Moskwy i pracował tam przez sześć miesięcy nad wystawieniem baletu, ale propozycja Dzierżanowskiego, jako przedstawiciela teatru Bolszoj, w końcu go jednak nie przekonała. Nie mógł spędzić pół roku w Moskwie. Miał dużo pracy, tras koncertowych czekających na potwierdzenie, prób, umówionych już występów. A przede wszystkim, gdyby przyjął rosyjską ofertę, musiałby porzucić proces komponowania, w którym tkwił po uszy. Nie mógł sobie na to pozwolić ani też nie chciał. Im więcej miał pracy, tym pełniejsze było jego życie, tym

szczęśliwszy był on sam. Powinien kończyć *Gracza*, którego tworzeniu poświęcał codziennie wiele godzin. Diagilew już pukał do jego drzwi z pomysłem na nowy utwór – *Syna marnotrawnego*. Prokofiew nie mógł się zatrzymać. Wyglądało na to, że podróż do kraju ojczystego dała mu dodatkową dawkę energii, którą musiał teraz zamienić na partytury nowych utworów. Przeżywał kluczowe momenty swojej kariery. A miał dopiero trzydzieści sześć lat. Najczęściej zadawano mu właśnie to pytanie:

– Jak ktoś tak młody może się cieszyć już taką sławą?

Moskwa z pewnością musiała jeszcze na niego poczekać.

Niemniej nie mógł tego uniknąć: każde zaproszenie, list czy telegram, który dostawał ze Związku Radzieckiego, sprawiał, że w szczególny sposób błyszczały mu oczy. Lina żartowała z niego:

– Mam już pakować walizkę?

Ale dla Siergieja sprawa była jasna: życie w Paryżu i w zachodniej Europie było lepsze. Tęsknota nie stanowiła argumentu odpowiedniej wagi, żeby zrobić tak ważki życiowy krok. Prokofiew był niezależnym kompozytorem i potrzebował wolności, żeby tworzyć.

Poza tym już za chwilę nowa wiadomość, wciąż jeszcze nieogłoszona publicznie, miała go mocniej związać z Paryżem, przynajmniej na jakiś czas.

– No więc kiedy, kochana? – spytał Linę Diagilew, bezskutecznie usiłując stłumić uśmiech, naznaczony grzechem niedyskrecji.

– Skąd ty to wiesz? – odpowiedziała pytaniem, całkiem zaskoczona. Jej ciąża była na razie tajemnicą nawet dla Siergieja, trwała dopiero od kilku tygodni i Lina wołała odczekać jakiś czas, żeby mieć pewność, że wszystko będzie dobrze. – Przecież nic nie widać.

– Codziennie przebywam wśród kobiet. Popatrz na nie – powiedział, wskazując tancerki ze swoich Ballets Russes. – Dzięki nim stałem się ekspertem. Czasami wiem o takich rzeczach wcześniej niż one.

Kiedy na świat przyszedł Oleg, Siergiej Diagilew jako jeden z pierwszych zjawił się w szpitalu z gratulacjami dla rodziców. Trzynastego grudnia 1928 roku panujące na ulicy zimno kontrastowało z ciepłem, którym wypełniony był szpitalny pokój. Lina właśnie wydała na świat drugiego syna, ślicznego noworodka ważącego trzy kilogramy i sześćset dwadzieścia gramów. Przed kołyską Olega stał jak wmurowany jego starszy brat Światosław.

– Chciałem dziewczynkę. – Chłopiec protestował przeciwko oszustwu. – Mama mówiła, że będzie dziewczynka. A to zmienia wszystko.

– Chodzi o to, że dziewczynki są droższe – powiedział jego ojciec, mając nadzieję, że to wyjaśnienie zostanie zaakceptowane przez Światosława, z którego ust wychodziły czasem wyrażenia pasujące raczej do ludzi dorosłych, choć chłopiec skończył dopiero cztery lata. – Nie mamy innego wyjścia i musimy już zostać z nim, jeśli się zgodzisz.

– No dobrze, niech będzie. Podoba mi się – zdecydował mały, przysuwając się do koszyka, w którym noworodek spał od chwili przyjścia na świat. – Kochany dzidzius, mój braciszek. Nie martw się, będę się tobą zajmował. A poza tym – zwrócił się do ojca – dziewczynki są bardzo męczące.

Diagilew przyklasnął tej uwadze chłopca i chciał ją spuentować.

– I niebezpieczne. I strasznie się rządzą. – Miał też ostrzeżenie dla ojca noworodka. – Prokofiew, musisz uważać. Kobieta z synem to generał. Ale z dwoma to już marszałek.

– Będzie miał na imię Siergiej – powiedziała Lina, która po drugim porodzie dochodziła do siebie szybciej niż po pierwszym.

– Jeszcze jeden Siergiej w rodzinie? – zaprotestował Prokofiew. – A dlaczego nie Askold?

– Bo to okropne imię. Nie podoba mi się. Już ci mówiłam, kiedy próbowałeś przy naszym pierwszym synu, i teraz powtarzam to samo. I nie dyskutuj ze mną. Nie słyszałeś, co mówił Diagilew? Mam rangę marszałka.

W końcu zwyciężyło imię Oleg. Linie zbytnio się nie podobało, ale ustąpiła, słysząc jednogłośnie opinię, że Oleg świetnie brzmi i ma artystyczne konotacje.

– Będzie wielkim artystą, tak jak jego ojciec.

Uznano to za pewnik, ale i tak w pierwszych latach nikt nie zwracał się do chłopca jego imieniem. Matka przyswoiła sobie formę, którą zaproponował Światosław, nazywając małego Bratik, pieszczotliwym rosyjskim zdrobnieniem od słowa „brat”. Siergiej natomiast nazywał go Bebin. Jediną osobą, która używała prawdziwego imienia, była Elsa, nadzwyczajna duńska piastunka, którą Lina była zachwycona, a jej młodszy synek jeszcze bardziej.

Niewiele mieli czasu na wychodzenie z domu, przede wszystkim Siergiej, którego pochłoneła praca nad *III Symfonią* i przygotowaniem do rychłej premiery *Syna marnotrawnego*, planowanej na maj 1929 roku. Ale pewnego wieczoru zrobili wyjątek. Lina, która już odzyskała siły po urodzeniu Olega, chciała obejrzeć Carlosa Gardela<sup>23</sup>.

W Siergieju ten występ nie budził takich emocji jak w jego żonie, być może dlatego, że głowę miał zajęta zbliżającą się premierą i poważnymi sporami z choreografem *Syna marnotrawnego*, George'em Balanchine'em. Rezultaty przygotowań martwiły go, nie był wcale pewien końcowego sukcesu, który przewidywał Diagilew. Te kwestie wypełniały tamtego wieczoru jego umysł – wraz z nutami *III Symfonii*, której premiera miała się odbyć już za kilka dni. Wiedział, że utwór jest dobry, ale czy odniesie sukces? Czy ociera się o doskonałość? Przewyższa *Symfonię klasyczną*? Jego utwory nie były jedynym zmartwieniem, które psuło mu humor. Wciąż niepokoiły go konsekwencje spotkania, które odbyło się kilka tygodni wcześniej w rosyjskiej restauracji w stolicy Francji. Widział się tam z jednym z radców Ambasady Związku Radzieckiego w Paryżu. Od pierwszych chwil czuł się niezręcznie, słysząc przywitanie tamtego, bo wiedział, że poprosi go o to samo co przy innych okazjach: żeby dał koncert w ambasadzie radzieckiej. Siergiej dotychczas w grzeczny sposób odrzucał te zaproszenia, wymawiając się nadmiarem pracy albo licznymi podróżami zagranicznymi, które musi odbywać. Nie chciał, żeby ktokolwiek mógł źle zinterpretować jego występ w takim miejscu. Myślał o społeczności rosyjskiej na wygnaniu i był przekonany, że gdyby przyjął zaproszenie, stałby się obiektem wielu krytycznych głosów. Tym razem było trochę inaczej.

– Mam informacje, że moi towarzysze próbują namawiać państwa, żebyście znów

odwiedzili Moskwę. Nie mogę uwierzyć, że uda im się to osiągnąć, zanim uhonoruje nas pan występem w ambasadzie. Przecież to dużo bliżej.

– To trochę za dużo powiedziane. Sprawa z Moskwą wcale jeszcze nie jest wyjaśniona. Nadal nie dostaliśmy nawet paszportów radzieckich! – Nie wiedział, czy żałować tego, co właśnie powiedział, czy gratulować sobie bystrości reakcji. Ta biurokratyczna przeszkoda była ogromnie trudna do pokonania, a jeśli powrót do Związku Radzieckiego w ogóle miałby wchodzić w grę, zrobienie tego kroku byłoby niezbędne.

– Ależ proszę się tym nie martwić. Właśnie coś mi przyszło do głowy. Pan mi pomoże w moim kłopotcie, a ja obiecuję zainteresować się państwa paszportami. Wie pan, co o nas mówią: „W Rosji wszystko ma swoją cenę”.

I tak też się stało. Prokofiewowie dostali paszporty, ale Siergiej musiał wystąpić podczas przyjęcia w ambasadzie. Tak jak się obawiał, nie trzeba było długo czekać na reakcje: wszyscy orzekli, że danie tego koncertu stawia Prokofiewa w złym świetle. Rosyjscy przyjaciele w Paryżu mieli do niego pretensje mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy kupił sobie samochód – rzekomo za pieniądze z koncertów w Związku Radzieckim. Najbardziej zabolął go artykuł opublikowany w Moskwie. Ukazał się w antybolszewickim dzienniku „Wozroźdienie”, wydawanym przez Związek na rzecz Odrodzenia Rosji. *Prokofiew stał się gumową lalką*. Zdanie to wydało mu się niesprawiedliwe i wywołało w nim głęboki niesmak.

Zbliżał się dzień premiery *Syna marnotrawnego* w teatrze Sary Bernhardt w Paryżu. Czas, który pozostał do wyznaczonej daty – 21 maja 1929 roku – wydawał się coraz bardziej rozciągać i Prokofiew miał wrażenie, że termin nigdy nie nadejdzie. Ale w końcu nadszedł. Siergiej był bardzo zdenerwowany. Diagilew radził mu, żeby się rozluźnił, że wszystkie atuty są po jego stronie.

– Mamy na scenie Prokofiewa, Diagilewa i tancerza, którego kocha cały świat, Serge’a Lifara. Nie zapominajmy też o czarującej Feli Dubrowskiej. Paryż, oddana publiczność, a u twojego boku piękna żona, która, nie pytaj mnie dlaczego, wspiera cię choćby nie wiem co. Czego jeszcze chcesz?

Siergiej chciał choreografii, która pod względem estetycznym byłaby bardziej spójna z biblijną przypowieścią zaczerpniętą z Ewangelii według świętego Łukasza, na której oparty był utwór.

Pomimo obaw Siergieja i różnych złych znaków dzieło odniosło sukces, a jego twórcy zdołali znów zrewolucjonizować paryską scenę, choć tym razem nie chodziło tylko o charakterystycznego ducha rewolucji tkwiącego w muzyce Prokofiewa. Siergiej wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego dopiero co był świadkiem.

– Dlaczego przyjaciele syna marnotrawnego chodzą na ugiętych kolanach? Dlaczego tańczą tak niezgrabnie, jakby tupali w podłogę, jakby mieli uszkodzone stawy? I czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego wszyscy są łysi? Dlaczego tancerki wykonują te ruchy biodrami, rzucają tak nimi gwałtownie na boki? I przede wszystkim, dlaczego patrząc na adaptację przypowieści biblijnej, koniecznie trzeba oglądać dupę?

– Ledwo ją tam widać – usiłowała go uspokoić Lina. – Jestem przekonana, że publiczność nawet nie zdała sobie z tego sprawy. A poza tym problemem nie jest to, że ją widać, tylko moment, w którym się ukazuje...



– Ale przecież mówiłaś, że i tak widzowie sobie nie zdają sprawy... – jęknął Siergiej, jakby jego żona była winna ukazaniu się gołego tyłka na środku sceny.

– Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie tego widoku. Chcesz coś powiedzieć na ten temat, Diagilew? – Lina poprosiła przyjaciela o wsparcie, podczas gdy długa kolejka znajomych i rozmaitych osobistości wiała się u drzwi garderoby, żeby złożyć gratulacje, nieświadoma złości, która wzbierała w pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami.

– Oczywiście, że coś powiem. To była jedna z twoich najlepszych premier... – Diagilew, odgadując intencje Siergieja, który już otworzył usta, żeby wydobyć z siebie kolejną skargę, wyliczać dalsze nieprawidłowości albo zacytować czyjeś niefortunne zdanie i doprowadzić go do furii, powstrzymał przyjaciela gwałtownym gestem. – I nie wyjeżdżaj mi tu teraz z Moskwą albo Leningradem, bo, drogi przyjacielu, to tutaj jest prawdziwy świat. Nie racz mnie historiami o nostalgii i poczuciu straty. Wiem, że w tej chwili chciałbyś zabić Balanchine’a, ale jego choreografia będzie analizowana, będzie inspirować przyszłe pomysły sceniczne. A ty powinienes to rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny. – Siergiej przecząco pokręcił głową. Wiedział, że choreografia spektaklu wywoła wielki skandal, niekoniecznie związany z kwestiami muzycznymi, a potem szybko się zestarzeje i.

– Wybuchnie w tej sprawie skandal. Już to widzę. – Siergiej miał kłopoty ze zrozumieniem racji swojego przyjaciela.

– Skandal? – spytał Diagilew, omal nie wybuchając śmiechem. – Wiesz, co ośmielił się napisać krytyk muzyczny w „Le Figaro”, kiedy obejrzał *Święto wiosny* Strawińskiego w wykonaniu Ballets Russes w maju 1913 roku w teatrze Champs-Élysées? „Nie ma żadnego związku z tym, co nazywamy muzyką”. I oczywiście ten niedouczony kretyn nadal chodzi do teatru, bo nikt nie miał dość odwagi ani przyzwoitości, żeby zakazać mu wstępu. Mój przyjacielu, nie ufaj temu, co pisze prasa, szczególnie jeśli chodzi o teksty krytyków teatralnych.

Diagilew ucałował Linę, po czym wychodząc z garderoby, powiedział do niej:

– Ciesz się sukcesem. Ja jadę do Wenecji odpocząć przez kilka dni. Chociaż twój mąż nie chce o tym słyszeć – wyznał Linie głosem dostatecznie donośnym, żeby Siergiej go usłyszał – ten czyrak mnie zabije. Kiedy wrócę, zadzwonię do was i porozmawiamy o nowych projektach. Mam coś, co cię zachwyci, Siergiej. I przestań robić taką zmartwioną minę! Odniosłeś kolejny sukces. Kogo, u diabła, obchodzi, że gdzieś tam widać tyłek albo że na scenę wyszli łysi tancerze! Ciesz się życiem, Prokofiew. Nie bądź tak cholernie rosyjski – powiedział, puszczając oko do Liny i ponownie ją całując.

Nie tylko Diagilew potrzebował odpoczynku. Prokofiewowie również tęsknili za chwilą spokoju i znaleźli ją, jak to zwykle oni, w przytulnym miejscu dostatecznie odległym od Paryża, żeby dało się tam uciec od ciągłego hałasu, który nie pozwalał im skupić się na dźwiękach muzyki. Rytm pracy Siergieja pozwolił im wynająć śliczną, przestronną rezydencję należącą do szlacheckiej rodziny i położoną w pobliżu jeziora Bourget. Dom nosił nazwę La Fléchère i Światosław, kiedy tylko zobaczył to miejsce, potraktował je jako ogromny park atrakcji, w którym można było się bawić i zatracić pośród dziecięcych fantazji. Spiralne schody, różne pokoje zapraszające, żeby się w nich

zgubić, zarośnięty ogród, w którym ktoś zawiesił ogromną huśtawkę... Dzięki niej Oleg nie tęsknił za huśtawką przymocowaną przez ojca w paryskim mieszkaniu. Starszy z braci z kolei fantazjował o wspinaniu się po pnączach porastających mury domu...

Lina była przekonana, że znalazła raj na ziemi, i nic jej nie obchodziły takie problemy, jak odejście zgodzonej kucharki, nagląca konieczność wysprzątania domu, pilna potrzeba wyprawienia się do miasteczka po bieliznę pościelową, bo zapomniano takową zabrać z Paryża, czy konieczność zaopatrzenia spiżarni, która całkiem opustoszała przez niefrasobliwość kucharki. Miała ochotę usiąść w ogrodzie na jednym z pomalowanych na biało krzeseł i wypić waniliową herbatę albo – jeszcze lepiej – duży kubek kawy z mlekiem. Wszystko zostało idealnie zaplanowane. Dzieci się bawiły, Siergiej komponował, a ona nadal układała prasowe wycinki, poprawiała tłumaczenia, występowała jako wierna doradczyni męża – nie zapominając przy tym o lekcjach śpiewu, których nigdy nie porzuciła, choć w ostatnich czasach stały się rzadsze, ze względu na wymogi codziennej życiowej krzątaniny. W nowym miejscu oboje małżonkowie mogli zapomnieć o wszystkim i cieszyć się życiem rodzinnym, z którego byli tak dumni. Nikt ani nic nie mogło im go zakłócić, co zawdzięczali oddaleni o kilkaset kilometrów od stolicy. Ale nie oni jedni traktowali to miejsce jako letnie schronienie. Bardzo blisko Prokofiewów ulokowały się inne sławy oraz znajomi, wśród nich Strawiński z rodziną. Nie przeszkadzało to Siergiejowi – mimo zakamuflowanej rywalizacji między dwoma kompozytorami; w gruncie rzeczy zresztą łączył ich wzajemny podziw. W pobliżu znalazła się też śpiewaczka Nina Koshetz, nasuwając Linie niezbyt przyjemne wspomnienia dawnej zazdrości. Była to jednak już historia i obecność Niny nie budziła jej sprzeciwu. Innym sąsiadem był znany aktor Charles Chaplin, który czasami, w trakcie obiadu czy kolacji, bawił zebranych pokazem mimicznym, doprowadzając ich do wybuchów śmiechu. Wieczory, które zaczynały się takimi radosnymi spotkaniami, okazywały się zwykle bardzo przyjemne. Lina miała nawet okazję poznać jedną z największych hiszpańskojęzycznych artystek epoki, Imperio Argentinę<sup>24</sup>, z którą przeżyła wiele pamiętnych chwil i od której wiele się nauczyła. Tamto lato stało się pamiętne z wielu powodów.

Lina nie zapominała o zaproszeniu Imperio na wielkie pożegnalne przyjęcie, które szykowała na zamknięcie sezonu wakacyjnego. Cieszyła się, bo w trakcie uroczystości znów śpiewała z przyjaciółmi, a Siergiej akompaniował jej na fortepianie. Jej głos z pewnością brzmiał lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Pomyślała, że może ma to związek ze spokojem, jaki zapanował w jej życiu – tak przynajmniej wynikało z zasad Chrześcijańskiej Nauki. Gratulowała sobie, że za namową męża zgodziła się wejść w świat tej religijnej doktryny. Była to ważna decyzja, która nie tylko pomogła im obojgu w karierze artystycznej, ale też w życiu rodzinnym oraz w sferze najbardziej osobistej.

– Nie myślcie o bólu, a ból nie pomyśli o was. Wszystko jest kwestią woli.

Ale nie zawsze tak się działo, szczególnie kiedy życie miało dla nich inne plany.

Pewnego ranka pod koniec sierpnia Lina wróciła z porannej kąpieli, w czasie której towarzyszyła synom. Siergiej też miał w zwyczaju przyłączać się do tych rodzinnych wypraw, o ile pozwalała mu na to praca, ale tego akurat dnia był zanadto skupiony na początku i układzie *V Koncertu fortepianowego*. O świcie budził się kilka razy, żeby

zanotować na kartce pewne dźwięki, które przyszły mu do głowy i wyraźnie nie mogły czekać do rana. Kiedy wreszcie nadszedł dzień, Prokofiew nie odrywał się od fortepianu, skupiając się całkowicie na horyzoncie, który wyznaczały białe i czarne klawisze. Nie był w stanie oderwać oczu od partytury. Sprawił to dopiero stłumiony krzyk żony, który dobiegł z ogrodu. Siergiej pomknął po wewnętrznych schodach z taką prędkością, że można się było obawiać o ich całość. Linie musiało stać się coś poważnego. Kiedy do niej dobiegł, zobaczył, że trzyma w rękę jakąś gazetę. Jego żona była w takim stanie, że Siergiej sam zaczął szukać na zadrukowanych stronicach przyczyny jej gwałtownej reakcji. Szybko znalazł wielki nagłówek. Dwa dni wcześniej, w Grand Hotel des Bains de Mer na weneckiej wyspie Lido, zmarł Diagilew. Minęły ledwie trzy miesiące bez dwóch dni od premiery jego ostatniego baletu, *Syna marnotrawnego*. Siergiej musiał przeczytać tę wiadomość dwukrotnie. To było nie do uwierzenia. Musiało chodzić o jakąś pomyłkę. Przecież nie wszystko, co piszą gazety, jest prawdą. Sam Diagilew mówił mu to, kiedy widział go po raz ostatni w garderobie teatru Sary Bernhardt w Paryżu.

– Nie ufaj temu, co pisze prasa.

Niedawno z nim byli, szykowali się, żeby znów się spotkać za parę dni, po zakończeniu letniego sezonu, miał jakiś plan, dzięki któremu znów mogliby pracować razem – i nagle odszedł. Przez kilka minut Siergiej nie potrafił zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Nie potrafił też płakać. Stracił możliwość reagowania. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, ale teraz z jego głowy uleciały wszystkie dźwięki i pojawiły się w niej obrazy: widział uśmiechającego się Diagilewa w tamtej teatralnej garderobie, widział ostatni pocałunek, który jego przyjaciel złożył na policzku Liny – jeden z tych, o których Prokofiew żartował, wiedząc o ich niewinnej naturze:

– Ktoregoś dnia zapomnisz, że to moja żona i że ja stoję obok. Przestań ją czarować tymi pocałunkami, bo się do tego przyzwyczai.

To było niemożliwe. Życie nie mogło zadawać takich ciosów, dopuszczać się tak strasznych niesprawiedliwości. Nic ani nikt nie miał prawa zabierać mu jednej z najbardziej kochanych przez niego osób, nie dając mu najmniejszej szansy na pożegnanie, na opowiedzenie, kim Diagilew był w jego życiu i jak wielką pustkę wywoła jego nieobecność. Raz jeszcze pozazdrościł żonie umiejętności rozładowania napięcia poprzez płacz. Teraz też nie potrafił się rozplakać, choć wiedział, że pomogłoby mu to zwalczyć przygniatające go uczucie pustki. Świat artystyczny lamentował po stracie człowieka, który był najważniejszym katalizatorem życia teatralnego, a Prokofiewowi ta możliwość nie była dana. Ci, którzy ulegli czarowi twórcy i prawdziwej duszy Ballets Russes – Picasso, Matisse, Benois, de Falla, Ravel, Debussy, Fokin, Niżyński, Strauss, Strawiński, Derain, Braque – ztracali się w płaczu, on zaś, serdeczny druh Diagilewa, nie potrafił zapłakać. Odszedł najbłyskotliwszy umysł świata baletu, a Prokofiew, jeden z jego najbliższych przyjaciół i współpracowników, nie był w stanie uronić choćby jednej łzy.

Śmierć przyjaciela wywarła na niego większy wpływ, niż się spodziewał. Czuł się osierocony. To, że los postawił na jego drodze taką osobę, z pewnością zmieniło jego życie. Diagilew był nie tylko przyjacielem, ale także powiernikiem, protektorem, idealnym współtowarzyszem w pracy. Gdyby nie on, Siergiej nie skomponowałby ani nie

wystawił wielu swoich utworów, które odniosły wielki sukces. Poza tym był on jednym z najważniejszych ogniw wiążących proces twórczy Prokofiewa z Europą i Stanami Zjednoczonymi, pępowiną łączącą go z Paryżem, Londynem, Brukselą, Wiedniem... A teraz Siergiej został sam, bez ojcowskiego wsparcia, którym w gruncie rzeczy był dla niego Diagilew.

Siergiej nie mógł przestać myśleć o śmierci przyjaciela, o tym, że ich ostatnim wspólnym dziełem był *Syn marnotrawny*, a także o wciąż do niego dochodzących natarczywych wezwaniach, żeby pojechał do Moskwy. Los w jakiś sposób upierał się, żeby powiązać ze sobą te trzy sprawy. Prokofiew czuł, że za chwilę eksploduje mu głowa. Nigdy nie lubił interpretować znaków, które wysyłało życie. Wolał zamknąć oczy i uderzać w klawisze fortepianu. Muzyka go wyciszała i zagłuszała tumult powstający w jego umyśle.

O tym wszystkim rozmyślał, kiedy wracał wraz z rodziną do paryskiego domu, zostawiając za sobą idylliczną posiadłość La Fléchère. Kończyło się nadmiernie burzliwe lato i wszystko wskazywało na to, że nadchodząca jesień i zima będą wyglądały podobnie. Siergiej prowadził samochód ze wzrokiem utkwionym w jezdnię. Tego dnia zachowywał się szczególnie spokojnie, a jego milczenie nie miało nic wspólnego z faktem, że Oleg i Światosław spali w podróży: pierwszy w ramionach niani Elsy, drugi ułożony na tylnym siedzeniu. Siedząc z przodu na fotelu pasażera, Lina też wydawała się pogrążona w myślach: o tym, jak szczęśliwie upłynęłyby im wakacyjne miesiące, gdyby nie smutna wiadomość o śmierci Diagilewa, o której nie potrafiła przestać myśleć. Jak to możliwe, że życie bierze tak niespodziewane zakręty? Jak wszystko może się tak całkowicie zmienić w ciągu zaledwie jednej sekundy? Jak ktoś, z kim przed chwilą się pożegnaliśmy, może tak całkiem zniknąć z naszego życia? Dlaczego wszystko jest takie niesprawiedliwe? Nie miała jednak czasu długo się zastanawiać nad prawidłowymi odpowiedziami na te retoryczne pytania: w pewnej chwili gwałtowny wstrząs sprawił, że cały świat się zakołysał. Nie rozumiejąc zbyt dobrze, co się dzieje, Lina zauważyła, że szosa znika jej sprzed oczu, perspektywa z każdą sekundą gwałtownie się zmienia, szyby samochodu pękają, przekształcając się w spadający na pasażerów deszcz kłujących okruchów, a auto nie przestaje się obracać. Poczowała silne uderzenie w głowę, po którym nie była w stanie ocenić, czy widok jej starszego syna wypadającego z samochodu przez przednie okno i lądującego na betonowej jezdni kilka metrów dalej jest realny, czy nie. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie, ale pozostawiało taki sam gorzki osad, jaki w bezbronny i sparaliżowany przez rzeczywistość ciele zostawia senny koszmar.

Samochód, którym podróżowała rodzina Prokofiewów, uległ poważnemu wypadkowi spowodowanemu złym stanem jednego z kół. Chodziło o tę samą oponę, która zwróciła uwagę Siergieja kilka dni przed planowanym wyruszeniem w drogę powrotną do Paryża. Pojechał wtedy do warsztatu, żeby sprawdzono, czy wszystko jest w porządku. Nie było, ale nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, póki samochód nie stracił jednego koła i nie zaczął koziółkować, co zdawało się trwać bez końca. Jednak wreszcie ten koniec nastąpił.

<sup>19</sup> Od: System Panhard.

<sup>20</sup> Francuska marka samochodowa istniejąca w latach 1905–1931.

<sup>21</sup> Federico Mompou (1893–1987), kataloński kompozytor i pianista.

<sup>22</sup> Niemieckie samochody produkowane w latach 1905–1924.

<sup>23</sup> Carlos Gardel (1890–1935), argentyński śpiewak i kompozytor, uważany za najlepszego w historii interpretatora tang.

<sup>24</sup> Imperio Argentina (1910–2003), hiszpańsko-argentyńska aktorka, śpiewaczka i tancerka.

„Prokofiew nie żyje”.

Tym stwierdzeniem niektóre z głównych dzienników rosyjskich zamykały wiadomość o wypadku samochodowym, któremu w niewielkiej odległości od Paryża ulegli Siergiej i jego rodzina.

To, co się wydarzyło, można było w istocie zakwalifikować jako cud. Po odpadnięciu jednego z kół samochód przeokoziółkował i obrócony podwoziem do góry zatrzymał się na przeciwnym pasie jezdni. Biorąc pod uwagę ruch innych samochodów, mogło to doprowadzić do niezwykle groźnej katastrofy. Ale widok zrozpaczonego Światosława – który wypadł z samochodu i leżał na szosie kilka metrów dalej, z paroma zadrapaniami, ale bez poważnych ran – zaalarmował kierowców, którzy pospieszyli na pomoc poszkodowanej rodzinie. Nieprzytomny Siergiej, z obrażeniami rąk, pozostawał we wnętrzu auta. Lina mocno uderzyła się w głowę, na skutek czego jej twarz zalana była krwią; lekarze, którzy ją opatrywali, podejrzewali, że odniesione rany mogą ją pozbawić możliwości widzenia na prawe oko. Mały Oleg wyszedł z wypadku z najmniejszymi obrażeniami dzięki niani Elsie, która odruchowo mocno go objęła, tworząc wokół niego coś w rodzaju osłony chroniącej przed uderzeniami. Sama Elsa miała poważne obrażenia ramion i nóg.

Potrzebny był długi okres rekonwalescencji, żeby wszyscy wyleczyli odniesione rany. Siergieja najbardziej – bardziej nawet niż poważne wstrząśnienie mózgu – martwiły dłonie, w pierwszych dniach po wypadku pozbawione czucia. Ku wielkiej uldze jego i wszystkich bliskich, po zaledwie dwóch tygodniach odzyskał możliwość poruszania rękami, między innymi dzięki osłemu uporowi, z jakim je ćwiczył i nie pozwalał im wypoczywać – wbrew zaleceniom lekarzy. Lina w końcu nie straciła oka ani wzroku, a jedynymi śladami wypadku na jej pięknej twarzy było kilka zadrapań, które zniknęły w ciągu paru kolejnych dni. To ona wzięła na siebie rozmowy z moskiewskimi przyjaciółmi męża i uspokajanie ich w kwestii stanu zdrowia Prokofiewa. Wiadomość, że podano tam informację o śmierci Siergieja, wywarła na niej duże wrażenie. Choć wiedziała, że to wynik pośpiechu dziennikarskiego i braku rzetelnych informacji, wydrukowany nagłówek pozostawił w niej dziwne wrażenie.

Dochodząc do zdrowia, Siergiej miał dużo czasu, żeby myśleć o niedawnych wydarzeniach, a także o tych, które dopiero miała przynieść przyszłość. Szczególnie o tych ostatnich. Zaproszenia ze Związku Radzieckiego stawały się coraz bardziej natarczywe, choć w niektórych wspominało o braku funduszy albo o niefortunnych poślizgach, jeśli chodzi o możliwą datę premiery utworów Prokofiewa. Były niemal tak uporczywe jak wiadomości wysyłane przez przyjaciół. Na przykład Meyerhold zawiadamiał go o zmianach, które zachodziły w kraju, i to niekoniecznie na lepsze. Prokofiewowie już jakiś czas wcześniej zauważyli, że komunikacja z przyjaciółmi z Moskwy nie jest tak płynna ani tak szczerza jak dawniej. Listy przychodziły rzadziej, a kiedy w końcu Siergiej je dostawał, wyczuwał w nich chłód, zwięzłość i brak emocji typowych dla jego kolegów. Z czasem ustąpiły miejsca telegramom, a te później zostały

wyparte przez wiadomości ustne, przekazywane przez osoby trzecie. Ale wszyscy powtarzali jedno: sytuacja w Związku Radzieckim zmienia się, warunki życia różnych przyjaciół i znajomych również. Dzierżanowski spodziewał się wyrzucenia pracy – z tego samego powodu, który podał Siergiejowi Meyerhold przy okazji epizodu z uwięzieniem Szurika, kuzyna Prokofiewa.

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że nie jesteś dostatecznie przekonany komunistą, skoro wstawiasz się za wrogiem ludu.

Jednym z niewielu, których wiadomości nadal formułowane były z dostateczną jasnością, pozostał Miaskowski. Zawsze był bezpośredni i szczery, choć czasami jego otwartość okazywała się dość bolesna. „Dlaczego miałbyś przyjeżdżać? I, przede wszystkim, po co? Sprawy się tu zmieniają i ci, którzy pociągają za sznurki w kulturze, również. Wciąż uważają, że jesteś geniuszem, ale dyskredytują twoją muzykę. Mówią, że twoje nowe utwory są przepelnione frywolnością, personalizmem, że nic nie wnoszą w życie ludu rosyjskiego – a nawet wręcz przeciwnie: zatruwają go i zubożają. Zastanów się dobrze, zanim podejmiesz decyzję”. Wiadomości od Meyerholda były utrzymane w takim samym ostrzegawczym tonie: „Jeśli przyjedziesz, zmuszą cię, żebyś pisał muzykę polityczną. A ty nie jesteś stworzony do tego, przyjacielu. Twój świat jest całkiem inny”.

Mimo zupełnej jednoznaczności tych wieści płynących od przyjaciół – do których niebawem dołączyli wypowiadający się w podobnym stylu Borys Asafiew, Paweł Lamm i Aleksander Mosołow – Siergiej opierał się jak mógł przed daniem im wiary. Jego sposób komponowania, jego muzyka nie zmieniły się tak bardzo, jak zmieniło się nastawienie władz radzieckich.

Na stole leżała umowa dotycząca podróży do Stanów Zjednoczonych i na Kubę, gdzie miał wziąć udział w serii koncertów i uczestniczyć w premierach swoich oper. Przy niektórych okazjach miała mu towarzyszyć Lina i jej głos. Ale zanim ostatecznie potwierdził to amerykańskie zobowiązanie, podjął decyzję, która dojrzewała w nim od pewnego czasu. Pojedzie do Związku Radzieckiego. Będzie to krótka podróż, zaledwie dwadzieścia dni. Wolał jechać sam.

– To nie potrwa długo. Nie warto. Zanadto się zmęczysz. Poza tym powinnaś dochodzić do siebie po wypadku.

Nie zdziwiło go, że na dworcu kolejowym w Moskwie czekali na niego wyłącznie najbliżsi przyjaciele. Prosił wcześniej, żeby z okazji jego przyjazdu nie organizować żadnych oficjalnych uroczystości. Znalazł doskonały pretekst: twierdził, że jest zmęczony i obolały, bo wciąż trwał okres jego rekonwalescencji. Nie całkiem była to prawda, ale Siergiej nie zniósłby nudnych, rządowych ceremonii. Szczególnie w sytuacji, kiedy nie stała u jego boku Lina, która potrafiła sprawić, że całe to zawracanie głowy było znacznie łatwiejsze do zniesienia – nawet jeśli chodziło tylko o to, że później, już po oficjalnych wydarzeniach, wśród żartów i śmiechów przypominali sobie we dwójkę wspólne przeżycia. Zebrali się wszyscy, których chciał zobaczyć i uściskać. Miaskowski, Meyerhold, Dzierżanowski, Majakowski, Asafiew i Lamm. Wszyscy byli szczęśliwi, mogąc stwierdzić, że wypadek Prokofiewa nie pozostawił żadnych widocznych śladów, o których zaczynała już spekulować radziecka prasa. Odprowadzili go do hotelu,

w którym zamieszkał – tym razem w miejscu znacznie skromniejszym niż poprzednio. Nie przyjechał przecież na oficjalne zaproszenie, poza tym – jak mu przypomiano – sytuacja się zmieniała.

Ale troska pojawiła się na twarzach kilka dni później, kiedy tłumaczono Prokofiewowi, że partia rozpoczęła serię czystek, które miały zasiać strach w sercach zwykłych ludzi, a także – co wydało się Siergiejowi najdziwniejsze – wśród niektórych członków partii.

– Nie wiem, nie chcemy cię straszyć, nie wiemy za dobrze, co się dzieje. Ale różni ludzie znikają i nie wracają, nic o nich nie wiadomo. Kiedy rozmawiasz o nich z towarzyszami z partii, mówią, że te osoby pojechały na północ albo że dopuściły się jakiegoś występku i wysłano je na Ural. Potwierdzają to ich krewni, ale nie potrafią ukryć strachu w oczach.

Siergiej mógł stwierdzić, że zgadzało się to z tym, czego dowiedział się od rodziny Szurika, z którą się skontaktował. Krewni powiedzieli mu, że kiedy dzięki jego wstawiennictwu Szurik wyszedł z więzienia, został przesiedlony na Syberię – „na wszelki wypadek, żeby mieć go pod kontrolą i żeby nie stwarzał więcej problemów”. Ale najbardziej zaskoczyła go inna wiadomość: przyrodni brat Siergieja Diagilewa został rozstrzelany w obozie pracy przymusowej na Wyspach Sołowieckich, do którego zesłano go trzy tygodnie po śmierci twórcy Ballets Russes.

– Rozstrzelany? – pytał, nie umiejąc pojąć tego, co do niego szeptano, posługując się bardziej spojrzeniami niż słowami. – Ale dlaczego?

– Nie wiemy. Nikt tego nie wie.

– To nie znaczy, że nie było powodu... – odpowiedział Miaskowski. Był to jego zwykły sposób mówienia, prosty i bezpośredni, polegający na wtrącaniu półgłosem komentarzy w trakcie rozmowy. – Wydawałoby się, że zabrali ich, żeby pracowali przy wyrębie drzew i wydobywaniu surowców w kopalniach i w ten sposób wsparli gospodarkę kraju. Tak przynajmniej mówią. Wolą nazywać to pobytem w gospodarstwie rolnym albo w obozie wychowawczym. Celem jest chwalebne dzieło budowy socjalizmu w ojczyźnie. Chyba dokładnie takich słów używają.

Miaskowski mógł mu jeszcze opowiedzieć, o czym zaczynają mówić ludzie na ulicy: że te miejsca to pierwsze obozy pracy przymusowej w wielkim systemie wyzysku uruchamianym właśnie przez Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy, który w przyszłości wszyscy będą nazywać Gułagiem.

Podczas swojej wizyty Siergiej miał ochotę przejść się po ulicach Moskwy i Leningradu, żeby się przekonać, czy atmosfera rzeczywiście jest nasycona narastającym lękiem, intrygami i coraz silniejszą nieufnością, jak twierdzili jego przyjaciele. Prawdę mówiąc, nie miał odpowiedniego punktu odniesienia, z którym mógłby porównywać obecną sytuację, jako że podczas poprzedniego pobytu niemal nie wysiadał ze służbowego samochodu. Także tym razem jego podróż nie była wolna od oficjalnej celebry, ale w znacznie mniejszej ilości. Organizatorzy chcieli, żeby Prokofiew był lubiany w kraju, starali się spełnić pragnienie kompozytora, by jego utwory były wystawiane. Podkreślali, że nie są w stanie zapłacić mu tyle, ile jego sztuka jest warta, ale zapewniali, że niczego mu nie zabraknie. „I oczywiście pełna swoboda poruszania się” –



tym zdaniem odpowiadało mu zawsze na wyrażaną przez niego obawę. Kolejne magiczne słowa, na które reagował i które zacierały wątpliwości i kontrowersje budzące się w trakcie rozmów z przyjaciółmi. Wiedział, że chcieli go chronić. Znali go i obawiali się jego buntu. Duch wolności i niezależny charakter nie pasowały do nowego Związku Radzieckiego. Ale on sam wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, co powinien robić i na jakiej scenie ma się to dziać. Wiedział przez całe życie i jak dotąd nie wychodziło mu to źle.

Siedząc w fotelu, odizolowany od świata przez wnętrze przedziału kolejowego, wracał w ramiona Liny i do synów. Nie mógł powstrzymać uczucia smutku, że porzucił kraj rodzinny. Ta podróż nie zostawiła w nim takich śladów jak poprzednia, z 1927 roku, ale sądził, że wynika to z braku towarzystwa żony. Bardzo za nią tęsknił. Bez niej nic nie było takie samo. Nie chciał dać się ponieść duchowi romantyzmu, bo też niezbyt często mu w życiu ulegał. Miał świadomość, że sytuacja w Moskwie się zmieniła. I wiedział to nie tylko na podstawie opowieści przyjaciół, ale także z artykułów w prasie zachodniej. Nowa Polityka Ekonomiczna poniosła porażkę, więc Stalin obmyślił kolejną strategię, polegającą na nacjonalizacji głównych przedsiębiorstw, która miała zapewnić szybką i kontrolowaną industrializację kraju, oraz na wymuszonej kolektywizacji ziemi. W tym celu stworzył Państwowy Komitet Planowania, Gosplan, który wcielił w życie pierwszy plan pięcioletni. Rosja nie miała za sobą świetlanej przeszłości, na której mogłaby się wzorować: jej wycofanie się z wielkiej wojny zostało powszechnie uznane za klęskę, potem przyszła rewolucja, wojna domowa, wojna z Polską – która zniweczyła marzenia rewolucjonistów rosyjskich o przeniesieniu rewolucji do pozostałych części Europy, co udało się później w ograniczonej mierze na Węgrzech i w Niemczech – oraz wydarzenie najświeższe, czyli zerwanie stosunków z Wielką Brytanią w 1927 roku. Stalin uważał, że Związek Radziecki powinien wypatrywać rozwiązań swoich problemów w przyszłości, a nie w przeszłości.

Prokofiew siedział z zamkniętymi oczami, nie zwracając uwagi na zaśniewany krajobraz rozciągający się za oknem. Znał go już i wolał się skoncentrować na własnych rozważaniach. Próbuje wyjaśnić sobie brak satysfakcji z zakończonej właśnie krótkiej wizyty, myślał o tym, że poczucie niestabilności dotyka całego świata, poczynając od Stanów Zjednoczonych, w których wszystko zaczynał właśnie rujnować wielki kryzys.

Stukot pociągu wprowadził Siergieja w rodzaj sennego oszołomienia. Poddawał się rytmicznemu kołysaniu i – nie wiedząc zbyt dobrze dlaczego – przypominał sobie jedno ze spotkań z Majakowskim, podczas którego poeta wykazał się szczególną umysłową kreatywnością. Majakowski starał się wyjaśnić, jak zmierzyć długość głupoty. Meyerhold słyszał już wcześniej tę teorię, ale wziął udział w zabawie, bo wydawała mu się pomysłowa.

– To proste. Wystarczy na przyjęciu włożyć znajomemu do kieszeni marynarki szpulkę nici, ale trzeba zrobić to tak, żeby koniuszek wystawał przez dziurkę od guzika – tłumaczył Majakowski, obrazując jednocześnie za pomocą gestów to, o czym opowiadał. – Wkrótce pojawi się ktoś, kto widząc nitkę na marynarce znajomego, spróbuje ją usunąć. Będzie za tę nitkę ciągnął i ciągnął, aż w końcu zda sobie sprawę, co się naprawdę dzieje. Wtedy wystarczy zmierzyć wyciągnięty kawałek nitki i możemy

oszacować głupotę tej osoby. Spróbujcie, to zawsze się udaje.

Siergiej zapadł w głęboki sen, w którym centralną rolę odgrywała wymyślona przez Majakowskiego przypowieść o długości głupoty.

Bolało go, że opuszcza Moskwę, nie wiedząc, czy staje się z tego powodu głupcem.

Chociaż nie lubił wielodniowych podróży na pokładzie transatlantyków, cieszył się, wchodząc na statek Berengaria wraz z Liną i znajomymi oraz przyjaciółmi – między innymi z Rachmaninowem – udającymi się do Stanów Zjednoczonych, żeby dać tam serię koncertów. Uporczywe kołysanie statku sprawiało, że żołądek Siergieja nie pozwalał mu cieszyć się przyjemnością spacerowania po pokładzie, przez co Lina – przynajmniej do połowy rejsu – musiała zdać się na ramię Rachmaninowa jako jedyne oparcie w trakcie tych przechadzek.

Amerykańskie tournée było dla Siergieja źródłem wielkiej satysfakcji, choć Lina nie mogła powiedzieć tego samego o sobie. Jej głos zaczynał się załamywać: zdarzały jej się częste przypadki bezgłosu, chrypki i innych przypadłości, uniemożliwiających jej danie z siebie wszystkiego. Ale przynajmniej miała okazję poznać bardzo interesujące osoby, na przykład aktorkę Glorię Swanson w Los Angeles czy poetę Federica Garcíę Lorcę w Hawanie. Szczególną przyjemność sprawiło jej to ostatnie spotkanie. Od dawna podziwiała tego wielkiego poetę z Granady, ale nie wyobrażała sobie – choć właściwie powinna się tego domyślać, jako że nie była to rzecz nadzwyczajna – że Lorca zadeklaruje się jako zagorzały wielbiciel nie tylko muzyki Prokofiewa, ale także jego szczególnego sposobu interpretacji. García Lorca siedział na widowni podczas kilku koncertów na karaibskiej wyspie, a po jednym z nich przyszedł do hotelu, w którym mieszkali Prokofiewowie, żeby wyrazić swój podziw. „Te dłonie są ze złota” – skomentował, a Siergiej podziękował za te słowa. Wychodząc z koncertu, usłyszał też, jak któryś z bileterów mówi, że „ten Rosjanin gra jak szalony”. Lina знаła utwory andaluzyjskiego geniusza i uważała, że są pełne namiętności, klasy, temperamentu.

– Jesteś pewna, że nie urodziłaś się w Kordobie albo Granadzie? Twoja uroda jest zanadto andaluzyjska, żebyś miała przyjść na świat w Madrycie – wyznał jej poeta, kiedy na hotelowym tarasie popijali orzeźwiający napój z trzciny cukrowej.

Dla Liny pobyt na wyspie był przeżyciem wyjątkowo emocjonalnym: zachowała w pamięci wiele wspomnień z czasów, gdy jako mała dziewczynka przez krótki czas mieszkała tu z rodzicami. Wśród swoich osobistych rzeczy nadal przechowywała bardzo dla niej cenny portret fotograficzny, który zamówił Juan Codina. Ubrany był na tym zdjęciu w biały garnitur i słomkowy kapelusz. Podarował fotografię Linie, zanim wróciła – razem matką – do Stanów Zjednoczonych. Rodzice Liny rozdzielili się wtedy na pewien czas, bo Juan miał jeszcze na Kubie jakieś obowiązki zawodowe. Te wspomnienia były dla Liny bolesne, przypominały jej o ojcu. Wiedziała, że nie czuje się on dobrze. Od pewnego czasu miał problemy z sercem i choć oboje z Siergiejem usilnie go na to namawiali, nie chciał zwrócić się ku Chrześcijańskiej Nauce.

Podróż była pełna wrażeń i bardzo owocna, choć pod koniec oboje czuli się trochę zmęczeni. Nie chcieli wracać do synów z pustymi rękami. Na jakimś straganie niedaleko dworca kolejowego pod Nowym Orleanem Lina znalazła idealny prezent. Kiedy tylko zobaczyła dywan ze śmiesznymi wyobrażeniami krów, wiedziała, że spodoba się

Światosławowi i Olegowi. Nie myliła się. Dywanik zajął szczególne miejsce, między łózkami obu braci.

Prezent zachwycił chłopców, ale było jeszcze coś, co ogromnie spodobało się Światosławowi. Miał po raz pierwszy zobaczyć występ ojca na scenie. Lina zabrała go na koncert, w trakcie którego Prokofiew wykonywał swój *III Koncert fortepianowy*. Trudno było powiedzieć, który z nich był bardziej zdenerwowany: chłopiec zajmujący fotel w czwartym rzędzie teatralnej sali czy kompozytor i pianista dyrygujący i grający na fortepianie. Siergiej nie miał odwagi spojrzeć w stronę miejsca, gdzie siedział jego starszy syn. Lina nie pamiętała, żeby jej mąż był kiedykolwiek tak zdenerwowany. Na szczęście te wszystkie krzyżujące się spojrzenia nie przeszkodziły temu, że koncert okazał się ogromnym sukcesem.

Ale zaraz po powrocie do domu wyraz zadowolenia zniknął z twarzy Siergieja. Na stoliku przy wejściu leżał telegram. Przysłał go Miaskowski, jedyny, który nigdy się nie bał ani nie był przesadnie ostrożny, pisząc do niego na zagraniczny adres, zwracający uwagę mimo rosyjsko brzmiącego nazwiska adresata. Kiedy Prokofiew przeczytał krótką wiadomość, jego twarz zmieniła kolor. Umarł poeta Majakowski. „Samobójstwo” – tak dokładnie było napisane w telegramie. Siergiej utkwiał wzrok w tych jedenastu literach, które wydały mu się jedenastoma nutami źle dopasowanymi do siebie na pięciolinii. Ledwo przeczytał telegram, kiedy u drzwi do mieszkania rozległ się dzwonek. Przyszedł jego przyjaciel, szachista i pisarz, Znosko-Borowski, z wypisanym na twarzy wyrazem przygnębienia. Borys Asafiew prosił go, żeby przekazał Prokofiewowi wiadomość o Majakowskim, ale w pełniejszej wersji. Przed odebraniem sobie życia w mieszkaniu przy pasażu Łubiańskim – za pomocą pistoletu Browning hiszpańskiej produkcji – poeta zostawił list. „Trudno jest nie umrzeć, tylko żyć dalej”. Wszystko to było owiane tajemnicą. Majakowski miał problemy z władzami, które postanowiły ocenzurować niektóre z jego dzieł. W ostatnich czasach stał się obiektem brutalnych ataków, czego przykładem był ogłoszony w dzienniku „Prawda” krytyczny artykuł „O kapryсах lewactwa”, poświęcony jego sztuce *Łażnia*. Pisano tam, że „drobnomieszczańska inteligencja rewolucyjna, która dołączyła do proletariatu, kiedy jego zwycięstwo było już definitywne i dobrze umocnione, zaczyna się czuć solą ziemi. Inteligencja pozbawiona proletariackiej przeszłości i tradycji walki skłonna jest uważać się za bardziej lewicową, bardziej rewolucyjną niż sam proletariat. Nie ulega wątpliwości, że taką fałszywą, lewacką nutę słyszymy u Majakowskiego”. Poeta miał też za sobą kilka incydentów ulicznych, na przykład nieprzyjemne spotkanie z grupą studentów, którzy nawymyślali mu, bo nie rozumieli jego utworów.

– Kiedy umrę, będziecie mnie czytać ze łzami w oczach – odpowiedział im.

Ale wersja oficjalna – w którą nie uwierzyli przyjaciele Majakowskiego – mówiła o zawodzie miłosnym. Znosko-Borowski wyciągnął rękę, podając Siergiejowi ręcznie sporządzoną kopię listu, który Majakowski napisał przed odebraniem sobie życia strzałem w serce.

„Do wszystkich!

Nie przypisujcie nikomu winy za moją śmierć i, proszę, nie plotkujcie. Nieboszczyk okropnie tego nie lubił.

(...)

Lila – kochaj mnie. Towarzyszu Rządzie, moja rodzina – to Lila Brik, mama, siostry i Weronika Witoldowna Połowska. Jeżeli zatroszczysz się dla nich o jaką taką egzystencję – dziękuję.

Zaczęte wiersze proszę oddać Brikom, oni się połapią.

*Jak to się mówi*

*historia skończona*

*strzaskała się*

*łódka miłosna*

*o byt.*

*jesteśmy ze sobą*

*Więc co nam*

*po czczych wypominkach*

*bólów i krzywd?*

*Tym, co zostają – życzę szczęścia*''<sup>25\*</sup>.

– Tu nie chodziło o zawód miłosny, jak nam próbują wmówić. Majakowski nie popełnił samobójstwa. Wszyscy wiemy, że to nieprawda<sup>26</sup>.

W spojrzeniu Znosko-Borowskiego zawarta była wiedza, której jakby nie chciał werbalizować, ale Siergiej był zanadto poruszony niespodziewaną wiadomością, żeby uwierzyć, że ktoś może pozbawić się życia z powodu niepowodzeń artystycznych, nieuzasadnionych krytyk, manipulacji politycznych albo złamanego serca. Lina próbowała uspokoić nastroje i zdenerwowanie obu mężczyzn, oferując kawę, ale szybko zorientowała się, że jest to propozycja absurdalna, gdyż tak naprawdę potrzebna była wódka. Nalała jej i przyłączyła się do Siergieja i Znosko-Borowskiego, pijąc razem z nimi. Śmierć przyjaciela zawsze wstrząsa duszą, szczególnie gdy wiadomość przychodzi z daleka i nie ma możliwości objęcia i pocieszenia jego bliskich, nie można na nich nawet spojrzeć. A w ostatnich czasach takie sytuacje zdarzały się nadto regularnie.

Wiadomości od przyjaciół dotyczyły nie tylko śmierci Majakowskiego. Były też kolejne ostrzeżenia. „Nie przyjeżdżaj do Rosji. Nie przyjeżdżaj”. Niemniej jednak te głosy wydawały się dalekie i stłumione w porównaniu z innymi, które namawiały Prokofiewa do porzucenia Paryża i przeniesienia się do kraju ojczystego. Kolejny taki apel przywiózł dramaturg Aleksander Afinogienow, który przyjechał do Paryża na spotkanie z Prokofiewem niemal w rok po samobójstwie Majakowskiego, które miało miejsce 14 kwietnia 1930 roku. Towarzyszyła mu jego amerykańska żona, która przyjęła radzieckie ideały rewolucyjne za swoje, i to tak energicznie, że mogłaby robić wykłady samemu Stalinowi.

Obie pary porozumiały się natychmiast tak dobrze, że zaczęły obmyślać wspólne podróże po Francji. Propozycja, z którą przyjechał Afinogienow, dotyczyła całkiem nowej idei.

– Chciałbym, Prokofiew, żeby skomponował pan wraz ze mną nową operę, o której mówiliby wszyscy. Coś naprawdę wielkiego. Wielkie dzieło radzieckie, wobec którego publiczność zadrży, rozemocjonuje się i zerwie z miejsc, żeby bić brawo, jeszcze zanim utwór się skończy. Co pan na to?

Uśmiech Prokofiewa był odpowiedzią oczekiwaną przez Afinogienowa.

– Coś wielkiego tak, ale konstruktywnego, szalenie pozytywnego. Muzyka, której każda nuta będzie promieniować życiem. Nie chcę więcej dramatów. Podoba mi się ten pomysł. Popracujmy nad nim.

Dramaturg подарował Siergiejowi egzemplarz swojej sztuki *Strach*, co miało być szczególnym sposobem podpisania umowy.

Siergiej był wciąż zanadto skoncentrowany na swojej muzyce. Właśnie przygotowywał *III Koncert fortepianowy*, *Brzydkie kaczątko*, *Błazna i Syna marnotrawnego* dla scen Berlina, Wiednia, Pragi, Brukseli, Londynu, Warszawy, Nicei, Budapesztu, Amsterdamu, Barcelony, Madrytu, Valladolid, Casablanki, Bostonu, Chicago, Paryża... Chyba był zbyt zajęty, żeby odebrać sygnały ostrzegawcze. Świat leżał u jego stóp, a on potrafił myśleć tylko o tym, żeby dać się uwieść obietnicom płynącym z krainy skutej lodem.

– Kiedy przyjeżdżasz do Związku Radzieckiego, na początku masz wrażenie szarości, ale stopniowo pod tą szarą zasłoną zaczynasz dostrzegać interesujące i inspirujące twarze.

Te słowa Prokofiewa zawsze brzmiały bardziej czule i autentycznie, kiedy kompozytor w końcu ulegał swojej nostalgii i zaczynał stąpać po rosyjskiej ziemi. Linie podobał się melodyjny ton, którego nabierał głos jej męża w trakcie wizyt w Związku Radzieckim, takich jak ta w 1933 roku.

Siergiej przyjechał na czas, by móc obserwować potężny pochód pierwszomajowy na placu Czerwonym. Patrząc na entuzjazm ludzi, czuł, jak głowa wypełnia mu się nutami, które wyznaczają możliwy kierunek myślenia o nowej symfonii. Był w tym momencie nieświadomy prawdziwego dramatu, rzeczywistych wydarzeń dziejących się na ulicach Moskwy, gdzie realizowano oczyszczanie miasta z „elementów szkodliwych”, jak ich nazywał sam Stalin – czyli obywateli występujących przeciwko duchowi rewolucji i radzieckiemu porządkowi. Od wielu dni zatrzymywano i deportowano wszystkie osoby znajdujące się na ulicy bez paszportu lub innego dokumentu potwierdzającego tożsamość. Aresztowano nie tylko włóczęgów, ludzi bezdomnych, chłopów, którzy porzucili ziemię, uciekając przed głodem, szczególnie z Ukrainy, ale także tych uznanych przez partię za przykładowych obywateli radzieckich, którzy jednak wyszli kupić chleb czy papierosy albo odwiedzić przyjaciół i nie zabrali z domu dokumentów, ciężarne kobiety wracające od lekarza albo takie, które poszły po coś do apteki, podróżnych przejeżdżających przez Moskwę, włącznie z dziesięcio- czy dwunastoletnimi dziećmi, które siedziały na ławce na dworcu kolejowym, czekając, aż matka wróci ze sklepu, dokąd poszła kupić kawałek chleba na dalszą podróż. Wszyscy ci ludzie znaleźli się na ulicy bez dokumentów i był to dostateczny powód, żeby ich uznać za zatwardziały przestępców i deportować. Takie przynajmniej było kryterium stosowane przez funkcjonariuszy państwa policyjnego, w jakie zamienił się Związek Radziecki. Pracowników aparatu policyjnego interesowało jedynie wypełnienie normy zatrzymań i wysiedleń, nałożone na nich przez stalinowski rząd. Siergiej nie wiedział, że w tym samym czasie, w maju 1933 roku, kiedy on obserwował morze czerwieni na placu Czerwonym podczas pochodu, miały miejsce drastyczne wydarzenia stanowiące część polityki masowych deportacji: zatrzymano

ponad sześć tysięcy ludzi, mężczyzn i kobiet, a ojczyzna-matka oskarżyła ich o to, że stanowią „element klasowo obcy i społecznie szkodliwy”. Wywieziono ich w okolice Tomsku na Syberii i pozostawiono własnemu losowi, wydając na pastwę głodu. W to potworne wydarzenie trudno było uwierzyć nawet komisji śledczej powołanej we wrześniu 1933 roku w rezultacie doniesienia instruktora partyjnego z Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), Wassilija Wieliczki<sup>27</sup>. Część tych ludzi, powodowana głodem, którego nie były w stanie zaspokoić mikroskopijne racje mąki i wody wydawane przez strażników, postanowiła zabić innych, szczególnie młode kobiety, i pożywić się ich ciałami. Zdarzały się przypadki, że nie czekano nawet na śmierć tych osób. Wycinano im mięśnie, piersi, najdelikatniejsze części ciała, organy wewnętrzne, jak wątroba albo płuca, i pieczono je albo zjadano na surowo. Znalezione tam kawałki ludzkiego mięsa owinięte w szmaty, zawieszane na drzewach albo zakopane w ziemi blisko brzegu rzeki. Wyspa Nazino zmieniła nazwę na bardziej odpowiednią i przerażającą: Wyspa Kanibali.

Do Siergieja docierały różne wieści i pogłoski o represjach, ale postanowił skoncentrować się na swoim świecie, którego trzymał się uparcie, chcąc pozostać z dala od innych, zewnętrznych światów, od polityki, plotek, od wszystkiego, co nie było muzyką.

Lina przyjechała do Moskwy kilka tygodni później, długo wyczekiwana przez męża, który niecierpliwił się, chcąc być już razem z nią. Kierując się do hotelu, gdzie zostawił żonę parę godzin wcześniej, żeby się szykowała na wieczorne przedstawienie w teatrze Bolszoj, zastanawiał się, czy powtarzać jej historie, które w ostatnich tygodniach opowiadało mu wiele osób: o zniknięciach, zatrzymaniach i o polityce deportacji. Postanowił tego nie robić. Nie chciał jej martwić. Będzie jeszcze czas, żeby odbyć tę rozmowę, kiedy wszystko się uspokoi.

Lina wybrała na wieczór elegancką, choć prostą, czarną suknię, dzieło swojej przyjaciółki Coco Chanel. Ta kreacja budziła podziw wszystkich, którzy ją widzieli. Na suknię opadały nieodłączne sznury pereł, z którymi Lina niemal się nie rozstawała. Był to jej ulubiony dodatek, podobnie jak w przypadku projektantki stroju. Lina mieściła się idealnie w standardach kobiety – klientki Coco: była szczupłą, kobiecą i elegancką. Wiedziała, że wiara Chanel w jej czarną kreację – *la petite robe noire* – jest absolutna i nie dopuszcza możliwości klęski.

– Ta prosta, czarna sukienka okaże się bardziej rzeczywista niż czas i przestrzeń – powiedziała jej kiedyś wielka projektantka, parafrazując słowa Prokofiewa o jego własnej muzyce.

Lina była przekonana, że oba proroctwa są prawdziwe. Niechętnie zostawiła w hotelu swój nowy nabytek od Chanel – praktyczną i elegancką torebkę z wytłaczanej skóry, na długim pasku przewieszanym przez ramię, zaprojektowaną przez Coco trzy lata wcześniej. Ale ta okoliczność wymagała torebki w innym stylu, mniejszej, która zajęłaby jej ręce, a jednocześnie pozostawiła dość swobody, żeby móc się witać i podawać dłoni do ucałowania. Lina nie wiedziała za dobrze, jaki rodzaj spektaklu mają obejrzeć, ale Siergiej wydawał się rozemocjonowany możliwością wysłuchania nowych i młodych talentów radzieckiej muzyki. Zdjęła elegancki płaszcz wcięty w tali i podkreślający walory jej

sylwetki, ramion i pleców. Dobrze się czuła w czarnej sukience. Mogła wybrać na ten wieczór kreację Niny Ricci, która właśnie niedawno otworzyła sklep w Paryżu. Ale Coco to jednak Coco. Pewny koń. Po co ryzykować? Lina czuła, że ludzie się jej przyglądają, i sprawiało jej to przyjemność. Od jej skóry, nieco przybrązowanej – częściowo z natury, a częściowo za sprawą słońca – bił piękny blask. Dodatkowo miała nałożony idealny makijaż. Wyróżniał się karminowy kolor warg oraz falujące włosy, obrysowujące doskonały owal twarzy. Czuła lekki dreszcz. W sali teatru Bolszoi było nieco chłodno, ale Lina nie przestawała się uśmiechać. Jej oczy koloru sadzy rozejrzały się po wszystkich zakątkach teatralnego wnętrza, aż natrafiły na spojrzenie, które jak ostry nóż przeszło jej serce i sprawiło, że twarz jej całkiem znieruchomiała.

Kilka minut wcześniej w holu teatru słyszała, jak ktoś mówił coś o możliwej obecności Stalina na przedstawieniu. Nie wierzyła w te pogłoski, często bowiem można je było usłyszeć, a rzadko się urzeczywistniały. Niemniej jednak tego wieczoru groźba się wypełniła. Sylwetka Stalina pojawiła się nieoczekiwanie w głównej loży teatru, położonej naprzeciw sceny. Przez kilka sekund Lina nie spuszczała z niego wzroku. Pojedynkę spojrzeń zakończył się jednak triumfem Człowieka ze Stali. Żadne inne miano nie pasowało tak dobrze do noszącej je osoby<sup>28</sup>. Lina była poruszona przeszywającym ją spojrzeniem. Musiała odwrócić wzrok, czuła się, jakby wymierzono jej głośny policzek. Przez kilka chwil nie była zdolna do jakiegokolwiek reakcji. Miała wrażenie, że ktoś chlusnął jej kwasem w oczy. Nie umiała wyjaśnić, co się z nią dzieje. Poczowała pot pokrywający jej plecy. Potarła jedną dłonią o drugą. Były zimne jak tamto spojrzenie, przed którym uciekła. Nie miała takiej umiejętności jak Siergiej, który potrafił nie przejmować się znakami. Lina poczuła drżenie serca. Spojrzała w lewo, mając nadzieję, że tym razem napotka bliskie jej spojrzenie męża. Ale niebieskie oczy Prokofiewa były zwrócone w inną stronę, na scenę – jak zawsze.

Tamtego wieczoru Józef Stalin znał już rezultaty prac komisji śledczej utworzonej we wrześniu 1933 roku w celu wyjaśnienia zdarzeń, które rozegrały się na wyspie Nazino, gdzie spośród sześciu tysięcy deportowanych zmarły cztery tysiące. Może dlatego spojrzenie Stalina było tak zimne: nie było już w nim śladów życia.

Nie był to jedyny przypadek, kiedy małżeństwo Prokofiewów przyjmowało płynące ze Związku Radzieckiego zaproszenia: do występów w salach koncertowych, do udziału w wieczorach muzycznych czy w konkursach dla młodych rosyjskich talentów organizowanych przez dziennik „Prawda”. Odbywali krótkie podróże, trwające nie dłużej niż dwa czy trzy tygodnie, dzięki czemu łatwiej je było wpasować w normalny rytm pracy. W końcu nadeszła oferta specjalna: chodziło o spędzenie lata 1935 roku w Polenowie, w domu wypoczynkowym należącym do teatru Bolszoi. Dostęp do tego miejsca mieli najwybitniejsi rosyjscy artyści. Wydawało się, że to dobry pomysł, na dodatek przekazany w sprzyjającym momencie. Siergiej miał tam okazję odpocząć, chodzić na długie spacery, pływać w rzece Oca, grać w szachy, tenisa, siatkówkę, poświęcać najdogodniejsze godziny dnia na komponowanie nowego baletu *Romeo i Julia*. Wykorzystywał też okazję, żeby napić się herbaty i wieść ciekawe rozmowy z przebywającymi w tym samym miejscu kolegami, przede wszystkim z Szostakowiczem, który wydawał mu się jednym z najbardziej utalentowanych

kompozytorów z najciekawiej rozwijającą się karierą.

Lina przybyła nieco później. Jej ojciec niedawno zmarł, po kilku miesiącach cierpień związanych z problemami kardiologicznymi i zagrażającą mu ślepotą.

Propozycja spędzenia w Polanowie letnich wakacji w 1935 roku nadeszła od oficjalnych instytucji muzycznych Moskwy, a przekazał ją Afinogienow. Chodziło o to, żeby Prokofiew mógł się przekonać, jak przepelnione spokojem i w pełni wolne byłoby jego życie, poświęcone twórczości artystycznej, gdyby zechciał przenieść się na stałe do Związku Radzieckiego. W tym celu przygotowano specjalnie dla niego domek oddalony dostatecznie od głównego budynku ośrodka wypoczynkowego, żeby kompozytor mógł korzystać z niezależności i niezbędnej ciszy. Dom pomalowano na biało, urządzone nowymi meblami i zadbano o to, żeby niczego nie zabrakło w spiżarni, szczególnie truskawek i świeżego mleka, które stanowiły prawdziwe przysmaki Siergieja.

– Tutaj wszystko smakuje bardziej intensywnie, bardziej autentycznie – mówił, wpatrując się w wody Oki, płynącej tuż obok małego domku. Nie żałowano niczego: zadbano o wszystkie szczegóły, dołożono wszelkich starań, byle tylko zdobyć aprobatę geniusza z Soncowki, wyczekiwaną od tak dawna.

– Ależ nad czym ma się pan jeszcze zastanawiać? Czy pan nie widzi, co się dzieje na świecie? Więc ja panu powiem: za chwilę to wszystko wybuchnie. – Jeden z ważnych funkcjonariuszy partyjnych przybył pospiesznie do ośrodka wypoczynkowego, żeby spędzić popołudnie z Prokofiewem, w towarzystwie Liny i Afinogienowa. – Rozumiem, że w 1927 roku myślał pan, że w Paryżu jest lepsze życie. Ale niech pan spojrzy, jak Zachód gnije. Od 1929 roku, kiedy Stany Zjednoczone zaraziły świat swoim wielkim kryzysem, Europa nie jest w stanie podnieść głowy. W pana ukochanej Francji, Prokofiew, w dwa lata powstało pięć rządów. I to chyba ciągle mało, skoro Francuzów nadal dusi inflacja. Czy pan nie widział mas pracujących na ulicach, wykorzystujących prawo do strajku? Setki tysięcy, sądzę, że nawet miliony robotników wyszły protestować i sparaliżowały Francję. Taka jest siła proletariatu. Prokofiew, już niewiele czasu trzeba, żebyśmy usłyszeli krzyk francuskich mas pracujących domagających się rządu socjalistycznego. To może nastąpić już niedługo. Mam informacje, że komuniści francuscy poprą socjalistów, chociaż by nie drażnić zanadto burżujów, postanowili nie nacjonalizować banków i uszanować własność prywatną. To jedyne, co mi trochę zgrzyta, jeśli chodzi o Francję, ale myślę, że zgodne z przyjętą strategią. Nie wszystkie rewolucje mogą stosować te same metody! Proszę zapamiętać to nazwisko: Leon Blum. Ten socjalista będzie kiedyś szefem Republiki Francuskiej.

– Wydaje się, że widzi pan to bardzo klarownie – skomentował te słowa Siergiej, który zaczynał czuć się trochę niezręcznie, słuchając tej analizy wysłannika politycznego, choć musiał przyznać, że w jego słowach dopatrzeć się można logiki. – Ale coś podobnego słyszałem od przyjaciela, który snuł prognozy dla Wielkiej Brytanii, kiedy w 1926 roku kraj był unieruchomiony przez strajk generalny. Niektórzy przewidywali, że wybuchnie tam rewolucja, a jednak tak się nie stało.

– Bo Anglicy, ze swoją herbatką o piątej po południu, ciasteczkami i polowaniem na lisa, są za bardzo burżujscy, żeby przeżyć rewolucję. Imperium brytyjskie jest zbyt ociążałe i zanadto błyszczący złotem swoich skarbów, żeby mogły je utrzymać ręce mas



pracujących. Czy pan nie zna Anglików? Odnosił pan triumfy w Londynie, więc powinien pan wiedzieć, o czym mówię. Oni są za bardzo elastyczni, chociaż sami, jako dobrzy kapitaliści, nazywają tę cechę brytyjską flegmą. Dlaczego zrywamy z nimi stosunki dyplomatyczne? Nie wierzy pan w afery szpiegowskie? Jaki normalny naród zaprzecza posiadaniu szpiegów wśród narodów zaprzyjaźnionych i wrogich? Czy jesteśmy wariatami?

– Nie wiem. Nie rozumiem polityki. Jeśli chce pan znać prawdę, polityka nie za bardzo mnie interesuje. Ważna jest dla mnie tylko muzyka.

– Ale polityka w XX wieku to czysta muzyka, Prokofiew, przyjacielu! Trzeba tylko przystanąć i posłuchać, jak Europa ryczy. Jeśli się trochę wyostrzy słuch, człowiek zdaje sobie sprawę, że to również czysta matematyka, a obie te rzeczy dobrze rozumiemy w Związku Radzieckim. To proste: w obliczu faszystowskiego zagrożenia ze strony tego szaleńca Hitlera jedyny wybór to komunistyczny zdrowy rozsądek towarzysza Stalina, który z pewnością jest świadomy tego, czego pragnie lud, i nawet nie musi go o to pytać. To kwestia przyjęcia odpowiednich postaw. I wiedzą to wszyscy w Europie oraz w pozostałych częściach świata. Oczekuję tylko jednego: że określając swoje stanowisko, odrzuci pan wezwanie do nowej wojny światowej. Nie sędzę, żeby ktokolwiek był do niej przygotowany. A Francja szczególnie.

– Powtarzam, że nie znam się na polityce, jestem poza tymi sprawami, jak pan pewnie dobrze wie – upierał się Siergiej. Rozmowa zaczynała być męcząca. Może i uzna tę analizę sytuacji politycznej za słuszną, ale chciałby to zrobić w gronie przyjaciół, we własnym najbliższym kręgu, a nie wobec przedstawiciela partii, z którym nie łączyło go nic poza paroma spotkaniami.

– W pani kraju, pani Prokofiew, też nie ma spokoju. Od trzech lat pewien region na północy Hiszpanii, Asturia, zadziwia nas, ludzi radzieckich. Godność, z jaką tamtejsza klasa robotnicza przyłączyła się masowo do strajku, zagłębienie węglowe, które rzuca wyzwanie władzy demonstracjami politycznymi, zebraniem, manifestacjami i strajkami... Proszę wybaczyć – dodał, zwracając się do Liny z takim samym wyrazem troski, z jakim zaczął swoją przemowę. – Czy ja panią nudzę albo martwię?

– Po prostu mnie pan zaskakuje. Najwyraźniej jest pan człowiekiem świetnie poinformowanym.

– Człowiek poinformowany to człowiek mający władzę. Zawsze odniesie zwycięstwo nad takim, który woli nie zagłębiać się w to, co się dzieje. Proszę o tym nigdy nie zapominać.

Siergiejowi i Linie nie trzeba było nic więcej, żeby uznać obecność tego człowieka za niepożądaną. Przestali go słuchać. Zaczęli go mieć naprawdę dość, z jego ciągłym napominaniem, czego nie powinni zapomnieć. Żadne z nich nie rozumiało, dlaczego wysłano tak aroganckiego człowieka z misją przekonania ich do ostatecznego powrotu do Związku Radzieckiego. Można było pomyśleć, że chciano osiągnąć wręcz przeciwny efekt.

Na dodatek ten ważny działacz partyjny, znawca maksymy, że informacja oznacza władzę, zapomniał opowiedzieć o zabójstwie członka Biura Politycznego, Siergieja Kirowa, akurat w momencie, kiedy jego nazwisko zabrzmiało głośno w ustach

generalnego sekretarza partii i kiedy Kirow zaczynał się sprzeciwiać niektórym decyzjom Józefa Stalina. Ten ostatni wykorzystał zabójstwo do wydania dekretu eliminującego prawo do obrony w procesie sądowym i otwierającego drogę do przeprowadzania niesławnych czystek charakterystycznych dla okresu wielkiego terroru. Partyjny dygnitarz zapomniał też powiedzieć o wyrzuceniu Lwa Trockiego z partii i ze Związku Radzieckiego, o jego życiu na wygnaniu w Turcji i we Francji, o dziwnym samobójstwie Majakowskiego czy o zatrzymaniu i zesłaniu na Ural rosyjskiego poety Osipa Mandelsztama – za to, że wyrecytował grupie przyjaciół wiersz o Stalinie, w którym najostrzejsze słowa brzmiały: „Śmieją się karalusze wąsiska”\*. Mandelsztam ani trochę się nie przestraszył; odwołując się do gorzkiej ironii, stwierdził, że nigdzie na świecie nie ceni się poezji tak jak w Rosji, gdzie nawet rozstrzeliwuje się za nią ludzi.

Wydawało się, że o tym wszystkim nie był poinformowany partyjny emisariusz, który zjawiał się w domu wycieczkowym teatru Bolszoi z misją przekonania Prokofiewów, żeby wrócili na stałe do Rosji i w niej zamieszkali.

Pomimo wszystkich sygnałów ostrzegawczych idea powrotu zapuszczała coraz mocniejsze korzenie w umyśle Prokofiewa. Wszystko działo się w jego wnętrzu z podobną prędkością, z jaką czarny czwartek na Wall Street, 24 października 1929 roku, rujnował najpotężniejsze narody świata, szczególnie te zależne od amerykańskich pożyczek. Francja też nie pozostała na uboczu tych zjawisk. Światła Paryża przygasaly, co było jasnym sygnałem, że zabawa, która zaczęła się na początku lat dwudziestych, za chwilę się skończy. Wszystko wskazywało na to, że spektakl dobiega końca. Atmosfera stawała się coraz bardziej duszna; doszło do tego, że dotknięci kryzysem Francuzi zaczęli mniej życzliwym okiem spoglądać na cudzoziemców prowadzących w ich kraju przyjemny tryb życia, podczas gdy oni sami zmierzali ku ruinie.

Wszyscy wydawali się patrzeć na świat – i także na Prokofiewa - mniej życzliwym okiem. Chyba nadeszła chwila, żeby wracać do domu. Oczywiście nie była to decyzja łatwa ani tym bardziej wolna od zaniepokojenia. Ale nie pierwszy już raz kompozytor stał przed podobnym postanowieniem. To samo czuł, kiedy postanowił opuścić Stany Zjednoczone, żeby zainstalować się w Paryżu, i to nie tylko za sprawą przekonujących słów Rubinsteina, który twierdził, że francuska stolica jest miejscem, w którym w owym czasie należało być. Raczej chodziło o wrażenie, że Ameryka, kraj tysiąca możliwości, nagle stała się dla niego za mała, że dała Siergiejowi już wszystko, co dać mu mogła, i że przyszedł czas, by zrobić kolejny krok w karierze artystycznej, o ile chciał uniknąć stagnacji – a jej muzyk szczególnie się lękał. Myślał o tym dużo, spędzał na tym całe bezsenne noce, próbując wymyślić najlepsze rozwiązanie. Nie zawsze dzielił się tymi rozważaniami z Liną, bo chciał być pewien swojego zdania, zanim miał jej cokolwiek zaproponować. Na dodatek wątpliwości były dla niego torturą. Do tej pory wszelkie większe zmiany w jego życiu kończyły się sukcesem. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Co mogło się nie udać? To pytanie nieustannie dźwięczało w jego głowie. Dlaczego nie miałby wracać do domu? Wszyscy to robili, kiedy nasilały się spadające ciosy, przynajmniej ci, którzy mieli taką możliwość – a przed nim stała ona otworem od lat. Dziwiły go ostrzeżenia Strawińskiego, który nie rozumiał jego pragnienia powrotu do ojczyzny.

– Ale co też ktoś taki jak ty miałby robić w Rosji w 1936 roku, czego nie mógłby robić w Paryżu albo w jakimkolwiek innym miejscu świata?

Jednak Siergiej nadal tkwił w tym samym przekonaniu, któremu dał wyraz w wywiadzie dla nowojorskiego „The Music Courier” z 18 marca 1920 roku, mówiąc o tym, co stanowiło istotę Prokofiewa: „Wierzę w swoje własne teorie dotyczące opery. Zawsze chcę być oryginalny, nie mam ochoty przebierać się w cudze stroje. Zawsze chcę być sobą”. Nie powiedział wtedy nic o istocie Rosjanina.

Kiedy wrócili do Paryża, zdarzyły się dwie sytuacje zwracające szczególną uwagę Liny. Głównym bohaterem obu był Siergiej. Linę zdziwiło, kiedy po jednym z przyjęć, które zorganizowali w domu pod numerem 5 przy rue Valentin Haüy, goszcząc między innymi Rubinsteina, Ravela, Poulenca i Strawińskiego, Siergiej zaczął się otwarcie skarżyć, że takie wydarzenia mają zanedbany burżuazyjny charakter. Nigdy wcześniej nie słyszała z jego ust podobnych deklaracji. Nigdy też Siergiej nie reagował niechęcią na organizowane w domu kolacje, przeciwnie: takie spotkania zawsze go bawiły. Co prawda od czasu, kiedy zabrakło Diagilewa, nie były one już tak wesołe, ale Lina nie uważała tego za wystarczający powód, by je potępiać.

Nie wiedziała, czy jej mąż rzeczywiście zmienia zdanie, czy po prostu z inną wrażliwością reaguje na rzeczywistość radziecką, na którą bez wątpienia patrzył teraz innymi oczami: widać w nich było emocje, kiedy w rozmowie padało słowo „ojczyzna”. Pewnego popołudnia poszli obejrzeć film *Chłopki z Riazania*. W pogrążonej w ciemnościach sali Siergieja bardzo poruszyły widoki typowych rosyjskich pejzaży, szczególnie łąny zboża. Lina zobaczyła, jak jej mąż powstrzymuje cisnące mu się do oczu łzy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie potrafił zapłakać w obliczu śmierci Diagilewa czy Majakowskiego, a teraz doprowadzają go do łez łąny zboża. Ale reakcje emocjonalne nie poddają się kontroli i nie zwykły kierować się logiką. Lina wiedziała, że kolejna podróż do Związku Radzieckiego nastąpi wcześniej, niż się spodziewała.

– Ale mnie się Paryż podoba – powiedziała, słysząc w końcu z ust Siergieja propozycję ostatecznej przeprowadzki do Związku Radzieckiego.

– Ale ja ci się podobam bardziej...

Siergiej przyjrzał się żonie. Była zamyślona, jego słowa wywarły na niej wrażenie, choć nie tak silne, jak mogła oczekiwać, gdyż już od pewnego czasu przeczuwała, co się dzieje w głowie jej męża. Nie mogła ukryć, że ta propozycja wypełniła ją troską. Czymś innym było podróżowanie do Moskwy w ramach chwilowych zobowiązań zawodowych, a czymś całkiem innym przeniesienie tam na stałe swojego domu. Siergiej rozumiał, że powinien powiedzieć coś więcej, żeby zetrzeć z twarzy żony wyraz zatroskania.

– Chciałbym, żebyś wiedziała jedno: bez twojego błogosławieństwa nie zrobię ani kroku, żeby osiedlić się w Moskwie. Albo z tobą, albo w ogóle. Jesteś moim światem. Ty i dzieci. Wy jesteście moim prawdziwym domem, z którego nie chcę wychodzić, w jakimkolwiek miejscu na ziemi by to było. Decyduj, Lino. Zrobimy to, co będziesz chciała.

Stała przed zbyt wielką odpowiedzialnością. Nie chodziło o to, że przeraża ją podjęcie decyzji, ale potrzebowała bardzo starannego namysłu, bo czekał ich trudny krok. Opinia matki nie mogła na nią wpływać. Logiczne było, że Olga woli mieć córkę blisko

siebie, tym bardziej że przysięgała sobie tysiące razy, że nigdy nie wróci do Rosji.

– Mamo, będziemy przyjeżdżać, żeby cię zobaczyć. Nie będziemy mieli żadnych problemów z podróżowaniem. Wolność przemieszczania się to była pierwsza rzecz, której zażądał Siergiej od władz radzieckich. Zapewnili go, że będziemy ją mieli.

Lina bardziej myślała o swoich synach, o tym, jak decyzja jej i Siergieja zmieni ich życie. Postrzegala to jako coś pozytywnego. Dzięki temu na pewno nauczą się rosyjskiego, co niewątpliwie może im się kiedyś przydać. Czasami miała wrażenie, że zamiast rozważać wszystkie za i przeciw, szuka raczej argumentów uzasadniających podróż, potwierdzających jej zasadność. Z poprzedniego pobytu w Związku Radzieckim dwa lata wcześniej pamiętała twarde spojrzenie Stalina w sali teatralnej; przypominała sobie, jak pod wpływem tych oczu ze stali czuła się zmuszona odwrócić wzrok. Ale jeszcze silniejsze było wspomnienie emocji widocznych w błękitnych oczach Siergieja patrzącego na widoczne na wielkim ekranie pola porośnięte żytem. Ufała raczej swojemu sercu niż intuicji, choć ta rzadko ją zawodziła.

– Jedziemy do Rosji.

Lina na całe życie zapamiętała, jak długo i niespiesznie całował ją Siergiej, kiedy usłyszał jej ostateczną decyzję. Od dawna już nie całowali się z taką intensywnością. Potwierdzało to, jak ważna była ta podróż dla jej męża i jak bardzo oczekiwaną decyzję podjęła. Modliła się, żeby to była decyzja słuszna.

<sup>25</sup> List pisany 12 kwietnia 1930 roku, dwa dni przed śmiercią Majakowskiego.

<sup>26</sup> Okoliczności śmierci Majakowskiego do dziś nie zostały jednoznacznie wyjaśnione.

<sup>27</sup> Dokumenty komisji śledczej badającej wydarzenia na wyspie Nazino na Obie opublikowano w Rosji dopiero w 2002 roku.

<sup>28</sup> Josif Dżugaszwili przyjął pseudonim „Stalin” w 1912 roku, w wieku trzydziestu czterech lat.

# CZEŚĆ TRZECIA

---

## *Moskwa*

Ale wiedziałeś, że zawsze będzie wiosna, tak jak wiedziałeś, iż rzeka popłynie znowu, kiedy odtaje. Gdy zimne deszcze trwały i zabijały wiosnę, było to tak, jak gdyby ktoś młody umarł bez przyczyny.

Jednakże wówczas wiosna zawsze przychodziła, ale było przerażające, że o mało nie zawiodła.

ERNEST HEMINGWAY, *Ruchome święta\**

Moskwa stała się miastem milczenia.

Innego milczenia niż to, którego pragnął Siergiej, odrzucając propozycję zamieszkania w zaferowanym przez władze partyjne apartamencie w budynku Związku Kompozytorów. Cały gmach zajmowali rosyjscy muzycy. A on potrzebował milczenia i ciszy, żeby nuty składające się na partyturę *Romea i Julii* zdołały wydostać się na światło dzienne. Nie potrafił komponować, słuchając muzyki innych, potrzebował niezależności, samotności, głębokiego zanurzenia się w siebie – zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Nie miał ochoty na zatłoczoną przestrzeń wspólną, żądał własnego terytorium, odizolowanego od wszelkiego zewnętrznego hałasu. Krótko mówiąc, wymagał tego, co mu kilkakrotnie obiecywano: wszystkich wygod niezbędnych do komponowania. W 1936 roku rozkazy brzmiały: świeżo odzyskanego kompozytora Siergieja Prokofiewa utrzymywać w stanie zadowolenia. I rozkazy te były wypełniane. Przynajmniej na razie.

Ulokowali się w rozległym, nowoczesnym mieszkaniu przy ulicy Czkałowa, co było przywilejem budzącym zazdrość wielu ludzi. Na początek Lina zleciła wytłumienie pokoju, w którym Siergiej zamykał się na długie godziny, żeby komponować. Cisza stała się jego obsesją. Doszło do tego, że synowie musieli chodzić po domu na palcach, kiedy tata pracował. Jakikolwiek hałas potrafił wytrącić go z równowagi i uniemożliwić koncentrację.

Natalii Satz sposób, w jaki chłopcy poruszali się po mieszkaniu, wydawał się zabawny. Wyglądali jak tancerze rosyjskiego baletu.

– Nadawaliby się do najlepszych przedstawień Ballets Russes Diagilewa.

Nazwisko jednego z najbliższych przyjaciół poruszyło emocje Liny.

– Czy dobrze się pani czuje? Uraziłam panią?

– Nie. Tylko te wspomnienia... Ale wróćmy do pani projektu – powiedziała Lina, biorąc się w garść zdecydowanie i szybko, jak to zwykła była zawsze robić, zresztą ku zdumieniu swojego męża. – Koncert przeznaczony dla dzieci? Brzmi dobrze, choć trochę to skomplikowane.

Natalia wydawała jej się fascynującą kobietą. Była nauczycielką muzyki, osobą niespokojnego ducha. Miłość do sceny odziedziczyła częściowo po swoim ojcu, kompozytorze Ilii Satzu, twórcy muzyki do bajki *Niebieski ptak* Maurice'a Maeterlincka. Ojciec Natalii pracował z Meyerholdem i Stanisławskim, a ona sama założyła Dziecięcy Teatr Muzyczny. Była szczęśliwa, mogąc pracować dla dzieci, i było to po niej widać. Na Linie robiło też wrażenie, że Natalia jest żoną Michaiła Tuchaczewskiego, zwanego Czerwonym Marszałkiem, jednego z najwybitniejszych dowódców służących w armii Stalina. W 1925 roku Tuchaczewski, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, został awansowany na szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Przyglądając się Natalii – siedzącej w jej salonie, popijającej z filiżanki herbatę waniliową i rozmawiającej z nią o projekcie, w który chciała też wciągnąć Prokofiewa – Lina pomyślała, że ta energiczna kobieta potrafi osiągnąć to, co sobie zamierzy, choć wykorzystuje przy tym wyłącznie własną łagodność. Linę wprawiał w zachwyt pomysł Natalii, żeby od małego uczyć dzieci

miłości do teatru i muzyki. Pamiętała jeszcze entuzjazm na twarzy Światosława, kiedy po raz pierwszy usłyszał ojca występującego na scenie. Chciała, żeby ten sam wyraz pojawiał się na buziach wszystkich dzieci – a jeśli ktokolwiek mógł się do tego przyczynić, to był to Siergiej Prokofiew.

– Proszę przekonać męża. Wiem, że tylko pani może to zrobić.

– Przypisuje mi pani władzę, której nie mam. – Lina z fałszywą skromnością skomentowała słowa rozmówczyni.

– Ależ tak, ma ją pani i dobrze pani o tym wie. Dlatego przyszłam i rozmawiam z panią, a nie z nim.

I Lina przekonała go, choć nie bez początkowego oporu ze strony Siergieja, który pracował nad wieloma projektami naraz. Od czterech miesięcy komponował muzykę do *Piotrusia i wilka*. Chciał, żeby dzieci nauczyły się rozróżniać instrumenty w orkiestrze symfonicznej. Każdej postaci bajki odpowiadał inny dźwięk: Piotrusiowi – instrumenty strunowe, wilkowi – trąbka, dziadkowi – fagot, myśliwym – perkusja, kotu – klarnet, ptak miał być fletem, a kaczuska – obojem. Linę bardzo poruszał ten utwór. Nie mogła uwolnić się przy nim od wspomnień o babci Karolinie, która swojej wnuczce opowiadała bajki wprawiające dziecko w poczucie prawdziwego szczęścia. Szczególne emocje budziła w Linie postać Piotrusia – chłopczyka, który zbesztany przez dziadka za to, że wyszedł sam z domu i naraził się na pożarcie przez groźnego wilka terroryzującego mieszkańców wioski, odpowiada, że jest odważny, nie boi się i potrafi zwyciężyć wilka – inaczej niż niektórzy z jego przyjaciół, na przykład kacuszka, która skończyła w brzuchu dzikiej bestii. Lina oddychała głęboko, próbując odegnać urojenia, które podsuwały jej rozmaite analogie do miejsca, w którym teraz żyli. „To tylko bajka” – myślała, nie mogąc jednak zapomnieć, że niektóre bajki czasem stają się rzeczywistością.

Po wysłuchaniu odgłosów kolejnego sukcesu, potwierdzonego oklaskami publiczności, dobrymi recenzjami i wysypem kontraktów na wystawienie *Piotrusia i wilka* w wielu miejscach świata, Prokofiew znów zamknął się w swoim gabinecie w wyłącznym towarzystwie fortepianu. Lina lubiła siadywać przed drzwiami tego magicznego pomieszczenia i słuchać pierwszych dźwięków nowych kompozycji Siergieja. W tych czterech ścianach jej mąż czuł się szczęśliwy i pewny, był silny, ufny, odgradzony od wszystkiego. Wychodził stamtąd tylko po to, żeby spotkać się z przyjaciółmi albo pójść na jakieś przedstawienie. Cieszyły go liczne kontakty z rosyjskimi artystami – malarzami, muzykami, aktorami, tancerzami, reżyserami filmowymi, pisarzami. Widywał się z osobami, które przy różnych okazjach spotykał w domach wypoczynkowych udostępnianych przez władze ludziom sztuki, żeby mogli odpoczywać i tworzyć. Prokofiewowie lubili rozmawiać z Dymitrem Szostakowiczem, słynną tancerką Galiną Ułanową, dramaturgiem Aleksandrem Afinogienowem, reżyserem teatralnym Aleksandrem Tairowem czy reżyserem filmowym Siergiejem Eisensteinem, który zaproponował Prokofiewowi skomponowanie muzyki do filmu *Aleksander Newski*. Wszyscy byli skupieni pod sztandarem sztuki, choć niektórzy demonstrowali także przywiązanie do innych wartości, własnych lub narzuconych, co zresztą w Związku Radzieckim połowy lat trzydziestych nie było łatwe do odróżnienia. Jedną z takich osób był pisarz i poeta Borys Pasternak, do którego Lina czuła wyraźną

słabość. Oboje mieli dla siebie wzajemnie wiele emocji i podziwu, które przekładały się na wielogodzinne rozmowy pełne śmiechu i zwierzeń. Relacja między nimi stawała się coraz bardziej szczerą i bliską, nie niszczył jej ani trochę upływ czasu. To zbliżenie między przyjaciółmi nie wywoływało zazdrości Siergieja, który był już przyzwyczajony do podbojów swojej żony i traktował je jako powód do dumy i uśmiechu.

Czasami Lina miała wrażenie, że jej życie wygląda całkiem inaczej niż losy innych ludzi. Doszła do wniosku, że serce Siergieja bije w tonacji D-dur, tak jak jego *I Koncert skrzypcowy* – i tak samo brzmi jej świat, jej marzenia i sekrety. Całe jej życie dźwięczało w D-dur. Lina w tych rozważaniach niewiele się pomyliła.

Prokofiew był specjalistą w ignorowaniu zewnętrznych dźwięków. Być może to właśnie ta wybiórcza głuchota uniemożliwiła mu usłyszenie pierwszych nut groźnej muzyki, która tamtego roku zaczynała rozbrzmiewać w Związku Radzieckim i której tematem były czystki, nieuzasadnione aresztowania, przymusowe deportacje i fałszywe oskarżenia.

Stalin uważał, że artyści – w szczególności pisarze i muzycy – byli inżynierami dusz ludzkich. Jeśli uda się ich podporządkować, uda się też zapanować nad społeczeństwem. Podjął więc wojnę z czymś, co nazywano dawnymi elitami – a więc ze wszystkimi intelektualistami i artystami, którzy nie pasowali mu do wspólnoty zdefiniowanej nie tyle przez ideały rewolucyjne, ile przez stalinowski ideał kultu jego własnej osoby.

Pierwsza bitwa, którą stoczono w ramach wojny z dawnymi elitami, rozegrała się na trzeciej stronie dziennika „Prawda” z 28 stycznia 1936 roku, dzień po premierze opery Dymitra Szostakowicza *Lady Makbet mceńskiego powiatu*. Józef Stalin przyszedł na spektakl i wyszedł bardzo zdegustowany tym, co zobaczył – a raczej tym, co zdawało mu się, że zobaczył. Być może chodziło o fragment, w którym w satyryczny sposób ukazano skorumpowanych polityków, albo o to, że Katarzyna została przedstawiona jako ofiara systemu, która znajduje ratunek w miłości. A może zadecydowała poruszająca scena samobójstwa lady Makbet w drodze do obozu czy też końcowy akt, w którym chór skazańców reprezentuje mądrość ludu w epoce czystek. W każdym razie żelazne spojrzenie Stalina wydało wyrok na przedstawiany utwór. Nakazano wstrzymanie spektakli. Na nic się zdały sukcesy, które opera Szostakowicza od 1934 roku odnosiła w Londynie, Sztokholmie, Nowym Jorku, Pradze, Cleveland i Zurychu, nic nie pomógł fakt, że odbyły się już osiemdziesiąt trzy pokazy w Leningradzie i dziewięćdziesiąt siedem w Moskwie.

W styczniu 1936 roku Siergiej nie czuł się jeszcze zadomowiony na dobre w radzieckiej stolicy, ale echa tamtego niepowodzenia docierały do niego także później, choć głównie w postaci szeptów rozmaitych ludzi. Siedząc w jednym z foteli w salonie Prokofiewów, Szostakowicz wciąż jeszcze wspominał roztrzęsiony, jak tamtego styczniowego ranka kupił na dworcu kolejowym gazetę. Jechał akurat do Archangielska, gdzie miał wystąpić razem z wiolonczelistą Wiktorem Kubackim. Natknął się wtedy na liczący sześćdziesiąt słów artykuł redakcyjny w „Prawdzie” – artykuł, który zmienił jego życie. I nie tylko życie samego Szostakowicza, ale całego pokolenia artystów, podobnie zresztą jak los całego kraju. Kompozytor wielokrotnie przeliczał te słowa jedno po



drugim, tak jakby wierzył, że przy każdym liczeniu któreś zniknie.

– Od tego dnia kładę się spać w ubraniu i z walizką pod łóżkiem. Jestem pewien, że któreś nocy po mnie przyjdą, kiedy wszyscy będą spali. Zawsze tak robią.

– Nie mów takich rzeczy – próbowała go pocieszać Lina, kładąc dłoń na ramieniu kompozytora, który nie potrafił zapanować nad drżeniem ciała. Nawet okazywane przez przyjaciół milczące zrozumienie nie było w stanie powstrzymać tego dygotu. Gest Liny też okazał się nieskuteczny. Cieszyła się, że Światosław i Oleg są w szkole i nie słyszą słów Szostakowicza.

– Czujesz strach, kiedy otwierasz gazetę i czytasz, że jesteś wrogiem ludu. I nie masz sposobu, żeby wyjaśnić tę niesprawiedliwość, kłamstwo, zniesławienie. Nikt nie chce cię wysłuchać i nie ma nikogo, kto wypowiedziałby jedno zdanie na twoją obronę, chociaż wszyscy wiedzą, że racja jest po twojej stronie. Od tamtego przekłętego dnia męczy mnie wciąż ten sam koszmarny sen: rozglądam się dookoła i wszyscy trzymają w rękach tę samą gazetę. Przyglądają mi się w milczeniu, a kiedy próbuję im coś powiedzieć, odwracają się do mnie plecami. Nie słuchają mnie. To jest najbardziej przerażające: jestem muzykiem, a oni mnie nie słuchają. Tamten artykuł zmienił całe moje życie – ciągnął dalej Szostakowicz, biorąc z rąk Liny gorącą filiżankę. Widząc stan, w jakim znajduje się jej gość, poczuła się śmiesznie, podając mu kawę. Na pewno przyjąłby z wdzięcznością coś mocniejszego. – Nie mogę przestać myśleć o tamtym zdaniu z „Prawdy”: „Chodzi o zawiłą grę, która może się zakończyć źle”\*. To jest wyrok śmierci. Skazali mnie na karę główną za życia. Jestem martwy, chociaż żyję, przyjacielu. Ale coś ci powiem, Prokofiew: jeśli mi obetną rękę, będę trzymał pióro zębami i dalej pisał muzykę. Swoją muzykę, a nie taką, jak oni by chcieli, żebyśmy pisał!

– Nikt ci nie obetnie rąk. To jakaś chwilowa sprawa – upierał się Prokofiew, który nigdy nie był zbyt dobry w sztuce pocieszania, a jeszcze gorzej wychodziło mu analizowanie rzeczywistości. – Musi tak być. Wszystko to minie. Czekać i trwać przy swoim.

– Czy ty tego nie widzisz? – Szostakowicz był zdenerwowany, nie panował nad sobą, przytłoczony przez wydarzenia, a szczególnie przez ślepotę człowieka, którego wiele lat traktował jak swojego mistrza. – Są osoby, nasi koledzy, którzy nagle znikają i nikt nie wie, gdzie się podziewają. Tamci zatrzymują nas pod osłoną nocy, a zatrzymani już nigdy nie wracają. Wszystko dlatego, że ktoś napisał wiersz, który nie spodobał się Ojcu Wszystkich Narodów, albo że historia opowiedziana w nowym filmie nie przekonała Stalina, albo nuty czyjejs nowej opery nie okazały mu dość szacunku. A ty mi mówisz, żebyśmy trwał przy swoim, że to wszystko minie? Kiedy? Gdy wszyscy będziemy martwi?

– Ale przecież ci ludzie musieli coś zrobić, skoro ich zatrzymano. – Wydawało się, że w sposobie, w jaki Siergiej neguje rzeczywistość, kryje się więcej infantylizmu niż chęci obrony postępowania władz.

– Oczywiście! Zawsze się znajdzie jakiś absurdalny zarzut, jakieś fikcyjne przestępstwo, o które można człowieka oskarżyć. Mówi się, że to wrogowie ludu – to ich ulubione wyrażenie – no i że są szpiegami. Według tamtych cała Rosja jest jedną wielką fabryką szpiegów. Mówią, że obserwowali tych zatrzymanych i stwierdzili, że mają odchylenie kapitalistyczne albo za bardzo się przyjaźnią z cudzoziemcami, albo że są

kontrewolucjonistami, bo we własnym domu, w kuchni któryś opowiedział kawał o Stalinie. A może rozmawiali o testamencie Lenina podczas spotkania ze znajomymi albo ktoś napisał list do krewnego, krytykując nową konstytucję z 1936 roku, z której jasno wynika, że dyktatura proletariatu nie doprowadzi do rozwiązania państwa, wbrew temu, co przewidywali Lenin i Marks? A wiesz, co jest najlepsze? Że nie potrzeba dowodów, bo ich nie ma. Wystarczy słowo, czyjeś widzimię zniekształcające rzeczywistość i już jest przestępstwo, za które można cię oskarżyć. – Siergiej obserwował swojego rozmówcę i nie był w stanie nawet mrugnąć. Zaczął odczuwać kłujący ból w piersi, jego głowa była bliska eksplozji, ale nie potrafił przerwać przyjacielowi. – Wciąż jeszcze tego nie widzisz? Powiedz, czym zawiniłem, że i ze mnie zrobili przeciwnika systemu, który zawsze wspierałem? Jak to możliwe, że z artysty ludowego stałem się wrogiem ludu? Przecież moja muzyka się nie zmieniła! Co jest takiego w moich kompozycjach, żeby je brać za obrazę Stalina? Bo o to właśnie chodzi, o udobruchanie bestii. Dzisiaj przyszli po mnie, ale jutro mogą przyjść po ciebie.

Szostakowicza bolała ślepotą i bierne milczenie Siergieja. Zwrócił się do Liny.

– Ty mu powiedz, może ciebie posłucha.

Zanim wyszedł z mieszkania Prokofiewów, zwrócił się jeszcze do przyjaciela:

– Dlaczegoście wrócili? Dlaczego właśnie teraz?

Nie chciał, żeby go odprowadzać aż do bramy. Nie chciał, żeby Siergieja widziano razem z nim. Ktoś mógłby uznać taki gest ostrożności za objaw zwykłej paranoi, ale Szostakowicz zaczął odczuwać wokół siebie obecność armii cieni i wiedział z własnego doświadczenia, że takie przeczucie to przedsmak groźnej rzeczywistości. Jak to się przydarzało wielu Rosjanom, jego życiem zaczynała rządzić nieufność.

Związek Radziecki był jednym wielkim obszarem, po którym niósł się wszędzie nieustający, ponury szept. Spoiwa dostarczał strach, intrygi i donosy, ale Siergiej wciąż tego dźwięku nie słyszał. Interesowało go tylko to, co wydobywało się z jego fortepianu i z głowy, nie zawsze zaś przywiązywał dostateczną wagę do słów płynących z ust żony, próbującej przestrzec go przed tym, co dzieje się na ulicy.

– Lina, to jest polityka. Po prostu. To nie ma z nami nic wspólnego. Ja mam czyste sumienie.

– Nie, to nie jest polityka. To strach. Zabierają ludzi, o których później już niczego nie można się dowiedzieć. Siergiej, musisz otworzyć oczy i uszy. Musisz zacząć zwracać uwagę na to, co się dzieje, choćby dla dobra własnej rodziny.

– Myśmy nic złego nie zrobili.

– Tamci też nie. Dwa dni temu przyszli po Borysa, sąsiada z góry, z którym grywasz w szachy, kiedy nie ma Dawida Ojstracha. Oskarżyli go o zdradę. Co się stanie, kiedy zastukają do naszych drzwi zamiast do drzwi Borysa?

– My się mamy całkiem dobrze. Spójrz na mój gabinet: od góry do dołu różne rozgrzebane prace! Zlecili mi *Kantatę na XX-lecie Października*, będę nagrywał dla radia kilka koncertów romansów do wierszy Puszkina, które właśnie skomponowałem. Kończę operę *Romeo i Julia*, Aleksander Tairow z Narodowego Moskiewskiego Teatru Kameralnego zaproponował mi adaptację *Eugeniusza Oniegina*, który od dzieciństwa jest jednym z moich ulubionych utworów. A Eisenstein ma pomysł, żebym to ja napisał

muzykę do filmu *Aleksander Newski*... – Twarz Siergieja zaczęła się pokrywać rumieńcem wywołanym irytacją. Musiał przekonywać żonę do czegoś, do czego sam nie był całkiem przekonany, choć uważał, że powinien mieć w tej sprawie pewność. Albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie. – A ty śpiewasz w moskiewskim radiu, dajemy koncerty w całym kraju. Będziesz występowała w *Brzydkim kaczątku* w Wielkiej Sali Konserwatorium Moskiewskiego. Wystawiamy po raz drugi *Piotrusia i wilka*, a już się mówi o sukcesie. Sama mnie przekonywałaś, żebym przyjął propozycję Natalii Satz i skomponował muzykę do jej przedsięwzięcia, prowadzamy na spektakle naszych synów. Wiem, mówią, że w sklepach jest złe zaopatrzenie...

– Bo jest złe! – podniosła głos Lina, korzystając z nieobecności dzieci i zapominając o zwyczaju mówienia ściszym głosem, którego nie wyzbyli się od pobytu w hotelu Metropol w 1927 roku.

– Twoja spiżarnia jest pełna. Codziennie przychodzi chłopak z wielkim koszem i przynosi ci do drzwi wszystko, czego potrzebujesz. Mają nam lada chwila dostarczyć forda ze Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy w tym mieszkaniu jedyną rodziną. Dzieci chodzą normalnie do szkoły, Światosław ma miejsce w szkole angielskiej. Powiedz, czego, u diabła, ci brakuje? – spytał, nie mogąc już powstrzymać się od podniesienia głosu.

– Brakuje najbardziej podstawowych rzeczy w życiu, a ty nie przestajesz rozmawiać ze mną o pracy! – Lina podbiegła do Siergieja i objęła dłońmi jego głowę. – Czy ty w ogóle słyszysz cokolwiek z tego, co do ciebie mówię? Na Boga, podnieś wzrok znad fortepianu i zacznij słuchać czegoś, co nie wyszło spod twoich rąk. Uważasz, że to nieprawda, co się przydarzyło Szostakowiczowi? A o czym rozmawiacie z Dawidem Ojstrachem przy grze w szachy? On sobie świetnie zdaje sprawę z tego, co się dzieje, natomiast ty... Przecież niemożliwe, żeby z tobą nie rozmawiał o tym, o czym rozmawia ze mną.

Ojstrach był młodym, ale już uznanym skrzypkiem, sąsiadem Prokofiewów z tego samego budynku przy ulicy Czkałowa. Siergiej lubił grywać z nim w szachy.

– On też czuje ten sam strach – ciągnęła Lina. – To on cały przerażony opowiadał mi historię Borysa. Boi się o swoją żonę Tamarę. Wie, że stalinowskie czystki dotyczą nie tylko zatrzymanego, ale całej jego rodziny. Obudź się, choćby dlatego, że on cię podziwia i uważa za swojego mistrza.

Milczenie Siergieja zaniepokoiło ją do tego stopnia, że nie była w stanie powstrzymać wściekłości. Miała ochotę go uderzyć, potrząsnąć nim, ale zadowolona się silnym plaśnięciem dłonią w stół w jego gabinecie. Od uderzenia przewrócił się kałamarz z czerwonym atramentem, którego Oleg używał do szkolnych rysunków. Ciecz wylała się na partyturę, nad którą pracował Siergiej. Nie zaprotestował, jak by to zrobił w jakimkolwiek innym momencie. Siedział, przypatrując się, jak czerwona plama przesuwa się powoli po bieli partytury, zalewając zapisane na pięcioliniach nuty. Były to pierwsze szkice do *Kantaty na XX-lecie Października*. Siergiej nie był w stanie nic powiedzieć. Ograniczył się do obserwowania, jak efekty pracy ostatnich kilku dni znikają, przykryte cienką, ale żarłoczną chmurą czerwonego koloru.

– Widzisz, Siergiej? To jest właśnie polityka, od której trzymasz się z daleka.

Wdziera się w twoje życie i je przykrywa, chowa je w sobie, a ono w końcu znika. A kiedy to się już stanie, nie będziesz mógł nic zrobić, żeby je zatrzymać. – Lina ledwo panowała nad emocjami, które rozsadały jej pierś. – Chcę wracać do domu.

– Tu jest dom.

– Chcę wracać do Paryża, do mojej matki. Jest sama, chora i nie ma za dużo pieniędzy. Tęsknię za nią.

– Dawniej bardziej za nią tęskniłaś. – Siergiej zamilkł na kilka sekund. Wiedział, że niepotrzebnie to powiedział, choć zrobił to obojętnym tonem, niezwykłym jak na niego, kiedy zaczynał się kłócić z Liną. – Ona też może tu przyjechać. – Nawet nie odważył się na nią spojrzeć, kiedy formułował tę propozycję. Oczy miał nadal utkwione w czerwonej plamie nieodwracalnie rozszerzającej się na coraz większe polacie partytury, zalewającej ją w całości, aż w końcu zapis zniknął.

– Chcę stąd wyjechać, dopóki jeszcze nie jest za późno. I chcę wyjechać ze swoimi synami i swoim mężem.

Nie był to kaprys Liny. Jej decyzja nie została podyktowana złością ani atakiem niepewności, ani obawą przed nieznanym. Nie dawała się ponosić temu, co opowiadali ludzie, choć te historie z pewnością wzmocniły jej ostrożność. Jej strach płynął z odgłosów nocy. One wciąż groziły przerwaniem ciszy, której Siergiej najwyraźniej tak potrzebował, żeby komponować. Jej bezsenność objawiała się niepokojem, z jakim nieustannie nasłuchiwała odgłosów czarnych buciorów wspinających się po schodach, dźwięku windy przemieszczającej się między piętrami i zatrzymującej się na jednym z nich. A po takim oczekiwaniu, sparaliżowana przez strach, starała się usłyszeć, gdzie rozległ się dzwonek, do których drzwi puka z absolutną bezkarnością dłoń w czarnych rękawiczkach, czyj głos na próżno błaga i prosi o wyjaśnienia w sprawie tego nocnego zakłócenia spokoju.

Zdarzały się noce, kiedy ukryta w ciemności i przewyciężając strach, zbliżała się do okna, usłyszawszy, że jakiś samochód zatrzymał się pod bramą ich kamienicy. Zawsze były to czarne samochody. Z każdą nocą było coraz gorzej. Bo jeśli poprzedniego dnia zabrali sąsiada z dołu, rosło prawdopodobieństwo, że następnym razem przyjdą po tych, którzy wtedy odetchnęli spokojnie, słysząc, że to nie u ich drzwi zaterkotał dzwonek. Ale żeby usłyszeć wszystkie szczegóły, trzeba było wychylić się przez okno albo nasłuchiwać zza drzwi wejściowych, wstrzymując oddech. Trzeba było otworzyć oczy i skupić się na tym, co się dzieje. A Siergiej po prostu spał obok niej. Kiedy zaś nie spał, pracował w swoim dźwiękoszczelnym gabinecie, odizolowany od świata, od rzeczywistości i od strachu, przekonany, że to, czego nie słyszy, nie istnieje.

Prokofiewowi nadal ciążyły takie dyskusje. Rozpraszały go, oddalały od muzyki, pozostawiały w nim poczucie klęski, odrzucenia. Czuł się po nich zmęczony, a kiedy wpadał w taki stan, jego ciało stawało się terenem zaminowanym, podatnym na depresję.

– No dobrze. Tylko o jedno cię proszę: zaczekaj trochę. To wszystko minie. Jeśli za kilka dni nadal będziesz myślała tak samo, wyjedziemy. Obiecuję ci.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Oboje zamilkli. Lina spojrzała na zegarek, który Siergiej przywiózł jej z Casablanki – gdzie kiedyś koncertował – i który od tego czasu nosiła na nadgarstku. Było jeszcze za wcześnie na powrót dzieci ze szkoły.

Dzwonek brzmiał natarczywie, towarzyszyły mu nawet agresywne uderzenia pięścią w drzwi.

– Prokofiew! – krzyknął ktoś po drugiej stronie.

Siergiej otworzył, rozpoznawszy po głosie Aleksandra Tairowa. Gość wyglądał, jakby przydarzyło mu się coś niedobrego. Był blady, musiał szybko usiąść na krześle, żeby odzyskać oddech, najwyraźniej też potrzebował się czegoś napić. Lina podała mu szklankę wody, a w tym samym momencie dyrektor moskiewskiego Teatru Kameralnego wręczył Siergiejowi kopertę zaadresowaną do jego własnej instytucji.

– Przeczytaj to. Ja chyba nie dam rady zrobić tego jeszcze raz.

Był to list z otoczonego złą sławą Państwowego Komitetu do spraw Sztuki, w którym zakazywano wystawienia utworu pod tytułem *Eugeniusz Oniegin*.

– Wiesz, co to znaczy? – spytał Tairow, wciąż jeszcze zasapany po szybkim wejściu na schody prowadzące do mieszkania Prokofiewów, ze względu na wściekłość i zdenerwowanie wywołane otrzymanym zawiadomieniem, nie miał bowiem cierpliwości czekać na windę.

– Że nie będzie przedstawienia – odpowiedział Prokofiew, wciąż jeszcze nieumiejący zrozumieć pisma, które trzymał w dłoni i od którego nie odrywał wzroku.

– Oby na tym się skończyło. – Tairow spojrzał na niego. Jego oddech był już spokojniejszy. – Właśnie zrobili ze mnie wroga ludu. Masz przed sobą jednego z artystów, którzy popadli w formalizm, tak bardzo potępiany przez partię. No bo komu mogło przyjść do głowy, żeby opracować nową wersję opery, którą już napisał Czajkowski? Skąd ta potrzeba opracowywania na nowo czegoś, co przecież od samego początku zostało uznane za dobre? – powiedział, nie wiedząc za bardzo, skąd bierze się sarkazm, którym nasycone były jego ostatnie zdania.

– Ale dlaczego? Przecież jeszcze niczego nie słyszeli – spytał Siergiej, nie zdając sobie sprawy, że jego naiwność czasami może irytować.

– Miałem czelność pomyśleć, że moja żona, Alisa Koonen, mogłaby śpiewać rolę Tatiany, a reżyserem mógłby być Polak. Jak mogło mi przyjść do głowy, żeby zaangażować cudzoziemca do pokazywania rosyjskiej duszy, skoro na miejscu są reżyserzy radzieccy? – Tairow popatrzył na Prokofiewa. Chodziło o coś więcej. Przecież gdyby chciał mu tylko przekazać informację o zawieszeniu realizacji, mógłby się posłużyć telefonem. – Skonfiskują twoją partyturę. Zgodnie z kontraktem, który podpisałeś kilka miesięcy temu, partytura jest własnością teatru, tym samym należy do nich.

– Mówisz poważnie? – spytała Lina, widząc, że jej mąż nie umie przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał, i pogrąża się w nieprzeniknionym milczeniu, wpatrując się w Tairowa. – Czy mogą to zrobić?

– Nawet jeśli nie mogą, to i tak zrobią – odpowiedział dyrektor teatru z gorzkim uśmiechem, reagując na naiwne pytanie Liny.

Siergiej poszedł do swojego gabinetu i wyszedł po chwili z jakimiś papierami w ręku.

– Trzymaj. Nie chcę, żebyś miał przez to problemy.

Tairow wziął partyturę i spojrzał na Prokofiewa. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza

i wyjął z niej kilka kartek, które w stanie mocno nieuporządkowanym podał Siergiejowi.

– To są notatki aktorów naszego teatru. Tyle się utrzymało z naszych prób. Paweł Lamm powiedział, że może te zapiski pomogą ci, gdybyś chciał wrócić do pisania tej opery, chociaż z pewnością może to mieć sens dopiero za jakiś czas.

Kiedy Tairow wyszedł, Lina podbiegła do Siergieja. Chciała go objąć i okazać mu, że stoi przy nim i że to wszystko jest jedynie dziwnym kaprysem losu. Wydawało się, że zapomniała już o powodach sporu, który prowadzili niedługo przedtem, zanim zadzwieczał dzwonek oznajmiający złą wiadomość. Po raz pierwszy Siergiej poczuł się trafiony przez przyjacielski – jak mu się dotąd zdawało – ogień. Ale był daleki od okazywania słabości i nadal próbował demonstrować siłę. Taka jednorazowa przeciwność losu nie da mu rady. Jeszcze nie mieszkał w Związku Radzieckim dostatecznie długo, żeby zaakceptować swoją porażkę i przyjąć cudzą wolę jako własne *credo*.

Najlepszym balsamem leczącym rany była praca. Jak zwykle Lina była przy tym jego najskuteczniejszym wsparciem. Zawsze u jego boku, wzmacniająca optymizm męża, podnosząca na duchu, ożywiająca jego kompozycje, wierząca w marzenia o nowych sukcesach. I jeśli ta rola wymagała zaprzestania nacisków na Siergieja, żeby otworzył oczy i stanął twarzą w twarz z otaczającą go rzeczywistością, zgadzała się na to.

Ale potrzebowała wentyla bezpieczeństwa, jeśli miała uniknąć śmierci przez uduszenie gazami zatruwającymi rosyjską atmosferę. Lina tęskniła za kimś, z kim mogłaby rozmawiać o tym, co się dzieje, i to rozmawiać w taki sposób, żeby nie oznaczało to wieszania ciężkiego kamienia na zbolejącej szyi Prokofiewa. Często czuła potrzebę takiego porozumienia. Niełatwo jej było rozmawiać z mężem, bo bała się, że go rozkojarzy i zmartwi, wpływając tym samym na jego pracę i zdrowie. Siergiejowi wróciły ciężkie ataki migreny, miał też często znacznie podwyższone ciśnienie krwi, co prowadziło do pogarszania się kondycji jego serca. Tak czy inaczej Lina potrzebowała mówienia o swoich lękach. Nie potrafiła zachowywać się tak jak Siergiej, który wolał je lekceważyć, przykrywać, chować, skazywać na niepamięć i obojętność. Jeśli się do nich nie przyznawał, przestawały istnieć, jeśli je ignorował, przestawały stanowić problem.

– Zaczynam się bać – wyznała Lina swojemu przyjacielowi Wsiewołodowi Meyerholdowi, który już dawno stał się jej oddanym powiernikiem. – Rozglądam się dookoła i nie widzę już tego kraju, który nas witał w 1927 roku. Teraz jest tak, jakby wszyscy byli podejrzeni, jakbyśmy wszyscy byli czemuś winni, a my nawet nie wiemy czemu. Słyszę tyle różnych historii...

– Trudno to wszystko wytłumaczyć. Ja sam jestem obiektem podobnych ataków. Oskarżają mnie o formalizm i naturalizm. Wszystko zmienia się zbyt szybko. I nie ma w tym żadnego sensu, żadnej logiki. Bo od kiedy w terrorze ma być logika!

– No to dlaczego nie wyjedziesz? Ciągle to powtarzam Siergiejowi, ale on mówi, żebym poczekała, że to minie, że to tylko polityka.

– Zinaida, moja żona, też mnie namawia na wyjazd. Ale ja nie chcę wyjeżdżać. To mój kraj, moja ziemia, to była też moja rewolucja. Walczyłem o nią, broniłem ideałów rewolucyjnych, których podobno mają bronić oni. Dlaczego mam wyjeżdżać, skoro jestem jednym z nich?

– Z nich? A Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew i czternastu innych przywódców

bolszewickich, których bez wahania aresztowano, to nie byli jedni z nich? Urządzono im publiczny proces i skazano na karę śmierci za udział w spisku terrorystycznym, który miał na celu mordowanie członków Biura Politycznego. Wszystko to byli rewolucjoniści, członkowie władz partyjnych: Kamieniew był pierwszym szefem państwa radzieckiego, Zinowiew przyjacielem Lenina i jednym z głównych rywali Stalina do przywództwa partii... Gdzie tu chcesz znaleźć logikę, której szukasz!?

Lina miała na myśli publiczne procesy odbywające się w sierpniu 1936 roku, w których oskarżonymi byli przywódcy bolszewicy wysokiego szczebla. Oprócz dwóch, których wymieniła, rozstrzelano innych działaczy partyjnych: Georgija Piatakowa, Nikołaja Krestinskiego, Karola Radka czy samego Nikołaja Bucharina, głównego ideologa Nowej Polityki Ekonomicznej, który drogo zapłacił za sprzeciwianie się przymusowej kolektywizacji rolnictwa zarządzanej przez Stalina. Został oskarżony o próbę zamachu stanu wymierzonego w rząd radziecki. Najmniejsze odchylenie od kursu wyznaczonego przez przywódcę Związku Radzieckiego, jakkolwiek opozycja karana była śmiercią – niezależnie, czy pojawiała się w szeregach partyjnych, we własnej rodzinie dyktatora czy w jego najbliższym otoczeniu.

– A najgorsze – mówiła dalej Lina – jest to, że wszyscy przyznają się do przestępstw, które im się zarzuca: do organizowania ośrodków terrorystycznych mających za zadanie obalenie rządu radzieckiego, zabójstwo przywódców, przywrócenie kapitalizmu, współpracę z wrogimi krajami, takimi jak Niemcy... To kompletne szaleństwo.

– Przecież to jest farsa, czysta propaganda. Nie słuchałaś Stalina, jak mówił kilka miesięcy temu, że należy zacieśnić sojusz z prostym ludem, ze zwykłymi bojownikami, nosicielami rewolucyjnej sprawiedliwości, którzy powinni denuncjować przywódców partyjnych, „zadowolonych z siebie wielmożów, którzy swoim nieludzkim postępowaniem tworzą nienaturalnie duże zastępy osób niezadowolonych i poirytowanych, stanowiących rezerwową armię dla trockistów”? – Lina słuchała, jak Meyerhold recytuje z pamięci. Zadawała sobie pytanie, ile razy musiał przeczytać to przemówienie Stalina z marca 1937 roku, żeby aż tak dobrze się go nauczyć. – To jest dokładnie to samo, co zrobił w 1930 roku, kiedy opublikował w „Prawdzie” artykuł *Zawrót głowy od sukcesu*, krytykując i besztając funkcjonariuszy partyjnych za nadgorliwość, podczas gdy kazał im doprowadzić do końca kolektywizację ziemi, przejęcie magazynów i zorganizowanie przymusowej pracy chłopów, które przecież sam zarządził. To dopiero bezczelność!

– Wiesz, o czym często myślałam? – zwróciła się do niego Lina, ścisząc jeszcze bardziej głos. – Że Stalin wzoruje się na Hitlerze i jego nocy długich noży. Że chce rozpocząć czystki we własnej partii. Nie patrz tak na mnie, oni mogą być najbardziej zagorzałymi wrogami, nienawidzić się, codziennie życzyć sobie wzajemnie śmierci, ale w gruncie rzeczy obaj są tacy sami, choć niby na dwóch różnych biegunach. Zachowują się w taki sam dyktatorski sposób, autorytarnie, nie licząc się z innymi. Dwóch oświeconych, dwóch zbawców ojczyzny, których nigdy nie męczy deptanie ludzi. – Wstała, żeby pójść do kuchni po następną porcję kawy. Kiedy była tak zdenerwowana, herbata nie bardzo jej służyła. I wołała, żeby dom pachniał kawą. – Hitler ogłosił się

naczelnym sędzią niemieckiego narodu. Nie przypomina ci to pewnej osoby, która urzęduje na Kremlu?

Dla Liny te rozmowy były drobnymi przejawami luksusu, z którego od przyjazdu do Moskwy musiała zrezygnować. Smuciło ją, że dawniej niedostatecznie ceniła swobodę, z jaką mogła przez całe życie konwersować, o czym tylko chciała. Nie potrafiła się uchronić przed wspomnieniami rozmów z Hemingwayem, Coco Chanel, Picassem, Rubinsteinem, Rachmaninowem, Ravelem, Radiguetem... Ileż by teraz dała, żeby którejś soboty móc pójść do mieszkania miss Stein albo usiąść w ogródku paryskiej kawiarni i bez ściszenia głosu oraz rozglądania się dookoła pogadać z Jeanem Cocteau. Bez obaw, że ktoś ją obserwuje. Jak łatwo docenić rzeczy po ich utracie, choć tak trudno przychodzi ich docenienie, kiedy wydają się naszym oczywistym prawem. Oczy Liny zaszklily się. Dzięki Meyerholdowi odzyskała choć w części esencję wolności.

Tego samego popołudnia reżyser raz jeszcze przyszedł do domu przy ulicy Czkałowa – tym razem z całkiem innego powodu. Chciał porozmawiać z Prokofiewem o nowej operze *Siemion Kotko*.

– Gdzie jest Siergiej? – spytał Linę, kiedy wyszła z kuchni z czajniczką świeżo zaparzonej herbaty waniliowej dla niego i kubkiem kawy z mlekiem dla siebie.

– Zaraz wróci. Miał spotkanie z kierownictwem życia muzycznego. Chyba chcieli się z nim widzieć. I miał być na tym zebraniu Wiaczesław Mołotow – poinformowała gościa obojętnym tonem.

– Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Związku Radzieckiego, naczelną władzę wykonawczą w kraju, jest na spotkaniu z twoim mężem? – dopytywał z niedowierzaniem Meyerhold. Nie powinien się zresztą dziwić. On także utrzymywał dobre relacje z Mołotowem, choć od pewnego czasu sytuacja zaczęła się zmieniać. – Pamiętam jeszcze, jak w 1923 roku wręczał mi dyplom Zasłużonego Artysty Ludowego w teatrze Bolszoi. Dlaczego chcieli się z nim spotkać?

– Chodzi o kantatę, którą komponuje na dwudziestą rocznicę rewolucji październikowej. Przypuszczam, że chcą się o niej czegoś dowiedzieć, posłuchać. Przewidziane są rozmaite obchody, a że data się zbliża, pewnie zaczyna im się spieszyć.

Ledwo wypowiedziała to zdanie, kiedy dał się słyszeć odgłos otwieranego zamka. Wrócił Siergiej. Był najwyraźniej rozżłoszczony, nie panował nad sobą. Nawet nie chciało mu się zdjąć płaszcza. Coś ważnego musiało się wydarzyć, a Prokofiew nie miał siły, żeby o tym mówić. Wreszcie wydusił z siebie kilka zdań.

– Moja kantata nie będzie włączona w obchody rocznicy rewolucji. – Zapanowało ogólne zdumienie. – To, że użyłem w tekście słów Lenina, uważają niemal za bluźnierstwo. Zobaczmy, czy teraz się nie okaże, że nie mam nic wspólnego z rewolucją! Ale nie oszukaj mnie. Wiem doskonale, co im przeszkadza. Wiem to na tyle dobrze, że sam zaproponowałem włączenie kilku zdań ze Stalina. Chciałem się przekonać, czy to ich uspokoi.

– Ale co się stało? Kto ci to powiedział? – chciała wiedzieć Lina.

– Właściwie cały rząd w pełnym składzie. Trzeba było ich widzieć. Był tam nawet jakiś kretyń, który powiedział, że moja kantata to najmniej klasyczna muzyka klasyczna, jakiej słuchał w życiu. Widać gównem słyszał w życiu, a nie muzykę. – Głos Siergieja



nabierał mocy i zarówno Lina, jak i Meyerhold dawali mu znaki, żeby mówił ciszej. – Tylko dwie osoby mnie poparły, a w każdym razie prosiły, żeby mi zostawić swobodę komponowania: Wiaczesław Mołotow i Michaił Tuchaczewski, Czerwony Marszałek. Niewiarygodne. Gdybym tego nie widział, nie uwierzyłbym.

– Mąż Natalii Sats? – spytała Lina.

– Jeśli chcesz, żebyś powiedział szczerze, to sędzę, że poparł mnie właśnie dlatego, że przyjąłem zlecenie od jego żony na skomponowanie *Piotrusia i wilka*. Jak się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że właśnie to im powinienem skomponować na rocznicę rewolucji. Może to by im brzmiało jak muzyka klasyczna, mniej hałaśliwa i trochę bardziej zrozumiała. Chociaż wątpię, czy ich inteligencja pozwoliłaby im cokolwiek zrozumieć. Mogliby mieć wszystko tuż przed oczami, podane na talerzu, a i tak by nic nie pojęli.

– Mów ciszej, proszę cię. Ktoś może cię usłyszeć.

To stwierdzenie Meyerholda sprawiło, że oboje Prokofiewowie spojrzeli na niego uważnie. Nie trzeba było żadnych dodatkowych nalegań: wystarczyło zwrócenie uwagi, że dzięki technologiom szpiegowskim w domu mogą być obce uszy. Kiedy Meyerhold zrozumiał, jaki wpływ na podejrzliwie nastawionych przyjaciół wywarły jego słowa, starał się osłabić ich wymowę.

– Chodzi mi o sąsiadów, na Boga, uspokójmy się trochę i spójrzmy na wszystko z dystansu.

Dźwięk dzwonka sprawił, że wszyscy podskoczyli, jakby przed wejściem do mieszkania właśnie rozbił się samolot. Wbili wzrok w drzwi, próbując je przeświecić spojrzeniami i dowiedzieć się, kto stoi po drugiej stronie. Większy niepokój budziła w nich swoboda rozmowy, którą wcześniej prowadzili, niż domysł o tym, kto może stać za drzwiami. Może zresztą te czynniki działały razem. Któż to mógł być? W końcu usłyszeli dobiegający z zewnątrz głos.

– Mamo, to ja. Otwórz mi.

Słyszac Światosława, wszyscy odzyskali oddech, utracony na kilka ciągnących się w nieskończoność chwil. Lina w milczeniu przyglądała się synowi. Nie musiała wyrażać słowami zaniepokojenia, jakie wywołała w niej obecność dziecka w domu podczas zajęć lekcyjnych. Jej wyraz twarzy mówił wszystko.

– Zamknęli szkołę. – Trzy pary oczu zaczęły się wpatrywać w chłopca, najwyraźniej w oczekiwaniu na dalsze informacje. – Zatrzymali rodziców wszystkich uczniów. Tych, którzy są cudzoziemcami... – wyjaśnił Światosław z zadziwiającą naturalnością; prawdopodobnie powtarzał to, co usłyszał od kogoś ze szkolnego personelu. – I powiedzieli mi, żebyś poszedł do domu. – Zza jego pleców wychylił się nagle niezauważony wcześniej przez nikogo mały Oleg. – Zabrałem też tego karzełka. Nie wiem dlaczego, wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

Oleg najwyraźniej był zachwycony decyzją starszego brata. Nie lubił swojej szkoły ani kolegów. Nazywali go synem kompozytora i przez to czuł się inny od reszty. Mimo młodego wieku zdążył się już zorientować, że odmienność zwykle niesie ze sobą kłopoty. Inne dzieci naśmiewały się z niego, bo rosyjski chłopca nie był zbyt dobry. Ciągłe przedrzeźniano go, ponieważ nie potrafił wymówić niektórych słów, a czasami mylił

litery. Na przykład nie do końca odróżniał głoski *l* i *r*. Rzecz jasna, nie wydawało mu się to też takie ważne. Wolał rysować, jedyne niuanse, którymi się przejmował, dotyczyły kolorów. Nie rozumiał, dlaczego inni nie patrzyli na sprawy w ten sam sposób.

Gdy Lina przynagłała synów, żeby weszli do domu, i zamykała za nimi drzwi mieszkania, usłyszała, że Siergiej robi to samo z drzwiami swojego pokoju. Po chwili dobiegły stamtąd dźwięki *II Koncertu fortepianowego*, nawet dla doświadczonych wirtuozów jednej z najtrudniejszych kompozycji pianistycznych. Usiadła na podłodze przy drzwiach gabinetu i wysłuchiwała całego utworu. Nawet najbardziej idealna izolacja akustyczna nie odcina wszystkich odgłosów. Czasami nie udaje się całkiem stłumić życia.

– Co też się może dzieć za tymi oknami?

Lina nie potrafiła stłumić dreszczy, które przeszywały ją, gdy przechodziła blisko ogromnego budynku z ciemnoszarą granitową elewacją. Łubianka górowała groźnie nad placem Dzierżyńskiego. Nikt nie musiał wiedzieć, że dokładny adres budynku to ulica Wielka Łubianka numer 2, bo wszyscy dokładnie znali położenie tego gmachu – lepiej, niż chcieliby sobie tego życzyć. Niektórzy znali też inny pobliski adres: ulica Kuźniecka 22, z obskurnym podwórkiem wychodzącym na most Kuźniecki. Lina chodziła tam wielokrotnie oglądać różne wystawy w Związku Malarzy. Była też niedaleko ulica Puszcza; od tej strony na Łubiankę wchodzili ludzie z ustami zaciśniętymi przez strach, gdy chcieli spytać o ojca, matkę, córkę czy brata, którzy znikli. Wchodząc do galerii w Związku Malarzy, żeby cieszyć się najnowszą wystawą, Lina nie mogła zrozumieć, skąd bierze się intensywny zapach cebuli i czosnku, nieodłącznie związany z tym miejscem. Wtedy jeszcze tego nie wiedziała.

Siedząc w samochodzie, który odwoził ich do domu po kolacji u Aleksandra Afinogienowa, przyglądała się czarnej bramie frontowej prowadzącej do wnętrza Łubianki. Wydawało jej się makabrycznym paradoksem, że ten gmach był kiedyś siedzibą licznych towarzystw ubezpieczeniowych. Jedno z nich, działające w epoce carskiej, przed rewolucją bolszewicką, nosiło nazwę Kotwica. W tym kraju rozmaite sprzeczności wdzierały się podstępnie w ludzkie losy. Kamienny moloch wprawiał Linę w rodzaj przerażającej hipnozy, od której zmieniał jej się wyraz twarzy. Nie rozumiała, jak to możliwe, że w niewielkiej odległości od Łubianki wznosi się elegancki budynek teatru Bolszoy czy złożone kopuły Kremla, podczas gdy ten gmach – siedziba komendy głównej tajnej policji radzieckiej, wówczas zwanej Ludowym Komisariatem Spraw Wewnętrznych<sup>29</sup>, a poprzednio Czeka<sup>30</sup> – swoim ponurym wyglądem potrafił przygnębić nawet najodważniejszych. Opowiadano jej, że główne więzienie w mieście zajmuje w tym budynku szóste piętro, że gabinet szefa NKWD znajduje się na piętrze trzecim, a cele śledcze rozmieszczone są na parterze. Jej wyobraźnia krążyła po labiryncie korytarzy, cel, biur, sekretnych przejść, którymi jak cienie przesuwają się zatrzymani. Ale uwagę Liny przyciągały głównie okna, których nie mogła przestać obserwować. Te małe otwory prowadzące w nieznane, oczy ogromnego potwora, który natarczywie wpatruje się w miasto, upewniając się, czy nikt nie zagląda tam, gdzie nie powinien. Intrygowało ją, co dzieje się za tymi oknami, choć w gruncie rzeczy nie chciała tego wiedzieć.

– Co się tam może dzieć za tymi oknami?

Głos Siergieja bezskutecznie próbował odwrócić bieg jej myśli.

– Nic, czym miałybyś się przejmować.

– Dlaczego tam się zawsze palą światła?

Jej uwagę zwrócił żółtawy odcień tych światel. Nie było to światło białe, nie było jasne, można by pomyśleć, że zaraz po wejściu do wnętrza budynku zrezygnowało z zamiaru oświetlania czegokolwiek. Sprawiało wrażenie światła chorego, drżącego, wyniszczzonego i sztucznego, podobnie jak życie, które toczyło się w budynku. A czasami

zakłócały je cienie, nijako wyglądające sylwetki zdeformowane przez brudne, ciemne, brązowawe refleksy.

– Mówią – ciągnęła dalej Lina – że to właśnie tam przywożą zatrzymanych i tam kończą ci, którzy znikają.

– Jeśli nic nie zrobiłaś, nie musisz się martwić, że tam skończysz.

Lina przyjrzała mu się. Nie wiedziała, czy jej mąż grzeszy naiwnością, czy powierzchownością sądów, ale nie podobała jej się ta odpowiedź, a jeszcze mniej ton jego głosu, dobrany tak, aby żona porzuciła temat rozmowy. Siergiej nie lubił rozmawiać, choćby i szeptem, w samochodach prowadzonych przez szofera, i to niezależnie od tego, czy kierowca był im znany, czy nie. Szept był nowym językiem stosowanym w Moskwie, a społeczność miasta przyswajała go sobie bardzo szybko. Siergiej nie chciał się bać, ale to wcale nie znaczyło, że się nie bał. Na dodatek tej nocy jego umysł był zajęty innymi sprawami. Zrobił gest, jakby chciał się nimi podzielić z żoną, kiedy nagle głos kierowcy zaskoczył ich oboje.

– Mówią, że to najwyższy budynek w Moskwie, bo już z piwnicy świetnie widać Syberię.

Oboje napotkali wzrok szofera, patrząc we wsteczne lusterko. Wydawało się, że jego oczy nie poruszają się i są pozbawione wyrazu, że nie ma w nich życia. Nawet najdrobniejsze zmrużenie powiek nie zmąciło jego spojrzenia po tym, jak rzucił swój komentarz, tak jakby nawet nie zauważył obecności pasażerów zajmujących tylne siedzenie. Ani na moment nie oderwał oczu od bruku jezdni. W końcu Lina i Siergiej zaczęli mieć wątpliwości, czy to rzeczywiście z jego ust usłyszeli makabryczne słowa. Jeśli był to żart, nie okazał się śmieszny. W każdym razie nikt w samochodzie się nie zaśmiał.

Lina wolała posłuchać o innych sprawach, które zajmowały umysł Siergieja. One też nie nastrajały nadmiernie optymistycznie.

– Nie uda nam się spędzić razem letnich wakacji. Nie ma dostatecznie dużo miejsc w domu wypoczynkowym w Kisłowodzku. Próbuję ci zarezerwować pokój w jakimś hotelu w pobliżu miasta. Rozmawiałem z kierownictwem hotelu Intourist. Jest niedaleko, dziesięć minut spacerem.

Lina słuchała go, nie mogąc zrozumieć, co mąż do niej mówi. Wiedziała, że Kisłowodzk jest ulubionym miejscem pobytu artystów, którym partia pomagała spędzić sezon wakacyjny w warunkach umożliwiających pracę bez żadnych przeszkód. Dlatego często nie rezerwowano miejsc dla krewnych, którzy zawsze mogli stanowić czynnik rozprasający i odciągając głównych gości od pracy.

– Ale to nic strasznego. Jeszcze zobaczymy, jak to rozwiążemy – ciągnął dalej Siergiej. – Przecież możesz spędzić kilka dni w Soczi. Lubisz morze i dzieci też wołałyby być tam.

Lina nie słyszała już reszty wyjaśnień. Pozostała przy zdaniu „To nic strasznego”. Byli w kraju, w którym działo się wiele strasznych rzeczy, a jednocześnie nie działo się nic strasznego. Nie chodziło o to, że miała jakąś szczególną ochotę cieszyć się urokami uzdrowiska położonego na północnym Kaukazie, gdzie życie płynęło monotennie i było pozbawione innych zajęć niż kąpiele w gorących źródłach, spacer po wsi, turnieje

tenisowe, partie szachów i spożywanie potraw kojarzących się raczej z dietą szpitalną niż z ośrodkiem wypoczynkowym. Ale Lina nigdy nie spędziła wakacji z dala od męża, chyba że zmuszała ją do tego praca. A teraz miałyby ich rozdzielać sześćsetkilometrowy odcinek szosy, którego pokonanie – gdyby któreś z nich postanowiło odwiedzić drugie – zajęłoby około dziesięciu godzin. Nie wydawało się to zbyt zachęcające.

Kiedy dotarli do domu, dzieci już leżały w łóżkach. Lina nie odzywała się, żeby uniknąć kolejnej kłótni. Siergiej zamierzał zamknąć się na parę godzin w gabinecie i popracować nad kilkoma partyturami, choć nie planował dotykać fortepianu. Dzieci spały, a sąsiedzi przynajmniej próbowali zasnąć. Nie była to pora, w której powinna rozbrzmiewać muzyka.

Uwadze obojga małżonków nie uszła zastygła w przerażeniu twarz Frosi – kobiety, która opiekowała się Olegiem i Światosławem, a także zajmowała się domem.

– Co się dzieje? – spytał Siergiej, omiatając wzrokiem mieszkanie, jakby szukał powodu takiej zmiany w wyrazie twarzy gosposi.

– Frosia, mów wreszcie!

Lina uwielbiała tę kobietę. Była ona dla niej kimś więcej niż jedną z zatrudnianych przez Prokofiewów osób. Od pierwszego dnia każda z nich odnalazła w drugiej sojuszniczkę, której można było zaufać – co było niesłychane na tej ziemi pełnej zrad i fałszywych donosów. Rozumiały się nawet wtedy, gdy milczały. Porozumiewały się wówczas wzrokiem. Dlatego Linę tak bardzo zaniepokoił wyraz twarzy Frosi.

– Nic państwo nie słyszeli? – Siergiej i Lina musieli podejść bliżej, bo jej głos sprawiał wrażenie, że wisi na nitce, która za chwilę się urwie. – Zabili Michaiła Tuchaczewskiego. Powiedział mi syn, Wasilij, wiecie państwo, że pracuje w biurze – dodała tytułem usprawiedliwienia. Zawsze tak robiła, kiedy chciała pokreślić, że chodzi o biuro na Łubiance, jakby czuła się winna albo skażona jakimś dyshonorem z powodu miejsca pracy syna. – Tuchaczewskiego zatrzymali kilka dni temu agenci NKWD i przewieźli na Łubiankę. Dzisiaj go osądzili i natychmiast przeprowadzili egzekucję, o jedenastej w nocy. Jego i siedmiu innych wysokich dowódców wojskowych.

– Ale Natalia nic mi nie mówiła, że jej mąż został zatrzymany. – Lina powtórzyła to imię jeszcze kilka razy. „Natalia, Natalia”. Nie była w stanie sobie wyobrazić, co ta kobieta musi przechodzić.

– Takich rzeczy się nie mówi. Wątpię zresztą, czy w tej chwili zna już los swojego męża – podsumowała Frosia.

– Muszę iść się z nią zobaczyć. Trzeba jej to powiedzieć – rzuciła Lina.

– Nigdzie nie pójdziesz – zarządził Siergiej poważnym tonem, który sprawił, że Lina zatrzymała się w pół kroku. – Oszalałaś? Wiesz, która jest godzina? Nie mówiąc już o...

– O czym, Siergieju? Nie mówiąc o czym? – Zabolało ją spojrzenie męża, zapewne tak samo jak i jego ta wymiana zdań.

Frosia, jak to miała w zwyczaju, próbowała łagodzić. Zwykle robiła to z dobrym skutkiem.

– Pani mąż ma rację. Teraz nigdzie pani nie powinna chodzić. Nie jest bezpiecznie ani dla pani, ani dla Natalii Sats. Nie mówiąc o tym, co się może stać z moim synem, jak

się dowiedzą, że ta wiadomość wyszła od niego.

– Pani też nie powinna wychodzić. Jest za późno – zasugerował Siergiej.

Frosia liczyła na to, skoro już odmówiła powrotu do domu z synem, kiedy przyszedł po nią, tak jak to robił każdego wieczoru. Chciała bowiem zostać i osobiście przekazać wiadomość Prokofiewom. Wiedziała, że Lina blisko się przyjaźni z żoną Michaiła Tuchaczewskiego, więc uważała za swój obowiązek powiedzieć jej o tym.

– Będzie lepiej, jeśli spędzi pani noc u nas – zaproponował Siergiej, który zaczął już zdejmować marynarkę. Lina nie mogła zrobić tego samego z płaszczem. Była zziębnięta, czuła, jak wewnątrz jej ciała rozsiada się ostro tnący mróz, który wywołuje w niej dreszcze. Mąż podał jej filiżankę gorącej herbaty, którą z wdzięcznością przyjęła. Jeszcze bardziej doceniła ramię, którym Siergiej ją otoczył, próbując powstrzymać drżenie jej ciała. Pocałował ją w czoło i patrzył przez kilka chwil w jej oczy.

– Już wiesz, co dzieje się za tymi oknami.

Wiedziała wiele rzeczy, których wolałaby nie wiedzieć. Rozkazy Politbiura i samego NKWD wydane władzom lokalnym i regionalnym – często za pośrednictwem telegramów albo zwykłych rozmów telefonicznych – ustalały normy aresztowań i procesów w trybie przyspieszonym, bez prawa do obrony, przeprowadzanych przez doraźnie zwoływane trybunały. Powrócono nawet do instytucji „trojek”, z której korzystano w czasie rosyjskiej wojny domowej do sądzenia wrogów i skazywania ich na śmierć – kiedy zemsta zastępowała rządy prawa. Narzucono minimalny limit egzekucji, deportacji i wysyłek do prac przymusowych. W zależności od stopnia brutalności poszczególnych instancji administracyjnych normy te mogły być przekraczane. Wyznaczone limity trzeba było zrealizować i nie miało znaczenia, czy należy w tym celu kłamać, fałszować fakty, wykorzystać okazję, żeby się na kimś zemścić, a czasem sięgnąć do własnych szeregów.

– W więzieniu ani w obozach pracy nie kończą wrogowie, przeciwnicy, kontrewolucjoniści, tylko prawdziwi bolszewicy, członkowie partii. Lenin siedziałby dziś na Łubiance, a Marks umierałby w obozie na Syberii – komentowała ścisłym głosem Frosia, kiedy były z Liną same w domu. Częściowo opierała się na tym, co opowiadał jej syn, częściowo na tym, co sama widziała.

W tajnych archiwach przechowywanych w biurach NKWD pracowała od rana do nocy grupa urzędników, których zadaniem było prowadzenie księgowości terroru i przekształcenie go w zwykłe dane liczbowe. A nie wszystko rejestrowano. Nie było czasu ani ochoty, żeby to robić.

– Kogo to w końcu obchodzi? Poza tym lepiej, żeby te informacje nie dostały się w czyjeś ręce; a jeśli któregoś dnia się dostaną, rewolucja będzie wdzięczna, że dane nie były całkiem prawdziwe – mawiali niektórzy przywódcy partyjni, a sędziowie im przytakiwali.

Archiwa mówiły o ponad półtora miliona zatrzymanych rocznie. Z tej liczby prawie siedemset tysięcy skazywano na śmierć.

– Nie zaokrąglajmy liczb. Każda liczba to osobny człowiek i nazwisko, a także cała grupa krewnych i przyjaciół, na których przyjdzie kolej później. NKWD zatrzymuje setki tysięcy osób, wiele z nich rozstrzeliwuje.

Tak mówił Wasilij, który rozklejał się dopiero po przekroczeniu progu własnego domu. Syn Frosi był właśnie jednym z tych urzędników, zawsze poważnych, sztywnych, zdyscyplinowanych. Próbował zachować zdrowie psychiczne i starał się, żeby ciągi liczb, które defilowały przed jego oczami jak armia mrówek, nie docierały do mózgu pod postacią prawdziwych historii ludzi z krwi i kości, mających własne rodziny, marzenia, ideały... Jego człowieczeństwo by tego nie zniosło. Musiał zastąpić uczucia szczegółami technicznymi, podejść do emocji w sposób mechaniczny, zamienić się w zwykłego księgowego rzeczywistości, nie skupiać się na wrażeniach. Musiał uszczelnić własne oczy i głowę, ale kiedy docierał do domu i spotykał się z matką, pozbywał się nieprzemakalnej powłoki. Mężczyzna o surowym wyrazie twarzy przekształcał się wtedy w nieśmiałe dziecko. Ciężar potworności, które przewijały się codziennie przez jego biurko w pokoju na Łubiance, miażdżył go.

– Nie wiem, czego oni chcą. Nie rozumiem, dokąd to zmierza. W każdej chwili wszyscy możemy się okazać winni, wystarczy, że ktoś wyda rozkaz aresztowania nas. A nawet i tego, kto ten rozkaz sformułuje. To naprawdę jest jakieś szaleństwo.

Kilka dni później, wbrew radom Siergieja, Lina poszła spotkać się z Natalią Sats. Dyrektorka Dziecięcego Teatru Muzycznego wyglądała na zaskoczoną tą wizytą. Sama wtajemniczyła Linę w przebieg wydarzeń ostatnich dni. Od pewnego czasu mąż Natalii wiedział już, że jest podejrzewany. Nie było ważne, że chodzi o jednego z najzdolniejszych dowódców wojskowych, jakimi dysponowała Rosja i sam Stalin, że jego młodość i odwaga pozwoliły zmodernizować radziecką armię.

– Od początku roku wiedział, że istnieje teczka z jego nazwiskiem, w której znajdują się oskarżenia, że planuje obalenie Stalina. Stwierdził to jeden z generałów Białej Armii mieszkający w Paryżu i pracujący dla tajnych służb niemieckich, dla Reinharda Heydricha, drugiego w hierarchii SS po Heinrichu Himmlerze. Michaił pamiętał świetnie jego nazwisko: Nikołaj Skoblin. To wszystko jest takie absurdalne... Jak mogli uwierzyć w raport napisany przez jego wroga z czasów wojny domowej? Ale Michaił idealnie pasował jako cel intrygi, która miała wzbudzić podejrzenia agentów NKWD: często podróżował do Niemiec, do Londynu i do wielu innych krajów. Ale jeździł przecież dlatego, że Stalin go wysyłał, żeby opracowywał raporty! – Natalia próbowała powstrzymać emocje i choć było to dla niej trudne, udało jej się opanować. – Heydrich przekazał informację Hitlerowi, który dostrzegł świetną okazję, żeby osłabić radziecki Sztab Generalny za pomocą fałszywego donosu. Ale Niemcy nie mogli tego podsunąć Rosjanom, bo byli ich wrogami i wiedzieli, że władze radzieckie im nie uwierzą. Uknuli więc całą intrygę: informacja dotarła do czeskich tajnych służb, które niezwłocznie zawiadomiły czechosłowackiego prezydenta. Niemcy wiedzieli, że Benes jest przyjacielem Stalina i przekaże mu wiadomość. W maju dokumenty trafiły do rąk Stalina. Wtedy już nikt nie mógł go powstrzymać. Ktoś powiedział o wszystkim Michaiłowi. Ostrzegano go, żeby był ostrożny, że po niego przyjdą, że podejrzenia o kierowanie spiskiem przeciwko władzy stalinowskiej są coraz silniejsze. Ale on nie chciał w to wierzyć. – Natalia nie potrafiła już powstrzymać płaczu.

– Nie musisz mi już nic opowiadać. Uspokój się, proszę cię. To ci szkodzi. Nie potrzebuję więcej wyjaśnień. Wiem doskonale, kim był twój mąż i kim ty jesteś.

– Ale ja potrzebuję o tym opowiadać. Chcę to robić. Nie pozwolę, żeby mnie uciszyli, żebym nie mogła opowiadać, jak zamordowali mojego męża po tym, jak przez całe życie im służył. – Napiała się wody i mówiła dalej. – Zatrzymali go i torturowali przez kilka dni. Wyobraź sobie, jakie musiały być te tortury, skoro się przyznał, że został zwerbowany jako agent niemiecki w 1928 roku i że konspirował razem z sekretarzem generalnym komitetu wykonawczego partii, a przy tym przeciwnikiem Stalina, Nikołajem Bucharinem. Możesz w to uwierzyć? Po tym, co zrobił dla swojego kraju, dla rewolucji, dla partii, dla Stalina...! I zabili go jak psa, w nocy, strzałem w tył głowy, a ciało wrzucili do anonimowego grobu. Nawet mi nie powiedzieli, gdzie jest.

– Próbujemy coś zrobić, żeby się dowiedzieć – skłamała Lina.

Wiedziała, że tajemnice Łubianki są pogrzebane kilka metrów pod ziemią i przysypane grubą warstwą wapna, choć jeszcze grubsza jest zalegająca nad nimi warstwa milczenia. W tym właśnie tkwiła główna siła tamtych: w milczeniu, które stało się najważniejszym narzędziem represji i przymusu.

– Próbujemy – mówiła dalej Lina. – Mam znajomą, której syn tam pracuje, może jak z nią pomówię...

– I ściągniesz kłopoty na innych ludzi? – spytała Natalia, patrząc na nią z poruszającym bólem i smutkiem. – Jaka szkoda, że nie poznałyśmy się w innym miejscu i w innym czasie. Mogłybyśmy dokonać razem wielkich rzeczy.

Żegnając się, Lina poczuła, że Natalia obejmuje ją, jakby widziały się po raz ostatni.

– Całe życie będę ci wdzięczna, że przyszłaś się ze mną spotkać. Ale nie przychodź więcej. Pilnują nas, chodzą za nami i wiem, że będą nas obserwować, bo jesteśmy jego rodziną: jego matka, siostry, ja... A najbardziej się martwię o naszą córkę.

– Co będziesz robić? Jak mogę wam pomóc? – spytała Lina, nie mogąc opanować niepokoju. Natalia uśmiechnęła się.

– Jak łatwo zauważyć, że nie masz w żyłach rosyjskiej krwi – odpowiedziała z pewną czułością w głosie. – Jedyne sposoby, żeby mi pomóc, to iść sobie, zniknąć z mojego życia. Nie mogą cię ze mną zobaczyć. To bardzo niebezpieczne. Masz dzieci, męża. Nie ryzykuj i nie przychodź więcej, nie spotykaj się ze mną.

Lina posłuchała rad Natalii i opuściła budynek tylnym wyjściem. Z radością przyjęła uderzenie lodowatego powietrza, które poczuła natychmiast, gdy znalazła się na zewnątrz. Przeszła kilkadziesiąt metrów, próbując zapanować nad trwogą, jaka ją wypełniała. Ilekroć dowiadywała się o zatrzymaniu i egzekucji znajomego albo jakiejś osoby publicznej, nie potrafiła się powstrzymać od wyobrażenia sobie tej sytuacji we własnej, domowej rzeczywistości. Co by było, gdyby kiedyś coś takiego stało się z Siergiejem? Co mogłaby zrobić? Jak miałyby zareagować? Na kogo mogłaby liczyć? Czy ktoś przyszedłby do niej z propozycją pomocy, tak jak ona chciała pomóc Natalii? Słowa przyjaciółki dźwięczały w jej głowie: „Jak łatwo zauważyć, że nie masz w żyłach rosyjskiej krwi”. Oczywiście, że miała w sobie rosyjską krew, jej matka była Rosjanką, tak jak i jej dziadkowie, ale nie była to odpowiednia chwila na rozważania genealogiczne czy genetyczne. Uwaga Natalii skupiała się na cudzoziemskim pochodzeniu Liny.

Miała zamiar wsiąść do metra, ale w końcu uznała, że woli przejść się ulicami Moskwy. Dzień, niezależnie od wszystkich wydarzeń, był piękny i jasny, co pomagało



odnaleźć trochę spokoju. Lina chciała pooddychać świeżym powietrzem. Do zmartwień, które zostały w niej po wizycie u Natalii, doszło nieprzyjemne uczucie, od którego nie potrafiła się uwolnić, tak jak od zapachu jedzenia, którym przesiąka ubranie w restauracji i który czują później wszyscy poza noszącym je. Po raz pierwszy miała dziwne wrażenie, że ktoś za nią idzie. Być może było ono całkiem mylne. Może wynikało z tego, co opowiedziała jej właśnie Natalia, i z ostrzeżenia, że ryzykowne jest pokazywanie się w jej towarzystwie. Ale ku swojemu zaskoczeniu Lina co pewien czas spoglądała za siebie. To nieprzyjemne uczucie towarzyszyło jej potem przez kilka dni czy nawet tygodni.

Kiedy Siergiej dowiedział się o wizycie żony u Natalii, nie był w stanie powstrzymać gwałtownej reakcji. Wywiązała się między nimi jedna z najnieprzyjemniejszych kłótni, w jakich kiedykolwiek uczestniczyli. Pożytek z niej był przynajmniej taki, że w jej trakcie opadały im z oczu różne zasłony.

– Jesteś całkiem bezmyślna. Jak mogło ci to przyjść do głowy? Narażasz na niebezpieczeństwo dzieci, mnie, nie mówiąc już o sobie. Nie zdajesz sobie sprawy, gdzie jesteś?

– To raczej ty tego nie wiesz.

– Wiem doskonale. I boli mnie to bardziej niż ciebie. Co chcesz, żebyśmy zrobili? Przeciwstawił się im, pokazał światu, jaki jestem odważny, tak jak to zrobił Michaił Tuchaczewski? No i powiedz, do czego mu się to przydało? Zrobił ze swojej żony wdowę, a z córki sierotę. Sądziś, że będzie nam lepiej, jeśli na każdym koncercie, kolacji czy przyjęciu będę wymieniał nazwiska Tairowa i Szostakowicza, tak jak ty to robisz? Bo pokazujesz światu, że wielka Lina Prokofiew nikogo się nie boi i unosi się ponad dobrem i złem, nie tak jak my pozostali, kompletni kretyni? Sądziś, że jeślibym się popisywał znajomością ostatniego dekretu zatwierdzonego przez NKWD, zgodnie z którym represje i areszt policyjny powinny obejmować także małżonków i dzieci skazanych, nasza sytuacja by się poprawiła? Czy według ciebie nie boli mnie, że musiałem przestać się widywać z przyjaciółmi i z kolegami, że nie mogę o nich głośno mówić, kiedy znikają, bo czyjś kaprys zrobił z nich wrogów ludu? Że dla mnie nie jest odrażające przechodzić codziennie przez plac, który nosi nazwisko ojca Czeki? Przecież to było jedno z głównych źródeł terroru, w którym żyje ten kraj, tej czarnej dziury pochłaniającej różne osoby, które kochałem i Kocham. Myślisz, że się nie boję, kiedy Komitet Centralny zakazuje Eisensteinowi pracy nad jego *Łąkami Bieżyńskimi*, bo uznaje ten film za niewłaściwy i zdeprawowany, więc grożą reżyserowi, że go osądzą i rozstrzelają, jeśli się z niego nie wycofa? – pytał Siergiej wyraźnie poruszony. – Wydaje ci się, że się nie boję? Przecież mogę być następny, bo pracuję nad muzyką do jego nowego filmu *Aleksander Newski*. Naprawdę myślisz, że nie chciałbym pobiec i uściskać wdów po tych ludziach, ich dzieci i rodzeństwa? Masz się za kogoś lepszego niż ja, mądrzejszego? Przykro mi, jeśli masz mnie za egoistę, bo siedzę cicho i staram się iść dalej. Bo kiedy inni przeżywają trudności, ja dostaję coraz to nowe zamówienia, występuję, oklaskują mnie, piszą o mnie dobre recenzje. Ale przeżywam też wiele rozczarowań, często jestem cenzurowany, dostaję ostrzeżenia, których słucham, i postępuję zgodnie z nimi, bo nie mam innego wyjścia. Ale to nie znaczy, że nie jestem wrażliwy na wszystko, co się dzieje wokół mnie. Jeszcze lepiej to rozumiem i znajduję sposób, jak sobie z tym najlepiej poradzić... najlepiej dla

mnie i przede wszystkim dla moich najbliższych.

Lina nie wiedziała, jak zareagować na ten potok szczerości, który rozlał się w mieszkaniu przy ulicy Czkałowa. Krzyki Siergieja nigdy wcześniej nie były tak głośne, jego oczy nigdy nie promieniowały taką nienawiścią i niechęcią jak teraz. Przestraszyła się. Nie miała pojęcia, jak zakończyć tę scenę, której towarzyszyło ogromne napięcie.

– Siergiej, ja...

– Może przestałabyś mi powtarzać, żebym otworzył oczy, i sama je otworzyła? Usiłuję uratować swoją rodzinę! Próbuję nie dopuścić do tego, żeby moja żona i synowie znaleźli się w sytuacji, z której nie ma wyjścia! – Siergiej złapał ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć, żeby przywrócić jej rozum, żeby wreszcie zrozumiała jego zachowanie i przestała potępiać go za bierność. – Lina, jesteś cudzoziemką, nasi synowie są cudzoziemcami. Ja jestem kompozytorem, który walczy, żeby przeżyć. Po to, żeby moja rodzina nie trafiła któregoś dnia za te żółte okna na placu Dzierżyńskiego, które cię tak interesują. Przełknę własną dumę, próżność, godność, żółć, krew, całą moją duszę, jeśli to będzie konieczne. I proszę cię tylko, żebyś zrobiła to samo. Nie sądzę, żebym miał zbyt wygórowane oczekiwania.

Lina przyglądała mu się, jakby stał przed nią po raz pierwszy w życiu. Widziała człowieka o nieznanym jej rysach twarzy, wyrzeźbionej w glinie i w ogniu, o spojrzeniu przepelnionym strachem i głosem przechodzącym od szeptu do krzyku rozpacz. Siergieja przestała otaczać aura nieświadomości, która do tej pory wydawała się rządzić jego zachowaniem. Obnażył się przed kobietą, której przysięgał miłość, szacunek i opiekę. Było oczywiste, że Prokofiew świetnie zdaje sobie sprawę, co dzieje się w jego kraju. Codziennie przeżywał to w milczeniu, które było jedyną prawdziwą muzyką słyszalną w Moskwie. Zaprzeczanie rzeczywistości, odwracanie wzroku i kierowanie go na czarne i białe klawisze fortepianu było sposobem ratowania siebie i rodziny. Lecz niezależnie od wymowy faktów Siergiej był przekonany, że ta sytuacja jest przejściowa, że nie może długo trwać. Sądził, że wszystko minie i powróci normalność. Trzeba to tylko przeczekać, nie robiąc hałasu, po prostu komponując muzykę, i – z całą naturalnością, na jaką ich było stać – unikać wszystkiego innego. Przyglądając się reakcji męża, Lina poczuła, że to ona była przez cały czas ślepa. Po tym, gdy rzeczywistość, za którą Siergiej tak długo tęsknił, a której teraz tak bardzo nie znośił, doprowadziła go do wybuchu. Wyglądał na wyczerpanego, pokonanego, był na skraju załamania fizycznego i psychicznego.

– Przepraszam, ja... – zaczęła się jękać.

– Chyba dobrze nam zrobi, jeśli spędzimy letnie miesiące oddzielnie – uznał Siergiej. – Oboje się uspokoimy. Kiedy wrócimy, wszystko będzie inaczej.

Te słowa po raz pierwszy wzbudziły w Linie strach, że może go utracić. Zaczęły ją dręczyć podejrzenia. Było to coś, czego nigdy nie potrafiła znieść. Woląca śmierć, więzienie, niesprawiedliwy wyrok, wszelkie cierpienia i tortury – byle tylko nie utracić Prokofiewa. Tej ewentualności nie dopuszczała. Czuła się tak, jakby ktoś otoczył jej serce stalową obręczą i teraz mocno ją zaciskał. Musiała usiąść, bo bała się, że na skutek zaburzeń krążenia zakręci jej się w głowie i upadnie. Jakaś chmura przesłoniła jej myśli. Wiedziała, co się dzieje w ośrodkach wypoczynkowych. Znała różne opowieści, między innymi żony Afinogienowa, która opowiadała jej pośród chichotów i żartów, że te miejsca

wakacyjnych wyjazdów zachęcają do przygód, krótkich romansów żyjących tyle, ile trwa lato, stanowiących zwykłą rozrywkę, jeszcze jeden rodzaj urlopowej aktywności. Lina z trudem wyobrażała sobie Siergieja w takich okolicznościach, wydawało jej się to nawet śmieszne, ale i tak strach zaczął ją parzyć od środka.

– Zostawisz mnie? – spytała zaniepokojona możliwością usłyszenia odpowiedzi twierdzącej. – Tego byś chciał? Do tego to wszystko zmierza?

– Nigdy nie byłbym w stanie tego zrobić, choćbym chciał – odpowiedział przybity.

Mówił szczerze. Nadal ją kochał, nie chciał jej stracić, nie potrafił zrezygnować z niej jako towarzyszki życia, ale napięcie między nimi zaczęło kruszyć ich związek, do tej pory idealny.

– Nie da się ciebie zostawić, choć dzielą nas tysiące kilometrów – powiedział.

Nadeszło lato i każde z nich działało zgodnie z ustalonymi wcześniej planami. Lina z dziećmi pojechała do Soczi. Mieli tam cieszyć się morzem, piaskiem i słońcem, za którym tak tęskniła, próbując przetrwać próby ogniowe, jakim poddawało ją życie. Siergiej udał się do ośrodka w Kisłowodzku. Pomimo pospiesznego rytmu jego pracy prawie codziennie pisał do żony listy. Opowiadał jej – jak to zawsze robił – o swoich postępach w komponowaniu, o nowych pomysłach, o trudnościach, jakie sprawiają mu niektóre utwory, omawiał też ze szczegółami swój codzienny rozkład zajęć, kąpiele w rzece, spacer. Opowiedział o prawie pięciogodzinnej pieszej wycieczce na górę Siodło i o rozczarowaniu, jakiego doznał, nie mogąc podziwiać w całej okazałości wulkanu Elbrus, jako że dzień był zbyt pochmurny. Zrelacjonował Linie spotkanie z Tairowem, który mówił mu o nowym projekcie teatralnym, tym razem opartym na komedii Sheridana<sup>31</sup> *The Duenna*. Sprawa byłaby aktualna, gdyby sytuacja się nieco uspokoiła po tym, jak władze pozbawiły Tairowa teatru, przekształcając jego placówkę w teatr Stanisławskiego. Siergiej opisywał w listach do żony żarty, jakie robili z Eisensteinem, zabawiając się rozmaitymi gramami słownymi, pisał też o swoich wątpliwościach, czy balet *Romeo i Julia* powinien mieć szczęśliwe zakończenie, co zubożyłoby oryginalny przekaz. „Muszę znać twoją opinię, nie wierzę już sobie samemu, a jeszcze mniej Radłowowi, który w tym roku jest jakiś zmieniony, trochę przesłodzony i ciągle pyta mnie o ciebie”. Tego typu zdania były jak tlen dla cierpiącej na emocjonalną klaustrofobię Liny. Podobało jej się, kiedy Siergiej zaczynał listy od słów „Kochany Ptaszku” – czulego przydomka, którego na pewnym etapie życia w Paryżu nie znosiła, ale które teraz brzmiało w jej uszach jak muzyka. Uśmiechała się, czytając, jak w stołówce ośrodka wypoczynkowego zrobiono z jej męża zwykły numer – usłyszał, jak jedna z kelnerek mówi o nim jako o kliencie numer 173. Za każdym razem, kiedy odczytywała na nowo korespondencję od Siergieja, skrupulatnie badała każdą zapisaną ręcznie kartkę i oddychała z ulgą, kiedy nie pojawiała się na niej żadne żeńskie imię. Rozumiała, że to całkiem absurdalna pocięcha, że gdyby coś się działo między jej mężem a jakąś kobietą, Siergiej i tak nie pisałby o tym. Ale znała go świetnie, umiała czytać między wierszami i interpretować jego przemilczenia, słowa, chwytne składniowe, kropki, a nawet maleńkie plamki pojawiające się na kartach jego listów. Łączyła ich więź tak silna i prawdziwa, że wydawało się niemożliwe, aby któreś z nich odważyło się kiedykolwiek ją przerwać. Oddychała z ulgą, mając pewność, że z korespondencji nie wyłania się widmo oszustwa, potknięcia się,

krótkiej przygody. W jednym z ostatnich listów Siergiej wspominał o pewnym pomysle, wciąż jeszcze istniejącym w formie ogólnego zarysu: myślał o skomponowaniu czegoś do bajki o Kopciuszku. Pisał o tym w końcowej części listu i Linę wprowadziło w dobry humor ostatnie zdanie: „Ty zawsze będziesz moim Kopciuszkiem”. W dowolnej innej chwili te słowa mogłyby jej się wydać infantylne, afektowane, może nawet ckliwe, ale kiedy teraz padał na nie jej wzrok, stawały się pokrzepieniem dla duszy.

Przez całe lato Siergiej pracował intensywnie nad muzyką do filmu Eisensteina *Aleksander Newski*. Reżyser, po publicznym odcięciu się od zrealizowanych przez siebie *Łąk Bieżyńskich*, dostał drugą szansę kontynuowania pracy nad *Newskim* i dzielił z Prokofiewem letni wypoczynek w Kisłowodzku. Stalin nadal nie miał do niego zaufania, ale jako wielki miłośnik dziesiątej muzy zdawał sobie sprawę, że Eisenstein jest prawdziwym mistrzem, szczególnie przy montażu. Poza tym w Kisłowodzku Siergiej miał czas wziąć się za komponowanie kolejnej opery, *Siemiona Kotko*, którą zaproponował mu Meyerhold. Prokofiew czuł przyływ energii, był przygotowany do realizowania nowych projektów i zdecydowany walczyć o spodziewane sukcesy.

Ponowne spotkanie okazało się jedną z najważniejszych chwil, jakie w ostatnich czasach przeżyło małżeństwo Prokofiewów. Nie mogli się pogodzić w sprawie tego, kto bardziej tęsknił za drugim. Siergiej znów zachwycał się nad jedynymi w swoim rodzaju uśmiechami Liny, ona zaś ponownie czuła się centrum wszechświata Prokofiewa. Wątpliwości, lęki i pretensje w czarodziejski sposób zniknęły. Ostatecznie okazało się więc, że Siergiej miał rację: czasami trzeba się zatrzymać i głęboko odetchnąć, żeby uspokoić myśli, nabrać właściwej perspektywy, wprowadzić trochę spokoju w pełną napięcia sytuację. Kiedy Lina pomagała mu rozpakowywać bagaż z Kisłowodzka, odkryła, że przywiózł nie tylko partytury, papier nutowy, zeszyty i niezliczone ręczne zapiski. Między ubraniami i materiałami związanymi z pracą Siergiej umieścił coś jeszcze. Jak każdy dobry prezent, była to rzecz nieoczekiwana.

– Jedziemy w podróż po Stanach Zjednoczonych. Oboje. Za parę miesięcy. – Wiedział, że zaskoczył żonę i że sprawił jej przyjemność. Od dawna nie udało mu się tego dokonać przy użyciu słów, więc robił to za pomocą swojej muzyki. – Trzeba zacząć się przygotowywać. Rok minie szybko, zanim się obejrzyysz.

Lina nie mogła w to uwierzyć. Wyjazd ze Związku Radzieckiego? Dali mu na to pozwolenie?

– Przysięgnij. Powiedz, że to prawda, że nie żartujesz.

– Nie mam zwyczaju żartować. Znasz mnie przecież. Nie jestem w tym dobry.

– I będziemy mogli pojechać też do Paryża, spotkać się z moją matką? I do Londynu? Powiedz, będziemy mogli? – pytała, przytłoczona wiadomością.

Siergiej zapewniał ją, że wszystko będzie możliwe. Umysł Liny zaczął się wypełniać planowanymi spotkaniami, które później będzie wspominać, osobami, które trzeba będzie zobaczyć i zacieśnić więzi z nimi, miejscami, do których warto pojechać i gdzie można mówić normalnym głosem, restauracjami, gdzie na stołach pojawiają się najwykwintniejsze smakołyki, sklepami, w których można się zatracić w poszukiwaniu rzeczy zaspokajających zarówno potrzeby, jak i kaprysy. Czuła się tak, jakby jej wnętrze miało za chwilę eksplodować. Szczęście przepelniało ją do tego stopnia, że zapomniała

o śmiechu. Nie było ważne, jak Siergiej to osiągnął, kogo musiał prosić o pozwolenie ani z jakiego tajemniczego powodu zgodzono się na podróż obojga Prokofiewów. Nie interesowało jej też, dlaczego mąż nie wspomniał o takiej możliwości wcześniej. Pomyślała, że pewnie nie chciał jej robić złudzeń, póki nie będzie pewien, że wszystko się uda. Nic jej to nie obchodziło. Życie znów zaczęło się do niej uśmiechać, znów otworzyło się przed nią i nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły. Czy one mogły wpłynąć na ostateczny wynik?

– Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym chłopcom. Zobaczysz, jakie miny zrobią, kiedy się dowiedzą o podróży. Nigdy nie byli w Stanach Zjednoczonych.

– Oni nie jadą. – Odpowiedź Siergieja sprawiła, że z twarzy Liny w jednej chwili zniknęła cała radość.

– Jak to nie jadą?

– Zostaną tutaj. To nie jest podróż dla dzieci. Będziemy nieustannie w drodze i w pracy. Będzie dla nich lepiej zostać w domu, niż przenosić się z hotelu do hotelu.

– Ale Siergiej... – Nie była w stanie znaleźć słów, żeby opisać swoje rozczarowanie.

– Tak będzie lepiej – powiedział, zdając sobie sprawę, że nie uda się jej oszukać. – Inaczej się nie da. To jedyny warunek, jaki postawili.

Lina wszystko zrozumiała. Pozwalali im wyjechać, bo wiedzieli, że wrócą. Dzieci zostały użyte jako zakładnicy. Miały być okupem na wypadek, gdyby rodzice postanowili nie wracać do Związku Radzieckiego. Świetnie obmyślona strategia. Wszystko zostało przemyślane.

– Będą jeszcze inne okazje. Obiecuję ci.

<sup>29</sup> Ros. NKWD – *Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł*.

<sup>30</sup> Ros. *Czriezwyczajnaja Komissja* – Komisja Nadzwyczajna.

<sup>31</sup> Richard Brinsley Sheridan (1751–1816), irlandzki dramatopisarz i polityk.

Ktoś mógłby pomyśleć, że zadziałała jakaś magia. Kiedy tylko z mijanych peronów dworców kolejowych poznikały futra z nutrii, Lina odmłodziła o dwadzieścia lat. Oddalanie się od Związku Radzieckiego zadziałało jak zanurzenie się w źródle energii życiowej. Nie zdawała sobie sprawy z mimowolnej hibernacji, jakiej uległo jej ciało, dopóki nie dane jej było ponownie chodzić po londyńskim teatrze, do którego przyszli na przedstawienie *Piotrusia i wilka*, czy spacerować pod rękę z Siergiejem ulicami Warszawy. Prokofiew zawsze lubił Polskę, wydawała mu się ogromnie muzykalna, pełna artystycznej bohemy i sielankowa. Pobyt w Pradze nieco się przeciągnął, podczas gdy dni w Paryżu minęły niemal tak szybko jak błysk pioruna. Krótka wizyta u Olgi Niemyskiej, matczyne wymówki z powodu długich okresów milczenia i nieobecności córki, kilka krótkich spacerów według mapy dawnych wspomnień. Lina nie chciała wyjeżdżać z Paryża bez wizyty przy rue Cambon. Nie mogła wyjechać, nie uściskawszy Coco.

– Szczupłej figury nie należy doprowadzać do skrajności, moja kochana – zbesztła ją Chanel. Uściskawszy ją, uświadomiła sobie, że przyjaciółka zamieniła się w atrakcyjny worek z kośćmi. – Ile ty ważysz? Pięćdziesiąt kilogramów?

– Pięćdziesiąt jeden – poprawiła ją Lina, przyjmując z wdzięcznością kawę, którą podała jej jedna z pracownic salonu Coco. – Nie masz pojęcia, jaki triumf odniosłam w Moskwie dzięki płaszczowi, który mi podarowałaś. Są tam pewni, że zrobiłaś go z myślą właśnie o nich.

– O bolszewikach? Biedni ignoranci! Gdyby wiedzieli... – powiedziała, wspominając swojego kochanka, wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza, i perły dynastii Romanowów.

– Trzymam go jak klejnot u siebie w szafie.

– Moje ubrania powinny błyszczeć na ulicach, a nie być pokarmem dla moli – napomniła ją Coco wojskowym tonem.

– Nie wiesz, jak wyglądają ulice w Moskwie.

– Kiedy stamtąd wyjedziesz? – spytała Linę, poważniejąc nagle.

– Właśnie to zrobiłam – odpowiedziała z szerokim uśmiechem. Nie zmyliła jednak wykrywacza kłamstw zainstalowanego w oczach przyjaciółki, zaprawionej w tysiącach takich potyczek.

– Wiesz doskonale, o czym mówię. Nie udawaj głupiej. Nie znoszę głupich. A ty taka nie jesteś.

– Już niedługo – skłamała Lina.

Coco Chanel podeszła do stolika i otworzyła leżący tam mały kalendarzyk z białymi okładkami. Wyjęła z niego karteczkę, którą wręczyła Linie z prośbą, żeby przeczytała zapisane tam słowa.

– „Co stałoby się z marzeniami, gdyby ludzie byli szczęśliwi?”. Nie wiem, czy to najpiękniejsze zdanie, jakie słyszałam w życiu, czy najsmutniejsze – skomentowała Lina, otwierając szeroko oczy i robiąc pytającą minę, świadczącą o tym, że czeka na wyjaśnienie.

– Tyle zostaje po przystojnym kochanku, który pewnego dnia spalił na oczach grupy przyjaciół trochę rękopisów, zamieszkał w domu położonym obok klasztoru benedyktynów w Solesmes, gdzie postanowił szukać Boga, no i zostawił swoją żonę Henriette – powiedziała Coco, mając na myśli Pierre’a Reverdy’ego. – Namiętność, która dojrzewając, zamienia się w przyjaźń. Trzeba akceptować to, co los przynosi. Kupiłam prawa do jego utworów i sfinansowałam ich wydanie, tak żeby nic nie wiedział. A w rewanżu dostałam od niego kilka listów, do których go zainspirowałam. „Nie wiesz, kochana Chanel, jak cienie odbijają światło, a moja czułość do ciebie żywi się właśnie cieniami” – powtarzała, smakując każde słowo. – Uwielbiam go. Wiesz przecież, że moi kochankowie zostają ze mną, tak jak moje suknie zostają w kobiecych szafach, na zawsze. – Coco paliła bez przerwy, a dym spowijał jej sylwetkę mgłą tajemnicy. – Byłabyś nim zachwycona. Trochę mistyki, ale do zniesienia. Chociaż myślę, że twoje upodobania są zanadto rosyjskie, żeby docenić poetę francuskiego urodzonego w Narbonne. Bo rozumiem, że trzymasz się swojego niezłomnego wyboru. Czy mam rację? – spytała, odnosząc się do Prokofiewa. Lina przytaknęła, uśmiechając się. – Tak podejrzewałam.

– Chyba nikt nie napisał czegoś tak pięknego z myślą o mnie.

– Nie bądź niesprawiedliwa. Z myślą o tobie stworzono najpiękniejszą i najbardziej śmiałą muzykę. Mam dla ciebie coś jeszcze. – Coco poprosiła swoją asystentkę, żeby przyniosła suknię okrytą pokrowcem. Wręczyła ją Linie. W pokrowcu była kreacja z białej satyny wraz z peleryną zdobioną haftami i drogimi kamieniami. Lina zachwycała się tym strojem kilka lat wcześniej. – Chcę, żebyś ich całkiem pozbawiła tchu, tak jak ja ich pozbawiłam pereł Romanowów – powiedziała z typowym dla siebie sarkazmem. Widząc odmowny gest przyjaciółki, zaczęła ją uspokajać. – Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby w Paryżu ta suknia miała wiele okazji zabłysnąć. – Chanel nadal była jedną z lepiej poinformowanych kobiet we Francji, dzielono się z nią wieloma tajemnicami, o których musiała milczeć. Wiedziała, że sytuacja może się wkrótce zmienić i że nadchodzące wydarzenia nie będą sprzyjać chodzeniu w takich strojach. Złapała Linę za nadgarstek i powąchała go. – Widzę, że w najważniejszych sprawach pozostajesz wierna – powiedziała, czując na skórze przyjaciółki swoje perfumy, Chanel No. 5.

– Przypominają mi całe to życie, ciebie, Paryż, teatr, koncerty, kwiaty, długie spacerzy, światło. Pamięć zamieniona w perfumy.

– Pamięć jest rodzaju żeńskiego, pamiętasz? Zawsze tak było, chociaż mężczyźni wciąż nie zdają sobie z tego sprawy. I pewnie sobie nie zdadzą, nie pasuje im to.

Znów posypały się obietnice spotkań, regularnych kontaktów, listów kursujących w obie strony, telegramów. Wszystko wydawało się łatwe w magicznym świecie wnętrza *maison* Chanel. Lina wdychała zapach, którym przesiąknięte były tamtejsze pomieszczenia. Rozpoznawała go i wspomnienia sprawiały, że się uśmiechała. Myślała o tym, jakie miała szczęście, że mogła nosić przy sobie tę pamięć zaklętą w zapachu, zamkniętą w małej, prostej i eleganckiej buteleczce. Gdyby dało się zrobić to samo z resztą miasta...

– Nie znikaj bez śladu – poprosiła ją Coco. – Zmęczona jestem tym, że ludzie odfruwają z mojego życia, jakby byli ulotnymi bańkami powietrza.

– Nie zrobię tego. Obiecuję.

Lina przyspieszyła kroku, żeby dotrzeć na rue de L'Odeon i w księgarni Shakespeare and Company kupić książkę z wierszami Pierre'a Reverdy'ego. Zmartwiło ją szczerze, że nie zastała właścicielki, Sylvii Beach. Miała wielką ochotę zobaczyć się z nią i powiedzieć jej, że nadal czyta bez pośpiechu. Ale nie wyszła z księgarni bez egzemplarza, po który przybyła.

W Hawrze weszli na pokład nowoczesnego francuskiego transatlantyku Normandie, płynącego do Nowego Jorku z Bishop Rock na południowo-wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii. Lina cieszyła się, że w trakcie całej podróży morze było spokojne, jakby przyroda sprzymierzyła się z nimi i chciała im ułatwić przebycie długiej trasy. Gdy jej mąż wpatrywał się w pięciolinię oraz w szachownicę, ona dawała się kołysać słowom kochanka Coco. Uwięziły ją linijki jednego z wierszy – *Zazdrość* – którego ostatnie zdanie przyprawiało ją o zawrót głowy:

*Si tu as cru, destin, que je pouvais partir, il fallait me donner des ailes*<sup>32</sup>.

To wrażenie mogło być całkiem subiektywne, ale w oczach Liny życie wreszcie wróciło do normalnych barw, przykrytych wcześniej warstwą radzieckiej szarości. Od razu po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych znów zaczęła przyciągać spojrzenia, wysłuchiwać hymnów pochwalnych na temat swojej elegancji, urody i magnetyzmu. Jej uśmiech znowu pojawiał się na stronach gazet, a smak, z jakim się ubierała, trafiał do nagłówków komentarzy prasowych. Tym razem to ona nie mogła przestać wędrować po ulicach Nowego Jorku, Waszyngtonu i przede wszystkim Los Angeles, gdzie odbywał się krzykliwy pokaz jaskrawych i żywych kolorów, pochodzących prosto z palety malarzy kobiecych strojów. Liczne zakupy, które robiła, polegały głównie na zaopatrywaniu się w tkaniny, suknie i kostiumy w ilościach grożących rozerwaniem walizek. Jeśli jednak natrafiła w trakcie tej podróży na coś, co naprawdę zdołało ją zachwycić, to była to pełna splendoru atmosfera Beverly Hills, potężne światło promieniujące z Hollywood oraz pełna życia radość jego mieszkańców. Nie było tam ani jednego modnego miejsca, w którym Prokofiewowie by się nie pokazali. Lina korzystała ze słynnych basenów w Beverly Hills Hotel oraz w Roosevelt Hotel, występujących w opowieściach wszystkich gwiazd, dla których obowiązkowym zajęciem było wylegiwanie się na białoniebieskich leżakach rozstawionych wokół pływalni otoczonej wielkimi palmami i z nieodzownym barem koktajlowym. Podczas kolacji wydanej na cześć Prokofiewa w restauracji Victor Hugo oboje z Siergiejem mieli możliwość przekonać się, jak jego muzyką entuzjazmuje się między innymi wielka diwa kina niemego z lat dwudziestych Gloria Swanson, a także znana z ról w musicalach aktorka i śpiewaczka Jeanette MacDonald, aktorki Greta Garbo, Joan Crawford, Mae West, Marlena Dietrich i jeden z najważniejszych producentów filmowych Walt Disney. Wszyscy chcieli wymienić z Prokofiewami uścisk dłoni, posłuchać ich głosu, porozmawiać z niedawno przybyłą parą, która stała się sensacją wieczoru. Wszyscy chcieli też obejrzeć paryskie kreacje, które miała na sobie Lina, gustownie spowita w lamę, jedwab i futra. Siergieja cieszyła obecność żony, która jak zawsze świetnie się odnajdywała w konwersacji, wiedziała, kiedy się uśmiechać, kiedy komu podziękować i w ogóle świetnie sobie radziła w towarzystwie. Znajdowała się teraz w tym miejscu świata, w którym chciała się



znaleźć, o którym marzyła długo, choć – ze względu na miłość do męża – w milczeniu: pośród światła, gwiazd, rozbłysków, zabaw i interesujących rozmów. I w tym zakątku świata była szczęśliwa. Nabrała ciała, jej uśmiech stał się szerszy, a blask jej spojrzenia silniejszy. Ale ta jej gwiazdna aura zawsze była uzależniona od Siergieja. To on pozostawał centrum świata, przyczyną wszystkiego, punktem ogniskowym wszystkich rozmów. Kiedy Walt Disney podszedł, by uścisnąć jej dłoń, sformułował od razu pewną propozycję i gotów był na wszystko, żeby ją zrealizować. Chciał mianowicie wyprodukować film rysunkowy według *Piotrusia i wilka*, choć kwota tysiąca pięciuset dolarów, które zaproponował za prawa, była raczej niewielka.

– Jeśli pani przekona męża, zdradzę pani pewną tajemnicę – powiedział Linie konfidencjonalnym tonem.

– A jeśli pan sam go przekona, zdradzę panu jeszcze więcej tajemnic – odpowiedziała żartem.

Lina otworzyła szeroko oczy, tak jak robią to postacie z filmów rysunkowych Disneya, kiedy jej rozmówca opowiadał o indiańskim ludzie noszącym nazwę Mojacar. Nie wiedziała, czy to informacja o jej hiszpańskim pochodzeniu miała być kluczem do uzyskania kontraktu, ale nie interesowało jej to. Nie była zależna od miejsca, w którym się urodziła, ani od tego, w którym urodził się Walt Disney; zależała od miejsca, do którego miał powrócić Prokofiew.

– To wielka szansa. Marzenie wszystkich kompozytorów! Triumf w Hollywood! Przecież to mekka kina. Siergiej, tu chodzi o Paramount! – zwróciła się do męża, mając na myśli drugą już ofertę pracy w stolicy światowego kina, którą Prokofiew otrzymał w ostatnich dniach. – To Walt Disney! – Lina nie była w stanie uwierzyć, że te słowa wychodzą z jej ust. Przez chwilę znów mogła dotykać końcami palców życia pełnego światła i kolorów, takiego, jakie wiedli niegdyś w Paryżu. To było jak ponowne narodziny. Powrót do życia. I to powrót w wielkim stylu.

– Czy to nie jest bardziej twoje marzenie niż moje? – spytał Prokofiew, przypominając sobie pragnienie jej matki, żeby córka stała się sławną artystką, trafiła na pierwsze strony gazet i, jakżeby inaczej, przemieniła się w wielką aktorkę, jak to jej przepowiadała nauczycielka śpiewu, albo znaną modelkę, jak sugerowała Coco Chanel, czy też może gwiazdę „tego, co tak spontanicznie kocha”, jak wróżył Linie Picasso. Siergiej nie sądził, że ten komentarz ją zaboli. Nie z taką intencją go formułował. Ale się mylił.

– Moje marzenie to zobaczyć, jak stajesz się największym kompozytorem w historii, widzieć twoje nazwisko na świetlnych reklamach najważniejszych teatrów i kin na całym świecie, skoro ja sama nie mogę tego osiągnąć – odpowiedziała z wyraźnie wyczuwalną niechęcią.

Czasami miała Siergiejowi za złe, że musiała zrezygnować z własnego marzenia o blasku światła i życiu gwiazd, żeby utrzymać swoje małżeństwo, wychowywać dzieci i towarzyszyć mężowi wszędzie tam, dokąd musiał jechać. Nie zwykła się na to skarżyć, bo były to decyzje podjęte dobrowolnie, ale nie lubiła, gdy Siergiej wyrzucał jej, że marzy o czymś więcej. Postanowiła skupić się na sprawie, która w tym momencie ją interesowała. Na propozycji, która symbolizowała amerykańskie marzenie.

– Ta oferta może cię wynieść na szczyt – powiedziała. – Czy ty tego nie widzisz?

– Ale o czym ty mówisz, Lino? Wiesz, że nie możemy tu zostać. Sądzisz, że nie sprawiłoby mi przyjemności zgodzić się na jego propozycję? Byłbym zachwycony. Ale musimy wracać do Moskwy. Tam są nasi synowie. Myślałem, że chcesz ich zobaczyć.

– Masz na myśli godzinę policyjną?

– Wydaje mi się, że już o tym rozmawialiśmy. Nie sądzę, żeby trzeba było wracać do tego tematu.

– Ale sądzisz, że trzeba wrócić do Związku Radzieckiego. – Oddychała głęboko, zamknawszy oczy, jakby nie chciała widzieć horyzontu, który miała przed sobą. – Może chociaż spróbuj. Zadzwoń do nich. Co ci szkodzi!

– To chodzi o mnie! W grudniu jest premiera filmu *Aleksander Newski*... i baletu *Romeo i Julia*. Czekają na mnie koncerty, opery, które muszę dokończyć... W jakim ty świecie żyjesz?

– W takim, który nas w końcu zabije.

Mimo jej ciągłych pretensji Siergiej spojrział na nią bez żadnych złych uczuć. Był przekonany, że to południowa natura jego żony popycha ją ku tak dramatycznym, nadmiernie emocjonalnym zachowaniom. Nie chciał się z nią kłócić. Wolał się nie odzywać i trwać w milczeniu. Muzyka nie była jedyną sztuką, w której osiągnął mistrzostwo.

Po powrocie do Związku Radzieckiego jedynym pastelowym odcieniem, który ubarwiał rzeczywistość Prokofiewów, był błękit samochodu ford, który Siergiej polecił wysłać ze Stanów Zjednoczonych do Moskwy. Tym musiała się zadowolić Lina, obserwując przez okno pociągu, jak na peronach stacji kolejowych znów pojawiają się futra z nutrii.

W mieszkaniu przy ulicy Czkałowa wszyscy byli zdenerwowani. Oleg obserwował rodziców miotających się po salonie, wchodzących do sypialni i wychodzących z niej w poszukiwaniu czegoś, czego po drodze zapomnieli, wybierających odpowiednią garderobę, odrzucających jakąś koszulę, szukających butów... Był to dzień premiery filmu *Aleksander Newski*, której towarzyszyły bardzo wygórowane oczekiwania. Według najświeższych informacji można się było spodziewać obecności Józefa Stalina. Przez chwilę Lina nie wiedziała, czy dobiera swoje ubrania z myślą o radzieckim przywódcy, o własnym mężu czy o sobie samej. Ale wybór był oczywisty. Suknia z białej satyny z peleryną zdobioną haftami i drogimi kamieniami. Nie mogła założyć nic innego. Myślała, że może Siergiej będzie ją namawiał na coś ciemniejszego, ale myliła się. Widząc zachwyty w jego oczach, wiedziała, że wybrała doskonale.

– Chodzi jednak o to, żeby ludzie patrzyli na ekran, a nie na moją panią – żartował.

Pomimo zdenerwowania Siergiej był w dobrym humorze, a jego charakterystyczna poważna mina nie przesłaniała pogody oblicza.

– Czemu my nie możemy iść? – pytał nieco rozczarowany Oleg. – Kiedyś zabraliście Światosława, żeby obejrzał tatę w teatrze.

– Ciebie też zabierzemy. Ale innego dnia, kiedy będzie mniej ludzi. Dziś nie moglibyśmy się wami zająć. Za to po powrocie opowiemy wam wszystko, nie pominiemy żadnych szczegółów.

Lina próbowała przekonać młodszego syna, który trzymał w ręku zabawkę znaną w jednym z pudełek przywiezionych z Los Angeles. Niedługo miał skończyć jedenaście lat, ale ta lalka bardzo mu się podobała. Uważał, że to trochę absurdalne, żeby mysz miała na imię Mickey, ubierała się w czerwone spodnie z wielkimi guzikami, na nogach nosiła krzykliwe, żółte buty i świeciła białymi rękawiczkami, ale był to prezent od rodziców przywieziony ze Stanów Zjednoczonych, więc musiał być dobry.

– Poza tym tata nie występuje w filmie. Słyszeć będzie tylko jego muzykę – tłumaczyła Lina.

– To pani powinna występować w filmie! – wtrąciła się Frosia, podziwiając końcowy rezultat zabiegów pani Prokofiew wokół garderoby i makijażu. – Jest pani przepiękna.

Sądząc po oklaskach, których erupcja – przypominająca wyrzut lawy z wulkanu – nastąpiła zaraz po filmie, jeszcze zanim w sali kinowej rozblęły światła, nowy film Siergieja Eisensteina z muzyką Siergieja Prokofiewa okazał się wielkim sukcesem i spełniał wszystkie kryteria, by stać się klasyczną pozycją prawdziwie radzieckiego kina. Impet, z jakim widzowie zerwali się na nogi, żeby klaskać, pokazywał też, że film wypełnia zalecenia Stalina o podnoszeniu w społeczeństwie ducha w obliczu możliwej inwazji hitlerowskich Niemiec. Epicka historia rosyjskiego księcia, który broni ojczyzny przed teutońską najeźdźcą, spodobała się wszystkim. A szczególne wrażenie wywarła muzyka Prokofiewa.

Przy wyjściu każdy pragnął złożyć gratulacje autorowi wykonywanej w filmie kantaty. Opowieść z pewnością nie wywoływałaby aż takich emocji, gdyby w decydujących momentach przedstawionych zdarzeń nie towarzyszyła jej muzyka. Prokofiewowie, przemykając się pośród niezliczonych pozdrowień, uścisków dłoni i gratulacji, próbowali przedostać się do wyjścia z kina, żeby pójść na kolację, na którą po premierze byli umówieni z przyjaciółmi. Nieoczekiwany widok zmusił ich do rezygnacji z zamiaru wyjścia.

Kiedy tylko Lina go zobaczyła, jej serce zaczęło gwałtownie trzepotać w piersi. Ledwo zdołała się poruszyć, widząc, że idzie ku nim Stalin, podczas gdy otaczający ich uczestnicy premiery odsuwali się na boki, zostawiając dla niego przejście. Wydawało jej się, że bierze udział w biblijnej scenie, w której wody Morza Czerwonego rozstępują się, żeby Mojżesz i podążający za nim lud mogli przez nie przejść. Patrząc na tę scenę, miała wrażenie, że oto jeden z wielkich portretów wszechobecnych na ulicach, zawieszanych na fasadach budynków i umieszczanych na ścianach wszystkich publicznych pomieszczeń, zstąpił z murów i skierował swoje kroki ku nim. Miała ochotę schować się za Siergiejem, ale poczuła się niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Nie potrafiła nawet chwycić męża za rękę, żeby się lepiej poczuć. Było już za późno. Stalin znalazł się nie dalej niż metr od nich.

– Towarzyszu Prokofiew! – Jego głos brzmiał zdecydowanie, ale nie aż tak poważnie i metalicznie jak przez radio. – Chciałem wam pogratulować, że potrafiliście odnaleźć w naszej wielkiej przeszłości patriotyczne uniesienie, siłę fizyczną i waleczność. Spodobał mi się bardzo wasz marsz *Powstań, ludu Rusi*, który rozlega się przed walką. „Powstań, ludu Rusi, na bitwę chwalebna, na bitwę śmiertelną! Stańcie, ludzie wolni,

w obronie świętej ziemi! W naszej ojczyźnie – Rusi, w wielkiej Rusi, nie będzie nieprzyjaciół. Nigdy nieprzyjaciół nie pohańbi Rusi, nigdy jej nie zdobędzie, nigdy nie będzie stapał po naszych polach”.

Zebrani wstrzymali oddech, słysząc głos Józefa Stalina nucącego słowa kantaty. Lina zadawała sobie pytanie, czy to jest sen, czy może żart, czy też wyobraźnia płata jej figla. Nigdy nie przypuszczała, że usłyszy, jak Stalin śpiewa, i to w dodatku utwór Prokofiewa, stojąc przed nimi. Czekwała, aż ta surrealistyczna scena się skończy, nie pozwalając sobie na zaczerpnięcie tchu. Improvizujący śpiewak wydawał się zadowolony ze swojego występu. Nikt nie odważył się wyrazić opinii, że nie wyszło mu to jednak najlepiej.

– Chciałem osobiście pozdrowić mezzosopranistkę. Była wspaniała – powiedział Stalin takim tonem, jakby robił uwagę na marginesie, odwracając jednocześnie głowę w stronę człowieka stojącego po jego prawej ręce, czyli osobistego sekretarza. Potem zwrócił się znów do Prokofiewa. – Moje szczególne emocje wzbudziła muzyka w scenie bitwy na zamrożonym jeziorze. „*Peregrinus, expectavi, pedesmeos, in cymbalis. Expectavi, expectavi, est. Vincantarma crucifera! Hostispereat!*” Przeniosło mnie to w nastrój bitwy nad Kierzeńcem z opery *Kiteż* Rimskiego-Korsakowa<sup>33</sup>, a chwilami przypominałem sobie *Bitwę Hunów* Liszta. – Kiedy Stalin mówił o muzyce, jego lodowate spojrzenie zdawało się tajać w ogniu zapisanych na pięciolinii nut. – Drżałem przy tej tragicznej melodii kantaty o Aleksandrze Newskim. No i ta końcowa apoteoza, godna wielkich rosyjskich oper, godna naszej ojczyzny. Gdyby ktoś mnie zapytał, co jest esencją rosyjskości, powiedziałbym mu, żeby posłuchał waszej kantaty. Jesteście przykładem naszej prawdziwej duszy. Gratuluję. Wiedziałem, że nasz Prokofiew nas nie zawiedzie.

Stalin wyciągnął rękę do Siergieja i na oczach wszystkich postanowił do formalnego pozdrowienia dodać uścisk, który wydawał się wręcz czuły. Radziecki przywódca był znany z upodobania do muzyki i dobrego kina. Zebrani odczytali ów gest jako wyraz aprobaty dla tego, co właśnie obejrzał. Jeśli Stalin okazywał komuś sympatię, z ogromną siłą oddziaływało to na los takiej osoby, z kolei jedno słowo dezaprobaty oznaczało strącenie człowieka do piekła. Uścisk lub uśmiech Stalina odmieniał ludzkie życiorysy. Ludzie żyli lub umierali w zależności od intonacji jego głosu, od wymowy spojrzenia, od tego, czy jego mina wyrażała zadowolenie, czy pretensje. A Prokofiewa objął teraz przyjacielsko, porozmawiał z nim, rzucił kilka żartów i pochwalił jego pracę. Pozwolił sobie nawet zaintonować jego muzykę. Tego wieczoru kompozytor został wybrany do życia w chwale.

Linie trudno było uwierzyć w to, co widzi. Przez chwilę wydawało jej się, że chodzi o jakiegoś człowieka bardzo podobnego do Stalina, lecz że to nie może być on sam. Musiał podszyć się pod niego jakiś oszust albo sobowtór, jedna z tych osób, które – jak głosiły plotki – w różnych sytuacjach zastępowały najważniejszych przywódców. Zdumiewało ją, że skóra jego twarzy pokryta jest dziobami – pozostałością po ospie wietrznej, którą przeszedł w dzieciństwie. Na portretach nie było ani śladu tych blizn. Niski wzrost Stalina zmuszał go do stosowania podwyższających wkładek do butów, przez co jego chód wydawał się trochę dziwny. Lina przyglądała mu się, prawie nie

oddychając. Miał twarz robotnika pracującego fizycznie, choć wiele osób twierdziło, że jego szyderczy uśmiezek kojarzy się raczej z nadzorcą pilnującym pracowników. Pokażnej wielkości wąs, oczy jak u lalki – obojętne, jakby zrobione z ciemnego szkła, niemal pozbawione tęczy, zimne jak lód i wyprane z życia. A jednak to był on, odzywał się jak zwykły człowiek, wychwalał muzykę, gratulował Siergiejowi, doceniał jego utwór, nucił go i rozprawał o obejrzanym filmie, tak jak mogłaby to robić dowolna inna osoba. Ale nie była to żadna inna osoba, tylko sekretarz generalny Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii. Stał kilkadziesiąt centymetrów od niej.

Wydawało jej się, że ten moment trwa całą wieczność. Najbardziej zaskakujące było to, że Stalin wcale się nie spieszył z pożegnaniem. Nieoczekiwanie Prokofiew odwrócił się w stronę Liny.

– Towarzyszu Stalin, to moja żona – szybko przedstawił ją Siergiej, który wcale nie wyglądał na zdenerwowanego, wręcz przeciwnie, robił wrażenie całkiem zrelaksowanego.

– Bardzo mi przyjemnie, pani Prokofiew – powiedział Stalin, wyciągając do niej rękę. Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. – Jest pani Hiszpanką, prawda? – spytał, nie oczekując odpowiedzi. Zadowolony się potwierdzającym skinieniem głowy zagadniętej. – Śledziłem bardzo uważnie wojnę domową w państwie, powstanie generała Franco przeciwko republikańskiemu rządowi Hiszpanii – skomentował, dobrze wiedząc, że w tym czasie, w grudniu 1938 roku, jego marzenie o pozyskaniu dla radzieckich wpływów najbardziej strategicznie położonego państwa śródziemnomorskiego spełzło już na niczym. – Wierzyłem, że w końcu zwycięży zdrowy rozsądek i w Hiszpanii zapanuje rozum.

– Jestem trochę oderwana od spraw mojego kraju – przyznała Lina, nie przestając się uśmiechać. – Wyjechałam z Madrytu wiele lat temu i ani razu nie miałam okazji wrócić.

– Okazji trzeba szukać, towarzyszeko. Zawsze trzeba wracać do swojej ojczyzny, proszę mi wierzyć. To nasza powinność.

Lina przytaknęła, zmuszając się raz jeszcze do szerokiego uśmiechu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie potrafiła sobie potem przypomnieć, czy rzeczywiście zdołała to zrobić, a jeśli tak – czego dotyczyły jej słowa. Rzeczywistość zniknęła za mgłą. Lina nie wiedziała jeszcze, czy ta z kolei przekształci się w nocny koszmar, czy w ozdrowieńczy sen. Kiedy już miała ochotę odejść, Stalin cofnął się, robiąc jej miejsce, i znów zaczął się jej przyglądać. Patrzył na nią przez kilka sekund, paraliżując swoim spojrzeniem wszystkie mięśnie jej ciała. Próbowwała znaleźć w jego wzroku przeszywający chłód, na który zwróciła uwagę podczas pierwszego spotkania – także w teatrze – ale tym razem go nie napotkała.

– Dlaczego to nie pani śpiewała kantatę *Powstań, ludu Rusi*? Mówiono mi, że jest pani sopranistką i że nieźle pani sobie radzi. Chyba słyszałem panią kiedyś w moskiewskim radiu.

W tym momencie Lina poczuła, że wzrok tego człowieka ją dusi, choć nie tak mocno jak jego słowa. Jakimś cudem potrafiła je usłyszeć, zdając sobie jednocześnie sprawę z ogłuszającego hałasu jej mocno bijącego serca.

– Może będzie jeszcze okazja. Przynajmniej mam taką nadzieję – powiedziała w końcu, wpatrując się w szczególnie grymas, w jaki ułożyły się wargi Stalina i od którego uniósł się jego gęsty wąs.

Nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak długo rozmawiał ze Stalinem. Kiedy w końcu odszedł, Siergiej i Lina spojrzeli po sobie. Wpatrywali się w siebie przez kilka sekund, a może minut; żadne z nich nie było w stanie wymówić ani słowa. Przyglądali się sobie jak ludzie złączeni wielką tajemnicą, ludzie, dla których słowa są zbędne. Lina wsparła się na ramieniu męża i ruszyła, idąc tuż przy Siergieju. Nie była pewna, czy zrobiła to, bo była z niego dumna, czy dlatego, że była bliska omdlenia. Żadne z nich dwojga nie potrafiło przerwać milczenia. Nie wiedzieli jak. Nie wiedzieli też po co.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, Siergiej pierwszy zdecydował się przemówić. Cieszył się, że może jechać własnym autem, wyłącznie w towarzystwie żony. Tego wieczoru prowadził sam, ponieważ szofer, którego postanowił zatrudnić, żeby nie myśleć o intensywnym ruchu samochodowym w Moskwie, nie zaczął jeszcze pracy.

– Tak go sobie wyobrażałaś?

– Prawdę mówiąc nie – odpowiedziała Lina całkiem szczerze. – Głos ma zupełnie inny, niż słycać w radiu. Jestem oszołomiona. Czy powinniśmy się cieszyć, czy bać?

– Ja bym głosował za tym pierwszym. Zawsze wolę wersję bardziej pokrzepiającą – powiedział, odrywając na chwilę wzrok od jezdni, żeby popatrzeć na Linę. – Dobrze się czujesz?

– Nie wiem.

Siergiej uśmiechnął się, ujął dłoń żony i pocałował ją. Pierwszy raz widział, żeby spotkanie z publiczną postacią tak ją oszołomiło. Zinterpretował to jako dobry znak, zastanawiając się bardziej nad tym, jak silny wpływ wywiera osoba Stalina, niż nad strachem, którego jest on źródłem i który tak naprawdę paraliżuje ludzi. Ale tego wieczoru radziecki przywódca okazał się wiernym miłośnikiem Prokofiewa, uznał go za swojego, podkreślając to nawet za pomocą szczególnego sformułowania. Powiedział przecież „nasz Prokofiew”. Nie wdając się w szczegóły, zawsze lepiej dobrze żyć z władzami – jakiegokolwiek by one były.

– Zawsze chciałaś zobaczyć nazwisko swojego męża wypisane wielkimi świecącymi literami. Więc dziś wieczorem je zobaczyłaś. A po tym, jak Stalin powiedział o „naszym Prokofiewie”, będziemy je chyba widzieć jeszcze nie raz.

Znów pocałował rękę Liny. Zauważył, że jest lodowata, ale przypisał to zimnu grudniowego moskiewskiego wieczoru.

– Czy jesteś dumna ze swojego męża?

– Zawsze byłam. I zawsze będę. Bo jesteś „moim Prokofiewem”, a nie niczym innym.

Siergiej odebrał to stwierdzenie jako grę słów, znajdując w nim pożywkę dla swojej dumy i próżności. Ale w ustach Liny brzmiało ono raczej jak ostrzeżenie.

<sup>32</sup> „Jeśli wierzyłeś, losie, że mógłbym odejść, trzeba mi było dać skrzydła”.

<sup>33</sup> Pełny tytuł: *Legenda o niewidzialnym grodzie Kiteziu i dziewczicy Fiewronii* (1903–1904).



– Jeśli taki człowiek się zakocha, jego miłość będzie z tych prawdziwych, z tych, co trwają przez całe życie.

Jej uwagę w większym stopniu przyciągnęła melodia tego zdania niż jego treść. Lina była zaciekawiona, chciała przyjrzeć się osobie, która wypowiedziała te słowa. Odwróciła się, kończąc wypełnianie formularza, aby zamówić samochód, który miał ją zawieźć na dworzec. Stamtąd zamierzała wrócić pociągiem do Moskwy, po spędzeniu z Siergiejem pierwszych dni lata w Kisłowodzku. Poczowała się rozczarowana, ujrawszy niezbyt ładną dwudziestolatkę o nieporządnej fryzurze, z nerwowym tikiem, który nie dodawał jej uroku. Lina przyglądała się dziewczynie przez parę chwil i zaczynała jej trochę współczuć. W końcu zapragnęła się dowiedzieć, kogo dotyczyła wypowiedziana przez nią uwaga. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem dwudziestolatki, aż napotkała obserwowaną przez nią osobę. Widok zaskoczył Linę i wywołał nawet lekki uśmiech na jej ustach. Chodziło o Siergieja. Lina odwróciła się do młodej kobiety, która wraz z ojcem czekała na przydzielenie stolika w jadalni domu wczasowego.

– Nie myli się pani, moja droga. Miłość mojego męża jest z tych prawdziwych, z tych, co trwają przez całe życie – powiedziała, obdarzając zdumioną dziewczynę uśmiechem i kierując się do stolika, przy którym czekał na nią Siergiej czytający w skupieniu gazetę. Miał poważną minę i w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jakie zainteresowanie wzbudził w młodej kobiecie.

Przez chwilę Lina czuła wyrzuty sumienia w związku ze swoją reakcją na słowa dziewczyny. Ale była pewna, że odzywając się do niej, przybrała ton słodki, choć stanowczy. Prawdę mówiąc, uważała, że dwudziestolatka zasłużyła na taki komentarz.

– Wydaje mi się, że ta młoda osoba przy trzecim stole na lewo od głównych drzwi właśnie zdała sobie sprawę, że zakochała się w Prokofiewie. – Siergiej lekko uniósł głowę, dostatecznie wysoko, żeby objąć żonę spojrzeniem zza okularów, a potem poszukać wzrokiem wspomnianej ofiary. – Ale otrzymała już niezbędną informację.

Ten komentarz wzbudził nieznaczny uśmiech na twarzy jej męża, który z powrotem zatopił wzrok w gazecie.

– Martwię się, że może dojść do wojny z Polską.

– Ach, więc teraz martwią cię wojny?

– Zawsze tak było. Rok temu byliśmy w Warszawie, nie mogę przestać o tym myśleć. Lubię ten kraj. I martwię się też o twoją matkę. Mam nadzieję, że jeszcze nie wróciła do Paryża, że nadal jest na wakacjach. Nie jest tam zbyt bezpiecznie.

– Znasz ją?

– Kogo?

To pytanie Siergieja nie tylko nie uspokoiło Liny, ale wręcz ją zaniepokoiło. Dwadzieścia jeden lat wcześniej, 10 grudnia 1918 roku, ona sama zadała niemal dokładnie takie samo pytanie w Carnegie Hall, gdzie Wiera Danczakowa, która była z nią na pierwszym występie Prokofiewa, zapytała, czy wydaje jej się przystojny. Oczywiście wydał jej się przystojny i z tego właśnie powodu kłamliwie odpowiedziała pytaniem:



„Kto?”

– Twoją nową wielbicielek. Widziałeś ją wcześniej?

Siergiej znów spojrział na dziewczynę, zmrużył oczy i chwilę pogrzebawszy w pamięci, coś w niej znalazł.

– Chyba kilka dni temu zapytała mnie o coś związanego z jakimś koncertem. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie – powiedział, przewracając stronę gazety. – Jeśli się nie mylę, ta sama dziewczyna w zeszłym roku uparła się, żeby mi przeczytać wiersz, który napisała. Wydaje się jej, że jest poetką.

– I wciąż to pamiętasz? – spytała Lina, trochę rozbawiona, a trochę zaskoczona.

– Nie potrafiłbym tego zapomnieć, choćbym chciał. Nigdy w życiu nie słyszałem niczego równie okropnego. Powinni ją aresztować.

Lina roześmiała się z żartu męża, chociaż taki komentarz w odniesieniu do kogokolwiek innego nie wydałby się jej właściwy, biorąc pod uwagę sytuację w kraju. Kiedy zjawił się kelner z jedzeniem, Siergiej odłożył gazetę na stół.

– Dlaczego chcesz jechać do Moskwy? Wciąż nam zostało jeszcze trochę wakacji. Dzieci nie potrzebują cię w domu. Na pewno lepiej się bawią bez nas. Przede wszystkim beze mnie. A poza tym zostawisz mnie samego.

– Nie zostawiam cię samego. Jesteś otoczony przyjaciółmi. Martwię się o naszych synów. Nie chcę, żeby byli sami. I pora pozająłwiać różne rzeczy, które czekają na mnie w domu. Muszę sobie wyrobić *propiskę* – Lina miała na myśli zgodę na przebywanie w Moskwie i poruszanie się po tym mieście – sprawdzić, co się dzieje w sprawie *putiowki* (pozwolenia na pobyt w jednym z domów wypoczynkowych i sanatoriów oddanych przez rząd do dyspozycji artystów), no i uzyskać *domouprawienie* (był to wymóg biurokratyczny narzucony przez miejską administrację domów). A gdyby tego było mało, czeka mnie zakup gramofonu, bo stary się zepsuł, i znalezienie kogoś, kto naprawi kaloryfer, zanim przyjdzie zima. Jeśli ja tego nie załatwię, wszystko zostanie odłożone na ostatnią chwilę i potem będą problemy. Frosia jest urocza i bardzo zaradna, ale nie potrafi się uprzeć tak jak ja. – Ściszyła głos i zbliżyła się do męża. – No i jeszcze jest ta sprawa z Meyerholdem. Biedna Zinaida...

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Wzdrygnęła się na wspomnienie tragicznego końca żony Wsiewołoda Meyerholda, Zinaidy Reich. Zaledwie tydzień wcześniej, wieczorem 15 lipca 1939 roku, została ona zamordowana we własnym domu przez napastników, którzy najpierw ją torturowali, a potem zadali jej siedemnaście pchnięć nożem w różne części ciała, włącznie z oczami.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. I nie rozumiem tego. Nie wierzę, że to byli zwykli złodzieje szukający biżuterii albo pieniędzy. Niczego nie zabrali. Zinaida bała się, że coś jej się stanie, od czasu kiedy nie przyjęła zlecenia na portret Stalina. Najpierw zatrzymano jej męża, a potem to... Niecały miesiąc po jego uwięzieniu. Tego popołudnia wysłała dzieci do domu swojej siostry. Mówię ci, że coś podejrzewała. Nie była głupia.

Siergiej zaczął zachowywać się niespokojnie. Nie było to odpowiednie miejsce na tego typu rozmowy, choć głos jego żony był ledwo słyszalny.

– Lina... – ostrzegł ją.

– Powinniśmy byli pójść na pogrzeb na cmentarz Wagankowo. Pochowana jest

niedaleko grobu jej pierwszego męża, poety Siergieja Jesienina. – Lina przez kilka chwil siedziała zamyślona, z jej warg nie spłynęło ani jedno słowo. – Nikt więcej nie przyszedł, tylko trzy osoby i jej siostra. Ktoś mi opowiadał, że pochowano ją w kostiumie z *Damy kameliowej*, ostatniego spektaklu, który reżyserował w teatrze Wsiewołod. Zostawiliśmy ją samą. Nigdy sobie tego nie wybaczę i Wsiewołod pewnie też nie. Sądzisz, że on o tym wiedział, że mu to powiedzieli, chociaż jest na... – urwała, nie ośmielając się wymówić słowa „Łubianka”.

– Ma dość własnych problemów – rzucił Siergiej, zdenerwowany, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Nigdy nie powinien powiedzieć tego, co powiedział. Ostrzegalem go przed tym tysiąc razy. Od pewnego czasu był podejrzewany, oskarżano go o formalizm, zamknęli mu teatr. Zdołał przeżyć dzięki temu, że Stanisławski dał mu pracę reżysera prób w swoim teatrze i wziął go pod swoje skrzydła. Ale kiedy Konstantin umarł... – Tym razem to Siergiej zamilkł, pogrążony we wspomnieniach. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Meyerhold uczestniczył w Pierwszym Kongresie Reżyserów Teatralnych, w trakcie którego nie chciał się zgodzić z krytycznymi głosami swoich własnych kolegów i przyjaciół oskarżających go o formalizm i porzucenie w pracy teatralnej ideałów rewolucyjnych. Stwierdził wówczas, że teatr rosyjski cofnął się o dwadzieścia lat. Jego głos rozbrzmiewał zbyt czysto jak na miasto spowite ponurą mgłą.

– Państwo mówicie, że jestem formalistą, symbolistą. To prawda, i przyznam coś jeszcze: to, co państwo uznajecie za realizm socjalistyczny, nie jest ani realizmem, ani socjalistycznym, jest tylko przerażającą nijakością. Jeśli chodzi o wyobraźnię, teatr rosyjski cofnął się o dwadzieścia lat. Jak dla mnie rewolucja musi mieć wyobraźnię. Lenin był twórcą o bogatej wyobraźni, wierzącym w utopię. Państwo zamordowaliście rosyjski teatr, pozbawiliście wyobraźni rewolucję zachodzącą w naszej sztuce i dlatego jesteście odpowiedzialni za jej dekadencję.

Siergiej wciąż jeszcze pamiętał słowa, które skierował do niego przyjaciel, kiedy wychodzili z sali, gdzie odbywał się kongres.

– Chociaż oni pewnego dnia ze mną skończą, mój teatr przetrwa. Ktoś to dzieło podejmie.

Dwudziestego czerwca 1939 roku Meyerhold został zatrzymany i od tej chwili nikt już nie wymawiał głośno jego nazwiska.

– Powiedział tylko to, co myślał – odparła Lina. – Na dodatek miał rację. Zawsze był osobą z wyobraźnią, twórczą, oryginalną. A przy tym czuł się człowiekiem radzieckim w większym stopniu niż ktokolwiek inny. Nikogo nie trzeba było aresztować czy torturować ani z jego powodu, ani z powodu odmowy wykonania portretu Stalina. Ani tym bardziej mordować, zadając siedemnaście pchnięć nożem.

– Lina... – W swoim imieniu wypowiedzianym przez Siergieja usłyszała wyrzut, ostrzeżenie i apel o ostrożność.

– Opowiadała mi to Zinaida, kiedy poszłam do niej kilka dni po zatrzymaniu Meyerholda. Wiedziała, że go torturują, że chcą go zmusić do przyznania się, że jest niemieckim szpiegiem albo że pracował dla tajnych służb brytyjskich lub japońskich. Co to dla nich za różnica, przecież narodowość kłamstwa nie ma znaczenia!

– Lina, proszę cię... – powtórzył Siergiej, ostrzegając ją tym razem wzrokiem.

– Wiem, wiem – odpowiedziała, milknąc. Znała już ten ton swojego męża. W gruncie rzeczy wiedziała, że Siergiej ma rację, ale nie chciała tego przyznać.

– Nie wiem, czy to dobrze, żebyś jechała do Moskwy. Może powinnaś zostać tutaj. – Siergiej niepokoił się, że Lina traci panowanie nad własnymi słowami. Kiedy on był przy niej, potrafił przynajmniej hamować jej słowne wybuchy.

Rozmowa o tak delikatnych sprawach mocno pochłonęła oboje małżonków i żadne z nich nie zwróciło uwagi, że młoda aspirująca poetka ani przez chwilę nie przestaje im się przyglądać.

Parę godzin później Lina wróciła do Moskwy. Czekają tam na nią wiele pracy.

Listy od Siergieja przychodziły prawie codziennie. Pewnego razu nadszedł list napisany czerwonym ołówkiem. Zaskoczyło ją to trochę, ale nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi. „Musiał mu się skończyć czarny atrament” – pomyślała. W liście nie było też zwyczajowego nagłówka – „Kochany Ptaszku” – i dopiero to wywołało zdziwienie Liny. Wydało jej się dziwne, że nie znalazła w tekście żadnych napomnień dotyczących spraw domowych ani informacji o postępach pracy nad kantatą *Zdrawica* – czternastominutowym utworem, który Prokofiew przygotowywał na sześćdziesiąte urodziny Stalina na podstawie tekstów popularnych pieśni z różnych republik Związku Radzieckiego. Zaproszenie do skomponowania kantaty sformułowane oczywiście w sposób, który nie pozostawiał możliwości odmowy. W liście Siergiej nalegał tylko, żeby przyjechała spędzić z nim kilka dni, i informował, że nie tańczył. „Jak mam tańczyć? Przecież nie umiem!”. Lina uśmiechnęła się, kręcąc przecząco głową. Spojrzała na swojego syna Światosława.

– Twój ojciec się starzeje. Pisze mi, żebym przyjechała do niego na kilka dni, a ja dopiero od niego wróciłam. I przecież wie, że mam tu tysiąc rzeczy do zrobienia. Oby przy fortepianie był bardziej skoncentrowany.

Złożyła list, wsunęła go z powrotem do koperty i włożyła do szuflady w szafce w przedpokoju. Więcej o nim nie myślała.

Odpoczywając po spotkaniach z Katajewem i Birmanem, które były dla niego zanadto męczące, a czasami pełne napięcia, Siergiej siedział przy jednym ze stołów rozstawionych w ogrodzie. Dzielił to miejsce między innymi z Nikołajem Miaskowskim, Pawłem Lammem, ze swoim najwierniejszym partnerem tenisowym i szachowym – Dawidem Ojstrachem, pianistą i profesorem moskiewskiego konserwatorium – Henrykiem Neuhausem oraz ze śpiewaczką i gwiazdą teatru Bolszoi – Wierą Dawidową. Cieszyła go obecność w kręgu przyjaciół Afinogienowa. Było już po osiemnastej, Siergiej właśnie odmówił cotygodniowej kąpieli w sosnowych igłach. Zrobiło się zimno, niebo groziło deszczem, jak prawie każdego dnia tego niepewnego lata. Prokofiew miał ochotę na coś, co by go rozgrzało. Chciał poprosić o kawę, chociaż ze względu na porę taka decyzja pociągała za sobą ryzyko nocnej bezsenności. Gdyby Lina była na miejscu, nie pozwoliłaby mu jej wypić. Ale nie lubił smaku miodu w herbacie, a cukier, ze względu na kłopoty z zaopatrzeniem, podawano w Kisłowodzku wyłącznie do kawy, a nie do naparów ziołowych, których amatorzy musieli się zadowolić melasą jako środkiem słodzącym.

– Lina byłaby szczęśliwa. Uwielbia miód. Ja się nie mogę przyzwyczaić. Za

słodki – skomentował, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Ale dla niego miało. Przynajmniej przestał się spierać z Katajewem w sprawie opery *Siemion Kotko*. Nie zdawał sobie

sprawy, że do grupy siedzącej przy stole przyłączyło się dwóch mężczyzn, a jednym z nich był Cajtlin, który wraz z Cukerem i Władimirem Dzierżanowskim niestrudzenie towarzyszył Prokofiewom w trakcie ich pierwszej oficjalnej podróży w 1927 roku.

– Niech pan powie, jak to się stało, że zakochał się pan w Hiszpance?

Pytanie zaskoczyło Siergieja, szczególnie dlatego, że zadał je Cajtlin, któremu dziesięć lat wcześniej wybór żony wydawał się jednym z najlepszych, jakie uczynił kompozytor.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – ciągnął Cajtlin. – Pana żona jest cudowna, zachwycająca. Zawsze wydaje się taka radosna, zawsze otoczona wieloma osobami, śmiejąca się do całego świata...

– To dlatego, że jest przy mnie szczęśliwa.

Siergiej uśmiechnął się z przymusem i zaczął kręcić się na krześle, jakby mu było niewygodnie. Zaczynał czuć się poirytowany. Nikt nie zapraszał Cajtlina, żeby usiadł przy stole. Normalnie, rzecz jasna, nikomu nie przeszkadzałoby przybycie nowej osoby mającej ochotę przyłączyć się do rozmowy, ale tym razem była to pogawędka przyjaciół, a Cajtlin do tego grona nie należał – przynajmniej sądząc z tematu rozmowy, który wybrał.

– To jest cecha kobiet z zagranicy. Są tak... zachodnie. Przesiąkły atmosferą wolności, którą ktoś mógłby źle zinterpretować. Zwróciłem nawet uwagę, że pana żona nosi obrączkę na palcu serdecznym lewej ręki, tak jak Amerykanie. Zawsze się zastanawiałem, czemu pan się nie zakochał w rosyjskiej dziewczynie.

– Jakoś nie miało to większego znaczenia, kiedy był pan jednym z tych, którzy zabiegali, żeby zrobić sobie zdjęcie razem z moją żoną. Miałem wtedy wrażenie, że pan i Cuker prowadzicie między sobą jakąś wewnętrzną rywalizację, który z was więcej razy sfotografuje się u jej boku. – Siergiejowi nie spodobał się komentarz Cajtlina i nie próbował, tego ukrywać. – W każdym razie nie sędzę, żeby to miało właśnie pana niepokoić, podobnie jak i mnie absolutnie nie interesuje, z kim pan jest ożeniony, kim jest pańska żona i czy uśmiecha się często, czy rzadko. Oczywiście to pewnie zależy od tego, kto jest u jej boku.

– Proszę wybaczyć, jeśli pana uraziłem. Nie miałem takiego zamiaru. Chciałem tylko powiedzieć, że od 1937 roku, jak pan pewnie wie, będąc już lojalnym obywatelem radzieckim, nasze prawo zakazuje Rosjanom ślubów z cudzoziemcami. Jeśli dobrze rozumiałem, dekret ma działać wstecz. – Te słowa wywołały gniew Siergieja, który chyba po raz pierwszy poczuł niepohamowaną chęć uderzenia kogoś. Ręka Miaskowskiego na ramieniu Prokofiewa zapobiegła temu.

– Nie jestem pewien, czy pan wie, z kim pan rozmawia.

– Wiem bardzo dobrze: z „naszym Prokofiewem” – powiedział Cajtlin, naśladując ton słów Stalina wypowiedzianych w dniu premiery *Aleksandra Newskiego*. – To raczej

pan o tym zapomina.

– No właśnie, jestem Prokofiew – powiedział Siergiej, który znalazł się na skraju ataku wściekłości. – Lepiej, żeby pan o tym nie zapominał.

– Takie jest prawo. I lepiej, żeby pan o tym pamiętał. A teraz proszę mi wybaczyć. – Cajtlin wstał i odszedł od stołu.

Zgadzał się z Siergiejem. To nie on, Cajtlin, powinien się tą sytuacją przejmować.

– Uspokój się – radził Prokofiewowi Miaskowski, powstrzymując przyjaciela, który chciał pójść za Cajtlinem. – To kretyn, zawsze taki był... Chociaż ma rację w tym, co mówi. – Siergiej zmierzył go wzrokiem. Nie takiego komentarza oczekiwał. – Chodzi mi o dekret w sprawie małżeństw z cudzoziemcami, o nic innego. Wiesz, jak uwielbiam Linę. Chyba nie muszę ci przypominać.

– Oni też ją uwielbiali. Zachowywali się jak kompletni idioci. Sam byłeś świadkiem. Nie wiem, co to wszystko ma oznaczać. Lina ma być może bardziej radziecką naturę niż oni wszyscy.

– Zapomnij o tym. Chciał cię tylko sprowokować. Nic więcej. – Miaskowski zastanawiał się przez chwilę, czy ma powiedzieć to, co chodziło mu po głowie od miesięcy, i doszedł do wniosku, że nadszedł dobry moment, żeby to zrobić. – A poza tym mógł cię widzieć... – zrobił krótką pauzę – i to go zachęciło. Powinieneś bardziej uważać.

– Co masz na myśli? – spytał Siergiej urażonym tonem.

– Prokofiew, nie bądź dzieckiem. Zachowuj się bardziej dyskretnie. Jeśli już nie dla siebie samego, to pomyśl o Linie.

Rozmowa została przerwana, bo przy jednym z wejść do sanatorium powstało drobne zamieszanie. Jakiś człowiek narobił mnóstwo hałasu, wymachiwał rękami, pielęgniarki zasłaniały usta dłońmi, jedna z kelnerek zaczęła płakać. Miny gości należących do artystycznej elity wyrażały różne nastroje: troskę, pogardę, niektórzy padali sobie w ramiona, inni ograniczali się do niedowierzającego kręcenia głową, choć byli i tacy, którzy śmiali się i zgodnie potakiwali.

– Co się dzieje? – spytał Miaskowski.

– Na pewno nic takiego, czym mielibyśmy się przejmować – zawyrokował Prokofiew, widząc zbliżającego się autora libretta utworu, nad którym pracował. Jego twarz wyrażała pewne zakłopotanie. – O, idzie Katajew. No, to teraz mam się czym przejmować. Jeśli wraca, żeby mi powiedzieć, że wolałby *Siemiona Kotkę* jako operę bardziej klasycznego typu, mogę przysiąc: wrzucę go do rzeki i nie pomogę mu się z niej wydostać, nawet jeśli nie umie pływać.

Ale jego kolega nie był w nastroju do rozmowy o kompozycji Prokofiewa. Prawdę mówiąc, w ogóle o niej nie myślał.

– Hitler właśnie napadł na Polskę. Powiedzieli o tym w polskim radiu. Polska odrzuciła żądania Führera, więc została zaatakowana.

Jedyną odpowiedzią zebranych było milczenie, trwające przez kilka długich chwil. Przerwał je Borys Asafiew, który nie wydawał się zdziwiony nowiną.

– Sprawy, których nie rozwiązuje się właściwie, zawsze rodzą problemy. A wielka wojna nie została zakończona tak, jak było trzeba. Nawet gdy nieprzyjaciel już dogorywa, leżąc na ziemi, to trzeba go zmiażdżyć, żeby się nie odrodził, a Niemców, tak jak

Włochów i Japończyków, zostawiono bez tchu, ale jednak dyszących. Teraz Hitler nie tylko będzie chciał odzyskać terytorium utracone z powodu traktatu wersalskiego, ale jeszcze, jako szalony nacjonalista, rzuci się na podbój nowych obszarów.

– I nie można powiedzieć, że tego nie zapowiadał – skomentował Paweł Lamm. – Pierwsze ostrzeżenie nadeszło w marcu 1936 roku, kiedy Hitler zajął Nadrenię, łamiąc traktat wersalski i w ogóle się tym nie przejmując. A świat milczał, nikt nie zareagował. Francja próbowała, ale nie znajdując wsparcia Wielkiej Brytanii, zrezygnowała i udała, że niczego nie widzi. Bo Führer, chociaż faszysta, przynajmniej jest antykomunistą. Wszyscy myśleli, że pomoże zatrzymać czerwone zagrożenie. W gruncie rzeczy w tej wojnie chodzi o strach, że komunizm rozleje się na cały świat, że rewolucja rosyjska zarazi inne kraje. To jest wielki strach. A Polska jako jedyna się oparła. No i teraz została napadnięta. Panowie, ta historia jest godna wielkiej rosyjskiej powieści. Kto się podejmie?

– Będzie jeszcze gorzej – zawyrokował Miaskowski. – Sądzę, że Francja i Anglia nie będą długo czekały i wypowiedzą Niemcom wojnę. Podpisały pakt z Polską i nie zostawią jej samej. Chociażby dlatego, że im nie wypada. I skończy się to wciągnięciem do wojny pozostałych mocarstw europejskich.

– Przecież to szaleństwo – skomentował Siergiej.

– Wojna to zawsze jest szaleństwo, towarzyszu. – Miaskowski wydawał się spokojny.

– A co my zrobimy?

– Chodzi panu o Stalina? – spytała Wiera Dawidowa. – Jest sprytny. I rozumuje chłodno. Wie, że nasza armia nie jest gotowa. Nie widzieliście, jak Mołotow ścisnął się z Joachimem von Ribbentropem? – Wiera miała na myśli pakt o nieagresji podpisany przez Niemcy i Związek Radziecki 23 sierpnia 1939 roku. – Dziewięć dni przed inwazją Hitlera na Polskę. Dziewięć. Niezwykła precyzja. Sądzę, że możemy być spokojni. – Wszyscy z uwagą słuchali jej wyводу, być może dlatego, że gwiazda teatru Bolszoi utrzymywała bliskie stosunki ze Stalinem i jej informacje mogły być dokładniejsze niż czyjekolwiek inne.

– Ale jesteśmy wrogami. Związek Radziecki i Niemcy nie mogą iść ramię w ramię – skomentował Prokofiew. – Faszyzm nigdy nie pogodzi się z komunizmem. Narodził się po to, żeby go zniszczyć.

– Owszem, ale tak było wcześniej, przez dwadzieścia lat, kiedy trwał ten fałszywy pokój. – Wiera przyjrzała się niepewnym minom swoich rozmówców. – Czy to może kogoś dziwić? Widać było, na co się zanosi. Teraz wrogowie zamieniają się w przyjaciół, po to by zwrócić się przeciwko nowym wrogom. Poza tym wiecie państwo, jak to się mówi: lepiej trzymać się blisko wrogów niż przyjaciół. Można od nich zdobyć więcej informacji, i to bardziej wiarygodnych.

Był to przejaw egoizmu, ale Siergiej zastanawiał się przede wszystkim, jak nowe wydarzenia wpłyną na jego plany artystyczne. Jak za naciśnięciem jakiegoś wewnętrznego guzika przypomniał sobie o Linie. Poczł, że musi do niej zadzwonić.

Wstając, dostrzegł sylwetkę Cajtlina, który obserwował go z odległości kilkudziesięciu metrów. Obaj popatrzyli na siebie, jakby prowadzili pojedynek na spojrzenia pełne nieufności. W przypadku Siergieja zmieniała się ona w otwartą

nienawiść. Chciał podbiec do tamtego i dać mu w pysk. Cajtlin ośmielił się wejść na najbardziej intymne terytorium Siergieja, należące – na mocy wielu istniejących i obowiązujących praw – wyłącznie do niego. Patrząc na Cajtlina, poczuł, jak w najgłębszych pokładach jego duszy zaczyna narastać poczucie solidarności z Polską.

Lina wciąż była w Moskwie. O wybuchu drugiej wojny światowej dowiedziała się z radia niedługo przed tym, jak zadzwonił do niej z tą wiadomością Siergiej.

– Nie martw się. Z tego, co słyszę, Związek Radziecki nie będzie uczestniczył w walce. Możesz być spokojna.

Wykorzystał rozmowę, żeby poinformować Linę, że opóźni o kilka dni powrót do Moskwy, ponieważ wyniknęły pewne problemy z próbami. Mówił coś o niekompetencji jednego ze współpracowników, o ostatniej desce ratunku, którą dla spektaklu może się okazać Serafima Birman, o uporze kogoś, kto się na niczym nie zna, i o odrazie, jaką napawają go kontakty z przewodniczącym Komitetu do spraw Sztuki, Kierzencewem – głównym sprawcą wszystkich ataków, cenzurowania i zakazów dotyczących artystów. Lina uśmiechała się. Siergiej nigdy nie odważyłby się na takie wyznanie w liście. Zanim się rozłączyli, powiedział jej jeszcze, jak bardzo za nią tęskni.

– Już sobie zdałam z tego sprawę. Przeczytałam twój list, w którym mnie prosiłeś, żebym przyjechała do Kisłowodzka, dwa dni potem, jak wróciłam do Moskwy. Nawet mi podałeś szczegółowy rozkład jazdy. Jesteś beznadziejny. Nie sądzisz, że po tylu razach potrafię już sobie poradzić z podróżą do sanatorium? I po co mi była ta informacja, że nie tańczysz?

Siergiej zamilkł na parę chwil. Lina bała się nawet, że połączenie zostało zerwane. Miała ochotę jeszcze z nim pożartować na temat jego braku umiejętności tanecznych, o którym zawsze mu otwarcie mówiła, szczególnie wtedy, gdy na przyjęciach w ambasadach albo w trakcie innych uroczystości musiała szukać ramion tancerzy lepszych niż jej mąż, wykazujący w tej dziedzinie kompletny brak uzdolnień. Ale nie było to już możliwe. Wyglądało na to, że w Kisłowodzku Siergiej został poproszony o zwolnienie linii telefonicznej. Wiadomość o wybuchu nowego konfliktu zbrojnego musiała pociągać za sobą znaczne ich obciążenie. Nie cieszyło jej, że mąż opóźnia swój powrót do domu, ale nie miała innego wyjścia, jak wykazać zrozumienie.

Kilka dni później Lina wychodziła ze spotkania w Związku Kompozytorów, gdzie załatwiała sprawy związane ze swoim udziałem w koncercie radiowym. Siergiej przekonał ją bowiem, że powinna unikać jego pośrednictwa i podejrzeń o wykorzystywanie wpływów męża dla wspierania własnej kariery. Przy wyjściu spotkała Walentynę, siostrę Miaskowskiego. Ucieszyła się, spostrzegłszy ją. Nie miały kontaktu od kilku miesięcy.

– Widziałam któregoś dnia Siergieja – powiedziała Walentyna. Spotkałam go, wychodząc z koncertu wiolonczelowego. Był z tą młodą poetką... jak ona się nazywa? Mira Mendelson.

Linę zaskoczyły te słowa, ale najbardziej zdziwiło ją, że Walentyna zna nazwisko dziewczyny, podczas gdy ona nigdy nie zadała sobie trudu, żeby je poznać. W jej pamięci pojawił się obraz rozczochranej dwudziestolatki o niechlujnym wyglądzie, chodzącej na szeroko rozstawionych nogach, trochę po męsku, a mimo to uwodzicielskiej – jak można

by oczekiwać po kobiecie w jej wieku. Zmieszanie Liny kazało Walentynie wytłumaczyć się jaśniej, choć ton jej głosu brzmiał raczej jak usprawiedliwienie.

– Znam jej rodzinę. Jej ojciec jest ważnym profesorem ekonomii, bardzo zasłużonym dla partii, a matka też jest niezłe ustosunkowana. Mira należy do Komsomołu<sup>34</sup>, studiuje w Instytucie Literatury... Nic dziwnego, że utrzymuje wiele kontaktów z artystami.

Przez kilka sekund obie wpatrywały się w siebie. Lina próbowała dojrzeć w oczach Walentyny jakąś prawdę ukrytą pośród tylu mało istotnych informacji, powierzchownych i pozbawionych sensu, przynajmniej dla niej.

– Powinam się przejmować? – zapytała, usiłując nie wypowiedzieć swoich wątpliwości zbyt poważnym tonem i starając się zachować godność, którą każdy mógłby stracić w konfrontacji z takimi podejrzeniami.

– Kobieto, co ty mówisz... Ja... – Walentyna nie umiała ukryć zakłopotania, w które wprawiło ją spojrzenie przyjaciółki.

Ta mina rozmówczyni szczególnie zaniepokoiła Linę. Było to nieuniknione, choć natychmiast odsunęła od siebie formujące się niejasno w jej umyśle podejrzenia. Doskonale znała Siergieja. Nie potrafiła wyobrazić go sobie flirtującego z inną kobietą. Przecież nawet nie wiedziałyby, jak to robić. Wciąż jeszcze pamiętała jego niezręczność, jaką wykazał podczas przejażdżki łodziami w pobliżu domu Stahlów, kiedy próbując zwrócić na siebie jej uwagę, omal nie spowodował, że niektórzy goście powpadali do wody. Kogo zdołałby oszukać? Siergiej nie miał żadnego doświadczenia z kobietami, nie wiedział, jak je traktować, tym bardziej nie miał pojęcia o flirtowaniu. Nawet wdawanie się w rozmowę z ładną kobietą zawstydzalo go. Czerwienił się przy tym jak dziecko, płatał mu się język, pociły dłonie i nie potrafił ustać spokojnie. Było wręcz nie do uwierzenia, że ten człowiek, tak nieśmiały wobec nieznanym – szczególnie kobiet – mógł choćby pomyśleć o miłosnej przygodzie. Życiem Siergieja była muzyka i zdarzały się chwile, kiedy Lina czuła, że musi z nią walczyć o zagwarantowanie sobie pierwszego miejsca na jego skali wartości. Był nieporadny w życiu towarzyskim, okazywaniu uczuć oraz konwersacji z nieznanymi. Choćby jego własny syn Oleg, który nie zwykł odrywać nosa od swoich rysunków, miał, jeśli chodzi o sztukę prowadzenia rozmowy, więcej umiejętności od ojca. Lina uznała insynuacje siostry Miaskowskiego za absurdalne. Taka rzecz mogła się przydarzyć każdemu innemu mężczyźnie, ale nie Siergiejowi. Walentyna niewątpliwie nie znała go dostatecznie dobrze. Lina natomiast miała własną interpretację tej historii. Siergiej musiał spotkać młodą dziewczynę z sanatorium, która upierała się, żeby iść na koncert, i nie miał innego wyboru, jak tylko ją zaprosić, a przy wyjściu nie mógł nic poradzić na to, że dziewczyna mu dziękowała. Gdzie tu problem? Dlaczego miałyby się tym martwić?

A jednak się martwiła. I znów zadała to pytanie:

– Walentyna, czy powinienam się przejmować?

– Powinnaś już od jakiegoś czasu.

Odpowiedź przyjaciółki sprawiła, że świat nagle zaczął się walić. Lina doświadczyła uczucia, które towarzyszy czasem bokserowi opuszczającemu ring po otrzymaniu silnego ciosu: wszystkie jego zmysły są wyłączone, ale w jakiś



niewytłumaczalny sposób udaje mu się jeszcze utrzymywać na nogach. Jak absurdalnie potrafi się zachowywać ludzki umysł, kiedy coś go niepokoi. Lina potrząsała głową, jakby chciała z niej usunąć czarne myśli i przekazać im, że nie są mile widziane. Przyspieszając kroku, nie chciała przyznać sama przed sobą, że wciąż czuje, jak chłoszczą ją wątpliwości i podejrzenia. Pragnęła jak najszybciej dotrzeć do domu, znaleźć się na przyjaznym terytorium, w bezpiecznym miejscu, gdzie nic jej nie groziło. Nie zamierzała dawać wiary niesprawdzonym plotkom. Po mieście krążyło zbyt wiele złośliwych opowieści, żeby wszystko, co się słyszy, przyjmować za pewnik. Wiedziała, że ich związek zawsze budził wiele zawiści, nieustannie był poddawany publicznemu osądowi i można było znaleźć osoby, które w celu wyrządzenia im krzywdy nie cofnęłyby się przed niczym. Skoro niektórzy rodzice zdolni byli donosić na swoje dzieci, skoro dzieci potrafiły denuncjować rodziców, skoro bracia oskarżali się wzajemnie o zdrady, skoro kuzyni czy małżonkowie ciskali w siebie fałszywymi zarzutami – dlaczego ktoś nie mógłby zmyślić historii mającej na celu osłabienie więzi między dwojgiem ludzi żyjących ze sobą od ponad dwudziestu lat? Wiedziała, że są osoby, które obserwują ją przez ogromną lupę ze względu na jej status cudzoziemki. Ale była przecież żoną Prokofiewa, już od siedemnastu lat, od 1923 roku, i nie miała ochoty, żeby ktokolwiek to podważał.

Dotarła do domu zdyszana, chociaż starała się zapanować nad oddechem. Nie chciała swoim wyglądem zdradzać niepokoju, który wydawał jej się całkiem nie na miejscu. Jej umysł przekształcił się w fabrykę rozmaitych usprawiedliwień, pocieszeń i argumentów, które jednak intuicja odrzucała jako słabo przekonujące. Jej mózg działał na najwyższych obrotach, ale Lina nie obawiała się, że wszystkie te koła zębate wylecą w powietrze od nadmiernego obciążenia. Nie usłyszała nawet Frosi pytającej, czy wszystko w porządku. Nie zdołałaby też nikogo dostrzec, gdyby ktokolwiek był akurat w mieszkaniu. Jakby odebrała jakiś sygnał od samego Boga, skierowała się prosto do gabinetu, w którym zwykle pracował Siergiej. Zaczęła przeszukiwać jego papiery. Nie było trudno go znaleźć. Oprawiony na czarno dziennik, na którego stronicie Prokofiew przelewał każdy swój dzień, spoczywał na biurku wśród bezładnie porozrzucanych partytur, teczek, książek i zeszytów. Lina nawet nie zdążyła go otworzyć, kiedy ze środka wypadła luźna kartka niestanowiąca części dziennika. Ktoś ją tam włożył i być może zapomniał, a może pragnął, żeby ktoś inny ją odnalazł. Grubością papieru odróżniała się od kart dziennika, była zapisana innym charakterem pisma i innym atramentem niż reszta notatek. Wtedy Lina zrozumiała.

Wyszła z pokoju z dziennikiem Siergieja w ręce. Nie uświadamiała sobie nawet, jakiej profanacji dokonuje, otwierając ten intymny pamiętnik, który jej mąż zapełniał i którego strzegł z takim zapałem. W pośpiechu zaczęła szukać czegoś w szufladzie komody, która stała obok drzwi wejściowych. Zostawiła to tam kilka tygodni wcześniej. Musiało tam być. W końcu znalazła. Porównała dwa listy i mogła już potwierdzić to, co jej umysł wciąż próbował odrzucić, a serce tak bardzo pragnęło uznać za nieprawdę. Obie kartki były zapisane tym samym czerwonym ołówkiem. List, który dostała od męża przed kilkoma tygodniami, w którym prosił ją o przyjazd do Kisłowodzka i wyznawał, że nie umie tańczyć, został napisany tym samym ołówkiem co wiersz porzucony między stronicami dziennika. Nietrudno było jej zrozumieć nową rzeczywistość, w obliczu której

stanęła. Adresatką listu była autorka wiersza wetkniętego między karty dziennika, Mira Mendelson. Dlatego treść listu wydała jej się wtedy tak dziwna, dlatego – a nie przez zapomnienie – nie zaczął się od słów „Kochany Ptaszku”...

Lina na kilka sekund zamknęła oczy. Nie mogła w to uwierzyć. Nie pierwszy raz Siergiej się pomylił i przesłał wiadomość nie temu adresatowi, co powinien. Przypomniała sobie dzień, w którym Prokofiew wysłał takie same bukiety róż do niej i do aktorki Stelli Adler, tyle że z zamienionymi bilecikami. Wtedy zwyciężyła Lina. Udało jej się zdobyć geniusza i złączyć swoje życie z jego życiem, aktorka zaś została zapomniana. Teraz także była zdecydowana odnieść zwycięstwo. Włożyła list z powrotem do szuflady, to samo zrobiła z dziennikiem, uprzednio wyjmując z niego kartkę, na której był zapisany wiersz Miry zatytułowany *Miłość*. Usiadła na jednym z krzeseł w jadalni i zaczęła go czytać, starając się zignorować torturę, jaką to dla niej stanowiło.

*Wszystko dzieje się nagle, zarówno radość, jak i ból.*

*Wybrałam tego z niebieskimi oczami i powiedziałam sobie:*

*„Na zawsze”.*

*Serce poruszyło się od tych słów, potem już mówiłam  
bezpośrednio do niego.*

*„Nie jest gościem ani przechodniem, potraktuj go jak samo życie”.*

*Nie rozpoznając go, widziałaś wiele razy, jak przechodził,*

*a jednak jest już złączony z tobą niewidocznymi więzami.*

*Spójrz za siebie, w swoich dawnych snach odnajdziesz  
jego ślady,*

*w oczekiwaniu na coś pięknego i w powtarzanym wiele razy  
słowie „nie”.*

*Jeśli jest w tobie wola przejścia z nim przez pole życia,*

*serce zgodzi się na wszystkie wyboje, na które może natrafić  
po drodze.*

*I weszłam po schodach popychana przez przeznaczenie,*

*stopniami były miesiące, które zostawiałam za sobą.*

*M.*

Lina czuła, jak buntuje się jej żołądek, jak próbuje się pozbyć nadmiaru żółci. Domagały się tego jej duma i zmysł równowagi. Przypomniała sobie słowa Siergieja, kiedy po raz pierwszy zapytała go o tę kobietę w stołówce domu wypoczynkowego w Kisłowodzku. „Wydaje się jej, że jest poetką. Powinni ją aresztować”. Pomyślała, że powinni jej zrobić coś jeszcze gorszego za to, że ośmieliła się wtrącić do ich małżeństwa.

Czuła, że jej życie rozpada się na kawałki, niebezpiecznie pęka, tak jak warstwa lodu pokrywająca powierzchnię rzeki pęka pod wpływem gwałtownego uderzenia. Jej doświadczenia rozsypały się jak elementy ogromnej układanki, mieszając się i rozmazując wyjściowy obraz. I właśnie to *katharsis* pozwoliło jej jasno dostrzec niektóre chwile z przeszłości, które do tej pory pozostawały ukryte za zasłoną ignorancji i niewinności. Zrozumiała teraz to, co działo się kilka miesięcy wcześniej podczas kolacji w Domu Pisarza. Nie był to jakiś szczególny wieczór, po prostu jedno z wielu spotkań

z przyjaciółmi, kolegami i osobami, które wypadało zobaczyć, choćby nie miało się na to wielkiej ochoty. Prokofiewowie dzielili stół z historykiem teatru Aleksiejem Dziwilegowem, który po raz kolejny usiłował ich przekonać, że sztuka nie byłaby taka sama bez Machiavellego, Leonarda da Vinci, Castiglione i Michała Anioła, a mówiąc ogólnie: bez całego włoskiego renesansu. Wysiłając pamięć, Lina przypomniała sobie pewnego młodego człowieka, który zbliżył się do stołu i zapytał Prokofiewa, czy miałby coś przeciwko przywitaniu się z młodą wielbicieleką, studentką literatury kochającą jego muzykę. Lina raz jeszcze miała okazję zobaczyć, jak nieśmiałość Siergieja przyczynia się do budowania jego legendy człowieka poważnego, oschłego i sztywnego; to ona sama namówiła go, żeby wstał i przywitał się z młodą kobietą. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak doszło do tego, że jej mąż w końcu z tą dziewczyną zatańczył, pamiętała tylko, że jego niezręczność na parkiecie wywołała wesołość wszystkich zgromadzonych przy stole. Nie zapamiętałaby z tamtego wieczoru nawet twarzy kobiety, jakiegokolwiek jej rysu, który mogłaby teraz przywołać w swojej wyobraźni, podobnie jak nie umiałaby tego zrobić po spotkaniu w stołówce ośrodka w Kisłowodzku, gdyby zdarzenia potoczyły się inaczej. Ale odtwarzając w głowie jeszcze raz tamte chwile, rzeczywiście odnajdywała jakieś wyrazy twarzy, jakieś szczegóły, drobne znaki świadczące o tym, że być może ta para nie pierwszy raz tańczyła razem. Zdumiało ją, jak mogą się zmieniać rzeczy widziane z perspektywy czasu i dodatkowych informacji. Winiała się za głupotę, potępiała za wykazaną wtedy niezdarność, żałowała, że przed czasem wróciła z wakacji w Kisłowodzku do Moskwy, do synów. Może gdyby została, gdyby trwała przy mężu, gdyby nie zostawiła Mirze wolnej ręki...

Pośród tego kłębowiska emocji, krzyżujących się zdań, wspomnień, które uparcie nakładały się jedno na drugie, oraz niewyraźnych obrazów młodej kobiety zapisującej myśli na czerwono Lina na tyle odzyskała zmysł słuchu, że mogła dosłyszeć czyjeś kroki. Ktoś wspinał się po schodach kamienicy, wywołując skrzywienie wysłużonych i podniszczonych drewnianych stopni. Była w stanie rozpoznać tego człowieka z odległości tysięcy kilometrów. W taki sposób chodził Siergiej.

Frosia pobiegła do pokoju dziecięcego. Nie chciała tego oglądać, choć przypuszczała, że i tak wszystko usłyszy. Była już niemym świadkiem różnego rodzaju scen i postanowiła o nic Liny nie pytać, bo zdawała sobie sprawę, że byłoby to i tak bezowocne, że pani domu nawet by jej nie wysłuchała i niczego nie wyjaśniła, przynajmniej w tym momencie. Frosi nic nie dziwiło. Wiedziała, że któregoś dnia musi się to stać. Żałowała, że nie porozmawiała z panią wcześniej, że nie przewyciężyła fałszywego poczucia dyskrecji, które kazało jej ukrywać pewne szczegóły, na przykład częste telefony i pytania o Siergieja zadawane przez kobiety głos, którego właścicielka nigdy nie chciała się przedstawić. Albo listy bez nadawcy, pozostawiane dyskretnie w domowej skrzynce, bez pieczęci i znaczka, w kopertach, na których napisane było tylko imię „Siergiej”. Nawet nie „Prokofiew”. Po prostu „Siergiej”, napisane okrągłymi, lekko pochylającymi się w prawo literami. Frosia cieszyła się, że Światosława i Olega nie ma w domu. Błogosławiona szkoła. Usiadła, zamknęła oczy i przygotowała się na burzę. Dobrze знаła charakter Liny i jej zachowanie, kiedy ktoś ją prowokował. Tym razem prowokacją okazał się tekst zapisany czerwonym ołówkiem.

Lina doczekała chwili, gdy Siergiej zamknął za sobą drzwi, i zaczęła mówić. Nie dała mu nawet czasu, żeby zdjął płaszcz. Ledwo zdołał odłożyć kapelusz. Nie oczekiwał tego. W istocie nikt tego nie oczekiwał.

<sup>34</sup> Komunistyczny Związek Młodzieży, organizacja założona w 1918 roku, młodzieżowe zaplecze radzieckiej partii komunistycznej.

– Popatrz na mnie.

Prośba sformułowana przez Linę brzmiała właściwie jak rozkaz, choć do uszu dopiero co przybyłego Siergieja dotarła w postaci reprimendy – szorstkiej i bolesnej. Od razu spostrzegł kartkę papieru, którą jego żona trzyma w ręce. W przypiływie przekory postanowił nie posłuchać polecenia.

– Siergieju Siergiejewiczu Prokofiewie, natychmiast spójrz mi w oczy. – W końcu ustąpił przed żądaniem Liny. – Czy utrzymujesz stosunki z tą kobietą?

Ciepły błękit jego oczu przybrał odcień indygo – ciemny, charakterystyczny dla morskiej toni i dla głębin lodowatego oceanu, do których wiodło Linę milczenie Siergieja. Czowała, że ten brak jakiegokolwiek słowa ze strony jej życiowego partnera wiąże wokół jej szyi sznur, na końcu którego znajduje się ciężki kamień, a wszystko po to, żeby pogrążyć ją w morzu wątpliwości i lęków. To milczenie bolało ją bardziej niż przekleństwa brzmiące tak naturalnie w ustach ludzi radzieckich. Było zbyt intymne, osobiste, dławilo bardziej niż szept, którym żył cały kraj. Milczenie Siergieja rozdzierało jej serce, nie potrafiła zrobić nic innego niż kontratakować, bronić się i krzyczeć. Przede wszystkim krzyczeć. Odpowiedzieć krzykami bólu na wypełnioną poczuciem winy ciszę, w której pogrążył się Siergiej. Była to jej jedyna broń, jedyna wyobrażalna zemsta, i Lina miała zamiar stawić opór.

– Nawet nie próbujesz zaprzeczać? – zapytała, stojąc na krawędzi szaleństwa wywołanego jego milczeniem, które stawało się dla niej torturą. W głębi duszy pragnęła, żeby zaczął to robić: żeby odrzucił oskarżenia, żeby negocjował oczywistość listu napisanego czerwonym ołówkiem, żeby walczył z prawdą choćby za pomocą kłamstw i fałszywych nadziei, do których ona też się uciekła, kiedy nabrała pierwszych podejrzeń po wysłuchaniu słów Walentyny.

– Czy to by mogło coś dać? – spytał, starając się nie podnosić głosu. – Wyciągnęłaś już własne wnioski. I z tego, co widzę, nie miałaś problemów z nadużyciem naszego wzajemnego zaufania – powiedział, mając na myśli dziennik, w którym Lina znalazła kartkę papieru, stanowiącą teraz dowód przestępstwa.

– Śmiesz mówić mi o nadużyciu zaufania? – Jej irytacja nasilała się z chwili na chwilę. Lina miała rozpalone policzki i stężałe rysy, przez co jej twarz nabrała jakiegoś szczególnego blasku. Siergiejowi wydało się niegodne myślenie o tym, jak pięknie wygląda jego żona, ale jednak ta refleksja przyszła mu do głowy. Nie potrafił tego uniknąć, podobnie jak romansowania z Mirą.

– Nie chodzi o nic z tych rzeczy, o których myślisz. Ale jesteś zanadto zdenerwowana, żeby to zrozumieć.

– No to powiedz mi, co powinnam zrozumieć. Powiedz mi to, proszę, bo za chwilę się na ciebie rzucę.

– Do niczego nie doszło. A to, do czego doszło, nie miało żadnego znaczenia poza tym, które ty sama nadajesz mu w swojej głowie.

– Widziano cię z nią – powiedziała Lina, jakby to był koronny dowód

potwierdzający jej oskarżenia. Czowała, że za chwilę wybuchnie płaczem, ale chciała tego uniknąć. Będzie się trzymała do czasu, aż Siergiej zniknie jej z oczu.

– Ciebie też widziano, jak tańczyłaś z ambasadorami, *attaché* prasowymi, szefami zagranicznych gazet, a mnie nigdy nie przyszło do głowy robić ci scen zazdrości.

– Ja nie chowam wśród swoich papierów wierszy żadnego nieznajomego.

– Ja też nie. Co twoim zdaniem mam zrobić, jeśli ktoś mi daje swój wiersz, żebym go przeczytał? Powinienem go podrzeć i rzucić temu komuś strzępy w twarz?

– Nie byłoby to złe, kiedy chodzi o młodą dziewczynę, która mogłaby być twoją córką i która pisze, że wybrała tego z niebieskimi oczami.

Nie dziwiło go, że Lina przeczytała list. Czułby się rozczarowany, gdyby tego nie zrobiła. Znał Linę i wiedział, że ta drobna, piękna kobieta o wielkiej sile charakteru i niespokojnym duchu zwykła patrzeć problemom prosto w oczy, niezależnie od tego, jak głęboko ją to raniło. Ale nie mógł uniknąć irytacji, kiedy myślał, w jaki sposób to wszystko wyszło na jaw. Złościł się, kiedy wyobrażał sobie, jak Lina wchodzi ukradkiem do jego gabinetu i wkracza w strefę intymności, którą stanowił dziennik. Nie wiedział, jak zapanować nad sytuacją, i postanowił wspomóc się wściekłością.

– Nie byłaś tak skuteczna w tych poszukiwaniach, jak sądzisz. Chcesz zobaczyć więcej? – Siergiej złapał ją gwałtownie za ramię i zaprowadził do gabinetu. Lina nawet nie poczuła na swoim przedramieniu silnego uścisku dłoni męża; dopiero później zobaczyła małe, zaokrąglone, brązowawe ślady na skórze. – Przysłała mi jeszcze to.

W jego dłoni pojawiła się koperta, w której znajdowało się tłumaczenie wiersza *Highland Mary* szkockiego poety Roberta Burnsa. Modlił się, żeby Lina nie знаła historii tego wiersza, napisanego przez Burnsa dla jego kochanki, Mary Campbell, z którą zamierzał uciec, porzucając żonę, Jean Armour, i dwóch synów bliźniaków. Plan nie został zrealizowany z powodu gorączki, która odebrała Mary życie na kilka dni przed planowaną ucieczką. Siergiej był zadowolony, że zainteresowania literackie Liny nie pozwoliły jej poznać szczegółów historii związanej z utworem szkockiego poety, urodzonego w 1759 roku, ani jego upodobania do kolekcjonowania kochanek.

– I nie tylko to. Przyniosła mi też libretto utworu, który mógł mnie zainteresować, *The Duenna* Richarda Brinsleya Sheridana. Studentka w Instytucie Literatury, członkini Komsomołu, jest dobrze ustosunkowana...

– Znam jej biografię zawodową, dziękuję ci bardzo. Było to dla mnie zawstydzające, ale ktoś mnie w tej sprawie oświecił. Chociaż wciąż nie mogę zrozumieć, jak można studiować literaturę w kraju, który bez przerwy cenzuruje i zakazuje wielkich pisarzy – przerwała mu Lina, nie mając ochoty po raz kolejny słuchać o zasługach osoby, wobec której czuła już nienawiść nieznaną jej wcześniej w życiu.

Przez chwilę tytuł wymienionego dzieła kojarzył się jej niejasno z jakimiś wspomnieniami. *The Duenna*... Kiedyś, w przeszłości, już o tym słyszała. W końcu sobie przypomniała, a to odkrycie zirytowało ją jeszcze bardziej.

– Nie bądź śmieszny. Twoje tchórzostwo nie pozwala ci zachować godności. Ten utwór zaproponował ci Tairow. To on jako pierwszy ci o nim powiedział. Byłam przy tym. Poza tym opisałeś mi go w jednym z listów, kiedy byłam w Soczi. Ale rozumiem, że masz wokół siebie tylu ludzi, że mylą ci się i zawodzi cię pamięć, szczególnie kiedy

starasz się ją zbrukać kłamstwami.

– Mira pisze niektóre części libretta. I pracuje nad tłumaczeniem. Ma przyjaciela, dyrektora artystycznego Komsomolskiego Teatru Lenina, który jest zainteresowany zamówieniem utworu i wystawieniem go.

Siergiej próbował pchnąć rozmowę na inne tory, skierować ją na płaszczyznę zawodową, żeby jak najszybciej porzucić wymiar osobisty, ale nie było to łatwe.

– Mira? Już mówisz jej po imieniu? – spytała wściekła, ale zdecydowana kontynuować bitwę, w której nie zamierzała ani uciekać, ani tym bardziej ponieść porażki. – Nie wiedziałam, że masz nową sekretarkę. Sądziłam, że to ja zajmuję to stanowisko, a także mam posadę tłumacza. Za tę samą pensję, czyli żadną. Mam nadzieję, że ona lepiej tłumaczy niż pisze. I szkoda, że, jak sam powiedziałeś, nie aresztowali jej za pisanie takich bzdur – powiedziała, rzucając na podłogę przeklęty wiersz zapisany czerwonym ołówkiem. – Zasługuje na jedną z cel na Łubiance, bardziej niż nasz przyjaciel Meyerhold, o którym nawet już nie pamiętasz. Może dlatego, że nie jest tak dobrze ustosunkowany jak twoja nowa przyjaciółeczka. I oczywiście zasługuje na to, żeby się przejechać jednym z tych pociągów jadących na Syberię, do obozów pracy, podobno nieistniejących, tak jak nie istnieją ludzie, którzy do nich trafiają. I tak jak pod rządami Stalina nie istnieją pozamażeńskie przygody ani tyfus, ani głód, ani donosy, ani wymuszone zeznania, ani tortury. I tak jak nie istnieją w tym kraju nazwiska Aleksandra Tairowa, Dymitra Szostakowicza, Osipa Mandelsztama, Wsiewołoda Meyerholda, Zinaidy Reich... Przypuszczam, że w niektórych sprawach lepiej nie mieć pamięci. Nie może być tak, żeby żal i wstyd niszczyły istotę rosyjskiej duszy.

– Nie wiesz, co mówisz. Oślepią cię zazdrość. Sądziłem, że ten etap mamy już za sobą. Ale ja nie zrezygnuję z pomysłu tylko dlatego, że podsunęła mi go kobieta inna niż ty i którą ty traktujesz jak zagrożenie.

Frosia nadal siedziała z zamkniętymi oczami, w ciszy, wstrzymując oddech i modląc się, żeby Lina nie ustąpiła, nie dała się przekonać. A sądziła, że milczenie, które zapanowało w gabinecie, świadczy właśnie o tym. Myliła się jednak.

– Chciałabym ci wierzyć, Siergiej. W tej chwili najbardziej bym tego chciała. Ale nie mogę. – Lina odzyskała spokojny ton głosu. Odetchnęła głęboko i oznajmiła swój werdykt. – Chcę, żebyś przestał się z nią widywać. Chcę, żeby ludzie przestali o tym mówić. Chcę, żebyś spalił ten list i wyrzucił jej imię ze swojej pamięci. Chcę, żebyś wrócił do domu i o wszystkim zapomniał. I nie ma dla mnie różnicy, co się w tym „wszystkim” mieści. Wróć do domu. Nie wydawało ci się to trudne, kiedy wracaliśmy do Moskwy trzy lata temu, rezygnując ze wszystkiego, co oferowały nam Stany Zjednoczone. Wiesz już, co mówi twój ukochany Stalin, to dla niego przecież jesteś tak zajęty. Piszesz dla niego kantatę i omal nie zapomniałeś o urodzinach twojego młodszego syna. Stalin powiedział, że zawsze trzeba szukać okazji, żeby wrócić do domu – przypomniawszy słowa radzieckiego przywódcy wypowiedziane na premierze *Aleksandra Newskiego*. Ta parafraza wydała się Linie oszustwem, ale czymś jeszcze bardziej niewiarygodnym było dla niej to, że naprawdę przeżywa całą tę scenę wywołaną niewiernością męża. – No więc proszę: daję ci taką szansę i mam nadzieję, że okażesz się dostatecznie odważny i inteligentny, żeby z niej skorzystać.

Zanim wyszła z gabinetu, zatrzymała się jeszcze na chwilę, nie odwracając jednak głowy i nie patrząc na męża.

– Nie chcę wracać do rozmowy na ten temat. Zostawiam cię, żebyś kończył swoją kompozycję na sześćdziesiąte urodziny Stalina. I powiedz swojej sekretarce dwie rzeczy: po pierwsze, żeby trzymała kolana razem, kiedy chodzi, bo inaczej wygląda jak kierowca ciężarówki. Właściwie to najlepiej, żeby je cały czas trzymała razem. A po drugie, Teatr Kameralny zamierza wystawić *Zaręczyny w klasztorze*, czyli nowe tłumaczenie *The Duenna*, które, jak twierdzisz, zostało odkryte dzięki twojej przyjaciółce poetce. Chociaż jest bardzo dobrze ustosunkowana i jej ojciec jest bardzo ważny, nie sądzę, żeby Komsomolski Teatr Lenina miał pokazać to samo dzieło po raz drugi tak szybko po pierwszej premierze.

Siergiej został w gabinecie sam, zamknięty w swoich własnych kłamstwach, choć jednocześnie z pewnym poczuciem ulgi, bo wiedział, że niewinność rodzącej się relacji z młodą Mirą Mendelson zmierza do nieuchronnego zakończenia. Odkrycie Liny przyspieszy ten proces. W samotności swojego gabinetu, w którym odbywał pokutę za grzech, zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do tego wszystkiego, jak do tego dopuścić. Żałował od pierwszego pocałunku podczas tamtego niewinnego spaceru, kiedy po prostu spodziewał się, że będzie mu towarzyszyć kolejna wielbicielka. Nie sądził, że odczytanie przez młodą kobietę wiersza będzie kryć w sobie jakąś sekretną intencję. Po prostu starał się być miły, choć nie mógł zaprzeczyć, że obecność Miry poprawiała mu samopoczucie, nie tyle przez jej fizyczność, ile za sprawą komplementów, które sypały się z jej ust. Teraz czuł się z tego powodu śmieszny. Pokonany przez napięcie ostatnich kwadransów opadł na fotel, trzymając się za głowę i próbując powstrzymać kolejny atak migreny, którego zapowiedź zaczął już odczuwać. W gruncie rzeczy czuł się ofiarą. To Mira aranżowała ich krótkie spotkania. To prawda, że odpowiedział na jej telefon po otrzymaniu wiersza Roberta Burnsa, spotkał się z nią, żeby porozmawiać o *The Duenna*, dał jej zaproszenie na jeden ze swoich koncertów, nie odmawiał długich wspólnych spacerów po parkach i chętnie odwiedził ją w domu rodziców. Nigdy jej niczego nie obiecywał, nie stawiał żadnych żądań, nie było tu żadnych ukrytych celów – przynajmniej z jego strony. Nie próbował całkiem wyprzeć się odpowiedzialności, ale czuł się stroną bierną. Sprawiało mu przyjemność towarzystwo młodej kobiety, która nie prosiła o żadne wyjaśnienia, nie rozmawiała z nim o obowiązkach ani o synach, ani o codziennych domowych problemach, ani o konieczności wyjazdu ze Związku Radzieckiego jako warunku szczęścia. Nie upierała się, żeby otwierać mu oczy, budzić go z letargu, nie denerwowało jej milczenie ludzi, aresztowania, zakazy i decyzje partii. Okazywała tylko miłość do jego muzyki, do genialnego kompozytora, zaklinała go, żeby komponował „w tym wielkim kraju i dla wielkiego narodu rosyjskiego, gdyż Związek Radziecki potrzebuje takich talentów jak Prokofiew, żeby udowodnić całemu światu potęgę rosyjskiej duszy”. Siergiej nie myślał o tym, że ten związek stanowi zagrożenie dla jego rodziny, że zaburzy wspólne życie z Liną i synami. Nigdy nie zastanawiał się nad porzuceniem ogniska domowego, nigdy nie rozważał rozbicia rodziny dla tej kobiety. Być może dlatego odkrycie przez Linę jego przygody tak bardzo go rozwścieczyło, bo nie chciał zdać sobie sprawy, kto naprawdę zawinił w tej sytuacji, która wstrząsnęła jego życiem. To, że Lina poznała jego



sekret, zmieniło plany Siergieja – chciał bowiem, by ta pozamałżeńska historia, z którą nie wiązał żadnej przyszłości, toczyła się swobodnie. Ale interwencja Liny wywróciła wszystko do góry nogami.

Uznał, że najlepszą strategią będzie odczekać, ponieść karę i iść dalej przed siebie, nie odwracając się. Nie mógł już zmienić przeszłości. Najlepiej będzie patrzeć w przyszłość.

W końcu ktoś zdał sobie sprawę, że należy wystawić w Związku Radzieckim *Romea i Julię* Prokofiewa i zdjąć z tego utworu nałożony wiele lat wcześniej zakaz, który sprawił, że miał on swoją premierę w teatrze w Brnie. W żadnym momencie Siergiejowi nie przyszło do głowy, że znajomość z Mirą, o której widziało już wielu ludzi, mogła w tym odegrać jakąś rolę. Nikt o tym nie pomyślał, chociaż ktoś słyszał, jak dziewczyna sama się tym przechwalała. Ale oczywiście nie był to Prokofiew.

Próby *Romea i Julii* w leningradzkim Teatrze imienia Kirowa nie szły łatwo. Wciąż toczyły się dyskusje między kompozytorem i resztą zespołu, szczególnie z udziałem reżysera i tancerzy. Siergiej był nerwowy, bardziej niż zwykle, a wyczulenie na każde słowo, minę czy komentarz wystawiało jego cierpliwość na ciężką próbę.

– Gdzie tu macie problem szczęśliwego zakończenia? – pytał wściekły Prokofiew, który najwyraźniej nauczył się operować w teatrze krzykiem. – To z pewnością nie jest szczęśliwe zakończenie. Co wy uważacie za szczęście? Ja bym się nie odważył poprawiać Szekspira, nawet ja nie jestem dostatecznie szalony, żeby to robić! Czy ktoś tu przeczytał tekst i partyturę, zanim zaczął mieć pretensje do mojej muzyki? W ostatnim akcie Romeo przychodzi minutę wcześniej niż u Szekspira i zastaje Julię żywą. To nie jest mój kaprys, ja tylko oddaję przysługę choreografowi i tancerzom. Potraktowałem dzieło Szekspira z taką swobodą, barbarzyńską swobodą, wyłącznie z powodów choreograficznych: żywy człowiek może tańczyć, a nikt nie spodziewa się, że nieboszczyk będzie tańczył w łóżku. Nie pojmuję tylko, dlaczego w Londynie rozumieją mój pomysł, a tu wszystkim się wydaje, że Szekspir urodził się w Odessie.

Leonid Ławrowski, nowy choreograf Teatru Kirowa, słuchał w milczeniu i znosił wybuchowy temperament kompozytora. Dopiero kiedy Prokofiew – jak się wydawało – całkiem się już wyładował, odważył się zasugerować, że potrzeba by było kilku dodatkowych fragmentów muzycznych między poszczególnymi scenami, aby tancerze mieli czas przejść na odpowiednie miejsca. Ale i ta propozycja nie została dobrze przyjęta przez kompozytora.

– Napisałem dokładnie tyle muzyki, ile potrzeba, żeby zmontować z tego całość. Nic więcej nie zrobię. To już gotowe. Cały utwór jest skończony. Jeśli chce go pan wystawiać, proszę bardzo: oto on. Jeśli nie chce pan, nie traćmy więcej czasu. Wyjadę i będę szykował spektakl w Londynie, Paryżu czy Brnie, gdzie chyba rozumieją muzykę trochę lepiej niż w paru innych miejscach.

– Od kiedy to jest pan ekspertem w sprawach miłości? – zapytał w chwili desperacji Ławrowski, który stał się kimś w rodzaju rzeczownika całego teatru, bo jako jedyny ośmielał się spierać z Prokofiewem.

– Pracujemy tu nad baletem, mój panie, więc niech pan skończy z tymi sentymentalnymi głupotami. Ani teatr to nie jest odpowiednie miejsce, ani ja nie jestem

pańską matką, ani nawet najlepszym przyjacielem, żebym musiał znosić pańskie wykłady psychologiczne na temat zachowania się dwojga kochanków.

Mimo ciągłych zaprzeczeń ze strony Prokofiewa i nieustannych z nim sprzeczek, Ławrowski dość szybko nauczył się, jak walczyć ze ślepym uporem kompozytora. I robił to, korzystając ze wsparcia najlepszego możliwego sojusznika. Lina przychodziła na próby i nie była jedyną osobą, która widziała Prokofiewa wychodzącego z siebie. Siergiej najwyraźniej nie czuł się dobrze i Lina wiedziała, że za jego bezkompromisowym zachowaniem i kategoryczną odmową dokonania jakichkolwiek zmian w skomponowanej muzyce – czy choćby rozważenia takiej możliwości – stoją motywy niemające nic wspólnego ze sprawami muzycznymi. Siadała na widowni i trwała tam w milczeniu. W jakimkolwiek innym momencie ich wspólnego życia wstałaby i usiadła obok męża, mówiłaby mu coś do ucha albo położyłaby mu dłoń na kolanie, żeby go uspokoić. Ale ani sceneria, ani okoliczności nie wydawały jej się właściwe dla takich zachowań. Niemniej nie chciała, żeby trudne chwile, jakie przechodzili jako małżeństwo, zmniejszały szanse powodzenia spektaklu, szczególnie gdy rozumiała, że uwagi choreografa są jak najbardziej słuszne, a Siergiej neguje je wyłącznie z powodu swojego infantylnego uporu. Postanowiła więc stać się dyskretną suflerką Ławrowskiego, któremu podpowiadała, jak powinien zmagać się z charakterem jej męża, żeby skłonić go do ustępstw, które zdawałyby mu się jego własną decyzją.

– Zrobimy tak, jak pan mówi. Pan jest tu maestrem – zwracał się posłusznie do Siergieja Ławrowski, stosując się do wskazówek Liny. – Tyle że oni się spodziewają muzyki pełnej namiętności i kolorowej, takiej, którą podziwiają u Prokofiewa. Ale to pan rzadzi. Choćbyśmy mieli porozstawiać krzesła w głębi sceny, żeby móc gdzieś usadzić tancerzy, kiedy będzie brzmiała muzyka... na środku sceny ich nie będzie. – Prokofiew spoglądał na niego nieufnie. – Mówię to, bo w pierwszej części nie napisał pan żadnej muzyki tanecznej. A ponieważ nie ma tańca, tancerze nie mają co robić. Ale najważniejsza jest pana muzyka. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Tancerze niech tańczą w domu.

– Cieszę się, że widzi pan to tak jasno, bo nie zamierzam komponować niczego więcej.

– Bardzo dobrze, nie ma żadnego problemu. Wykorzystamy jedną z części pana sonaty fortepianowej. Muszę tylko wynająć jakiegoś pianistę, żeby ją zagrał – odpowiadał spokojnie Ławrowski, mając pewność, że te słowa zirytują kompozytora.

– Czy pan oszalał, czy chce, żebym go udusił? – wrzasnął Prokofiew. – Nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy! – krzyczał, wychodząc wściekły z próby.

Ławrowski spojrzał na Linę siedzącą na środku widowni. Uśmiechnął się, widząc, jak kiwa twierdząco głową. „Spokojnie, wróci”. Po półgodzinie Siergiej znów wszedł do teatralnej sali, z tą samą dezaprobatą na twarzy, ale z całkiem już innym komunikatem.

– Dobrze. Zrobię to.

Każda próba przekształcała się w torturę. Rzadko trafiał się dzień, w którym nie wyniknąłby jakiś problem. I zawsze to Siergiej był w epicentrum burzy. Kiedy wchodził do teatru, elegancko ubrany w trzyczęściowy garnitur, myślał, że może wygodniej byłoby przychodzić w zbroi. Zadawał sobie pytanie, jaki będzie następny komentarz

Ławrowskiego, który wyprowadzi go z równowagi. Zawsze jednak kończyło się na wielkim zaskoczeniu.

– Boją się pana – strzelał w niego Ławrowski.

– Mnie się boją?

– Boją się pana muzyki. Nie rozumieją jej. To dla nich coś nowego. Czują się zagubieni przy tej orkiestracji i ciągłych zmianach rytmu.

– Zagubieni... – powtórzył Prokofiew. – Więc niech pan im rozda po kompasie i problem zniknie. – Chodził w górę i w dół środkiem widowni, w końcu wrócił w miejsce, gdzie stał Ławrowski. – Ci oświeceni młodzi ludzie wiedzą, kim był Diagilew? Pytam, bo tancerze Ballets Russes mojego dobrego przyjaciela doskonale rozumieli moją muzykę. Oczywiście żeby to osiągnąć, trzeba studiować i pracować znacznie ciężiej, niż oni to robią dziś.

– Jest jeszcze jeden drobiazg – ciągnął Ławrowski. – Tancerze nie słyszą muzyki w niektórych momentach spektaklu, a konkretnie w czasie najbardziej dramatycznej sceny. Uważają, że muzyka wtedy jest za cicha, nie dociera do nich nawet dźwięk niektórych instrumentów. Potrzebowaliby mocniejszej orkiestracji. Jeśli nie słyszą muzyki, nie mogą tańczyć.

– Aha, więc są też głusi. I gdzie to pan znalazł ten cudowny zespół?

Kierując się wskazówkami swojej sekretnej sojuszniczki, Ławrowski zaprowadził Prokofiewa na tył sceny i zarządził, żeby orkiestra wykonała omawiany fragment. Po kilku minutach Siergiej wrócił na miejsce na widowni, oznajmiwszy wcześniej, że wprowadzi pewne poprawki.

Dziesiątego stycznia 1940 roku w Leningradzie padał gęsty śnieg, zamarzający na ulicach miasta. Lina i Siergiej weszli do Teatru imienia Kirowa. Byli zdenerwowani oczekiwaną premierą. Lina promieniowała urodą, ubrana w doskonale skrojoną suknię z krepy cynobrowego koloru, z koronkowymi wstawkami, krocząc pod ramię z człowiekiem o najpoważniejszej minie w całym teatrze. Wreszcie jakaś radziecka scena zdecydowała się pokazać *Romea i Julię*. Prokofiew powinien być w wyśmienitym nastroju, ale wydawał się wycofany, niespokojny, roztargniony. Lina przypisywała ten niepokój oczekiwaniu, jak zostanie przyjęty przez publiczność. Kiedy pogasty światła, mocno ścisnęła dłoń męża, dając tym wyraz ich wspólnocie; był to ich sekretny rytuał przy każdej premierze. Siergiej odwzajemnił jej gest w ten sam sposób. Jak zawsze. Przy odrobinie szczęścia wszystko wróci na poprzednie tory. Siedząc w fotelu w szóstym rzędzie, Lina przeżywała swoją prywatną wersję oglądanej opery. Szczególny był dla niej moment, kiedy Romeo pyta: „Czy miłość jest krucha? Jest szorstka, brutalna, burzliwa. I kłująca jak szpilka”.

Wszystko wydawało się iść doskonale, wszystko pasowało do siebie jak w sprawnym mechanizmie: melodia, ruchy, atmosfera. Występujące postacie interpretowały muzykę, przekazując wesołość Julii, radość życia Merkucja, dumę i nienawiść okazywane przez szlachtę na balu w pałacu Capulettich, a czasem zmysłowość kontrastującą z kolei z siłą demonstrowaną w innych, bardziej brutalnych scenach, na przykład w czasie kłótni Romea i Teobalda w drugiej scenie pierwszego aktu albo w trakcie poruszającego marsza żałobnego na końcu drugiego aktu. Chwilami

wszyscy zapominali, że znajdują się w teatrze, i wydawali się wtapiać w rozgrywające się na scenie wydarzenia. W chwili, gdy publiczność doceniła wykorzystanie rosyjskich bałałajek – ukłonu wobec lokalnej tożsamości – Siergiej po raz pierwszy się uśmiechnął. Lina nie potrafiła zaradzić temu, że pod koniec pierwszego aktu stanęły jej w oczach łzy: pokonały ją czułość i zmysłowość pokazana w scenie spotkania Romea i Julii. Żona Siergieja musiała jakoś ukrywać te łzy, kiedy zapalono światła i publiczność zerwała się z miejsc, żeby oklaskiwać dzieło. Nie tylko podobało się ono, ale wręcz porwało widownię, chociaż z różnych powodów. Siergiej uśmiechał się nerwowo, przyjmował do wiadomości wyrazy sympatii, poruszał go aplauz widzów. Bał się, że nadmiar powodzenia wywoła w nim niepokój, który każe mu uciekać z teatru. Ale od czego była przy nim żona: to ona nim kierowała, prowadziła go, zarządzała jego sukcesem. Siergiej pocałował ją, zanim jeszcze wstali ze swoich foteli. Ten pocałunek wlał w nią dodatkową dawkę odnowionych sił. Czowała to aż do chwili, gdy jej oczom ukazał się widok, którego się zupełnie nie spodziewała. Dwa rzędy bliżej sceny. Nie mogła w to uwierzyć. Nie rozumiała, co tutaj robi ta kobieta, której towarzyszy ojciec. Poszukała oczami spojrzenia męża i odnalazłszy je, zdała sobie sprawę, że Siergiej nawet nie zauważył tej niepożądanego obecności aż do chwili, kiedy doprowadził go do niej wzrok Liny. Wtedy zdał sobie sprawę z powodów jej zmieszania. Błagał ją wzrokiem, żeby się uspokoiła, żeby nie urządziła skandalu, i doszedł do przekonania, że mu to obiecała. Mogłoby tak pewnie być, gdyby Mira Mendelson nie złamała wszelkich barier ostrożności, podchodząc do Siergieja, żeby mu pogratulować. Zrobiła to akurat wtedy, kiedy Lina witała się z kilkorgiem znajomych; uznała widać, że wygodnie będzie skorzystać z nieuwagi żony Prokofiewa. Sądziła, że przywitanie zajmie tylko kilka sekund i że Lina nie dostrzeże jej obecności. Ale nie miała pojęcia o charakterystycznej dla pani Prokofiew niezwyklej umiejętności kontrolowania sytuacji. W dziedzinie prowokacji i improwizacji Lina mogła być prawdziwą nauczycielką, zawsze gotową, żeby udzielić komuś dodatkowej lekcji.

– Siergiej, kochanie, nie przedstawiś nas sobie? – odezwała się, patrząc, jak pod wpływem jej pytania Mira się rumieni. – Kim ty jesteś? – nalegała, zadając kolejne pytanie.

Wspólne milczenie przypieczętowało więź między Siergiejem i Mirą. Żadne z nich nie było w stanie odpowiedzieć ani w jakikolwiek sposób zareagować na słowa Liny, która uważnie im się przyglądała, nie przestając się uśmiechać.

– Proszę pozwolić, że pogratuluję pani sukcesu męża – wtrącił się w końcu ojciec Miry. – To było naprawdę wspaniałe, jestem pod wielkim wrażeniem.

– Jakże mi miło – grzecznie odpowiedziała Lina.

Nie miała nic przeciwko temu człowiekowi, nawet nie wiedziała, czy on zdaje sobie sprawę z flirtu córki z Siergiejem. „Czemu on miałby być winien?” – pomyślała.

– A proszę powiedzieć, czy żonie też się podobało? – spytała, mając na myśli Mirę i będąc świadomą zawartego w tych słowach jadu. Wygląd dziewczyny znacznie odstawał od wdzięku, urody i elegancji cechujących zawsze Linę, która czerpała z tego faktu poczucie przewagi.

– To moja córka. Tak, to zagorzała wielbicielka pani męża. Bardzo lubi muzykę.

– Nie dziwię się. Któż by nie dał się ponieść urodzie tych utworów.

W końcu zareagował Siergiej, któremu udało się pokonać milczenie.

– Lino, to jest Mira Mendelson, studentka literatury. Pamiętasz, wspominałem ci, że pomaga mi przy tłumaczeniu i adaptacji *The Duenna*... A to Abram, jej ojciec.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać.

– Ogromnie mi miło – powiedziała nieszczercze Lina w taki sposób, że nikt nie mógłby mieć do niej pretensji o cynizm tych słów ani o ton głosu; naprawdę mogła zostać dobrą aktorką. – Przyjdą państwo na skromną uroczystość, którą urządzamy po premierze?

Choć to pytanie było skierowane bezpośrednio do Miry, zmieszanie nie pozwoliło dziewczynie udzielić odpowiedzi. Lina czuła, że kobieta, która ośmieliła się wtrącić w ich małżeństwo, boi się jej. I była zdecydowana pokazać jej, że istotnie ma się czego lękać.

– Musimy wracać do domu – wyjaśnił ojciec, który wydawał się rzecznikiem córki. Lina nie wiedziała, czy to faktycznie jest dobry człowiek, cichy i spokojny, czy też wstyd wywołany tym spotkaniem każe mu odgrywać pocziwca. – Matka Miry czeka na nas.

– Świetnie to rozumiem. Słusznie państwo robią. Nic nie jest tak ważne, jak być w domu z rodziną.

Ktokolwiek obserwował tę scenę – a było kilka takich osób, między innymi Miaskowski – mógł pomyśleć, że Lina albo o niczym nie wie, albo bawi się panowaniem nad sytuacją.

– Ale pogoda jest okropna. Leje deszcz. Dlaczego nie zaprosisz państwa, żeby przyszli? – spytała bezpośrednio Siergieja, który wysłuchał tych słów mniej więcej jak komunikatu o odwołaniu premiery. – Przyjdźcie państwo, choćby na herbatę. A jeśli nie dziś, to może jutro. Przyjdźcie któregoś dnia do nas do domu. Mira, chce pani, żebym pani wytłumaczyła, jak do nas trafić, czy sobie pani poradzi?

Albo nie padła odpowiedź na to pytanie, albo Lina jej nie usłyszała, zanadto skoncentrowana na słuchaniu własnych wewnętrznych wiwatów na cześć zrzeczności, z jaką rozgrywa tę scenę i broni swojej pozycji.

Podczas gdy Mira i Abram wychodzili z teatru Kirowa, Siergiej odłączył się od żony, po to by – jak twierdził – przywitać się z paroma znajomymi. Ale przedtem popatrzył na Linę w szczególny sposób, jak rzadko kiedy zdarzało mu się wcześniej. Nie wiedziała, czy ma zacząć płakać, czy wybuchnąć głośnym śmiechem. Nie miała pojęcia, co mogło przemknąć mężowi przez głowę, że skierował na nią takie spojrzenie. Nie umiała rozstrzygnąć, czy chciał ją prosić o przebaczenie, czy wszystkiego żałował, czy podziwiał ją za odwagę stawiania czoła rzeczywistości – czego sam nie umiał – czy też kierował ku niej całą swoją nienawiść, a spojrzenie było formą pożegnania. Byłaby wdzięczna za jakiegokolwiek jego słowo, ale wiedziała, że Siergiejowi brak odwagi, żeby coś powiedzieć.

Żegnając się z grupą przyjaciół i znajomych obecnych na premierze, Lina szczególnie doceniła zdanie, które szepnął jej na ucho Miaskowski, otwierając przed nią drzwi samochodu, który miał oboje małżonków odwieźć do leningradzkiego hotelu. Potraktowała te słowa jako laur triumfalny i chciała, żeby Siergiej też je usłyszał. Pufny charakter nie pozbawił ich blasku ani wagi.

– Kochana, urodziłaś się, żeby zostać królową.

Ani Lina, ani jej mąż nie odezwali się w służbowym samochodzie, którym wieziono ich do hotelu po krótkim przyjęciu zorganizowanym po premierze – na które ostatecznie nie dotarli ani Mira, ani jej ojciec. Między Siergiejem i Liną znów zapadło milczenie, choć oboje wiedzieli, że nagromadziło się w nich wiele wzajemnych pretensji. Nie byli szaleńcami. Zdawali sobie sprawę, że cokolwiek wyszłoby w tej sytuacji z ich ust, mogło natychmiast wzniecić trudny do ugaznienia pożar, a nie chcieli, by wydarzyło się to przy kimś obcym, takim jak szofer. Kiedy dotarli do apartamentu i zamknęli za sobą drzwi, płaszcz milczenia zamienił się w pole walki.

– Sądziłem, że chciałaś, żebym o niej zapomniał i nie wymieniał więcej jej imienia. Nie rozumiem, dlaczego odstawiłaś ten numer, dlaczego prosiłaś, żebym ci ją przedstawił. – Siergiej pozbył się fraka, ze złością rzucając go na podłogę. – Czemu to miało służyć?

– Po co ją zaprosiłeś? Zwariowałaś?

– Ona ze mną pracuje. Zaprosiłem też inne osoby i to ci wcale nie przeszkadzało.

– Naprawdę myślisz, że jestem taka głupia i uwierzyłam, że przestałeś się z nią widywać? Sam się zdemaskowałeś. Gdybyś nie miał nic do ukrycia, nie zareagowałbyś tak nerwowo na moją prośbę, żebyś mi ją przedstawił. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś śmieszny. Masz dwa razy więcej lat niż ona! Mogłaby być twoją córką!

– Ale nie jest.

Lina wołała zignorować ten komentarz – niezbyt delikatny i okrutnie trafny.

– Nigdy wcześniej nie przeżyłam takiego upokorzenia. Mógłbyś przynajmniej wybrać kogoś, kto się potrafi uczesać, ubrać i nie wygląda jak mniszka, która dopiero co wyszła z klasztoru. Oczywiście po to, żebyś uwierzył w jej świętoszkowość.

– Upokorzenia? Wydawało mi się, że dobrze się bawisz. Wyglądałaś na szczęśliwą, kompromitując nas.

– „Kompromitując nas”? To „nas” dotyczy mnie i ciebie czy ciebie i twojej ukochanej współpracownicy? – Siergiej spojrzał na nią, powstrzymując słowa i odruchy. Był zbyt zdenerwowany, żeby kontrolować to, co mówi, i bał się, że zrobi coś, czego później będzie żałował. – To się nazywa klasa, *savoir-vivre* i godność. Trzy pojęcia, o których ani ty, ani ona nic nie wiecie. – Lina czuła, że przegrywa tę walkę. – Nawet jej ojciec był zawstydzony. Biedny człowiek, nie wiedział, gdzie się podziać. A przede wszystkim gdzie podziać swoją córkę.

– Ojciec był zachwycony – powiedział Siergiej bez zastanowienia.

– Czym się tak zachwycił? Tym, że jego córka ma romans z wielkim Prokofiewem? A więc to fakt. Nawet już nie zaprzeczasz.

Siergiej usiadł na brzegu łóżka, trzymając głowę w dłoniach. Miał już dość. Brakowało mu sił na kolejną dyskusję, w której – jak wiedział – stał na przegranej pozycji. To był jego wielki wieczór. Jego balet *Romeo i Julia* odniósł sukces. Wreszcie udało się go wystawić na scenie w Związku Radzieckim, a on nie tylko nie mógł się cieszyć i świętować z ludźmi, których kochał, ale siedział zamknięty w hotelowym pokoju i wysłuchiwał reprimend, obelg i krzyków. Nie miał na to ochoty. Nie tak to sobie wyobrażał. Głos Liny dodatkowo się przyczyniał do nasilenia ostrego bólu, który znów zaczynał rozłupywać mu czaszkę. Ale teraz ten głos brzmiał spokojnie.

– Dziwię się, że potrafiłeś po mistrzowsku wyłapać sens historii o niewzruszonej miłości, która sięga dalej niż śmierć. Gratuluję ci. Potrafiłeś wspaniale uchwycić istotę tragedii Szekspira. Konflikt miłości i nienawiści, związek czułości i przemocy. Przypuszczam, że w rzeczywistości wokół ciebie nie było niczego, co mogłoby cię inspirować. – Przed wejściem do łazienki chciała zrzucić z siebie ciężar, który przygniatał ją od zakończenia przedstawienia. – Gratulacje. Znowu ci się udało. Stworzyłeś wielkie dzieło. Tego wieczoru otarłeś się o doskonałość. Nie było świetlnych napisów jak w Beverly Hills, ale twoje nazwisko zostało zapisane w historii muzyki tego kraju. Po raz kolejny.

Słyszac te słowa, Siergiej pochylał coraz niżej głowę, którą trzymał w dłoniach. Jego poczucie winy narastało. Nie wiedział, jak poradzić sobie z bólem i wyrzutami sumienia ciężącymi mu w piersi.

– Jestem pewna, że długo będzie się mówić o twoim balecie. To doskonałe dzieło. Po prostu cudowne. Nie sądzę, żeby w rozmowie o *Romeo i Julii* ktokolwiek wspomniał o uwerturze Czajkowskiego czy symfonii dramatycznej Berlioz. Pamiętać się będzie o twojej wersji. Gdyby mógł to zobaczyć nasz Diagilew, byłby dumny z tego, co zrobiłeś. Mam na myśli balet, oczywiście – wtrąciła z dozą sarkazmu, przed którym nie potrafiła się powstrzymać.

Siergiej wstał gwałtownie. Przez chwilę bał się, że straci równowagę. Czuł, że ciśnienie skoczyło mu pod sufit. Nadmiar alkoholu, wypitego podczas przyjęcia i mającego ukoić nerwy napięte z powodu premiery oraz niespodziewanego spotkania, nie pomógł w utrzymaniu pionu. Podniósł z podłogi frak i ponownie go założył, a potem to samo zrobił z płaszczem. Skierował się ku drzwiom z wyraźnym zamiarem opuszczenia pokoju.

– Dokąd idziesz? – spytała Lina.

– Wracam do Moskwy.

– O tej porze?

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami. Lina pozostała jak skamieniała na środku pokoju. Nie mogła zaprzeczyć, że zaskoczyła ją reakcja męża. Postanowił w środku nocy pójść na dworzec kolejowy. Później odkryła, że w tym samym wagonie, w którym usiadł, jechała też Mira. Wydawało się więc, że nie była to żadna improwizacja ani wynik sprzeczki. Siergiej znał doskonale numer wagonu i miejsca, które miała zająć jego kochanka. Tej nocy Lina zdała sobie sprawę, że tak właśnie powinna ją określać. Przecież zostały sobie w sposób formalny przedstawione.

Relacje między Siergiejem i Lina stały się napięte i skomplikowane, choć oboje sądzili, że za jakiś czas wszystko wróci do normalności. Wiedzieli przy tym, że nie będzie ona taka sama jak wcześniej. Nie oczekiwali tego po dwudziestu latach związku, choć oboje zdawali sobie sprawę, że obecny kryzys jest głębszy niż wszystkie poprzednie. Lina znów stała się nieufna, chłodna, przez większość czasu była smutna, a tak dla niej charakterystyczna witalność gasła po trochu, przynajmniej wtedy, kiedy spędzała czas z Siergiejem. Przestała opracowywać dla niego coraz to nowe uśmiechy, za którymi jej mąż szczególnie tęsknił. On też się zmienił, stał się bardziej nieprzystępny, nietowarzyski. Ale włączał się w dyskusje, których wcześniej unikał, a teraz miał przy tym tylko jeden cel: wyrzucić z siebie furję, która go gryzła od środka. Zasady Nauki Chrześcijańskiej, tak przydatne w innych momentach życia Siergieja i Liny, teraz całkiem zawiodły. Nie potrafili wprowadzić ich w życie. A najgorsze było to, że synowie zaczęli sobie zdawać sprawę z sytuacji; szczególnie Światosław powoli przechodził na stronę matki. Atmosfera w domu stała się tak ciężka, że trudno było oddychać, choć oboje małżonkowie próbowali przestrzegać odpowiednich form. Jedyne momenty prawdziwego pokoju przydarzały się wtedy, kiedy Siergiej siadał do pianina i zaczynał komponować. Lina zachowała stary zwyczaj: siadała w takich chwilach na podłodze, opierała się o drzwi gabinetu i słuchała pierwszych taktów nowego utworu. Siergiej pracował nad trzema nowymi sonatami i utworem symfonicznym. Poświęcał czas między innymi na *VI Sonatę* oraz *V Koncert fortepianowy*. Tylko melodie, które nieśmiało przenikały przez niedoskonałą izolację akustyczną gabinetu, potrafiły sprawić, że Lina się uśmiechała, zapominała o szekspirowskiej tragedii, w którą zamieniła się historia jej wielkiej miłości. Oaza spokoju, zawieszenie broni pośród bitwy – tym nadal była dla niej muzyka Prokofiewa. Ale kiedy cichły jej dźwięki, świat wracał do swoich realnych kształtów. Nawet wiadomości o różnych nieszczęściach nie wzmacniały ich więzi. Wręcz przeciwnie: znajdowali w nich nowe źródło wzajemnych pretensji i obelg, które stawały się jedynym spoiwem ich związku. Tak właśnie się stało, kiedy do mieszkania przy ulicy Czkałowa przyszedł Afinogienow, komunikując smutną wiadomość. Trzy razy okrążył ich kwartał kamienic, zanim zebrał siły, żeby wejść po schodach do Prokofiewów. Nie lubił wind. Nie dowierzał im. W ogóle w Moskwie pozostało już niewiele rzeczy, którym dowierzał.

– Z Łubianki wywieźli go na Sybir. Zginął tam, w obozie pracy. Ale nikt nie wie nic więcej. Nie podają żadnych szczegółów. A jednak dowiedział się... no, nieważne... kto się dowiedział, ten się dowiedział. Nie ma znaczenia. – Bał się wymienić nazwisko osoby, która poinformowała go o tragicznym końcu Wsiewołoda Meyerholda.

– Niemieckim szpiegiem? – spytała retorycznie Lina, która na wieść o śmierci przyjaciela i powiernika ledwo potrafiła powstrzymać łzy. – Nie wiem, czy w Związku Radzieckim pozostaną jacyś Rosjanie, skoro wszystkich chcą przerobić na zagranicznych szpiegów.

– Mówią, że to sam Stalin wydał na niego wyrok – ciągnął Afinogienow. – Nawet minister spraw zagranicznych próbował interweniować w jego sprawie ze względu na



przyjaźń, jaka ich łączyła. Wiedział, że Meyerholda torturowano. Z powodu bicia stracił słuch, ledwo co widział. Skąd miał wiedzieć, co podpisuje?! Tak tłumaczył Mołotow Stalinowi. Ale tamten go tylko zapytał, co takiego dokładnie Meyerhold podpisał w zeznaniu. Kiedy dowiedział się, że przyznał się do bycia niemieckim szpiegiem, antykomunistą, antystalinistą i trockistą, kazał wykonać egzekucję nie później niż w ciągu dwudziestu czterech godzin. A wobec jego rozkazu nikt już nie mógł nic zrobić.

– Najpierw Zinaida, a teraz on – mamrotała Lina. – Przynajmniej jego żona nie dożyła tych cierpień. Nie wytrzymałaby tego. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnie, nie wiem, co...

Pod wpływem relacji Afinogienowa całkiem opadła z sił. Nie miała ochoty nic mówić. Pozbawiono ją nie tylko przyjaciela, ale też sojusznika, z którym mogła porozmawiać o niepokojach, podejrzeniach i strachu i który nie kazał jej zamilknąć ani nie beształ za poglądy jak mąż, tłumaczący, że to dla jej własnego bezpieczeństwa. Wiadomość o śmierci Meyerholda dołożyła dodatkowy ciężar do tego, który od pewnego czasu dźwigała na swoich ramionach. Zrobiło się już tego za dużo. Lina osunęła się na jedno z krzeseł w jadalni. Nieczęsto się zdarzało widzieć ją całkowicie opadłą z sił. Siergiej podszedł do niej i objął ją. Poczwała, że sprawia mu to przyjemność, że on też tego potrzebuje. Na chwilę oboje zapomnieli o dręczących ich własnych kłopotach.

Rzeczywistość, w której funkcjonowali małżonkowie, coraz bardziej przypominała jakieś sztuczne życie. Coraz rzadziej widywano ich razem na uroczystościach, koncertach, w teatrach, na przyjęciach. Zdarzały się chwile, kiedy wydawało się, że istnieje jakieś wyjście, że może nastąpić między nimi zbliżenie, że czas miniony da się odzyskać. Ale jakaś nowa plotka, nowe podejrzenie, wyjście z domu o dziwnej porze albo spóźniony powrót zamieniał te nadzieje w zwykłą iluzję. Nawet prezenty, które Siergiej przynosił do domu, budziły jej nieufność. Lina nigdy nie przypuszczała, że skrzynka grejpfrutów może stanowić sygnał do podejrzeń. „Jeśli zjawia się w domu z czymś takim, to na pewno czuje się winny” – myślała. Frosia próbowała jej pomóc.

– Niech pani o tym nie myśli, Lina. To wszystko minie. Tylko niech pani uważa.

– Ale jak mogło do tego dojść? Co on w niej widzi? Nie mogę tego zrozumieć – mówiła bezradnie.

– Myślę, że to wszystko, czego nie widzi w pani: słabość, poddanie, smutek, brak doświadczenia, oczywiście urody to tam nie widać żadnej – komentowała Frosia ze słabym uśmiechem, próbując rozładować napięcie. – Mężczyznom w pewnym wieku mogą się podobać różne niedostatki. A on niedługo skończy pięćdziesiąt lat.

– Doszłam do wniosku, że to wszystko jest intrygą zorganizowaną przez partię. Nie podobam im się, wiem to od pewnego czasu. Traktują mnie jak zagrożenie, zawadę na drodze do ideologicznej reedukacji Prokofiewa. Każdy zdałby sobie z tego sprawę, każdy, tylko nie on. Jestem cudzoziemką, a to oznacza prawie to samo co dżuma. Pewnego dnia mnie oskarżą o szpiegowanie na rzecz Niemiec – powiedziała to półzartem, ale jej poważny ton nie oddawał tej intencji. – Moi synowie też są cudzoziemcami i to mnie przeraża. Tamci wołają, żeby Prokofiew był z Rosjaną, która może go prowadzić właściwą drogą. To jest jej misja: oddzielić go ode mnie i przekabacić na stronę partii. Wiedzą, że dopóki stoję przy nim, nie będzie to łatwe. Chcą go przerobić na obywatela radzieckiego,

podczas gdy ja przez całe życie starałam się zrobić z niego obywatela świata. Jest uznanym kompozytorem i chcą mieć w nim politycznego zakładnika. Pisze teraz artykuły na temat decyzji partyjnych, a ona mu robi korektę, ośmiela się podpisywać razem z nim jego libretta. Ale przecież nie ma w ogóle słuchu, nie umie pisać, nie zna się na niczym, co ma związek z muzyką! – Z każdym słowem Lina coraz bardziej się zapalała. – Przekonała go nawet, żeby wstąpił do Związku Kompozytorów, co zawsze odrzucał, bo nie czuł więzi z żadną organizacją. Ale on tego wszystkiego nie widzi. Nie widzi! Jest za bardzo infantylny. Unieszczęśliwi go, a ja muszę temu zapobiec. Ona się go uczepliła tylko dlatego, że jest sławny. Widziałam wiele takich kobiet jak ona, które trzymały się jakichś spodni ze względu na pieniądze, na sławę... Ale ta kobieta to zdzira, wilk w owczej skórze. Próbuje oderwać go od rodziny tylko po to, żeby chwalić się przed innymi, że jest kochanką geniusza. Jest całkiem zepsuta.

Za każdym razem, kiedy Lina mówiła o Mirze Mendelson, krew się w niej gotowała. Chyba nigdy w życiu nie nienawidziła nikogo tak żywiołowo jak jej.

– Ludzie mówią różne rzeczy. Nie można się przejmować wszystkim, co się słyszy.

– To już inni o tym mówią? – Strach Liny, że przygody Prokofiewa staną się publicznie znane, znalazł właśnie potwierdzenie w słowach wiernej Frosi. – Ludzie o tym wiedzą, prawda? Nawet nie był na tyle ostrożny, żeby utrzymywać pozory, choćby ze względu na synów.

– No jak mogliby nie wiedzieć?! Zabiera ją na koncerty, widziano ich razem w restauracjach, pojawiają się razem na niektórych zebraniach Komsomołu, chodzili razem przez kilka miesięcy na kurs tańca... Nie zachowuje się dobrze, no nie...

– Mnie zabierał na turnieje szachowe i brydżowe, a ją na lekcje tańca.

– A poza tym... – Frosia zamilkła na parę chwil. Lina przyglądała jej się, zastanawiając się, co jeszcze może kryć w zanadru. Po chwili Frosia sformułowała słabo zakamuflowane ostrzeżenie. – Nie może pani nikomu wierzyć. Wiem, że to zawsze powtarzałam, ale teraz mam szczególne powody. – Lina zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co tamta ma na myśli. – Niech pani nie ufa tym, których traktuje pani jak przyjaciół. Proszę uważać. Niektórzy ludzie udają, że się z panią przyjaźnią, ale potem okazują się tak samo zaprzyjaźnieni z tamtą. Widziałam Walentynę, siostrę Miaskowskiego, w jej towarzystwie. Wyglądały, jakby były najlepszymi przyjaciółkami na świecie. Nie mam do niej pretensji, ale... – Wyraz twarzy Liny, świadczący o rozczarowaniu, kazał jej mówić dalej. – Ale większość pani broni. Myślę o ludziach z ulicy. Wszyscy sądzą, że Prokofiew oszalał, rzucając panią...

– Nie rzucił mnie – powiedziała Lina poważnym tonem. – Wciąż mieszka w naszym domu. Nigdy nie odważy się porzucić rodziny. Nie pozwolę na to.

Postanowiła z większą żarliwością wcielać w życie zasady Nauki Chrześcijańskiej. Zgodnie z nią kłopoty są złudzeniem wytwarzanym przez śmiertelny mózg, ale nie mogą mieć władzy nad osobą, która powinna je rozwiązywać w swoim umyśle i eliminować w działaniu.

A w działaniu nikt z nią nie wygra.

Któręś wieczoru w ambasadzie niemieckiej odbywało się przyjęcie w związku z wizytą ministra Joachima von Ribbentropa. Jej celem było wzmocnienie więzi między

Niemcami i Związkiem Radzieckim po podpisaniu paktu o nieagresji. Jedną z konsekwencji nowej przyjaźni między starymi wrogami, bezpośrednio dotyczącą Prokofiewa, było zdjęcie z ekranów filmu *Aleksander Newski*, którego status się zmienił: przestał być chwalony i stał się przekleństwem, co zresztą zdarzało się w Związku Radzieckim dość często, w zależności od kapryśnej woli Stalina. A teraz nie był odpowiedni moment historyczny, żeby źle mówić o Niemcach.

Lina nie miała szczególnej ochoty wychodzić, a jeszcze mniejszą brać udział w oficjalnej uroczystości. Obawiała się niedyskretnych spojrzeń, komentarzy wypowiedzianych ściszym głosem. Nie mogła znieść myśli o tym, że ludzie będą jej współczuć. „Lepiej, żeby ci zazdrościli, niż mieli cię za kogoś żalnego. W tym drugim wypadku zrobią z ciebie osobę słabą i uznają, że mają prawo cię zgnoić” – myślała.

W końcu postanowiła pójść i założyć coś wyjątkowego. Było to przyjęcie w ambasadzie i chciała wystąpić tak, jak dyktowała okazja. Otworzyła szafę i zobaczyła ją. Uśmiechnęła się, słysząc szept Coco Chanel nachylonej nad jej uchem. „Aby być niezastąpionym, trzeba się ciągle zmieniać”. I Lina zawsze się zmieniała, choć nie musiała wykonywać w tym celu wielkich wysiłków. Wybrała teraz suknię z lamy, z koronkami, podkreślającą linie ciała, wciąż wyróżniającego się smukłością i dystygowanymi kształtami. Brak tkanin wywołany wojną sprawił, że trudno było zaopatrywać się w nowe wzory, ale Lina zawsze miała dobrą rękę do szycia. Poza tym z ostatniej podróży do Stanów Zjednoczonych przywiozła wiele różnych tkanin i z pomocą pewnej rosyjskiej projektantki udało jej się wypełnić szafę spektakularnymi modelami sukien, które na takiej modelce jak Lina zmieniały się w prawdziwe krawieckie dzieła sztuki. Jeśli ludzie tak bardzo chcą o niej szeptać, da im po temu powody. Ale nie chciała nikomu sprawiać przykrości, tylko doprowadzić do tego, żeby wszyscy powtarzali: „Gdzie ten Prokofiew ma oczy?”. Kobieta piękna i silna, demonstrująca wyjątkową figurę w eleganckiej sukni, zawsze triumfuje.

Przybyła do ambasady sama. Nie pod ramię z Siergiejem, który też wybrał się na przyjęcie. Nikogo nie brakowało. Choć Lina była przekonana, że Miry w ambasadzie nie będzie, chciała szybko rozejrzeć się po sali, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Wiedziała, że nie jest to miejsce ani towarzystwo dla tamtej. Sprawiał jej przyjemność widok znajomych, którzy natychmiast zaprosili ją do swojego grona, choć jeszcze większy efekt wywierała ona sama: w trakcie wieczoru to Lina stawała się centrum wielu konwersujących grup. Lubiła czuć się podziwiana, kochana, komplementowana, uwodzona. Dodawało jej to pewności siebie, choć nie tego jej było trzeba. Miło jej było przywitać się z Borysem Pasternakiem, z Nikołajem Miaskowskim, z Aleksandrem Afinogienowem, z Władimirem Dzierżanowskim – troskliwym jak zawsze, od pierwszej wizyty Prokofiewów w 1927 roku, kiedy towarzyszyli im niezmiennie Cuker i Cajtlin – a także z Wierą Dawidową i innymi. Pamiętała o radach Frosi, żeby nie wierzyć nikomu, ale wszyscy ludzie zachowywali się wobec niej tak troskliwie i kulturalnie, że nie umiała im nie ufać. Nietrudno było jej trafić na Prokofiewa, z którym skrzyżowała spojrzenia. Choć to ona pierwsza odwróciła wzrok, widziała, jak Siergiej nadal śledzi ją z daleka. Zauważyła wśród gości Kierzencewa, przewodniczącego Komitetu do spraw Sztuki, a potem redaktora encyklopedii radzieckiej, którego powszechnie się bano i do którego

Prokofiew poczuł prawdziwą odrazę, kiedy spotkał go w Kisłowodzku. Przez chwilę Lina miała ochotę, żeby zaproponował jej taniec, bo chciała wzbudzić gniew Siergieja. Była gotowa na wszystko, byle skłonić go do otwarcia oczu, byle się obudził jeszcze jeden, przeklęty raz. Niemniej ktoś Kierzencewa ubiegł. Kiedy Lina została poproszona do tańca i zobaczyła, jak partner podaje jej rękę, nabrała wątpliwości, czy mężczyzna ten rzeczywiście jest tym, o kim pomyślała. Sam minister spraw zagranicznych Niemiec, Joachim von Ribbentrop, prosił, by uczyniła mu ten zaszczyt i zatańczyła z nim. „Niemożliwe, żeby pani karnecik był już pełen”. Odpowiedziała dygnitarzowi doskonałym niemieckim: „Nie przychodzi mi do głowy lepszy partner do tańca”.

Jeśli Lina już wcześniej zdołała przyciągnąć uwagę obecnych, włącznie z Prokofiewem, który nie potrafił ani na chwilę przestać podziwiać urody swojej żony, walc odtańczony z Joachimem von Ribbentropem przyciągnął spojrzenia wszystkich gości. Kiedy skończyli, niemiecki minister poprosił ją, żeby nie wychodziła z ambasady, zanim nie podaruje mu jeszcze jednego tańca. Lina miło przyjęła to zaproszenie, po czym na powrót zajęła miejsce wśród przyjaciół. Podeszła do jednego z kółek, które wcześniej porzuciła. Próbowwała na nowo włączyć się do rozmowy, kiedy nagle jej twarz zaczęła zmieniać wyraz. Ledwo zdołała powstrzymać irytację, usłyszawszy, jak pisarz Konstantin Simonow odnosi się do niedawnego zniknięcia Wsiewołoda Meyerholda, rzucając na niego podejrzenia i twierdząc, że musiał być czemuś winny.

Coś w niej pękło. Nie potrafiła opanować gniewu. Przeżyła ze swoim przyjacielem zbyt wiele ważnych chwil, żeby teraz móc słuchać tak niesprawiedliwych komentarzy, na dodatek z ust człowieka, który mienił się niegdyś przyjacielem i kolegą sławnego reżysera. Brzydziło ją to tak mocno, że chciała krzyknąć, powiedzieć coś w obronie Meyerholda – skoro najwyraźniej nikt inny nie miał ochoty tego zrobić. Siergiej był za daleko, żeby złapać ją za ramię, jak to zwykle robił w sytuacjach, kiedy żona się zapalała i chciała coś ważnego wyrzucić z głębi duszy. Jeśli się jej wówczas nie powstrzymało, parła bez wahania przed siebie. Teraz to Borys Pasternak zapobiegł udziałowi Liny w incydencie, który mógł mieć dla niej poważne konsekwencje.

– Zostaw go – powiedział ściszym głosem, biorąc ją za ramię i odciągając do sąsiedniego pomieszczenia. – Uspokój się. To nic nie da. Pomyśl o Prokofiewie. To go może zniszczyć.

Zwykle tego typu argumenty – zresztą jako jedyne – działały na Linę, ale tego akurat wieczoru nie była pewna, czy ją to przekonuje. Szybko jednak wzięła się w garść. Nie mogła znieść myśli, że Siergieja miałyby dotknąć jakiegokolwiek represje za coś, co ona powie. Nie potrafiła uniknąć tego uczucia, choć gdy później opowiadała to w domu, Frosia kręciła głową z niedowierzaniem. „Jest pani beznadziejnym przypadkiem” – powiedziała, widząc, jak bezwarunkowa jest miłość Liny i jej szacunek dla człowieka, który ją zdradzał.

– Czy w tym kraju nikt nikogo nie broni, niezależnie od tego, jak wielką niesprawiedliwość się popełnia? Nie rozumiem, jak możesz nadal patrzeć mu w oczy – powiedziała, odnosząc się do powszechnie znanej przyjaźni Pasternaka ze Stalinem. – Naprawdę nie rozumiem, jak ktokolwiek może mu patrzeć w oczy. Jego wzrok mrozi skuteczniej niż syberyjski mróz. Jak mogłeś napisać wiersz, w którym nazwałeś go

geniuszem czynu?

Borys spojrział na nią, nie zgadzając się z tymi zarzutami. Lina mu się podobała, i to bardzo. Była inteligentna, bezpośrednia, odważna, atrakcyjna i pełna pasji, co nie szło w parze z tym, czego zwykle można się spodziewać po obywatelce Rosji. Pasternak przyglądał się jej z przekonaniem, że pomyliła się co do swojego miejsca na ziemi.

– To już nie ma znaczenia. Ludzie się zmieniają – powiedział.

Borys Pasternak dobrze wiedział, o czym mówi, bo już kilka lat wcześniej utracił zaufanie i opiekę radzieckich władz, które od czasu jego *Bliźniaka w chmurach* traktowały go jak jednego z najważniejszych rosyjskich poetów. Teraz oskarżały go o subiektywizm, o nadmierny personalizm, o odwrócenie się od spraw narodu i mówienie o swoich prywatnych problemach.

– Wierzę, że ludzie się zmieniają. Ale jedni bardziej, drudzy mniej – odpowiedziała Lina. Przez chwilę sama nie wiedziała, czy mówi o Pasternaku, o Stalinie, czy o Prokofiewie. A może o wszystkich trzech. Czuła się oszołomiona. – Wybacz mi. Jestem zbyt nerwowa. Nie mów nic Siergiejowi. Wścieknie się na mnie i skończymy, kłócąc się.

Spuściła wzrok. Nie chciała znaleźć w twarzy Borysa potwierdzenia, że i on zna plotki o niewierności Prokofiewa.

– Nic nie powiem. Ale pod jednym warunkiem. – Borys popatrzył na nią tak intensywnie, że zmusił Linę, by na niego spojrzała. Nie trzeba było żadnych słów, żeby stwierdzić, jak poważne i niewygodne sprawy zamierza poruszyć. – Musisz przestać bywać w ambasadach. Nie jest dobrze, że cię widują na takich uroczystościach i przyjęciach. Ktoś mógłby to źle zinterpretować.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Wiedziała doskonale, ale wolała usłyszeć to z jego ust. Od pewnego czasu słuchanie słów innych osób stało się w Związku Radzieckim luksusem dostępnym niewielu ludziom.

– Jesteś inteligentną kobietą, nie udawaj głupiej, nie pasuje to do ciebie. Dobrze wiesz – odpowiedział, odnosząc się do nieufności, jaką zaczynali budzić cudzoziemcy, na których w dowolnej chwili mogło paść podejrzenie o szpiegostwo. To samo dotyczyło zresztą osób kontaktujących się z cudzoziemcami i utrzymujących z nimi stałe związki, choćby to były relacje służbowe czy rodzinne. A Lina należała do obu tych kategorii. – Potraktuj to poważnie. Mówię ci jako przyjaciel, który cię kocha i nie zniósłby, gdyby coś ci się stało.

– Nie wiedziałam, że w tym kraju wciąż jeszcze są jacyś przyjaciele.

Borys ujął jej rękę i pocałował ją, nie pozwalając sobie na żaden uśmiech. Lina poczuła się niezręcznie z powodu niesprawiedliwego osądu, który zawarła w wypowiedzianej przed chwilą tyradzie. Źle zaadresowała swój wybuch gniewu, jak to się jej zdarzało podczas kłótni z Siergiejem.

– Przyjdź któregoś dnia do mnie do domu. Chciałbym podzielić się z tobą pewnym pomysłem, który chodzi mi po głowie. Chodzi o nową powieść. O wielką historię miłości mężczyzny zakochanego w dwóch kobietach. – Lina spojrzała na niego i posłała mu smutny uśmiech. – Czemu się dziwisz? Jestem Rosjaninem, nie ucieknę przed tym. Chciałbym poznać twoją opinię. Na razie to tylko pomysł, ale jestem pewien, że mogłabyś mi pomóc przy Juriju Żywago.

– Jurij? Masz już imię bohatera? – spytała, rozumiejąc, że projekt zaczął żyć własnym życiem, skoro autor mówi o głównej postaci po imieniu. – To znaczy, że już cię złapał.

– Nie bardzo, bo sam tkwi pomiędzy dwiema kobietami: Larą i Tonią. Nie mogę się zdecydować, która z nich zwycięży. A może to Jurij będzie jedynym, który przegra?

Ostatnie zdanie Borysa zasiało w niej ziarno niepokoju. Fikcja, kiedy bywa oparta na rzeczywistości, okazuje się zanadto okrutna, rozwiązła, namiętna. Lina wreszcie zaczynała rozumieć, czym się charakteryzuje sławetna rosyjska dusza.

Nie minęła nawet minuta od chwili, kiedy Borys oddalił się w poszukiwaniu czegoś do picia, co mogło pomóc jej opanować nerwy, kiedy poczuła dłoń Siergieja ujmującą ją za ramię.

– Oszalałaś? – spytał ściszym głosem, rozglądając się wkoło, zanim spojrzał na nią. – Co ty wyrabiasz? Tańczysz z von Ribbentropem? Wszyscy ci się przyglądają.

– Jestem uprzejma. To on mnie poprosił. I uprzedzam cię, że twój ukochany Mołotow zrobił to samo. Jak widzisz, wciąż trafiam na mężczyzn z dobrym gustem.

– Przestań opowiadać głupoty. Igrasz z ogniem. Nie wiem nawet, co ty tu robisz.

– To samo co ty, ale z większym powodzeniem i w lepszym stylu.

– Ale ja nie jestem cudzoziemcem, na miłość boską! – Wciąż mówił ściszym głosem, ale z wystarczającą wściekłością, żeby ją przestraszyć. Próbował się uspokoić. – Lina, mówię ci to, bo cię kocham. – Ten komentarz wywołał głośny i nienaturalny wybuch śmiechu jego żony, który Siergiej postanowił zignorować. – Nie możesz pozwolić, żeby cię widziano w takich miejscach, a tym bardziej jak z tymi ludźmi tańczysz, śmiejesz się i konwersujesz. To niebezpieczne.

– Dlaczego? Boisz się, że mnie aresztują? A jeśliby tak zrobili, zareagowałbyś? Wstawiłbyś się za mną czy wtedy też wolałbyś bronić Ojczulka Wszystkich Narodów? Jesteś wielkim przyjacielem Stalina, skomponowałaś dla niego kantatę na sześćdziesiąte urodziny, chociaż to on kazał zamordować Meyerholda i wielu innych naszych przyjaciół. Ale oczywiście o takich rzeczach twoja kochanka ci nie mówi...

– Twoja bezczelność ściągnie na nas kłopoty. Mam już dość powtarzania ci tego.

– Jedyne, co ściąga na mnie kłopoty, to ty.

Patrzyli na siebie przez kilka chwil, zawieszając na ten czas wzajemne pretensje. Zdarzały się sytuacje, w których przyglądanie się Linie sprawiało Siergiejowi ból. W takich chwilach chciał ją objąć, powiedzieć, że nie odejdzie od niej, żeby dała mu trochę czasu, że ją kocha, że nie potrafi żyć bez niej, że zachowuje się jak przeklęty zdrajca, niesprawiedliwy, okrutny i kapryśny, ale że nie jest w stanie się powstrzymać. Lina umiała czytać te komunikaty w jego rozświetlonych tęczęwkach.

– Wróc ze mną – poprosiła go, ulegając ogarniającej ją czułości. – Wróc do swojego prawdziwego domu.

Siergiej coś cicho mamrotał. Nie wiedział już, gdzie jest jego dom.

Niepewność, która zapanowała w jego życiu uczuciowym, zaczęła się odbijać na pracy. Zdarzały się dni, kiedy zdawał sobie sprawę, że powinien zakończyć przygodę z Mirą, ale były też takie, kiedy chciał spakować walizkę i uciec do niej. Lina była jednak zbyt ciężką kotwicą. Za każdym razem, kiedy próbował się od niej oddalić, coś

silniejszego niż on powstrzymywało go przed tym. Siergiej zdawał też sobie sprawę, że z powodu jego miłosnej przygody cierpią ich synowie. Latem oboje z Liną postanowili wysłać chłopców do Nikolinej Gory, na dachę, którą wynajmowała wdowa po malarzu Nikołaju Krawcencie. Bracia mieli jechać pod opieką studenta medycyny Michaiła Kirsanowa. Dzięki temu mogli oderwać się od codziennego otoczenia, od rodziców – tak jakby odległość od domu miała rozproszyć lęki związane z możliwym rozpadem rodziny. Światosław martwił się tym, że na mocy nowego dekretu rządowego będzie musiał przed czasem odbyć służbę wojskową. Lina próbowała namówić męża, żeby wykorzystał w tej sprawie swoje kontakty i uzyskał zwolnienie syna od służby, a przynajmniej jej odroczenie. Siergiej jednak najwyraźniej miał głowę zajętą zupełnie innymi sprawami. Jak dowiedziała się Lina, odmówił udziału w nowym przedsięwzięciu filmowym Eisensteina oraz odrzucił propozycję Filharmonii Uzbekistanu. Stanowiło to dla niej potwierdzenie, że przestał słuchać jej głosu, że jej opinie nie są już dla niego ważne w chwilach podejmowania decyzji artystycznych, że utraciła pełnią do tej pory funkcję kompasu wyznaczającego właściwy kierunek rozwoju zawodowego Prokofiewa. Teraz to Mira wybierała dla niego zlecenia, opracowywała libretta, a nawet ośmielała się podpisywać niektóre z nich swoim nazwiskiem. To ona decydowała, które propozycje powinien przyjmować i jaką tematyką się zajmować. Życie zaczęło przeciekać Linie między palcami, jakby było lodowatą wodą, która pozostawia na skórze uczucie kłującego zimna. Paraliżowało ją to zimno i prawie całkowicie odbierało możliwość jakiegokolwiek reakcji. Siergiej coraz mniej pracował w domu. Wychodził wcześniej rano i wracał późno. Wymówką były najczęściej próby *Siemiona Kotki*, którego premiera była przewidziana na wrzesień 1940 roku. Po raz pierwszy od dawna podczas prac nad nowym spektaklem rzadko można było zobaczyć Linę zajmującą któryś z foteli na widowni.

Prokofiew odczuwał brak Meyerholda, i to nie tylko jako przyjaciela, ale też współpracownika w teatrze. Bez niego sceniczny układ *Siemiona Kotki* stawał się prawdziwą łamigłówką. Walentin Katajew, autor opowiadania *Ja, syn ludu pracującego*, na którym oparta była opera, doszedł do wniosku, że musi się wypowiedzieć także w kwestii partytury Prokofiewa. Ten z kolei nie rozumiał, co Katajew może mieć do powiedzenia w dziedzinie muzyki.

Siergiej wyszedł z próby złakniony haustu świeżego powietrza. Zaczynał się dusić w teatrze Stanisławskiego, gdzie jedynym jego sprzymierzeńcem wydawała się reżyserka, Serafima Birman. Był nim także jego przyjaciel Władimir Miaskowski, który bez wahania zjawiał się w teatrze, żeby podtrzymywać Prokofiewa na duchu i rozwiewać jego wątpliwości dotyczące przedstawienia albo innych spraw, którymi zajęty był jego umysł i które przeszkadzały mu przyglądać się spektaklowi z cechującą go zwykle precyzją spojrzenia. Miaskowski wiedział, że jest jedynym człowiekiem, przed którym Siergiej odważy się otworzyć swoje myśli. I – przynajmniej tamtego popołudnia – również swoje serce. Zastał przyjaciela zmieszanego, przegranego, całkiem zagubionego.

– W takich sytuacjach zawsze jest ktoś, kto cierpi. To nie jest łatwe. Ani przyjemne.

– Nie chcę, żeby Lina cierpiała – odpowiedział Prokofiew. – Nie mogę znieść tego, że jest nieszczęśliwa. Serce mi się kraje, kiedy słyszę, jak płacze, albo widzę ją całkiem pozbawioną radości życia, której zawsze była pełna. Oddałbym wszystko za to, żeby znów

zachowywała się tak jak dawniej.

– Siergiej, skoro tak, to co ty robisz? Jeśli dalej będziesz tak postępował, oboje staniecie się nieszczęśliwi. Jeśli naprawdę ją kochasz...

– Kocham ją, kocham ją tak, jak nigdy nikogo nie kochałem. I jak nigdy nikogo innego nie pokocham. Wiem o tym. Jestem tego pewien. Cokolwiek się stanie, będę ją zawsze kochał.

Mówił prawdę. Lina była miłością jego życia. Od chwili, kiedy ją zobaczył, od pierwszego momentu, kiedy zjawiała się przed nim na środku foyer nowojorskiej Aeolian Hall, mówiąc mu, że „Rachmaninowa zagrał po mistrzowsku, chociaż jeśli chodzi o precyzję, to przy utworach Aleksandra Skriabina brakowało trochę wierności tekstowi”... Od pierwszej chwili wiedział, że przeznaczone mu jest kochać tę właśnie kobietę. I to się nie zmieniło. A jednak nie mógł z nią być. Czy może raczej tylko z nią. Bezskutecznie próbował to zrozumieć: coś mu przeszkadzało, z jakiegoś powodu nie udawało mu się żywić tych samych uczuć co dawniej, niezależnie od tego, jak silnie nakłaniał go do tego rozum.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – mówił teraz Miaskowskiemu. – Całkiem wariuję. Nie mogę przestać się spotykać z Mirą. Nie potrafię. I przysięgam ci, że próbowałem, przysięgam! Walczyłem o to, żeby jej nie widywać, postanawiałem nie dzwonić do niej, nie odpowiadać na jej listy, wymazać ją z mojego życia, nawet wyjechać do innego miasta. Ale nie mogę. Jakby popychała mnie w jej stronę jakaś siła, której nie potrafię opanować, jakby mnie do niej ciągnęła, a ja nie umiem się jej oprzeć. To jakaś przeklęta pokusa, której nie daję rady się przeciwstawić.

Siergiej był zrozpaczony. Wiedział, że niezależnie od tego, co wybierze, nie zdoła osiągnąć pełnego szczęścia – takiego, jakim cieszył się do tej pory. Jeśli odejdzie do Miry, nie uwolni się od poczucia winy i myśli o krzywdzie, którą wyrządza Linie. Jeśli miałby zostać z żoną, musiałby odrzucić Mirę, którą w tym momencie naprawdę kochał, choć intuicja mówiła mu, że jest to coś przejściowego, od samego początku opatrzonego terminem ważności. A mimo wszystko uczucie do Miry było silniejsze niż jego wola, wymykało mu się z rąk, nie potrafił traktować go jako czegoś tymczasowego.

– Wiesz, że zawsze będę po twojej stronie, jesteś moim przyjacielem. Ale nie rozumiem... – zaczął Miaskowski.

– Wiem, co masz na myśli. Wszyscy tak uważają. Jak mogłem się zakochać w Mirze, skoro mam kogoś takiego jak Lina...

Siergiej zdawał sobie sprawę z tego, co mówią ludzie. Lina była piękną kobietą, elegancką, pełną uroku, inteligentną, umiejącą rozmawiać w wielu językach na niemal każdy temat, ujmującą ludzi – słowem: najlepszą towarzyszką życia, jaką mógłby sobie wyobrazić mężczyzna. A Mira była jej przeciwieństwem: kiedy się gdzieś zjawiała, nikt nie odwracał głowy, żeby na nią popatrzeć, ani nie walczył o miejsce blisko niej. Wyglądała mało atrakcyjnie, dość niechłujnie, nie lubiła się czesać ani malować, ani zakładać eleganckich sukni, mówiła głosem cienkim i słabym, jej brak doświadczenia był wyraźnie widoczny... Nie tylko Miaskowski miał kłopot ze zrozumieniem tej sytuacji. Dla innych również było to dość skomplikowane.

– Przypuszczam, że to jej młodość – odezwał się do Siergieja, czując, że musi coś



powiedzieć, i wiedząc, że Mira jest o dwadzieścia cztery lata młodsza od jego przyjaciela, a o osiemnaście lat od Liny. Być może to był klucz do zrozumienia rozgrywającej się tragedii.

– Zawsze byłeś dla mnie wyrozumiały – odpowiedział Siergiej z nieco bojaźliwym uśmiechem. – Inni uważają, że jestem z nią ze względu na jej koneksje w partii, że przez nią chcę uzyskać większą życzliwość władz i lepsze szanse na wystawianie moich utworów.

Siergiej dość dobrze odczytywał opinie ludzi, choć często sprawiał wrażenie, że jest oderwany od rzeczywistości. Wiedział doskonale, jakie komentarze krążą na jego temat. I choć ubolewał, że jego życie prywatne jest na ustach wszystkich, nie mógł winić ludzi za tego rodzaju myśli.

– Nie mów głupstw – zaprzeczył Miaskowski. – Prokofiew nie potrzebuje czegoś takiego. Poza tym ważne jest, co ty myślisz, a nie co mówią inni.

– Urodziliśmy się w niewłaściwym kraju, żeby można uwierzyć w to, co powiedziałeś. – Siergiej uśmiechnął się, słysząc słowa przyjaciela. Pomyślał, że to Lina przemawia jego własnymi ustami.

– Ale ty sam... Kogo kochasz?

– Linę – odpowiedział Siergiej bez chwili namysłu.

Wyraz twarzy Miaskowskiego złagodniał, jakby w końcu udało im się rozstrzygnąć wielki dylemat, jakby znaleźli rozwiązanie, jakby wreszcie sprawy mogły wrócić na właściwy tor.

– Ale chcę być z Mirą – dokończył Siergiej. – Przynajmniej na razie, w tej chwili. Nie wiem, co się wydarzy jutro.

Miaskowski pokręcił głową i uśmiechnął się bez przekonania, kwitując grymasem słowa szczerości, których właśnie wysłuchał. Przyjrzał się przyjacielowi, zrezygnowanemu i przybitemu. Siergiej po raz pierwszy otwarcie wyrażał swoje uczucia – pomimo emocjonalnego piekła, przez jakie przechodził.

– I pomyśleć, że niektórzy wciąż mają wątpliwości, czy jesteś prawdziwym Rosjaninem.

Przez dziesięć kolejnych dni wciąż jeszcze śnili, że może się zdarzyć – że zdarzy się – cud, że zdołają przetrzymać najbardziej traumatyczny etap choroby i że znów staną się szczęśliwą rodziną. We czwórkę. Bez nikogo więcej.

Dziesięć dni. A potem koszmar z taką siłą rozszarpał rzeczywistość na strzępy, że Lina nie była w stanie zwlec się z łóżka: padła ofiarą własnego losu, zachorowała na zdradę, na zanik miłości, a przede wszystkim na płynącą z głębi trzewi nienawiść, która wydawała się całkowicie poza jej kontrolą.

Kiedy Siergiej zakomunikował jej swoją decyzję o wyprowadzeniu się z mieszkania przy ulicy Czkałowa i odejściu od rodziny, Lina nie była w stanie tego znieść. Ciało i umysł ją w tym momencie zawiodły. Wpadła w stan lękowy połączony z ciężkimi nerwobólami, które przykuły ją do łóżka. Temperatura skoczyła jej niemal do czterdziestu stopni. Nie chciała jeść, pić, nie reagowała na zalecenia lekarzy ani prośby synów. Ograniczyła się do płaczu i nieustannego powtarzania imienia Siergieja, jakby to była mantra, prośba, pokutna modlitwa. Nikogo nie słuchała, z nikim nie rozmawiała. To nie była Lina. Nie chciała zresztą już nią być, ponieważ bez Prokofiewa jej życie nie miało sensu. Przestało być jej życiem.

Obaj synowie stali się niemymi świadkami dramatu, nie mając ani możliwości wyrażenia swojego zdania, ani zaprotestowania. Oleg nie chciał tego wszystkiego oglądać, uparczywie wbijał wzrok w deski podłogi – te same, które odzywały się co noc, kiedy chodziła po nich jego matka, próbując ukoić niepokój i wyrwać się jakoś ze szponów bezsilności, która zaczynała ją grzebać za życia. Światosław natomiast wołał być na bieżąco. To on zawiadomił ojca, że matka jest ciężko chora, że boi się o nią i nie wie, co robić. Kiedy podał słuchawkę telefonu lekarzowi, żeby porozmawiał z Siergiejem, ten chciał poznać prawdę o stanie żony. Obawiał się, że ma do czynienia z nieoczekiwaną próbą powstrzymania jego odejścia, choć pożałował tej nikczemnej myśli zaraz po jej wypowiedzeniu. Lekarz musiał chyba rozpoznać stan ducha Prokofiewa i wypowiedział się jasno i dobitnie:

– Niech pan posłucha, Prokofiew: powiedziałem panu, jaka jest sytuacja. Reszta zależy od pana. Moja praca nie polega na wtrącaniu się w ludzkie sumienia.

Te słowa zraniły go, ale potraktował je jako zasłużoną pokutę. Przyjście do domu zajęło mu niemal godzinę. Światosław otworzył drzwi wejściowe. Nic nie powiedział, patrzył tylko na niego przez kilka sekund. Potem nadal podążał wzrokiem za ojcem, który wszedł do pokoju, gdzie leżała Lina. Z trudem ją rozpoznał. Wydawała się śmiertelnie rannym zwierzęciem, zagrzebanym w prześcieradłach, miotającym się między bólem a bezsilnością. Próbował ją uspokoić. Ledwo oddychała, męczył ją ciągły brak tchu i nawet środki uspokajające zapisane przez doktora nie potrafiły jej pomóc. Siergiej ukląkł przy łóżku. To był jedyny sposób, żeby ją zobaczyć, żeby móc powiedzieć jej do ucha coś, czego nikt inny nie miał usłyszeć. Ktokolwiek patrzyłby na tę scenę, uważałby, że wyjęto ją z przedstawienia *Romea i Julii*. Ale rzeczywistość była bardziej okrutna niż historia opisana w dramacie Williama Szekspira czy odtąńczona przez wykonawców

baletu. W prawdziwym życiu był ból, brakowało zaś muzyki, zdolnej łagodzić lub nasilać gwałtowność sceny.

– Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. I chciałbym, żebyś mi wybaczyła to, co zamierzam ci zrobić – prosił ją Siergiej, którego twarz była zdeformowana, jakby nie wytrzymał zawartej w jego własnych słowach sprzeczności.

– Jeśli mnie kochasz, to dlaczego odchodzisz? – odpowiedziała Lina z twarzą zalaną potem i łzami.

– Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Ale muszę być z nią.

– Nie rozumiem. Nie potrafię. Jak mogłeś zapomnieć o tym wszystkim, co razem przeżyliśmy? Nie umiem żyć bez ciebie i ty też nie poradzisz sobie beze mnie. Jeśli odejdziesz, sam się przekonasz. Ale wtedy będzie już za późno.

– Wiem o tym. Przysięgam ci, że wiem o tym.

– Przysięgałeś mi też, że będziesz mnie zawsze kochał i że wyciągniesz mnie stąd.

– Obietnicy, którą składałem ci wtedy, nie mogę teraz wypełnić.

Był w pokoju Liny ponad dwadzieścia minut. Kiedy wychodził z sypialni, czekało na niego oskarżycielskie spojrzenie starszego syna.

– Naprawdę chcesz odejść? – spytał go ze złością.

Wściekłość Światosława wynikała nie tylko z faktu, że Siergiej porzucał rodzinę. Ważniejsze było to, że chłopiec najwyraźniej nie potrafił go znienawidzić. Miałby ochotę nakrzyczeć na niego, obrazić go, cisnąć mu w twarz słowa o jego bezwstydzie, rzucić się na niego i uderzyć go, ale nie umiał tego zrobić. Chciał go raczej objąć, złapać, zatrzymać w domu, przekonać, że jego miejsce jest przy nich. Jednak nie potrafił zrobić żadnej z tych rzeczy, które dyktowały mu pragnienia.

– Nie zostaje mi żadne inne rozwiązanie. Nie mam wyjścia. – Siergiej patrzył na syna, szukając w nim błysku zrozumienia, który przyniosłby mu ulgę w bólu. – Mira groziła samobójstwem. Już raz próbowała. Jeśli do niej nie wrócę, jej śmierć będzie mi ciężać na sumieniu do końca życia.

– A mama? Co będzie, jeśli mama umrze? Też będziesz ją miał na sumieniu.

– Ona by zaraz wróciła do tych brudnych gier. – Siergiej obwiodł dłońmi twarz syna. – Twoja matka jest świetną aktorką, nigdy nie wyszłaby na scenę w drugoplanowej roli.

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza, który wciąż jeszcze przysypany był śniegiem, i wyciągnął z niej list. Wręczył go synowi.

– Daj to swojej matce.

– Czemu sam jej tego nie dasz? – odpowiedział Światosław gniewnie. – Do tego też nie masz odwagi?

– Na nic by się to nie zdało. Nie mogłaby go przeczytać w tym stanie.

Pocałował Olega. Młodszy syn objął go chyba z nadzieją, że jego ramiona odniosą sukces, którego nie odniosły ramiona matki. Okazał się jednak równie nieskuteczny. Potem Siergiej podszedł do Światosława i ponownie otoczył go ramionami; ciało starszego syna nie zareagowało.

– Pewnego dnia to zrozumiesz.

– Nie sędzę.

Siergiej usłyszał tę odpowiedź, kiedy szedł już w stronę drzwi wejściowych, i poczuł się, jakby ugodziła go w plecy klinga ostrej szpady. Zatrzymał się na kilka sekund. Wszyscy trzej mężczyźni wstrzymali oddech w nadziei, że sytuacja jakimś cudem ulegnie zmianie. Siergiej zamknął drzwi. Jego pospieszne kroki rezonowały na schodach kamienicy jak bicie dzwonu oznajmiającego śmierć. W końcu ucichły.

Rok 1941 zaczął się dla Prokofiewów od zdrady, która groziła całkowitym zniszczeniem egzystencji rodziny. Ale nie była to jedyna zdrada, która naznaczyła ich życie w tym roku. Dwudziestego drugiego czerwca Adolf Hitler zdradził Stalina, zrywając pakt o nieagresji podpisany przez Mołotowa i Ribbentropa i wydając rozkaz napaści na Związek Radziecki. Führer nie dotrzymał obietnicy, że nie zaatakuje sojusznika militarnie i będzie rozstrzygał spory poprzez negocjacje. Pakt pozwolił Hitlerowi najechać Polskę 1 września 1939 roku. Związek Radziecki także wkroczył do tego kraju, potem zaatakował Finlandię, a dwa miesiące później, już w 1940 roku, zaanektował republiki nadbałtyckie. Ale Hitler miał ochotę na więcej i Związek Radziecki przestał go interesować jako sojusznik. Jego ambicje obejmowały też terytorium państwa radzieckiego, a zaspokojeniu niemieckiej żądzy podbojów miała służyć operacja Barbarossa, której Hitler nie zawahał się rozpocząć. Stalin mógł wcześniej odebrać sygnały zapowiadające taki rozwój wydarzeń, gdyby zadał sobie trud przeczytania *Mein Kampf* – książki, w której Hitler otwarcie wyłożył swoje plany ekspansji i doktrynę *Drang nach Osten*, czyli parcia na wschód. Wszystko byłoby inaczej, gdyby Stalin umiał właściwie ocenić reakcję Joachima von Ribbentropa na słowa radzieckiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa. Gdy wyraził on zaniepokojenie niemiecką obecnością w Finlandii i Rumunii oraz podporządkowywaniem sobie Europy przez Niemcy, von Ribbentrop nie krył swojej dezaprobaty.

Wiek XX nie był czasem dotrzymywania złożonych obietnic, a Europa miejscem przestrzegania zawartych kompromisów. Życie Siergieja Prokofiewa i Liny Codiny znów zaczęło biec zgodnie z marszrutą, która została wytyczona głównym narodom europejskim we wstrząsanym konwulsjami stuleciu. Nie pierwszy już raz oboje poczuli, że ich losy są związane z wydarzeniami politycznymi i społecznymi na starym kontynencie.

Aleksander Afinogienow przyszedł do mieszkania przy ulicy Czkałowa, żeby osobiście zakomunikować Linie nowinę. Mógłby do niej zadzwonić, żeby zawiadomić ją o niemieckiej napaści na Związek Radziecki i jej możliwych konsekwencjach, ale wiedział, że jest w domu sama z synami, i uznał za swoje moralne zobowiązanie pobyć z nią trochę, bo w ostatnich miesiącach była pozbawiona kontaktu z ludźmi. Siergiej przebywał z Mirą w wynajętej dacy w Kratowie i Afinogienow nie wiedział, czy – choć na pewno słyszał już o najnowszych wydarzeniach – miał okazję zadzwonić do swojej prawowitej żony. Prokofiew tego nie zrobił. Afinogienow cenił Linę; uczucie to podzielała jego żona, Jenny Marling, amerykańska tancerka, której życie zmieniło się od chwili, gdy zaczęła czytać Lenina i poczuła się komunistką, wierną ideałom partii, od tej pory stojącej na szczycie jej hierarchii wartości.

Kilka miesięcy później, kiedy jesień zapowiadała już, że nadchodząca zima w Moskwie będzie niezwykle surowa, Lina siedziała w domu razem z synami. Gdy

Siergiej ich zostawił, podjęła pracę tłumaczki w agencji informacyjnej Informbiuro. Mogła wykonywać pracę w domu, bo miała u siebie maszynę do pisania, a jej obowiązki polegały na przepisywaniu tekstów. Nie musiała w tym celu chodzić do agencji, chyba że trzeba było odnieść przepisane materiały. Zarabiała tyle, że mogła – dostając też wprowadzone w związku z niemiecką inwazją kartki na żywność – utrzymać rodzinę. Światosław w tym samym roku skończył szkołę i oczekiwał na decyzję władz, czy ma się zgłosić do odbycia służby wojskowej mimo problemów ze wzrokiem. Oleg spędzał całe godziny, malując; bardzo często robił to w gabinecie ojca.

Nagle wszyscy podskoczyli, słysząc stukanie do drzwi. Przez kilka chwil spoglądali po sobie w pełnym napięcia milczeniu. Po paru sekundach o pilności sprawy zawiadomił ich z kolei natarczywy dzwonek. Lina podeszła do drzwi i pochyliła się, żeby wyjrzeć przez maleńki wizjer. Odwróciła się w stronę synów, którzy ze strachem wymalowanym na twarzach czekali na jakąś informację o osobie czekającej po drugiej stronie. Lina poczuła nagły przyływ radości. Nie tracąc czasu, otworzyła drzwi. Stał w nich Siergiej.

– Jedźcie ze mną – powiedział, próbując uspokoić oddech po przebiegnięciu po schodach kilku pięter w górę. – Pociąg na Kaukaz odjeżdża za parę godzin. Możemy jechać wszyscy.

Lina spojrzała na nieduże arkusze papieru sepiowego koloru, które Siergiej trzymał w ręce. Były to bilety na pociąg, cztery miejsca siedzące w tym samym wagonie. Stacja docelowa – Nalczik. Rząd postanowił ewakuować znaczną część artystów, licząc się z możliwością wejścia wojsk niemieckich do Moskwy. Chciano znaleźć dla twórców miejsce oddalone od teatru wojny. Głównie chodziło o zapewnienie im możliwości pracy, której wyniki można by wykorzystać jako propagandową amunicję.

– Wszyscy? – spytała, stwierdziwszy, że biletów jest w sumie pięć. – Naprawdę oczekujesz, że moi synowie i ja będziemy podróżować w tym samym wagonie co kobieta, która tak poniżyła naszą rodzinę?

– Lina, odłóż dumę na bok. Mówimy o ratowaniu życia. Jedźcie ze mną. Wszystko możemy załatwić później. – Siergiej podszedł do niej. Nie przejmował się lodowatym spojrzeniem żony. – Zaakceptuj otwarty związek. Na pewien czas. Może to nie będzie długo. Nie mogę ci ofiarować więcej. Przynajmniej na razie. Błagam, jedźcie ze mną.

– Musiałeś chyba oszaleć, żeby proponować mi coś takiego.

– Nie bardziej niż ty, jeśli odrzucisz możliwość uratowania życia swoich synów z powodu zazdrości i źle pojętej dumy. – Szybko zrozumiał, że szantaż emocjonalny z wykorzystaniem dzieci nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Ale musiał spróbować. Był gotów na wszystko, byle ją nakłonić do wyjazdu razem z nim. – Proszę cię, żebyś ratowała swoje życie.

– Za jaką cenę, Siergiej? W zamian za co? Mówisz, jakbyś mnie nie znał.

Chwyciła jego twarz w swoje dłonie. Poczowała, że jest gorąca, spocona. Siergiej na pewno miał podwyższoną temperaturę, co ją zaniepokoiło. Nie wyglądał dobrze. Najwyraźniej cierpiał. Mogło to się wydawać absurdalne, ale nadal nie potrafiła przestać się o niego troszczyć. Niemniej jednak nie było to równoznaczne z poddaniem się jego woli. Nie mogła przyjąć tej propozycji.

– Powinieneś to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek – ciągnęła dalej. – Dla ciebie

zrezygnowałam z bycia aktorką pierwszoplanową. Nie zadowolę się rolą prostej statystki.

Siergiej skierował wzrok ku swojemu synowi, Światosławowi. Chłopak z pewnością opowiedział matce o ich ostatniej rozmowie. Nie dziwiło to jego ojca ani nie stanowiło rozczarowania. Przeciwnie, był zadowolony, że dzieci stały po stronie matki i nie zostawiały jej samej, tak jak on. Nie mogło być inaczej. Jego zachowanie to wykluczało.

– Co byś chciała, żebym z nią zrobił? – spytał Linę, licząc na minimalne choćby zrozumienie z jej strony albo wręcz na jakieś alternatywne rozwiązanie, zdolne rozwikłać wątpliwości, które go opanowały. Tym razem to on ujął w dłonie jej ręce.

– To samo, co zrobiłeś ze mną. Porzuć ją.

Siergiej przecząco pokręcił głową. Wszystko szło inaczej, niż się spodziewał. Nie tak to zaplanował.

– Popełniasz błąd.

– Ty też go popełniłeś. Oboje musimy wziąć na siebie konsekwencje naszych pomyłek i żyć z nimi przez resztę życia.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie będę – powiedział z rezygnacją.

– To zabawne, że w chwili, kiedy nasze losy mają się już na zawsze rozdzielić, myślimy dokładnie to samo.

Dopóki pociąg nie ruszył w drogę na Kaukaz, Siergiej wciąż miał nadzieję, że zobaczy Linę w towarzystwie synów na peronie moskiewskiego dworca kolejowego. Ta sama wiara sprawiła, że kiedy w końcu rozległ się gwizdek oznajmiający odjazd składu, jakaś wewnętrzna siła pchała go do tego, żeby wyskoczyć z wagonu i uciec do żony.

Lina wściekle uderzała w klawisze maszyny do pisania, usiłując zagłuszyć tykanie zegara, który jako jedyny świadek przypatrywał się jej z komody w salonie. Tej samej komody, w której szufladach jakiś czas temu schowała list napisany czerwonym ołówkiem. To ten list rozpętał piekło w domu Prokofiewów... Lina ani razu nie podniosła głowy. Nie chciała widzieć wskazówek zegara. Podniosłaby wzrok tylko wtedy, gdyby człowiek, na którego czekała, stanął w drzwiach.

Kołysanie pociągu wprowadziło w ruch ich ciała. Mira siedziała obok niego. Nie zdjęła płaszcza z szarego sukna ani karakułowej czapki, z pomocą których chciała pokonać chłód. Wciąż miała nieprzeniknioną twarz, jakby ktoś właśnie skończył ją rzeźbić i jeszcze nie tchnął w nią życia. Nie wiedziała nic o zabiegach Siergieja ani o jego desperackiej wizycie na ulicy Czkałowa, kiedy próbował zwiększyć liczbę pasażerów mających jechać w ich wagonie.

Lina nie chciała zobaczyć wskazówek zegara ustawionych na godzinie odjazdu pociągu, która była wypisana na biletach. Nie byłaby zresztą w stanie ich dostrzec, tak jak nie umiała zobaczyć liter na klawiszach. Jej oczy wypełniły się łzami, zasłaniającymi całe pole widzenia. Jej przyszłość została ogołocona ze słów, którymi dawałoby się ją opisać.

Mira wpatrywała się w widok za oknem, przy czym żadna troska nie mąciła wyrazu jej twarzy. Kiedy skierowała wzrok na Siergieja, zobaczyła coś, co ją zaskoczyło. Po raz pierwszy widziała, jak płacze. Pozwalał, żeby łzy spływały po jego twarzy, nie starając się ich obetrzeć, jakby w ogóle nie czuł, że spadają niżej. Pomyślała, że płacze dlatego, że wyjeżdża z ojczyzny. W pewnym sensie miała rację.



# CZEŚĆ CZWARTA

---

## *Wojna*

Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo  
można znieprawić naturę ludzką!

FIODOR DOSTOJEWSKI, *Wspomnienia z domu umarłych\**

Co zrobisz, jeśli w lesie pojawi się przed  
tobą wilk?

SIERGIEJ PROKOFIEW, *Piotruś i wilk*



Postanowiła całkiem zignorować świat. Miała wrażenie, że śmieje się z niej, że znajduje przyjemność w zanurzaniu jej w morzu bolesnych sprzeczności, w wirze strasznych zbiegów okoliczności, które dręczą ją bardziej niż sama wojna. Wyglądało na to, że ktoś zabawia się jej bólem i wspomnieniami; nie znajdowała lepszego sposobu na stawienie oporu niż nieposłuszeństwo.

Z tego właśnie powodu tamtego dnia, kiedy megafony umocowane na fasadach budynków – te same, które przez kilka dni nadawały kantatę *Zdrawica*, skomponowaną przez Prokofiewa na sześćdziesiąte urodziny Stalina – obwieściły zbliżanie się kolejnego nalotu, Lina postanowiła się zbuntować. Nie pobiegnie, jak zawsze, do schronu w stacji metra Kurskaja. Zostanie w domu, w gabinecie, w którym komponował Siergiej, pogrążona we wspomnieniach, pośród swoich najcenniejszych przedmiotów: zdjęć dzieci, książek Mary Baker Eddy, które oboje czytali, nagrań z koncertów Prokofiewa, partytury *Symfonii klasycznej*, fotografii Juana Codiny z Hawany, blezera z szarej wełny, którego Siergiej nie włożył do walizki w dniu, kiedy postanowił porzucić rodzinę... Jej ręce dotykały wszystkich tych rzeczy, zachowując specjalne miejsce dla małego przedmiotu, z którym nigdy się nie rozstawała: guzika w kształcie liścia z jej pierwszego płaszcza kupionego w moskiewskiej galerii mody. Po tylu latach stał się on czymś w rodzaju amuletu i zawsze wypełniał powierzane mu misje, choć ostatnio okazywało się to coraz trudniejsze. Lina została w domu, stawiając czoło strachowi, obserwując przez okno, jak ci, którzy podczas niemieckiego oblężenia postanowili nie wyjeżdżać ze stolicy, biegają niczym szczury, żeby ukryć się w jakimkolwiek schronie mogącym ocalić ich przed niechybną śmiercią.

Dopiero głos Światosława sprawił, że zmieniła zdanie.

– Mamo, bez ciebie nigdzie nie pójdziemy. Zginiemy razem. Nam też jest wszystko jedno.

Słowa syna podziały na nią jak uderzenie w twarz, jak nagłe tchnienie realizmu, dzięki któremu porzuciła swój absurdalny pomysł fałszywie pojętego buntu. Nigdy nie przypuszczała, że może być taką egoistką. Zerwała się na nogi, złapała synów za ręce i po paru minutach szukali już jakiegoś wolnego miejsca w trzewiach ziemi, gdzie tysiące osób chroniły się przed niemieckimi bombardowaniami. Rozejrzała się dookoła. W ciągu zaledwie kilku miesięcy pod ziemią powstał alternatywny świat. W każdym przedmiocie przyniesionym tu przez ludzi, którzy chcieli jakoś nadać tej dziurze w ziemi cechy ogniska domowego, Lina dostrzegała okrutną drwinę losu. Piętrzyły się tam materace, na których można było odpoczywać, jeśli nalot trwał dłużej, niż się spodziewano, były lustra, dla których znajdowano miejsce w naprędce spakowanych bagażach, żeby dostrzec w nich jakiś znajomy obraz wzmacniający ciało i ducha, gramofony, których muzyka usiłowała – czasem nawet skutecznie – zagłuszyć odgłosy wojny. One właśnie były najbardziej cenionymi obiektami, ze względu na swoje zbawienne działanie w tym świecie narodzonym w podziemiu. Lina też przynosiła własne płyty. Słuchanie *Preludium do Popołudnia fauna* Debussy'ego w schronie przeciwnym było doświadczeniem

trudnym do opisanego słowami. Akustyka tego miejsca przewyższała najlepsze teatry operowe. A może chodziło o to, że uszy, które słuchały tej muzyki z prawdziwym szacunkiem, jakby dawało się w niej znaleźć balsam na rany, stawały się bardziej głodne dźwięków, kiedy nad głowami mieli ulicę. Najbardziej zaskoczona była Lina wtedy, kiedy jacyś ludzie wybierali do słuchania utwory Prokofiewa, nie zawsze zdając sobie sprawę, że rodzina kompozytora znajduje się wśród nich w schronie. Kiedy rozbrzmiewała kantata *Powstań, ludu Rusi*, duch uciekinierów umacniał się: chcieli się podnieść i wyjść na zewnątrz, żeby stawić czoło życiu, a jeśli będzie trzeba, także śmierci. I Lina płakała: nie z radości ani nie dlatego, że jej дума została urażona, podobnie jak дума ludzi, którzy ją otaczali, ale przez wspomnienia o swoim życiu i o miłości, która je wypełniała i która trwała nadal, choć została ukradziona.

Ludzie przychodzili ze swoim najcenniejszym dobytkiem, jakby się bali, że ktoś im go ukradnie, a wraz z nim odbierze im też wspomnienia. Pierwszego dnia Lina czuła pokusę, żeby założyć robiący na wszystkich wrażenie płaszcz, który podarowała jej Coco Chanel pierwszego dnia ich znajomości. Nie był to absurdalny i pozbawiony sensu kaprys. Ten strój towarzyszył jej w najlepszych momentach i wiązały się z nim jej najmiłsze wspomnienia. Dlaczego więc nie zrobić z niego płaszcza chroniącego przed złymi chwilami? Ale odrzuciła ten pomysł. Założenie prezentu od Coco oznaczałoby odrzucenie nadziei na powrót Siergieja, przyjęcie za pewnik, że więcej się nie zjawi. Zdecydowała, że zostawi płaszcz w szafie, w której wisiał. Jej ojciec mawiał:

– Nie trzeba wzywać nieszczęść. I tak same przychodzą.

Postanowiła go posłuchać.

Wydawało jej się niemożliwe, że teraz tak będzie wyglądać jej nowe miejsce na ziemi. Przyglądała się rzędom ludzi zgromadzonych w tunelach kolejki podziemnej, na peronach, na schodach. Niektórzy przychodzili dużymi grupami i siedzieli razem, jeśli przybyli odpowiednio wcześnie, żeby zająć najlepsze miejsca. Była pewna, że to zbiorowisko osób zamieni się niebawem w ognisko różnych chorób. Warunki sanitarne były tak marne, że trudno było w ogóle mówić o higienie; nie można było przewidzieć, siedliskiem jakich schorzeń były poszczególne ludzkie ciała. Największy strach budził w mieście tyfus. Ludzie bali się go tak samo jak głodu, albo nawet bardziej, ale w odróżnieniu od tego ostatniego, pierwsze objawy tyfusu nie były tak oczywiste. Niektórzy woleli mieszkać pod ziemią niż stawać przed zagrożeniami, które oczekiwały na zewnątrz – nie wychodzili ze schronu nawet kiedy niebezpieczeństwo już minęło. Umieszczali na ścianach fotografie najbliższych i oddzielali swoje terytorium za pomocą przedmiotów osobistych. Grzebień, filiżanka, łyżka albo dzbanek na kawę wyznaczały czasem granice nowych domów. Organizowano wykłady, turnieje karciane, szachowe, niektórzy nawet schodzili do schronu z instrumentami muzycznymi i brali udział w improwizowanych koncertach. Zawsze znalazł się ktoś, kto zadbał o to, żeby gdzieś blisko było włączone radio, ustawione w idealnym miejscu, gwarantującym dobry odbiór. Od czasu niemieckiego ataku na Związek Radziecki wszyscy siedzieli przyklejeni do odbiorników, z nadzieją, że usłyszą swojego wielkiego przywódcę Józefa Stalina, wygłaszającego krzepiące przemówienie, którego część ludzi potrzebowała bardziej niż jedzenia. Ale w radiu występował ciągle tylko Wiaczesław Mołotow. W podziemnych

tunelach, do których przenosiła się ludność miasta, żeby przeżyć, rozchodziła się plotka, że Stalin też schował się w metrze, krążyły nawet pogłoski o zamachu stanu na Kremlu. Ale nie nadchodziło żadne potwierdzenie, a ludzie mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Przede wszystkim: jak się wyżywić, chowając się w podziemiach miasta.

Lina nie zamierzała zaznajamiać się zbyt blisko z podziemną rzeczywistością, która wydawała jej się nieprawdziwa. Wolała nie nawiązywać z nikim bliższych więzów, choć czasami trudno było oprzeć się pokusie, by poczuć się bezpieczniej i mieć towarzystwo. Czasami za namową synów ożywiała się i czytała jakiś fragment książki albo śpiewała piosenkę. Pewnego wieczoru zaśpiewała fragment z opery, w której zawsze chciała wystąpić – *Śnieżki* Rimskiego-Korsakowa. Przyglądanie się zachwyconym twarzom słuchaczy dodawało jej sił. Śpiewając, zamknęła oczy, żeby sobie przypomnieć trzydzieste urodziny, kiedy Siergiej zabrał ją na spektakl *Śnieżki* i obiecał, że pewnego dnia razem wystąpią na scenie. Nie śpiewała tak, jakby stała przed Bogiem, zgodnie z radą swojej przewodniczki po zasadach Nauki Chrześcijańskiej, pani Getty. Śpiewała, jakby stała przed Siergiejem. Kiedy skończyła, zapadła trwająca kilka sekund cisza, jakby chodziło o okazanie szacunku walce, którą śpiewaczka toczyła w swoim wnętrzu. A potem nagle schron wypełnił się głośnym, ogłuszającym aplauzem. Rewanżowano się jej za dar, który przed chwilą ofiarowała zgromadzonym tam ludziom, przywracając im zdolność marzenia. Tego wieczoru ludziom szukającym bezpieczeństwa w schronie udało się zagłuszyć odgłosy bombardowań. Jednak Lina nie lubiła tego robić, podobnie jak nie lubiła opowiadać obcym o swoim życiu. Nasiliło się to jeszcze od czasu, gdy na jej słowa wypowiedane w językach innych niż rosyjski zaczęto reagować z rosnącą nieufnością – głównie kiedy mówiła po niemiecku. Pojawiła się plotka, że ci obcokrajowcy, którzy postanowili pozostać w Moskwie i nie uciekać – jak większość – byli ludźmi sympatyzującymi z Niemcami. Znowu plotki, podejrzenia, nieufność...

Lina wiedziała jasno, że nie spędzi w ukryciu pod ziemią więcej czasu, niż to absolutnie konieczne. Wolała umrzeć na wolności, niż zgodzić się na codzienne życie w zamknięciu kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi. Często zdarzało jej się śnić o scenie własnej śmierci. Obywało się bez dramatyzmu, bez żadnych makabrycznych wtrętów, z chłodem i spokojem charakterystycznym dla sennej rzeczywistości. We śnie leżała na ziemi, zwrócona twarzą do góry, wpatrując się w niebo, rozświetlone niebiesko, bez chmur, dymów, bez smug ciągnących się za niemieckimi samolotami. Nie czuła bólu ani nienawiści, ani żalu, była całkiem odizolowana od zmysłowej rzeczywistości. Zobaczyła z wyrazistością charakterystyczną dla scen filmowych, jak jej krew powoli zalewa płyty chodnika – te same, które niedawno przeklinała za to, że stanowią pułapkę dla wysokich obcasów. „Życie” – myślała, a na jej twarzy wykwitał uśmiech. Cieszyło ją, że synowie z podobnym spokojem podchodzą do aktualnej sytuacji. Zresztą – jak Lina sama starała się podkreślać – nazywanie życiem ówczesnego trwania było swego rodzaju zabiegiem artystycznym i wyrazem optymizmu.

Musiała przystosować się do nowej rzeczywistości i była zdecydowana nie dać się pokonać. Kiedy myślała o swojej obecnej sytuacji, bardzo pragnęła zobaczyć twarz matki. Olga na pewno nie byłaby skora do oskarżania Liny, że jest nadmiernie rozpieszczona, że przeżyła dzieciństwo pełne wygód, którymi otacza się nadal w wieku dojrzałym. Ale

wolała niczego matce nie opowiadać w nielicznych listach, które mogła pisać i wysyłać do Paryża. Mówiła sobie, że do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić – ale i mieć świadomość, że to, co dzieje się dziś, w końcu minie.

Lina spędzała długie godziny, tłumacząc stosy papierów, ale musiała pilnować, żeby odgłosy pisania na maszynie nie wzbudziły ciekawości któregoś z sąsiadów i nie skłoniły go do złożenia donosu. Używanie maszyn było zabronione, a ona miała u siebie aż dwie: jedną firmy Corona, na której pisała najczęściej, być może dlatego, że przypominała jej o pierwszym spotkaniu z Ernestem Hemingwayem, oraz drugą firmy Underwood, bardziej nowoczesną, z klawiaturą w czterech rzędach, a nie trzech – jak w starszych modelach – z nazwą producenta wypisaną literami wyciętymi z metalowych płytek. Kiedy Lina miała pilną pracę, używała drugiej maszyny. Była wygodniejsza, szybsza i nie brudziła palców tuszem tak jak corona. Lina pisała teksty rano i po południu. Wolałaby to robić wieczorami, ale wtedy nie mogłaby używać radia do zagłuszania odgłosów, które jej palce wydobywały z maszyny, uderzając z wielką prędkością i zręcznością w klawisze.

Nigdy nie myślała, że na ścianie salonu zawiesi wielką mapę, na której pinezkami i gwoździkami zaznaczać będzie przesuwanie się wojsk niemieckich, które – jak sądzili wszyscy – nieuchronnie zbliżały się do Moskwy. Zadawała sobie nawet trud wykonywania małych chorągiewek do oznaczania niemieckich i rosyjskich pozycji, a ruchy każdej z armii zaznaczała nitkami różnych kolorów, żeby lepiej rozumieć aktualną sytuację. Codziennie, słuchając w radiu doniesień z frontu, spędzała trochę czasu, umieszczając w odpowiednich miejscach pinezki na mapie, jakby chodziło o nuty w partyturze, w której była zapisywana muzyka nowego świata.

Afinogienowa zachwyciła się precyzją i drobiazgowością, z jakimi Lina śledziła niemieckie natarcie na Związek Radziecki oraz to, jak broni się napadnięty. Potrafił spędzać całe godziny przed mapą, zastanawiając się nad nią z taką samą ciekawością i uwagą, jakby stał przed eksponatem w jakimś muzeum malarstwa.

– Na Boga, Aleksandrze, przecież to nie jest *Guernica*.

– W takich chwilach i w tym miejscu jest bardziej wymowna niż *Guernica* – odrzekł, kierując wzrok ku drugiemu końcowi mapy i nie przejmując się bluźnierstwem, jakie właśnie wypowiedział. Rozmawiał przecież z Liną i wszystko było dozwolone. – Jestem przekonany, że pomagał ci Światosław.

Lina uśmiechnęła się, przecząco kręcąc głową.

– Chciałabym, żebyś to ty mu pomógł. Jak wiesz, skończył szkołę i ostatecznie udało mu się uniknąć służby wojskowej, bo ma problemy ze wzrokiem. To właściwie cud, jeśli brać pod uwagę, że najprawdopodobniej wzięliby go do wojska, mimo że jest cudzoziemcem. – Lina wiedziała, że nie chodzi tu o żaden cud, tylko o interwencję jednego z przyjaciół, po tym jak Siergiej odmówił użycia w tej sprawie swoich kontaktów, tłumacząc się, że czułby się niezręcznie. – Chciałabym, żeby poszedł do szkoły muzycznej, ale proponują mu tylko miejsce w klasie fletu. Zapisał się, ale nie jestem pewna, czy tego naprawdę chce i czy to dla niego najwłaściwsze. Nie wierzę, że długo tam wytrzyma. Myśli o podjęciu pracy w przemyśle stolarskim i chce konstruować różne urządzenia. Robi na mnie wrażenie trochę zagubionego. Wydaje mi się, że chciałby

pracować gdzieś, gdzie dają kartki na żywność. Jeden z przyjaciół rozmawiał z nim o studiach na architekturze. Ale on tego zbyt dobrze nie rozumie. Nie chciałabym, żeby przerwał naukę. Oleg zresztą też, chociaż on akurat nie ma wątpliwości: jego pasją to rysunek, może spędzić cały dzień, rysując i nie interesując się niczym innym. Dla niego świat mógłby nie istnieć. Kiedy wojna się skończy... – Lina zamilkła. Zbyt wiele planów wiązało się z czasem, kiedy wojna się skończy.

– Możesz na mnie liczyć. Porozmawiam z kim trzeba. Spróbuję znaleźć dla Światosława miejsce w jakiejś szkole muzycznej. A co do Olega, znam kogoś na wydziale rysunku technicznego. Chociaż może nie będzie trzeba... – Afinogienow skierował wzrok na pinezki, nitki i kolorowe chorągiewki. – Może będą woleli znaleźć sobie uczelnię w Paryżu lub Londynie.

Po kilku sekundach absolutnej ciszy uznał, że pora już odwrócić wzrok od ściany i spojrzeć na Linę, która zrozumiała – bez żadnych wątpliwości – to, co przed chwilą usłyszała, i w swojej reakcji wahała się między zdumieniem a konsternacją. Oboje przez chwilę milczeli, przemawiały tylko ich spojrzenia.

– O czym ty mówisz? – spytała, nie pozwalając sobie na puszczenie wodzy wyobraźni. Nie chciała rozczarowań wynikających z fałszywych nadziei.

– Chyba mam sposób na to, żeby ci pomóc w wyjeździe ze Związku Radzieckiego.

Na dźwięk tych słów twarz Liny rozjaśniła się. Na chwilę udało jej się wymazać z pamięci schrony przeciwlotnicze, kartki na żywność, przepisywanie tłumaczeń na papierze z makulatury, całe noce wspinania się z wodą i piaskiem na dachy budynków, żeby gasić pożary wywoływane przez bomby zapalające, zawroty głowy Olega, które utrudniały mu chodzenie po dachach i udział w obronie przeciwpożarowej. A nawet, nie wiedząc jak, zdołała w jakiś cudowny sposób usunąć z umysłu twarze Siergieja i Miry.

– Aleksander, błagam cię, nie żartuj w ten sposób.

– Nie żartuję. Muszę jechać służbowo do Londynu i Stanów Zjednoczonych. Będę potrzebował tłumaczki. Powinna mi towarzyszyć Jenny, ale jest w ciąży z naszym drugim dzieckiem i jej stan jest zbyt poważny, żeby się mogła udać w tak pełną wyzwań podróż. – Afinogienow z radością przyglądał się wyrazowi szczęścia, który ponownie zagościł na twarzy przyjaciółki. Wystarczyło kilka słów nadziei i znów stała się taka jak zawsze. – I pomyślałem, że ty byłabyś idealną kandydatką. O ile nie masz lepszych planów.

Lina nie mogła się powstrzymać: podbiegła do niego i uściskała go. Nagły wybuch płaczu nie pozwolił jej mówić. Potrafiła tylko powtarzać w kółko jedno słowo. Choć wymówiła je wiele razy, za każdym razem brzmiało inaczej. Każde „dziękuję” miało odmienny odcień, inny sens, kryło w sobie różne światy. Nagła fala paniki starła z jej twarzy odświętny wyraz.

– Jesteś pewien? Nie będę miała problemów z wyjazdem? Pozwolą mi podróżować? – Jej rysy zaczął rzeźbić strach. Lina od dawna już odzwyczajała się od radości.

– Jestem pewien. Sądzisz, że byłbym na tyle szalony, żeby ci proponować coś takiego i nie przeprowadzić wcześniej rozpoznania? Zawsze, kiedy będziesz chciała podróżować ze mną, pozwolą ci wyjechać. Twoim synom też, ale dopiero później, już się tym zająłem. Nie należy zwracać na siebie zbytnej uwagi. Zostaw to mnie. Załatwimy ci

wyjazd. Nikt nie będzie robił problemów. – Afinogienow nie był w stanie ukryć satysfakcji, jaką sprawiał mu fakt, że stał się posłańcem z dawna wyczekiwanej wiadomości. – Dwudziestego dziewiątego października mam spotkanie w biurze Komitetu Centralnego, żeby odebrać dokumenty. – Lina przytakiwała wszystkiemu, co mówił. Znała te biura, znajdowały się blisko Kremla. Nie mogła w to uwierzyć. Nawet śnić o czymś takim nie miała odwagi. – Tam dostaniemy pozwolenia na wyjazd. Lepiej przygotuj walizkę. Ale zachowuj się ostrożnie, spakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Nie byłoby dobrze, gdyby sądzili, że nie zamierzasz wrócić.

Zanim wyszedł, rzucił jeszcze okiem na zawieszoną na ścianie mapę i wbił pinezkę poza obszarem, który ukazywała, w wymaginowane miejsce odpowiadające Cambridge w stanie Massachusetts.

– Przy odrobinie szczęścia być może uda nam się zobaczyć *Guernicę* w Muzeum Fogga przy Uniwersytecie Harvarda. Będzie tam przez całą jesień.

Obiecał jej, że zadzwoni, kiedy tylko uzyska potrzebne zgody. Lina nalegała, żeby mu towarzyszyć, ale Afinogienow wytłumaczył jej, że to nie jest konieczne. Był umówiony na spotkanie z urzędnikiem, którego znał i który go zapewnił, że wszystkie przepustki niezbędne do podróży będą przygotowane. Nie musiał nawet spędzać w biurze dużo czasu, ponieważ znajomy Afinogienowa pomógł mu skrócić długi okres oczekiwania, który zwykle wiązał się z biurokratycznymi formalnościami.

Zrobiła tak, jak jej sugerował. Mała walizka, nic wielkiego, nieco ubrań, parę płyt i trochę partytur, które wetknęła między nieliczne sukienki. Niewiele tego. Rozumiała, że Siergiej może któregoś dnia wrócić po swoje nuty. Była to jedyna bolesna sprawa, która psuła jej myśl o podróży. Porzucenie Siergieja na zawsze, świadomość, że nigdy go już nie zobaczy i nawet nie będzie mogła zadzwonić, żeby mu powiedzieć o wyjeździe... O tym, że kto inny zamierza wypełnić obietnicę, której on nie dotrzymał. To poczucie winy wydawało jej się śmieszne, ale nie potrafiła go uniknąć. Brak nadziei na ponowne spotkanie z Prokofiewem rozdzierał jej duszę. Ale w tej chwili najważniejsze było wyjechać. Będzie miała jeszcze czas na sklepanie tego, co się rozbiło.

Wielokrotnie spoglądała na zegar i miała wrażenie, że się zatrzymał, że coś się stało z jego mechanizmem. Najgorsze było czekanie. Postanowiła rozładować napięcie lekturą *Wojny i pokoju*, egzemplarza, który kupiła Siergiejowi w paryskiej księgarni Sylvii Beach. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że znów tę książkę zobaczy. Nigdy spotkanie z przeszłością nie przyprawiało ją o taką ekscytację. Oczywiście nie świadczyło to najlepiej o jej teraźniejszości. Przeczytała pierwsze strony, ale nie mogła się dostatecznie skoncentrować. Niedawno dotarła do niej wiadomość, że Siergiej przygotowuje libretto do operowej adaptacji dzieła Tołstoja. Wiedziała, że bezpośrednim źródłem pomysłu był ten właśnie prezent od niej, ale była też przekonana, że Mira zadbała o to, żeby przypisać sobie zasługę – tak samo jak w przypadku adaptacji *The Duenna*.

Przez chwilę skupiała się na czytaniu. Afinogienow wciąż nie dzwonił. Lina odłożyła *Wojnę i pokój* na stół i zaczęła przechadzać się po pokoju. Chciała myśleć o swoich pragnieniach, a nie o tym, że czas zwalnia bieg z jakiegoś powodu, który może pokrzyżować jej plany. O tym myśleć nie chciała.

Afinogienow dotarł na spotkanie w biurze Komitetu Centralnego kilka minut przed

umówioną porą. W ostatniej chwili postanowił pojechać tam swoim prywatnym samochodem, rezygnując z transportu publicznego. Znalazł wolne miejsce na służbowym parkingu i pogratulował sobie szczęścia. Podszedł do drzwi wejściowych. Podał nazwisko urzędnika, z którym miał odbyć spotkanie. Wszystko było w porządku. Rozmówca go oczekiwał.

– Wszedł na chwilę do łazienki. To nie potrwa długo. Za chwilę wróci.

Afinogienow nie zdążył nawet podnieść wzroku, żeby zidentyfikować źródło świstu, który dotarł do jego uszu. Zginał w trakcie tej czynności. Bomba, która spadła na garaż budynku mieszczącego biura, wysadziła w powietrze większą część okolicznych domów. Wszystko zostało zmiecione przez potężną eksplozję. Urzędnikowi umówionemu z Afinogienowem w ostatniej chwili uratowała życie potrzeba fizjologiczna. Afinogienow zaś zginał właśnie z powodu niefortunnego oczekiwania i kilkuminutowego odwleczenia początku spotkania. A więc był to kolejny żart przeznaczenia.

Dowiedziawszy się o tym, co się stało, Lina poczuła się tak, jakby to ona sama umarła. Nie potrafiła nawet krzyknąć. Jęki grzęzły jej w gardle, głuche jak te z *Guerniki*. Jej świat się rozpadł, marzenie o wyjeździe ze Związku Radzieckiego znów przeciekło między palcami. Życie się zdeformowało. Wszystko okazało się ulotnym złudzeniem, efemerycznym snem, który nabrał kształtu jedynie w jej wyobraźni.

Z trudem dochodziła do siebie po śmierci Afinogienowa, choć stawała się już ekspertem od radzenia sobie ze śmiercią bliskich osób. Tamta bomba przerwała nie tylko życie przyjaciela, jej powiernika, ale także sen o wyjeździe ze Związku Radzieckiego. Trzeba było powściągnąć swoje osobiste żale, żeby pocieszać Jenny, która właśnie straciła męża i miała za chwilę urodzić drugiego syna. Lina musiała być dla niej wsparciem, a nie balastem.

Także trudy wojennego życia nie pozwalały na zatrzymanie się i opłakiwanie cierpień oraz strat. Niezależnie od bólu trzeba było iść naprzód. Każdy dzień był inny, rzeczywistość podlegała ciągłym zmianom – zwykle na gorsze. Pogoń za żywnością przekształciła się w stały obowiązek. Lina mogła liczyć na dwoje sprzymierzeńców. Jednym była Frosia, nigdy niepoddająca się zniechęceniu; wciąż przychodziła do domu Liny, nie chcąc porzucić jej rodziny pomimo różnych innych zobowiązań i nawet wtedy, gdy bombardowania się nasilały. Potraktowała bardzo serio to, co powiedział o niej kiedyś Siergiej Prokofiew: że jest rodzinnym aniołem stróżem. Zadeklarowała nawet, że zaopiekuje się Światosławem i Olegiem, gdyby coś się zdarzyło.

– Niekoniecznie coś złego, nie o to mi chodzi – tłumaczyła. – Może pojawi się jakaś inna możliwość wyjazdu z kraju, a ja wtedy mogę się nimi zająć, aż też będą mogli wyjechać. Niech mi pani zaufa, to jedno, co nam zostało. Ufać.

To Frosia przekonała ją, że należy gromadzić w domu żywność na wypadek, gdyby miały nadejść gorsze czasy. No i nadeszły.

Półki sklepów zaczęły się opróżniać, także tych, które oferowały produkty czarnorynkowe, droższe i w lepszym gatunku, przeznaczone dla grubszych portfeli. Również one nie zdołały się oprzeć głodowi i powszechnym brakom coraz głośniejszym pukającym do wszystkich drzwi. I właśnie w tym czasie Lina zyskała drugiego

sojusznika – okazał się nim jej starszy syn. Oboje wychodzili na ulicę w poszukiwaniu rzeczy, których normalnie nie dało się znaleźć w sklepach. Musieli pokonywać duże odległości, przemierzać szerokie chodniki, przechodzić jezdnie rozległych alei, zagłębiać się w ciemne uliczki – po to, żeby zdobyć coś, co można by włożyć do ust. Wszystko miało wartość. Świątowali kupno małego słoiczka marmolady z płatków różanych, którą z braku cukru można było słodzić herbatę lub kawę, małego woreczka płatków zbożowych, torebki sztucznej kawy albo opakowania suszonych grzybów. Zdobywali suchy chleb, który opiekali w formie obwarzanków. Nawlekali je potem na sznurek i gdy brakowało świeżego pieczywa, oszukiwali nimi żołądek.

– Nie wiesz nawet, że w kraju twojej matki wyrabia się przepyszne ciastka, które nazywają się *churros*. Wyglądają jak wstążki zawiązane w kokardy, przynajmniej w Madrycie. Robi się je z ciasta z mąki pszennej i wody, smaży się w oleju i je z filiżanką gęstej czekolady. Są pyszne. Kiedy twój ojciec jechał na koncert do Madrytu, powiedziałam mu, żeby ich spróbował. Posłuchał mnie. To były czasy, kiedy jeszcze mnie słuchał. – Świątosław uśmiechnął się, zarażając tym uśmiechem także Linę. – Obiecuję, że kiedyś cię tam zabiorę, żebyś spróbował.

– Nie obiecuj czegoś, czego nie możesz spełnić.

– Nie jestem twoim ojcem. Dotrzymuję swoich obietnic.

Niektóre produkty całkiem zniknęły z powierzchni ziemi, a ich smaki zostały przepędzone z ludzkich podniebień i wymazane z pamięci. Czekolada stała się legendą, a kawałek słoniny niemożliwym do zdobycia delikatesem. Mleko było towarem luksusowym i kosztowało dziesięciokrotnie więcej niż dawniej, mięso – mirażem, który ukazywał się ludziom z wysoką gorączką, słowo „masło” w ogóle zniknęło z codziennego słownika. Ceny zmieniały się z minuty na minutę. Niektórzy dochodzili do takiego stopnia umęczenia głodem, że gotowi byli wymienić złotą obrączkę na kilogram ziemniaków, bransoletkę z diamentami na worek mąki, nowe buty na dwadzieścia gramów cukru. Kiedyś jakiś człowiek działający na czarnym rynku zaproponował Linie torbę cukru, torbę mąki i kawałek słoniny, czyli *sala*. Lina patrzyła nabożnie na prostokątny kawałek tłuszczu z grubą, brązową skórą, posypany czarnym pieprzem, dzięki któremu dłużej nadawał się do zjedzenia. Zastanawiała się, czy ten kawałek pochodzi z łopatki, czy z brzucha świni, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie w momencie wymiany. Zaczęła sobie wyobrażać wszystko, co dałoby się zrobić ze słoniną, którą sprzedawca wciąż trzymał w rękach: mogła ją pokroić w cienkie płatki, żeby synowie mogli ułożyć je na chlebie, który również stanowił część oferty kuszącego ją ukraińskiego handlarza, część kawałka pokroiłaby w kostkę, wytopiła z niej tłuszcz, na którym można by coś ugotować. Obmyśliła nawet specjalne zastosowanie dla skóry, którą warto by wrzucić do garnka, żeby przydać gotowanej potrawie smaku i gęstości, później zaś można by wykorzystać pozostałość do wysmarowania butów i zabezpieczenia ich przed deszczem, a może Frosia potrafiłaby nawet zrobić z tych resztek odrobinę mydła. Lina zauważyła, że od tych rozmyślań ożywiły się jej ślinianki – jej i Świątosława, nieodmiennie towarzyszącego jej w tych wędrówkach. Sprzedawca złożył jej zaskakującą ofertę.

– Wiem, kim pani jest. A ja jestem wielbicielem pani męża. Na wymianę proszę



panią tylko o jakieś jego partytury.

Lina przyglądała mu się przez kilka sekund, a potem obdarzyła go jednym ze swoich uśmiechów, które aż do tego wieczoru wydawały się uśpione.

– Chodźmy, synu. Ten miły pan nie zdołał jeszcze zrozumieć, że są rzeczy, które nie mają ceny.

Ukrainiec wzruszył ramionami.

– Kiedy pani rodzina zacznie przymierać głodem, to pani przestanie rozumieć i zacznie żałować, że odrzuciła moją ofertę.

Lina odwróciła się i opuściła prowizoryczne stoisko uliczne. Nie miała sprzedawcy za złe jego słów ani nie żywiła wobec niego urazy. W innych czasach i w innym miejscu ten sam człowiek podszedłby do nich w drzwiach teatru, żeby wyrazić podziw dla jej męża, a oni skwitowaliby to zachowanie lekkim skinieniem głowy. Tu nie chodziło o jakiegokolwiek osobiste względy. Po prostu życie umieściło ich w pomyłonym scenariuszu. Nigdy nie ciążyły jej własne decyzje. Skoro odrzuciła życie na wolności w zachodnim świecie, żeby pozostać z mężem, skoro nie zgodziła się złożyć daniny z własnej godności i podróżować w jednym wagonie z Mirą i skoro odmówiła opuszczenia Moskwy, postępując inaczej niż rzesze mieszkańców miasta, które z niego uciekły 16 grudnia w obawie przed wkroczeniem Niemców, nie mogła teraz pozwolić, żeby nędzny kawałek słoniny zdemolował jej skalę wartości. Wszelkie miary – jak wszystko w ogóle – i tak wyleciały w powietrze w tym zakątku świata.

Mimo epizodu z handlarzem Lina myślała o sprzedaniu pewnych rzeczy, ale zawsze wyłączała z ich zbioru te, które należały do Siergieja. Odmawiała pozbycia się ich, jakby w nich właśnie było umiejscowione marzenie o powrocie męża.

– Mamo, on nie wróci – mówił jej Światosław, niszcząc wszelkie jej nadzieje. – Musimy to sprzedać.

Były to jedyne chwile, gdy podświadomość Liny pozwalała jej nienawidzić Siergieja: kiedy zaglądało jej w oczy widmo niedożywienia synów. Właśnie to widmo zmusiło ją do przełknięcia własnej dumy i napisania do Siergieja. Wiedziała, że władze wysłały go do Alma Aty w Kazachstanie. Według Liny to na nim spoczywała odpowiedzialność za przyszłość synów, za ich kłopoty zdrowotne, które będą ich prześladować do końca życia, jeśli w ogóle uda im się umknąć przed śmiercią w miejscu, w którym porzucił ich ojciec, żeby odejść z inną kobietą. Nie szczędziła mocnych słów i wyrzutów, które w jej przekonaniu musiały go zabołec, ale jeszcze silniej bolał ją widok głodujących dzieci. Po kilku dniach dostała od Siergieja pewną sumę pieniędzy, kilka słoików miodu zamiast suszonych owoców, o które go prosiła, a także list z odpowiedzią. Pisał jej, że on także ma ograniczony dostęp do żywności, że tam, gdzie przebywa, też wszystkiego brakuje, że żywi się niedogotowanym makaronem, ale że mimo wszystko będzie się starał jej bardziej pomagać. Lina nie chciała myśleć o okolicznościach, w jakich jej mąż pisał ten list, ale była pewna, że towarzyszył mu nieodłączny cień Miry, tak jak jej dzieci nie opuszczał głód. Niedługo potem dostała dwuosobowy przydział na żywność ze Związku Kompozytorów, co pozwalało jej otrzymywać dwa posiłki dziennie w stołówce mieszczącej się w siedzibie organizacji. Dzięki temu mogła wykorzystywać kupony i kartki w celu zdobywania innych produktów. W domu znów zaczęło się

pojawiać masło. A także od czasu do czasu odrobina cukru.

Nie była sama, choć czasami dopadało ją głębokie poczucie porzucenia, ponieważ nie miała blisko siebie ramion mężczyzny, którego kochała. Ani bomby, ani głód, ani zimno, ani utraceni przyjaciele, ani strach, ani nawet unicestwienie jej marzeń nie zdołały sprawić, żeby o nim zapomniała. W istocie była przekonana, że właśnie ta nieśmiertelna miłość trzyma ją przy życiu.

Zdarzały się sytuacje – oraz osoby – które dodawały jej sił i wzmacniały ducha, czasami już prawie pokonanego. Na przykład księżyc otoczony niebieską poświatą, który czasem obserwowano nocą i który sprawiał wrażenie, jakby wschodził tylko dla niej.

Pewnej nocy musiała wejść na dach i mocować się z workami piasku oraz wiadrami wody. Nie był to dobry dzień. Z samego rana w mieszkaniu przy ulicy Czkałowa zjawili się przedstawiciele władz, żeby skonfiskować niebieskiego forda, którego Siergiej kazał przysłać ze Stanów Zjednoczonych. Nic nie pomogło, że kilka dni wcześniej Lina prosiła Fiodora – szofera, który wciąż oddawał jej czasem jakieś przysługi i jeździł na zakupy – żeby wymontował koła, chłodnicę, karburator oraz inne kluczowe części i w ten sposób unieruchomił auto, zapobiegając rabunkowi przeprowadzonemu pod przykrywką konfiskaty, jak to się zwykle działo w Związku Radzieckim. Obawiała się tego od pewnego czasu. Właściwie dziwiło ją, że władze nie zrobiły tego wcześniej. Zabrali forda pod śmiesznym pretekstem, że będzie potrzebny na froncie.

– Będziecie przewozić samochodem jakiegoś generała Armii Czerwonej z jednego okopu do drugiego? – Frosia pozwoliła sobie na ironię, podczas gdy Lina, widząc, że konfiskata obejmuje też rower jej synów oraz pianino, zaczęła krzyczeć:

– To może zabierzcie mi wszystko i zostawcie mnie nago na ulicy!

Światosław chwycił matkę i siłą zatrzymał ją w domu, podczas gdy Fiodor próbował zrobić to samo z Frosią, która wciąż się piekliła, pytając urzędników, czy na pianinie też będą grać na froncie. Osiemnastoletni chłopak był już świadomy tego, że w Rosji każde wypowiedziane słowo może mieć poważne konsekwencje.

Nie był to łatwy dzień i dlatego Światosław nie pozwolił, żeby matka wzięła się za sypanie wału z piasku na dachu, choć najwyższa część budynku potrzebowała ochrony. Zaczął to robić sam. Wiedział, że Lina źle się czuje, choć się nie skarży. Schudła ostatnio prawie dziesięć kilogramów, a jej psychika była jak pole minowe. Chciała zostać na dachu. Podobało jej się to miejsce w chwilach, kiedy nad miastem zapadała cisza. Tak właśnie było tamtej nocy. Nigdy nie mówiła tego synom, ale o świcie miała zwyczaj wchodzić na najwyższe piętro budynku, żeby patrzeć na niebo – otwarte i w całym swoim bezkresie dostępne jej oczom. Lśniło naprawdę pięknie. Nie rozumiała, jak z tak cudownego miejsca mogą spadać bomby, które roztrzaskują życie i marzenia. Godzinami siedziała i wpatrywała się w niebo. „Niebo obojętne” – myślała, przypominając sobie wiersz swojego przyjaciela Osipa Mandelsztama.

*A kwiaty nieśmiertelne. Niebo obojętne.*

*A to, co będzie – jest nam tylko obiecane\*.*

Zadawała sobie pytanie, czy to samo niebo widział poeta z łagru na Syberii, gdzie go uwięziono za to, że umiał używać słów w wyjątkowy sposób. Myślała, że niebo wydawało jej się tak piękne, ponieważ ziemia była zbyt zbrukana niesprawiedliwością.

Tamtej nocy gruby obłok dymu zakrywał księżyc w pełni, nadając mu niebieskawy odcień. Lina słyszała, że gdy w ciągu jednego miesiąca pełnia zdarza się dwukrotnie, ta druga jest nazywana niebieskim księżycem. Ale niebieski księżyc, któremu się przyglądała, był zdradziecki i nieco fałszywy. Chodziło wyłącznie o efekt wizualny związany z chmurą dymu zawieszoną w powietrzu. Dymowi towarzyszył intensywny zapach spalenizny. Nie był to skutek bomb ani eksplozji, tylko palonych w całym mieście dokumentów, które chciano zniszczyć, żeby nie wpadły w ręce Niemców. Lina nie miała zamiaru nic palić. Zresztą niewiele miała rzeczy, które mogłaby rzucić na pastwę żarłocznych płomieni. Nie myślała, że jakaś partytura, parę zdjęć czy książek może stać się znaleziskiem, które wywoła jakiegokolwiek napięcia. Zaraz potem sama śmiała się ze swojej naiwności. Co pomyśleliby Mandelsztam, Szostakowicz, Meyerhold, Majakowski, Tairow czy sam Prokofiew, gdyby mogli usłyszeć jej myśli?

W Rosji tak bardzo ceni się poezję, że rozstrzeliwuje się za nią ludzi.

Znów Osip Mandelsztam.

Lina nie ustawała w stukaniu do rozmaitych drzwi, żeby choć trochę ulżyć sobie i dzieciom. Nie porzuciła planów wyjazdu ze Związku Radzieckiego, kiedy tylko nadarzyłaby się okazja. W tym celu gotowa była spotkać się z każdym, z kim trzeba, i rozmawiać z kimkolwiek, kto mógłby te marzenia urzeczywistnić. Na tym właśnie skupiała się najbardziej – a także na zapelnianiu pustych żołądków swoich synów – kiedy poznała Amerykanina z Czerwonego Krzyża, który właśnie przyjechał z misją humanitarną do Moskwy. Dzięki porozumieniu między delegacjami USA i ZSRR amerykańskie wsparcie obejmujące leki oraz ubrania, obiecane uprzednio w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, miało przekroczyć wartość czterech milionów. Do realizacji związanych z tym zadań potrzebna była osoba z dostatecznym doświadczeniem, żeby zarządzać tak poważnym przedsięwzięciem. Peter był miłym człowiekiem, o wiele starszym od Liny, mocno zbudowanym i roztaczającym aurę życzliwości wobec bliźnich niemal jak ksiądz. Lina przedstawiła mu Jenny Marling, która po urodzeniu drugiej córki zaczęła się zastanawiać nad możliwością powrotu do swojego rodzinnego kraju, czyli Stanów Zjednoczonych. Jenny nie wiedziała, co mogłaby robić w Związku Radzieckim z dwoma maleństwami i bez Afinogienowa.

Lina od początku poczuła więź z tym mężczyzną o manierach arystokraty, wolnym duchem i niezwykle kulturalnym. Ale on dostrzegał w niej całkiem inne cechy. Mimo trudnej sytuacji, w jakiej Lina się znajdowała, oraz niedostatków, z którymi musiała się borykać, nadal pozostawała atrakcyjną kobietą i choć nie robiła tego z premedytacją, wciąż roztaczała wokół siebie uwodzicielski czar. Peter dość szybko zakochał się w niej, choć nie okazywał otwarcie swoich uczuć. Wiedział, że Lina jest mężatką, a jej mąż to nie byle kto, ale wiedział też, że Siergiej odszedł do innej kobiety i znalazł się na tyle daleko, żeby nie stanowić żadnego problemu. Peter zastanawiał się nad różnymi strategiami. Zarzucał Linę wyrazami sympatii i prezentami. Do mieszkania przy ulicy Czkałowa dostarczano prawie co tydzień pudła z ubraniami i lekarstwami, między którymi znajdowała się też żywność. „Jeśli coś z tego nie jest ci potrzebne, rozdaj sąsiadom. Docenią to” – pisał w listach, które wkładał do wysyłanych pudeł. Zaproponował nawet, żeby Światosław i Oleg przyszli do niego do domu najeść się

i wykąpać w ciepłej wodzie, jako że w mieszkaniu rodziny Prokofiewów dostępna była tylko zimna. Lina była wystarczająco doświadczona, żeby rozumieć, co się dzieje i jaka jest prawdziwa natura troski Petera. Odpowiadała mu listami, w których wyrażała wdzięczność, a nawet wysłała mu zdjęcie, na którym zapisała krótki tekst kończący się słowami „Z czułością, Lina”. Nigdy nie weszła do jego kamienicy, chyba że odebrać synów, na których wołała zresztą poczekać na ulicy. Nigdy nie była w mieszkaniu delegata Czerwonego Krzyża. Wiedziała, że na moskiewskiej ulicy zawsze znajdzie się tysiąc badawczo obserwujących oczu oraz ekspertów od zniekształcania znaczeń każdej miny, spojrzenia, ruchu. Lina wciąż była cudzoziemką, Peter też był obcokrajowcem, i mogło to stanowić pożywkę dla fałszywych oskarżeń. Ale presja potrzeb była silniejsza niż strach.

Pewnego dnia Lina pilnie potrzebowała pomocy lekarskiej. Od kilku dni męczył ją silny ból zębów. Okazało się, że cierpi na poważne zakażenie, wynikające z błędu dentysty, do którego poszła kilka miesięcy wcześniej. Peter zaproponował jej wizytę u amerykańskiego stomatologa, który w trakcie dwóch wizyt zlikwidował nękający Linę problem. Odwdzięczyła się Peterowi kolejnymi gestami kurtuazji i spotkaniem na kawie w pobliżu gmachu przy ulicy Wesina, w którym miały siedzibę różne zagraniczne misje. Nie chciała nikogo oszukiwać ani bawić się uczuciami dobrego i porządnego człowieka, który w każdej chwili okazywał gotowość pomagania jej. Niemniej jednak nie potrafiła odwzajemnić jego uczuć. Nigdy nie robiła mu żadnych nadziei. Jej serce wciąż było zajęte – od ponad dwudziestu lat przez tę samą osobę. Lina była przekonana, że tak już pozostanie do końca jej życia. Nie chciała też ranić mężczyzny, który okazywał jej tyle czułości, choć kierowała nią pewna interesowność, gdyż chodziło jej o los własnych synów. Nie była skłonna robić niczego wbrew własnym uczuciom, ale pomyślała, że nikogo nie skrzywdzi, utrzymując z Peterem ostrożną, przyjacielską relację. A to, co inni wyobrażali sobie w tej sprawie, nie było jej problemem. Przynajmniej do czasu, kiedy Peter miał wracać do swojego kraju. Nigdy tego nie powiedział Linie, ale próbował przejść przez różne biurokratyczne procedury, żeby ją wydostać ze Związku Radzieckiego. Okazało się to niemożliwe, zawsze piętrzyło się zbyt wiele przeszkód. Kiedy tylko wymieniał jej nazwisko, trafiał na nieprzenikniony mur, którego nie był w stanie pokonać, choć przywiózł do tego kraju pomoc humanitarną wartą ponad cztery miliony dolarów. Lina nie umiała docenić tego, co dla niej robił, dopóki nie zniknął. Wtedy zrozumiała, o ile łatwiejsze było jej życie przez ostatnie kilka miesięcy właśnie dzięki Amerykaninowi.

Kontakty między Lina i Siergiejem ograniczały się do dwóch lub trzech listów rocznie, pisanych wtedy, gdy musieli się o coś wzajemnie poprosić albo wypowiedzieć jakieś pretensje. Listy Prokofiewa były chłodne i pozbawione uczuć, Lina dochodziła do wniosku, że ich prawdziwą autorką musi być Mira. Co więcej, charakter pisma Siergieja zmienił się, stał się dziwny, jakby Prokofiew cierpiał na jakąś chorobę nadgarstka. Siergiej formułował różne absurdalne prośby, na przykład żeby mu przysłała futrzaną czapkę, której nie zabrał z domu, parę starych butów albo ciemny garnitur. Czasami te życzenia tak ją denerwowały, że lektura listu kończyła się darcim go na strzępy, choć potem Lina klękała na podłodze i próbowała na nowo złożyć z kawałków całość. Niektóre ze sztuk odzieży, o jakie prosił Siergiej, były bardziej potrzebne synom i Lina odmawiała wysłania ich. „Rozumiem, że nie interesujesz się synami, że ich porzucasz, ale powinieneś się wstydzić, że chcesz ich pozbawić ciepłych ubrań. Co będzie dalej? Zostawisz ich nago na ulicy?” Rzadko dostawała odpowiedzi na takie pełne złości listy. Nie oczekiwała ich zresztą. A jednak po paru miesiącach przychodził kolejny list adresowany do synów, nieodnoszący się w ogóle do ostatnich pretensji, które wyraziła na piśmie matka. Siergiej pisał chłopcom, że za nimi tęskni, że chciałby obejrzeć obrazy Olega i rozegrać partię szachów ze Światosławem. Listy wysyłane do synów zawsze kończyły się prośbą o uściskanie Liny i apelem, by o nią dbali. Te dopiski kojarzyły się Linie z gorącymi uściskami, bo intuicja podpowiadała jej, że choć Siergiej wielu rzeczy nie napisał, czuł znacznie więcej, niż przelał na papier. Dlatego też była przekonana, że inne listy pisała własnoręcznie Mira: były w nich tylko prośby i nigdy nawet najkrótszego pytania o sytuację rodziny.

W mieszkaniu przy ulicy Czkałowa rzadko dzwonił telefon. A kiedy już dzwonił, zwykle chodziło o przekazanie złej wiadomości. Tego popołudnia było nie inaczej. Odebrał Światosław.

– Umarł Nikołaj Radłow – zakomunikował matce, która potrafiła jedynie powtórzyć imię zmarłego, wpatrując się zagubionym wzrokiem w nieokreślony punkt przestrzeni, jakby otworzyło się w niej jakieś okno wychodzące na jej własną przeszłość.

– Nikołaj...

Przekonała syna, że powinien pójść na uroczystość czuwania przy zwłokach. Trumna była wystawiona w sali ekspozycyjnej Związku Malarzy w Moskwie.

– Idź. Na pewno twój ojciec też tam będzie. Ja lepiej zostanę w domu.

Przybywszy na miejsce, chłopiec nie spotkał ojca. Jego nieobecność go zdziwiła, bo ktoś mu przekazał wiadomość, że Siergiej przyjechał do Moskwy i zamieszkał w hotelu National. Słyszając tę nowinę, Światosław poczuł się rozczarowany. Ojciec był w Moskwie i nawet nie zadzwonił. Byli przecież jego synami. Jeśli nie chciał kontaktu z matką, mógłby to zrozumieć, a w każdym razie by się postarał. Ale z nimi? Cóż oni zawinili, że między rodzicami tak się popsulo? Zadzwonił wściekły do matki, która starała się uspokoić syna.

– Nie obwiniaj go. Wiesz, jaki jest twój ojciec. Dla niego to też musi być trudne.

Zadzwoń do niego do hotelu i powiedz mu, żeby przyszedł pożegnać przyjaciela.

Na nic zdały się protesty starszego syna, który w końcu zrobił to, co zalecała matka. Niedługo potem zobaczył Siergieja, jak wchodzi do sali ekspozycyjnej Związku Malarzy. Z trudem go rozpoznał. Ojciec postarzał się, wyglądał na zmęczonego, był wyraźnie w złym stanie. Miał na sobie sfatygowany garnitur, który wydawał się za duży; daleko mu było do elegancji trzyczęściowych garniturów, które zwykł nosić, kiedy mieszkał z matką Światosława. Szedł z wysiłkiem, miał minę chorego, który przeczuwa swoją marną przyszłość. Stał w nogach trumny zmarłego przyjaciela i pozostał w tym miejscu ponad dwadzieścia minut – nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w ciele dawnego współpracownika i wieloletniego towarzysza. Sprawiał wrażenie nieobecnego, miał zagubione spojrzenie, w jego zachowaniu widać było zmieszanie i niezdarność. Światosława przez chwilę smuciło, że ten zniszczony człowiek to nie tylko jego ojciec, ale też wielki Prokofiew. Wolał myśleć, że to śmierć przyjaciela tak wpłynęła na ojca; z tym kłamstwem poczuł się lepiej. Nie odważył się do niego podejść. Miał ochotę go uściskać, porozmawiać z nim po prawie dwóch latach niewidzenia się. Ale uznał, że dla żadnego z nich nie byłoby to dobre.

Czegoś podobnego doświadczała w tym czasie jego matka, stojąca na zewnątrz sali wystawienniczej, ukrywająca się między drzewami, samochodami i budynkami. Lina ośmieliła się zbliżyć do miejsca, w którym odbywało się czuwanie przy zwłokach, ale nie miała wątpliwości, że nie powinna wchodzić do środka. Nie chciała być widziana. Chciała tylko zobaczyć Siergieja, popatrzeć na niego choćby z daleka. Chciała się dowiedzieć, jak się ma, jak wygląda. Chciała sprawdzić, czy jego stan fizyczny potwierdza jej podejrzenia, że coś z nim jest nie tak, podejrzenia wynikające ze zmienionego, rozedrganego charakteru pisma. Myślała o jego sercu, o ciśnieniu spadającym czasem do niebezpiecznego poziomu, o bólach głowy, o problemach z plecami. Zastanawiała się, czy Mira smaruje go maścią rozgrzewającą z olejkiem rozmarynowym, którą ona sama nacierała całe jego ciało, i czy przyrządza mu solidny kubek gorącej czekolady, żeby uśmierzyć bóle głowy. Lina wciąż się o niego martwiła: choć wydawało się to absurdem, tak właśnie było. Ten niepokój o zdrowie Siergieja jakoś ją pocieszał, bo dawał jej poczucie, że jest blisko niego. Stała teraz, walcząc z zimmem – było kilka stopni poniżej zera – aż wreszcie zobaczyła go, jak wchodzi. Na jego widok ledwo powstrzymała jęk. Szedł z opuszczoną głową, przegrany, smutny. Skurczony, pomniejszony cień człowieka, idący wolno i nieprzyglądający się światu wokół niego. Od czasu, kiedy wyjechał na Kaukaz, podupadło też jego życie twórcze.

Lina nie chciała szukać wytłumaczenia stanu Siergieja w niezbyt bogatym i nie najwyżej ocenianym dorobku artystycznym jego kaukaskich lat. Ten wynędzniały wizerunek musiał wynikać z czegoś więcej niż klęska dzieł kompozytora. Wiedziała, że jest pod presją, że każą mu komponować utwory, na które nie ma ochoty, ale musi je pisać. W głębi duszy chciała przekonać samą siebie, że to brak jej osoby u jego boku ma coś wspólnego z wyraźnym upadkiem – zarówno artystycznym, jak i osobistym. „To niemożliwe. To nie może być on. Co oni z tobą wyprawiają, mój kochany?”

Nie miała pojęcia, czy wypowiada te myśli wyłącznie w swojej głowie, czy też formułuje je na głos. Ale chwilę później nie miała już wątpliwości, że słyszy za sobą

czyjeś wyraźne słowa.

– Lina? Ty jesteś Lina Prokofiew?

Odwróciwszy się, zobaczyła kobietę, której twarz kojarzyła z jakimiś dawnymi wspomnieniami. Nie potrafiła jednakże przypomnieć sobie jej nazwiska. A znała ją przecież, była tego pewna.

– Nie pamiętasz mnie? Jestem Warwara, Warwara Massalitinowa.

Twarz Liny natychmiast się rozjaśniła. Jej umysł od razu zlokalizował tę kobietę we wcześniejszych czasach. Przed laty była to jedna z bardziej znanych aktorek sceny rosyjskiej. Lina poznała ją podczas kręcenia filmu *Aleksander Newski* i spotkała się z nią na premierze. Między nimi dobrze się układało, i to nie tylko dlatego, że Warwara nieustannie wychwalała urodę i wdzięk Liny; głównie chodziło o to, że była szczerą, bezpośrednią i nie kryła tego, co myśli. Lina zawsze sądziła, że jej rozmówczyni musi mieć znajomości na wysokim szczeblu, bo mówiła różne rzeczy, a nigdy nie kończyło się to dla niej przykrymi konsekwencjami, jak w przypadku innych osób.

– Warwara, jakże się cieszę! Co ty tu robisz? – Kobiety uściskały się na środku ulicy. Naprawdę odczuwały radość ze spotkania. – Ile to już czasu? Trzy, cztery lata? Nawet nie wiedziałam, że jesteś w Moskwie.

– Tak, oczywiście, jestem w Moskwie, tak jak i ty. Tylko szczury opuszczają statek, kiedy... Ale niech na ciebie popatrzę, ślicznie wyglądasz – powiedziała Warwara, tonąc w objęciach Liny. – Dowiedziałam się o Siergieju. – Wystarczyło tych słów, żeby twarz Liny zasnuł cień. – Wybacz mi, nie chciałam cię zasmucić. Tylko że... Ech, mężczyźni! Co można jeszcze powiedzieć... Szczególnie w tym przypadku niewiele jest do dodania.

Lina roześmiała się po tym komentarzu, rozumiejąc, że zawarty był w nim brak zachwytu nad Mirą, szczególnie w zestawieniu z nią samą. Wdzięczna była Warwarze za tę obserwację, choć w sferze zdarzeń niczego ona nie zmieniała. Siergiej był przecież z Mirą, a nie z nią.

Spojrzała na Warwarę, nie przestając się uśmiechać. Teraz już przypomniła ją sobie całkiem wyraźnie. Zawsze rozśmieszała Linę swoimi uwagami i nie przestawała wychwalać jej elegancji. „Twierdzi się, że to ja jestem aktorką. A jednak popatrz – mówiła. – To ty przyćmiewasz wszystkich. Muszę na serio poprosić Prokofiewa, żeby zostawił żonę w domu, przynajmniej na premierę. Nie śmieję się, zamierzam wpisać to do kontraktu”.

– Czemu stoimy na ulicy? Chodź do mnie do domu. Mamy do pogadania.

– Teraz? – spytała Lina, tak jakby w kalendarzu miała wpisanych mnóstwo niedających się odwołać spotkań. – Nie wiem, czy mogę. Muszę niedługo wracać do siebie. Synowie i tłumaczenia... – Zastanowiła się i po chwili doszła do wniosku, że istnieje jednak dobry powód, żeby przyjąć miłą propozycję Warwary. Przyszła w to miejsce wyłącznie po to, by zobaczyć Siergieja; nawet Światosław o tym nie wiedział i Lina nie chciała, żeby jej obecność wyszła na jaw. Zrozumiała, że pójście z Warwarą było dobrą sposobnością ukrycia prawdziwego powodu wyjścia z domu.

– Niech zaczekają – powiedziała Massalitinowa, energicznie złapała Linę za ramię i wciągnęła ją do swojego samochodu. – Naprawdę mamy dużo do obgadania.

Nie pierwszy raz Warwara wybierała się z wizytą do Liny. Dawniej wspólnie

organizowały w domu aktorki obiady i kolacje, na które zapraszani byli także Światosław i Oleg. W mieszkaniu Warwary nigdy nie brakowało obfitego i dobrego jedzenia ani wina, ani – tym bardziej – rozmów. A Lina była specjalistką od konwersacji co najmniej w takim samym stopniu, w jakim gościnną gospodyni tych wieczorów znała się na zastawianiu stołu przysmakami. Lina przypomniawszy sobie o doznaniach podniebienia, kiedy znów poczuła w ustach smak zimnego kawioru w połączeniu z gorącymi blinami.

Nie trzeba było dużo czasu, żeby Lina ponownie zetknęła się z niezłomną zasadą, wypaloną jak ogniem w podświadomości człowieka radzieckiego: właśnie wtedy, kiedy wszystko wydaje się zmierzać w dobrą stronę, sprawy zaczynają się komplikować. O północy obudził ją atak kaszlu Olega. Zbliżając się do pokoju syna, słyszała coraz wyraźniej, że jego oddech jest bardzo nierówny, ciężki, urywany, jakby chłopcu brakowało powietrza. Miał kłopoty z przełykaniem, trząsał się z zimna, choć po zmierzeniu temperatury okazało się, że ma wysoką gorączkę. Lina zawołała Światosława, który również uznał, że stan brata jest poważny. Zaraz potem zaczęły się wymioty i bóle brzucha. Te symptomy Lina obserwowała już dawniej, choć na mniejszą skalę, u starszego syna, kiedy nieco ponad rok wcześniej zachorował na dyzenterię. Próbowowała wówczas powstrzymać chorobę domowymi sposobami – sokiem z cytryny zmieszany z żółtkiem, miodem i solą – wobec trudności ze zdobyciem leków czy dostaniem się do szpitala. W końcu znalazła miejsce w sanatorium w Gagrze nad Morzem Czarnym, gdzie Światosław wrócił do formy dzięki, jak sam opowiadał, dobremu odżywianiu i pobudzaniu apetytu różnymi mieszankami zawierającymi wódkę.

Lina zastanawiała się, co robić i przede wszystkim do kogo się udać, a jednocześnie próbowała obniżyć u chorego gorączkę, przykładając mu zimne kompresy na czoło, nadgarstki oraz kostki. Ale nic nie przynosiło skutku. Światosław zaproponował, żeby zanurzyć brata w wannie z zimną wodą. Podobnie zrobili z nim samym, kiedy przyjęto go do szpitala w Gagrze. Lina wiedziała, z czym ma do czynienia. Oleg zaraził się dyzenterią, bolesną i ciężką chorobą, która wiązała się z poważnym zapaleniem jelit, spowodowanym z pewnością przez spożycie jakiegoś nieodpowiedniego pokarmu. Dobrze wiedziała, że jeśli syn nie otrzyma pilnie właściwego leczenia, może umrzeć. Musiał zostać nawodniony, i to nie tylko doustnie, ale przede wszystkim dożylnie, konieczne też było leczenie penicyliną. Niepotrzebna była specjalistyczna wiedza, żeby to rozumieć; Lina widziała zbyt wiele podobnych przypadków, choćby we własnej kamienicy. Modliła się, żeby tylko nie był to tyfus. Olega należało hospitalizować, ale jak? Nie dawało się tego zrobić w łatwy sposób; wymagało to dużych pieniędzy, kontaktów i licznych przysług świadczonych przez różnych ludzi. Przeklinała fakt, że w Moskwie nie było już Petera – on mógłby pomóc. Zrobiliby wszystko, co niezbędne, żeby Olega przyjęto do szpitala. Ale teraz nie było już o czym mówić i Lina musiała szybko pomyśleć o innych możliwościach. Bez wahania złapała za telefon i zadzwoniła do Siergieja. Nie przejmowała się niestosowną porą i faktem, że jej telefon obudzi go o świcie, ani też, że odbierze Mira. Kiedy w końcu usłyszała jego głos w słuchawce, nie przebierała w słowach.

– Twój syn umiera. Musisz zareagować natychmiast i przestać się chować w tej skorupie, w której teraz siedzisz. Jeśli tego nie zrobisz, nie wybaczę ci do końca życia.



I ty sobie też nie.

Słyszając nagłą ciszę na drugim końcu linii telefonicznej, przestraszyła się, że nie wyraziła się dostatecznie jasno. Postanowiła więc rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Posłuchaj mnie, jestem w stanie zejść na piechotę aż do Ałma Aty, żeby cię zamordować własnymi rękami, jeśli nie zrobisz tego, co powinien zrobić ojciec, choćby go to miało kosztować zesłanie na Syberię. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Po kilku godzinach Oleg został przyjęty do Szpitala Kremłowskiego z silnymi zaburzeniami rytmu serca i poważnym stanem zapalnym organów wewnętrznych. Przeprowadzone badania wykazały, że infekcja została wywołana spożyciem zanieczyszczonego mleka. Ta wiadomość przygnębiła Linę jeszcze bardziej, bo poczuła się winna, że kupiła mleko w niepewnym miejscu, bo na lepsze nie było jej stać. „Gdybym sprzedała te przekłète partytury, gdybym je sprzedała...” – zadreczęła się bezlitośnie mimo sprzeciwów Światosława, który uważał jej wyrzuty sumienia za absurdalne.

Krwawienia nie ustawały, a biegunka nie pozwalała ustabilizować stanu pacjenta. Lekarze nie wypowiadali się z optymizmem, trzeba było poczekać, jak organizm Olega zareaguje na leczenie.

Lina nigdy się nie dowiedziała, czy chodziło o wstawiennictwo Siergieja, czy pozostałych przyjaciół, do których zadzwoniła, nie ukrywając przerażenia w głosie. Była gotowa pójść do mieszkania ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa, którego chciała błagać, żeby zrobił wszystko, co niezbędne dla ratowania jej syna, kiedy nagle zadzwonił telefon. Nieznajomy głos nakazał jej natychmiast się stawić w Szpitalu Kremłowskim.

Tak też zrobiła. Światosław spytał, czy ojciec ma zamiar przyjść do kliniki.

– Wystarczy mi, jeśli zapłaci rachunki – odpowiedziała.

Siergiej zapłacił. Przesłał trzy tysiące rubli na pokrycie kosztów leczenia. Lina przez cały czas czekała, że w pewnej chwili Prokofiew zjawi się w szpitalnych drzwiach. Ale tak się nie stało. Nie przyszedł też wtedy, gdy już po wyzdrowieniu Olega Lina sama musiała zostać przyjęta do szpitala – po tym, jak straciła przytomność. Przyczyną omdlenia była choroba jeszcze poważniejsza niż ta, która dopadła jej syna. Ledwo była w stanie znieść to, co zakomunikował jej doktor leczący wcześniej Olega.

– Jest pani chora na tyfus, to z pewnością od wszy; połowa miasta na to cierpi.

Lekkość, z jaką medyk obwieścił diagnozę, nie pasowała do jej własnego rozumienia padających słów, oznaczających wyrok śmierci. Kiedy jednak świat po raz kolejny jej się zawalił, usłyszała od innego lekarza inną diagnozę, której – we własnym interesie – postanowiła się ucześcić.

– Ma pani poważną infekcję oddechową, zapalenie prawego płuca. Nie jest to nic, z czym nie dałaby sobie rady porządna kuracja antybiotykowa i dobre odżywianie. Niech się pani uspokoi, pani Prokofiew. Jest pani w dobrych rękach.

Te słowa i odpowiednie leczenie – podobnie jak koktajl witaminowy – istotnie zdołały ją uspokoić. Personel medyczny wiedział, kim Lina jest, i sądząc po tonie jednej z lekarek, budziło to w ludziach pewien podziw. Później Lina dowiedziała się, że to Warwara skontaktowała się z ową sympatyczną lekarką i nawet zajęła się Światosławem i Olegiem w czasie, kiedy ich matka była przykuta do łóżka. To szpitalne doświadczenie

nie było łatwe. Niezależnie od doskonałej opieki, jaką ją otoczono, od wyżywienia, jakie dawano jedynie ciężarnym kobietom – włącznie z gotowanymi jajkami i poranną hojną porcją owsianki – gorączka skomplikowała jej powrót do zdrowia i spowodowała epizody delirium, silnych konwulsji i halucynacji. Lina bardzo się wzburzała, bo utrzymywała, że widzi, jak pielęgniarki zabierają jedzenie dzieciom czekającym na przyście matek i jak maleństwa płaczą z powodu głodu i opuszczenia. Lekarka uspokajała Światosława:

– To normalne. Gorączka sprawia, że następują zmiany w płacie skroniowym mózgu, gdzie przechowujemy nasze wspomnienia, obrazy i część naszej pamięci. Pod wpływem tych zmian zaczynamy widzieć i słyszeć przedmioty i dźwięki, które nie istnieją, powstają tylko w naszym mózgu.

Lina dochodziła do siebie trochę ponad miesiąc. Pierwsze pytanie, jakie zadała Światosławowi w dniu, w którym ją wypisano, dotyczyło tego, czy Siergiej o wszystkim wie.

– Sam do niego dzwoniłem, żeby mu opowiedzieć. Przesłał telegram – odpowiedział chłopiec, wręczając Linie złożoną na pół kartkę. Był to ów telegram. „Opiekuj się mamą”. Trzy słowa. Lina przyglądała się im przez kilka chwil. Niepotrzebne już były żadne pytania. Za pomocą spojrzeń potrafiła porozumiewać się z synem z taką samą precyzją, z jaką robiła to z jego ojcem.

Po zwycięstwach Armii Czerwonej nad wojskami niemieckimi i ich sojusznikami odniesionych w bitwie pod Stalingradem – między sierpniem 1942 roku a lutym 1943 – oraz w bitwie pod Kurskiem latem 1943 roku morale ludzi radzieckich uległo wzmocnieniu. I nie chodziło tylko o postawę na froncie, ale w całym kraju, szczególnie w wielkich miastach, takich jak Leningrad, Moskwa i – oczywiście – Stalingrad, który zyskał sobie przydomek Miasta-Bohatera za odepchnięcie armii niemieckiej, pokonanej dzięki niezłomnemu oporowi, którego idealnymi sojusznikami stały się siarczysty mróz i głód. Zdołały one poradzić sobie z niemiecką potęgą militarną. Strach i niepewność jutra oddalały się, w miarę jak widmo wejścia Niemców do Moskwy znikało z wyobraźni przeciętnego moskwianina. Niektórzy wyglądali na rozczarowanych, jak choćby Dzierżanowski, redaktor pisma „Muzika” i jeden z pierwszych przewodników Liny po Moskwie, z którym nadal utrzymywała stały kontakt. Nie tracąc dobrego humoru, który zawsze go charakteryzował, Dzierżanowski przewidywał, że kiedy Niemcy wejdą do stolicy, „my, ludzie szlachetni, podniesiemy głowy”. Lina zawsze odpowiadała mu uśmiechem, podkreślając, że Niemcy to ludzie kulturalni i cywilizowani. Mówiła to szczerze. Zawsze miała wysokie mniemanie o narodzie niemieckim.

Stopniowo miasto odzyskiwało niektóre elementy swojego normalnego wyglądu, choć wciąż nie dawało się zapomnieć, że wojna trwała. Ale teatry wznawiały działalność, znów pojawiały się wielkie afisze informujące o koncertach – podobnie jak dwa lata wcześniej – a filmy na nowo podejmowały dzieło wzmacniania radzieckiego ducha. Lina też brała udział w tym ożywieniu, w którym dostrzegała nowe możliwości zrealizowania swojej niezmiennej chęci ucieczki ze Związku Radzieckiego. Odkurzyła najlepsze galowe stroje i znów zaczęła się malować, chodząc na premiery, na które wciąż ją zapraszano jako żonę Prokofiewa. Na jej nogach znów pojawiły się jedwabne pończochy, wróciła do chodzenia na obcasach, żeby podwyższyć i wymodelować sylwetkę. Jedwab i koronki

znów przyoblekły jej skórę, perfekcyjny makijaż powrócił na twarz, choć w tym celu, w związku z trudnościami zaopatrzeniowymi, musiała skorzystać z daru improwizacji: pasta do butów służyła jako tusz do rzęs, zmiażdżone płatki róż zastępowały szminkę, a osad z czerwonego wina na skrawku materiału pozwalał kolorować policzki jak różem. Lina wróciła – i nie ona jedna. Wkrótce dotarła do niej wiadomość, że także Siergiej zakończył swój pobyt w Alma Acie i osiedlił się w Moskwie. Pomieszkiwali razem z Mirą w różnych stołecznych hotelach, takich jak Metropol, Moskwa, National czy Savoy, choć Prokofiew nie znajdował w nich dostatecznej swobody, żeby móc komponować. Nie lubił hotelowego życia, brakowało mu ciepła i wygod ogniska domowego, brakowało spokoju, poczucia emocjonalnego zakotwiczenia, którego potrzebował i które przy Linie miał.

Odkąd wrócił do stolicy, odmawiał spotkania z Liną, nie chciał mieć żadnego kontaktu z nią ani z synami. Był w tej sprawie niewzruszony. Czuł się przy nich niezręcznie i próbował zrekompensować im brak kontaktu, wysyłając czekoladę. Ilekroć przychodziła paczka od Siergieja, Lina wznosiła oczy do góry i kręciła głową.

– Ten człowiek ma coś z rozumem.

Niemniej wolała uznać tę odmowę kontaktu za dowód słabości Siergieja. Rozumiała, że być może nie chce jej zobaczyć dlatego, że takie spotkanie mogłoby go skłonić do ponownego przemyślenia sytuacji i powrotu do domu. Wciąż zachowywała pewność, że któregoś dnia Siergiej do niej wróci, a wtedy ona zdoła mu wszystko wybaczyć. Myślała o tym tysiąc razy. Widziała tę scenę oczami wyobraźni. Była gotowa stłumić w sobie wszystkie pretensje i płacz, ból, który jej sprawił, porzucając ją, gdyby tylko zobaczyła, jak z walizką w ręku znów przechodzi przez drzwi wejściowe. Dlatego też robiła wszystko co możliwe, żeby bywać na rozmaitych przyjęciach, uroczystościach i premierach organizowanych w Moskwie. Chciała mieć pewność, że Siergiej ją widzi i uświadamia sobie swój wielki błąd. Tak też postąpiła, kiedy dostała zaproszenie na bardzo szczególne przyjęcie urządzone w ambasadzie francuskiej. Miał na nim być generał Charles de Gaulle, przywódca Wolnych Francuzów. Było to cztery miesiące po wyzwoleniu Paryża przez wojska alianckie, które wkroczyły do francuskiej stolicy w sierpniu 1944 roku. Europa wciąż mówiła o heroicznym wydarzeniach we Francji, o lądowaniu w Normandii, w wyniku którego wojskom niemieckim zadano następny cios. Kolejny – po upokorzeniu ich pod Stalingradem.

Czekając na swoją kolej, by przywitać się z honorowym gościem, Lina była pod wrażeniem jego postury. Nie przypuszczała, że de Gaulle jest tak wysoki. Sprawiał też wrażenie, że nigdy nie zgina pleców. Przez cały czas trzymał się prosto, zachowywał powagę, ale kiedy się do niego zbliżyć, okazywał się człowiekiem pełnym galanterii i wielce sympatycznym. Zastanawiała się, czy podczas rozmów prowadzonych ze Stalinem w trakcie wizyty w Związku Radzieckim wykazywał te same cechy.

– Właśnie widziałem pani męża, przed kilkoma minutami – odezwał się do Liny francuski generał. – I powiedziałem mu, żeby państwo nie zwlekali długo z wizytą u nas. Chcielibyśmy znów posłuchać jego muzyki.

– Ja też mam nie mniejszą ochotę wrócić do pańskiego kraju, generale. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

– Czekamy na panią niecierpliwie, pani Prokofiew.

– Nie wyobrażam sobie jednak, że któregoś dnia mogłabym znowu chodzić po Montparnassie i przyglądać się Sekwanie.

– Proszę się nie martwić. Ani nie rozpaczać. Ludzkie życie potrafi zmienić się w ciągu sekundy. Proszę popatrzeć na nas, Francuzów: świat traktował nas jak hitlerowskich kolaborantów, a teraz staliśmy się przyjaciółmi i sojusznikami aliantów.

Lina była wdzięczna za te słowa i uśmiechnęła się z szelmowską miną.

– Nie wyobraża pan sobie, jak się cieszyłam z wyzwolenia pańskiego kraju. Właśnie tam spędziłam najlepsze lata życia.

– Wiele zawdzięczamy garstce Hiszpanów. – De Gaulle zbliżył się do niej, żeby móc powiedzieć jej coś na ucho. – Czy pani wie, że jako pierwsza wkroczyła do Paryża grupa republikanów hiszpańskich, którzy należeli do Drugiej Dywizji Pancerniej Wolnych Francuzów pod dowództwem generała Leclerca? Ale proszę tego za bardzo nie rozpowiadać, nie możemy pomniejszać roli Francuzów. Tyle trudu nas kosztowało, żeby ją w końcu odegrali!

Lina cieszyła się tym wieczorem, rozmawiając z przyjaciółmi i znajomymi, z których prawie wszyscy byli cudzoziemcami. Miała bliskich przyjaciół w ambasadzie brytyjskiej, francuskiej i amerykańskiej i często spotykała się z obywatelami państw europejskich mieszkającymi w Moskwie, na przykład z niektórymi dziennikarzami tygodnika „British Ally”. Dzięki takiemu towarzystwu wciąż czuła, że żyje, i podtrzymywała swoje nadzieje na spotkanie ludzi, którzy pomogą jej załatwić papiery niezbędne do opuszczenia ZSRR. Na tym samym przyjęciu na cześć de Gaulle’a spotkała pewną kobietę, którą już wcześniej często widywała. Była to Anna Holdcroft, urzędniczka brytyjskiego ministerstwa informacji. Poznały się dzięki tłumaczeniom, przy których Anna korzystała z pomocy Liny. Angielka też była tłumaczką, ale jej kompetencje nie obejmowały tylu języków, ile znała Lina, która wydawała się zachwycona, że może pomóc nowej znajomej. Od tego czasu urządały sobie pogawędki obejmujące wiele tematów, szczególnie muzycznych i literackich. Annie nie było łatwo spotkać w Moskwie kogoś, kto mógłby z nią porozmawiać płynną angielszczyzną o Williamie Szekspirze, Gioaccinie Rossinim czy Franciscu de Goi.

W trakcie przyjęcia jej oczy natrafiły w pewnej chwili na niebieskie spojrzenie Siergieja, który zresztą natychmiast odwrócił od niej wzrok. Lina nie rozumiała tej głupiej gry z unikaniem kontaktu i postanowiła, że położy kres dziecinadzie. Mieli przecież dwóch synów, żyli w związku przez dwadzieścia lat, nie było żadnego powodu, by zachowywać się w taki sposób. Podeszła do niego z taką samą stanowczością, z jaką zwykła stawiać czoło życiu: od frontu, bez wahań, z odwagą, której jemu brakowało.

– Czemu się przede mną chowasz? Tak bardzo się wstydzisz tego, co zrobiłeś, że nawet nie umiesz spojrzeć mi w twarz?

– To pewnie ten sam powód, dla którego ty konsekwentnie nie wyprowadzasz ludzi z błędu, kiedy nazywają cię panią Prokofiew.

– O ile wiem, nadal jesteście małżeństwem, chociaż ty o tym zapominasz. A także o tym, że masz dwóch synów.

– Nie jesteś już panią Prokofiew – powiedział, rzucając jej wyzywające spojrzenie,

którym lustrował ją przez kilka sekund. Przez chwilę nie wiedziała, czy chce ją pocałować, czy wymierzyć jej policzek, ciągnąć ją po podłodze, czy wziąć w ramiona i porwać gdzieś daleko od tamtego miejsca. – Jestem z inną kobietą. Kocham ją. Ciebie już nie kocham, Lino. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej będzie dla wszystkich.

– Nigdy nie umiałeś kłamać. Drży ci nos i trzęsie ci się lewa powieka.

– Dlaczego przyszłaś na to przyjęcie?

– Ponieważ mnie zaproszono, a ja jestem kulturalną kobietą, nie tak jak to, co trzymasz w domu. Powinieneś jej wytłumaczyć, że nawet sam Stalin spotkał się z de Gaulle'em. Wcale nie dostałaby pokrzywki, gdyby podała rękę Francuzowi, choć jedyne, co w nim jest czerwone, to krew.

– Zaproszenie było wystawione na mnie i panią Prokofiew.

– Dlatego tu jestem. Przynajmniej ci, którzy wysyłają zaproszenia, mają w tej sprawie jasność. – Po raz pierwszy słyszała, że Siergiej mówi o Mirze jako o swojej partnerce, i nie potrafiła uniknąć bólu, jaki to w niej wywoływało. Czowała klucie w sercu i postanowiła oddalić się od Siergieja, bo bała się, że nie powstrzyma łez. Ale kiedy próbowała to zrobić, złapał ją za ramię i pociągnął w bardziej dyskretny kąt sali, pomiędzy kolumny, które zasłaniały niewielką przestrzeń przed wzrokiem pozostałych gości.

– Musisz przestać chodzić po ambasadach. Za bardzo się narażasz – powiedział, przypatrując się wyrazowi znużenia malującemu się na twarzy Liny, która czuła się zmęczona, po raz kolejny słuchając tego samego.

– Za kogo się masz, że tak do mnie mówisz?

– Jestem twoim mężem! – powiedział, podnosząc głos i próbując jednocześnie stłamsić w ustach kolejne słowa, zapominając o wszystkim, co parę chwil wcześniej wyraził tamtym podbiegniętym krwią spojrzeniem.

– O, więc teraz jesteś moim mężem? Widzę, że zrobiłeś się bardzo niestabilny od czasu, kiedy dali ci Order Czerwonego Sztandaru Pracy. – Siergiej zrobił zdziwioną minę, słysząc, że Lina tak szczegółowo śledzi jego karierę. Chcąc nie chcąc, poczuł przy tym przebłysk dumy.

– Nie bądź głupia. Jesteś zbyt ufna. To zawsze był twój główny problem.

– Jeszcze jak byłam ufna! Ufałam ci, kiedy mnie prosiłeś, żebym poczekała jeszcze trochę, aż mnie stąd wyciągniesz i znów wyślesz do Paryża. Już nie wspomnę, jak ci ufałam, kiedy przysięgałeś, że nigdy nie będziesz mógł żyć beze mnie. I popatrz teraz na nas, Siergiej. Patrz, co się z nami stało.

Prokofiew puścił ramię żony, ale wciąż jeszcze stał przed nią. Była piękna i jak zawsze odważna. Trudno mu było wytrzymać jej spojrzenie, ale udało mu się to przynajmniej przez chwilę, aż wreszcie spuścił wzrok, żeby przyjrzeć się jej sukni. Zdał sobie sprawę, że ma na sobie jedną z jego ulubionych – sam ją kupił w Paryżu, w sklepie przy rue Madelaine. Zawsze uważał, że jego żonie jest świetnie w kolorze kobaltowym, szczególnie kiedy chodziło o suknię z lejącego się jedwabiu. Oczy Siergieja przebiegły po gęstej koronce, która stanowiła obramowanie dekoltu, podkreślała talię i znaczyła mankiety rękawów na wysokości przegubów. Choć trudno mu było to zrozumieć, wiedział, że ubrała się specjalnie dla niego, a nie na przyjęcie z generałem de Gaulle'em.

Nienawidził jej i kochał jednocześnie, nie wiedząc, na którą ze skrajności ma się zdecydować.

– Mówię ci tylko, żebyś uważała.

– Powiedz mi, że jesteś szczęśliwy, a zniknę z twojego życia. Przysięgam ci – powiedziała, czując ból w piersiach na myśl o tym, ile ryzykuje, składając takie przyrzeczenie. – Ale powiedz to, patrząc mi w oczy.

– Uspokój się – odpowiedział ostrym głosem. – Zawsze jesteś taka sama. To już się robi naprawdę śmieszne.

– Siergiej, powiedz mi to i pójdę sobie. Nie mogę ci już tego bardziej ułatwić – nalegała Lina. Przez chwilę myślała, że rzeczywiście to powie albo wręcz przeciwnie, stwierdzi coś zupełnie innego. Oczekiwanie ją zabijało.

– Przestań chodzić po ambasadach. Przestań się spotykać z cudzoziemcami. Siedź w domu i nie dawaj powodów do plotek.

– Nie, Siergiej. Nie masz już nade mną żadnej władzy. Nie możesz mi niczego zakazać, ani ty, ani twoi przyjaciele. Jestem wolna. Pamiętasz jeszcze, co to słowo znaczy?

– Będiesz tego żałować, a ja nie dam rady nic zrobić.

– Nigdy nie dawałeś rady nic zrobić.

Chciała odejść, ale Siergiej znów chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Stanęli twarzą w twarz, dzieliły ich centymetry.

– Rozmawiamy po raz ostatni. Nie chcę cię widzieć nigdy więcej. I patrzę ci w oczy. – Pierwszy raz przeraziła ją gwałtowność zachowania Siergieja. Wydawało się, że on traci kontrolę nad sobą. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że za każdym razem, kiedy cię całowałem, czułem się jak cudzołożnik, bo zdradzałem swoją prawdziwą miłość, Mirę Mendelson. Teraz to wiem. Moje życie było pozbawione sensu do czasu, kiedy zjawiała się ona i je wypełniła. Dopiero teraz rozumiem, jak jałowa była moja egzystencja, jeśli nie liczyć pracy. To ci wystarczy, żeby zniknąć z mojego życia?

Lina patrzyła, jak nie tylko zostawia ją, ale i wychodzi pospiesznie z ambasady, z nikim się nie żegnając. Potrzebowała kilku minut, żeby pozbierać się po tym, co usłyszała. W tym krótkim czasie, kiedy była w stanie jedynie kiwać się jak lunatyczka, dźwięczały jej w głowie słowa krytyka muzycznego Leonida Sabaniejewa, opublikowane w grudniu 1916 roku w rosyjskim dzienniku „Wiadomości Sezonowe” i dotyczące Siergieja Prokofiewa. Zdołały go one rozwścieczyć: „Prokofiew ma duszę tylko wtedy, gdy gra. Przez resztę czasu jego dusza jest z kamienia”.

Po przyjsciu do hotelu Siergiej wpadł w szał, całkiem stracił panowanie nad sobą. Spotkanie z Liną naruszyło jego wypracowaną – sztuczną, ale wygodną – równowagę, obejmującą też spokojne sumienie i życie bez wstrząsów. Znów ją zobaczył i wytrąciło go to z owej równowagi bardziej, niż się spodziewał. Umysł wciąż bombardował go dzikimi sprzecznościami, które wpychały go do czarnego narożnika, choć zupełnie nie miał ochoty do niego wracać. Musiał odzyskać kontrolę, harmonię utraconą z tego powodu, że znów stanął przed nią...

Następnego dnia zwrócił się do Liny i chłopców, żeby mu oddali pewne przedmioty osobiste, takie jak książki, ubrania, nagrania, obrazy. Poprosił nawet o bieliznę

pościelową oraz biurko, przy którym komponował, kiedy jeszcze był w domu.

Zadanie dostarczenia Siergiejowi do hotelu rzeczy, o które prosił, spadło na Frosię. Nie była z tego zadowolona.

– Niech pan zapomni o biurku. Pana dzieci będą musiały się uczyć i pracować przy jakimś meblu. Czy może pan chce, żeby to robiły na podłodze? – Głos Frosi brzmiał całkiem serio. – I przykro mi, że nie mogłam panu dostarczyć niebieskiego forda, chociaż pan o niego nie prosił. Zabrali go pańscy przyjaciele z NKWD. Lina próbowała wszystkimi sposobami przekonać ich, żeby go nie zabierali, ale w końcu jej powiedziałam: „Jeśli oni go nie wezmą, przyjdzie po niego Prokofiew, więc lepiej niech to załatwią między sobą, są tacy sami”.

Frosia zdawała sobie sprawę z tonu, jakim mówi, i z wagi oskarżenia, które formułuje.

– Nie ma pani prawa tak do mnie mówić.

– Nie powie mi pan chyba, że był pan dla swojej rodziny aniołem stróżem? Czy i w tej sprawie zmienił pan zdanie? Poza tym mam takie samo prawo, jak pan miał, kiedy porzucił pan rodzinę, a teraz chce jej odebrać resztkę tego, co jej zostało, co udało im się wybronić własnymi pazurami i zębami, kiedy pan i... – zamilkła nie z grzeczności, ale po to, żeby lekko skłonić głowę na widok Miry siedzącej w głębi hotelowego pokoju. – Jak mam ją nazwać?

– Dość tego. Nie pozwolę pani...

– Pan nie ma żadnej władzy, żeby mi na coś pozwalać albo nie pozwalać. Niech pan bierze – powiedziała, stawiając na podłodze dwie torby z jego rzeczami. – Jedno panu powiem: niech panu nie przyjdzie do głowy przyjść po pianino albo prosić mnie, żebym je dostarczyła.

– Nie zamierzałem prosić Liny o pianino. Wolę, żeby zostało u niej, by mogła z niego korzystać w czasie prób... – odpowiedział, jakby poczuł się winny, prosząc o swoją własność.

– Cóż za szczodrość z pana strony. – Frosia nadal mówiła z ironią w głosie i nie zamierzała zmieniać tonu. Od trzech lat czekała na ten moment, żeby móc mu powiedzieć, co myśli. – Cieszę się, bo pianino też zabrali, chociaż Lina odzyskała je parę tygodni temu. Widzi pan, jak to jest w życiu: ona odzyskuje rzeczy, a pan je traci.

– Czy ona wciąż śpiewa? – spytał Siergiej, trochę nieśmiało, trochę z troską, jakby się bał, że ktoś inny w pokoju zdoła to usłyszeć.

– Jeśli chce pan to wiedzieć, niech ją pan zapyta – powiedziała Frosia z poczuciem, że nie jest już w wieku, w którym przystoją jej takie zabawy nastolatków. Ale jednak odpowiedziała Siergiejowi. – Tak. Wciąż śpiewa. I to bardzo dobrze. Czy to wszystko?

Widząc, że Siergiej lekko skinął głową, zrobiła pół obrotu i rzuciwszy lakoniczne „do widzenia”, ruszyła do drzwi.

– Frosiu!

Zatrzymała się, słysząc okrzyk Siergieja, i wróciła na poprzednie miejsce. Przez kilka chwil patrzyli na siebie. W końcu Frosia powiedziała, że jeśli Siergiej ma do niej jakąś prośbę, to niech powie, o co chodzi, bo jest bardzo zajęta. Siergiej wszedł do przyległego pokoju, nie zamykając drzwi, otworzył szufladę komody i wyjął z niej

kopertę, którą wręczył swojej dawnej gosposi.

– Mogłaby pani dać to moim synom? To bilety na premierę *V Symfonii* do Konserwatorium Moskiewskiego.

– Pana synom? – spytała Frosia, przekonana, że adresatem zaproszeń miała być inna osoba. Ale wolała nie zmieniać biegu rozmowy. – Nie ma problemu. Oddam im.

Kiedy wiedziała już, że znalazła się poza polem widzenia Siergieja, otworzyła kopertę. Naliczyła trzy bilety. Uśmiechnęła się w duchu.

– Albo zapomniał, że ma dwóch synów, a nie trzech, albo chce, żeby pani poszła – powiedziała Linie po powrocie do domu.

Po raz pierwszy od dawna zobaczyła to szczególne światło w oczach pani Prokofiew – bo tak ją wciąż nazywała, podobnie jak wszyscy inni, mimo wysiłków Siergieja, żeby przekazać jej miejsce Mirze.

Lina modliła się, żeby zdarzył się cud, choć wiedziała, że w ostatnich czasach cuda należą raczej do rzadkości.

Los zrządził, że premiera nowego utworu Prokofiewa zbiegła się z wielkim zwycięstwem Armii Czerwonej, odniesionym 13 stycznia 1945 roku<sup>35</sup>. Z tego powodu trzeba było opóźnić o kilka minut rozpoczęcie koncertu, aż ustanie bicie dzwonów na cześć triumfujących wojsk radzieckich. Prokofiew czekał cierpliwie na środku sceny, kiedy zapadnie cisza. Lina chwyciła i lekko ścisnęła synów za ręce, tak jak to robiła z Siergiejem przed każdą premierą. Obaj odwzajemnili jej uścisk. Światosław po raz pierwszy od długiego czasu znów odczuwał dumę z ojca. Był w pełni szczęśliwy, widząc go w tym miejscu, ubranego w elegancki frak, odzyskując jego dawny obraz, który towarzyszył mu przez tyle lat: obraz ojca wychodzącego z domu w wieczór premiery i wracającego kilka godzin później, szepczącego i chichoczącego z matką, żeby nie obudzić dzieci... Znów widział, jak poruszają się jego ramiona dyrygujące muzyką, która spływa z instrumentów i wywołuje emocje słuchaczy – i czerpał z tego satysfakcję, którą każdy syn powinien czuć na widok swojego ojca. Od dawna już nie słuchał muzyki tak wesołej i tak pełnej optymizmu, tak autentycznej, wyrażającej w tak otwarty i bezpośredni sposób radość życia. Według słów samego Prokofiewa, wypowiedzianych rano tego samego dnia w radiu, był to „hymn na cześć człowieka wolnego i szczęśliwego”.

Po koncercie nie doszło do spotkania ojca z synami, podobnie jak nie doszło do spotkania rodziców chłopców. Ale nie było to potrzebne. Liną znów targały gwałtowne uczucia, jak zawsze, gdy geniusz dzielił się swą muzyką ze słuchaczami. Niemniej brakowało jej kontaktu z nim samym, tego, żeby to jej słowa były ostatnimi, jakie usłyszy, wchodząc na scenę, i pierwszymi, które słyszy, schodząc z niej, żeby to jej opinia się liczyła, żeby to jej oczu szukał pośród oklasków i z nich dowiadywał się, czy wieczór jest sukcesem, czy porażką, żeby razem świętowali po premierze i w końcu we dwoje wrócili do domu. Tęskniła za ich wspólnym życiem i nie wiedziała, jak je odzyskać.

– Dlaczego wszystko musi być takie trudne? – łkając, pytała Frosię, która też nie potrafiła powstrzymać płaczu.

– Bo zawsze musimy wszystko skomplikować, chociaż rzeczywistość jest dużo prostsza. I dlatego, że inaczej byłoby za łatwo.



V *Symfonia* okazała się wielkim sukcesem. Za nim poszły pochlebne recenzje z filmu *Iwan Groźny*, do którego Prokofiew skomponował muzykę na zlecenie reżysera, Siergieja Eisensteina, kiedy obaj byli ewakuowani do Alma Aty. Ze względu na złożoność całej historii komponowanie zajęło mu ponad trzy lata. Dotarła do niego plotka, że sam Stalin – pamiętający sukces ścieżki muzycznej *Aleksandra Newskiego* – zażądał, żeby to właśnie Prokofiew zajął się muzyką do nowego dzieła Eisensteina. Wszyscy wiedzieli, że ten film cieszy się osobistym zainteresowaniem radzieckiego przywódcy, któremu sprawiało przyjemność porównywanie się z pierwszym carem Rusi, Iwanem IV Wasiliewiczem. Dyktator był tak zadowolony z efektów pracy twórców filmu, że bez wahania kazał przyznać im Nagrodę Stalinowską.

Rok 1945 był dobry dla Prokofiewa, jakby starcie z Liną w Ambasadzie Francuskiej w Moskwie podczas przyjęcia na cześć generała de Gaulle'a przyniosło mu szczęście. Wiele jego dzieł skomponowanych podczas pobytu w miejscu ewakuacji miało teraz swoje premiery i było witanych dobrymi recenzjami.

Lina zachwycała się *VII Sonatą*. Dzierżanowski stał się świadkiem jej nagłego zmysłowego zapamiętania – jednego z tych, jakie często przytrafiały się kobiecie domagającej się, by nadal nazywać ją małżonką Prokofiewa.

– Słyszałeś finałowe akordy? Nie pozwalają pianaście nawet odetchnąć. Musi mieć nadgarstki z żelaza, żeby coś takiego zagrać bez odpoczynku. Cóż za siła! A jak zamyka się ta sonata końcowym *fortissimo*. Słyszałeś? – Lina emocjonowała się muzyką, której właśnie wysłuchiwała. – Zawsze umiał pisać wielkie finały.

– Nie zawsze – rzucił Dzierżanowski.

Nie trzeba było nic dodawać.

Choć przy okazji premier Lina nie zasiadała w pierwszych rzędach, nie przestała bywać na ważnych wydarzeniach kulturalnych i chodziła na wszystkie możliwe koncerty, włącznie z występami Prokofiewa. Zwykle towarzyszyli jej synowie, Dzierżanowski – którego towarzystwo szczególnie lubiła, bo jego znajomość muzyki umożliwiały ciekawe rozmowy po koncercie – albo któraś z przyjaciółek. Mogła to być aktorka Warwara Massalitinowa albo brytyjska urzędniczka Anna Holdcroft. Ale na premierę *Kopciuszka*, 21 listopada 1945 roku w teatrze Bolszoj, przyszła z nieznanym jej przyjaciołom mężczyzną.

Wystawienie *Kopciuszka* wstrzymano z powodu niemieckiej inwazji, co mocno zdenerwowało kompozytora. Czterdzieści dziewięć dni po oficjalnym ogłoszeniu końca drugiej wojny światowej balet można było wreszcie wystawić na scenie teatru Bolszoj. Zadawano sobie pytanie, czy Prokofiew zdoła przebić własny sukces, który odniósł kiedyś jego balet *Romeo i Julia*. Nikt nie chciał przegapić premiery. Kto tylko znaczył cokolwiek w kulturalnym, politycznym czy towarzyskim świecie Moskwy, zajmował fotel w wypełnionym po brzegi teatrze.

Koncert ani trochę nie rozczerował. Lina знаła swojego męża i była pewna, że z baletu narodzą się też suity symfoniczne i kompozycje na fortepian. I nie pomyliła się. Także tym razem nie podeszła do Siergieja, żeby się przywitać. Wszystko stało się całkiem jasne po przyjęciu na cześć generała de Gaulle'a, a ten wieczór szczególnie nie sprzyjał takim gestom, bo była w towarzystwie. Nawet nie zdołała zauważyć Siergieja

pośród tłumu gości, którzy tłoczyli się w holu. On za to ją dostrzegł. Zobaczył ją z daleka, ale to nie ona przyciągnęła jego uwagę, lecz wysoki, elegancki i przystojny mężczyzna u jej boku. Nie przypominał sobie jego twarzy. Nie był to nikt z jego gości. Siergiej zadawał sobie pytanie, kim może być ten tajemniczy towarzysz Liny i co tu z nią robi. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że przygląda mu się dłużej, niż wypada, kiedy usłyszał głos swojego przyjaciela, Miaskowskiego.

– Czy nie tego sobie życzyłeś? – spytał Siergieja, zgadując jego myśli. – Robi to, o co ją prosiłeś. Zapomina o tobie. – Miaskowski nie przejmował się tym, że jego rozmówca nic mu nie odpowiada. Wiedział doskonale, jakie myśli tłuką mu się po głowie, i postanowił udzielić przyjacielowi informacji, której tamten potrzebował. – Nazywa się George Vanden, jest trzecim baronem Derwent, ma pieniądze i pozycję. Co ważniejsze, jest wolny i szuka nowej miłości. Gdyby jeszcze tego wszystkiego było mało, pisze poezje. Mam nadzieję, że odpowiedziałem na niektóre z twoich pytań, których nawet nie odważyłeś się zadać.

Tego wieczoru, po powrocie do domu, Siergiejowi przytrafił się groźny upadek. Nigdy się nie wyjaśniło, czy był to przypadek, czy konsekwencja silnego bólu głowy, przez który stracił równowagę, ponieważ sam uszkodzony nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Towarzyszące upadkowi uderzenie było silne, dramatyczne i wywołało wstrząśnienie mózgu, z powodu którego Prokofiew nie był w stanie pracować przez kilka miesięcy. Jedyne, co pamiętał, to jakieś wizje, które mąciły jego myśli na chwilę przed feralnym upadkiem; pojawiały się wśród nich słowa, które kiedyś wypowiedział o swoim dziele – *Kopciuszk*: „Każdy Kopciuszek potrzebuje swojego księcia”. Pamięć podsuwała mu też wspomnienie o wyznaniu złożonym Linie tego lata, które spędzali osobno – on w Kisłowodzku, ona w Soczi: „Zawsze będziesz moim Kopciuszkiem”.

Tajemniczy partner Liny – choć nie obnosił się z tym oficjalnie – pojawił się w jej życiu kilka miesięcy wcześniej. To Anna Holdcroft doprowadziła do tego spotkania w trakcie przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej.

– Chciałam ci przedstawić znajomego. Nazywa się George Vanden, jest trzecim baronem Derwent i na pewno będziesz nim zachwycona. To szanowany dyplomata, lubi poezję i sam ma talent do pisania wierszy. Nie tylko jest bardzo przystojny, ale ma maniery, których się dzisiaj nie spotyka, szczególnie tutaj.

– Anno, daj spokój, wiesz, że nie chcę...

– Nie proszę cię, żebyś za niego wyszła, tylko go poznała. Poza Prokofiewem też istnieje życie, Lino. Im wcześniej to zrozumiesz, tym będzie lepiej dla wszystkich.

– Nie jestem gotowa.

– Więc lepiej się przygotuj. Nie jesteś już dzieckiem. – Anna roześmiała się z tych słów wypowiedzianych niemal odruchowo i ucieszyła się, że jej przyjaciółka również przyjęła je na wesoło. – Wybacz, ale wściekam się, kiedy widzę, że wciąż jesteś zakochana w zjawie, która na dodatek utraciła cały dawny czar. I nie gniewaj się, ale doprowadza mnie też do szału, że tak piękna i inteligentna kobieta jak ty krzywdzi samą siebie i wciąż żyje samotnie tylko dlatego, że jakiś mężczyzna kompletnie zwariował.

– No dobrze, niech będzie. Ale zgodzę się go poznać tylko po to, żeby już cię więcej nie słyszeć. Nie mów potem, że cię nie uprzedzałam.

Anna zapomniała jej powiedzieć, że ten mężczyzna, wykazujący niezaprzeczalny spokój i opanowanie – jak wszyscy absolwenci Uniwersytetu Oksfordzkiego – jest wdowcem, który przed sześciu laty stracił żonę i od tej pory poszukuje miłości innej kobiety. A Lina prezentowała się jako idealna kandydatka. Jej przyjaciółka nie pomyliła się natomiast w jednym: rzeczywiście chodziło o mężczyznę pełnego niezwyklej galanterii, jednego z tych, co to przepuszczają kobiety w przejściu, otwierają przed nimi drzwi i zawsze wysuwają dla nich krzesło przy stole, żeby mogły wygodnie usiąść. Ale największą przyjemność sprawiała Linie jego umiejętność prowadzenia rozmowy na każdy temat. George Vanden był człowiekiem otwartym, radosnym, umiejącym cieszyć się życiem, ale nie bezmyślnym, jak dorastający młodzieniec, tylko dojrzałym, jak ktoś, kto przeżył już wiele i pragnie robić to dalej. Korzystał ze swojej wysokiej pozycji i żył – nawet w Moskwie – na odpowiadającym jej poziomie. Nie wiedział, jak długo zostanie w radzieckiej stolicy, ale też nie snuł obsesyjnie planów, które potem trzeba by skrupulatnie realizować. Znał Linę, wiedział, jaka jest jej sytuacja osobista i zawodowa; stało się oczywiste, że go pociąga, co okazywał z ogromną kulturą, która go cechowała. Życie dyplomaty sprawiło, że miał za sobą pracę w Brukseli, Warszawie i Madrycie, mogli więc szybko znaleźć nić porozumienia już podczas pierwszych rozmów.

Widywali się przy różnych okazjach. Dobrym miejscem do spotkań było kino, dużo lepsze niż stolik na uboczu w restauracji, choć i w takich miejscach się umawiali. Zwykle przychodzili osobno. George zostawiał jej w kasie bilet na swoje nazwisko, a kiedy światła w sali projekcyjnej gasły, przechodził w odpowiednie miejsce i siadał obok niej. Obojgu sprawiało przyjemność, kiedy ich dłonie się spotykały, korzystając z mroku, ale ciążąca na nich presja środowiska była zbyt wielka i woleli nie dawać powodów do plotek na swój temat. Każde z nich czuło się swobodnie w towarzystwie drugiego, choć George wprowadzał w życie rozmaite strategie, dzięki którym mieli nie być widziani razem w niezręcznych lub dwuznacznych sytuacjach. Nie przeszkadzało mu, że musiał długo kluczyć autem, żeby odebrać skądś Linę, zostawiał ją przy wejściu do stacji metra i sprawdzał, czy wsiada do wagonu, nie będąc przez nikogo śledzona. Nie potrafili pozbyć się dziwnego uczucia, że są nieustannie obserwowani, ani też wrażenia, że czyjeś oczy wpatrują się w ich plecy, rejestrując działania i ruchy obojga. Niemniej nie zamierzali pozwolić, żeby lęk odebrał im możliwość wspólnego przeżywania przyjemnych chwil; z humorem reagowali na trudności, przed którymi stawali.

Czasami wydawało im się, że wpadają w paranoję, że widzą zjawy tam, gdzie nikogo nie ma. Ale byli przecież w Związku Radzieckim, stąpali po moskiewskiej ziemi i mężczyźni próbujący się kryć za rozłożonymi płachtami „Prawdy”, wsiadający do tramwajów, przechodzący na drugą stronę ulicy, zmieniający gwałtownie kierunek albo przystający przed sklepowymi witrynami w poszukiwaniu odbicia śledzonej osoby – wszyscy ci mężczyźni nie byli przecież ich wymysłem. Lina była pewna, że jest śledzona. Przekonała się o tym, kiedy dwukrotnie rozpoznała koło siebie tego samego człowieka. Raz było to w wagonie metra, drugi – przy wyjściu z kina, do którego przysła z George'em. Przestała już wierzyć w przypadki. W mieście, w którym w oknach Łubianki co noc świeciło się żółtawe światło, gdzie ludzie porozumiewali się szeptem, gdzie ojcowie znikali równie łatwo jak synowie i gdzie nowe, nieznanne do niedawna

nazwy, takie jak Workuta, Karaganda, Kołyma czy Kotlas, trafiały na stałe do słownika towarzyskich rozmów – w takim mieście przypadki były czystą fikcją.

Śledzili ją, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Pytanie tylko po co.

George był mężczyzną doskonałym. Rozprowaiał o wyzwaniu się Velázquezem – na przykładzie *Poddania Bredy* – spod wpływu Caravaggia, jeśli chodzi o techniki operowania światłem, albo o impresjonizmie Maneta z taką samą naturalnością, z jaką mówił o ostatnim hollywoodzkim filmie, który był pokazywany w Moskwie i na który zdobył właśnie wejściówki dzięki statusowi brytyjskiego dyplomaty. Czytał wiersze wielkich poetów, od czasu do czasu pisał także własne. Lina była bardzo przejęta, kiedy dostała od niego egzemplarz książki z jego poezją, zatytułowanej *Before Zero Hour*<sup>36</sup>, wydanej w 1946 roku. Zadeedykował jej ten egzemplarz z miłością, którą przy tym wyznał. Pisał z wdziękiem i szczerością, tak samo jak się jej przyglądał. Był zabawny, sympatyczny, kulturalny, przystojny, a na dodatek zakochany w niej i gotów uczynić z niej swoją żonę. Zależało mu na stworzeniu nowej rodziny i chciał tego dokonać z tą właśnie Hiszpanką. Miał wszystkie cechy, o których mogła marzyć kobieta, wyobrażając sobie towarzysza życia. Co więcej, mogła się z nim wiązać wyjątkowa możliwość, żeby ująć go pod ramię i uciekać gdzie pieprz rośnie. Wyjazd do Los Angeles wdowy po Afinogienowie, Jenny Marling, której Lina Prokofiew napisała list z rekomendacjami do studia Walta Disneya, też nie skłonił jej do zmiany planów. George mógł być tą wielką szansą. Wiedziała o tym. Ale znając radziecką rzeczywistość, nie można było mieć pewności, że to się uda. I coś stanęło na przeszkodzie. A właściwie ktoś – człowiek, którego powołaniem było iść z nią przez całe życie: choć od niej odszedł, nie chciał jej całkiem opuścić. Cień Prokofiewa był zbyt wielki i zanadto jej ciążył.

– Wiem, że mnie kochasz, i chociaż nie czujesz jeszcze do mnie tego, co czułaś do męża, obiecuję ci, że zrobię wszystko, żeby to uczucie rosło z każdym dniem. Pojedź ze mną, nic innego mnie nie obchodzi. Tylko pojedź ze mną i zacznijmy nowe życie – błagała ją George, kiedy została już wyznaczona data jego powrotu do Londynu.

Miał opuścić Związek Radziecki wiosną 1947 roku i nie chciał wyjeżdżać sam. Ale po Siergieju miłość w sercu i ciele Liny mogła istnieć jedynie w postaci platonicznego ideału. Wielokrotnie przeklinała się za to. Nienawidziła się, bo kochała wciąż to, co nieosiągalne, bo nie potrafiła odciąć kotwicy „bolszewickiego dziwadła”, które pojawiło się w jej życiu w 1918 roku, bo nie ceniła samej siebie na tyle, żeby zapewnić sobie możliwość nowego życia – u boku George’a, najidealniejszego z mężczyzn, których kiedykolwiek spotkała. A najgorsze było to, że podejmując taką decyzję, odcinała sobie możliwość uskarżania się na swój los.

Przez całe późniejsze życie wyrzucała sobie, że nie zgodziła się wtedy na propozycję małżeństwa z George’em, tak jak nie wybaczyła sobie, że wyjechała z domu wypoczynkowego w Kisłowodzku tamtego przeklętego lata 1939, kiedy w jej życiu pojawiła się Mira, żeby je zniszczyć. Żałowała odrzucenia oświadczeń George’a Vandena w takim samym stopniu, w jakim żałowała udzielenia Prokofiewowi swojego błogosławieństwa na powrót do Rosji w 1936 roku. Doszła do wniosku, że na jej życie znacznie silniej wpłynęły błędy, które popełniła, niż dobre, mądre decyzje.

Nieobecność George’a ciążyła jej jak kamień młyński. Pomyślała, że pójście na

premierę *Wojny i pokoju* Prokofiewa w teatrze Małym w Leningradzie w czerwcu tego roku pomoże jej zwalczyć poczucie osamotnienia, ale się pomyliła. Po raz pierwszy muzyka Siergieja nie ukoła jej pokrytej ranami duszy. Rany wciąż krwawiły. A to jeszcze bardziej wzmacniało jej żal i nasilało ból pokuty za to, że odwróciła się od własnego życia.

<sup>35</sup> Tego dnia wojska 2 i 3 Frontu Białoruskiego rozpoczęły tzw. akcję wschodniopruską, mającą na celu rozbitcie wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich.

<sup>36</sup> *Przed godziną Zero.*

– Co takiego!?

Jej krzyk słychać było w całym budynku przy ulicy Czkałowa. Lina właśnie się dowiedziała, że Siergiej Prokofiew opublikował list otwarty, w którym składa samokrytykę za swoją muzykę.

„Sztuka zachodnia ostatnich dziesięcioleci zrodziła w muzyce kult »czystej« formy i kunsztu technicznego, doprowadzając do radykalnego zubożenia mowy muzycznej, która straciła prostotę, zrozumiałość i harmonijność. (...) Obecność formalizmu w niektórych moich utworach tłumaczy się nie dość jasną świadomością tego, czego oczekuje nasz naród. (...) Będę szukał języka jasnego, zrozumiałego i bliskiego naszemu narodowi. I dziękuję Komitetowi Centralnemu Partii, że oddzielił w dziełach naszych kompozytorów zarażone tkanki od części zdrowej”.\*

Siergiej Prokofiew wraz z Szostakowiczem, Chaczaturianem, Popowem, Miaskowskim i Szebalinem zostali oskarżeni o to, że przejawiają w swoich utworach „szczególnie silne dążenia formalistyczne i tendencje antydemokratyczne, obce narodowi radzieckiemu i jego artystycznemu smakowi. (...) Taka muzyka silnie związana jest z duchem współczesnej, modernistycznej muzyki burżuazyjnej Europy i Ameryki, ilustrującej marazm tamtejszej kultury i zupełną negację sztuki muzycznej”\*\*. Tak głosiła rezolucja Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Pod adresem Siergieja padły w końcu te przeklęte słowa: wróg ludu. Oskarżenie sformułowano zaledwie kilka miesięcy po tym, jak przyznano Prokofiewowi tytuł Zasłużonego Artysty Ludowego. A więc nie wystarczyło pracować pod jarzmem stalinowskiej władzy, gloryfikować niekwestionowanego przywódcę, wychwalać jego heroizm, słać jego ideały w każdym utworze, każdą nutą, w każdym balecie, w każdej operze. Trzeba było oddychać uwielbieniem dla niego sekunda po sekundzie, oddać za niego życie, nigdy nie nużyć się powtarzaniem słów uwielbienia w mechaniczny sposób i bez przerw, jak bezrozumna maszyna, pozbawiona życia i własnego sądu. Prokofiew wszedł na teren bagnisty i niebezpieczny. Nie pierwszy raz zawisł nad nim cień podejrzenia i oskarżenia. Już w 1939 roku omal nie został z powodu swojego dzieła aresztowany, osądzony i kto wie, czy nie skazany na śmierć za zdradę. Teraz historia się powtarzała i nikt nie mógł go zapewnić, że znów będzie miał szczęście, jak przy pierwszym oskarżeniu o sprzeniewierzenie się ideałom rewolucji.

– Lino, to już nie jest twój problem – próbował ją uspokoić Dzierżanowski. – Wierz mi, kiedy mówię, że to już nie jest twój problem – powtórzył z naciskiem i uporem.

– Ależ tak, jest mój. Prosić o wybaczenie za swoją muzykę i przyrzekać, że będzie się pisać lepszą! Jakież to radzieckie! To absurdalna, tchórzliwa i głupia decyzja. Oczywiście, że to moja sprawa! – krzyczała, chodząc po salonie od ściany do ściany, bez określonego celu, niezdolna do zatrzymania się w bezruchu. Była wściekła, smutna, rozczarowana. – To przez nią, przez tę jadowitą żmiję, Mirę Mendelson. Ona go przekonała, żeby napisał to świństwo, upokarzając się i dewastując własną pracę. Gdybym ja z nim była, nigdy by takiej decyzji nie podjął.

– Nie sędzę, żeby była pani najodpowiedniejszą osobą, by krytykować absurdalne decyzje i oburzać się na ich konsekwencje – ofuknęła ją Frosia, która wciąż nie wybaczyła Linie, że ta odrzuciła propozycję George’a Vandena. Była skłonna jeszcze przez długi czas karać ją za to, za wypuszczenie z ręki takiej możliwości. Elementem kary była wiadomość, którą przyniosła Linie kilka dni wcześniej – o niedawnym małżeństwie barona Derwent z córką pracownika ambasady chilijskiej, Carmen Gandarillas.

– Cieszę się za niego. Wybrał właściwą osobę. – Lina powiedziała tylko tyle.

Kiedy Frosia usłyszała te słowa, wpadła w rozpacz i nawet nie próbowała tego ukryć.

Ale myśli Liny przestały już towarzyszyć George’owi Vandenowi, bo musiały się skoncentrować na Prokofiewie – o ile w ogóle kiedykolwiek przestawały się na nim koncentrować.

– Nie miał innego wyboru – próbował tłumaczyć Siergieja Dzierżanowski. – Albo to, albo skazanie na ostracyzm, na całkowitą muzyczną posuchę. I kto wie, co jest gorsze – powiedział, odnosząc się do intelektualistów i artystów, którzy skończyli w obozach, w więzieniach albo z kulą w tyle głowy za to, że nie dostosowali się w swoich dziełach do oficjalnej ideologii. – Przypomnij sobie, jak i gdzie skończyli Wsiewołod Meyerhold, Osip Mandelsztam i wielu innych. Siergiej właśnie uratował życie własne, a przy okazji także twoje i twoich synów. Jeśli go aresztują i skażą na gułag, wy będziecie następni, będziecie prześladowani przez resztę życia.

Publiczna skrucha uratowała Siergiejowi życie, ale nie zapobiegła poważnemu oskarżeniu o formalizm, a upokorzenie, które przy okazji przeżył, przygniotło niczym młyński kamień jego nową operę, *Opowieść o prawdziwym człowieku*, którą oceniono jako antynarodową i antymelodyczną. Partia oskarżyła go o wyszydzanie rzeczywistości radzieckiej. Były to niezwykle ciężkie ciosy dla Prokofiewa, którego gwiazda zaczęła przygasać akurat w czasie, gdy szwankowało mu zdrowie. Jego muzyka – z wyjątkiem kantaty *Powstań, ludu Rusi* – nadal była emitowana przez radio, nazwisko Prokofiewa zniknęło jednak z programów koncertów w dużych salach muzycznych. Opery, balety, symfonie i muzyka kameralna nie były wykonywane w teatrach, a wielu przyjaciół Siergieja na jego widok przechodziło na drugą stronę ulicy, żeby się z nim nie witać. Jeśli ktoś został nazwany formalistą i wrogiem ludu, nosił stygmat równoważny dzumie. Tak właśnie zachowaniem ludzi rządził strach, który skłaniał ich do zdrad. Siergiej doświadczył takiej zdrady ze strony przyjaciela i dawnego współpracownika, Borysa Asafiewa, który przyłączył się do oskarżeń formułowanych wobec Prokofiewa i Miaskowskiego. Ten ostatni nigdy mu tego nie wybaczył, nawet od Asafiewa leżącego na łożu śmierci nie przyjął przeprosin.

Lina towarzyszyła na odległość Siergiejowi w jego nowym cierpieniu, nie wiedząc, co mogłaby dla niego zrobić. Chciałaby się z nim spotkać, porozmawiać, podtrzymać na duchu – była pewna, że nie dostaje odpowiedniego wsparcia od Miry, dla której ważny nie był Prokofiew, tylko partia. Lina świetnie znała jej sposób myślenia. Nieraz widziała na własne oczy jego przejawy. Nie znosiła jej z całej duszy. Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie nienawidzić kogokolwiek bardziej, niż nienawidziła w tej chwili Miry. Ale pomyliła się.

Istniało coś znacznie bardziej poważnego, o czym jeszcze nie wiedziała. Właśnie to coś było prawdziwym powodem obecności Dzierżanowskiego w jej domu, a nie list z samokrytyką napisany przez Prokofiewa. Dzierżanowski uznał, że powinien jej przekazać tę wiadomość wśród innych nowin, bo nikt poza nim się na to nie odważy.

– Lina, usiądź. Jest coś, co powinnaś wiedzieć.

– Jeszcze coś?

– Jak dotąd jeszcze nic nie usłyszałaś – powiedział to wprawdzie ściszym głosem, ale bardzo wyraźnie. – Jest coś, co wydaje mi się dużo gorsze niż list Siergieja z samokrytyką.

Nie wiedział, jak zacząć ani czy powinien wpatrywać się w jej oczy, czy patrzeć w podłogę – nie przez wstyd, ale z powodu szacunku, jakim ją darzył. Wiedział, że to, co zamierza Linie zakomunikować, będzie miało na nią niszczycielski wpływ, i obawiał się jej reakcji. Skierował spojrzenie na Frosię, która przyglądała mu się niemal z takim samym przestachem jak Lina, ponaglając go tym spojrzeniem, żeby w końcu wydusił z siebie, co ma do powiedzenia.

– Chodzi o moich synów? – spytała przerażona.

– Nie, nie chodzi o twoich synów.

– O matkę?

– Też nie. Nie wiem o twojej matce nic poza tym, co mi opowiadasz.

– Jasna cholera, Władimirze! Mamy się bawić w zgadywanki? – wykrzyknęła Frosia, nie mogąc powstrzymać się od wybuchu.

Dzierżanowski nie wiedział już, jak przeciągać sprawę. Był świadom, że zachowuje się absurdalnie, ale jego ociąganie się darowało Linie dodatkowe sekundy szczęścia. W końcu nie było już wyjścia. Wziął głęboki wdech, żeby nie stracić głosu w połowie zdania.

– Siergiej Prokofiew ożenił się z Mirą Mendelson.

Odczekał kilka sekund, spodziewając się, że gdzieś w okolicy dojdzie do eksplozji złości. Ponieważ wybuch nie następował, podniósł wzrok, sprawdzając, czy adresatka tej ważnej wiadomości nadal jest w pokoju i czy oddycha. Nikt nic nie mówił. Wszyscy ograniczyli się do wzajemnego, milczącego obserwowania się. Lina szukała w spojrzeniu Dzierżanowskiego jakiejś wskazówki, że to wszystko jest żartem albo może absurdalną plotką, jedną z tych, które wydawały się rodzić gdzieś w miejskiej kanalizacji. Ale żadnej takiej wskazówki nie zobaczyła. Z trudem przesunęła się na środek salonu, gdzie chwyciła dłonią oparcie fotela i osunęła się na niego powoli, ostrożnie, jakby z lękiem, że może się potłuc jak szkło.

– Ale... To niemożliwe... – Próbowała odwołać się do jakichś pokładów logiki w głowie. Nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim spojrzeniem, w którą stronę je skierować. Pokój nagle zaczął wirować, żołądek też, skórę powoli skuwał mróz. – To niemożliwe. Wciąż jest moim mężem. Nie rozwiedliśmy się. To małżeństwo nie może być uznane za ważne. – Co chwila przecząco kręciła głową, jakby chodziło o jakiś nerwowy tik. – To, co mówisz, nie może być prawdą.

– Pobrali się prawie miesiąc temu, 15 stycznia 1948 roku. Poszli do urzędu stanu cywilnego na ulicy Pietrowka, żeby zarejestrować małżeństwo, i tam wydano im



zaświadczenie. To jest fakt, pobrali się.

– Ale jak mogli to zrobić? Przecież on złamał prawo. Czy w tym kraju dozwolona jest bigamia? – Wstała gwałtownie i podbiegła do stojącej w salonie komody, z której wyjęła arkusz papieru schowany w niebieskiej teczce zamkniętej cienkimi gumkami. – Popatrz, tutaj to jest wytłumaczone całkiem jasno. To dokument potwierdzający zawarcie naszego małżeństwa – powiedziała, pokazując zaświadczenie z rejestru stanu cywilnego w Ettal w Niemczech, z datą 8 października 1923 roku. – Skoro nie ulega wątpliwości, że wtedy się ożenił, ten obecny związek jest nieważny. To jest po prostu świstek papieru, nic niewart. Chcą mnie tylko skrzywdzić.

– Nie zamartwiaj się. Małżeństwo jest legalne, tak jak i poprzednie, twoje. Nie rozumiem tylko, jak mogli je zarejestrować bez wcześniejszego rozwodu. Ktoś musiał zadziałać w tej sprawie. Ktoś bardzo wysoko postawiony. Coś takiego można było zrobić tylko na najwyższych szczeblach, tam, gdzie jest prawdziwa władza. Tego by nie przeprowadził byle jaki urzędnik. To sprzeczne z przepisami.

– Mój Boże! – odezwała się nagle Frosia, jakby zobaczyła wchodzącego przez drzwi ducha. Lina i Dzierżanowski spojrzeli na nią, próbując odgadnąć powód tak gwałtownej reakcji. – Coś mi przyszło do głowy.

W umyśle Frosi pewne klocki zaczęły składać się w całość. Nie wiedziała, czy jest w tym jakiś sens, ale próbowała znaleźć wytłumaczenie tego, co stało się kilka dni wcześniej i czego wówczas nie opowiedziała Linie, żeby jej nie martwić. I tak była dość przybita po odrzuceniu propozycji George'a i jego wyjeździe z kraju. Frosia nie chciała niczego przed nią ukrywać, tylko czekała na właściwszy moment, żeby porozmawiać.

– Kilka dni temu syn mi mówił, że widział Prokofiewa na Łubiance. – Po tych słowach Frosi wyraz twarzy Liny się zmienił, a w jej spojrzeniu widać było oczekiwanie na dalsze wyjaśnienia. – Nie czas teraz na pretensje. Nie powiedziałam tego pani i tyle. Co by pani zrobiła? Jak panią znam, toby tam pani stanęła w drzwiach i zażądała informacji, co się z nim dzieje. A jak znam ich, toby panią wsadzili i teraz byśmy się zastanawiali, gdzie pani jest.

Po chwili Frosia ciągnęła dalej swoją opowieść.

– Prokofiew przyjechał na Łubiankę samochodem ojca Miry. Prowadził jego szofera. Według mojego syna spędził tam kilka godzin. Przez pewien czas mój chłopak bał się najgorszego, ale przecież ci, co tam zostają, nie są przywożeni służbowymi samochodami z szoferem. Wasilij nie miał jak się dowiedzieć o powodach tej wizyty. Powiedział mi tylko, że Prokofiew wyglądał na bardzo przygnębionego, przybitego, jakby go coś bardzo martwiło. Syn chciał do niego podejść i się przywitać, ale zastanowił się i zrezygnował. Wiedział, że to nie jest odpowiednia chwila, sądząc po zachowaniu Prokofiewa. Czy on tam poszedł, żeby spróbować załatwić sprawę rozwodu albo dostać zgodę na zarejestrowanie małżeństwa z Mirą? Ale gdyby tak było, to czemu by wychodził taki przybity? Dziwne to wszystko...

Lina nic nie odpowiedziała. Wstała gwałtownie, jakby przez jej ciało przebiegł jakiś impuls elektryczny. Chwyciła płaszcz, klucze i wybiegła z domu. Frosia i Dzierżanowski nie byli w stanie za nią biec. Mogli tylko błagać niebiosa, żeby Lina nie zrobiła jakiegoś głupstwa, które jeszcze bardziej skomplikuje sytuację.

Przez ponad trzydzieści minut Lina maszerowała szybkim krokiem po moskiewskich ulicach. Mogła złapać taksówkę albo wybrać metro, ale wolała wystawić twarz na działanie lodowatego wiatru. Może uniknie w ten sposób omdlenia, którego już kilka razy w różnych sytuacjach się obawiała. Chciała zebrać myśli, i to szybko. Musiała rozumować jasno, żeby zadać wszystkie niezbędne pytania, kiedy już dotrze do celu. Drogę znała świetnie. Szła nią wielokrotnie, ale nigdy nie targały nią przy tym takie wątpliwości, gorycz i poczucie bezsilności. Weszła przez główne drzwi gmachu, nie odpowiadając na przywitanie osoby kontrolującej wszystkie przyjścia i wyjścia. Nie zastanawiała się nawet, dlaczego wpuszczono ją do środka, skoro nie należała już do tutejszej społeczności. Odrzuciła możliwość wjechania windą. Wspinała się po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, aż w końcu prawie bez tchu dotarła na czwarte piętro. Odszukała numer mieszkania, w którym – jak pamiętała – mieszkał najlepszy przyjaciel jej męża, Nikołaj Miaskowski, i zaczęła stukać w drzwi. Dość szybko otworzył jej zdumiony Nikołaj. Zobaczywszy Linę, zareagował zamknięciem oczu i głębokim westchnieniem, w którym było więcej współczucia niż niechęci wywołanej nieoczekiwaną wizytą. Spodziewał się jej zresztą od miesiąca. Zrozumiał, że do Liny dotarła już wiadomość o ślubie. Musiało się to w końcu stać. Nie miał moralnych podstaw, żeby cokolwiek mieć jej za złe. Zaprosił ją do środka. Na nic zdały się wszelkie wstępy i propozycje herbaty czy kawy, żeby uspokoić nastrój. Lina przyszła po szczegóły, wyjaśnienia, a nie po magiczne napoje. Żądała prawdy.

– Tak, to prawda, wzięli ślub. Ale ja ci nie potrafię wytłumaczyć, co się wydarzyło, bo tego nie wiem. Myślę też, że bez większego trudu możesz to sobie wyjaśnić sama. Wiesz już, jak wyglądają sprawy w tym kraju. Nasz system sądowniczy nie słynie szczególnie z przejrzystości ani z poszanowania prawa. Ktoś z góry chciał, żeby mieli formalny ślub, i pewnie załatwił, żeby tak się mogło stać. I nie wdawano się w legalistyczne rozważania. Ale nie prosź mnie, żebym ci powiedział, jak to się odbyło, bo nie wiem. Też mnie to zdziwiło. – Miaskowski popatrzył na nią, podszedł i chwycił ją za rękę. Cenił tę kobietę, podziwiał ją i kochał, ale w tej chwili nie wiedział, jak mógłby jej pomóc. Jego przyjaciel wmanewrował go w niezręczną sytuację. – Nawet Siergiej się w tym pogubił, nie rozumiał tego, dalej nie rozumie! Wiedział, że wasze małżeństwo wciąż jest w świetle prawa ważne. W gruncie rzeczy wierzył, że skoro nie było rozwodu, nie może dojść do ślubu. Znam go bardzo dobrze, rozmawialiśmy o tym wiele razy. Nie chciał się żenić z Mirą, ale został do tego zmuszony. Mimo wszystko chciał to zrobić jak należy.

– Zrobić to jak należy? – powtórzyła Lina ze łzami w oczach, zapominając o całej wściekłości i poczuciu bezsilności, które się w niej nagromadziły w drodze z domu do mieszkania Miaskowskiego.

– Chodzi mi o to, że chciał cię prosić o rozwód, nie zamierzał zostawić cię w takiej próżni prawnej. Poszedł do sądu, ale tam mu powiedzieli, że wasze małżeństwo nie jest ważne, że jako zawarte za granicą nie figuruje w rejestrach konsulatu radzieckiego. – Widząc jej minę, Miaskowski próbował powstrzymać wzbierający w Linie napad wściekłości. – Wiem, wiem. Wiem, że zostało zarejestrowane, powiedział mi to Siergiej. Dzwonił nawet do pułkownika Ewalda, żeby to potwierdzić. To wszystko jest tak

absurdalne... Jemu też wydawało się szaleństwem. Chciał do ciebie zadzwonić, ale...

– To nie może być prawda. – Lina sprawiała wrażenie, że za chwilę oszaleje. – W którym momencie przestałam według nich być jego żoną? Witali mnie jako jego małżonkę, robili mi zdjęcia, wywiady, zapraszali mnie do radia, do teatrów, sadzali mnie przy nim na wszystkich spektaklach i przyjęciach, wciąż dostaję zaproszenia dla pani Prokofiew... Więc, do cholery, w którym momencie przestałam być jego żoną?

Miaskowski spojrzał na nią z bezsilnością w oczach. Nie wiedział, co powiedzieć, bo przecież nie było słów, które mogłyby sprawić, żeby poczuła się lepiej.

– Jeśli to cię ma pocieszyć, to powiem ci, że Siergiej nigdy się nie zastanawiał nad ślubem z Mirą.

– Nie, nie pociesza mnie to.

– Siergiej ma się nie najlepiej. Szwankuje mu zdrowie. Tego samego dnia, w którym... – Pomyślał, że lepiej będzie unikać słów „ożenić się” czy „wziąć ślub”. Spróbował więc raz jeszcze. – Kiedy wrócili z urzędu stanu cywilnego, zamknął się w łazience i tam zemdłał. Uderzył się w głowę. Od tego czasu jest osłabiony, ciągle zmęczony, ma problemy z sercem, ciśnienie mu niebezpiecznie skacze... Nie jest już taki jak dawniej.

– Oczywiście, że nie jest taki jak dawniej. I nie dlatego, że od paru dni jest mężem innej kobiety. W jakiej sytuacji to wszystko stawia mnie i moich synów? Nie mogę uwierzyć, że nie miał nawet odwagi, żeby do mnie zadzwonić.

– Nie chcę go usprawiedliwiać, ale...

– Jak na to, że nie chcesz, robisz to dość wytrwale – odpowiedziała Lina, przesycając swe spojrzenie goryczą tak silnie, jak tylko potrafiła. – A w którym momencie postanowiłeś przyłączyć się do tego zdrajcy i zostawić mnie na lodzie? Jak możesz patrzeć na tamtą tak, jak patrzysz na mnie? Jak może robić to twoja siostra? Dlaczego nie próbowałaś go powstrzymać, wybić mu z głowy tej absurdalnej idei? Nikołaj, po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, jak mogłeś mi to zrobić?

– To skomplikowane... – próbował się usprawiedliwiać, choć w jego głosie brzmiało poczucie winy.

– Nie, to nie jest skomplikowane. To jest niesprawiedliwe. Brudne. Okrutne. To jest... To jest wielkie kłamstwo. – Nie mając zamiaru żegnać się z gospodarzem, Lina skierowała się do drzwi. Ale przed wyjściem z mieszkania wróciła, żeby ponownie stanąć z nim twarzą w twarz. Miała jeszcze jedno pytanie do zadania. – Co Siergiej robił na Łubiance kilka dni przed ślubem z Mirą?

Pytanie zbiło Miaskowskiego z tropu.

– Nie miałem pojęcia, że tam poszedł. Nic mi nie powiedział. A po co tam był?

Lina nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi i z hukiem zatrzasnęła je za sobą. Na nic zdało się wołanie Miaskowskiego. Usłyszała już wszystko, co było do usłyszenia. Teraz został jej tylko płacz, własne myśli i szukanie najlepszego sposobu – jeśli w ogóle istniał jakiś dobry – przekazania nowiny synom i osobistego uporania się z nią. Wiedziała, że to będzie dla nich silny cios, szczególnie dla Światosława, którego impulsywnej reakcji się bała, chłopiec odziedziczył przecież charakter po matce. Żaden z synów nie darzył Miry szacunkiem, ich relacje były napięte, a jej nowy status u boku ich ojca wcale nie ułatwiał

sytuacji.

Nagle Lina zatrzymała się i usiadła na ławce, nie zważając nawet na to, że jest przysypana grubą warstwą śniegu. Chciała uspokoić oddech i odzyskać przytomność umysłu, ale nie potrafiła zapobiec temu, że wybuchła rozpaczliwym płaczem. „Siergiej, dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego mnie tak nienawidzisz? Co ja ci zrobiłam?” Zadawała sobie te pytania, nie znajdując odpowiedzi, która mogłaby ją uspokoić. Nagle zrobiło się ciemno, przynajmniej tak jej się zdawało. Była przemarznięta, jej ciało zaczynało dygotać, ale Lina wciąż nie mogła podnieść się z ławki. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła go. Stał przed nią, przyglądając się jej oczami żółtego koloru, w których płonęła jakaś tajemnica, jakieś sekrety, lęki czające się w mroku nocy, korzystające z ciemności. Gmach Łubianki dominował nad nią z tą samą wyższością, z jaką górował nad całym miastem. Ale tym razem jego widok nie przyprawił Liny o dreszcze ani o strach. Pochłaniało ją wciąż tylko jedno pytanie, zmieniające się w dziwną obsesję: „Po co poszedłeś na Łubiankę, Siergiej? Co zamierzałeś tam zrobić?”.

Nie pamiętała, by jakikolwiek luty był gorszy niż tamten w 1948 roku. Minęło dziesięć dni od czasu, kiedy dotarła do niej fatalna wiadomość. Ani Lina, ani chłopcy wciąż nie byli w stanie oswoić się z nową sytuacją. To wydawało im się całkowicie nierealne, jakby życie nagle stało się sztuczne, nieprawdziwe, jakby to był senny koszmar, z którego pragnęli się jak najszybciej obudzić. Ich wszechświat zamknął się wewnątrz jakiejś mgławicy, byli znieczuleni na wszystko, co działo się w realnym świecie. Jakby tego było mało, Lina przeziębiała się i miała wysoką gorączkę. Zapewne była to konsekwencja kilku godzin, które po wyjściu z mieszkania Miaskowskiego spędziła na ławce przy ponad dwudziestu pięciu stopniach poniżej zera. Wcześniej prawie nie wychodziła z domu, nie tyle zresztą ze względu na stan zdrowia, ile ze wstydu. Wydawało jej się, że będzie celem spojrzeń wszystkich przechodniów, przedmiotem złośliwych plotek. Sądziła, że na tym etapie świat musi już to wiedzieć: Lina przestała być panią Prokofiew. Niemniej postanowiła spotkać się ze swoją przyjaciółką, Anną Holdcroft, urzędniczką z ambasady brytyjskiej. Czuła potrzebę nieskrępowanego zwierzenia się komuś – nie mogła sobie pozwolić na ten luksus w towarzystwie synów, bo znosili swoją sytuację z tak wielkim trudem, że Lina nie chciała im jeszcze dokładać ciężaru matczynych łez.

Umówiły się w kawiarni, chcąc uniknąć ambasady brytyjskiej. Moment na spotkanie się tam nie był najlepszy. Właściwie ambasada nie cieszyła się sympatią bolszewików. Anna obsypała przyjaciółkę mnóstwem słów otuchy i pocieszenia. Lina była ich spragniona i spotkanie przerodziło się dla niej w prawdziwie wzmacniające przeżycie. Ale nie tylko po to postanowiły się zobaczyć. Za tydzień przypadały urodziny Swiatosława i Lina chciała zrobić coś szczególnego, żeby uczcić dwudziestą czwartą rocznicę pierworodnego. Wiedziała, że Anna – dzięki swoim kontaktom w ambasadzie – jest w stanie zdobyć cenną partyturę, którą Lina chciałaby podarować synowi i której, zdana na samą siebie, nie byłaby w stanie w Moskwie znaleźć. Umówiły się na kolejne spotkanie nazajutrz, 20 lutego, po południu. Anna zaproponowała, że przyjdzie do Liny na ulicę Czkałowa. Pozwoliłoby to Linie uniknąć wychodzenia z domu, co w związku z gwałtownym ochłodzeniem stanowiłoby dodatkowe zagrożenie dla jej i tak słabego

zdrowia.

Lina właśnie robiła sobie kawę, żeby się trochę wzmocnić, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzała na zegar. Anna była już parę minut spóźniona. Być może to ona dzwoniła, żeby przeprosić za spóźnienie. Z przyjemnością usłyszała, że człowiek po drugiej stronie linii – przedstawiający się jako pracownik poczty – zwrócił się do niej jako do Liny Prokofiew. Poinformował ją, że ma dla niej paczkę i że adresatka musi zejść na dół, żeby ją odebrać. Zupełnie jej się to nie uśmiechało i próbowała przekonać rozmówcę, żeby wszedł na górę, ponieważ ona nie czuje się najlepiej. Przy rozmowie obecny był Światosław.

– Mamo, chcesz, żebym ja zszedł? Ty się jeszcze bardziej przeziębisz.

Ale głos w telefonie nalegał, że Lina musi się zgłosić po przesyłkę osobiście. Pomyślała, że może w paczce jest prezent dla jej syna; przyszło jej nawet do głowy, że to Siergiej, mimo wszystko, przypomniał sobie o urodzinach pierworodnego. Zwalczyła lenistwo i postanowiła zejść na dół. Ponieważ nie wybierała się nigdzie daleko, założyła na sukienkę blezer z szarej wełny, który nosił zawsze Siergiej, kiedy był w domu. Zabrała też torebkę, klucze i nagle, kiedy już miała wychodzić, uświadomiła sobie, że coś jest z nią nie tak. Podbiegła do toaletki i przeciągnęła szminką po wargach. Światosław uśmiechnął się, kiedy ją zobaczył.

– Nie ma na ciebie siły, mamo.

– Synu, pewnego dnia zrozumiesz, że to wszystko pozory – powiedziała, wkładając szminkę do niedużej torebki.

Stając w bramie kamienicy, poczuła dreszcze. Skuliła się jeszcze bardziej w blezerze, który miała na sobie. Było bardzo zimno. Rozejrzała się po ulicy, spoglądając w obie strony. Z trudem przystosowywała wzrok do ciemności, która zawładnęła miastem wraz z nadejściem popołudnia. Zobaczyła dwóch zbliżających się mężczyzn. Kiedy ich kroki pokonywały odległość dzielącą ich od niej, Lina zauważyła stojący na rogu czarny samochód. Usłyszała odgłos włączanego silnika, a jednocześnie spostrzegła, że żaden ze zbliżających się mężczyzn nie trzyma w dłoniach paczki. Wszystko działo się dziwnie szybko.

– To ta? – spytał jeden z mężczyzn swojego towarzysza.

Tamten potwierdził ruchem głowy.

Nie miała czasu, żeby zareagować w jakikolwiek sposób. Tych dwóch wciągnęło ją gwałtownie do wnętrza czarnego samochodu. Rzucono ją na tylne siedzenie, ale, silnie popchnięta, wylądowała na podłodze auta. Mogła stamtąd zauważyć, że buty mężczyzn są czyste i błyszczące. Na tej podstawie doszła do wniosku, że ci dwaj nie należeli do łażących po ulicy i jeżdżących metrem czy autobusem za swoimi domniemanymi ofiarami.

– O co chodzi? Kim panowie jesteście? – pytała, nie otrzymując odpowiedzi. Mężczyzna siedzący obok kierowcy sięgnął po jej torebkę, zajrzał do środka i wyjął dokumenty.

– Pani na kogoś czekała, pani Prokofiew?

Lina miała w głowie mętlik, nie wiedziała, co się dzieje. Mężczyzna powtórzył pytanie, tym razem krzyżąc, co ją jeszcze bardziej dezorientowało.

– Tak, chyba tak – przyznała, myśląc o Annie. Nie zdawała sobie sprawy, że tym

samym wypowiada wyrok na siebie. – Kim panowie jesteście i dokąd mnie zabieracie?

– Niech się pani nie martwi. Niedługo się pani dowie.

Ledwo mogła się ruszać, ściśnięta na tylnym siedzeniu auta między dwoma mężczyznami. Ze swojego miejsca widziała przez okno samochodu, że mijają dworzec Kurski, jadą ulicą Prokowska i docierają do centrum Moskwy – знаła tę trasę prawie na pamięć, ponieważ wiele razy ją pokonywała. Kiedy zdała sobie sprawę, że wjeżdżają na plac Dzierżyńskiego, dostrzegła w otwierającej się perspektywie ogromny, szary gmach Łubianki. Serce Liny zaczęło łomotać, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi, tak jak i ona sama chciała wyskoczyć z jadącego samochodu. Za chwilę miała się w końcu dowiedzieć, co dzieje się za oknami, w których świecą się żółte, mdłe i chorowite światła.

Przekraczając stalową bramę, poczuła, jak staje się częścią czarnej legendy związanej z tym miejscem od czasów, kiedy było siedzibą Czeka – tajnej policji, przemianowanej później na GPU, które stanowiło z kolei część NKWD, czyli Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Jeszcze później nazwę zmieniono na OGPU, potem na Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego. Nazwa instytucji zmieniała się z biegiem lat, ale nie budynek i jego złowieszczą sławą.

Linę poprowadzono, popychając ją lekko, długimi, wąskimi i ciemnymi korytarzami do pokoju, w którym jakiś mężczyzna bezceremonialnie chwycił ją za rękę i pobrał odciski palców. Na nic zdały się jej prośby, wyjaśnienia, żądania, żeby ktoś wytłumaczył jej powód zatrzymania. W takim miejscu mówienie o prawach i obowiązkach było bezużyteczne. Kazano jej stanąć, w sukni i szarym wełnianym blezerze, które miała na sobie, pod ścianą, i zrobiono jej zdjęcia z profilu i *en face* – do umieszczenia w rejestrze karnym. Zdawała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazła, więc jej mina była poważna. Lina starała się nie okazywać strachu, a nawet patrzyła trochę wyzywająco. Rozzłościło to kobietę, która czekała, aby ją zaprowadzić w kolejne miejsce. Był nim ciemny i zimny, niezbyt duży pokój o intensywnym zapachu wilgoci i jeszcze czegoś cuchnącego, czego Lina nie była w stanie rozpoznać do chwili, w której spora ilość tej substancji wylądowała na jej skórze. Kiedy rozglądała się po pomieszczeniu, w którym się znalazła i na którego ścianach dostrzegła coś przypominającego kafle, towarzysząca jej kobieta chwyciła ją i zdarła z niej ubranie oraz buty. Lina nie miała nawet czasu, żeby poczuć wstyd spowodowany nagością w obecności obcej osoby. Kobieta obsypała jej ciało jakimś białawym proszkiem, skupiając się głównie na najintymniejszych miejscach. Kiedy przestała już zajmować się Liną, jakby była kukiełką – i nie pozostawiając żadnych wątpliwości, jak teraz będzie traktowana – wrzasnęła na nią, żeby przeszła na koniec korytarza. Lina zaczęła iść i poczuła pod bosymi stopami wilgoć, która stopniowo zmieniała się w małe kałuże. Zatrzymała się, kiedy głos funkcjonariuszki znów wwiерcił się w jej uszy. Wtedy też poczuła silny strumień zimnej wody spadający bezlitośnie na jej skórę. Kiedy zakończyły się czynności uważane prawdopodobnie przez władze Łubianki za mycie i dezynfekcję, ledwie miała możliwość strząsnąć z siebie pozostałą na ciele wodę, kiedy arogancka funkcjonariuszka zaczęła odrywać zatrzaski, guziki i kieszenie z sukni i blezera Liny, po czym zażądała od niej, żeby się natychmiast ubrała. Kiedy z kolei kobieta próbowała dobrać się do jej włosów, Lina odtrąciła ręką jej dłonie.

– Niech mnie pani nie dotyka – krzyknęła.

Wtedy po raz pierwszy w trakcie pobytu na Łubiance została spoliczkowana. Później tych policzków było tyle, że Lina straciła rachubę.

Przyprowadzono ją do kontuaru równie ponurego jak wszystko inne, co widziała dotychczas w tym budynku. Tam pozbawiono ją wszystkich innych należących do niej przedmiotów. Jakiś milicjant wysypał zawartość jej torebki do worka. Lina widziała, jak wpada tam mały guzik w kształcie liścia. Tym razem nie spełnił swojej funkcji skutecznego amuletu. Zaraz potem ten sam funkcjonariusz zdjął jej z przegubu zegarek i cienką złotą bransoletkę – prezent od Siergieja. Wszystko wylądowało w tym samym worku, wraz z paszportem i niewielką sumą pieniędzy, które miała w portmonetce. Było tego dwadzieścia dziewięć rubli i pięć kopiejek. Najbardziej ją bolało, że została pozbawiona obrączki.

Ucieszyła się, że straciła z pola widzenia niemiłą kobietę, która najwyraźniej czerpała przyjemność z wypełniania swojej obrzydliwej funkcji. Radość trwała krótko, bo Lina została wprowadzona do celi, w której ledwo mieściła się jedna stojąca osoba. Rozmiary tej dziupli nie pozwalały ani usiąść, ani uklęknąć, ani nawet się zgiąć. Musiała stać, choć sufit był tak nisko, że konieczne było lekkie zgarbienie pleców.

– To jakaś pomyłka. Ja nic nie zrobiłam. Muszę zadzwonić do synów. Muszę im powiedzieć, co się dzieje.

– Już się tym zajęliśmy.

– Ale muszę z nimi porozmawiać.

– Może mi pani wierzyć, że nie to będzie pani teraz potrzebne.

Po kilku minutach funkcjonariusz wrócił, przynosząc kawałek brudnego papieru, na którym Lina chciała napisać coś do synów; funkcjonariusz obiecał dostarczyć list do adresatów.

– Co ze mną będzie? Co się stanie? – zapytała człowieka, który odebrał od niej kartkę, złożył ją na troje, a następnie wsunął do niewielkiej brązowej koperty.

– Jest pani na Łubiance. Chyba nietrudno pani zrozumieć, dlaczego pani tu trafiła.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

Te słowa rozśmieszyły jej rozmówcę.

– Wszyscy to mówią. Gdyby to była prawda, nie znalazłaby się pani tutaj.

Lina została sama w dziurze, która nie pozwalała ruszyć się dalej niż o kilka centymetrów w prawo czy lewo. Była na granicy ataku paniki. Próbowwała krzyczeć z całych sił, ale nikt jej nie słyszał, a w każdym razie nie było żadnej reakcji. Chciałaby upaść na podłogę i pograć się w płaczu, ale wymiary celi nawet na to nie pozwalały. Próbowwała się uspokoić, oddychając miarowo. „Wszystko będzie dobrze. Nie mogą mnie tu trzymać. Nic nie zrobiłam” – powtarzała sobie. Cierpiała od zimna i wilgoci panujących w celi. Potrafiła myśleć tylko o synach. O Olegu i Światosławie. Zadawała sobie pytanie, co się z nimi dzieje.

Widząc, że matka długo nie wraca, Światosław założył płaszcz i postanowił jej poszukać. Chciał wierzyć, że zatrzymała ją jedna z sąsiadek, którą spotkała na schodach, ale wiedział, że matka nie ma zwyczaju wdawać się w pogawędki z kimkolwiek w kamienicy. Zaczął przewidywać jakieś kłopoty. Ledwo zszedł pół piętra w dół, natknął się na sąsiada, który w pośpiechu wspinał się w górę, w jego kierunku.

– Zabrali twoją matkę. Widziałem, jak jacyś mężczyźni wsadzili ją do czarnego samochodu.

Nie trzeba było żadnych dodatkowych szczegółów, żeby zrozumieć, kim byli ci, którzy ją uprowadzili, i dokąd pojechali. Światosław chciał jakoś reagować, nie wiedział jednak za bardzo, dokąd skierować kroki. Czuł, że trzeba coś zrobić, ale stan zamętu, w jakim się znajdował, ograniczał jego możliwość działania.

– Wszystko się działo szybko. Ulica była właściwie pusta – opowiadał dalej sąsiad.

Nie zdążył jeszcze skończyć zdania, kiedy obaj dostrzegli pięciu mężczyzn kierujących się w stronę mieszkania Prokofiewów.

– Światosław Prokofiew, syn Liny Prokofiew? – spytał jeden z mężczyzn. Po otrzymaniu potwierdzenia władcym gestem wskazał chłopakowi drzwi. – Proszę wejść do mieszkania.

Oleg próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie sytuacji w spojrzeniu starszego brata, którego twarz na pewien czas pokryła chorobliwa bladość. Tymczasem grupa intruzów zaczęła demolować mieszkanie Prokofiewów.

Szczegółowa rewizja trwała wiele godzin. Sposób wyrzucania na podłogę rozmaitych rzeczy, które napotykali na drodze, pasował raczej nie do milicjantów, ale do bandy rabusiów poszukujących czegoś cennego, co nada sens ich wysiłkom. Jednym ruchem opróżniali szuflady, otwierali szafy, wywalając z nich całą zawartość, podnosili materace, zrzucali ze ścian obrazy, nie zastanawiając się nad ich wartością, rozrywali walizki, tu i ówdzie odrywali klepki w podłodze i kafle w kuchni, a nawet futryny drzwi, plądrowali szafy i komody tak zawzięcie, że niektóre przy tym połamali. Wszystko leżało na podłodze: książki, fotografie, płyty, zeszyty nutowe, ubrania, ołówki, jedzenie przemieszane z mydłem i proszkiem do prania. W ciągu kilku godzin mieszkanie zostało przekształcone w chlew. Na koniec mężczyźni zabrali dwie maszyny do pisania – coronę i underwooda – cały stos leżących obok nich papierów, maszynę do szycia firmy Singer, książki poświęcone Chrześcijańskiej Nauce autorstwa Mary Baker Eddy, teczki z oryginalnymi partyturami Prokofiewa, a także pianino, które Siergiej zostawił Linie, żeby nadal ćwiczyła śpiew. Oleg próbował im to uniemożliwić i jeden z mężczyzn pchnął go mocno, aż chłopiec upadł na podłogę.

– Może chcesz iść z nami? – spytał go napastnik z ukrytą w głosie groźbą.

Światosław wkroczył między nich, przeprosił milicjanta i pomógł bratu wstać z podłogi, tłumacząc mu, że ma się uspokoić i pozwolić im zabrać, co chcą. Zrobiliby to tak czy owak. Chłopcy nie mogli temu zaradzić, wszelkie ich próby pogorszyłyby tylko sytuację. Kazano im stanąć w pewnej odległości od siebie i nie odzywać się, chyba że będą o coś pytani. Zdarzyło się to tylko parę razy, gdy chcieli wiedzieć, co jest nagrane na pewnych płytach gramofonowych i czy w domu są pieniądze. Przedmioty, które nie zostały zabrane – jak zeszyty, książki, wielotomowa encyklopedia, nagrania z koncertów obojga rodziców, płyty będące prawdziwymi muzycznymi perłami albo mające wartość sentymentalną, jak na przykład nagranie jednej z pieśni Juana Codiny, które Lina przechowywała, jakby to była sztabka złota – trafiły do worków, które złożono w jednym z pokojów. Opieczętowano go następnie różnymi stemplami, żeby nikt do tego pomieszczenia nie wchodził. Kiedy wydawało się już, że rewizja dobiega końca, zjawiała



się mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta o skwaszonym wyrazie twarzy. Patrzyła na chłopców przez kilka sekund, po czym zaczęła na nowo obchodzić i sprawdzać mieszkanie. Przechadzała się po nim wolno, oglądając bałagan zrobiony przez jej towarzyszy. Zatrzymała się przy jednym z obrazów zerwanych ze ścian. Było to dzieło Natalii Gonczarowej, które artystka podarowała rodzicom chłopców w trakcie jednego ze spotkań w letnim domu pod Paryżem, gdzie zwykł bywać jej mąż Michaił Łarionow, współpracujący z Prokofiewem przy różnych inscenizacjach Diagilewa. Nie zastanawiając się długo, kobieta chwyciła obraz i wyszła z nim z mieszkania. To ona wręczyła Światosławowi kartkę żółtego papieru. Była to kopia protokołu rewizji wyszczególniającego zarekwirowane przedmioty. Niemniej nie było w tym spisie ani obrazu, który właśnie został wyniesiony z mieszkania, ani biżuterii, którą jeden z funkcjonariuszy wyjął ze szkatułki Liny i włożył do kieszeni swojego płaszcza.

Kilka godzin później mężczyźni opuścili mieszkanie. Zanim wyszli, Światosław zwrócił się do jednego z nich.

– Gdzie jest moja matka? – spytał. – Dokąd została zabrana?

– To nie jest nasza sprawa – odpowiedział sucho funkcjonariusz i jako pierwszy wyszedł z mieszkania Prokofiewów.

Ten, który wychodził jako ostatni, robił wrażenie litującego się nad losem chłopców.

– Jest na Łubiance. Możecie iść do biura informacyjnego od ulicy Kuźnieckiej, chociaż dużo wam to nie da. Kiedy to będzie stosowne, zostanie wam przekazana odpowiednia informacja.

Zachęcony postawą funkcjonariusza Światosław zadał następne pytanie.

– Dlaczego ją zatrzymano? Nic nie zrobiła.

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie przez kilka chwil. W jego wzroku nie było surowości widocznej w spojrzeniach większości jego współtowarzyszy. Jednak nie odezwał się. Skierował się do drzwi wejściowych i wyszedł z mieszkania.

Oleg próbował zaprowadzić choć trochę porządku w chaosie, który zapanował w mieszkaniu i doprowadzał go niemal do płaczu. Światosław w tym czasie odszukał wśród porzucanych na podłodze papierów notes, w którym matka zapisywała większość swoich kontaktów. Zadzwoił do wszystkich figurujących tam ludzi, nie przejmując się późną godziną. Musieli jakoś pomóc matce. Nie opuścił ani jednego nazwiska, nie zwracał uwagi na funkcje i narodowość. Wszyscy, którzy byli przyjaciółmi Liny, zostali zawiadomieni: aktorzy, reżyserzy, kompozytorzy, politycy, poeci, aktorki, malarze, pisarze, urzędnicy ambasad. Wszyscy obiecywali zrobić co w ich mocy, choć wiedzieli, że da to niewiele albo praktycznie nic, poza spowodowaniem niebezpieczeństwa na nich samych. Ryzykowne było zainteresowanie czy próby wstawiania się za osobą aresztowaną, najprawdopodobniej wrogiem ludu.

Aresztowanie Liny Prokofiew wyglądało na element jakiegoś planu obmyślnego przez wyższe czynniki, podobnie jak oskarżenie Prokofiewa o formalizm czy jego przyspieszony ślub z Mirą Mendelson. A w Związku Radzieckim plany autorstwa niektórych osób ważyły tyle co stal w spojrzeniu Stalina, tyle co ołów w kuli pakowanej w tył głowy skazańca, tyle co żelazne wagony pociągów przemierzających Syberię

i kończących bieg u bram obozów. Plany Stalina ważyły tyle co plany Boga, przy czym te pierwsze były bardziej namacalne. Frosia jako jedyna stawiała się natychmiast w mieszkaniu Prokofiewów, nie słuchając apeli Światosława, żeby zaczekała do nadejścia dnia, bo przedświt nie jest najlepszą porą, żeby wędrować ulicami Moskwy. Dzierżanowski też zaproponował, że zaraz przyjdzie, ale w odróżnieniu od Frosi przyjął sugestię starszego syna Prokofiewów, żeby poczekać do poranka. Przyrzekł też pociągnąć w sprawie Liny za wszystkie, nieliczne już sznurki, jakie jeszcze zostały mu w ręku. Jak wielu innych, od lat żył już z piętnem artysty potępianego, choć wciąż nie wiedział, z czego to właściwie wynikało.

Jedynym, którego Światosław nie zdołał powiadomić – bo nie miał w domu telefonu – był jego ojciec. Jakiś czas wcześniej wyprowadził się z moskiewskiego mieszkania rodziców Miry, gdzie spędził kilka miesięcy, i przeprowadził się na podmiejską daczę, dokąd wcześniej jeździł latem. Choć początkowo Światosław nie miał na to ochoty, w końcu zrozumiał, że lepiej będzie zawiadomić ojca osobiście. Do świtu zostało kilka godzin. Wybrali się zatem razem z Olegiem, żeby powiedzieć ojcu, co się stało.

Podróż pociągiem trwała ponad dwie godziny. Kiedy wysiedli na stacji Pierchuszkowo, nie zobaczyli żadnego samochodu, który mógłby ich zawieźć do daczki, gdzie mieszkał ojciec. Musieli więc przejść prawie piętnaście kilometrów dzielących ich od tego miejsca. Zajęło im to więcej czasu, niż zabrałoby normalnie. Padał bowiem gęsty śnieg, a mróz ledwie pozwalał im brnąć naprzód z jaką taką prędkością. Przed wyjściem z domu nie mieli ani czasu, ani chęci zjeść śniadania. Wypili tylko kawę, której zapach zanadto przypominał im matkę, aby ich żołądki mogły ją spokojnie przyjąć.

W końcu dotarli do domu, w którym mieszkał Siergiej razem z Mirą. Na ulicy nie było nikogo. Zadzwonili do drzwi. Światosław modlił się, żeby to ojciec pojawił się w progu. Przeraziła go wizja spotkania z kobietą, która zniszczyła ich rodzinę. Po paru chwilach otworzyła im Mira. Spojrzała na nich z taką samą nieufnością, z jaką oni przyglądali się jej. Wyglądała staro, choć miała zaledwie dziesięć lat więcej od Światosława. Może dlatego, że zawsze nosiła czarne suknie, albo przez to, że wiecznie była rozczochrana. Jej twarz była pozbawiona światła, barw, nie znała jakichkolwiek kobiecych zabiegów pielęgnacyjnych, wyglądała, jakby ktoś, rzeźbiąc ją, zapomniał cieniutkim dłutem dodać rysom szczegółów i wyrazu. Niechęć, która pojawiła się na tej twarzy na widok synów Siergieja, też nie służyła złagodzeniu jej wyrazu.

– Musimy porozmawiać z ojcem – powiedział lakonicznie Światosław.

– Nie uprzedziliście. Wiedzieliście, że jeśli chcecie się zobaczyć z ojcem, powinniście przedtem dać znać – odpowiedziała lodowato, ale stanowczo. Światosław nie znosił nosowego brzmienia jej głosu. Nienawidził go, tak jak i jej wizerunku kobiety kruchej i słabej, który w jego przekonaniu był częścią z góry założonej strategii, „jak prawie wszystko w tej kobiecie”. Podobnie jak matka był przekonany, że Mira Mendelson była częścią planu obmyślnego przez partię, aby przejąć kontrolę nad życiem Prokofiewa i poddać go reedukacji w duchu ideałów bolszewickich, zmuszając do maszerowania wyznaczoną dla niego drogą.

– Mira, nie macie telefonu. Musisz o tym pamiętać.

– Wiedzieliście, do kogo trzeba zadzwonić, żeby nas znaleźć...

Mira zamierzała powtórzyć raz jeszcze, żeby zadzwonili pod numer przekazany im przez ojca. Był to telefon zaprzyjaźnionego kompozytora mieszkającego na pobliskiej dacy i zobowiązanego przez Prokofiewa do przekazywania wiadomości. Ale uniemożliwił jej to krzyk pierworodnego syna Siergieja.

– Czy możesz zawołać naszego ojca i porzucić tę absurdalną pozę małżonki?

Mira spojrzała na niego z całą wściekłością, jaką była w stanie zgromadzić w źrenicach, które niebezpiecznie się rozpały. Wydawało się, że zaraz zabije Światosława wzrokiem, ale na nim nie robiło to wrażenia. Młodzieniec miał na głowie większe problemy niż złość tej kobiety, która już od dnia, gdy dowiedział się o jej istnieniu, budziła w nim wyłącznie odrazę. Nieoczekiwanie Mira gwałtownie trzasnęła drzwiami. Światosław i Oleg spojrzeli po sobie, nic nie mówiąc. Nie bardzo wiedzieli, czy to trzaśnięcie oznaczało, że powinni sobie pójść, bo nie uprzedzili o swojej wizycie, czy też przeciwnie – mają poczekać, aż wyjdzie do nich ojciec. Po pięciu minutach Oleg zmarszczył brwi. Nie miał ochoty dłużej czekać i podniósł rękę, żeby zastukać do drzwi. Ale brat go powstrzymał.

– Poczekajmy. Nie ruszymy się stąd, póki nie porozmawiamy z ojcem – powiedział, wpatrując się w twarz młodszego brata, który nie wydawał się całkiem przekonany do jego słów. – Mama przeżywa gorsze chwile i nie wali pięściami w drzwi.

– Tego nie wiesz – odpowiedział Oleg, ale przyjął do wiadomości komentarz brata i opuścił ramię. – Poza tym widziałeś, jak potrafi walić w klawisze maszyny do pisania. Współczuję milicjantom, którzy ośmielili się z nią zadrzeć.

Bracia wymienili między sobą uśmiech.

Czekali na otwarcie drzwi już ponad piętnaście minut i zaczęli drętwieć z zimna. Oleg podskakiwał, żeby przegnać spod ubrania mróz – ten sam, który zagościł w jego duszy. Gdyby to tylko było możliwe, czekając tam, poddani działaniu mrozu, zniechęciłoby Mirę jeszcze bardziej. Kiedy minęło dwadzieścia minut, uznali, że ojciec jednak nie zamierza ich przyjąć, i zaczęli się nieśmiało wycofywać. W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Siergiej. Patrzyli na niego, jakby widzieli go po raz pierwszy w życiu. W pewnym sensie tak właśnie było. Ojciec też dziwnie im się przyglądał, nieprzeniknionym wzrokiem, jakby naprawdę ich nie znał. Na jego twarzy nie było wyrazu strachu, niepewności, cierpienia czy winy. Bardziej może widać w niej było zdumienie. Synowie zobaczyli ojca, który się zestarzał, wyglądał nieporządnie, jakby dopiero co wstał, choć minęło już południe. Sprawiał wrażenie, że życie przygniotło go z jeszcze większym impetem niż ten, z jakim niemieckie bomby spadały na ich kamienicę.

– Musimy porozmawiać.

– O czym?

– Aresztowali mamę. Zabrali ją wczoraj na Łubiankę. – Światosław streścił telegraficznie sytuację, obserwując zmieszana twarz ojca. – Możemy wejść? – zaproponował, widząc, że Siergiej nie reaguje.

– Lepiej chodźmy na spacer – powiedział Prokofiew, zamykając za sobą drzwi.

Oleg nie rozumiał, dlaczego jego ojciec woli w gęstej śnieżycy chodzić po lodzie, skoro mogliby posiedzieć w ciepłe, chronieni od mrozu we wnętrzu dacy, może nawet

z filiżanką herbaty w ręku – o ile nie byłoby to zbyt wielkim wymaganiem dla nowej żony Prokofiewa. Ale Światosław z kolei rozumiał, że Siergiej woli rozmawiać poza zasięgiem słuchu Miry. Jej i kogokolwiek innego.

– Co się stało? Jak to było?

Gdy opowiedzieli, jak przebiegało aresztowanie, jak zdemolowano mieszkanie i jak nikt nie chciał im udzielić żadnych informacji na temat matki, przyszła pora na pytania zadawane przez Światosława.

– Dlaczego mamę aresztowali?

– Nie wiem. Ale to nie jest zaskoczenie. Mówiłem jej to tysiąc razy. Żeby przestała chodzić po ambasadach, żeby jej nie widywano w takich miejscach, żeby nie zadawała się z przyjaciółmi cudzoziemcami. Wielu z nich to zdeklarowani wrogowie ludu. Te przyjaźnie mogą być uznane za wykroczenie przeciwko państwu, a ona poniesie za to karę. Ale nie słuchała mnie.

– Według nich ty też jesteś wrogiem ludu. Czy to znaczy, że i mnie mogą aresztować, bo z tobą rozmawiam? – spytał Światosław, chcąc dotknąć ojca, który, jak mu się wydawało, próbował usprawiedliwić aresztowanie Liny.

– Nie zdziwiłbym się – szepnął Siergiej, po czym zamilkł na kilka sekund. – Za każdym razem, kiedy ktoś dzwoni do drzwi, myślę, że to przyszli po mnie.

– Ale ciebie nie aresztowali. A ją tak – podsumował Światosław. – Raz jeden moglibyśmy przestać mówić o tobie i skupić się na niej. – Przez kilka minut słychać było tylko ich kroki na śniegu. – A czemu się ożeniłeś z tą? – spytał w końcu Światosław, nie patrząc na ojca. – Od czasu, kiedy to zrobiłeś, sytuacja stawała się coraz gorsza. Ogłosili, że jesteś wrogiem ludu, zabronili wykonywania twojej muzyki, właściwie cię wyklęli, a najważniejsze – był świadomy wrażenia, jakie wywrze na ojcu nacisk, który kładzie, używając tego przymiotnika – że zatrzymali mamę prawdopodobnie za to, że jest cudzoziemką albo za to, że jest twoją żoną.

Siergieja zabolął ten komentarz, ale nie zareagował na niego.

– Pomyślałeś – mówił dalej Światosław – że aresztowali ją po to, żeby nie aresztować ciebie?

Rozumiał bezwzględność tego pytania, ale obaj z bratem spędzili ponad dwie godziny w wagonie kolejowym, przeszli prawie piętnaście kilometrów od dworca kolejowego, a – jakby wciąż tego było mało – Mira kazała im czekać dwadzieścia minut pod drzwiami swojego domu, w niepogodę, na mrozie, jaki bywa w połowie lutego. Światosław uważał więc, że ma prawo zadawać ojcu pytania z całą bezwzględnością, jaką uzna za stosowną.

– Może teraz tego nie zrozumiesz... – Siergiej zaczął wywód, który jednak został przerwany.

– To mi już powiedziałaś, kiedy postanowiłeś nas porzucić siedem lat temu. A ja dalej nie rozumiem. Więc byłbym ci wdzięczny, gdybyś użył innych argumentów.

– Gdybym mógł, zamieniłbym się z twoją matką – powiedział Siergiej z nutą emocji w głosie.

– Więc czemu tego nie robisz? – spytał Oleg, który w tej trójstronnej rozmowie wolał do tej pory asystować jako słuchacz.

– Bo to by nic nie dało, synu. W końcu wylądowalibyśmy wszyscy tam, gdzie ona jest teraz, wszyscy, włącznie z wami.

– To znaczy, że jej nie pomożesz? – spytał Światosław, tym razem patrząc na ojca oskarżycielskim wzrokiem.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy.

– Zrób trochę więcej, przynajmniej tym razem – odpowiedział mu ze złością starszy syn. Po chwili milczenia ciągnął dalej. – Gdybyś jej pomógł załatwić pozwolenie na wyjazd, to wszystko by się nie wydarzyło. Co by ci przeszkadzało, gdyby ona wróciła do Paryża? I tak już miałeś inne życie, inną kobietę.

– Nie potrafiłbym tego zrobić. Nie mam takiej łatwości załatwiania spraw.

– No ale potrafiłeś ożenić się drugi raz bez przeprowadzania rozwodu – przyspilił go Światosław, odruchowo odsuwając się od ojca.

– Dlaczego mnie nienawidzisz, synu? – spytał Siergiej, przytrzymując go w miarę swoich możliwości za ramię.

– A dlaczego ty nienawidzisz mamy? I dlaczego nas nienawidzisz? Co ci zrobiliśmy?

– Bardzo się mylisz. Wcale was nie nienawidzę. Po prostu życie tak się ułożyło.

– Życie się ułożyło...? – powtórzył Światosław i mimo woli się roześmiał. – Przecież ty się tym zająłeś. Masz niewiarygodną umiejętność znajdowania w każdej sytuacji winnego, na którego zrzucasz odpowiedzialność za własne błędy. To musi być bardzo przyjemne życie, ojczu.

Światosław wstał z ławki, na której spędzili większość czasu podczas tej rozmowy, i ruszył w drogę powrotną. Byli na dworze prawie od dwóch godzin, głównie w parku położonym blisko daczy Prokofiewa. Ojciec próbował zatrzymać starszego syna, ale niezbyt zdecydowanie. Razem z Olegiem poszedł za Światosławem.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedział Oleg.

– Nie spałem dobrze – odpowiedział ojciec, wcale tak nie myśląc ani nie czując zmęczenia.

– A wiesz, co by ci powiedziała mama?

Siergiej spojrzał na młodszego syna, czekając na odpowiedź, która mogłaby być pocieszeniem dla jego ducha.

– Że twój główny problem polega na tym, że przestałeś śnić.

Oleg widział, jak ojciec odwraca i przekrzywia głowę, jakby chciał popatrzeć, co się dzieje z boku, lecz nie z tej strony, z której idzie jego syn. Ale wiedział doskonale, że chodzi tak naprawdę o ukrycie twarzy. Nigdy nie widział, jak ojciec płacze, i teraz też nie miał tego zobaczyć.

Kiedy od domu, w którym mieszkał ojciec z Mirą, dzieliło ich zaledwie pięćdziesiąt metrów, Światosław znów stanął przed nim twarzą w twarz.

– Co robiłeś na Łubiance ponad miesiąc temu? – Po tym pytaniu wyraz twarzy ojca całkowicie się zmienił. – Możesz mi to powiedzieć?

– To nie ma już żadnego znaczenia.

– Pozwól, że ja sam o tym zdecyduję. Co tam robiłeś? Czy może wiedziałeś, że mają aresztować mamę, czy tylko próbowałeś załatwić anulowanie waszego małżeństwa?

Żebyś się mógł ożenić z tą...

– Ona ma na imię Mira.

– A moja matka ma na imię Lina. I jest w więzieniu przez ciebie. Gdyby nie jechała za tobą do Rosji, gdyby cię nigdy w tej sprawie nie posłuchała, gdybyś nie był takim egoistą i nie myślał tylko o swoich marzeniach...

Światosław zamierzał wyrzucić z siebie wszystko, co go uwierało, ale Oleg stanął między nimi dwoma. Przez chwilę bał się, że jego starszy brat uderzy ojca. Co więcej, z pewnej odległości obserwowała tę scenę Mira. Oleg nie chciał, żeby sytuacja się jeszcze pogorszyła.

– Światosław, zostaw go, teraz to już niczego nie zmieni – powiedział Oleg, próbując uspokoić brata. – Chodźmy, robi się późno, a musimy jeszcze wrócić.

Odprowadzili ojca do samej daczki. Tym razem weszli do środka. Zobaczyli Mirę podchodzącą do drzwi wejściowych.

– Następnym razem zadzwońcie, zanim przyjedziecie. Wasz ojciec jest chory. Nie chcę, żebyście go męczyli swoimi problemami.

Obaj spojrzeli na nią. Nie zadawali sobie nawet trudu, żeby jej nawymyślać, chociaż Oleg znów musiał złapać brata za ramię, żeby do niej nie podszedł. Pierworodny syn spojrzał na ojca, na próżno oczekując od niego jakiejś reakcji, jakiejś reprimendy za niezbyt fortunny komentarz nowej żony. Nie doczekał się. W tym momencie miał już pewność, że ojciec nie potrafi nic zdziałać dla ich matki. Opanował go straszliwy smutek. Podszedł do ojca i objął go. Dla niego samego było to nieoczekiwane, ale wiedział, że ten uścisk zaboli Mirę, i choćby dlatego warto było wykonać taki gest. Na pożegnanie szepnął mu do ucha:

– Mam nadzieję, że nie zawiedziesz znów mamy. Mam nadzieję, że tym razem coś zrobisz.

Gdy dotarli z powrotem do domu przy ulicy Czkałowa, zapadał już mrok. Byli wyczerpani fizycznie, a przede wszystkim psychicznie. Spotkanie z ojcem obfitowało w wiele emocji, ale nie w zrozumienie, i właściwie nic nie dało, choć Światosław wcześniej też nie robił sobie zbyt wielu nadziei. Kochał ojca, nie mógł nic poradzić na to, że go podziwiał, ale znał też niedostatki jego charakteru. Kochał Prokofiewa, ale chwilami nienawidził Siergieja. Pragnął ze wszystkich sił, żeby tym razem ojciec stanął na wysokości zadania, żeby zdołał coś zdziałać, żeby potrafił stawić czoło komu trzeba i ratować życie kobiety, którą kochał, żeby zdołał w realnym życiu wprowadzić w czyn to, co tak mistrzowsko pokazywał w swoich utworach. Ale Światosław był realistą. Ojciec utracił wszelkie wpływy, zewsząd go wyrzucono, stale upokarzano, zapędzono do narożnika. Wystarczy, że zabierze głos w czyjejs obronie, a zostanie uciszony na zawsze. Rozumiał jego strach – już nie o siebie samego, tylko o możliwe konsekwencje, jakie jego ewentualne wstawiennictwo mogłoby mieć dla obu synów. Orientował się we wszystkim, co się działo. Doskonale wiedział, jak funkcjonuje oparty na terrorze reżim, w którym żyją. Kto popada w niełaskę Stalina, ma pozamykane wszystkie drzwi, a jego życie jest poważnie zagrożone. Nieważne, kim jest, jakie stanowiska piastował, jak wielkimi przywilejami się cieszył i z jakim zapałem i oddaniem służył radzieckiemu przywódcy. Stalin dokonywał egzekucji tak samo jak rządził: kapryśnie. Prokofiew znał dzieje

Wiaczesława Mołotowa, który był wysokim dygnitarzem partyjnym, przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych i obecnym ministrem spraw zagranicznych. Mimo wszystko zaczynał tracić przychylność Stalina, przez co nie mógł pomóc swojej żonie, Polinie Żemczużnej, która właśnie została aresztowana i uwięziona pod fałszywym zarzutem szpiegostwa i współpracy z obcymi agentami. Uznano ją za niewątpliwego wroga ludu. Jej przestępstwo polegało na zaprzyjaźnieniu się z ambasadorką Izraela w Związku Radzieckim, Goldą Meir, i wystąpieniu – z racji dobrej znajomości języka – w roli tłumaczki między własnym mężem a panią ambasador. Znajomość zbyt wielu obcych języków też nie była mile widziana. Mołotowowi kazano się rozwieść i kilka dni później Polina została aresztowana. To samo przydarzyło się przewodniczącemu Rady Najwyższej Michaiłowi Kalininowi, który zmarł, nie zdoławszy pomóc swojej żonie, Jekatierinie Iwanownie Lorberg, aresztowanej i torturowanej w więzieniu Lefortowo w związku z zarzutem trockizmu i krytykowania Stalina w trakcie sprawowania przez nią urzędu sędzi Sądu Najwyższego. Została skazana na piętnaście lat ciężkich robót w obozie na Syberii. Nikt nie mógł się czuć bezpieczny, gdy do akcji wkraczała żelazna pięść Stalina. Nawet większość szefów policji politycznej w Związku Radzieckim, odpowiedzialnych za wielkie czystki zarządzane przez samego Stalina – takich jak Jakow Peters, Nikołaj Jeżow czy Henryk Jagoda – popadało w niełaskę i było uznawanych za wrogów ludu, oskarżanych o zdradę, więzionych i traconych w łagrach albo w piwnicach Łubianki, w których wcześniej z ich własnego rozkazu zabijano strzałem w tył głowy tysiące uwięzionych.

Światosław zadawał sobie pytanie, co wobec tej makabrycznej rzeczywistości może zdziałać jego ojciec.

Przez chwilę żałował surowego tonu, jakim się do niego zwracał. Ale wiedział, że to było nie do uniknięcia. Nie zabołało go to, że ojciec nie spytał synów, czy czegoś nie potrzebują. Ubodło go, że nie spytał, bo bał się ich odpowiedzi.

Kiedy Oleg stawiał w kuchni czajnik na ogniu, żeby zagrzać wodę i zrobić herbatę, ktoś zadzwonił do drzwi. Bracia w milczeniu spojrzeli po sobie. Mogli spodziewać się wszystkiego, a żadna z możliwości nie wróżyła dobrze. Okazało się, że przyszedł sąsiad i przyniósł telegram, który nadszedł w czasie, gdy chłopców nie było w domu. Telegram z Paryża. Przysłała go babcia *Memé*, Olga Niemyska: „Martwi mnie wasze milczenie”.

Światosław opadł na sofę, a jego palce bawiły się telegramem. Babcia oczywiście miała powody do zmartwienia. Ale chyba nie musiała znać szczegółów. Dopóki nie było wiadomo, co stanie się z ich matką, nie warto było babci dodatkowo denerwować. Pomyślał, że najlepszą odpowiedzią będzie milczenie – tak typowe i powszechne w Związku Radzieckim.

Straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy minęły minuty, godziny, dni, czy tygodnie. Nikt się nie zjawiał, żeby jej cokolwiek powiedzieć. Nikt po nią nie przychodził. Nie widziała innych osób będących w podobnej sytuacji. Miała kontakt tylko ze strażniczką, która przyniosła jej kawałek kwaśnego chleba i jakiś śmierdzący płyn, wodnisty i żółtawy, który nazywano zupą. Kobieta radziła jej, żeby to zjadła, bo nie wiadomo, kiedy będzie miała następną okazję. Ale żołądek Liny był zbyt mocno ściśnięty. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o której myślała. Chciała tylko, żeby ktoś się do niej odezwał, wyjaśnił, dlaczego tu jest, powiedział, kiedy ma szansę wyjść i czy rozmawiał z jej synami. Pragnęła stanąć przed kimś, przed kim mogłaby się bronić, odrzucać stawiane jej oskarżenia. Ale w miejscu, w którym była, słyszała tylko dziwne odgłosy: dzwonki, dzwony, dźwięki otwierania i zamykania drzwi cel, podzwanianie kluczy, które strażnicy mieli doczepione do pasa. Przerazały ją zduszone jęki dobiegające z jakiegoś dalekiego miejsca. Była zmęczona, zziębnięta, czuła, że podskoczyła jej temperatura. Nogi jej zeszywniały i napuchły, bo nie mogła się ruszać w przestrzeni tak ograniczonej jak cela, w której ją zamknięto i w której nie dało się wyciągnąć ramion ani utrzymać wyprostowanej sylwetki. Musiała iść do toalety. Trzykrotnie udało jej się powstrzymać wymioty, choć nie była pewna, czy uda się po raz czwarty. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła uklęknąć, usiąść na podłodze. Choć rozważała przez kilka minut mało prawdopodobną możliwość snu, mała, ale mocna żarówka oświetlająca mikroskopijną celę skutecznie to uniemożliwiała. Co więcej, za każdym razem, gdy Lina próbowała zamknąć oczy, choć były to jedynie próby podtrzymania się na duchu, słyszała, jak strażnik krzyczy:

– Otwórz oczy. Nie śpij. Nie wolno spać.

Później zrozumiała, że pozbawienie snu i odpoczynku jest jedną z najskuteczniejszych tortur stosowanych przez organy bezpieczeństwa państwowego. Kiedy była już na progu utraty przytomności, przyszli po nią. Bez słowa wyjaśnienia przeprowadzili ją przez te same korytarze, które przeszła zaraz po przybyciu na Łubiankę, i wyprowadzili gdzieś na zewnątrz. Musiała przejść przez szeroki wewnętrzny dziedziniec aż do placu parkingowego. Jej uszy wypełniły się krzykiem ludzi, który dobiegał zza okien wychodzących na podwórze budynku i przyprawiał ją o dreszcze, choć nie bardziej niż zdanie, które wypowiedział za jej plecami jeden z prowadzących ją strażników:

– Nie przejmuj się nimi. Będziesz jeszcze głośniej krzyczała, kiedy przyjdzie twoja kolej.

Było bardzo zimno, a z powodu wiatru wieczorny mróz działał jak atak zaostzonych noży, przenikał do szpiku kości. Lina wciąż była ubrana w swoją ciekawą sukienkę. Ktoś wcześniej zerwał z niej szary blezer, który miała na sobie, kiedy ją przywieziono do więzienia.

– Nie będziesz tego potrzebowała – powiedział mężczyzna prowadzący ją przez korytarze Łubianki.



Zaprowadzono ją do ciężarówki, której skrzynia była z tyłu osłonięta tylko kawałkiem brezentu. Podczas jazdy trwającej ponad pół godziny Lina widziała, że przejeżdżają obok miejsc i budynków, które świetnie знаła, takich jak teatr Bolszoj, Kreml, hotel Metropol, plac Czerwony; kiedy ciężarówka jechała ulicą Czkałowa, dostrzegła nawet kamienicę, w której mieszkała. Przez chwilę myślała, że jej koszmar się skończył, że odwożą ją do domu, że znów będzie mogła uściskać synów, a czas uwięzienia pozostanie w jej pamięci jako zły sen. Nie zamierzała nawet protestować w sprawie popełnionego błędu i była gotowa przyjąć bez obrazy przeprosiny porywaczy. Chciała tylko ucałować synów i zacząć przygotowywać przyjęcie urodzinowe dla Światosława. Ta wizja trwała tyle czasu, ile potrzebowała ciężarówka, żeby skręcić w prawo i wyjechać z tak dobrze znanej ulicy. Wtedy Lina uświadomiła sobie, jak dziecinne było jej rozumowanie. Przecież to skrajnie naiwna i absurdalna myśl, że ją wypuszczą i nawet odwiożą pod drzwi domu.

Kiedy ciężarówka się zatrzymała, Lina poczuła, że jej ciało wpadło w niekończące się drgawki. Nie z powodu samego tylko zimna i gorączki, która ją trawiła, lecz także z powodu strachu, przyczyniającego się do całkowitego zamętu, który zawładnął jej ciałem. Słyszała szczekanie jakichś psów, które – sądząc po bliskości tych odgłosów – zebrały się całą sforą w pobliżu samochodu ciężarowego, i zatrzwożyła się. Tak samo przerażały ją kiedyś wilki, których nocne wycie dobiegało do uszu małej dziewczynki spędzającej wakacje u dziadków na Kaukazie. To wspomnienie przywołało też obraz babci Karoliny i jej wysiłków, żeby mała nie lękała się odgłosów nocy. Lina próbowała sobie przypominać babcine nauki, ale nie było to łatwe. Wyprowadzono ją z ciężarówki dość brutalnie, pokazując, że nikt nie zamierza się z nią cackać. Posadzono ją na krześle ustawionym przed samochodem, którego światła wciąż były włączone. Nie widziała nawet, kogo ma przed sobą. Mocne reflektory zmuszały ją do odwracania głowy, a jednocześnie zdecydowany głos kazał patrzeć przed siebie. Posłuchała polecenia. Ktoś siedział na krześle za stołem ustawionym na wprost niej. Nie potrafiła rozróżnić rysów twarzy człowieka, który po chwili zaczął do niej mówić.

– Po co pani przyjechała do Związku Radzieckiego? – spytał głos, spokojnie i bez pośpiechu.

Ten ton całkiem zbił ją z tropu, do tego stopnia, że z trudem potrafiła odpowiedzieć na pytanie. Jej milczenie sprowokowało przesłuchującego do powtórzenia pytania – tym razem jednak wykrzyczanego ze złością.

– Przyjechałam z mężem, kompozytorem Siergiejem Prokofiewem – odpowiedziała, mając nadzieję, że to nazwisko ją uwolni albo przynajmniej uchroni od przedwcześnie wydanego wyroku.

– Wiemy, kim jest pani mąż, plugawy zdrajca ojczyzny, biały emigrant, który porzucił Rosję, żeby przyłączyć się do europejskiej burżuazji i konspirować przeciwko własnej ojczyźnie.

Lina przestała już myśleć o szczekających psach; wystarczyło jej to, co właśnie wyszczał przesłuchujący ją funkcjonariusz. Te niesprawiedliwe, obraźliwe kalumnie wypowiedziane przeciwko jej mężowi przez człowieka bez twarzy poruszyły ją do tego stopnia, że zapomniała o swoich własnych problemach.

– Ale to już zostało naprawione.

Lina wstrzymała oddech. Co to znaczy: „Już zostało naprawione”? Czy chodzi o to, że Siergiej został aresztowany, uwięziony – albo coś jeszcze gorszego? Pragnęła ze wszystkich sił, żeby to „naprawienie” dotyczyło jego małżeństwa z Mirą. Ale skoro o nim wiedzieli, dlaczego wciąż traktują ją jako żonę Prokofiewa? Wszystko jej się mieszało, była na skraju załamania, wyobraźnia torturowała ją bardziej niż oślepiające światło reflektorów ciężarówki i słowa człowieka bez twarzy, który mówił dalej.

– Wiemy, że współpracowała pani z zagranicznymi siłami kontrrewolucyjnymi w celu zdestabilizowania naszego systemu i przygotowania akcji terrorystycznych wymierzonych w towarzysza Stalina. Jest pani oskarżona o zdradę ojczyzny. Ma pani coś do powiedzenia?

– To kłamstwo.

Pierwsze ciosy bolały ją najbardziej, bo – choć się ich spodziewała – nie widziała, jak nadchodzą. Posłużyły przynajmniej jako skuteczne znieczulenie przed następnymi uderzeniami, które doprowadziły ją do stanu częściowej utraty przytomności. Przez chwilę słyszała tylko suche odgłosy uderzeń zadawanych jej ciału, bo nawet ich nie czuła. Wszystko było rozmyte, rozróżniała tylko cienie poruszające się w snopach światła, zamienionych w gęstą mgłę, coraz bardziej się rozplywającą.

Obudziła się w celi. Całe ciało miała obolałe, myślała też, że za chwilę eksploduje jej głowa.

– Jak się czujesz? – spytał jakiś głos obok niej, na tyle niecierpliwy, że nie czekając na odpowiedź, zadał następne pytanie. Okazało się ono najczęściej formułowaną w radzieckich więzieniach kwestią. – Kto ty jesteś?

Lina spróbowała się podnieść i przyjęła przy tym pomoc kobiety, która pojawiła się obok niej zaraz po przebudzeniu. Czuła silne klucie w brzuchu, ale nie pamiętała, skąd wziął się ból. Rozejrzała się wkoło. Była w celi nieco większej niż boks, do którego ją wciśnięto zaraz po przyjeździe na Łubiankę. Było tu miejsce dla dwóch osób, choć później Lina przekonała się, że wielkość tego pomieszczenia była złudzeniem i wrażenie polegało na prostym efekcie optycznym. Śmierdziało tu tym samym środkiem dezynfekcyjnym, którym posypała jej ciało tamta niesympatyczna kobieta zaraz po przybyciu – ta, która ją rozebrała, zlała wodą i wymierzyła jej policzek, pierwszy, jaki Lina otrzymała w życiu. A więc nadal była na Łubiance, ale przynajmniej w nowej celi, w której tylnej części znajdowało się okienko. Lina nie wiedziała dlaczego, ale ten widok ją ucieszył, chociaż okno nie stwarzało jakiegokolwiek możliwości ucieczki ani nawet nie było otwarte, żeby umożliwić przewietrzenie zamkniętej szczelnie celi. Otwierano je tylko na czterdzieści minut dziennie, co miało wystarczyć powietrzu na poradzenie sobie z wyziewami ludzi, bólu i śmierci, które wżerały się w ściany celi i których praktycznie nie dawało się usunąć. W suficie umieszczone było typowe dla Łubianki źródło ostrego światła, mającego dręczyć więźniów, odbierając im możliwość odpoczynku. Lina wpatrywała się w żółtawe światło promieniujące ze szklanej kuli przymocowanej do sufitu. „Żółte światła Łubianki”... Przypominała sobie dzień, w którym zapytała Siergieja, co znajduje się za tymi oknami. Pamięć podsunęła jej wspomnienie poprzedniej nocy: jazdy ciężarówką, dokuczliwego zimna, szczenia psów, mocnych, oślepiających reflektorów i pierwszych

uderzeń.

– Gdzie ja jestem? – spytała, kwitując milczeniem poprzednie pytanie towarzyski z celi.

Kobieta uśmiechnęła się. Lina przyjrzała jej się uważniej. Była młoda, miała nie więcej niż trzydzieści lat, wyglądała na osobę słabowitą, choć ślady po uderzeniach na jej twarzy świadczyły, że nie była uległa wobec swych prześladowców. Miała ogromne, bardzo żywe, zielone oczy osadzone w anielskiej, niemal dziecięcej twarzy, na którą spadały czarne loki. W każdym innym zakątku świata ta kobieta trafiłaby na okładkę jakiegoś czasopisma. A jednak tutaj, w tej norze, stała się obiektem, nad którym się znęcano. Natasza była prawniczką, która przez wiele lat służyła partii i jej przywódcom. Odkąd nauczyła się posługiwać rozumem, broniła ideałów rewolucyjnych wpojonych jej przez rodziców. Ale jeden z jej przyjaciół ośmielił się u niej w domu, za zamkniętymi drzwiami i w wąskim gronie znajomych, opowiedzieć o krytycznych uwagach na temat Stalina zawartych w testamencie Lenina. Na tym polegało jej przestępstwo i powód, dla którego było więcej niż pewne, że zostanie skazana na śmierć. Mimo to na twarzy kobiety malowała się akceptacja dla jej własnego losu i dla losu Liny.

– Powiedziałyby, że jesteś w miejscu, które nie jest dla ciebie odpowiednie, jak prawie dla nas wszystkich.

– Jestem Lina Prokofiew – zdecydowała się w końcu odpowiedzieć, wywołując zaskoczenie na twarzy swojej rozmówczyni, która powtórzyła usłyszane nazwisko z podziwem. „Prokofiew, nasz Prokofiew” – pomyślała Lina. – Nie wiem, co o mnie słyszałaś, ale jestem niewinna.

– Nie przejmuj się. Cokolwiek powiesz, jakkolwiek się będziesz opierać, i tak już jesteś skazana.

Lina patrzyła na nią ze zdumieniem. Nie potrzebowała pocieszenia. Jej przypadek był inny. Kiedy tylko zdoła porozmawiać z sędzią śledczym, on to zrozumie.

– Przykro mi, że mówię tak brutalnie, ale tak właśnie będzie i im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej – ciągnęła Natasza, patrząc na Linę raczej ze strachem niż ze smutkiem. – Zostaniesz skazana z artykułu 58. Jest zapisany w części specjalnej *Kodeksu karnego* z 1926 roku, w której wymienione są przestępstwa. Składa się z dziesięciu punktów, ale o twoim losie zdecyduje punkt pierwszy: wszelkie działanie mające na celu osłabienie władzy bolszewickiej może zostać uznane za kontrrewolucję. A jeśli to by nie było jeszcze dostatecznie jasne, rosyjski *Kodeks karny* w artykule 6 dodaje, że każde zaniechanie też może zostać uznane za kontrrewolucję. Tak więc cokolwiek zrobiłaś albo nie zrobiłaś, jesteś załatwiona, jak wszyscy. Pamiętaj: artykuł 58. Chociaż ja bym się założyła, że ciebie skazają z punktu szóstego, za szpiegostwo. Zawsze wybierają to, co najprostsze, najbardziej rutynowe, szczególnie jeśli sędzia, który ci przypadnie, jest już od wielu godzin na dyżurze i chce iść do domu, do żony. Są tacy, którzy tu śpią wiele dni i nie widzą rodzin tygodniami albo miesiącami. Można by sądzić, że bardzo lubią swoją pracę... Nie jestem tylko pewna, czy twoje przestępstwo będzie sklasyfikowane jako podejrzenie o szpiegostwo, nieudowodnione szpiegostwo czy związki prowadzące do podejrzenia o szpiegostwo. – Natasza przyglądała się jej, jakby nagle zauważyła coś nowego. – Jesteś cudzoziemką, prawda?

– Tak, jestem Hiszpanką. Ale dostałam obywatelstwo radzieckie, kiedy przyjechałam do Związku Radzieckiego z mężem w 1936 roku – odpowiedziała Lina. Uprzedziła też kolejne pytanie. – Tak, mam przyjaciół cudzoziemców, chodziłam na przyjęcia do ambasad, a nawet tańczyłam walca z Joachimem von Ribbentropem. Na dodatek pracowałam jako tłumaczka w biurze ogłoszeń. Ile mogę za to dostać?

– Ile będą chcieli. Zapomnij o punkcie szóstym. Pójdą od razu do dziesiątego. „Propaganda lub agitacja zmierzająca do obalenia lub osłabienia władzy radzieckiej, taka jak rozpowszechnianie, drukowanie lub posiadanie publikacji zawierających podobne treści”. To dotyczy także prywatnych rozmów z twoim mężem, poufnego listu do matki albo jakiejś myśli, którą ktoś podsłuchał w twojej głowie. Chcesz rady? Podpisz, co ci podsuną, przynajmniej unikniesz wielu dni, tygodni czy miesięcy tortur, a jak będziesz miała odrobinę szczęścia, to może nawet unikniesz tego, że cię zabiją. Zrób, co ci mówię. Tak czy siak, w końcu podpiszesz. Podpisuj, co tylko ci podetkną pod nos. Nawet się nie kłopotz czytaniem tego. Znajdą taki sposób na przedstawienie dowodów i świadków, jaki im będzie pasował.

– A ty? – spytała Lina, przyglądając się śladom przemocy na twarzy kobiety. – Czemu ty tak nie zrobiłaś? Czemu nie podpisałaś i nie uniknęłaś tego, co ci zrobili?

– Bo ze mną to im sprawia przyjemność. Nawet mi nie dali takiej możliwości. Jestem jedną z nich i to jest zbrodnia większego kalibru, która zasługuje na bardziej dokuczliwą i wyrafinowaną karę.

Lina chciałyby, żeby jej przygodna towarzyszka z celi była malarką, studentką albo wieśniaczką, a nie adwokatem znającym aż nazbyt dobrze prawa, od których zależała jej przyszłość. Jeszcze przez wiele lat Lina miała słyszeć, jak wymienia się ów artykuł 58. I za każdym razem, kiedy zostawiał on kolejny ślad na jej życiu, przypominała sobie o Nataszy, o jej zielonych oczach obwiedzionych wielkimi, czarnosinymi kołami spowodowanymi przez uderzenia, ale lśniących silniejszym światłem niż wszystkie żółtawe żarówki Łubianki.

Pobrzękiwanie kluczy przytroczonych do pasa strażnika. Ten brzęk oraz dobiegający chwilę później odgłos zielonkawej klapki wizjera, odsuwanej przez strażnika zagląającego do wnętrza celi, to dwa dźwięki, które bez trudu potrafiły spowodować załamanie więźnia. Za każdym razem przychodziło mu czekać, czy otwarcie drzwi oznacza wejście kolejnego lokatora, co zwykle poprzedzone było odgłosem kroków na korytarzu albo szuraniem stóp więźnia ciągniętego przez dwóch strażników – o ile wracał z przesłuchania – czy też przeciwnie, nastąpi odebranie z celi „świeżego mięsa”, jak to określali niektórzy funkcjonariusze. Tym razem chodziło o pierwszą z tych możliwości. Kiedy drzwi się otworzyły po tym, jak klucz przez chwilę obracał się w zamku, na podłogę celi upadło bezwładne ciało kobiety. Lina i Natasza musiały przyłgnąć do ścian, żeby zostawić nowo przybyłej choć trochę miejsca i powietrza. Przez moment miały wątpliwości, czy w tym ludzkim wraku oprócz mięsa i kości została jeszcze choć odrobina życia. Kobieta była w strasznym stanie, nieustannie krwawiła, szczególnie pomiędzy nóg, z trudem dawało się dostrzec rysy jej twarzy. Była właściwie naga i wydierała mdłący zapach, ale nie była to woń środka dezynfekcyjnego ani brudu, ani mieszaniny moczu i wymiotów, lecz spalenizny. Lina nie słyszała jeszcze o kuchenkach

i przypalonym mięsie, o metalowych prętach rozgrzanych w ogniu i wkładanych w miejsca intymne ani o złej sławy tajemnym piętnie, którym naznaczona była większość więźniów; ta niewiedza ograniczała jeszcze nieco jej strach.

– Kto to jest? – chciała wiedzieć Lina. Po raz pierwszy zadała to pytanie, najpopularniejsze zarówno na Łubiance, jak i w dowolnym więzieniu czy obozie, których sieć obejmowała cały Związek Radziecki.

– Teraz to już nie wiem. Kiedy tu trafiła, była sławną baletnicą z teatru Bolszoj. Zdaje się, że jej matka tańczyła w Ballets Russes Diagilewa. – Nazwisko przyjaciela wymienione w tej celi, w obrzydliwej czarnej dziurze, przeszło pierś Liny jak sztylet szaleńca wkluwający się w bryłę lodu. – Krzyczała przez parę godzin, że chce się widzieć z sędzią śledczym, żeby mu powiedzieć, że jest niewinna. Przyszło dwóch mężczyzn, wyciągnęli ją z celi i kazali jej siedzieć na taborecie w korytarzu przez sześć dni, aż dwa wieczory temu ją zabrali. I dziś przynieśli z powrotem.

Cisza na Łubiance dźwięczała jeszcze bardziej przerażająco niż cały chór dających się tu słyszeć krzyków. Linę najbardziej dziwiło, że nie słyszała nawet oddechu dawnej baletnicy, która nadal się nie ruszała. Pomyślała wówczas, że ta młoda kobieta mogła tańczyć w *Romeo i Julii* i w *Kopciuszku*.

– I to będzie nasz wyrok: umrzeć w celi po torturach? – spytała.

– Wyrok? Tu nie dostaniemy wyroku. – Natasza odwróciła ręce wewnętrzną stroną dłoni ku górze. – To jest cela należąca do więzienia prewencyjnego. Jesteśmy na początku fazy śledztwa sądowego. Wciąż jeszcze niczego nie widziałas.

Lina szybko przyswoiła sobie więzienną rutynę. Nie wolno było rozmawiać ze strażnikami, chyba że o coś pytają – co zresztą zdarzało się rzadko, bo ograniczali się do rozkazów, obelg, gróźb i drwin. Nie patrzyło się przed siebie, wzrok zawsze należało wbijać w podłogę; z pola widzenia więźnia wyeliminowany był jakikolwiek horyzont, bliski czy odległy. Zakazane były gesty, hałasowanie, mruczenie, a nawet myślenie i odczuwanie. Egzekwowaniu tego ostatniego zakazu służyła większość technik przesłuchiwania i torturowania: miały wyeliminować wszelką zdolność rozumowania, kontroli nad umysłem, jakiegokolwiek ludzkie reakcje i ludzką godność. W gruncie rzeczy zakazane było życie, ale unikano mówienia tego w sposób całkiem otwarty. Ilekroć jakiś więzień wychodził z celi, powinien iść, wpatrując się w podłogę i z rękami na plecach. Kiedy zaś w końcu pozwalano mu się położyć i spać przez ileś minut czy godzin, musiał zawsze leżeć z rękami na kocu. Wszystko jedno, czy było zimno, czy nie, ręce zawsze musiały być widoczne dla strażnika, który o każdej porze dnia i nocy mógł otworzyć wizjer i sprawdzić, co dzieje się wewnątrz celi.

– Nie pytaj, wyłącznie się słuchaj – radziły Linie inne więźniarki. – Co, chcesz z nimi dyskutować?

Zdarzali się strażnicy, których bawiło robienie możliwie największego hałasu, szczególnie późną nocą, kiedy wreszcie dawano więźniom możliwość przespania paru godzin. Dla rozrywki odchylali wtedy raz czy dwa klapę wizjera i walili wojskowymi butami w metalowe drzwi celi, żeby obudzić uwięzionych, którzy zrywali się w przerażeniu sączącym się wszystkimi porami skóry. Ich organizmy były już zaprogramowane tak, że podskakiwali ze strachu przy każdym, choćby najmniejszym

dźwięku: każdy odgłos mógł bowiem oznaczać, że przyszli po nich i zabiorą ich na kolejne przesłuchanie albo zamkną w karczerze, albo wywiozą za miasto i tam będą dalej zastraszać, żeby wydobyć z nich pożądane zeznanie... Albo przewiozą ich do innego więzienia, zaprowadzą do piwnic Łubianki, gdzie rozkręcą radio na cały regulator, albo na jakiś wewnętrzny dziedziniec czy otwarte pole gdzieś w pobliżu, gdzie pozostawią włączony silnik ciężarówki, pracujący na tyle głośno, że zagłuszy wszelkie hałasy, takie jak wybuch czy wystrzał. Ze wszystkich tego typu miejsc nikt nigdy nie wracał.

Dzień zaczynał się bardzo wcześnie i w gruncie rzeczy nigdy się nie kończył – w niektórych przypadkach całkiem dosłownie. Rano dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi do cel oraz krzyki strażników nakazujących więźniom wstawać budziły tych nielicznych szczęściarzy, którym udało się wcześniej zasnąć. W ciągu kilku sekund wszyscy musieli stanąć w dwuszeregu, z rękami na plecach. Wyjątkiem była osoba odpowiedzialna za noszenie wiadra, w ciągu dnia służącego uwięzionym do załatwiania potrzeb fizjologicznych. W niektórych celach te wiadra były przykrywane, w innych nie. Więźnia zobowiązanego do noszenia *paraszy* wyznaczał codziennie strażnik. W celi Liny obowiązek ten od pierwszego dnia na Łubiance spadał na nią. Strażników bawiło, że akurat jej przypadało to nieprzyjemne zadanie.

– Od przyjęć w ambasadach i salonowych tańców do noszenia więziennych góvien. Tak właśnie wygląda władza proletariatu, tutaj wszyscy jesteśmy równi – mówili jej pośród drwin i śmiechów.

Na podobnej zasadzie Linie i pozostałym więźniarkom pozwalano tylko na jedną wizytę w łazience dziennie. Musiały ją wykorzystać najlepiej, jak potrafiły. Wszyscy mieli do dyspozycji tyle samo czasu, jakieś trzy do pięciu minut, które musiały wystarczyć na skorzystanie z ustępu, umycie się i wypranie odzieży. Nieważne, że niektóre z kobiet potrzebowały więcej czasu, żeby skrupulatnie oczyścić ślady, które na ich ciałach pozostawiły przesłuchania. Strażnicy nie znali litości dla obolałego ciała, strupów, otwartych ran, nie wiedzieli, jak to jest pozbywać się zaschniętej krwi z niektórych miejsc. Liczył się tylko harmonogram, którego należało przestrzegać. W najważniejszym więzieniu politycznym Związku Radzieckiego nie wolno było marnować czasu. Jeśli któraś z więźniarek spędzała w łazience więcej czasu, niż przewidywał regulamin, wyciągano ją stamtąd siłą, niezależnie od tego, na jakim etapie zabiegów higienicznych akurat była. Stanowiło to przyczynę różnych przerażających scen. Papier był zbyt cennym dobrem, żeby go marnować na więźniów, więc dyrekcja więzienia postanowiła wydawać każdemu aresztantowi kawałeczek o śmiesznych wymiarach, którym ludzie próbowali sobie radzić, jak się dało. Przez pewien czas te kawałki papieru wydzierano z książek zgromadzonych w więziennej bibliotece. Większość z nich pochodziła z rewizji i rekwizycji w domach uwięzionych. Lina modliła się, żeby nie dostał jej się kiedyś kawałek porwanej partytury podpisany przez Prokofiewa. Na początku ta myśl wydawała jej się absurdalna, ale przekonała samą siebie, że jest to jedyne, co jeszcze trzyma ją przy życiu: najważniejszym bastionem rozsądku różniącym ją od prześladowców stała się ta umiejętność odróżnienia papieru toaletowego od arkusza z zapisem libretta, stronicy książki czy fragmentu partytury.

Zaraz po powrocie do celi słyszały odgłos piszczących na więziennych korytarzach

kół wózków, którymi rozwożono jedzenie. Dostawały po misce zupy ze zgniłej kapusty, która występowała w kolorach od zieleni do oleistej żółci. Czasami pływało w niej coś przypominającego kawałek zwierzęcych wnętrzności; do tego dodawano kromkę chleba, prawie zawsze wilgotnego, o lepkiej konsystencji. Ten chleb był robiony z ciasta, które nie miało szansy wyrosnąć, i pozostawiał na podniebieniu smak ziemniaków i wapna. Od dnia, w którym przywieziono ją na Łubiankę, Lina traciła na wadze. Oceniała, że było to w sumie co najmniej sześć czy siedem kilogramów. Nie tylko z braku apetytu czy z powodu fatalnego wyżywienia, ale także przez władające jej ciałem napięcie, wywołane przez strach i obecną wkoło przemoc. Lina nie była pewna, czy bardziej przerażało ją wyobrażanie sobie, co może się stać, kiedy przyjdą po nią następnym razem, czy to, co się rzeczywiście działo.

Przez pierwsze dni ledwo była w stanie cokolwiek przełknąć. Jej ciało nie przyjmowało pokarmów i kiedy ustąpiła pod wpływem namów jednej z więźniarek, która nalegała, żeby Lina coś jadła, natychmiast wszystko zwróciła. Cokolwiek brała do ust, miało metaliczny posmak. Ograniczała się do picia niewielkich ilości wody albo jakiejś szczególnej zielonej herbaty, która smakowała jak ścieki, ale przynajmniej była ciepła. Nauczyła się gospodarować dzienną racją chleba. Początkowo wołała zjadać go po trochu, zostawiając kawałek na ostatnie godziny dnia, kiedy głód się nasilał. Ale za namową Nataszy zaczęła zjadać całą porcję na jeden raz. W ten sposób zabezpieczała się przed kradzieżą chleba; takie przypadki się zdarzały i towarzyszyły im gwałtowne awantury. Lina wiedziała, że niektórzy więźniowie z innych cel mają przywilej wychodzenia na spacer na dach budynku, a nawet wizyt u lekarza, ale ona nie należała do tych szczęśliwców. Miała wrażenie, że władze więzienne są szczególnie zainteresowane tym, żeby jedynym oglądanym przez nią światłem były żółtawe promienie wydobywające się z żarówek w celi. Tak właśnie zaczynał się jej pobyt na Łubiance.

Nie minęło nawet dwadzieścia minut od przybycia baletnicy z teatru Bolszoi, kiedy drzwi celi znów się otworzyły. Bez jednego słowa dwóch mężczyzn wyciągnęło Linę z celi, tak że ledwo miała okazję wypowiedzieć nieśmiało i daremnie „nie”. Prowadzili ją korytarzami, niemal niosąc ją w powietrzu, potem weszli gdzieś po schodach i dotarli do zamkniętych drzwi, które jeden z mężczyzn trzykrotnie kopnął. Usłyszawszy komendę „Wejść!”, wkroczyli do wnętrza pokoju. Było to obszerne pomieszczenie, tak przynajmniej wydało się Linie, choć nie była pewna, czy potrafi to dobrze ocenić, spędziwszy ostatnie godziny czy dni (poczucie czasu przestało w jej umyśle istnieć) w maleńkich klitkach. Nie miała wiele czasu, żeby się rozglądać, ponieważ została od razu posadzona na krześle stojącym przed biurkiem pełnym papierów. Po jego drugiej stronie siedział jakiś mężczyzna i coś pisał. Okazał się sędzią śledczym; przez kilka minut nie zadał sobie nawet trudu, żeby na nią spojrzeć. W tym czasie zdołała dostrzec, że ściany są pomalowane na zielono i biało, a na części podłogi ułożono drewnianą klepkę, drugą zaś część wylano czerwonym betonem. Wchodząc, spostrzegła w głębi pokoju dwóch mężczyzn siedzących w wielkich fotelach. Obrzucili ją spojrzeniami pełnymi zaciekawienia, jakby przyglądali się jakiemuś produktowi niedawno wprowadzonemu na rynek.

– Numer 3939 – powiedział śledczy, odczytując z dokumentu, który trzymał

w ręku. Przyglądał się Linie przez kilka sekund, o nic nie pytając. – Chyba już pani wie, o co jest oskarżona – dodał, podsuwając Linie dwukartkowy dokument i kładąc na nim pióro. – Ułatwiłaby nam pani całą sprawę, gdyby podpisała pani zeznanie, które złożyła pani wczoraj moim współpracownikom. Zaoszczędzilibyśmy dużo czasu, pieniędzy i wysiłku.

– Nie złożyłam żadnego zeznania – ośmieliła się odpowiedzieć. Wbrew jej własnemu oczekiwaniu, głos jej się przy tym nie łamał. – Zostałam tylko obrażona i uderzona, bo zaprzeczyłam oskarżeniom wysuwanych przeciwko mnie i mojemu mężowi.

Śledczy spojrział na nią, jakby po raz pierwszy zetknął się z zatrzymanym skarżącym się na złe traktowanie.

– Chce pani powiedzieć, że ktoś panią maltretował i sformułował pod pani adresem fałszywe oskarżenia? – spytał. – Przecież tak nie może być. Czy złożyła już pani skargę? – pytał dalej, szukając wśród leżących na stole papierów formularza, który w końcu znalazł. – Kiedy tylko pani to wypełni, będę mógł dołączyć skargę do pani teczki, gdzie zostanie już na stałe – powiedział wolno, nie podnosząc głosu. Lina zaczęła się niepokoić, kiedy poczuła za swoimi plecami czyjąś obecność. Pomyślała, że trzeba się odwrócić, ale sparaliżował ją strach. Zobaczyła, jak śledczy wstaje od biurka, porozumiewszy się wzrokiem z czterema osobami, które zajęły pozycje za zatrzymaną. – Zrobimy tak: zostawiam tutaj zeznanie, które pani złożyła wczoraj, a kiedy wrócę, powie mi pani, czy wszystko się zgadza, czy też chciałaby pani, żebyśmy poprawili jakąś pomyłkę.

Tej nocy nauczyła się dwóch imion, których nie udało jej się zatrzeć w pamięci do końca życia. Nikołaj i Piotr. Byli to dwaj spośród czterech funkcjonariuszy wyspecjalizowanych w wydobywaniu zeznań. Zawsze byli obecni przy przesłuchaniach. Nie cofali się przed niczym, nie powstrzymywały ich ani ból, ani błagania ofiar. Mieli zadanie do wykonania i nie przerywali pracy, póki go nie zrealizowali. Jeśli trzeba było wykręcać ręce lub nogi, przypalać skórę papierosami, wbijać gwoździe w ramiona i nogi, znaczyć mapę anatomiczną więźnia zielonymi i purpurowymi plamami albo traktować najbardziej intymne strefy aresztantów rozmaitymi przedmiotami, które kłują i parzą – robili to, aż ich ofiary przestawały odmawiać zeznań. I nie było powodu, żeby numer 3939 miał tu być wyjątkiem. Wręcz przeciwnie, Nikołaj i Piotr odczuwali szczególną przyjemność, kiedy natrafiali na dziewicze terytorium, pozbawione jakiegokolwiek dotychczasowej historii tortur; na takich terytoriach lubili pracować i wykazywać swoje umiejętności.

Lina często traciła przytomność, ale na to też znano na Łubiance rozwiązanie. Budzono ją amoniakiem i – jeśli przypadał akurat dyżur jakiejś litościwej duszy – wylewano jej na głowę kubeł wody i dawano filiżankę substytutu kawy, w której było dość kofeiny, żeby więźniarkę ocucić. Niektórym więźniom przywracano przytomność za pomocą zastrzyków z narkotyków zmieszanych z serum prawdy, ale Lina nie zapamiętała takich przypadków. Później zrozumiała, że dziury w pamięci były konsekwencją tortur. Gdyby o nich nie zapominała, nie byłaby w stanie żyć.

Po przesłuchaniu nie odprowadzono jej do celi, z której ją zabrano i w której została Natasza oraz tancerka z teatru Bolszoi. Wprowadzono ją do innej celi, chyba na



innym piętrze – o ile nie zawodził jej zmysł orientacji, co w tamtych okolicznościach nie mogłoby dziwić. Sprowadzono ją o kilka pięter niżej; mogłaby przysiąc, że do piwnicy. I znów czekał na nią wąski, maleńki boks, ale tym razem okrucieństwo jej prześladowców poszło nieco dalej. Kazali jej włożyć nogi do kubła z wodą schłodzoną bryłami lodu i stać tak przez dwadzieścia cztery godziny. W tym czasie kilkakrotnie ktoś przychodził i zastępował stopiony lód świeżymi bryłami. Potem Linę znów zaprowadzono do sędziego śledczego.

– Czy jest już pani gotowa podpisać zeznanie? – spytał.

Skoro zaprzeczyła, mogła albo wrócić do celi, albo zostać ponownie wydana na pastwę dwóch bandziorów, którzy oto awansowali na funkcjonariuszy więziennych. Ale najpierw otrzymała jedną z najgorszych wiadomości, jakie można było w jej sytuacji usłyszeć:

– Zabierzcie ją. Będziemy kontynuować innego dnia.

Był to najgorszy wyrok, jaki mógł spotkać aresztanta, bo oznaczał, że przesłuchania będą wznowione i że trzeba będzie znów stawić się przed sędzią śledczym. W ten sposób można było spędzić tygodnie, miesiące lub nawet lata między celą a pokojem śledczego, w zależności od odporności fizycznej – i przede wszystkim psychicznej – więźnia.

Lina była zdecydowana wytrzymać. Jej sumienie i poczucie godności nie pozwalały podpisać przyznania się do przestępstwa, którego nie popełniła. Niech z nią robią, co chcą – ona niczego nie podpisze. Nie chciała słuchać rady Nataszy. Była przekonana, że wytrzyma wszystko. Krzyki strażników, obelgi milicjantów, groźby śledczego. Nie pozwalali jej spać, a nawet zamknąć oczu przez wiele dni, prowadzili ją o różnych porach do pokoju przesłuchań, gdzie godzinami świecono jej w twarz mocnymi żarówkami. Czasami nawet nie zadawano żadnych pytań, nie straszono – wymierzano jej tylko tę świetlną torturę, która była skuteczniejsza, niż to się mogło w pierwszej chwili wydawać. Lina zauważyła, że ma opuchnięte powieki. Bolały ją, jakby otrzymała serię ciosów. Odkryła, że przemoc fizyczna nie zawsze jest konieczna, że na Łubiance są prawdziwi eksperci od tortur psychicznych, którzy wiedzieli, że dla umysłu ludzkiego gorszy jest strach przed przeczuwanym i nieznanym niebezpieczeństwem niż to niebezpieczeństwo samo w sobie. Aresztanta z wysokim ciśnieniem można było doprowadzić do wylewu, w ogóle go nie dotykając. Wystarczyło pozbawić go możliwości spania, przez długie godziny grozić mękami, które mogłyby zostać zadane, i represjami, które mogłyby dotknąć najbliższych. To było dla Liny najgorsze, w takich momentach z trudem potrafiła się opanować. Bo mogą dobrać się do jej synów. A nawet do samego Prokofiewa, czym zaczęli jej grozić, widząc, że każda wzmianka o Siergieju wyraźnie ją porusza. Straszili Linę, że go zabiją, jeśli ona nie podpisze leżącego na biurku zeznania, zapewniali ją, że krzyk dobiegający z sąsiedniego pokoju to krzyk Siergieja. Wtedy Lina straciła kontrolę nad sobą: zebrała wszystkie siły – nie bardzo wiedząc, skąd je czerpie – i zbuntowała się tak, że trzeba było czterech rąk jej strażników, żeby ją uspokoić. Zdawała sobie sprawę, że właśnie ujawniła swój najsłabszy punkt, jedyne ognisko bólu, nad którym nie byłaby w stanie zapanować. Nie była wyjątkiem – to samo zdarzało się wszystkim więźniom.

Przesłuchania powtarzały się jeszcze wiele razy. Czasami było ich kilka w ciągu

dwudziestu czterech godzin, w innych przypadkach Lina spędzała dziesięć czy piętnaście dni zamknięta w karcerze, prawie całkowicie pozbawiona jedzenia i wody, nie mając nikogo, z kim mogłaby zamienić słowo. Ale wydawało się, że żaden sposób nie działa, nie potrafi przełamać uporu Liny, że więźniarka dalej będzie odmawiać złożenia podpisu pod przyznaniem się do czegoś, czego nie zrobiła. Mówienie o sumieniu i godności w takim miejscu było tak absurdalne jak próba wytłumaczenia śledczym jednej z podstaw wszystkich demokratycznych systemów prawnych – domniemania niewinności. Od dawna wiedziała już, jak arbitralne jest radzieckie podejście do prawa, na jakich kłamstwach się opiera. Widziała to wcześniej na przykładzie losów wielu swoich przyjaciół. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz doświadczała tego na własnej skórze. Jej opór i nieustanna odmowa ustąpienia – mimo zadawanych jej cierpień – doprowadzały śledczego do szału. Powiedział jej o tym ostatniej nocy, którą Lina spędziła na Łubiance.

– Jeśli czegoś się nauczyłem między tymi czterema ścianami, to tego, że niewinni nie stawiają oporu. Możemy im grozić śmiercią dzieci, wykluciem oczu, poparzeniem wewnętrzności rozżarzoną metalowym prętem, a oni się nie sprzeciwiają. Aresztuje się ich, a oni się poddają. Oskarża się ich, a oni to akceptują. Podsuwa im się papier, żeby podpisali, że są niemieckimi szpiegami i że planowali zamach na towarzysza Stalina, a oni podpisują. Pamiętacie, towarzyszu Piotrze – spytał jednego z mężczyzn stojących za plecami Liny – tę kobietę, która przyszła do nas zapytać, co ma zrobić z synem pewnej aresztowanej? Kazaliśmy jej poczekać, a ponieważ brakowało nam jednej osoby do wykonania planu zatrzymań, wsadziliśmy ją. Ona się nawet nie opierała. – Śledczy popatrzył na Linę, wiedząc, że mimo wyniosłej miny umiera ze strachu. – A pani jednak się opiera. Zmusza mnie to do myślenia, że jest pani winna.

– Czego? Niech pan mi powie, na czym polega moja wina.

– Wy, cudzoziemcy, myślicie, że wszystko wam wolno.

– Więc to jest moje przestępstwo? Że jestem cudzoziemką? Jestem znacznie bardziej rosyjska, niż panu się może wydawać.

– Ocenia mnie pani bardzo powierzchownie. My w tym kraju jesteśmy bardzo wdzięczni cudzoziemcom. Gdyby nie oni, w 1927 roku nie doszłoby do zamordowania radzieckiego posła<sup>37</sup> w Warszawie, towarzysza Piotra Wojkowa, a parę dni później do eksplozji bomby w Leningradzie. Naród wyszedł na ulicę, żeby żądać zorganizowania obrony obywatelskiej przed cudzoziemskimi agentami i kontrrewolucjonistami, a myśmy się zgodzili. Przypadkiem stało się to w dziesiątą rocznicę powołania Czeka. Gdyby nie wy, cudzoziemcy, nasze organa bezpieczeństwa państwowego nie odnosiłyby takich sukcesów. W tamtym czasie, w 1927 roku, pani już razem ze swoim mężem Siergiejem Prokofiewem porzuciła Związek Radziecki, prawda? Skorzystali tu państwo z serdecznego przyjęcia, poznali wielu ważnych ludzi...

– Ale czego pan chce ode mnie? Dlaczego jestem tak traktowana? – spytała Lina, która nie wiedziała już, w jaki sposób ma głosić swoją niewinność.

– Ja niczego od pani nie chcę. Ja panią tu mam. U nas, jeśli ktoś ma człowieka, to znajdzie paragraf. – Śledczy znów wbił wzrok w papiery leżące na biurku. – Skoro pani zna tylu ważnych ludzi, między innymi wielkich pisarzy, którzy zresztą stają się całkiem malutcy, jak tylko siądą na tym taborecie, na którym pani teraz siedzi, niech mi pani

powie: miała pani okazję przeczytać artykuł towarzysza Lenina *Jak organizować współzawodnictwo?* Wydany w styczniu 1918 roku. Była pani wtedy w Nowym Jorku, jeśli się nie mylę.

Liny nie zdziwiło, że wymienił tę datę, bo był to chyba jedyny szczegół, który mógł uwiarygodnić jego słowa.

– Lenin mówił tam o „uwolnieniu ziemi rosyjskiej od wszelkiego typu szkodliwego robactwa” – ciągnął dalej. – Czy to odpowiada na pani pytanie?

Śledczy znów zaczął pisać coś w swoich papierach i nie podnosząc wzroku, orzekł:

– Lepiej dla pani, żeby pani ze mną współpracowała, pani Prokofiew.

Po raz pierwszy zwrócono się do niej po nazwisku, na dodatek szczerym i przyjaznym tonem, który nie tylko jej nie rozluźnił, ale jeszcze bardziej wzmógł niepokój.

– Zobacz pani: jeśli nie podpisze pani zeznania, będę musiał panią wysłać do innego więzienia, znacznie gorszego. Nawet nie jest pani go sobie w stanie wyobrazić. Proszę mi wierzyć, że choć Łubianka wydaje się pani piekłem na ziemi, kiedy tylko przekroczy pani próg więzienia Lefortowo, zrozumie pani swój wielki błąd. Jest pani z nami ponad dwa miesiące i nie możemy już tracić na panią więcej czasu. Pani miejsce w celi jest nam potrzebne. Piętrzą się przede mną nowe zadania. Jeszcze tej nocy podpiszę rozkaz przeniesienia pani. Nie kłamię: przez całe życie będzie pani żałować, że nie podpisała pani o, tutaj – powiedział, pokazując dolną część dokumentu. – Podpisz to, kobieto. Wiemy już, że pani nie planowała zamachu na towarzysza Stalina, ale wszystko jedno. To już nie jest w pani rękach ani nawet w moich. Moja praca polega na doprowadzeniu do tego, żeby się pani przyznała. Nie interesuje mnie, czy pani to naprawdę zrobiła, czy nie. Ja muszę tego dokonać, żeby moje życie zawodowe podążało ścieżką odznaczeń i gratulacji ze strony przełożonych i możliwości awansowania. Mam do wykonania plan zeznań i skazań, a jeśli go przekroczę, to tym lepiej. Czy pani tego nie rozumie? Pani upór może mnie bardzo drogo kosztować, mogą mnie pozbawić przywilejów, wygod. Więc niech pani sobie wyobrazi, do czego mogę się posunąć, żeby utrzymać swój poziom życia. Już dostałem zapłatę za nadgodziny, które wyrobiłem w związku z pani uporem. Ale na tym etapie nie jest to wystarczająca rekompensata. Pani obecność tutaj wiąże się z wydatkami.

Przemowa śledczego nie przekonała Liny, która wciąż odmawiała podpisania fałszywego zeznania. Jeszcze bardziej zirytowało to śledczego.

– Zabierzcie ją. Na dzisiaj skończyliśmy. Zaczekajcie – nakazał strażnikom, którzy przerwali wyprowadzanie więźniarki. – Pożałuje pani. A ja nie będę już mógł dla pani nic zrobić.

Jeszcze tej nocy Lina została przeniesiona do jednego z najcięższych i najbardziej nieludzkich moskiewskich więzień – do Lefortowa.

<sup>37</sup> Poselstwo radzieckie w Warszawie podniesiono do rangi ambasady w 1934 roku.

Znalazłszy się we wnętrzu „czarnego kruka”<sup>38</sup> należącego do NKWD – furgonetki do transportu więźniów wykorzystywanej przez policję polityczną – Lina wiedziała już, że za chwilę zostanie przewieziona do innego półtajnego więzienia. Sądziła, że chodzi o Butyrki, pod numerem 45 przy ulicy Nowosłobodskiej. To tam trafiała większość aresztowanych z różnych regionów Związku Radzieckiego przed deportacją na Syberię. Ale okazało się, że wybrano dla niej więzienie Lefortowo.

Nie była to dobra wiadomość, o czym przekonała się, rozmawiając z więźniarkami, z którymi dzieliła celę i które były lepiej od niej poinformowane.

Jedną z rutynowych praktyk stosowanych w Lefortowie zaraz po przyjęciu więźnia – szczególnie gdy chodziło o kobiety – polegała na rozebraniu do naga i zamknięciu w celi, do której zaglądała większość strażników. Nie szczędzili ani obelg, ani komentarzy na temat wyglądu aresztantki. Upokorzenie powodowało załamanie się morale uwięzionej. Kolejny postój przypadał w specjalnej fryzjerni, jak nazywano miejsce, gdzie golono ciała więźniów. Była to powszechna praktyka, choć Lina uniknęła jej podczas pobytu na Łubiance. Wielu uważało to za cud, chociaż w trakcie niektórych przesłuchań Lina sama wolałaby, żeby jej włosy zostały wcześniej obcięte. Potem znów czekały na nią długie i nieludzkie pobyty w ciasnym boksie, w czasie których zmieniano temperaturę od bardzo wysokiej – przy której ciało zaczynało krwawić z powodu podwyższonego ciśnienia – do bardzo niskiej, po której przez długi czas czuła się jak sparaliżowana.

Jeśli śledczy na Łubiance wydawali jej się okrutni, to w porównaniu z tym, czego doświadczyła w Lefortowie, musiała ich teraz uznać za prawdziwych aniołów. Urządzano jej podobne przesłuchania, tyle że częstsze i bardziej brutalne. Wewnątrz tego betonowego gmaszyska nie istniała litość; kiedy ktoś ją okazywał, oznaczało to, że więzień znalazł się już w przedśmionku śmierci. Przed oczami Liny paradowali nowi sędziowie śledczy, których jedynym celem było odniesienie sukcesu w postaci przyznania się do winy hiszpańskiej więźniarki, która opierała się miażdżącemu ramieniu radzieckiego systemu penitencjarnego.

– Słyszałem, że pani nie chce się przyznać – powiedział śledczy, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Był o wiele młodszy od poprzednich. Choć w pierwszej chwili jego młodość i chłopięca twarz dawały nadzieję, że nie stosuje tak nieludzkich metod jak inni, po paru minutach ten pomysł stał się absurdalny, a na twarzy Liny znów pojawiły się ślady przemocy.

– To niedobrze. Nie jest to dobre dla nas, a i dla pani też nie.

– Dlaczego nie skończycie tego i nie zabijecie mnie wreszcie?

– A po co mielibyśmy panią zabijać? My tu bardzo poważnie podchodzimy do sprawiedliwości. A poza tym więzień może krzyczeć, a nieboszczyk nie.

– Nie zmusicie mnie do podpisania czegokolwiek. Jestem niewinna. Nic nie zrobiłam.

– No cóż, wszyscy coś zrobiliśmy, w tym czy innym momencie naszego życia. Trzeba tylko umieć to odnaleźć w naszym *Kodeksie karnym*. Ale nawet jeśli tak było, że pani nic nie zrobiła i wszystkie nasze raporty się mylą, to na pewno zna pani kogoś, kto zrobił coś niestosownego. W ten sposób też może nam pani pomóc w umacnianiu naszej ojczyzny i oczyszczeniu jej z wrogów. Może mi pani podać jakieś nazwisko?

– Nie będę zeznawać przeciwko komukolwiek. Nie zamierzam na nikogo donosić.

– Nie proszę, żeby pani na kogoś doniosła. Proponuję, żeby pani z nami współpracowała. Ale jeśli nie chce pani nam pomóc, obawiam się, że będziemy się nadal widywać i że okres pani śledztwa znacznie się wydłuży. Możemy panią stąd wysłać do jeszcze gorszego więzienia, w Sujanowce. Pani życie może się zmienić w długą serię przenosin, a każde kolejne miejsce będzie gorsze. Zapewniam panią, że najbardziej bolesny nie jest wyrok ani obóz. Najgorsze są więzienia i okres śledztwa. Widziałem już wielu aresztantów, którzy błagali, żeby ich osądzić i wysłać do jakiegokolwiek obozu pracy. Chociaż jest tam ciężko, nie można tego porównać z pobytem na Łubiance czy w Lefortowie. Ode mnie zależy, do którego obozu zostanie pani wysłana. One się różnią między sobą. Jeśli nadal będzie pani odmawiała podpisu pod przyznaniem się do winy, mogę panią skierować do kopalni kalcytu w miejscowości Izwiestkowaja, gdzie znajduje się ogromna kolonia najgorszych wyrzutków społeczeństwa: morderców, sprawców najcięższych przestępstw. Nie sądzę, żeby to było najlepsze miejsce dla takiej kobiety jak pani. Nie wyobrażam też sobie pani ścinającej drzewa siedem kilometrów od obozu w Magadanie. Ale oczywiście wyobraźnia nas czasem zaskakuje. Proszę podpisać zeznanie, a zrobię wszystko co się da, żeby wysłali panią do obozu o lżejszym rygorze.

Sędzia śledczy o chłopięcej twarzy był młody, ale miał już okazję poznać wielu kolegów weteranów i skorzystać z ich nauk. W czasie przesłuchania Liny przypomniał sobie słowa, które sędzia Mironienko wypowiedział kiedyś do pewnego zatrzymanego: „Śledztwo i sędzia śledczy są jedynie elementami systemu prawnego, które nie potrafią już zmienić pańskiego losu, z góry przesądanego. Jeśli trzeba pana rozstrzelać, choćby był pan absolutnie niewinny, i tak pana rozstrzelamy. A jeśli trzeba pana uniewinnić, choćby pan był winny nie wiadomo czego, okaże się pan czysty i pana uniewinnimy”.

Zastraszanie słowne też nie działało. Śledczy o chłopięcej twarzy podniósł wzrok, rozglądając się za funkcjonariuszami, którzy z utęsknieniem czekali na chwilę, kiedy będą mogli przystąpić do działania. Lina wiedziała już, jakie rozkazy kryją się w takim spojrzeniu. Był to jedyny moment, w którym jej ciało się poddawało. Nie potrafiło nic zdziałać wobec dwóch czy trzech par uzbrojonych ramion. Mogła tylko pragnąć, żeby poszło szybko, żeby straciła przytomność albo żeby ten raz był już ostatni.

Śledczy doskonale wiedział, o czym mówi. Śledztwo trwało w przypadku Liny prawie cztery miesiące, w trakcie których nie zdarzył się ani jeden dzień bez przesłuchań, ciosów, wezwań o północy, karceru, grózb. Wszystkie działania mające zastraszyć Linę kończyły się w ten sam sposób, tymi samymi słowami: „Przyznaj się do winy”. Bywały dni, kiedy śledczy wpadał we frustrację, spotykając się z upartą odmową więźniarki. Przez tę sprawę przewinęli się czterej sędziowie. W pamięć Liny wryły się nazwiska wszystkich: Zubow, Malikow, Bielow i Riumin. Każdy z nich prezentował inną strategię, choć wszystkie one kończyły się tak samo: ciałem leżącym na podłodze celi,

posiniaczonym, obolałym i krwawiącym, a jednocześnie wdzięcznym za to, że tym razem pałka oprawcy nie trafiła w nerw kulszowy, bo wcześniej takie ciosy na kilka dni albo nawet tygodni czyniły Linę bezwładną. Nie wiedziała tego, ale śledczy zakładali się między sobą, któremu uda się w końcu wycisnąć z Liny Prokofiew przyznanie się do winy. Siła jej charakteru stała się trofeum, o które zażarcie walczyli uczestnicy zawodów, uświadamiając sobie wciąż na nowo, że muszą się jeszcze bardziej postarać.

Pewnego razu zamknięto ją w karczerze – celi, w której było wyłącznie światło i pluskwy. Przez siedem dni nie dawano jej wody ani jedzenia, nie pozwalano też zamknąć oczu. Kiedy próbowała spać, zjawiał się strażnik, który na nią krzyczał, potrząsał nią albo bił. Kiedy przychodzili po nią, żeby ją zabrać na przesłuchanie, kazali jej klęczeć przed śledczym, który właśnie zasiadał do jedzenia. Choć raz nie zmuszali jej wtedy do opuszczania wzroku, wręcz przeciwnie, kazali jej podnieść oczy i patrzeć na rozstawione na stole potrawy. Widziała duży dzbanek z wodą, butelkę wina i smakowity stek z polędwicy, dokańczany właśnie przez śledczego. Kazali jej trwać w tej pozycji przez cały czas potrzebny panu sędziemu do skończenia posiłku. Kiedy już się najadł, wstał i wyszedł z gabinetu. Wrócił po pięciu godzinach, żeby powtórzyć podobne czynności w porze kolacji. Dopiero kiedy skończył wieczorny posiłek, zaczął przesłuchiwać Linę, której w tym czasie pragnienie posiekało już gardło jak nóż. Spuchnięty język kłuł ją i ranił, ilekroć nim poruszyła. Ledwo widziała to, co znajdowało się przed nią, gdyż odwodnienie i nadmiar światła wysuszyły jej oczy. Była bliska omdlenia, ale jej słuch jeszcze działał sprawnie. Brak snu, pragnienie, światło, zmęczenie fizyczne, głód – wszystko to sprawiało, że Lina znalazła się na skraju załamania. Wiedziała, że w każdej chwili może stracić przytomność. Kazali jej usiąść na krześle, ale polecili, żeby siedziała na samym brzeżku.

– Dalej, jeszcze dalej. O, tak.

Po kilku minutach Lina zrozumiała, że nawet najmniejsze detale pobytu w więzieniu Lefortowo są tak obmyślane, żeby aresztant jak najbardziej cierpiał. Intensywny ból kości ogonowej, który teraz czuła, był tego dobrym przykładem. Ale mimo wszystko wciąż gotowa była stawiać opór, zachować swoją integralność, a jeśli miałyby to ją doprowadzić do śmierci, gotowa była i na to. Starła się koncentrować na zasadach Chrześcijańskiej Nauki: „Problemy ludzi są czystą fantazją, którą umysł powinien pokonać. Cierpienie nie istnieje, to rzecz czysto fizyczna, którą można zwalczyć za pomocą umysłu”. Była to jej jedyna broń – umysł. Na skutek tortur była jednak zubożniała i pozbawiona mechanizmów obronnych potrzebnych do ratowania ciała.

– Czy pani nie rozumie, że odmawiając przyznania się i podpisania zeznania, stawia mnie pani w niewygodnej sytuacji? Co o mnie pomyślą moi przełożeni? Powiedzą, że jestem za miękki, że nie umiem wykonywać swojej pracy, że być może pokonał mnie podziw dla muzyki Prokofiewa.

Lina zachowywała milczenie. Zrozumiała, że odpowiadanie na pytania mające charakter gróźb czy na te, które są insynuacjami, na nic się nie zda. Takie pytania były jedynie zapowiedzią kolejnych tortur.

– I znów mamy problem. Mój towarzysz – śledczy Riumin spojrzął na drugiego sędziego, który postanowił tym razem nie czekać na swoją kolej, tylko znalazł się od razu

w tym samym pokoju – jeszcze raz przeczyta pani zarzuty, które są pani stawiane, a potem przeczyta pani przyznanie się do winy. Mamy nadzieję, że tym razem podpisze je pani w obecności świadków, żeby nikt nie miał wątpliwości co do prawdziwości podpisu.

Śledczy zaczął wymieniać zarzuty, które Lina już nieraz słyszała. Natasza powiedziała jej, że w więzieniach nie odsiada się wyroku, ale Lina zaczęła w to wątpić. Głosy, spojrzenia, ton, a w szczególności rutyna działań stawały się torturą cięższą niż uderzenia torbami piasku – które miały nie zostawiać śladów – czy grad kopniaków spadających na jej ciało.

W połowie odczytywania zarzutów sędzia śledczy wpadł w szal wobec milczenia Liny i jej biernego oporu. Podbiegł do krzesła, na którym siedziała więźniarka, i jednym silnym kopniakiem zwałił ją na podłogę. Podniósł ją gwałtownie i podstawił jej twarz pod silniejszy niż zwykle strumień światła.

– Masz mi odpowiadać na każdy zarzut, który został sformułowany. Będiesz mi je po kolei wyjaśniać, a jeśli nie chcesz mówić, zacznę obcinać ci palce, jeden po drugim, u rąk, a potem u nóg. A potem obetnę ci nogi, ramiona, uszy, wydlubię ci oczy, wyrwę pojedynczo każdy ząb. I nie będziesz pierwszą kobietą, której wyciągnę jelita tą drogą, o której właśnie myślisz. Ale mogę cię zapewnić, że tej nocy wyjdę stąd z twoim zeznaniem, albo w ogóle nie wyjdę.

Wrzaski śledczego Riumina ogłuszały ją. Wyrwał akta Liny z rąk drugiego śledczego i zaczął sam głośno czytać, z ustami przyklejonymi do jej ucha. Najmniejszy znak, że chciałyby oderwać ucho od twarzy śledczego, kontrowany był silnym uderzeniem w głowę. Riumin kazał drugiemu śledczemu zająć miejsce przy drugim uchu aresztantki i równie głośno krzyczeć. Ten sposób dręczenia był dla Liny czymś nowym i okazał się wielce skuteczny.

– Jest pani oskarżona o próbę ucieczki za granicę. Po raz ostatni w 1946 roku. Co ma pani do powiedzenia?

Lina postanowiła odpowiedzieć, głównie dlatego, że chciała, by przestali jej dziurawić bębenki.

– Nie próbowałam uciekać. Chciałam tylko odwiedzić matkę. Jest bardzo chora i stara, żyje samotnie w Paryżu. Dlatego podjęłam oficjalne kroki, żeby otrzymać pozwolenie na podróż do Francji.

Kiedy śledczy był niezadowolony z wyjaśnienia albo uważał, że jest zbyt krótkie lub niedostatecznie szczegółowe, uderzał w krzesło albo w ciało Liny – co pierwsze nawinęło mu się pod rękę – żeby zmusić ją do dalszych zeznań.

– Nie próbowałam uciec. Nigdy tego nie robiłam. Przybyłam do Związku Radzieckiego z mężem, Siergiejem Prokofiewem, w 1936 roku z własnej woli. Następnie przyjąłam radzieckie obywatelstwo.

– W 1937 i 1938 roku wyjechaliście oboje za granicę, między innymi do Stanów Zjednoczonych, gdzie spiskowaliście przeciwko naszej ojczyźnie.

– Nie! Było akurat całkiem przeciwnie! Mówiliśmy dobrze o Związku Radzieckim w każdym wywiadzie dla prasy, na każdym koncercie, na każdej uroczystości. Zawsze dobrze mówiliśmy o tym, co się dzieje w Związku Radzieckim, zawsze.

– Zamierzaliście tam zostać, zdezerterować.

– Nie, nie, to nieprawda. Nasi synowie byli tutaj, w Moskwie. Nigdy nie planowaliśmy zostać, mimo kontraktów, które proponowano mojemu mężowi.

– Współpracowała pani z mężem przy wszystkich jego przestępczych i zbrodniczych czynach, wywożąc z kraju ważne informacje i dewizy. Macie zdeponowane za granicą wielkie ilości pieniędzy, które służą do finansowania zdradzieckich działań przeciwko naszej ojczyźnie.

– To nieprawda. Nic nie mamy. Mój mąż nic złego nie zrobił, ja też nie. Zdecydowaliśmy tylko zgodnie, że przyjedziemy i zamieszkamy z rodziną w Moskwie, tak jak nas prosiły od lat radzieckie władze. Nic innego. Proszę...

– Jest pani oskarżona o kradzież tajnych dokumentów z Informbiura. W jakim celu je pani wykradła? Dla którego z obcych mocarstw pracowała pani, próbując zdestabilizować władzę naszej partii?

– Dla żadnego. Pracowałam tylko jako tłumaczka. Robiłam to w domu. Poleciał mnie do tej pracy pisarz Aleksander Afinogienow. Pracowałam w domu, a do siedziby głównej Sowinformbiura chodziłam tylko po to, żeby odebrać kolejne powierzane mi zlecenia. Nawet mnie nie wpuszczali do środka, do biur.

– Z kim pani się tam spotykała? Proszę podać nazwisko.

– Z nikim się nie spotykałam. Wręczali mi różne teczki pełne kartek jednostronnie zapisanych i kazali mi wpisywać na odwrocie tłumaczenie. To był papier brulionowy. Wyjaśnili mi, że w ten sposób oszczędza się papier. Robiłam tak, jak mi kazali. Nigdy nie ukradłam żadnego dokumentu. Wszystko oddawałam, kiedy tłumaczenia były gotowe.

Śledczy podetknął jej tuż przed oczy jakieś pismo. Nie potrafiła nawet stwierdzić, co w nim było, ale sędziemu to najwyraźniej nie przeszkadzało.

– Poznaje pani ten dokument? Widziała już go pani wcześniej? To jeden z rękopisów, które pani ukradła i przekazała swoim zagranicznym przyjaciółom z ambasad niemieckiej, brytyjskiej i amerykańskiej.

– To nieprawda, ja niczego nie ukradłam. Nic nikomu nie przekazywałam – krzyknęła Lina. Ogłuszona wrzaskami, oszołomiona rytmem przesłuchania i skrajną bliskością dwóch śledczych, których usta niemal dotykały jej uszu, odruchowo przybrała taki sam ton jak przesłuchujący ją funkcjonariusze.

Przed jej oczami pojawiła się kolejna kartka, tym razem w kolorze sepia, zapisana na maszynie. Znowu nie mogła rozpoznać ani słowa. Dokument był zbyt blisko jej twarzy, a ręce śledczego uniemożliwiały jej odsunięcie głowy do tyłu, żeby móc cokolwiek przeczytać.

– Wręczyła pani ten list od inżyniera Szestopala jego żonie, Susannie Rozenberg. Po co? Co panią z nią łączyło?

– Susanna była moją przyjaciółką. Zrobiłam tylko tyle, że zaniiosłam list Fanny Chipman, żonie sekretarza ambasady Stanów Zjednoczonych, żeby go wysłała. Miała wyjechać za granicę, więc list doszedłby szybciej.

– Przeczytała go pani?

– Tak, nic szczególnego w nim nie było. Chodziło o zwykłe domowe sprawy, jak to w małżeństwie.

– Skoro to był list prywatny, po co go pani czytała? Zrobiła to pani, żeby zapoznać



się z treścią i przekazać ją zagranicznym agentom.

– Nie, nie wiem, dlaczego go przeczytałam. Nie pamiętam. To było bardzo dawno.

– Czy nie jest prawdą, że list zawierał tajne informacje rządu radzieckiego? Pani i Susanna gromadziłyście dane szpiegowskie. Niech pani się przyzna!

– Ale jakie dane? Naprawdę nie było żadnych danych. To był zwykły list.

– Niech pani nie kłamie! – znów wrzasnął śledczy, tym razem jeszcze głośniejszym głosem. – Sam Szestopal przyznał się podczas przesłuchania. Zeznał, że list zawierał informacje na temat fabryki w mieście Gorki i że zarówno jego żona, jak i pani zajmowałyście się szpiegostwem na rzecz Stanów Zjednoczonych. Nie ma sensu zaprzeczać. Wiemy wszystko.

– To nieprawda! Nigdy nie byłam szpiegiem. – Lina nie mogła już dłużej tego znieść. Wiedziała, że cokolwiek powie, i tak ich to nie przekona ani w żaden sposób nie pomoże jej się obronić. Po prostu zadawano jej jeszcze jedną męczarnię, z którą mierzyła się, jak potrafiła, podobnie jak robił zapewne Szestopal: jeśli rzeczywiście oskarżył ją o szpiegostwo, musiało się to stać pod wpływem przemocy i tortur. Była to zwyczajna kolej rzeczy.

– Jakie stosunki łączyły panią z sekretarzami ambasady Stanów Zjednoczonych, Norrisem Chipmanem i Frederickiem Reinhardtem? Dlaczego utrzymywała pani kontakty z urzędniczką ambasady brytyjskiej, Anną Holdcroft?

– To byli po prostu przyjaciele. Fanny Chipman poznałam w Paryżu wiele lat temu, jeszcze zanim wyszła za Norrisa. A Fredericka Reinhardta poznałam w domu Chipmanów w 1939 roku.

– A więc przyznaje się pani do utrzymywania przestępczych kontaktów.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– O czym rozmawiałyście podczas pierwszego spotkania?

To pytanie wprawiło ją w konsternację. Niemożliwością było przypomnieć sobie, czego dotyczyła banalna rozmowa prowadzona ponad dziesięć lat wcześniej. Ale Lina uważała, że absurdem jest tłumaczyć to natarczywemu śledczemu. Była przekonana, że nawet jej nie wysłucha i że wśród papierów, które zgromadzono w jej aktach, na pewno jest już spisane jej zeznanie.

– Nie pamiętam. Nie potrafię sobie przypomnieć.

– Nie potrafi pani czy nie chce? A ja sobie mówię: właśnie wtedy zaczęły planować, w jaki sposób zdestabilizować naszą władzę.

Lina ograniczyła się do przeczącego pokręcenia głową. Osiągnęła już kres mentalnej odporności.

– Po co umówiła się pani z Anną Holdcroft na dzień przed pani zatrzymaniem? Jakimi dokumentami się wymieniliście? Czy to prawda, że właśnie z nią planowała się pani spotkać u siebie w domu dwudziestego lutego? Proszę odpowiadać!

– To moja przyjaciółka. Miała mi pomóc zdobyć prezent dla mojego syna. Są jego urodziny... – Jeszcze zanim skończyła to zdanie, uświadomiła sobie błąd, który popełniła, wspominając o synu. Do tej pory imię Światosława ani Olega nie padło ani razu podczas któregośkolwiek z przesłuchań, inaczej niż imię Sergieja, które owszem, było nieraz wymieniane. Przeklinała siebie za tę gafę, choć nie wynikała przecież z jej winy. Naciski,

krzyki, przekręcanie wszystkiego przez śledczych tak bardzo ją oszołomiły, że nie była w stanie zastanowić się nad własnymi słowami, zanim je wypowiedziała. A jeszcze trudniej przychodziło jej przewidzieć, w jaki sposób śledczy mogliby poprzekręcać jej wyjaśnienia. Śledczy Riumin natychmiast wykorzystał mimowolne potknięcie Liny i zrobił to z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Poczuł, że wreszcie udało mu się dotrzeć tam, gdzie tak długo nie mógł się dostać. Był już bardzo blisko wygrania zakładu z kolegami.

– A więc pani syn Światosław też jest zamieszany w ten przestępczy związek?

– Nie ma z tym nic wspólnego! Jaki przestępczy związek? Nie ma żadnego przestępczego związku – krzyczała, starając się zetrzeć imię syna z ust przesłuchujących ją mężczyzn.

W tej chwili zgodziłyby się na wszystko, byle tylko przestali to imię wymieniać. Spokój i uległość, rządzące do tej pory jej zachowaniem, zniknęły. Ciało Liny zaczęło się trząść z wściekłości i bezsily, jakby tortura rażenia prądem elektrycznym, stosowana wobec innych więźniów, dotknęła także jej.

– On nie ma z tym nic wspólnego. Zostawcie w spokoju mojego syna!

– To pani właśnie go w to wplątała. Są świadkowie – dodał, wskazując na drugiego śledczego oraz czterech strażników o wyglądzie zbirów, którzy przez cały czas towarzyszyli im w pokoju, a teraz zaczęli się zbliżać, żeby chwycić więźniarkę w swoje łapy. – Nawet nie musieliśmy tknąć pani palcem, żeby uzyskać tę cenną informację.

– Kłamie pan! Niczego takiego nie powiedziałam. Pan mi to próbuje wmówić. To kłamstwo, wszystko jest kłamstwem. Chcecie, żebym się przyznała do czegoś, co nie istnieje, czego nie zrobiłam, co jest tylko wytworem waszej wyobraźni. A ja nie mam zamiaru tego zrobić. Nigdy!

– Jeszcze zobaczymy – powiedział Riumin, przybierając znów spokojny ton, jak na początku przesłuchania; usiadł za swoim biurkiem i zaczął coś pisać w papierach. – Odprowadzić ją.

Lina nienawidziła tego zdania, ale tym razem bardziej obawiała się tego, co śledczy mógł notować w raporcie. Była pewna, że pospieszywszy się z odpowiedzią, właśnie wydała wyrok na własnego syna – przez bezsensowny zapał do udokumentowania swojej niewinności za pomocą rozmaitych szczegółów. Kiedy znów wróciła do mikroskopijnej celi, zżerało ją poczucie bezsilności i wyrzuty sumienia. Męczył ją tak silny niepokój, że niemal nie potrafiła oddychać, a tym bardziej myśleć. Świadomość, że Światosław mógłby przechodzić przez to samo piekło, w którym ona się znalazła, rozszarpywała jej wnętrze.

Minęło ponad piętnaście dni, podczas których Lina była pozbawiona kontaktów z kimkolwiek, nawet ze strażnikami, niezwracającymi uwagi na jej błagania o jakąkolwiek wiadomość, co się dzieje. Przez cały ten czas ani razu nie usłyszała ludzkiego głosu. Jedynym dźwiękiem, który docierał do jej uszu jako dokuczliwa tortura, był nieustający hałas, doprowadzający ją do szału, a pochodzący z tuneli łączących budynek więzienia z Głównym Instytutem Aerodynamiki. Był to ciągły szum, od którego można było zwariować. Lina słyszała też odgłosy szczególnego sposobu kontaktu pozostałych więźniarek rozlokowanych w celach. Stukały one różnymi przedmiotami

w rury centralnego ogrzewania, w okienne kraty albo w ściany, żeby w ten sposób porozumieć się z innymi, zostać wysłuchaną i uzyskać informacje. Jedna z kobiet wyjaśniła kiedyś Linie, że poszczególne kombinacje uderzeń odpowiadają literom rosyjskiego alfabetu, ale jej głowa nie była w stanie rozszyfrować galimatiasu odgłosów, ponieważ zajmowały ją mnożące się wątpliwości, lęki i podejrzenia. Wtedy po raz pierwszy poczuła się jak zwierzę w klatce, któremu odmawia się jakiegokolwiek współczucia i które nie zasługuje na jakąkolwiek troskę. Stała się niewidzialnym przedmiotem. Przestała istnieć nawet dla sędziów śledczych i dla swoich prześladowców. Nie było nikogo, kto zadałby sobie trud dalszego straszenia jej, obrzucania obelgami, bicia czy wyciągania z niej jakichś słów, choćby całkowicie fałszywych. Przyszło jej do głowy, że jeśli umrze w tym miejscu, nikt się o tym nie dowie. Może zwróci czyjąś uwagę dopiero zapach rozkładającego się ciała, ale tego też nie była pewna. Nie miała czucia w dłoniach i palcach na skutek długotrwałego uderzania rękami w ściany i drzwi celi. Błagała, żeby ktoś jej powiedział, co się dzieje. Straciła głos, opadła z sił, nie miała już łez, prawie nie była w stanie oddychać. Jej życie zamieniło się w długie i daremne oczekiwanie na coś, czego wcale nie pragnęła.

W końcu po nią przyszli. Dwóch mężczyzn zaprowadziło ją do tego samego pomieszczenia, w którym była dwa tygodnie wcześniej. Śledczy Riumin czekał na nią, stojąc za biurkiem. Przyglądał jej się przez kilka chwil, czego nie zwykł robić w przypadku innych zatrzymanych wchodzących do gabinetu. Na widok pożałowania godnego stanu więźniarki na twarzy Riumina pojawił się wyraz uznania dla jego własnych metod pracy i strategii stosowanej wobec aresztantów. Wydał polecenie, żeby posadzono ją przed nim.

Znów ten niepokojąco sympatyczny głos. Śledczy, który wcześniej już usiadł, wstał, okrążył biurko i przysiadł na nim, sadowiąc się dokładnie na wprost Liny. Miała opuszczony wzrok, tak jak ją nauczono. W zadziwiającym geście Riumin chwycił dzbanek z wodą, napełnił szklankę i podał więźniarce, która przyjęła ją potulnie.

– Wie pani, ile waży kula? – spytał śledczy Riumin, pokazując jej pocisk i zmuszając ją do przyjrzenia mu się.

Przyglądała się więc. Był koloru pośredniego między złotym a żółtym. Uwagę Liny zwrócił bijący od naboju blask. Pomyślała, że Riumin musiał wcześniej poświęcić trochę czasu na wypolerowanie go. Potem wbiła wzrok w jego twarz. Oblicze śledczego Riumina – jako jedno z niewielu, które napotkała w tym piekle – przez długie lata pozostawało w jej pamięci. Był to człowiek szczególnie okrutny, choć maskował swój sadyzm grzecznymi formami i łagodzącym tonem głosu, jakże dalekim od krzyków i wyrzaskiwanych komend. Stracił panowanie nad sobą zaledwie dwukrotnie: pierwszej nocy splunął jej w twarz, co wyprowadziło Linę z równowagi, a kilka miesięcy później skopał ją po nogach i brzuchu, zirytowany oporem tej drobnej i na pozór kruchej kobiety, odmawiającej podpisu pod przyznaniem się do winy. Ale tamtego wieczoru Riumin był opanowany, spokojny, aż nadto wstrzemięźliwy. Bała się tego tonu. Wiedziała, że ze spokoju śledczego nie może wyniknąć nic dobrego. Uparcie wypytywał ją, czy wie, ile waży pocisk, który trzymał w palcach. Pytanie nie miało sensu. Skąd Lina miałaby to wiedzieć?

– Dziewięć gramów. A wie pani, ile miejsca zajmuje w tyle głowy człowieka? Tyle co nic. Chociaż to zależy od konkretnego ciała, w które się go wstrzeliwuje. Pani na przykład ile ma lat? – Czekał, aż Lina poda swój wiek, czyli pięćdziesiąt dwa lata. – Może w pani przypadku kula przesunie się trochę na bok głowy, bo mięśnie i kości są już dotknięte zaawansowanym procesem starzenia się. Nie jest pani młodką, mówiąc dokładnie. Ale w głowie osoby dziewiętnasto- albo dwudziestoczteroletniej jest inaczej. W takich przypadkach widywałem nawet, jak kula eksploduje wewnątrz głowy, skracać ból i przyspieszając śmierć rozstrzeliwanego.

W ciągu nie więcej niż pięciu sekund wyraz twarzy Liny całkowicie się zmienił. Śledczy nieprzypadkowo wymieniał te liczby. Dwadzieścia cztery i dziewiętnaście lat – w takim wieku byli Światosław i Oleg.

– Ale, tak jak powiedziałem, każdy człowiek na świecie i każde ciało może być przedmiotem różnych eksperymentów. Jestem gotów to pani zademonstrować – powiedział Riumin, wstając i gestem ręki dając jakiś znak jednemu ze swoich ludzi.

– Nie! – krzyknęła przerażona Lina.

– Dlaczego? To dla mnie żaden problem. Są tutaj, obok – potwierdził śledczy, wskazując głową ścianę znajdującą się za Liną i dając jej do zrozumienia, że jej synowie są przetrzymywani w przyległym pokoju.

– Proszę, nie może pan...

– Oczywiście, że mogę – rzucił, wkładając w te słowa całe poczucie przewagi, jaką dawała mu jego pozycja i sytuacja ich obojga. Zbliżył się do Liny i znów usadowił się przed nią. – A pani też może wyobrazić sobie scenę, której żadna matka nie będzie w stanie zapomnieć do końca życia, a tym bardziej wybaczyć sobie, że nie chciała jej zapobiec. Bo jest pani jedyną osobą, która może nie dopuścić do tego, co za chwilę ma się wydarzyć z pani synami.

– Proszę... – Po raz pierwszy od czasu, kiedy ją zatrzymano, zwróciła się do swoich prześladowców z błaganiem. Nie miało to dla niej znaczenia. Jeśli mogła uratować życie chłopców, była gotowa zrobić absolutnie wszystko.

– Ja nie oddaję przysług, Lino... – Także on po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Był już bardzo blisko celu, wiedział to. Był doskonałym strategiem. Przyglądał się jej przez kilka sekund, podczas których zobaczył w jej oczach zbliżającą się klęskę kobiety. – Ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek, o ile też będziesz chciała współpracować. Przysługa za przysługę – powiedział, podsuwając jej kartkę, która leżała na stole. – Podpisz przyznanie się do winy, a ja ci obiecuję, że wsadzę twoich synów do samochodu, którym tu przyjechali, i odwiezę ich na ulicę Czkałowa.

Lina nie spuszczała z niego wzroku. Zadawała sobie pytanie, ile razy zastosował już tę samą taktykę, żeby przekonać swoje ofiary do podpisania tego, co miały podpisać. Nie miała sposobu, żeby się dowiedzieć, czy to, co Riumin mówi, jest prawdą, czy nie, czy jej dzieci istotnie są w sąsiednim pokoju i czy rzeczywiście zostaną odesłane do domu, ale znając sposób postępowania śledczego, nie miała jakichkolwiek wątpliwości co do realności tego brutalnego szantażu. Te wątpliwości były wypisane na jej twarzy i Riumin je dostrzegł. Nigdy jeszcze nie był tak blisko złamania woli odpornej więźniarki.

– Podpisz, Lino. Wiemy, że nie jesteś szpiegiem. Ale tak wyglądają sprawy. Nic

nie możemy poradzić. To nie jest sprawa osobista. Podpisz i uratuj życie synom. Tylko o tym powinnaś myśleć. Tylko to ci pozostaje.

Popatrzyła na niego z taką samą dozą wyrozumiałości co rezygnacji. Pragnęła tylko jednego: żeby Riumin dotrzymał słowa. Nie miała żadnej gwarancji, ale nie mogła też jej wymagać. Przez kilka chwil zadawała sobie pytanie, dlaczego na Łubiance nie zastosowano wobec niej tej sztuczki zamiast uderzeń, przypaleń, pozbawiania snu, picia, jedzenia. Chwyciła palcami obsadkę. Dwukrotnie jej wypadła. Trzęsła się jej ręka, trzęsło się w gruncie rzeczy całe ciało. Riumin pomógł jej zamoczyć stalówkę w jednym z kałamarzy. Na biurku stały zwykle dwa, w jednym atrament był rozwodniony. Podsuwano go więźniom, kiedy chcieli napisać jakąś skargę. Do drugiego nalewano normalny atrament – do podpisywania zeznań. Śledczy nie chcieli, żeby więźniowie przekonani już do podpisania musieli parokrotnie powtarzać składanie podpisu, ponieważ na papierze nie zostawał po nim ślad.

– Czy mogę mieć pewność, że moich dzieci nie spotka krzywda? – spytała, zanim drżącą ręką złożyła podpis.

– Nie, nie może pani – odpowiedział szczerze sędzia śledczy Riumin, który znów przestał mówić do niej na ty. – Ale nie zrobię im nic złego. Dzisiejszą noc prześpią u siebie w domu, a pani też będzie spała o wiele spokojniej. Wszystko się skończyło.

Lina nie wiedziała dokładnie, co miało się skończyć. Była przekonana, że poczynając od tej chwili, po podpisaniu przyznania się do winy, jej życie będzie biegło całkiem inaczej niż dotychczas. Być może uratowała życie synów, ale ona sama była już stracona. Pozostało jej tylko czekać, aż się dowie, w jaki sposób każą jej zapłacić za jej rzekome przestępstwo i do którego łagru ją wyślą. Pośród tych rozważań usłyszała znów głos Riumina. Tak jak się obawiała, nic się nie skończyło. Wszystko się zaczynało.

– Jest jeszcze jedna sprawa – oświadczył sędzia śledczy, kładąc przed nią nową kartkę papieru. Podobnie jak poprzednio Lina nawet nie przeczytała tekstu. Była gotowa podpisać wszystko, żeby ratować życie synów. Ten nowy formularz był znany jako druk 206 – chodziło o oświadczenie oskarżonego, że nie ujawni nikomu metod stosowanych w śledztwie. Brak podpisu pod tym oświadczeniem mógł oznaczać dołożenie zarzutu o kolejne przestępstwo, następne aresztowanie i nowe postępowanie wyjaśniające z powtórным zastosowaniem tych wszystkich metod, którym druk 206 miał uniemożliwić wyjście na światło dzienne. Nikomu nie było wolno opowiadać, co działo się na Łubiance czy w więzieniu Lefortowo. Niepodpisanie formularza powodowało rozpoczęcie wszystkiego od nowa, nawet zanim się jeszcze skończyło. Lina podpisała dokument w duchu takiej samej uległości, z jaką złożyła podpis pod poprzednim. Nie wiedziała zresztą, czy w ogóle będzie miała kiedyś okazję opowiadać komukolwiek o śledztwie.

Kiedy skończyła już wszystko podpisywać, poczuła, że ciało przestaje do niej należeć. Miała też wrażenie, że jej dusza pęka na dwoje i w przerażeniu oddała się od niej, obserwując ją spod sufitu – niewątpliwie zawstydzona tym, co Lina zrobiła.

– Lino, niech pani na mnie spojrzy. – Przez chwilę miała wątpliwości, czy to głos śledczego Riumina. Musiała wpatrywać się w ruchy jego warg, żeby nabrać w tej sprawie pewności. Mówił jeszcze ciszej niż zwykle, nawet ciszej niż wówczas, gdy był całkiem rozluźniony. – Pani sobie mnie nie przypomina, prawda? – spytał. Udało mu się tym

pytaniem zasiać w umyśle Liny, i tak już oszołomionym i otępiałym, ziarno dodatkowego zamieszania. – Spotkaliśmy się na premierze filmu *Aleksander Newski*.

Sama wzmianka o tym wydarzeniu zmała wzrok Liny; nie wiedziała, jak uciec od terażniejszości, która trzymała ją w kleszczach, do przeszłości, która wydawała się wyzwoleniem i o której mówił jej teraz Riumin. Niczego nie rozumiała.

– Byłem jednym z tych, którzy tamtej nocy gratulowali pani mężowi i pani także, oczywiście po tym, jak zrobił to towarzysz Stalin. Kiedy mówiłem pani przedtem, że to nie jest sprawa osobista, byłem szczery. Jestem wielkim miłośnikiem Prokofiewa i pani. Słuchałem pani wiele razy w radiu, w koncertach nadawanych z Filharmonii Moskiewskiej i w innych, z orkiestrą z Archangielska. Podobał mi się pani głos. Zawsze, kiedy podczas pani pierwszej oficjalnej wizyty w Rosji widziałem panią na zdjęciach publikowanych w gazetach, niemal codziennie, uważałem panią za kobietę piękną, elegancką, ogromnie tajemniczą. – Zamilkł na kilka chwil. – Czasami życie przenosi nas w miejsca, które nam nie odpowiadają, i nie możemy na to nic poradzić; pozostaje pogodzić się z losem. Chciałbym, żeby pani to wiedziała. Nie sądzę, żebyśmy się mieli jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Przez kilka sekund Lina słyszała, jak kroki śledczego odbijają się echem w całym pomieszczeniu. To ostatnie wyznanie Riumina zasiało w niej jeszcze większą niepewność i jeszcze bardziej niszczące poczucie rozczarowania ludzką naturą. „Już po wszystkim. Skończyło się. Właśnie podpisałam swój wyrok śmierci”. Riumin nie kłamał. Lina właśnie wtedy poczuła się spokojniejsza.

Sześć miesięcy później, 1 listopada 1949 roku, Lina została wprowadzona na salę sądową, po to żeby trybunał zakomunikował jej wyrok. Z nadzieją w oku rozglądała się za swoimi synami, Światosławem i Olegiem, i za kimś z przyjaciół. Pragnęła nawet, żeby w jakimś miejscu sali jej oczy zdołały wypatrzeć sylwetkę Siergieja. Ale było to niemożliwe, nikt nie wiedział, że miała być osądzona. Nawet synowie nie zdołali ustalić niczego w sprawie miejsca pobytu matki od czasu, gdy biuro informacyjne przy ulicy Kuźnieckiej zakomunikowało im, żeby więcej nie zgłaszali się z jakimikolwiek pytaniami, ponieważ aresztantka 3939 kilka miesięcy wcześniej opuściła już więzienie na Łubiance. Bezużyteczne okazały się wszelkie instancje i wszystkie procedury mogące pomóc w zdobyciu informacji o miejscu przebywania Liny – choćby po to, żeby przekazać jej paczkę z ubraniami czy artykułami pierwszej potrzeby albo zwykły list, ponieważ wizyty były zabronione. Nawet Prokofiew nie był w stanie dowiedzieć się, gdzie jest Lina. Również Wasilij, syn Frosi, nie zdołał ustalić, dokąd została przeniesiona. Wszystko, co dotyczyło Liny Prokofiew, było okryte upartym milczeniem, którego przerwanie mogło pociągać za sobą surowe represje. Dlatego też musiała w samotności stawić czoło wyrokowi – tak jak samotnie musiała znosić wszystko, co ją spotkało od chwili zatrzymania 20 lutego 1948 roku.

Jej proces trwał niecałe piętnaście minut. Nie zdołała w tym czasie nic powiedzieć, musiała jedynie wysłuchać własnego zeznania odczytanego przez urzędnika, a potem wyroku sędziego, który skupił się na szczegółach rezolucji uchwalonej nieco wcześniej, 16 października 1949 roku, przez komisję nadzwyczajną Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego ZSRR.

„Obywatelka Lina Iwanowna Prokofiew, urodzona w Madrycie, Hiszpania, 20 października 1897. Na mocy artykułu 58, punkt pierwszy, *Kodeksu karnego* Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej zostaje skazana na dwadzieścia lat pozbawienia wolności i ciężkich robót w obozie poprawczym oraz konfiskatę całego mienia”.

Lina nie spotkała się wcześniej z zarzutami szpiegostwa i zdrady ojczyzny wymienionymi w wyroku. Jej reakcja na odczytane przez sędziego słowa była natychmiastowa: głośny wybuch śmiechu, który zaskoczył członków sądu i odebrał im mowę. Była to jedyna odpowiedź, na jaką zasługiwał trybunał, który właśnie skazał ją na spędzenie reszty życia w nieludzkim, lodowym więzieniu. Wiedziała, że to, co przed chwilą usłyszała, tak naprawdę oznaczało wyrok śmierci. Nikt nie był w stanie wytrzymać dwudziestu lat ciężkich robót. A już szczególnie w łagrze, do którego miała zostać wysłana, zaliczanego do obozów o zastrzonym rygorze.

Następnego dnia rozpoczęła podróż do miejsca, które miało się stać jej nowym domem: republika Komi, obwód intyński, polarna wioska Abez, niedaleko miasta Workuta, na północ od sześćdziesiątego siódmego równoleżnika, pięćdziesiąt kilometrów na północ od arktycznego koła podbiegunowego. Osadę zbudowali więźniowie obozów. Nazwisko Liny miało zostać zapisane nad wąską szczeliną w ścianie budynku administracyjnego, służącą jako skrzynka pocztowa, obok numeru 388/16b.

W dniu, w którym Lina została skazana, na dacz w Nikolinej Górze Siergiej Prokofiew miał atak ostrej niewydolności krążenia mózgowego z towarzyszącym mu silnym krwotokiem z nosa. Obawiano się o jego życie. Lekarze zabronili mu pracować, kazali zwolnić tempo komponowania.

– Musi pan zrozumieć, że pańska sytuacja się zmieniła. Musi pan żyć inaczej. Nic już nie może być takie jak przedtem.

Podczas pobytu w szpitalu Siergiej zapisywał to, co dźwięczało mu w głowie, na pudełkach od lekarstw, które chował w szufladzie szafki nocnej, kiedy na horyzoncie pojawiali się członkowie personelu medycznego albo sama Mira.

Ale o tym, podobnie jak o wielu innych rzeczach, Lina dowiedziała się dopiero jakiś czas później.

<sup>38</sup> „Czornyj woron” – popularna nazwa budzących w stalinowskiej Rosji powszechny strach karetek więziennych; takimi karetkami przewożono m.in. ofiary zbrodni katyńskiej na miejsce egzekucji.

# CZEŚĆ PIĄTA

---

## *Gutağ*

Mylą się ci, którzy myślą, że pamięć nie potrafi się odradzać albo że upływ czasu zatrzyma wszelkie czyny i prawdziwy ból przeszłości. Że nasza planeta nadal będzie się obracać, dni i lata będą mijać. Obowiązek nakazuje dziś, żeby wszystko, co nie zostało jeszcze powiedziane, dopowiedzieć do końca.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

W naszym kraju gwałtowna śmierć zabiła człowieczeństwo nie w pojedynczych osobach, ale w milionach. Walec stalinowskiego terroru rozjechał niepoliczalną ilość istnień. A chrzęst ich kości nie przestanie nigdy rezonować w uszach wszystkich ludzi.

LEW E. RAZGON



Los wciąż szykował Linie najrozmaitsze okropności, jakby chciał zbadać granice jej bólu. Przez szczeliny w ścianach wagonu kolejowego, który wiozł ją z więzienia tranzytowego w Kirowie – gdzie spędziła kilka tygodni – do obozu w Abez, Lina zdołała przeczytać tablicę z nazwą miasta. Na ten widok miała ochotę zamknąć oczy, ale nie zrobiła tego. Napis głosił, że wjechali do Archangielska. Kiedyś śpiewała z tutejszą orkiestrą, nie wyobrażając sobie wówczas, że jej występu słucha sędzia śledczy Riumin, który ileś lat później skaże ją na życie w lodowym piekle. Archangielsk zawdzięczał swoją nazwę archaniołowi. Na tych zamarzniętych obszarach, gdzie teraz rozpościerała się wielka mapa Gułagu, przypadło jej miejsce na ziemi – w jednym z obozów koncentracyjnych, sarkastycznie nazywanych obozami pracy.

Jazda w wagonie kolejowym była jednym z najstraszliwszych doświadczeń, którego nie zapomnielibyśmy, nawet żyjąc kilka razy dłużej, niż żyją ludzie. Miliony więźniów zmuszano do podróży w potwornych warunkach w wagonach określanych jako *zaki*; tego określenia używali strażnicy, a pochodziło ono od słowa *zakliuczonnyje*, czyli więźniowie. Sami przymusowi pasażerowie tych wagonów nazywali je natomiast *stolypinkami*. Produkowane bowiem od roku 1902, upowszechniły się w czasach Piotra Stołypina<sup>39</sup>, ministra spraw wewnętrznych i premiera rządu za Mikołaja II. Podróż była prawdziwym koszmarem. Z ledwością starczało miejsca dla więźniów, co zmuszało ich do spędzania dni i tygodni w straszliwym tłoku, bez powietrza, jedzenia, wody i w nieludzkim zimnie.

Przejawem szczególnego okrucieństwa wobec więźniów było to, że strażnicy nie dawali im do jedzenia nic poza niewielkimi porcjami suszonej i solonej ryby – kawałkami śledzi lub sardeli pokrytymi warstwą grubej soli – oraz maleńkimi racjami kwaśnego chleba. Te pokarmy wzmagaly pragnienie, a w niektóre dni więźniowie nie dostawali nawet przysługujących im dwóch kubków brudnej wody. Miała ona zawsze zielonkawy kolor, który zawdzięczała resztkom pływającego po wierzchu smaru.

– To chyba gorsze od solankowych płukanek gardła, które mi robili na Łubiance – skomentowała jedna z więźniarek.

Jeśli nie dawano więźniom nic do picia, nie było też potrzeby prowadzić ich do ustępu – taka operacja mogła trwać długie godziny, bo chodziło o tysiące osób znajdujących się w transporcie. Czas był dokładnie wyliczony: dopuszczenie do ustępu setki więźniów zajmowało co najmniej dwie godziny i chociaż niektórzy strażnicy lubili się przy tej okazji zabawić, upokarzając ludzi, zasadniczo konwojenci nie lubili tego zadania. Zanadto byli zajęci zastraszaniem więźniów gwałtownymi i groźnymi okrzykami. „Jazda! Szybciej! Szybciej!”, „Wszyscy siadać na podłodze!”, „Rozbierać się!”, „Na kolana!”, „Złapać się za kostki!”, „Trzymać się za ramiona!”, „Wszyscy na zewnątrz! Lepiej nie być ostatnim!”, „Jak ktoś stracił przytomność, niech wysiada!”.

Konwoje stawały się skupiskami chorób, brudu, nieczystości. Wśród tego wszystkiego mężczyźni, kobiety i dzieci – także te urodzone przez kobiety, które były w ciąży w chwili zatrzymania – próbowali przeżyć podróż do obozu, co nie wszystkim

się udawało. Kiedy ktoś z więźniów umierał, a propozycja ukrycia zwłok po to, żeby reszta mogła nadal korzystać z racji żywnościowych zmarłego, nie znajdowała akceptacji większości więźniów, zawiadomieni strażnicy ograniczali się do wyciągnięcia trupa i pozostawienia go na śniegu. Nikt nie zadawał sobie trudu chowania nieboszczyków.

Jedyną czynnością, którą podejmowano, żeby zapobiec wybuchowi epidemii, mogącej stanowić dla wszystkich śmiertelne zagrożenie ze względu na straszliwe warunki sanitarne, była wymiana co trzy–cztery dni słomy wyściełającej podłogę wagonów. Zajmowali się tym sami więźniowie, którzy musieli podczas biegu pociągu otworzyć rozsuwane drzwi, rozbić śnieżną skorupę zasłaniającą powstały otwór i szybko wyrzucić brudną słomę, uważając przy tym, żeby nie wypaść na zewnątrz. Niektórzy wykorzystywali te operacje czyszczenia wagonów do popełnienia samobójstwa i wyskakiwali, bez lęku wybierając pewną śmierć jako najlepsze wyjście. Kiedy któryś z więźniów chciał im w tym przeszkodzić, było już na ogół za późno, a wszelka próba powstrzymania samobójcy mogła skończyć się wypadnięciem na zewnątrz jeszcze jednego ciała.

– Przynajmniej nie wsadzili nas do czerwonego pociągu – powiedziała jedna z więźniarek, o wyniszczonej twarzy i głęboko zapadniętych oczach, które jakby chowały się ze strachu.

Lina zwróciła na nią uwagę od pierwszych chwil. Kobieta wyglądała na bardzo kruchą, była skrajnie wychudzona i miała niezwykle jasne włosy. Najwyraźniej musiała się podobać któremuś ze strażników i to uchroniło ją przed ogoleniem. Ale jej wewnętrzna siła przewyższała siłę wielu mężczyzn przewożonych tym samym pociągiem. Lina była zaskoczona, kiedy zobaczyła, jak kobieta wykorzystwała swoją porcję chleba: wetknęła w nią kawałek papieru – swoisty list – na którym zapisała dla bliskich wiadomość, dokąd ją zabierają. Później wypchnęła chleb przez jedną ze szpar w ścianach wagonu.

– Jeśli ktoś to znajdzie, może się zlituje i wyśle list. Ludzie zawsze chętniej się schylą, żeby podnieść kawałek chleba niż po arkusik papieru – powiedziała.

– Jaka jest różnica między czerwonym pociągiem a tym, którym jedziemy? – spytała Lina.

– Z czerwonego pociągu możesz nie mieć okazji wysiąść. Takie pociągi nie kierują się do żadnego określonego celu. Jadą po torach tak długo, aż szyny się kończą i tam ludzie dołączają do milionów innych nieszczęśników. I budujesz nowy łagier. Czerwone pociągi dojeżdżają tam, gdzie nie ma nic, i wyładowują.

– Co wyładowują?

– Tych, którzy przeżyli. A zwykle przeżywa niewielu, bo warunki w czerwonych wagonach są jeszcze bardziej nieludzkie niż w *zakach*. Możesz mi wierzyć: ten pociąg, którym jedziemy, to luksusowy apartament. – Kobieta popatrzyła na Linę, jakby czegoś nie rozumiała. – Czy ty nie jesteś z artykułu 58? – spytała, mając na myśli kwalifikację prawną. – Dziwne, że cię nie wsadzili do czerwonego pociągu. Od paru miesięcy tych z 58. transportują w czerwonych. Widać musi być was dużo i nie wiedzą, jak utrzymać porządek.

W istocie Lina miała szczęście. Przynajmniej w jej wagonie strażnicy dopuścili się jedynie rabunku nielicznych przedmiotów osobistych, które wciąż jeszcze mieli przy

sobie więźniowie. Ale żadna kobieta nie została zgwałcona przez funkcjonariuszy ani przez więźniów, którzy im pomagali – jak to się zdarzało w innych wagonach tego samego pociągu. Kiedy ofiary przemocy próbowały protestować i składać zawiadomienia, odpowiedź dowódcy konwoju była równie jasna co okrutna:

– Państwo nie jest w stanie zapewnić każdemu z was indywidualnego środka transportu. Nasze zasoby są ograniczone, powinniście to już wiedzieć. Próbuje budować naszą ojczyznę. Nie możemy wydawać wszystkiego na was.

Lina postanowiła nie pytać już więcej tej więźniarki, która mimo młodego wieku sprawiała wrażenie bardzo doświadczonej. Ta rozmowa jej nie pomogła. Lina musiała pozostać silna, żeby wytrwać jak najdłużej się da w piekle, w które wstępowała na dwadzieścia lat. Choć była niemal pewna, że ten koszmar skończy się wcześniej, zdarzało się, że całkiem się załamywała. Trudno było z tym walczyć.

Po dojechaniu do łagru i opuszczeniu wagonu Lina doznała dziwnej i makabrycznej ulgi, jakiegoś niewytłumaczalnego poczucia wolności, fizycznego i mentalnego odprężenia. Półtora miesiąca trwało dotarcie do ostatecznego celu. Sześć długich i intensywnych tygodni, które w postaci nocnych koszmarów będą do niej powracać aż do końca życia. Przejechała tysiąc sześćset pięćdziesiąt pięć kilometrów dzielących Moskwę od Inty, a potem jeszcze sto sześćdziesiąt siedem kilometrów do obozu w Abesz. Spędziła zaledwie kilka tygodni w więzieniu tranzytowym w Kirowie, skąd zdołała wysłać telegram do synów, informujący ich o ostatecznym miejscu zsyłki. Obiecała im, że przekaże jakoś numer skrzynki pocztowej, żeby mogli do niej pisać, i zachęcała, żeby niezwłocznie rozpoczęli starania o pozwolenie na wizytę w obozie.

Pomimo zmęczenia, głodu i beznadziei cieszyła się, że jazda w wagonie dobiegła końca. Z ulgą przekroczyła bramę obozu. Zgotowane im przyjęcie nie było najlepsze z możliwych. Oszczędziłaby sobie widoku tego napisu, gdyby – wzorem innych więźniów – trzymała wzrok opuszczony, nie sprzeciwiając się rozkazom strażników. Ale nie była posłuszna i dlatego dostrzegła go: oto była tam i odebrała pierwsze zawiadomienie, co może ją czekać w miejscu, którego większość więźniów nie opuści inaczej, niż wychodząc do pracy, trwającej codziennie ponad dwanaście godzin. Poczła dreszcze, ale jej ciało było ciągle zmarznięte i przyzwyczajone do nieustannego doznawania zimna, więc nie przejmowała się tym. Tak naprawdę były to zwykłe slogany ułożone z liter z kutego żelaza umieszczone w środku żeliwnej ramy. Zapisane były w trzech językach. „Dla tych, którzy stąd nie wrócą” – pomyślała. Zastanawiała się, kto mógł być autorem zdań górujących nad wejściem do obozu i nad więźniami. „Rzetelną pracą spłacę dług wobec ojczyzny”. „Żelazną pięścią poprowadzimy ludzkość ku szczęściu”. „Wolność poprzez pracę”. „Praca w Związku Radzieckim to kwestia honoru, chwały, odwagi i heroizmu”.

Nie odbierała tego jako groźby ani jako znęcania się nad więźniami, ale po prostu jako zwykłą informację. W najgorszym wypadku umrze tutaj. Czasami bardziej przejmowała się myślą o tym, że obudzi się obok jakiegoś trupa o otwartych oczach, którymi będzie patrzył na nią, jakby ją naprawdę widział i jakby chciał ją ostrzec, że może być następna. Zdarzało jej się to już w trakcie podróży. Zdziwiła ją, jak łatwo istota ludzka przyzwyczaja się do cierpień i niewygód. Dla większości więźniów zmartwieniem

nie była śmierć, ale sposób umierania. Nie koniec życia, ale droga do tego końca prowadząca.

Wciąż jeszcze nie zapadł zmierzch i dzięki temu Lina mogła się rozejrzeć po miejscu, które przez dwadzieścia następnych lat ma nazywać domem. Nawet fioletowy kolor nieba, odbijający swoje refleksy w gładkiej i bezkresnej połaci śniegu okrywającego całą okolicę, nie był w stanie ani trochę upiększyć widoku. Przed Liną rozciągał się kompleks prostych budynków, pośród których wyróżniał się jeden, trochę większy, otoczony drewnianymi barakami jednakowego kształtu, różniącymi się jedynie tym, co było wypisane na kawałkach dykty przyczepionych do ich frontowych ścian. Wielkie litery wypisane białą kredą układały się w słowa: STOŁÓWKA, KARCER, ŁĄŻNIA, SZPITAL... Obóz otoczony był ogrodzeniem z drewnianych słupów, wysokich na kilka metrów i stojących mniej więcej co pięć metrów, pomiędzy którymi rozciągnięto drut kolczasty. Nad ogrodzeniem górowały wysokie wieże, w których przez dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurowali pilnujący obozu wartownicy. W pobliżu wejścia znajdowały się budki strażnicze oraz domy, w których mieszkali obozowi funkcjonariusze. Z zewnątrz te domy nie różniły się zanadto od baraków dla więźniów, choć w środku były lepiej wyposażone. Zgodnie z rozkazem komisarza ludowego spraw wewnętrznych i szefa NKWD Ławrientija Berii, wokół ogrodzenia z drewna i drutu znajdował się pięciometrowej szerokości pusty pas otaczający obóz. Chodziło o to, że gdyby jakiś więzień postanowił uciec, wpadłby jeszcze w tę dodatkową pułapkę. Wielu uważało to rozwiązanie za absurdalne, ponieważ próby ucieczki były bardzo rzadkie, jako całkowicie bezużyteczne. Ucieczka z obozu oznaczała pewną śmierć, prawie tak samo jak pozostanie w środku. Niemniej było to dobre wyjście dla tych, którzy chcieli przyspieszyć swój koniec.

Cała ta struktura, zbudowana przez samych więźniów, miała na celu ich upokorzenie i ograniczenie życia wyłącznie do pracy, przy absolutnym pozbawieniu wszelkich praw. Byli oni prywatną własnością państwa, które nie uznawało własności prywatnej. Związek Radziecki zawsze był państwem pełnym sprzeczności.

Nie zauważyła, w którym momencie przestała widzieć wokół siebie męskie twarze. Stało się to po tym, jak strażnicy przeprowadzili jedną z pierwszych selekcji. Jedynymi mężczyznami, którzy pojawiali się w jej polu widzenia, byli wartownicy i inni członkowie personelu obozowego. Mężczyźni i kobiety zostali przydzieleni do oddzielnych obozów, choć ze względu na ich bliskość i w związku z realizacją pewnych działań mogło dochodzić do kontaktów między obiema grupami.

Nowo przybyłe zostały zaprowadzone do baraku, w którym kazano im się rozebrać i złożyć w wielkiej drewnianej beczce wszystkie przedmioty stanowiące ich własność, bardzo już nieliczne po przeszukaniu dokonanym przez wartowników w pociągu. Nakazano im umyć się w zimnej wodzie i poddano brutalnemu i nieprzyjemnemu procesowi odkażania. W obozie najwyraźniej nie było strażniczek albo też żadnej nie przypadł dyżur w czasie, kiedy dowieziono transport, w którym znalazła się Lina. Mimo że ciała więźniarek były już przyzwyczajone do maltretowania, fakt, iż to męskie ręce gwałtownymi ruchami smarują ich krocza gęstą, cuchnącą mazią, stanowił trudne do zniesienia upokorzenie. Wielu więźniarkom ponownie strzyżono głowy oraz golono inne

miejsca na ciele. Lina nie знаła dokładnie powodów, dla których znów oszczędzono jej akurat tego poniżenia. Najgorzej znosiły to młode kobiety, choć już wcześniej – w wagonach, którymi wieziono je do obozu, czy w więzieniach, w których przetrzymywano je w trakcie śledztwa – zmuszone były odkryć, że ich młodość i świeżość stanowią pokusę dla dręczycieli. Na razie Lina nie stała się obiektem takich nikczemności. Potem kobiety zmuszono do wyjścia nago na zewnątrz i do trwającego długie minuty marszu po śniegu, żeby dojść od baraku łaźni do innego, w którym wydano im nową odzież. To strażnicy nadawali tempo tego przemarszu i zadbali o to, żeby trwał możliwie długo, znajdując powód do śmiechu w tym, że więźniarki pozbawione były w tym czasie jakiegokolwiek okrycia. Nie pozwalali na to, żeby ich ciała stykały się i w ten sposób wzajemnie ogrzewały. Jeśli kogoś na tym przyłapywano, na winowajczynię spadały wyzwiska i ciosy wymierzane kolbami karabinów. Lina czuła się tak, jakby jakieś niewidzialne istoty były ją z takim samym okrucieństwem jak Piotr i Nikołaj na Łubiance. Spoglądała wielokrotnie na swoje ciało, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś otwartych ran, czy jej ktoś czymś nie dźgnął. Ale jej odczucia były skutkiem arktycznego mrozu i śnieżyicy. Temperatura na dworze spadła do około pięćdziesięciu pięciu stopni poniżej zera. W baraku więźniarkom wydano odzież, która na czas niewoli miała stać się ich umundurowaniem. Od tej chwili miały jej używać i w obozie, i wychodząc do pracy poza jego obręb, miały też o nią dbać jak o najcenniejsze dobro, bo nie było szans na choćby jedną sztukę garderoby więcej. Wydawanie ubrań było prawdziwą loterią rozmiarów. Większości więźniarek trafiała się odzież używana, w złym stanie i zbyt duża, ale nie istniała możliwość reklamacji. Przydział Liny obejmował filcowe buty o dwa lub trzy numery większe niż jej stopa, coś przypominającego wełniany płaszcz oraz czapkę. Szukała wśród swojego nowego dobytku jakichś skarpetek albo rękawiczek, ale znalazła jedynie oskarżycielskie spojrzenie osoby wydającej przydziały. Później nauczyła się, że jeśli chce się uchronić stopy i dłonie od niechybnego odmrożenia i opuchlizny, należy je owijać szmatami. Wśród rzeczy, które otrzymała, zaplątała się pozostawiona przez kogoś bielizna – nowa jak dla niej, choć dawniej okrywała już wiele ciał. Więźniarki ubrały się od razu, na miejscu, na oczach strażników, chociaż wiele kobiet odczuwało przy tym zawstydzenie. Lina już od dawna nie przejmowała się komentarzami innych. Usłyszała ich zbyt wiele i przestały ją zawstydzają chorobliwe spojrzenia przesycone wulgarnymi wyobrażeniami.

To właśnie tam wytłumaczono jej pierwszą złotą regułę, którą należało sobie przyswoić, jeśli chciało się zachować życie: jeden krok w prawo albo jeden krok w lewo traktowany był jako próba ucieczki. Wyjście z kolejki – choćby z powodu upadku czy wypchnięcia przez innego więźnia lub strażnika – stanowiło śmiertelne zagrożenie. W takich wypadkach wartownicy strzelali bez ostrzeżenia, nie interesując się jakimikolwiek wyjaśnieniami. Wyposażone w tę nową wiedzę więźniarki zostały odprowadzone do baraku kuchni.

Po przeprowadzeniu selekcji pod względem płci przyszła pora na podział i klasyfikację więźniów pod względem sił fizycznych i zdolności do pracy. Z tym związany był przydział dziennych racji żywnościowych. Stosowano trzy rodzaje diety: podstawowa – przysługująca osobom uznanym za zdolne do pracy, dieta funkcyjna

wzmocniona – którą otrzymywały osoby przydzielone do lżejszych prac, oraz dieta karna – dla więźniów niezdolnych do pracy ze względu na chorobę lub niewypełniających dziennych norm produktywności, ustalanych dla każdego obozu przez władze partyjne. Kiedy selekcja została zakończona, kazano wszystkim ustawić się w kolejce do wydawania *balandy*, czyli miski wodnistej zupy na bazie zgniłej kapusty, śledziowych głów, zwierzęcych flaków oraz kawałków psiego mięsa. Jeśli ktoś miał szczęście, mógł też w swojej porcji znaleźć coś przypominającego kawałek boczku, choć nie zdarzało się to często. Krążyły plotki, że wielu więźniów, którzy znikali w nocy i rano ich już nie było w obozie, kończyło jako składnik *balandy*. Ta porcja żywności wydawana była pod koniec dnia pracy – o ile została wykonana wyznaczona na dany dzień norma. Jeśli zaś jej nie realizowano, karą było całkowite pozbawienie więźniów jedzenia albo zredukowanie dziennej racji do połowy. Ich życie zostało poddane działaniu nowych mechanizmów. Dobro i zło przestały istnieć, a na ich miejsce pojawiły się inne obowiązujące wartości: kara lub nagroda.

Kiedy nadeszła pora, żeby zająć miejsca w barakach, Lina postępowała zgodnie z poleceniami strażników, którzy pogardliwymi gestami wskazywali przynależne poszczególnym osobom prycze. Były to deski z białego drewna, na które rzucono nędzne materace, brudne i noszące wyraźne ślady używania – w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na nich z kolei leżały wystrzępione koce. Bez rozbierania się i mimo wstrętu, jaki wywoływał kontakt z tak wyglądającą pryczą, Lina osunęła się na nią. Od tygodni marzyła o pozycji horyzontalnej. Była naprawdę zmęczona. Myślała, że nie uda jej się zasnąć z powodu wycia wiatru, które dobiegało z zewnątrz. Lodowate podmuchy wnikały do środka baraku przez nieuszczelnione szpary w ścianach. Chwilami Lina sądziła, że specjalnie nakazano więźniom tak budować baraki, żeby nieuszczelnione pozostały i stanowiły udrękę dla przyszłych mieszkańców. Chciała skoncentrować się na spaniu. Za parę godzin miała wstać, o piątej rano, ponieważ – jak już im zakomunikowano – o szóstej wszyscy powinni być w pracy. Miało to być jej pierwsze wyjście. Bała się, szczególnie zimna. To ono przerażało ją najbardziej, bo nie знаła jeszcze całej brutalnej prawdy o czekającej ją harówce fizycznej. W końcu udało jej się zasnąć, choć nie był to sen głęboki ani tym bardziej krzepiący. Ani przez chwilę w nocy nie miała poczucia, że odpoczywa. Budziły ją ciągle nieznane hałasy dochodzące z zewnątrz, płacz więźniarek albo nieustający odgłos kroków, o którym nie umiała powiedzieć, czy dobiega spoza baraku, czy z bardzo bliska.

Słyszając krzyki strażników, poderwała się gwałtownie i poczuła silny ból z tyłu głowy. Kiedy chciała zbadać dłonią charakter odniesionych obrażeń, zrozumiała, że to jej włosy przyczepiły się do desek pryczy. Jej czarne loki były jakby przyklejone do drewna. Przymarły w nocy i przypominały teraz lodowe sople. Pomyślała, że na przyszłość musi się przed tym zabezpieczyć. Od tej chwili będzie obwiązywała głowę szmatą. Trzeba tylko skądś zdobyć kawałek jakiegoś materiału.

Nauczyła się też nie spać w płaszczu, ponieważ przy wyjściu na zewnątrz odczuwała ogromną różnicę temperatur i z braku dodatkowego okrycia jej ciało przez cały dzień nie potrafiło się rozgrzać. Przed pierwszym wyjściem do ciężkiej pracy stanęła w kolejce, żeby dostać chochlę owsianki z kawałkiem zamrożonego czarnego chleba. Od

tych pokarmów dostała niestrawności, na którą cierpiała przez cały dzień. Kiedy wraz z resztą więźniarek przekraczała bramę obozu, jeden ze strażników kazał im rozpiąć ubranie na wysokości szyi.

– Nie wolno zakrywać ciała gazetami, papierami ani żadnymi szmatami. Wolno zakładać tylko własne ubranie. Tylko własne ubranie.

Jeśli więźniarki zgromadziły pod ubraniem choć odrobinę ciepła, przy tej kontroli wszystko to potraciły. W trakcie tej doraźnej inspekcji Lina poczuła silne uderzenie zimna w pierś, po którym przez kilka dni dochodziła do siebie. Nie mogła gorzej zacząć odbywania wyroku. Kobieta, która szła obok niej, powiedziała, że nie wolno rozbierać więźniów, że tego zakazuje artykuł 9 rosyjskiego kodeksu. Lina spojrzała na nią, nie rozumiejąc, skąd mogła to wiedzieć.

– Mój mąż to pisał – wyjaśniła tamta, nie mając odwagi spojrzeć na swoją towarzyszkę.

Lina nie wiedziała, czy chodziło o wstyd, czy o uniknięcie uderzenia kolbą karabinu w plecy albo w twarz, albo w brzuch za niedozwolone rozmowy. Ale nie powstrzymało to sąsiadki Liny od dalszego mówienia niemalże niesłyszalnym głosem.

– A najgorsze, że kiedy mi o tym mówił, uważałam, że to zbyt łagodny przepis dla więźniów. No bo skoro są w obozie pracy, to musieli zrobić coś złego. Za tę głupotę zasługuję, żeby tu być.

Lina spojrzała na nią spod oka i pomyślała, w jak strasznym stanie ducha musi znajdować się ta kobieta, skoro uważa, że zasługuje na wszystkie męczarnie, którym jest poddawana.

Szły godzinami w śniegu, na mrozie, aż dotarły do całkiem pustej strefy, pozbawionej jakichkolwiek znaków życia. Nie było tam ani jednego drzewa, ani jednego domu, ptaka. Tylko lód i zimno. Gdyby nie krzyki strażników, słysząc by było zamarzenie powietrza. Lina nie czuła ani rąk, ani nóg, które już miała odmrożone, choć jeszcze nawet nie zaczęła pracy. Nadzorca zaczął wydawać polecenia i rozdzielać narzędzia. Linie dostała się łopata i ciężka beczka. Jej praca polegała na usuwaniu z dróg i ścieżek różnego rodzaju nagromadzonych w tym miejscu śmieci. Trzeba je było ładować do beczki, po czym przepchnąć ją w nieodległe miejsce, wykopać tam dziurę w ziemi i powrzucać do niej odpadki. Codziennie miała z pomocą innej więźniarki zapełnić co najmniej cztery beczki. Oczywiście było to niemożliwe. Nawet dla czworga ramion drewniana beczka była zbyt ciężka, żeby ją przetransportować, a jeśli nawet udałoby się tego dokonać, wykopanie dziury w lodowym bloku było dla dwóch kobiet niewykonalne. W tych okolicznościach każdy wysiłek rósł stokrotnie. Po kilku minutach ciało Liny zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Kości trzeszczały, przekonywała się o istnieniu mięśni, o których dotychczas nie wiedziała. Ramiona i nogi miała całkiem zdrętwiałe, ledwo mogła poruszać się i chodzić. Nawet oddychanie sprawiało jej ból, wnikające do płuc powietrze parzyło ją. Przez cały czas nie było ani chwili odpoczynku poza dziesięciominutową przerwą, która w sumie okazała się dla więźniów niekorzystna, bo powrót do pracy po chwili oddechu wiązał się z podwójnym wysiłkiem. Niektóre z kobiet wykorzystały przerwę, żeby zapalić, inne napełniały usta śniegiem w nadziei, że w ten sposób zdołają się nawodnić – jako że nie było czasu, aby wszystkim rozdać picie

i strażnicy nie zamierzali przerywać swoich rutynowych działań w celu wydania każdej więźniarce kubka wody. Uważali to za daremny wysiłek. Kolejna przerwa w pracy przeznaczona była na posiłek. Kobiety usiadły w śniegu i pochłonęły miskę wodnistej, prawie zamrożonej zupy na śledziach, z kawałkiem czarnego chleba. Wartownicy poganiali je przy tym, każąc im jak najszybciej wracać do pracy.

Monotonną biel zakłóciła czarna plama na horyzoncie. Przez chwilę Lina sądziła, że ma do czynienia z jakimś złudzeniem optycznym. Słyszała, że takie zjawiska zdarzają się czasami na pustyniach. Wyteżyła wzrok i dostrzegła trzy zielonkawe wagony popychane przez chmurę ludzi tłoczących się po obu ich stronach i wkładających mnóstwo sił w każdy centymetr, który pokonywał pociąg. Lina słyszała już o kopalniach, w których więźniowie Gułagu pozostawiali swoje ciała i dusze, na przykład przy wydobywaniu węgla, podobnie zresztą jak przy masowych wycinkach drzew, kładzeniu torów kolejowych czy w różnego rodzaju fabrykach rozrzuconych po wielu obozach i mających stać się kołem napędowym rosyjskiej gospodarki – bez liczenia się z kosztami ludzkimi. Chodziło przecież o ludzi, na których wydano wyroki, wrogów ludu bez większej wartości, nadających się tylko do tego, żeby wykorzystywać ich darmową pracę. Byli niezauważalni dla sumienia władzy i milczący. Zawsze milczący.

Lina nadal obserwowała rozmytą plamę, która przesuwiała się wzdłuż torów kolejowych pokrytych grubą warstwą śniegu, odrzucanego z szyn przez dużą grupę ludzi wyposażonych w łopaty.

– Nie patrz na nich – powiedziała do niej towarzyszka pracy. – Wartownicy mogą pomyśleć, że jesteś nieposłuszna albo że chcesz iść razem z tamtymi. A z miejsca, do którego oni idą – powiedziała, mając na myśli mężczyzn pchających wagony – nie wraca się.

Kobieta spojrzała na zmęczoną twarz Liny. Obie piły jakiś rodzaj herbaty, która smakowała drewnem i która nie była dostatecznie ciepła, żeby wzmocnić ciało.

– Mam na imię Karina.

– Ja jestem Lina.

– Wiem, kim jesteś. Teraz wie to już cały obóz. Byłam na wielu koncertach twojego męża i zawsze cię przy nim widziałam.

To wspomnienie sprawiło, że Lina zatopiła wzrok w kubku z herbatą, którym daremnie próbowała sobie rozgrzać dłonie. Przeszłość ciążyła jej bardziej niż beczka z odpadami, którą miała napełnić.

Krzyki strażników nakazujących powrót do pracy przerwały ich rozmowę.

Nigdy do tej pory nie przeżyła równie długiego dnia. Podczas powrotu do obozu kolumna więźniarek przekształciła się w ogromny cień, który z trudnością i niemal bez tchu przesuwiał się po śniegu. Jeśli dwanaście godzin wcześniej wychodziły zmarznięte, głodne i pełne lęku przed nieznanym, które czekało na nie ileś kilometrów dalej, teraz wracały w jeszcze gorszym stanie fizycznym i psychicznym. Przechodząc przez bramę obozu, zostały poddane kolejnej kontroli. Tym razem rozpięto im nie tylko wierzchnią odzież na wysokości piersi, ale kazano im także zdjąć buty i rozebrać się do naga. Chodziło o sprawdzenie, czy nie wnoszą żadnego ostrego przedmiotu, który mogły zdobyć, pracując przez cały dzień. Kilka dni wcześniej w bucie jednej z więźniarek



znaleziono patyczek z lekko zaostrzonym końcem. Na nic zdały się wyjaśnienia, składane przez nieszczęśnicę pod gradem ciosów, że patyk miał jej służyć zamiast łyżki i widelca, które jej ukradziono. Młoda kobieta została wepchnięta do karceru – zaledwie metrowej celi wykopanej w ziemi, poza barakami, i zamykanej kratą, która nie chroniła przed mrozem i śniegiem. Początkowo słychać było jej błagania, wyrazy skruchy, krzyki, ale po czterdziestu ośmiu godzinach głos ucichł. Nikt nie wiedział, co się z nią stało, nikt nie odważył się zapytać – ze strachu, żeby nie zostać następnym lokatorem tej nory.

Lina bała się, że nie będzie miała sił nawet na stanie w kolejce do kuchni po dzienną rację jedzenia. Uprzedzono ją już, że tego wieczoru dostanie połowę przysługującego przydziału, ze względu na niską wydajność pracy.

– Jak się nie wyrabia wyznaczonej normy, to się nie je tego, co przysługuje – powiedział jeden ze strażników.

Lina myślała, że nie warto stać na mrozie i porywistym wietrze, żeby dostać pół miski zupy i pół kawałka chleba. Kiedy miała już zawrócić i udać się do swojego baraku, wydało jej się, że pośród podmuchów wiatru chłuszczącego noc słyszy swoje imię.

– Lina, Lina... – Od tak dawna nikt nie zwracał się do niej po imieniu, że nie była pewna, jak ma zareagować. Poszukała wzrokiem osoby, która wypowiedziała te słowa, i kiedy ją odnalazła, miała wrażenie, że stał się cud. Zobaczyła Innę, młodą Rosjankę, która pracowała w ambasadzie brytyjskiej i którą poznała podczas przyjęcia organizowanego w hotelu Metropol. Nie widziała jej co najmniej pięć lat, ale rozpoznała ją bez trudu, mimo śladów, które praca w łagrze zostawiała na twarzach, w spojrzeniach i ciałach wszystkich swoich dzieci.

– Inna, nie wierzę! – powiedziała Lina, kiedy padły sobie w ramiona, jakby wzajemnie stanowiły dla siebie ostatnią deskę ratunku podczas katastrofy statku. Pozostałe więźniarki starały się je zasłonić ciałami przed wzrokiem wartowników, którzy mogliby je ukarać wysłaniem do izolatki. W obozie było wiele zakazów, a do rzeczy najściślej zabronionych należało okazywanie uczuć, pieszczotliwe gesty oraz wszystko, co mogło stanowić najskromniejszy choćby przejaw indywidualnej pogoni za szczęściem. Inna opowiedziała Linie, że jest w obozie od trzech lat, że pracuje w wydziale zaopatrzenia w produkty i towary i że od niej zależy rozdział żywności, podobnie zresztą jak wydawanie listów i wszystkiego, co jest przysyłane do obozu przez krewnych uwięzionych. Szczęśliwy traf – choć z pozoru te słowa wydawały się tu pozbawione jakiegokolwiek sensu – sprawił, że obie kobiety zostały przydzielone do tego samego baraku. Dzięki temu mogły rozmawiać ze sobą w nielicznych chwilach odpoczynku, które im się zdarzały, i opowiadać o swoim losie. Inna przekonała Linę, żeby stanęła w kolejce po jedzenie. Odwracając uwagę strażników, zadbała o to, żeby została jej wydana pełna racja żywnościowa. Jeszcze tego samego wieczoru przyniosła Linie dodatkowy kawałek chleba, parę herbatników i kawałek słoniny, która sprawiła radość jej żołądkowi i duszy. Wydała jej się prawdziwym smakołykiem. Lina odnosiła wrażenie, że nie ma powodu zazdrościć nikomu ciepłych blinów z cienką warstwą kawioru, jakie kiedyś jadła z Siergiejem. Zaczęła wierzyć, że cuda zdarzają się nawet w tym najbardziej niegościnnym zakątku świata, na który Bóg zapomniał choćby spojrzeć. Po raz pierwszy od bardzo dawna w jej umyśle znów zagościł obraz Najwyższego. Zdała sobie sprawę, że

porzuciła zasady Chrześcijańskiej Nauki, kiedy najbardziej ich potrzebowała. Być może spotkanie z Inną było sygnałem, że nie jest sama, że ktoś czuwa nad nią, choć rzeczywistość zawzięła się, żeby udowodnić jej coś przeciwnego.

Owinęła włosy szmatą, którą Inna zdobyła dla niej w kuchni, zamknęła oczy, żeby umysł mógł pracować w wolniejszym, bardziej monotonnym rytmie. „To też przemienie. Muszę tylko tak o tym myśleć. Mój umysł jest silniejszy niż jakiegokolwiek ludzkie działanie”.

Wszystko wskazywało, że następny dzień będzie taki sam jak poprzedni. Ale Lina znów się pomyliła. W tutejszej scenerii zdarzenia nie toczyły się w sposób racjonalny. Kiedy kończyła pierwszy tego dnia posiłek, ktoś pociągnął ją w swoją stronę i zaciągnął do kąta.

– Załóż to – powiedział jeden ze strażników, wręczając jej sweter i upewniając się, że zdoła go schować między ubraniami.

Lina patrzyła na sweter, obawiając się, że podczas którejś z rutynowych kontroli – albo w baraku, albo przy bramie podczas wyjścia do pracy – ktoś z wartowników odkryje jej nowe ubranie. Ale ku jej zaskoczeniu strażnik poinstruował ją, jak ma ukryć sweter przed badawczym spojrzeniem jego kolegów. Lina wciąż miała wątpliwości, ale w końcu przyjęła prezent. Wiedziała już, że życie w obozie wiąże się z ciągłym ryzykiem. Przynajmniej lepiej będzie dawać sobie radę z zimmem do czasu, aż ktoś znajdzie sweter – a wtedy pożałuje. Popatrzyła na sympatyczną twarz strażnika, podejrzewając, że może chodzić o jakąś próbę albo podstęp mający na celu uwięzienie jej w jednej ze strasznych cel karceru, poniżej poziomu gruntu.

– Północny wiatr ochładza powietrze o dziesięć stopni, więc teraz mamy pewnie pięćdziesiąt stopni poniżej zera. Wszyscy popełniają błąd. To właśnie teraz, o wschodzie słońca, jest najzimniej, właśnie o tej porze nadchodzi najbardziej mroźna chwila nocy. – Lina przyjrzała mu się. Nie rozumiała, czemu jest wobec niej taki dobrotliwy. Szybko się to wyjaśniło. – Kochałem muzykę pani męża. Moim zdaniem był największym rosyjskim kompozytorem, jakiego mieliśmy, obok Strawińskiego i Czajkowskiego.

– Był?

Stężale od mrozu rysy Liny nagle kompletnie się rozluźniły. Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Użyty przez strażnika czas przeszły wstrząsnął nią.

– Czy on...?

– Nie, nie o to mi chodzi. No dobra – zawahał się przez chwilę strażnik. – Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznał szczerze. – Nie sądzę, dowiedzielibyśmy się. Powiedziałem w czasie przeszłym, bo dziś trudno usłyszeć jego muzykę...

Lina przyjęła w końcu prezent od tego człowieka i podziękowała mu nieśmiałym uśmiechem, tak jak się dziękuje za kondolencje w związku ze śmiercią ukochanej osoby, za wyrazy pociechy otrzymane w okresie żałoby albo tak jak kwituje się poklepanie po plecach, mające osłabić efekt złej wiadomości.

Nie była to sytuacja zwyczajna, ale niezwykłe też było pojawienie się dobrych ludzi wśród strażników i prześladowców – o ile w ogóle w tym miejscu mogło mieć sens pojęcie dobroci. Można ich było natychmiast rozpoznać, bo podczas gdy inni wartownicy cieszyli się swoją pracą i znajdowali przyjemność w upokarzaniu i dręczeniu więźniów

(„Nie chodzi mi o twoją pracę. Chodzi mi o to, żebyś cierpiał” – krzyczeli niektórzy z nich), ci odwracali wzrok, marszczyli brwi, nie potrafili ukryć wyrazu pogardy na widok zachowania swoich towarzyszy.

Istniało wiele sposobów, żeby uczynić odbywanie wyroku w obozie bardziej znośnym: uśmiech, kawałek chleba, odwrócony w stosownej chwili wzrok, by nie zauważyć niewykonanej normy – albo sweter wręczony w kącie baraku, po to by zimno nie wgryzało się w ciało i duszę więźnia. Nawet w obozie zdarzali się aniołowie w mundurach, pod którymi mieli ukryte skrzydła.

Więźniowie nazywali ich czarnymi aniołami, bo zawsze mieli dwie twarze. Okazywana przez nich przyzwoitość robiła tym większe wrażenie, że mieli reputację strasznych zbirów. Nikt nie spodziewał się po nich szczególnych przysług, czasami zresztą przyjmujących formę oszustwa czy brutalnego szantażu, któremu wiele więźniarek – szczególnie młodych – ulegało z braku innego wyboru. Wiele z nich stawało się ich niewolnicami seksualnymi w zamian za podwójną rację żywnościową, za parę dni w szpitalu albo za kawałek papieru, na którym można było napisać list do rodziny. Ale musiały być za to nieustannie do dyspozycji strażników, nawet po całym dniu pracy, kiedy nie mogły już sobie poradzić z dodatkowym wysiłkiem. Lina była zadowolona ze swojego wieku i z tego, że jej ciało nie miało już takiej świeżości i powabów jak ciała młodych więźniarek. Uniknęła dzięki temu różnych sytuacji, którym zapewne nie byłaby zdolna się przeciwstawić. Zadowalała się pomocą Inny, która namówiła ją na napisanie pierwszego listu do synów, bez czekania na oficjalny termin wyznaczony przez regulamin, zgodnie z którym prawo do wysyłania i otrzymywania korespondencji przysługiwało dopiero po roku pobytu w obozie. Inna nawet zdobyła dla niej okulary, w miejsce tych, które Lina straciła pierwszego dnia. Poślizgnęła się wtedy i upadła na ziemię, skąd mogła tylko patrzeć, jak okulary znikają pod butem strażnika, rozdeptującego je zresztą w pełni świadomie i bardzo starannie. Rozciągnięta na ziemi patrzyła, jak okruchy szkła mieszają się ze śniegiem, aż w końcu całkiem w nim znikają, pożarte przez białego potwora. Od tamtej pory jej wzrok często się męczył, co odczuwała szczególnie w chwilach, kiedy próbowała czytać listy otrzymywane przez inne więźniarki mające prawo do korespondencji albo kiedy komendant obozu pozwalał jej na lekturę którejs z odpowiednio wyselekcjonowanych książek przechowywanych w jednym z baraków.

Inna zdobyła dla niej nowe okulary. Były wykonane dość prymitywnie, w drucianej oprawce i ze szklami, które tymczasowo wybawiły Linę z kłopotu, aż do dnia, kiedy pośród paczek przysyłanych przez rodziny więźniów i konfiskowanych przez strażników Inna znalazła kolejne okulary. Zobaczyła je, jak leżały częściowo przysypane rozmaitymi rupieciami. Postanowiła je zabrać i naprostować oprawkę, która się wygięła. Był to najlepszy prezent urodzinowy, o jakim Lina mogła marzyć w swoim nowym miejscu pobytu. Nie były idealnie dopasowane do jej wzroku, ale pozwalały czytać. Pierwszym ich zastosowaniem było napisanie listu do synów. Zrobiła to w środku nocy, ukryta na swojej pryczy. Umierała z braku wiadomości o chłopcach, o Siergieju i o matce. Zastanawiała się, czy Światosław napisał do Olgi, zawiadamiając ją o sytuacji Liny. Miała nadzieję, że tego nie zrobił. Olga Niemyska nie mogłaby tego znieść, nawet kiedy byłaby

w pełni zdrowa i miała u swojego boku Juana, a co dopiero teraz. Dzięki myślom o Siergieju Linie łatwiej było wytrwać. Nie chodziło tylko o przypominanie sobie różnych chwil z przeszłości, snuła też wizje ich ponownego spotkania, zastanawiała się, jak Prokofiew reaguje na jej uwięzienie w obozie. Lubiła sobie wyobrażać, jak się martwi, dzwoni do tego czy owego spośród znajomych, szuka sposobu na wyciągnięcie jej, próbuje przekonywać kogo trzeba, że jego żona jest niewinna. Poruszały ją różne wizje, które odtwarzała w swoim umyśle. Zapominała o krzywdzie, jaką jej wyrządził decyzją o poślubieniu Miry. Wiedziała, że nie była to jego wina, że za tym posunięciem stała Mira oraz władze partyjne. Podobnie było z wieloma przywódcami bolszewickimi, których zmuszano do rozwodu, a nawet do formułowania wobec żon fałszywych oskarżeń. Reedukacja Prokofiewa zaczęła się od wkroczenia w jego życie tamtej kobiety. Lina była przekonana, że kiedy skończy się całe to szaleństwo, ich drogi znów się zejdą, a wtedy nigdy się już nie rozdziela.

W rozmowach, które prowadziła w obozie z innymi więźniarkami, zwykła była mówić, że została skazana za to, że jest cudzoziemką – Hiszpanką. Jednakże niektóre z jej współtowarzyszek miały na ten temat inne zdanie.

– Jesteś tu dlatego, że byłaś żoną Prokofiewa – wyznała jej Inna z typową dla niej pewnością siebie. – Jesteś zakładniczką władz, które chcą ukarać twojego męża i dręczyć go, a jednocześnie rozumieją, że robienie tego za pośrednictwem jego najbliższych jest bardziej bolesne i pasuje do kanonu bolszewickich działań. Zniszczenie ciebie, twojego ciała, jest znacznie skuteczniejsze niż zniszczenie jego.

– A co twoim zdaniem stało się z Nadieżdą Mandelsztam, z Maryną Cwietajewą, z Anną Achmatową czy z samą Olgą Iwińską? – spytała Anastazja, inna z więźniarek. Lina wzdrygnęła się, słysząc ostatnie z tych nazwisk, które nosiła wielka miłość Borysa Pasternaka.

– A on? – spytała. – Wiecie coś o nim?

– Nie. Ale przypuszczam, że spotkał go ten sam los co jego kolegów, chociaż był przyjacielem Stalina. Tu się nikogo nie oszczędza. – Inna pożałowała ostatnich słów, bo wiedziała, że zadając pytanie, Lina myślała o Prokofiewie. Postanowiła się poprawić. – Wybacz, nie chodziło mi o... Nie chciałam powiedzieć, że... W końcu nie wszyscy przecież trafiają do obozów albo na zesłanie.

Lina próbowała ją uspokoić, uśmiechając się. Nie miała ochoty obciążać kolejnej osoby wiedzą o czymś, o czym wiedzieli tylko nieliczni. Była zadowolona, bo w tym miejscu najwyraźniej nikt nie słyszał, że nie jest już oficjalnie żoną Prokofiewa. Albo też traktowali małżeństwo kompozytora z Mirą równie niepoważnie jak ona. Niemniej Anastazja, która też przeżyła zdradę męża, zmuszonego bronić ideałów rewolucyjnych bardziej niż życia żony, czuła potrzebę, żeby powiedzieć coś jeszcze.

– Nigdy nie widziałam kobiety tak zakochanej w swoim mężu jak ty. Obserwowałam cię. Za każdym razem, kiedy pada nazwisko Prokofiewa, rozjaśnia ci się twarz, a oczy wyłażą ci z orbit, chociaż normalnie masz je osadzone głęboko. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ty nawet przestajesz się garbić, jak ktoś go wspomina. Pamiętasz, jak przedwczoraj wracaliśmy do obozu i mijała nas ciężarówka ze skazańcami? Zaczęli krzyczeć: „Trzy pomarańcze, trzy pomarańcze!”. To była aluzja do

*Miłości do trzech pomarańczy*: w ten sposób nie musieli wymieniać twojego imienia, co mogłoby ci przysporzyć problemów. Wyprostowałaś się jak pień drzewa. Miałam wrażenie, że przybył ci metr wzrostu. – Anastazja mówiła to z mieszaniną żalu i podziwu. – Nie wiem, czy ci zazdroszczę, czy współczuję. Wy, Hiszpanie, zawsze się tak zakochujecie? To dość wyczerpujące. A mówi się, że to Rosjanie potrafią cierpieć.

Lina czuła się wyróżniona, że przytrafiło się jej takie uczucie. Nie każdy miał okazję odczuwać choć raz w życiu prawdziwą miłość, a jej się to udawało nieprzerwanie przez dwadzieścia lat. Postanowiła trzymać się tej miłości i nigdy jej nie porzucać. Przez chwilę wszystkie kobiety milczały, jakby zastanawiały się, czy naprawdę zaznały w życiu prawdziwej miłości. Lina zadała pytanie, które wzbudziło wesołość jej współtowarzyszek.

– Sądziacie, że Stalin wie o istnieniu tego wszystkiego? Chodzi mi o okrucieństwo, jakie wykazują ludzie w tym miejscu.

– Lina, jesteś aniołem. I nie mówię ci tego jako komplementu. Będziesz jeszcze musiała zapłacić rachunek za swoją niewinność – powiedziała Inna. – I myślę, że całkiem niedługo.

– Zwariowałaś? Przecież to wszystko jest jego robota – potwierdziła Anastazja prosto z mostu.

– Ilu jest więźniów w kraju? – spytała Lina z naiwnością, której najsurowszy rygor obozowy nie był w stanie zniszczyć.

– Powiedz, do ilu milionów potrafiłabyś policzyć? – Anastazja nie chciała podać żadnej liczby. Może miała o tym jakieś pojęcie, ale nie była w stanie operować dokładnymi danymi. Chciała, żeby pewnego dnia świat mógł dowiedzieć się prawdy. – Oczywiście, że Stalin wie, co się dzieje w Związku Radzieckim: od Morza Białego do Czarnego, od arktycznego koła podbiegunowego aż do Azji Centralnej – macki Gułagu obejmują cały kraj. Doskonale o tym wie. On sam był cztery razy zamykany w carskich obozach. Trzy razy udało mu się uciec, ale z Gułagu nikt nie potrafi się wyrwać. Postarał się zaplanować ten system tak, żeby nie było w nim słabych punktów. To Lenin ogłosił, że w szeregach rewolucjonistów znajdują się elementy niepewne i że trzeba je zebrać w łagrach i kazać im pracować bez wytchnienia. W ten sposób za jednym zamachem pozbyto się tych, którzy sprzeciwiali się stosowanym przez władze metodom, choć mogli być wcale nie gorszymi rewolucjonistami, oraz zaprzęgnięto ludzi do podnoszenia produktywności rosyjskiej gospodarki. Darmowa siła robocza. A jeśli więźniowie umierają z wyczerpania, to nic strasznego, bo przecież to tylko więźniowie, śmieci, najgorszy element społeczeństwa. Nikt za nimi nie będzie tęsknił. Ale Stalin wziął na siebie kolejne zadanie: zaostrzyć warunki w obozach, żeby były bardziej okrutne. Zamienił je w ogromne zakłady utylizacji ludzkiego mięsa, w wielkie lodowe cementarze.

– Pewnego dnia świat będzie musiał się dowiedzieć, co tu się dzieje – skomentowała Lina, próbując jednocześnie utkać coś w rodzaju woreczka, używając rybiej ości jako igły, a nici wypruwając z wystrzępionego koca, jak ją nauczyły współtowarzyszki.

– Żeby tak się stało, ktoś musiałby o tym opowiedzieć. A nie wiem, czy wiele osób przeżyje dwudziestoletni wyrok w tej pułapce na myszy.

– Tym się nie przejmuj – powiedziała Inna, znów odwołując się do ironii. – Na miejsce każdego, kto umiera w obozie, przychodzi dziesięcioro innych. Wiesz przecież: „Ten, kto tu nie był, jeszcze tu trafi, a ten, kto był, nigdy tego nie zapomni” – wyrecytowała powiedzenie, które przekształciło się w sentencję przekazywaną z ust do ust po całym łagrze.

– Lina, sądzisz, że kiedykolwiek o tym zapomnimy? – spytała Anastazja.

– Ja to zrobię w momencie, w którym przekroczę tę bramę. Nawet się za siebie nie obejrzę, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie był sen – odpowiedziała poważniejszym i pewniejszym niż kiedykolwiek głosem, tak jakby poświęciła dużo czasu na rozważenie tej decyzji. Anastazja podziwiała jej zdecydowanie i dlatego wolała zachować dla siebie myśl, która przeszła jej przez głowę: „Nigdy się nie zapomina tego, co się przeżyło, choćby się nie chciało i nie potrafiło sobie tego przypomnieć”. – Nie będę tego nigdy wspominać ani z kimkolwiek o tym rozmawiać. Wyrzucę to z głowy. To, czego się nie wspomina, umiera. Dlaczego, waszym zdaniem, muzyka jest zawsze żywa?

Muzyka nigdy nie wyszła z jej głowy, szczególnie muzyka Prokofiewa. Jej wspomnienie – i pamięć o nim samym – było tym, co trzymało na dystans pewną śmierć. Codziennie, wracając do obozu, kiedy była już całkiem pozbawiona sił i kiedy ziemia usuwała jej się spod nóg, Lina odtwarzała w głowie dźwięki *Suity scytyjskiej* Prokofiewa. Podczas gdy jej umysł zajęty był partyturą, ciało mogło zapomnieć o całej reszcie.

<sup>39</sup> Wprowadzone przez Stołypina wagony były przeznaczone do transportu rodzin chłopskich z bydłem. Dopiero po rewolucji bolszewickiej przerobiono je na więźniarki.

Najszczęśliwsze chwile w obozowym życiu Liny zdarzały się raz w roku, mianowicie gdy nadchodziły wiosenne miesiące i w południe dzień jakby zatrzymywał się na chwilę. Horyzont barwił się wtedy na czerwony kolor namiętności, żywą, zbuntowaną czerwienią. Na kilka minut wszystko inne przestawało się liczyć. Ten kolorowy wybuch miał działanie wyzwalające, bo przez kilka minut piekło przestawało być białe. Wreszcie jakiś kolor ośmielał się stawić opór wszechobecnej bieli – śmiercionośnej, doprowadzającej do szaleństwa – która pokrywała cały obóz. Smutno było myśleć, że taką postać miało teraz szczęście dla osoby, która kiedyś była za pan brat z życiem i miała odwagę mówić mu po imieniu, ale tak właśnie sprawy się miały. W morzu bieli, w którym zostały ułożone fundamenty jej nowej egzystencji, szczęście Liny mierzyło się intensywnością tej czerwieni, a nie czasem trwania. Za kołem polarnym jedynym, co mogło rywalizować z wiecznością, była ciągła ciemność, trwająca ponad sześć miesięcy. Wszelka radość miała tu bardzo krótki termin ważności.

Biel była częścią wyroku. Cały świat wkoło był biały, nie dawało się od bieli uciec, bo pożerała wszystko, nawet kiedy Lina nie stawiała stóp na śniegu albo kiedy jej ręce nie próbowały daremnie przedzierać się przez lodowatą, nieprzeniknioną tundrę. Dyktatura bieli była tak bezwzględna, że nocami, kiedy Lina nie mogła zasnąć i zabawiała się wyglądaniem na zewnątrz przez szpary w deskach baraku, śnieg oświetlał obozowe widoki nawet pod nieobecność księżyca. A kiedy dołączało się do niego księżycowe światło, efekt był wręcz oślepiający. Mimo wszystkich legend związanych z księżycem Lina zawsze miała do niego słabość. Napawał ją spokojem, ufnością, swego rodzaju pewnością siebie. Kiedy widziała, że księżyc przygląda jej się z wysoka, czuła się w jakiś sposób chroniona. W niektórych regionach Rosji na księżyc mówi się „wilcze słońce”. Linie zawsze podobało się to określenie, choć mogło się wydawać trochę wewnętrznie sprzeczne. Ale przecież w Rosji wszystko mogło być sprzeczne. W każdym razie lubiła tę nazwę.

Ten wielki ocean wiecznej zmarzliny, po którym chodziła, krył w sobie niewidzialne groby osób, które kiedyś istniały, ale ich życie się skończyło i trwało już tylko w pamięci ich bliskich. Cmentarze kłamią, nagrobki są pomnikami kłamstwa. Jest więcej zmarłych niż rozpoznanych grobów. Czy może być gorsza tortura niż negowanie czyjegoś istnienia, negowanie jego przeszłości, wymazanie go z mapy świata, jakby nigdy nie istniał? Podobnie jak to się dzieje z narodami, człowiek bez przeszłości nie ma przyszłości. Stać się widocznym było przywilejem dostępnym bardzo nielicznym, zarówno w życiu, jak i w śmierci. Negować życie i negować śmierć – była to skrajna forma ludzkiej przemocy.

– Wiesz, dlaczego tak trudno się chodzi po śniegu? – spytała Linę Tatiana, jedna z obozowych weteranek. – Bo kości pochowanych pod nim więźniów drżą, poruszają się, obracają i próbują się buntować po śmierci, skoro nie mogły tego robić za życia.

Lina nie mogła się powstrzymać i spoglądała pod nogi, jakby chciała z należyty szacunkiem stąpać po ogromnym cmentarzysku, które rozciągało się przed nią niczym

dywan. Bała się, że zmarli będą próbowali chwytać ją za kostki i ściągać do siebie. W nocy śniły jej się koszmary wywołane słowami Tatiany.

– Chowa się ich tutaj? – spytała zakłopotana.

– Chowa się ich, gdzie się chce i gdzie można. Psy grzebie się z większą czułością i starannością niż więźniów. Trudno uwierzyć, ale pogarda dla więźnia trwa nadal po jego śmierci. A jednak zemsta tych, którzy kiedyś chodzili po tej ziemi, zanim zmienili się w mieszkańców podziemi, zawsze nadchodzi. Wiosną i latem, po odwilży, na powierzchnię zmarzliny zaczynają się wydostawać trupy zachowane w idealnym stanie. Kiedy strażnicy wychodzą na zewnątrz, niektóre ciała mają już otwarte usta i oczy, jakby śmierć zaskoczyła tych ludzi albo jakby chcieli przed nią uciec czy w ostatniej chwili błagać o ratunek, mimo że przez długi czas tej śmierci pragnęli. To dziwne, ale niektórzy strażnicy czują na ten widok prawdziwe przerażenie, bo wydaje im się, że zmarli patrzą na nich, że wrócą do życia, żeby odpłacić prześladowcom za krzywdy. W takiej sytuacji pierwszy raz widziałam, jak jeden z wartowników zwymiotował i zbladł ze strachu. Warto przeżyć, żeby zobaczyć nadejście wiosny. Źle, że tobie i mnie przypadnie nosić zwłoki do ciężarówki i odwozić je gdzieś daleko, gdzie wykopie dół i złożymy ciała. To, co z nimi potem zrobią, to już nie będzie nasz problem.

– Dlaczego? A co z nimi robią? – spytała Lina, nie chcąc zdawać się na swoją wyobraźnię, która wszystkiemu nadałaby zapewne jeszcze bardziej makabryczne odcienie.

– Kiedyś widziałam, jak jeden z wartowników oblał górę trupów palnym płynem i podpalił pochodnię. – Jej rozmówczyni zamilkła, wpatrując się w śnieg, czego nie należało robić przez długi czas, bo groziło to ślepotą. Ale Tatiana rozmyślała teraz o całkiem innej scenie, która rozgrywała się z dala od białego stepu. – Nigdy wcześniej nie widziałam, jak ogień bucha ze śniegu. To było straszne: jakby otwierała się ziemia, po to by ogień mógł wychynąć na powierzchnię i się na niej rozgościć. Nie potrafię wymazać tego widoku z głowy. Ani zapachu, jaki wydzielał ludzki stos.

– Uspokój się – poprosiła ją Inna. – Straszysz ją.

– Tu nie dociera nikt, kogo można przestraszyć. Myślę, że na tym etapie życia na niej nic już nie robi wrażenia. A jeśli się mylę, to przepraszam.

Pod ciężarem spojrzenia Tatiany Lina poczuła, że powinna zaprzeczyć ruchem głowy. Od bardzo dawna nikt jej nie przeproszał i te słowa zrobiły na niej wrażenie. Od tego typu opowieści wywracał się jej żołądek i nasilały się koszmary, przez które budziła się w środku nocy pośród skurczów i dygotu. Ale w obozie nie było nic lepszego do roboty i dla niektórych więźniarek rozmowa o własnych wspomnieniach, lękach i przeżyciach pełniła funkcję wentyla bezpieczeństwa. Tatiana była jedną z nich.

– Nie sądzę, żeby na świecie istniało inne miejsce równie potworne jak „droga z kości”. – Lina nie była pewna, czy ma ochotę słuchać kolejnej ponurej relacji, ale nic nie mogła zrobić. Nie było jej stać na odrzucenie rozmowy i ciepła związanego z nią kontaktem. – Chodzi o szosę kołymską. Ma ponad dwa tysiące kilometrów i łączy Jakucję, Republikę Sacha, z wybrzeżem Pacyfiku w Magadan. Jakucja to najzimniejszy region świata. Jest tam wioska Ojmiakon, w której w 1926 roku zarejestrowano najniższą temperaturę na Ziemi, 71,2 stopnia poniżej zera. – Lina wraz z resztą więźniarek



otworzyła szeroko oczy, jakby te słowa były w stanie rysować obrazy bezpośrednio na ich siatkówkach. – Szosę zaczęto budować prawie dwadzieścia lat temu, na początku lat trzydziestych. Zajmowali się tym więźniowie obozu Siewwostłag, a potem skazańcy zwożeni z różnych obozów z całej Rosji. Setki robotników umierały przy utwardzaniu każdego metra szosy. Siarczysty mróz, śnieżyce, głód i choroby pochłonęły życie tysięcy więźniów, których szybko zastępowano nowymi transportami nieszczęśników zwożonych do tej rzeźni. Ale brakowało materiałów budowlanych albo okazywały się za drogie i komuś przyszło do głowy, że tysiące więźniów, którzy poumierali przy tych pracach, można wykorzystać w inny sposób.

W tym momencie Tatiana na chwilę zamilkła, co jej słuchaczkom umożliwiło wyobrażenie sobie scen przypominających piekło opisywane przez Dantego.

– Postanowiono dodawać kości, wnętrzności i inne szczątki zmarłych do betonu i używać tej mieszanki jako nawierzchni. Przypuszczano, że w grząskim terenie poprawią stabilność szosy. W tej strefie błoto wszystko zalewa i niszczy asfalt, a ludzkie szczątki służą jako dodatkowe spoiwo. Nie sposób się dowiedzieć, ile osób jest pogrzebanych we wnętrznościach szosy, ale niektórzy mówią o trzech milionach ludzkich istnień zamienionych w materiał budowlany<sup>40</sup>. Nie wiem, czy kiedyś świat dowie się o tym wszystkim, co się dzieje na tej ziemi. A jeśli tak, to czy ludzie będą nadal w stanie korzystać z tej szosy, wiedząc, że w jej asfalt wtopione są dosłownie miliony ludzi.

– A co można zrobić z dołami, w które wrzucają zwłoki, kiedy to wszystko się skończy? – spytała Lina.

– Nic. Nic nie można zrobić. Martwi i pogrzebani. W ten sposób jedna część świata rozstrzyga problemy innej części. – Tatiana spojrzała na nią. Nie chciała jej przestraszyć, choć mimowolnie to robiła. – Wiesz, po co ci to wszystko opowiadam? Po to, żebyś walczyła o przeżycie, o przetrwanie. Od kilku dni cię obserwuję. Chodzisz zgarbiona, szurając nogami, jak my wszystkie. Stałaś się jednym z cieni, którymi te bestie się karmią, jakbyś dźwigała na plecach ciężar wyroku śmierci, którego jeszcze na ciebie nie wydano. Nie dawaj im tej satysfakcji. Niech nie czują śmierci za każdym razem, kiedy jesteś blisko. Tylko w ten sposób możesz się stać silniejsza od nich. Innej broni nie masz. Tylko swoje zachowanie. Jesteś Hiszpanką, pokaż im to. Okaż dumę, niech widzą, jak zwycięzasz. Zapamiętaj, co ci powiedziałam: warto dożyć wiosny.

Zawsze była wdzięczna Tatianie za opowieść, która zaczęła się od śmierci, a skończyła, napełniając ją chęcią życia.

Od pierwszych miesięcy w obozie Lina padała ofiarą chorób. Stan zdrowia nie pozwalał jej wychodzić codziennie na śnieżno-lodowe pola. Miała szczęście, że ulitował się nad nią pewien lekarz, który napisał raport zalecający, żeby wykonywała pracę na terenie obozu. Praca nie była przyjemna ani mniej nieludzka niż to, co kazano jej robić na zewnątrz, ale nie rujnowała aż tak bardzo jej i tak niewielkich sił fizycznych. Nie dręczyły ją też tak intensywnie skutki odmrożeń. Jej nowe zajęcie polegało na sprzątaniu baraków. Obejmowało to domy strażników, szopy, w których mieściły się latryny, kuchnię i pomieszczenia zajmowane przez więźniów. Lina czuła się uprzywilejowana, bo nie musiała wychodzić na zewnątrz jak większość więźniarek. Dlatego cieszyła ją ta praca, choć jej ciało było po niej tak samo obolałe jak w pierwszych miesiącach spędzonych

w obozie. Wrócił jej nawet lepszy humor, chęć dzielenia się z innymi współtowarzyszkami wspomnieniami z Paryża, Nowego Jorku, Mediolanu, Londynu, Los Angeles, z premier, uroczystości, przyjęć. Opowiadała anegdoty o sławnych artystach, których poznała. Lubiła mówić po francusku, ponieważ echo jej głosu przynosiło wspomnienia z najszcześniejszej epoki życia, epoki, kiedy miała u swojego boku Siergieja.

Choć wiele kobiet w obozie nie znało francuskiego, brzmienie tego języka wywoływało uśmiech na wielu twarzach i pozwalało więźniarkom odbywać dalekie podróże. Linę cieszyły rozmowy z innymi skazanymi – działały na nią terapeutycznie, jak wszystko, co pozwalało zapomnieć o rzeczywistości. Czasami była karana za to upodobanie do rozmów, ponieważ łamała regulaminową ciszę, czasem skłaniało ją ono do wędrowania w środku nocy do innych baraków, gdzie mogła znaleźć partnerki do pogawędki. Stała się najbardziej rozchwytywaną towarzyszką obozowego życia. Jej łatwość kontaktu z innymi, pogodne usposobienie i dobry humor rozweselały wiele innych więźniarek. Większość nie rozumiała, jak w tak okrutnej scenerii, gdzie niskie temperatury zamrażają języki, wichry żłobią i deformują ludzkie twarze z precyzją skalpela, a mróz przenika do szpiku kości – jak pośród tego wszystkiego Lina wciąż ma ochotę na rozmowy.

– Czy ty sobie nie odmrażasz uszu? Nie bolą cię i nie odbierają ci ochoty do gadania? – pytano ją.

– Ależ oczywiście. Ale pewnego lata Charlie Chaplin nauczył mnie, jak ruszać uszami i jednocześnie szczęką, więc gimnastykuję je. Widzisz? – mówiła, ukazując wszystkim umiejętność poruszania chrząstkami uszu.

Wszyscy śmiali się z jej opowieści, nie zastanawiając się, czy są prawdziwe, czy nie. Nie miało to żadnego znaczenia. Nikogo nie interesowała rzeczywistość, tylko sposoby na jej przezwycięzenie.

– Udało ci się zamącić mi w głowie, zakłócić moje myślenie – wyznała Inna. – Zawsze sądziłam, że jedyny sposób, aby w tym miejscu być szczęśliwym, polega na tym, żeby wyrzucić z pamięci wspomnienia i dawne zdarzenia. A ty nie tylko przypominasz sobie przeszłość, ale dzielisz się nią z innymi. Jesteś modelową szczęśliwą ofiarą dla tych nikczemników – powiedziała, odnosząc się do strażników.

– Nie jestem szczęśliwa. Tak się tylko wydaje. Ale nie znam lepszego sposobu, żeby się zemścić na tych, którzy mnie tu wsadzili.

W łagrze, w którym przebywała Lina, większość więźniarek była w jakiś sposób związana ze światem sztuki. Były tam pisarki, malarki, aktorki, wykładowczynie z uniwersytetu, śpiewaczki, poetki, a także żony, córki, siostry i matki ludzi kultury, które zostały skazane ze względu na związki rodzinne.

– Nie wiedzieli, co zrobić z kulturą rosyjską, więc wysłali ją, żeby kopała doły w zmarzlinie, w najbardziej niegościnnym dla człowieka miejscu – żartowała Tatiana Okuniewska, uwięziona za odmowę utrzymywania kontaktów seksualnych z jednym z szefów NKWD, Wiktozem Abakumowem. Lina ją podziwiała. Nieustannie ją obserwowała. Przypomniała ją sobie z czasów młodości. Szczęśliwie podziw był obustronny. Tatiana znała Linę nie tylko jako żonę Prokofiewa, ale słyszała też ją w Radiu

Moskwa, a w gazetach oglądała jej fotografie. – A może tak nas cenią, że chcą nas zakonserwować w lodzie. Wiesz, że są tacy ludzie, którzy przed śmiercią chcą się zamrozić? Mają nadzieję, że ktoś w przyszłości wynajdzie sposób, żeby ich obudzić i przywrócić do życia. Może coś takiego pragnie zrobić z nami ojczulek wszystkich narodów: zamrozić nasze umysły, zdolności, naszą umiejętność myślenia, pisanie, tworzenia. Przekłety ignorant.

Jeśli poza obozem muzyka wzbogacała życie Liny, to w czasie odsiadania wyroku uratowała je, a przynajmniej uczyniła bardziej znośnym. Lina Prokofiew nie była jedyną ofiarą, która została uratowana w ostatniej chwili. Kiedy przywieziono ją do obozu w Abez, nikt nie dałby za nią ani rubla.

– Nie przetrwa nawet sześciu miesięcy – mówili strażnicy i więźniowie. Jej kruchy i delikatny wygląd, wiek i dotychczasowe życie pełne przywilejów nie dawały większych szans na przetrwanie w lodowym piekle, przy średnich temperaturach wynoszących pięćdziesiąt stopni poniżej zera i reżimie pracy, który każdego dnia pochłaniał tysiące ludzkich istnień. Ale ci, którzy przepowiadali jej w obozie tak straszny los, nie znali jej charakteru, wewnętrznej siły ani mentalnej mocy, które wykazywała w obliczu przeciwności losu. Zapominali, że ta drobna kobieta, czuła i łagodna, umiała podnosić na duchu Siergieja Prokofiewa, że potrafiła współżyć z jego geniuszem i że z wdziękiem pokonywała wszelkie życiowe zakręty. Wiele spośród jej obozowych współtowarzyszek twierdziło, że Lina jest aniołem, ale bardziej niż o przymioty jej charakteru chodziło przy tym o straszny los, jaki ją spotkał. Dość szybko okazało się, że skrzydła tego anioła potrafią nieść go dość daleko, unosić wiele metrów nad ziemią i uratować przed wieszczoną śmiercią. Jej kwalifikacje i przeszłość były jedyną bronią, którą Lina dysponowała w obozie w Abez, wiedziała zatem, że musi jej używać. Dzięki niej dość szybko przekonała strażników, a nawet samego komendanta obozu, do organizowania w barakach spotkań muzycznych, wykładów i przedstawień teatralnych. Początkowo jej propozycja została odrzucona, ale stopniowo ci sami nieprzychylnie nastawieni funkcjonariusze zaczęli łaskawszym okiem patrzeć na perspektywę rozrywki, pozwalającej zapomnieć o koszmarnych warunkach, w których przecież sami też się znajdowali.

Lina wiedziała, że straciła głos i że jej nowa sytuacja życiowa nie sprzyja poprawieniu stanu strun głosowych. Z tego powodu skoncentrowała się na reżyserowaniu przedstawień, wystawianiu dzieł i wyszukiwaniu piosenek, które mogłyby śpiewać obozowy chór. Jej pierwszym celem było zorganizowanie pełnego koncertu. Wiedziała, że w jej baraku są kobiety grające na różnych instrumentach, ale uświadomiła sobie, że muzyczna wartość koncertu będzie pełniejsza, jeśli wezmą w nim także udział mężczyźni z innego podoboju. Petycje składane do zwierzchników oraz wizyty Liny w biurze komendanta obozu stawały się coraz częstsze. Opowiadała mu o swoich planach organizowania spektakli i innych działań kulturalnych w obozie. Komendant początkowo ograniczał się do marszczenia brwi, ale potem powoli zaczął ustępować. W końcu byli w Rosji, a Lina nie spotkała jeszcze Rosjanina, który nie lubiłby muzyki. Wpadła na pomysł utworzenia orkiestry. Wiedziała, że w okolicznych obozach jest wielu muzyków.

Pierwszą przeszkodą był brak instrumentów, ale wkrótce udało się ten problem

rozwiązać. Komendant sam postarał się o możliwość zakupu po obniżonej cenie instrumentów zarekwirowanych w trakcie rewizji, choć w większości były zepsute i w złym stanie. Więźniowie musieli się namęczyć, żeby zorganizować jakieś zaimprovizowane struny czy części instrumentów, bez których nie dawało się z nich wydobyć żadnego dźwięku. Lina radziła sobie z tymi brakami, odwołując się do wyobraźni więźniów i wykorzystując do konstrukcji niektórych instrumentów materiały, które były do dyspozycji, na przykład drewno czy mosiądz. Może kształty tych wyrobów nie były całkiem prawidłowe, ale instrumenty brzmiały zupełnie tak, jakby je wykonano w wyspecjalizowanej wytwórni. Tym sposobem w obozowej rzeczywistości pojawiły się: gitara, dwoje skrzypiec, obój, akordeon, perkusja, flet, cymbały i pianino. Ono akurat brzmiało jak ranne zwierzę, ale Linie wydawało się, że to Steinway. Wszystko to było jak wyjęte z filmu, w którym przewija się nic absurdu, sprawiającego na pozór całkiem zwyczajne wrażenie. Dla więźniów wracających do obozu po wyczerpującym dniu pracy albo stojących w kolejce po dzienną rację czarnego chleba i zupy fasolowej widok grupy strażników przemierzających obozowy plac z różnymi instrumentami w dłoniach – traktowanymi zresztą z większą troską niż sami skazańcy – był dość niezwykły. Niejeden doszedł do wniosku, że opadły go jakieś majaki.

– To pewnie sprawka Liny – mówili ludzie.

I nie mylili się.

Od czasu, gdy pochłonęły ją przygotowania do wydarzeń kulturalnych, Lina zaczęła wyglądać lepiej, a zdrowszemu obliczu towarzyszyły też wzmożone siły umysłowe. Nie została zwolniona z ciężkich, wielogodzinnych prac, ale z pewnością ich intensywność była mniejsza, co pozwalało jej przeznaczyć nieco czasu na organizację i przygotowanie prób. Miała też możliwość wysłania do synów więcej niż jednego listu rocznie, ale zawsze prosiła przy tym, żeby jej przysłali partytury, zapis arii, oper, muzyki wokalne i instrumentalnej. Na początku Światosław niczego nie rozumiał. Nie mógł pojąć, dlaczego matka nie ogranicza się – jak reszta więźniów Gułagu – do próśb o czosnek i cebulę, żeby walczyć ze skorbutem, który był schorzeniem najpowszechniej występującym w obozowych warunkach. (Synowie Liny zrozumieli w końcu, skąd brał się charakterystyczny zapach tych warzyw w biurach przy ulicy Kuźnieckiej 22, gdzie przychodzili krewni więźniów z przygotowanymi dla nich paczkami). Lina nie prosiła też o przyprawy, takie jak sól i pieprz, pozwalające nadać choć odrobinę smaku mdłej zupie, ani o odzież. Woląca zamawiać partytury dzieł Pucciniego, takich jak arie z *Madame Butterfly* czy z *Cyganerii*. Interesowały ją też utwory Prokofiewa, między innymi *Aleksander Newski*, szczególnie wykonywana przez chór kantata *Powstań, ludu Rusi*. Udało jej się poznać upodobania komendanta obozu, żeby trafniej dobrać repertuar, i robiła wszystko, co się dało, żeby osiągnąć to, czego potrzebowała. Specjalnie naciskała na synów, żeby przysłali jej *Życzenie* Chopina. Chciała przedstawić je w obozie, podobał jej się tekst tej pieśni, opowiadający o wolności i bezwarunkowej miłości. Ale głównie chodziło o to, że przypominała jej ona Siergieja. Ten utwór zwykł był grywać, żeby ją rozweselić, szczególnie po kłótniach; nauczył się w ten szczególny sposób ją przeproszać.

Wkrótce rozpoczęły się próby, a wraz z nimi komunikacja między obozami. Lina nie była jedyną osobą, która się w to zaangażowała. Stopniowo pisarze, muzycy, poeci,

kompozytorzy – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – zaczęli dzielić się pomysłami i dostarczać sobie nawzajem rad. Działalność kulturalna wносиła w życie więźniów niepowtarzalne chwile wolności, niezależnie od tego, czy brali bezpośredni udział w przedstawieniach, czy byli tylko widzami. Lina była poruszona tym, jak bardzo wszyscy pragnęli wziąć udział w przygotowaniach, choćby odnajdując pośród zmarzliny jakąś złamaną gałąź nadającą się na element scenografii albo przynosząc skrawki materiałów czy dyktę, którą można było pokolorować i przyciąć odpowiednio do wymogów scenografii. Wierzyła, że teatr, koncerty, adaptacje lektur i występy chóru mogą ocalić w obozie więcej istnień niż codzienna breja podawana do jedzenia czy opieka w ambulatorium.

Pewnego dnia, kiedy była zajęta organizowaniem prób *Rycerskości wieśniaczej* Mascagniego, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Lina stała akurat na scenie, zwrócona plecami do wejścia, i sprawdzała szczegóły jednej z partytur, kiedy usłyszała głos mówiący płynnym, doskonałym hiszpańskim. Ten dźwięk brzmiał zaskakująco. Lina gwałtownie się odwróciła, sprawdzając, czy jej się to nie przyśniło. Kto mógłby w takim miejscu mówić w jej ojczystym języku?

– Ty jesteś Lina Prokofiew, hiszpańska żona genialnego Rosjanina? Kiedy to opowiem, nie uwierzą mi.

– Uwierzą, możesz mi zaufać – odpowiedziała, wiedząc, że łagry obfitowały w znanych ludzi, w sławy i znakomitości rosyjskiej i europejskiej kultury. Najlepsze teatry, wydawnictwa i sale koncertowe mogły tylko marzyć o umieszczeniu ich nazwisk na swoich afiszach. – A ty kim jesteś?

– Nazywam się Pedro Cepeda, ale wszyscy mówią na mnie Perico. Przykro mi, że cię rozczaruję, ale nie jestem ani pisarzem, ani muzykiem, ani malarzem. Jestem po prostu hiszpańskim anarchistą, który uciekł przed faszyzmem i przyjechał walczyć w Armii Czerwonej, marząc o prawdziwej ojczyźnie proletariatu. I zobacz, dokąd zaszedłem. Przynajmniej jestem tu jednym z niewielu rzeczywistych więźniów politycznych, a nie tak jak większość z was, którzy o polityce wiecie tyle co ja o poezji.

– Zatrzymano też chirurga Juliana Fustera i polityka Francisca Ramosa Molinsa – mówił dalej Hiszpan. – Wpadałem na nich na Łubiance aż do naszego procesu. – Lina zdała sobie sprawę, że Perico pomija w swojej opowieści czas śledztwa, w trakcie którego na pewno był, jak wszyscy, torturowany. – Mnie i Fustera skazali na dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Ramos miał więcej szczęścia, dostał tylko dziesięć – powiedział, jakby w warunkach obozowych wyrok dziesięcioletni różnił się czymkolwiek od dwudziestoletniego. Nikt nie myślał, że zdoła przetrzymać tyle czasu w miejscu tak śmiertelnie niszczącym jak obóz w Abez, w którym przeżywała zaledwie szósta część więzionych w nim skazańców. – No i tak się tu znalazłem.

Lina zamyśliła się. Nie mogła w tej historii czegoś zrozumieć. W realiach rosyjskich nie było to niczym nowym, ale zdziwiło ją, że nie zdaje sobie sprawy, jak wygląda sytuacja w jej rodzinnym kraju, w Hiszpanii.

– Skoro byłeś związany z Hiszpańską Partią Komunistyczną, to dlaczego nic nie zrobili, żeby ci pomóc?

– A co robi komunistyczna partia Stalina z rosyjskimi rewolucjonistami,

z przekonanymi komunistami, z ludźmi, którzy oddali życie rewolucji i samej partii? Powiem ci: zamyka ich w tym samym miejscu, w którym jesteśmy teraz ty i ja. Wiesz, co mi powiedział któregoś dnia jeden z więźniów z mojego baraku? Że powinienem doceniać swoje szczęście, bo ci, którzy mnie biją i trzymają pod strażą tu w obozie, to Rosjanie, a nie Hiszpanie. A jego torturują i grożą mu śmiercią ludzie tej samej co on narodowości, którzy być może dzielą z nim te same ideały rewolucyjne. „To nasi” – powtarzał, prawie płacząc. Spojrzał na mnie i powiedział, że nie zazdrości tym, którzy są na wolności.

Lina milczała. Nigdy nie przypuszczała, że w obozie fakt, że jest cudzoziemką – bez wątplenia jeden z powodów, dla których się tu znalazła – może budzić czyjąkolwiek zazdrość. Ale Perico postanowił odpowiedzieć na pytanie swojej rozmówczynie, żeby nie przedłużać milczenia.

– Ludziom z Hiszpańskiej Partii Komunistycznej wcale nie byłoby na rękę, gdybyśmy wrócili i zaczęli opowiadać, co się stało z ich towarzyszami w Związku Radzieckim, jak aresztują, zamykają, skazują i rozstrzelują swoich. Byłoby nieładnie. Dlatego nas, komunistów hiszpańskich, których tylu siedzi w łagrach, oskarża się o faszyzm, o przejście na stronę wroga i o to, że jesteśmy ukrytymi szpiegami frankistowskiego reżimu. Skąd się bierze ta obsesja, to traktowanie wszystkich jak szpiegów? Jestem przekonany, że Ibárruri<sup>41</sup> chciałaby mnie widzieć, jak wiszę na latarni w alei Gorkiego.

Linie spodobał się ten człowiek. Jego sposób bycia, przyjazna natura, andaluzyjski wdzięk i pozytywne usposobienie wywoływały jej uśmiech. Przypominał jej ojca, Juana Codinę. Nie potrafiła uniknąć pewnego zauroczenia tym człowiekiem, który stał się uczestnikiem jej zaimprovizowanego przedsięwzięcia artystycznego. I wiedziała, że odda mu przysługę, jeśli poprosi go o udział w wystawieniu opery, bo uwolni go to od prac, które rozdzierają mu duszę, ciało i osłabiają hart ducha. Choć Pedro Cepeda miał dobry głos, nie bardzo radził sobie na próbach, wyraźnie zajmowały go inne rzeczy. Najpewniej dobrze się czuł w baraku, który komendant obozu oddał im na próby. Pedro musiał tu być na tyle zadowolony, że chciał tylko cieszyć się tymi chwilami i zapominał słów. Linę to bawiło, ale starała się tego nie okazywać.

– Pedro, nigdy nie wchodzisz w porę, a kiedy już wchodzisz, mruyczysz tylko, a nie śpiewasz pieśni. Tak trudno ci zapamiętać tekst? – powiedziała, nie po rosyjsku, w którym to języku zwykli rozmawiać, żeby wszyscy ich rozumieli, ale po hiszpańsku, starannie i nienagannie, w sposób kontrastujący z najczęściej niechlujną andaluzyjską wymową Pedra.

– Bo to jest skomplikowane, Lina. Dyrygujesz w bardzo dziwny sposób – odpowiedział, pragnąc wyłącznie jej dokuczyć.

– To ty dziwnie śpiewasz. Przestań udawać głupiego albo wezmę kogoś innego.

– Już się skupiam – zapewnił bez dalszych wykrętów – już się skupiam. A gdzie niby ma być kościół i gdzie moja ukochana? – spytał, szukając właściwego miejsca, w którym powinien stanąć.

– Właśnie po niej chodzisz – odpowiedziała Lina, widząc, że Pedro źle się ustawił na scenie.

Kiedy akurat nie przypadała jego kolej, żeby stać przy drewnianych szczapach, które umieścili na scenie jako elementy scenografii, Pedro podszedł do swojej rodaczki i szepnął jej do ucha:

– Jak ona się nazywa? – Wskazał przy tym gestem jedną z więźniarek, które pomagały przy ustawianiu dekoracji.

– Ta? – spytała Lina, spoglądając na kobietę, w którą wpatrywał się Pedro. – Nazywa się „skup się na tekście, bo jak go jeszcze raz zapomnisz, wszystkich nas wsadzą do karceru za zabójstwo Pietra Mascagniego”.

– Masz rację, masz rację. – Pedro miał zwyczaj dwukrotnego powtarzania zdań. Ale powiesz mi, jak ona ma na imię? Na pewno to długie imię, które wymieniłaś, ma jakąś formę skróconą.

Lina spojrzała na niego, zachowując minę świeżo upieczonego dyrygenta, i po chwili uśmiechnęła się.

– Irina. Ma na imię Irina.

– No więc Irina jest bardzo ładna.

– I uważa, że masz bardzo dobry głos tenora.

– Bo mam. Dlatego od małego należałem do chóru w teatrze Stanisławskiego – powiedział Pedro, nie całkiem rozmijając się z prawdą.

– Ale żeby Irina mogła zauważyć, jak dobrze ci idzie, musisz zapamiętać tekst.

– No tak, to jest dobra zachęta. Na pewno zapamiętam.

Przez chwilę jeszcze rozmawiali, przypominając sobie hiszpańskie zwyczaje, opowiadając o swoich rodzinach, dzieląc się swoimi lękami i marzeniami. Oboje byli ludźmi pełnymi życia, nie ulegali łatwo załamaniom psychicznym, a przynajmniej nie lubili tego robić na oczach innych. Choć wiedzieli, że fantazjują, planowali spotkać się po wyjściu z obozu, „bo przecież stąd się wychodzi”, jak mawiali w formie pozdrowienia wygłaszanego po hiszpańsku i pełniącego funkcję zaklęcia mającego podtrzymywać nadzieję. Być może wynikało to z ich wspólnej narodowości, ale Pedro i Lina mieli wiele podobnych cech charakteru. Nie lubili słowa „strach”, nie mieli zwyczaju robić ani mówić niczego wbrew sumieniu, jeśli było trzeba, potrafili sprzeciwić się strażnikowi, wartownikowi czy sędziemu śledczemu – tak jak się to obojgu przydarzało na Łubiance – nie dbając o konsekwencje, jakie ta śmiałość na nich sprowadzała. Jeśli czegoś pragnęli, to dążyli do tego, choć może Pedro w sposób bardziej impulsywny. I tak też się stało pewnej nocy, że – łamiąc obozowe reguły – Pedro postanowił wyjść ze swojego baraku i przejść do baraku kobiecego. Robił to nie po raz pierwszy. W niektóre noce, kiedy księżyc nie był w pełni, mężczyźni podejmowali ryzyko i przekraczali normy regulaminu, aby się spotkać z więźniarkami, które czekały na nich z czymś do jedzenia i picia. Prawie zawsze to Inna brała na siebie zorganizowanie niezbędnych produktów. Lina uczestniczyła w wielu takich tajnych wizytach, w trakcie których rozmawiano o wszystkim, włącznie z polityką. Ale tej nocy Perico chciał się zobaczyć z Iriną. Podobała mu się i sądził, że ciemność będzie dobrą zasłoną, a nieustępliwy mróz sprawi, że wartownicy będą trochę mniej uważni. Gdy był już blisko kobiecego baraku, dostrzegło go czterech strażników, którzy go pobili. Perico trafił do szpitala. Kiedy spadały na niego ciosy i kopniaki, zastanawiał się, jak to się stało, że jego plan został tak łatwo

zdemaskowany przez strażników, którzy jakby na niego czekali. I rzeczywiście czekali. Irina wiedziała o zamiarach Hiszpana, ale wiedziała o nich także inna więźniarka, która się w nim zakochała. Skoro nie odwzajemnił jej uczucia, postanowiła się na nim zemścić, wyjawiając strażnikom nocny plan. Zdrada przyniosła jej dodatkową porcję *balandy* i chleba. Kiedy Lina dowiedziała się o wszystkim, zrobiła co mogła, żeby znajoma więźniarka pracująca w szpitalu zajęła się jej rodakiem. Poprosiła też Innę, żeby zadbała o Pedra i zorganizowała mu coś do jedzenia. Tak też się stało. Na łóżku hiszpańskiego rewolucjonisty zamienionego w śpiewaka pojawiły się papierosy, kawałek słoniny i herbatniki. Pedro musiał zostać w szpitalu przez tydzień.

Różne emocje towarzyszące miłości okazywały się więc równie niebezpieczne zarówno poza obozem, jak i w nim. Ale czasem warto było podjąć ryzyko, żeby ich doświadczyć.

<sup>40</sup> Ocenia się, że przy budowie tego odcinka szosy, przy którym pracowali więźniowie Gułagu, zginęło kilka tysięcy osób. Chowano je na miejscu, wzdłuż drogi lub w jej obrębie. Udokumentowanych przypadków celowego stosowania ludzkich szczątków jako dodatku do nawierzchni nie odnotowano.

<sup>41</sup> Dolores Ibárruri, hiszpańska działaczka polityczna, kierowała Hiszpańską Partią Komunistyczną od 1944 roku aż do śmierci w 1989 roku.



Olena z największą ostrożnością poruszała się po domu dowódcy obozowych wartowników, jakby obawiała się, że może tam wejść na pole minowe. W tym tygodniu to właśnie jej przypadło sprzątanie mieszkania jednego z najbardziej despotycznych i okrutnych funkcjonariuszy obozowych i Olena zdawała sobie sprawę, że żadna ostrożność z jej strony nie jest nadmierna. Jakikolwiek błąd czy niestaranność mogłyby ją drogo kosztować. Ukrainka urodziła się w tej samej okolicy co Prokofiew, w Doniecku. Z tego prostego powodu stała się jedną z więźniarek budzących największą czułość Liny – zresztą Olena w pełni te uczucia odwzajemniała.

Kiedy zbliżał się koniec pracy i Olena zamierzała wracać do swojego baraku, jej wzrok padł na kosz na śmieci stojący w gabinecie pod biurkiem. Podeszła nieśmiało, żeby uważniej zbadać jego zawartość. Stwierdziła, że w koszu znajduje się paczka listów przewiązanych postrzępionym sznurkiem. Spojrzała nerwowo na drzwi mieszkania i przez kilka sekund nasłuchiwała, czy nie dobiegnie jej odgłos kroków oznajmiających nadejście któregoś z wartowników. Kierowana ciekawością wyjęła paczkę z kosza i stwierdziła, że są w niej nigdy nieotwierane listy adresowane do więźniarek. Często zdarzało się, że obozowi funkcjonariusze przejmowali na pewien czas korespondencję więźniów – czy to z niezdrowej ciekawości, jeśli rzecz dotyczyła którejś ze znanych osób, czy też z zamiarem przechwycenia jakiejś istotnej informacji, czy dla odebrania skazanym jednej z niewielu szczęśliwych chwil, którymi mogli się cieszyć. Niektórzy nawet w ogóle odmawiali dostarczenia korespondencji adresatom, bo w ten sposób oszczędzali sobie pracy, za którą i tak nie uzyskiwali żadnych dodatkowych korzyści. W przypadku paczek przysyłanych przez rodziny więźniów strażnicy mogli przynajmniej żądać swojej działki, niezależnie od wykradania zawartych w przesyłkach produktów spożywczych. Papierosy, cukier i masło zwykle zniknęły z paczek i rzadko trafiały do rąk skazanych. Wszyscy wiedzieli, jak to się w obozie odbywa, zdawali też sobie sprawę, że wszelkie skargi czy protesty będą nieskuteczne: śmiałość okazywana przez tych, których jedynym prawem była katorżnicza praca, kończyła się najczęściej wielodniowym albo nawet wielotygodniowym pobytem w karcerze. Nie wszyscy wychodzili z niego żywi.

Olena nerwowo przeglądała koperty i na jednej z nich zauważyła numer skrzynki, który wydał jej się znajomy: 388/16b. Był to numer Liny Prokofiew. Wyciągnęła ten list z paczki i spojrzawszy na tył koperty, zobaczyła imię syna, Światosława. Ledwo mogła w to uwierzyć. Mobilizując całą swoją odwagę i wiedząc, że ten czyn może ją drogo kosztować, Olena ukryła list we własnej bieliźnie. Wolała ponieść ryzyko, lecz dać trochę radości kobiecie, która tyle dobrego robiła dla niej i dla wielu innych więźniarek. Wiedziała, że ta odwaga może oznaczać pozbawienie dziennej racji chleba albo spędzenie kilku dni w zamknięciu w jamie pod śniegiem, po ciemku, na mrozie i niemalże bez żywności. Musiała spędzić cały dzień z listem ukrytym na własnym ciele, bo w tym akurat tygodniu Linie przypadły dyżury na zewnątrz i wynoszenie śmieci oraz odpadków w beczkach po śledziach. Wiedziała, że praca fizyczna szybko niszczy jej zdrowie; w gruncie rzeczy był to rodzaj kary nałożonej na nią przez kaprys jednego ze strażników.

Zwykle Lina zostawała w obozie i sprzątała baraki albo kuchnię, gdzie tępy nożem obierała też kilogramy zmarzniętych ziemniaków. Ta praca nigdy nie miała końca, nie była przyjemna, ale przynajmniej nie wymagała fizycznego wysiłku związanego z dźwiganiem ogromnych ciężarów, pchaniem wózków i wagonów czy pokonywaniem długich kilometrów po stwardniałym śniegu i zmarzlinie. Dni, w których Lina musiała wychodzić, żeby wykonywać te obowiązki, całkowicie pozbawiały ją sił. Nie miała wówczas ani ducha, ani woli, żeby pójść do kuchni po posiłek składający się z miski lurowatej zupy, kromki chleba i kubka wody. Wołała zwalić się na drewnianą pryczę i odpoczywać, z nadzieją, że jutro potrafi sprostać kolejnemu dniowi pracy, który miał się zacząć za niewiele godzin. Kiedy Linie zaczęły się już zamykać oczy, do jej pryczy podeszła Olena.

– Trzymaj. Znalazłam to. List do ciebie. Od twojego syna. Postaraj się, żeby go nie znaleźli, a jak znajdą, błagam, pamiętaj, że to nie ja ci go dałam.

Nie był to pierwszy list czy wiadomość, które Lina była zmuszona zjeść, żeby nie znaleźli ich strażnicy. Było to prawie jak uczestnictwo w funkcjonującym w obozie czarnym rynku czy nielegalnym obrocie towarami.

Nie potrafiła znaleźć właściwych wyrazów wdzięczności za gest obozowej towarzyszkii. Jeśli dzień katorżniczej pracy odbierał rok życia, ta kobieta właśnie oddała jej ten utracony czas. Z powodu odmrożeń Lina miała zsiniałe, popękane i pozbawione czucia palce. Poruszanie nimi sprawiało jej ogromny ból. Ale warto było cierpieć. Wpatrywała się w pismo Światosława i miała wrażenie, że sam Bóg zstąpił na ziemię, by przeprowadzić z nią prywatną rozmowę. Z trudem rozerwała kopertę – ze względu na niesprawne palce i z obawy, że przez powstały otwór ucieknie coś z zapisanej treści listu. Zdziwiło ją, że nikt z obozowych funkcjonariuszy nie otworzył wcześniej koperty i nie zainteresował się jej zawartością. Ale czasami strażnicy – wiedziała to od Inny – okazywali więźniom tak wielką pogardę, że wyrzucali całe paczki zaklejonych listów.

Kiedy wreszcie udało jej się wyciągnąć list z koperty, zaczęła chciwie pożerać oczami słowa układające się w kolejne linijki. Próbowwała odnajdywać znaczenia ukryte w każdym ze znaków przestankowych, w każdym wyrazie, w każdym wyrażeniu, nawet w pochyleniu pisma. Ten, kto pisał taki list, wiedział, że będą go sprawdzać oczy cenzorów, że najmniejsze podejrzenie czy też wątpliwość spowodują jego odrzucenie. Z tego powodu wszystkie listy były do siebie podobne. Proste, ale zawierające ukryty sens zdania, takie jak: „Zdrowie mi nie dokucza”, „Życie tutaj nie jest takie ciężkie”, „Spędziłem kilka dni w szpitalu z powodu infekcji gastrycznej, ale już wyszedłem i mogłem wrócić do pracy”, „Uczę się wielu rzeczy”, „Myślę o tobie”, powtarzały się jak elementy prefabrykowane, choć ten, kto ich używał, był przekonany, że adresat będzie umiał zinterpretować ich ukryte znaczenie. Przy opisywaniu uczuć, wymianie opinii czy przekazywaniu informacji lepiej było grzeszyć nadmierną powściągliwością. Lina wiedziała o tym i dlatego chłód listu nie stanowił dla niej żadnego rozczarowania. Wręcz przeciwnie. Światosław opowiadał, że nadal pracuje, że wszystko idzie dobrze, że mieszkają wciąż w tym samym mieszkaniu i że pomaga im Frosia, że Oleg porzucił wydział pedagogiki artystycznej i całkowicie poświęcił się malowaniu. Starszy syn nie podzielił się z nią informacją, że jego brat pobiera nauki u Roberta Falka, jednego

z wielkich rosyjskich malarzy, który po pobycie w Paryżu wrócił do Związku Radzieckiego, gdzie borykał się z tymi samymi kłopotami, oskarżeniami i zapomnieniem co większość artystów; nazwisko malarza – gdyby pojawiło się w liście – mogło na wszystkich spowodować kłopoty. Dalej Światosław donosił, że poznał dziewczynę o imieniu Maja i jest bardzo przejęty rodzącym się właśnie uczuciem. Lina uśmiechała się przy każdym zdaniu, choć zmartwiło ją, że syn popełnił błąd i podał imię dziewczyny, którą dopiero co pokochał. Poczowała jednak ulgę, kiedy przypomniawszy sobie, że list nie trafił do rąk funkcjonariuszy odpowiedzialnych za sprawdzanie poczty. W końcu dotarła do wzmianki o Siergieju. Nie był wymieniony bezpośrednio, Światosław pisał o nim „tata”. Otwierając kopertę i wydobywając z niej arkusz papieru listowego, Lina chciała szybko sprawdzić, czy znajdzie w tekście coś o Prokofiewie. Ale kiedy doszła do odpowiedniego fragmentu, wolała zaczekać, nacieszyć się myślą o czekającej na nią wiadomości i nie przeczytała jej od razu. Chciała mieć przyjemność późniejszego dotarcia do niej w trakcie lektury. W miejscu, w którym się znajdowała, nadzieja nie zapuszczała korzeni i nie rodziła marzeń, kiedy więc nadarzyła się okazja ucieszenia się choć odrobiną nadziei, trzeba było z niej skorzystać. Ale nowiny nie były dobre. Siergiej miał się nie najlepiej. W ostatnim czasie bardzo podupadł na zdrowiu – to było zakamuflowane odniesienie do małżeństwa z Mirą. Przyjęto go do szpitala w związku z upadkiem wywołanym kłopotami z krążeniem, których powodem było nadciśnienie. Z przykrością usłyszał, że lekarze zalecają mu spowolnienie rytmu pracy albo całkowitą z niej rezygnację – przynajmniej na pewien czas. Lina wiedziała, że musiało to być dla niego jak śmierć za życia, że nie móc komponować to dla Prokofiewa prawie tak, jak nie móc oddychać. Ogarnął ją niepokój, zalała ją fala instynktu opiekuńczego. „Gdybym tylko mogła z nim być. Gdyby każde z nas nie znajdowało się w tym miejscu świata, które mu nie odpowiada” – myślała, zdając sobie jednocześnie sprawę z bezużyteczności tej refleksji. Chętnie przeczytałaby w liście, że mężczyzna, który naznaczył – i dalej zresztą znaczył – jej życie, robi wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć, że wstrząsnęła nim wiadomość o jej aresztowaniu, uwięzieniu i zesłaniu do łagru, że interesuje się nią, że codziennie pyta synów o jej stan. Ale byłoby to samobójstwo dla Siergieja. Jeśli informacja o takim zainteresowaniu kompozytora jedną z więźniarek Gułagu dotarłaby do kogoś odpowiedzialnego za obóz – a tego przecież należałoby oczekiwać – mogłaby stanowić śmiertelne zagrożenie dla niego, dla jego synów i dla samej Liny. Najpewniej zniknęłaby którejś nocy i została przewieziona w miejsce, gdzie ludzie wyparowują, przestają istnieć i nic już o nich nigdy nie wiadomo. A kiedy pytaliby o nią bliscy, otrzymywaliby lakoniczną i chłodną odpowiedź: „Więzień bez prawa do korespondencji”. Taka formułka oznaczała, że więzień nie żyje, że nie ma co zadawać sobie trudu z poszukiwaniami czy z pytaniami. Taki ktoś już nie istniał, a jeśli jego sprawa wpadłaby w ręce doświadczonych w sztuce kamuflowania cudzych losów, mogłoby się okazać, że w ogóle nigdy nie istniał, że wszystko było jedynie snem, a ci, którzy twierdzili, że go pamiętają, kłamią i nadużywają zaufania partii. Karą za takie występki było uwięzienie, deportacje i egzekucje.

Lina pomyślała sobie, że tak właśnie musiało być, że Siergiej na pewno się o nią martwi, mimo że mieszka z Mirą. Znała go bardzo dobrze. Nie mógł się aż tak zmienić.

Przede wszystkim ona sama nie chciała, żeby się aż tak zmienił.

Tkwiała uwięziona pomiędzy linijkami zapisanego przez jej syna tekstu, kiedy coś zakłóciło jej lekturę. Z zewnątrz dobiegały odgłosy suchych uderzeń. W pierwszej chwili myślała, że to stuka drewniana deska pozostawiona na pastwę wiatru albo jakiś przedmiot obijający się o ścianę baraku, ale uderzenia były zanadto rytmiczne, żeby przypisać je przypadkowemu działaniu powietrza. Lina złożyła list, schowała go pod ubranie i usiadła, starając się nie robić hałasu. Wyglądając przez szpary między deskami w jednej ze ścian baraku, dostrzegła, że dwóch strażników ciągnie ciało więźniarki. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby je owinąć jakąś tkaniną. Stuki, które Lina słyszała, to były uderzenia głowy nieboszczki o kolejne stopnie schodków prowadzących do baraku. Zdawała sobie sprawę, że jest to obraz straszny, ale nie mogła przestać się w niego wpatrywać. Utkwiła wzrok w niewielkim wózek oddalonym zaledwie o dwa metry od niej. Zobaczyła wielką, nieruchomą stertę i natychmiast zrozumiała, że to kolejne ciała. Tak właśnie znikali obozowi więźniowie. Wieczorem wciąż jeszcze istnieli, a następnego ranka nie było po nich śladu. Zarządcy obozu mieli przykazane, żeby trupy zbierać przed świtem, wywozić je poza obóz i pozostawiać na łaskę wiecznie zmarzłej tundry. To, co z tymi ciałami robiono, czy je grzebano, czy nie, i gdzie je porzucano, pozostawało sekretem. Lina właśnie odkryła jedną z wielkich obozowych tajemnic, odchyliła zasłonę, która w tym miejscu towarzyszyła śmierci. Zrobiła krok do tyłu i mimowolnie spowodowała, że skrzypnęła jedna z desek. Ten odgłos sprawił, że jeden ze strażników, który przerwał na chwilę pracę i zapalił papierosa, odwrócił wzrok w stronę Liny. Odruchowo skuliła się i zaczęła się modlić, żeby wichura, która rozszałała się na dworze, zniechęciła strażnika do starannego sprawdzenia źródła podejrzanego odgłosu. Odczekała kilka sekund, nie mając odwagi odдыchać. Nie zdecydowała się nawet spojrzeć, co dzieje się na dworze. Gdyby bowiem strażnik zbliżał się do baraku, wołała go nie widzieć. Po dalszej chwili oczekiwania, która wydawała się trwać wieki, podniosła jednak wzrok i zobaczyła, jak drewniany wózek załadowany trupami zmierza ku żeliwnej bramie obozu. Odetchnęła z ulgą. Uniknęła bezwzględnej kary, która spotkałaby ją, gdyby odkryto, że patrzy na coś, czego nie powinna widzieć. Wróciła na swoją prycę i nakryła się kocem. Nie potrafiła wymazać z pamięci widoku głowy martwej więźniarki uderzającej o stopnie schodów ani makabrycznego odgłosu. Postanowiła przeczytać po raz ostatni list od syna. Wiedziała, że przyniesie jej to ulgę.

Tej nocy śnili się jej synowie i Siergiej. Przede wszystkim Siergiej.

Obudziwszy się rano, nie pamiętała dokładnie szczegółów nocnych wizji, ale wiedziała, że oboje z Siergiejem rozmawiali ze sobą spokojnie, z uśmiechem, patrząc sobie w oczy, bez pośpiechu, bez wahań, tak jak to zawsze bywało w jej miłosnej historii. Tamtego ranka, przed pierwszym posiłkiem, który zwykle pozwalał tylko rozgrzać dłonie – rzadziej żołądek – skorzystała z prawa do odwiedzenia ustępu. Ukryta przed wzrokiem wartowników i słysząc poganiające ją okrzyki, pochłonęła słowa Światosława smakujące zjełczałą celulozą. Nawet w tej postaci były bardziej pożywne i smaczne niż wszystko, czym żywiło się ostatnio jej ciało.

– Ej, ty! – wartownik nie użył żadnego nazwiska, ale Lina wiedziała, że chodzi o nią.

Jak wszyscy więźniowie w obozie, wytworzyła w sobie specjalny radar informujący ją, kiedy krzyk jest skierowany do niej. Przestraszyła się, że jednak ją widziano i że biciem w żołądek każą jej zwymiotować to, co połknęła. Starła się zebrać siły, powtarzając sobie, że nie dba o konsekwencje. Przeczytała list i tego nie można już jej było odebrać, nawet za pomocą uderzeń.

– Masz iść do biura komendanta. Chce z tobą rozmawiać.

Nie wiedziała, co czeka ją w tamtym pomieszczeniu, ale wiedziała, że przez kilka minut jej dłonie nie będą miały kontaktu z latryną ani nie będą walczyć z wszami i pluskwami, których pełno było w celach karceru. Takie wizyty nigdy nie zwiastowały niczego dobrego, a najgorszy był strach towarzyszący więźniowi idącemu do zarządców obozu.

Wchodząc do gabinetu, zobaczyła komendanta, a obok niego wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę o blond włosach. Lina próbowała go rozpoznać. Nie знаła tej twarzy ani ze swojego obozu, ani z sąsiedniego, w którym przebywali mężczyźni. Z pewnością był to więzień, ale zachowywał się jakoś inaczej niż inni.

– Zna pani niemiecki? – spytał komendant.

Te słowa przypomniały jej o przesłuchaniach, przez które przeszła na Łubiance i w Lefortowie. Pozornie niewinne pytanie mogło sugerować, że w umyśle przesłuchującego powstała wielka konstrukcja ze szpiegowskim spiskiem i zdradą w tle. Dlatego Lina z pewną ostrożnością kiwnęła potakująco głową.

– Od dziś będzie pani pracować z doktorem – powiedział komendant, wskazując ręką mężczyznę o blond włosach. – Przy leczeniu niektórych więźniów potrzebna mu jest pomocnica znająca niemiecki. Będzie pani z nim aż do odwołania. – Komendant spojrział na nią, wyraźnie mając ochotę coś jeszcze dodać. – Oczywiście to pani nie odsunie od działalności kulturalnej w obozie. Jak idą przygotowania do *Rycerskości wieśniaczej*? – spytał.

– Dobrze, wszystko w porządku – odpowiedziała Lina, która wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że w ciągu kilku godzin dotarło do niej tyle dobrych nowin: list od Światosława i uwolnienie od pracy na zewnątrz w związku z nowym zajęciem u boku niemieckiego lekarza. – Przydałyby się struny do skrzypiec.

– A mnie przydałyby się wakacje, żeby przestać was wszystkich oglądać, a jednak muszę się zadowolić patrzeniem na wasze twarze. Sądzę, że rozumie pani tę odpowiedź na swoje aluzje.

– Tak, obywatelu komendancie – odpowiedziała Lina.

Było jej wszystko jedno. Tego ranka nikt nie mógł jej popsuć humoru. Niemniej kontynuowała swoje zabiegi, co sprawiło, że niemiecki lekarz musiał ukryć uśmiech.

– Chociaż gdyby pan mógł sprawić, żeby mój list dotarł do synów znacznie szybciej niż normalnie, mielibyśmy na czas nuty, o które ich proszę. Wiem, że arie Straussa, Pucciniego i pieśni Chopina na pewno się panu spodobają.

– Niech pani nie przeciąga struny. Może pęknąć – odpowiedział komendant. Jednak coś sobie zanotował i wydał polecenie, żeby wysłać list w szybszym trybie. Był melomanem i Lina dobrze o tym wiedziała.

Wyszli z głównego obozowego biura we dwoje – niemiecki lekarz i jego nowa

pielęgniarka. Lina przyglądała mu się z ukosa. Nie wiedziała, czy powinna się na niego rzucić i podziękować mu za uratowanie życia, czy wybuchnąć płaczem. Postanowiła zachować wstrzeźliwość z obawy, że doktor zmieni zdanie i widząc zachowanie swojej nowej pomocnicy, uzna, że popełnił błąd.

Ale kiedy byli już w szpitalu, nie mogła się powstrzymać. Tak rzadko miała w obozie okazję wyrazić komuś wdzięczność, że nie potrafiła zdławić w sobie ochoty, aby to wreszcie zrobić.

– Chciałabym – zaczęła – podziękować za to, że...

– To ja jestem wdzięczny pani mężowi – przerwał jej lekarz, nie pozwalając skończyć zdania. – To, co czułem dzięki temu człowiekowi i jego muzyce, to dług, którego nie zdołam spłacić do końca życia. A żeby ta muzyka mogła powstać, u jego boku musiała trwać wspaniała kobieta – dodał, nie przestając się szeroko uśmiechać. W oczach Liny pojawiły się łzy. – Poza tym niech mi pani powie, gdzie miałbym spotkać kogoś z taką znajomością niemieckiego. Oboje mamy więc z tego pożytek. Nie ma mi pani za co dziękować. Przy okazji, nazywam się Erik Sommer.

– Lina Prokofiew – powiedziała, także wyciągając rękę i dopełniając wzajemnej prezentacji.

Nazwisko męża nadal naznaczało jej życie.

Relacje między doktorem a nową pielęgniarką kształtowały się poprzez ciekawe rozmowy, wzajemne, niemal natychmiastowe zrozumienie i niekończący się ciąg przysług, zawsze rozpoczynający się – jakże mogłoby być inaczej – od Erika. Zaczął od robienia Linie zastrzyków z mieszanek witaminowych, które odbudowywały jej organizm. Szczególnie chodziło o witaminy z grupy B: była w nich witamina B1, czyli tiamina, oraz B2, czyli ryboflawina. Chodziło o odwrócenie skutków niedożywienia. Podawał jej też witaminy A i C oraz suplementy zawierające rybi olej i glukozę, żeby zwalczyć zaawansowane wyniszczenie organizmu. Nigdy nie zrozumiała, jak to było możliwe, ale Erik zdobywał małe ampułki sinestrolu – substancji w niemal cudowny sposób przeciwdziałającej wypadaniu włosów. Lek ten sprawiał Linie większą przyjemność niż małe kawałki czekolady, które czasami wieczorem, po zakończeniu dnia pracy, Erik przynosił jej w prezencie, a którymi ona zawsze chciała się z nim dzielić. Wciąż, pomimo okoliczności, zachowała dawną kokieterię, a to niewątpliwie działało ożywczo na ich relacje.

– Jesteś dla mnie za dobry.

– Niełatwo jest spotkać kogoś takiego jak ty. – Niebieskie oczy doktora wpatrywały się w nią z czymś więcej niż zwykłą wdzięcznością. Może gdyby miały inny odcień... – A już szczególnie w takim miejscu.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała, gasząc rozbłyśki niebieskiego barwnika w jego tęczęwkach.

– Bo jestem Niemcem. Mówiąc bardziej precyzyjnie: niemieckim szpiegiem – powiedział z ironią w głosie. Ponad pięćset obozów składających się na cały system Gułagu stało się wielką fabryką szpiegów. – A ty?

– Bo jestem Hiszpanką, i oczywiście na dodatek szpiegiem. Ale raczej jestem szpiegiem brytyjskim albo amerykańskim. Miałam zbyt wielu przyjaciół, jak sędzę.

Lina znów usłyszała dawno już zapomniany dźwięk własnego śmiechu. A Erik był pierwszym, który mógł oglądać nowy, uśmiechnięty wyraz jej twarzy.

Razem pracowali, doskonale się rozumieli, prowadzili rozmowy na temat muzyki, sztuki, literatury – ale nie polityki. Nie dlatego, że było to zabronione, bo przecież i tak wszyscy więźniowie o niej rozmawiali szeptem w różnych kątach baraków. Po prostu kiedy byli razem, czuli się od polityki bardzo odlegli. Nie chcieli tracić czasu na coś, co im do niczego nie było potrzebne.

– A teraz musimy coś poradzić na tę kurzą ślepotę – powiedział doktor ku przerażeniu Liny. Wiedziała, że więźniów cierpiących na tę dolegliwość, która była rezultatem braku witamin i niedożywienia, władze obozowe traktowały jako niezdolnych do pracy. Kiedy bowiem zapadał zmrok albo w miejscach, gdzie było mało światła, osoby te stawały się całkiem niewidome. Jeśli nie chciały wpaść do jakiejś jamy albo rozbić się o taką czy inną przeszkodę, musiały chodzić z wyciągniętymi ramionami, jak zjawy. Uważano tych ludzi za inwalidów i czekał ich smutny koniec: albo znikali w środku nocy, albo trafiali do umieralni. Tak czy owak, nikt ich więc nie widział.

– Powiesz im o tym? – spytała, bojąc się, że skończy w tym samym miejscu co inni.  
– Przysięgam ci, że mogę wykonywać swoją pracę. Ślepotą mnie prawie w ogóle nie dotyka.

– Miałbym powiedzieć i zostać bez najlepszej pomocnicy, jaką kiedykolwiek miałem? Chyba zwariowałaś. Okaże się, że to, co mówią o pełni księżyca, to prawda – powiedział Erik znaczącym tonem. – Widziałem cię nieraz, jak wpatrujesz się w nocy w księżyc, zupełnie jakbyś się nim żywiła. Dam ci witaminy, ampułki z glukozą, a poza tym będę ci robił zastrzyki. Nie chcę, żeby księżyc został bez swojego głównego widza.

– To wilcze słońce – odpowiedziała Lina równie tajemniczo. Z nikim nie używała w rozmowie tego określenia, z wyjątkiem Siergieja i synów. Podobało jej się, że ta nazwa jest niejako jej własnością, niemalże tajemnicą, ukrytą tak, żeby nikt nie mógł jej wykorzystać w niecnym celu ani posłużyć się nią w banalny sposób.

– Naprawdę? – spytał Erik, szukając w jej ramieniu żyły, żeby zrobić pierwszy zastrzyk.

– Nie wiem, ale podoba mi się dźwięk tych słów – odpowiedziała, cofając ramię w momencie, kiedy poczuła ukłucie.

– Zabolalo cię? – spytał, widząc, jak jej ciało drgnęło, kiedy igła trafiła do żyły.

– Nie, tylko nie lubię igieł. – Jej umysł przez kilka sekund przypominał sobie igły stosowane przez Piotra i Nikołaja w trakcie przesłuchań na Łubiance. Spojrzała ponownie na Erika. Wolą ją jego niebieskie spojrzenie.

Lina stała się cieniem dobrego doktora. Robiła wszystko, co jej kazał, pozwalała się prowadzić jego słowom i dłoniom, nauczyła się interpretować jego wskazówki, spojrzenia, milczenie, nawet oddech – wszystko to dawało jakieś pojęcie na temat powagi stanu chorego. Pokazywał jej, jak opatrywać rany spowodowane odmrożeniami, jak przywracać prawidłowy rytm oddechu i normalizować temperaturę więźnia, który wyszedł z karceru, jak trzymać nogę chorego, którego operuje się bez znieczulenia. Pokazywał jej, jak najlepiej kapać chloroformem na maseczkę, umieszczaną tak, by zakrywała usta i nos pacjenta, oraz jak oświetlać latarką ranę, którą lekarz próbuje zaszyć

przy niedostatecznie jasnym świetle w ambulatorium. Erik odkrył pewien zwyczaj swojej nowej asystentki, który wzbudził jego zainteresowanie. Lina usiłowała zakrywać prześcieradłem lub kocem nagie ciała pacjentów. Robiła to nawet po ich śmierci, jakby chciała zaoszczędzić im wstydu nagości także wówczas, gdy opuściło ich życie. Lekarz sądził, że jest jakieś wytłumaczenie tej obsesji, i lokalizował ją gdzieś w przeszłości Liny, najpewniej w związku z jakimś przesłuchaniem albo innymi męczarniami w więzieniu lub obozie.

– Pod ubraniami wszyscy jesteśmy nadzy – powiedział w końcu któregoś dnia. Widząc zaskoczenie na twarzy Liny, wyjaśnił, skąd pochodzi ta sentencja. – To nie moje zdanie, ja bym tego nie wymyślił. Powiedział to niemiecki poeta Heinrich Heine, jeden z moich ulubionych. Od dawna go nie czytałem. Przynajmniej mam dobrą pamięć.

– Lubisz poezję?

– Bardzo. Powinienem być zignorować rady ojca i pisać, zamiast studiować medycynę. Choć prawdę mówiąc, nie najlepiej mi szło składanie słów. Może gdybym to robił... – zamilkł na chwilę i zamyślił się. – Ale chyba nie, pewnie i tak bym skończył w tym samym miejscu.

– Moja matka, Olga, mawia, że nigdy nie należy żałować żadnej decyzji. Przede wszystkim dlatego, że już i tak nic się nie poradzi. Możesz mi wierzyć, że i ona, i ja podejmowałyśmy decyzje, z których teraz nie jesteśmy za bardzo dumne – powiedziała Lina, myśląc o chwili, w której postanowiła na stałe przenieść się do Moskwy. – Na dodatek dzięki tym decyzjom miałam okazję poznać ciebie. Anastazja mówi mi zawsze, że prawdziwe przyjaźnie, które są najtrwalsze i nigdy nie znikną z naszego życia, zawiera się w takich miejscach jak ten obóz.

– Anastazja ma dużo racji. Tak, sądzę, że ma rację – przytaknął Erik, przypatrując się, jak Lina kończy ustawiać pudełka z lekami w małej oszklonej szafce w ambulatorium.

Doktor Sommer również okazał się pudełkiem pełnym niespodzianek.

Podziw Liny dla doktora wciąż narastał, szczególnie dlatego, że Sommer traktował więźniów z takim samym oddaniem, jakby przyjmował ich w szpitalu w Berlinie. Dostrzegała rozmaite przejawy jego człowieczeństwa. Diagnozował u swoich pacjentów urojone choroby, po to tylko, żeby przedłużyć ich pobyt w szpitalu, bo wiedział, że jeden dzień bez przymusowych robót oznacza jeden rok życia dłużej. Niektórzy trafiali do kliniki, trzymając się życia ostatkiem sił, wyczerpani katorżniczą pracą, represjami ze strony strażników, głodem, bólem, z odmrożonymi częściami ciała, z gangreną, ranami. Jedynie odpoczynek i dobre odżywianie mogły dokonać cudu ich uzdrowienia. Nie było żadną tajemnicą, że pobyt w szpitalu wydłużał życie: czyste prześcieradła, świeże ubranie i trzy posiłki dziennie, niemające nic wspólnego ze zmarzniętym czarnym chlebem i rozwodnioną *balandą* ze zgniłej kapusty, pozbawioną śladu substancji odżywczych czy tłuszczu. Podniebienia pacjentów przypominały sobie smak białego chleba, cukru, masła. Twarze odmieniały się, spojrzenia znów wypełniały się życiem. Ten cud życia spoczywał w rękach Erika, który nie wahał się przedłużać szpitalny pobyt niektórym więźniom. Musiał z tego powodu znieść niejedną objaw niezadowolenia ze strony władz obozowych. Ryzykował, że zostanie z niego zdarty biały fartuch, że pozbawią go przywilejów i przywrócą mu status szeregowego więźnia. Wyobrażenia komendanta obozu na temat



chorych nie dawały się pogodzić z przysięgą Hipokratesa, którą składał kiedyś Erik.

– To nie jest dom opieki ani ośrodek wypoczynkowy dla nierobów. Potrzebujemy tu ludzi, którzy nie szcędzą wysiłków na rzecz pomyślnej przyszłości naszej ojczyzny. A kto nie spełnia odpowiednich warunków, powinien zostać wycofany z procesu produkcyjnego – oświadczał komendant. – Chcę, żeby pan usunął ze szpitala tych, którzy nie są już pełnowartościowymi jednostkami z punktu widzenia pracy, i odesłał ich do umieralni. Tam już będą wiedzieli, jak się nimi zająć, skoro pan tego nie wie. Jeśli pan nie posłucha moich rozkazów, będą konsekwencje.

Nakazywano mu ni mniej, ni więcej, tylko odmawianie pomocy więźniom z nieuleczalnymi schorzeniami, z poważnymi chorobami sercowymi, z chronicznym niedożywieniem, z terminalną gruźlicą albo innymi chorobami zakaźnymi, z ostrą awitaminozą, ze skrajnym wyczerpaniem fizycznym, a także z kurzą ślepotą – krótko mówiąc: zdecydowanej większości więźniów.

Za każdym razem, kiedy prowadzono go do komendanta, Erik łagodnie potwierdzał wszystko, co mu zarzucano. Na nic zdawały się jego prośby, które próbował formułować po tym przyznaniu się i obietnicy podporządkowania się wszystkim zarządzeniom i ograniczeniom, które nań nakładano.

– Wy, lekarze, uważacie się za ojców naszego kraju, a jedynym prawdziwym Ojcem jest u nas towarzysz Stalin. Zalecałbym, żeby pan nie zapominał, komu zawdzięcza pan życie, i to w uprzywilejowanych warunkach, chociaż jest z pana niemiecki łapiduch.

W słowach komendanta odbijała się ta sama instynktowna nienawiść, którą wobec lekarzy żywił także sekretarz generalny partii.

– Nie znosi nas. Jest przekonany, że istnieje spisek lekarzy, którzy planują zabić jego i resztę przywódców partii. Uważa, że pod każdym białym fartuchem kryje się morderca, zbrodniarz, zdrajca partii, wróg ludu – tłumaczył Linie doktor Sommer, odnosząc się do Stalina. Było to możliwe dzięki dyskrecji, jaką zapewniała im jedna ze szpitalnych sal. Erik mówił ściszym głosem, choć rozmawiali po niemiecku i trudno było przypuścić, żeby któryś ze strażników mógł ich zrozumieć. – Uważa, że jesteśmy sprawcami wszystkich jego chorób. Tak jakby lekarze byli winni tego, że urodził się ze zrośniętymi palcami u lewej nogi i ma na tym tle kompleks. Obarcza nas odpowiedzialnością, że nie potrafiliśmy usunąć z jego twarzy blizn po ospie wietrznej, którą przechodził, ani wyleczyć deformacji ramienia, której się nabawił, kiedy w dzieciństwie wpadł pod wóz konny. I ponieważ nikt nie potrafi wyleczyć go z łuszczycy skóry, wszyscy jesteśmy śmieciami, wrogami, których trzeba wyplenić. Już nie chcę mówić o jego zdrowiu psychicznym...

Może na zasadzie zemsty czy cichego rewanżu za upokorzenia, których doświadczał za każdym razem, gdy wzywano go do gabinetu komendanta i kazano mu przedstawić jakieś rachunki albo wydawano nieludzkie polecenia, po powrocie do szpitala doktor Sommer mówił i robił, co tylko chciał, kierując się wyłącznie własnym uznaniem, choć z trudem przychodziło mu maskowanie i przykrywanie tych działań wymogami praktyki medycznej.

Erik miał jeszcze jeden wentyl bezpieczeństwa, dzięki któremu udawało mu się

uciec od całego otaczającego go absurdu – opowiadał dowcipy. Początkowo Lina bała się tego, ale w końcu zawsze wybuchała śmiechem. Erik opowiadał kawały poważnym tonem i po niemiecku, żeby nikt nie mógł go zrozumieć. A i tak mówił prosto do ucha swojej pielęgniarki.

– Radziecki królik emigruje do Finlandii, a kiedy pytają go o powody, mówi, że w Rosji polują na wielbłądy. „Ale przecież ty nie jesteś wielbłądem” – mówią mu. „No tak, ale jak to udowodnić?”

Lina obserwowała jego zachowanie i sposób rozmawiania z więźniami. Ubrany w biały fartuch sprawiał, że wszyscy – włącznie z nim – zapominali o swoim statusie skazanych, o tym, że są w łagrze i nikt nie może im zagwarantować, że wszystko to będzie miało szczęśliwy koniec. Nowa pielęgniarka uśmiechała się w duchu. Zawsze sądziła, że Niemcy są ludźmi cywilizowanymi. Inna sprawa z ich rządzącymi, podobnie zresztą jak w przypadku Rosjan. Wspominała słowa przyjaciela, Dzierżanowskiego, który w czasie najintensywniejszych niemieckich ataków na radziecką stolicę mówił, że „kiedy Niemcy wejdą do Moskwy, szlachetni ludzie znów podniosą głowy”. W pewnym sensie właśnie Erik dał jej możliwość wyprostowania się.

W czasie gdy pracowali razem, dzielili ze sobą różne dobre i złe chwile. Lina zauważyła, jak w doktorze Sommerze rozwinęło się uczucie opiekuńczości, za które była mu szczerze wdzięczna. Szczególnie kiedy do szpitala przynoszono więźniów z ciałami poranionymi w wyniku samookaleczeń, które były wyrazem woli przeżycia. Poznała takie słowa jak *samorub* czy *mastyрка* i na własne oczy zobaczyła, co oznacza samookaleczenie niektórych części ciała i symulowanie chorób, powodujące pojawienie się niektórych ich symptomów. Niektórzy więźniowie nie wahali się i obcinali sobie nogi siekierą służącą do wyrębu drzew albo owijali się papierem i podpalali go, połykali rozmaite przedmioty, takie jak igły, łyżki, figury szachowe albo kamienie od domina, gwoździe, kawałki drutu kolczastego, szkła, albo łamali sobie palce u rąk, wkładając je między drzwi, owijali którąś z kończyn mokrą szmatą i czekali, aż wiatr i mróz ją zmrożą – byle w ten sposób zająć któreś ze szpitalnych łóżek. Zdarzył się nawet więzień, który nie zawahał się przed trwałym oślepieniem się i wlał sobie do oczu kwas. Inni niszczyli sobie jelita, przelyk i żołądek, pijąc palone wapno, albo zdzierali sobie codziennie kamieniem skórę z pleców, aż powstawała tam rana, która nigdy się nie zabiźniała i ulegała zakażeniu. Lina pamiętała też przypadek skazanego, który podczas wcześniejszego pobytu w szpitalu, przewidując, że wkrótce będzie musiał opuścić barak medyczny, zdołał ukraść strzykawkę. Po wyjściu odczekał kilka dni i wstrzyknął sobie w części intymne roztwór mydła, żeby symulować chorobę weneryczną. Nie powstrzymał go spowodowany tym ból ani dyskomfort. Przynajmniej mógł spędzić trochę czasu w łóżku, z dala od pracy i głodu. Erik znał wszystkie triki stosowane przez więźniów i dlatego widząc pacjenta z objawami pylicy krzemowej, wiedział, że prawdopodobnie spiłował on jakiś kawałek metalu, dodał do opiłków tytoniu i wypalił tę mieszkanke, wywołując u siebie objawy chronicznego kaszlu. Picie zimnej wody lub połykanie śniegu i długotrwałe wdychanie mroźnego powietrza niechybnie wywoływało wysoką gorączkę. Do szpitala trafiało też sporo mężczyzn i kobiet, którzy nie oszacowali odpowiednio swoich sił: ich wysiłki, mające pomóc przeżyć dzięki dostaniu się do szpitala, doprowadzały ich do śmierci. Jeden

z więźniów postanowił pić codziennie przez pewien czas wodę z kołymskich bagien. Ale nie odmierzył właściwie ani dawki, ani liczby dni i w końcu zmarł na skutek obrzęku wynikłego z niezwykle groźnego nagromadzenia płynów. Doktor Sommer stykał się też często ze śmiertelnymi infekcjami spowodowanymi konsumpcją zepsutych pokarmów.

W obozach Gułagu każdy przedmiot czy odpadek potencjalnie nadawał się do zjedzenia. Więźniowie, ledwo przytomni z głodu, wkładali do ust, cokolwiek znaleźli: żuli często obcasy butów i sznurówki albo zjadali śmieci, do których przyłgnęły jakieś ślady jedzenia czy tłuszczu, włącznie z ziemią czy śniegiem, na który komuś kapnęła zupa albo spadły resztki jedzenia strażników.

– Głód jest najgorszy, gorszy niż mróz, niż praca, niż samotność, niż tortury – mawiał Erik. – To śmiertelna broń, tak jak trucizna, która stopniowo niszczy białka i tłuszcze w komórkach organizmu, rozmiękcza kości, aż w końcu stają się miękkie jak guma do żucia, pożera mięśnie, połyka układ nerwowy i dewastuje organy wewnętrzne.

Czasami Lina czuła się przytłoczona przez to wszystko i zadawała najgłupsze, najbardziej bezużyteczne pytanie, jakie można było zadać w łagrze: „Dlaczego?”. Erik podsuwał jej wtedy najlepszą odpowiedź, jaką Lina słyszała, odpowiedź, która miała uzasadniać rzecz niedającą się uzasadnić:

– Tu nie istnieje „dlaczego?”.

Miał rację. Nie istniało, kompletnym absurdem było poszukiwanie go albo dopytywanie się. Równie absurdalne było pytanie, dlaczego oboje trafili do obozu. Dawało się to wyjaśnić za pomocą idiotyzmów różnego rodzaju i stopnia. Niektórzy więźniowie byli skazywani na dziesięć, piętnaście albo dwadzieścia lat, bo nie chcieli użyć odpadów skóry do produkcji obcasów, bo niedostatecznie wiele razy wymienili Stalina – jednocześnie zbyt często cytując Lenina i Marksa – w referacie wygłoszonym na zajęciach w instytucie czy na uczelni, bo zadali regionalnemu sekretarzowi partii pytanie, dlaczego nie otrzymują dość pszenicy, żeby wyżywić rodzinę. Inni należeli do orkiestry jazzowej, której wszyscy członkowie zostali aresztowani po występie w kinie Modern jako wrogowie ludu, ponieważ któryś z nich pomylił nuty. Wsadzono kogoś, kto odbierając nagrodę, zażartował, że bardziej niż medal przydałby mu się worek mąki. Ktoś wyłączył radio, kiedy przemawiał Stalin, bo nie mógł usłyszeć, co mówi do niego syn, ktoś zakochał się w cudzoziemce, co zinterpretowano jako zdradę i upokorzenie ludzi radzieckich, ktoś nauczał genetyki, choć Stalin uważał, że mówienie o dziedziczeniu jest antysocjalistyczne, jacyś geolodzy, chemicy czy fizycy pomylili się w rachunkach, jakiś hokeista stał się przyczyną przegranej swojej drużyny. Cokolwiek – choćby nie wiadomo jak dziwne, nieważne, niewiarygodne – mogło zostać zinterpretowane jako przestępstwo, a jeśli już tak się stało, pojawiał się ważki argument, żeby człowieka skazać i wysłać do łagru. Istniała specjalna nomenklatura dla różnego typu przestępstw: agitacja kontrrewolucyjna, sabotaż przemysłowy i rolniczy, element społecznie niebezpieczny lub szkodliwy, propaganda antyradziecka, sprzyjanie nastrojom antyradzieckim, kontakty prowadzące do podejrzeń o szpiegostwo...

Pewnej nocy zdarzyło się coś, co Lina uważała za jedno z najgorszych doświadczeń podczas jej pracy w szpitalu. Dzień był spokojny i wydawało się, że równie spokojnie minie czas aż do świtu. Przez okna baraku medycznego wpatrywała się w księżyc w pełni.

Ten widok dodawał jej sił. Szykowała się już do powrotu do swojego baraku: ułożyła nieliczne i skromne instrumenty medyczne używane w ciągu dnia, uporządkowała bandaże, oczyściła nożyczki, igły, strzykawki, poukładała pudełka z lekarstwami. Nagle usłyszała głos Erika, który ją wołał. Po raz pierwszy usłyszała jego krzyk i ten nieznany dotychczas dźwięk ją zaalarmował. Nie mogła sobie wyobrazić, co mogło się zdarzyć, aż do chwili, kiedy wbiegła niemal bez tchu do sali, w której zwykle badali więźniów i podejmowali decyzję, kto zostaje, a kto nie będzie przyjęty do szpitala. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, były ręce Erika w kolorze czerwieni o pomarańczowym, prawie złotym odcieniu. Przez chwilę myślała, że to krew, ale szybko się zorientowała, że dłonie lekarza są posmarowane jodyną. Chwilę później zobaczyła młodą dziewczynę leżącą na pryczy, z rozchylonymi nogami, krzyczącą z bólu i wijącą się jak ranne zwierzę. Ramiona Liny i doktora nie wystarczyły, żeby ją przytrzymać. Lina wpatrywała się w dużą, ciemną i lepka kałużę, w której kobieta siedziała. Nigdy w życiu nie widziała tyle krwi. Nie mogła przestać się przyglądać cieczy, która spływała z pryczy na podłogę, jak wodospad. Ten widok ją sparaliżował.

– Potrzebna mi tu jesteś – zarządził Erik. Widząc, że pielęgniarka nie reaguje, znów podniósł głos. – Lina, szybko!

Krzyk lekarza odniósł skutek. Lina błyskawicznie znalazła się u jego boku i zaczęła działać zgodnie z jego instrukcjami. Kobieta była systematycznie gwałcona przez kilku obozowych strażników, a kiedy odkryła, że jest w ciąży, chciała wywołać poronienie, wprowadzając do pochwy garść gwoździ. Poraniły ją one i wywołały trudny do opanowania krwotok. Lina była w szoku i dzięki temu potrafiła zachowywać się jak automat, nie ulegając panice ani mdłościom, choć czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Pozostała na miejscu, starając się nie zakłócać wysiłków dwóch innych więźniarek, usiłujących unieruchomić ciało młodej kobiety. Przez kilka godzin doktor Sommer starał się powstrzymać krwotok. Lina obserwowała go. Pocił się obficie, a na twarzy miał plamy krwi pacjentki. Nigdy wcześniej troska o pacjenta nie wyrzeźbiła na jego obliczu tylu cieni i bruzd. Nic nawet nie mówił. Odzywał się tylko wtedy, gdy zlecał jej zwiększenie dawki chloroformu. Lina nie odważyła się mu powiedzieć, że zostały go już tylko krople. Za chwilę kobieta znów się poruszy. Wszyscy sądzili, że zemdlą z bólu. Linę to nawet ucieszyło, bo utrata przytomności przynajmniej zaoszczędziła pacjentce cierpienie. Ale w twarzy doktora wciąż nie było widać jakiegokolwiek ulgi. Przyłożył ręce do szyi i do przegubu dziewczyny. Poszukał wzrokiem Liny, która zaczynała rozumieć powagę jego spojrzenia. Nie wyczuwał pulsu kobiety, która umarła, wykrwawiając się. Gdyby zresztą udało się powstrzymać krwotok, dziewczyna na pewno zmarłaby z powodu zakażenia ran porobionych przez gwoździe.

Oblicze doktora uległo nagłej przemianie. Dyszał ciężko, jakby przebiegł kilka okrążeń wokół obozu. Czuł się winny, że nie uratował młodego życia kobiety. Podeszedł do niej i po raz ostatni na nią spojrzął, po czym zakrył jej ciało jednym z zakrwawionych prześcieradeł. Nie zostało już żadne czyste, wszystkie zostały zużyte podczas prób zatamowania krwotoku. Dziewczyna miała na imię Alina i twarz dziecka, dopiero po przybyciu do obozu skończyła osiemnaście lat, przyciągała uwagę subtelną urodą. To był jej drugi wyrok. Pierwszy wydano na nią za to, że została narzeczoną pewnego

francuskiego dyplomaty.

Erik zaczekał, aż zjawi się dwóch strażników, których zawiadomiono, żeby zabrali ciało zmarłej. Później poszedł się umyć i oczyścić z resztek krwi.

– Gdybym miał leki i opatrunki, o które prosiłem dowództwo obozu kilka tygodni temu, mógłbym ją uratować – powiedział w poczuciu winy.

– Pamiętasz, gdzie jesteśmy? – próbowała go pocieszać Lina. – Codziennie dokonujesz cudów z każdym więźniem, który przechodzi przez drzwi szpitala. Nawet nie potrafisz zrozumieć, jak ci się to udaje. Nie jesteś Bogiem, choć zachowujesz się, jakbyś był. Przynajmniej tak to wygląda... Dziś nie byłeś w stanie uratować Aliny, ale jutro uratujesz znacznie więcej ludzi.

– Dlaczego? Dlaczego to wszystko się dzieje? – spytał, wyczerpany i pokonany.

– Tu nie ma pytania „dlaczego” – powiedziała, kucając przed nim, żeby popatrzeć mu w oczy. – Sam mnie tego nauczyłeś.

Lina objęła Erika ramionami. Ten uścisk był skuteczniejszy niż wszystkie lekarstwa.

Zauważyła, że doktor powoli się uspokaja.

– Myślałaś, co będziesz robić, kiedy stąd wyjdiesz? – zapytał Erik, wciąż jeszcze oszołomiony niedawnymi wydarzeniami.

– Nie wiem nawet, czy w ogóle stąd wyjdę – odpowiedziała z mieszaniną sarkazmu i melancholii w głosie.

– Nie mów tak, nawet tak nie myśl – poprosił, chwytając ją za rękę, którą ścisnął mocno w swojej dłoni. – Nie powinnaś sobie zaprzętać głowy takimi myślami.

– A czym mam ją sobie zaprzętać? – spytała Lina, delikatnie odrywając swoją dłoń od dłoni Erika. Nie dostała odpowiedzi. Erik ograniczał się do obserwowania jej w milczeniu, a ona zareagowała tym samym, aż w końcu ostrożność kazała jej odwrócić wzrok. – To szaleństwo. Nawet o tym nie myśl.

– Wybacz mi, nie chciałem...

– Nie masz mnie za co przepraszać. Nie opierałabym się. Zawdzięczam ci życie.

– Powiedziałem ci to pierwszego dnia: niczego mi nie zawdzięczasz... a przynajmniej nic takiego, czego nie chciałabyś mi zawdzięczać.

Lina spojrzała na niego, uśmiechnęła się, widząc rumieniec na jego twarzy. Jego skóra niemal jak u albinosa nie sprzyjała ukrywaniu efektów nagłego zawstydzenia. Znowu stanęła tuż obok niego.

– Jesteś wielkim człowiekiem, Eriku. Nie trać ze mną czasu. Nie mam ci nic do zaoferowania.

Doktor Sommer przyjrzał się jej. Nie mógł już dłużej tego przed nią ukrywać. Musiał to powiedzieć, powinna to usłyszeć z jego ust.

– Za tydzień wyjeżdżam. Wracam do Niemiec. – Twarz Liny zmieniła kolor i wyraz. – Poinformowano mnie dziś rano. Zmienili mi wyrok. Nie wiem jeszcze dlaczego. – Wobec milczenia i wyraźnego zmieszania pielęgniarki poczuł się winny. – Przykro mi.

– Zwariowałeś? Nie może ci być przykro. To najlepsza wiadomość, jaką mogłeś usłyszeć.

– Chyba wcale nie była najlepsza.

– Była. I bardzo się cieszę w twoim imieniu. Czuję się szczęśliwa.

– Gdybyś mi powiedziała... – ledwo zaczął wypowiadać to zdanie, kiedy Lina dała mu znak, żeby przestał.

– Nie mów tego. Ani nie myśl, proszę cię.

Erik zrozumiał, że jego wysiłki spaliły na panewce. Nie wiedział nawet, czy to, co sobie wyobraził, było w ogóle możliwe, czy wolno było o tym myśleć w takim miejscu. Ale te myśli nie miały już sensu. Lina wypowiedziała się jasno i szczerze, jak zawsze.

– Staram się załatwić, żebyś pozostała w tym miejscu – dodał po chwili milczenia, które wymusiła odpowiedź Liny. – I przysięgam ci, że zrobię wszystko co możliwe, by ci pomóc.

– Już mi dość pomogłeś. Poza tym teraz nie powinieneś się narażać. I jeszcze raz ci powiem, żebyś nie tracił ze mną czasu.

– To niemożliwe, kiedy się jest blisko ciebie – powiedział, zbliżając się do niej i ujmując jej twarz w dłonie. Chciał ją pocałować, ale zatrzymał się, częściowo z powodu biernego oporu Liny.

Znów okazało się, że to niewłaściwe miejsce. I znów nie było w tym niczego osobistego.

Tej nocy, przy pełni księżyca, którą zaczęła obserwować kilka godzin wcześniej, Lina słyszała pod swoim własnym wilczym słońcem wycie głośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Dwa dni później Erik opuścił obóz, Związek Radziecki, Gułag i Linę.

– Obiecuj mi, że się jeszcze zobaczymy – prosił ją, próbując za pomocą tej prośby w zakamulowany sposób zaapelować do niej, żeby nadal walczyła o przetrwanie.

– Obiecuję ci – zadeklarowała, uśmiechając się i wymieniając z Erikiem ukradkowy uścisk; oboje pragnęli, żeby zamienił się on w pocałunek.

Po tym jak Erik przeszedł przez bramę obozu w Abez, dni Liny upodobniły się jeden do drugiego. Kiedy przekonała się, że kolejne ranki, popołudnia i wieczory niczym się od siebie nie różnią, poczuła, że umarła za życia. Krocząc swoją drogą, mimowolnie gromadziła rozczarowania, rozstania i odejścia osób, które naprawdę ceniła, lubiła i kochała. Z tego powodu rany nie chciały się już zabliznić. Od pięciu lat była więźniarką łagru w Abez i jej życie przekształcało się w zbyt wiele ważący ciężar. Z powodu nagłego wyjazdu doktor Sommer nie zdążył nawet obejrzeć przedstawienia, które Lina od tak dawna przygotowywała i o którym tyle mu opowiadała. Przedsięwzięcie okazało się sukcesem i wszyscy wydawali się zachwyceni rezultatem. Poczynając od tego momentu, wydarzenia kulturalne – szczególnie muzyczne – zaczęły się mnożyć. Ich przyjęcie przez więźniów i nawet przez obozowych strażników było tak dobre, że zarządcono, aby następne spektakle i koncerty prezentowano w domu kultury w miasteczku Abez. W niektórych tygodniach odbywały się trzy lub cztery przedstawienia.

– Skazańcy! Władza radziecka umie przebaczać swoim wrogom i zdrajcom i docenia pracę zgodną z założeniami planu produkcyjnego przyjętymi dla tutejszego obozu. Nagrodą dla was będzie możliwość obejrzenia spektaklu. Ten akt dobrej woli powinien was podnieść na duchu i przyczynić się do zintensyfikowania pracy na rzecz naszej ukochanej ojczyzny.

Tę samą mowę wygłaszano przed każdym koncertem, spektaklem muzycznym czy filmem. Komendant obozu nie pozwalał na wystawianie przedstawień teatralnych z tekstem mówionym, bo obawiał się, że słowa można przekręcać i zmanipulować tak, żeby powiedzieć coś, co nie było pożądane. Nie ufał tonowi głosu, gestom ani intencjom więźniów. Zgadzał się natomiast na wyświetlanie filmów – prawie zawsze muzycznych lub o charakterze propagandowym – w których opiewano czyny towarzysza Stalina. Dozwolona też była lektura niektórych książek, zawsze zatwierdzanych przez komendanta, który dopuszczał takie dzieła jak *Podstawy leninizmu* Stalina, *Folklor republiki Komi* czy utwory Gribojedowa – *Mądremu biada* albo *Młodzi małżonkowie*. W niektórych książkach brakowało kartek, wyrwanych przez jakiegoś więźnia, który chciał napisać do rodziny, a nie mógł zdobyć papieru. Taka osoba z niezwykłą precyzją, psując sobie wzrok i tracąc pewność ręki, zdołała zmieścić swój list między wierszami wydrukowanego tekstu. Mówiono, że gdzieś jest też egzemplarz *Zapisków z domu umarłych* Fiodora Dostojewskiego, ale nikt go tak naprawdę nie widział ani nie mógł twierdzić, że trzymał go kiedykolwiek w ręce. Opowiadano nawet, że ktoś podkreślił jedno ze zdań i odważnie wyrwał je łyżką na desce swojej pryczy. „Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo można znieprawić naturę ludzką!”. Odkrywszy to zdanie, komendant nakazał usunięcie powieści.

Książki, podobnie jak ludzie, znikały w obozach z niesłychaną łatwością. Niemniej niektórzy z więźniów nauczyli się na pamięć pewnych fragmentów zakazanych tekstów i korzystali z każdej chwili nieuwagi nadzorców, żeby podzielić się tymi słowami ze współtowarzyszami. Słuchanie takich zdań było prawdziwą muzyką dla uszu. Linę

spotkała szczególna niespodzianka, którą przygotował pewien więzień biorący udział w jednym z jej przedstawień. Był to młody pianista, który po pokonaniu początkowej nieśmiałości stanął przed Liną i powiedział, że był kiedyś uczniem Prokofiewa. Jej twarz natychmiast się rozjaśniła. Młody człowiek przyniósł owinięty w jakąś tkaninę egzemplarz *Gracza* Dostojewskiego. Linę bardzo poruszył widok książki. Przypomniała sobie libretto, które wielkim nakładem pracy stworzył Siergiej, opierając je na tej właśnie powieści, oraz jak mimo różnych trudności uparcie dążył do wystawienia utworu. Nie zdołała powstrzymać łez, co zaniepokoiło młodego pianistę, którego podarunek tak bardzo wzruszył Linę. Uspokoiła go, mówiąc, że chodzi tylko o atak nostalgii, bo książka, którą jej przyniósł, wzbudziła w niej wiele dobrych wspomnień. Przypomniał jej się poranek w domu panny Stein, kiedy Ernest Hemingway wyciągnął z kieszeni płaszcz egzemplarz tej samej powieści. Pamiętała słowa amerykańskiego pisarza.

– Postanowiłem pani posłuchać i dam jeszcze jedną szansę Dostojewskiemu. Zobaczymy, czy zdołam odkryć, jak to się dzieje, że ktoś, kto tak źle pisze, wzbudza takie emocje.

Lina uśmiechnęła się, a na jej twarzy zagościł cień tęsknoty. Nie wiedziała, jak dziękować pianiście.

– Proszę to dobrze schować. Gdyby ją znaleźli, nie sądzę, żeby im się podobało, że pani ma tę książkę. Możemy oboje mieć problemy. Proszę ją zatrzymać tak długo, jak pani będzie potrzebowała. Dla mnie to przyjemność, że książka jest u pani – wyznał jej młody człowiek.

Mimo problemów ze wzrokiem – które się utrzymywały, choć Erik częściowo potrafił ograniczyć symptomy kurzej ślepoty – Lina starała się co wieczór przeczytać fragment książki. Korzystała przy tym ze światła przenikającego przez szpary między deskami baraku. W ten sposób mogła każdej nocy posuwać się o kilka linijek naprzód. Zdarzały się chwile, kiedy czuła intensywne pieczenie oczu i ból głowy, a lekkie jej zawroty powodowały zamglone widzenie. Nie mogła się jednak oprzeć pokusie czytania, choć wiedziała, że w ten sposób jeszcze bardziej przyspiesza swoje przedwczesne niedowidzenie. „Po cóż oszczędzać zmysł wzroku na przyszłość, skoro być może i tak nie będę miała okazji z niego korzystać?” – myślała często. Kiedy zmęczenie brało górę, zamykała książkę, kładła ją sobie na piersi i zakrywała skrzyżowanymi ramionami, po czym zapadała w sen. W ten sposób mogła się czuć bliżej Siergieja.

Poświęciła tej sprawie wiele godzin namysłu i doszła do wniosku, że jej mąż został aresztowany i zesłany do łagru. Było bowiem bardzo dziwne, że nie napisał do niej ani jednego listu, choć używała teraz innego nazwiska. Istniały przecież tysiące sposobów na zmylenie czujności nadzorców – tyle samo albo i więcej niż mieli oni, żeby wszystko kontrolować. Martwiła się, że nie ma od niego żadnej wiadomości. Wzmianki o ojcu, które przemycali w listach synowie, były proste, krótkie i pozbawione szczegółów. Lina kierowała się wyłącznie przecuciem, ale intuicja podpowiadała jej, że dzieje się coś niedobrego. Od pewnego czasu Siergiej śnił jej się po nocach, uśmiechnięty, rozmowny, brał ją za rękę i chodzili na długie spacerunki. Nie potrafiła stwierdzić, gdzie są, czy w nowojorskim parku, czy na paryskiej alei, czy na placu w Moskwie. Widziała tylko duże, otwarte przestrzenie. Budząc się, nigdy nie pamiętała, co sobie powiedzieli ani



o czym rozmawiali, ale te sny na resztę dnia wprawiały ją w ożywienie.

Dziwiło ją milczenie Siergieja, choć chodziło tylko o listy. Mimo tego, co się ostatnio między nimi wydarzyło, podobne sytuacje budzą przecież w ludziach wrażliwość na drugiego człowieka. Nie chciała tracić nadziei, choć czasami niełatwo przychodziło ją zachować. Lina była przekonana, że pewnego dnia nadejdzie od niego list. Nieważne, czy będą w nim wyświechtane slogany, czy abstrakcyjne komentarze pozbawione śladów jakiegokolwiek zaangażowania. Wystarczyłoby zobaczyć jego pismo na jakimś kawałku papieru, dowód, że wciąż ją pamięta i martwi się o nią. Ale jak na razie ten list – podobnie jak wiele innych – wciąż nie przychodził. Znajdowała pociechę w myśli, że może to strażnicy postanowili jej dokuczyć i nie przynoszą korespondencji. Nie byłby to ani pierwszy, ani ostatni raz. Pamiętała przecież nieotwarty list od Światosława, który Olena znalazła w koszu w mieszkaniu jednego z funkcjonariuszy. Woląta tego rodzaju myśli niż całkowity brak wiadomości od Siergieja.

Przy okazji prób do przedstawień spotykali się ze sobą kobiety i mężczyźni, co wprawiało wszystkich w ożywienie i lepszy humor.

Kiedyś, w trakcie zbierania w obozie śmieci, Lina znalazła pośród odpadków poźółkłą stronicę moskiewskiej gazety. Czasopisma docierały do rąk strażników z bardzo dużym opóźnieniem, a więźniowie niezmiernie rzadko mieli okazję choćby powąchać farbę drukarską jakiegokolwiek gazety. Wyciągnęła rękę po znaleziony arkusz i zabrała go. Była to strona tytułowa dziennika „Prawda”. Spojrzała na datę: 13 stycznia 1953 roku, a więc gazetę wydano prawie półtora miesiąca wcześniej. Główna wiadomość dotyczyła spisku lekarzy dążącego do wyeliminowania najważniejszych przywódców Związku Radzieckiego. Artykuł mówił o oskarżeniu w listopadzie 1952 roku piętnastu lekarzy – wśród nich wielu Żydów – przez szefową kremłowskiej ekipy medycznej. Według niej mieli oni zawiązać spisek, mający na celu otrucie dowódców radzieckiej armii i przywódców partyjnych, głównie Stalina. Lina przeczytała jeszcze kilka linijek, próbując znaleźć w tekście jakieś nazwisko. Ale nie znalazła. Miała nadzieję, że nic złego nie spotkało doktora Sommera.

Na początku marca obozem wstrząsnęła nagła wiadomość. Przez głośniki zaczęto nadawać tę samą muzykę, którą emitowało radio. O każdej porze, bez przerwy, słychać było utwory Bacha, przede wszystkim *Suitę D-dur*. Widać było, że obozowi strażnicy szepczą między sobą częściej niż zwykle, a zdenerwowany komendant często krąży wokół swojego baraku. Te zachowania dziwiły więźniów, którzy stali się niemal niewidoczni dla nadzorców. Wkrótce jednak wszystkich zwołano na centralny plac.

Działo się to siedem minut po trzeciej nad ranem, w nocy z piątego na szósty marca. W głośnikach słychać było *Symfonię patetyczną* Czajkowskiego nadawaną przez Radio Moskwa. Komendant obozu stanął przed więźniami jak dyrygent przed swoją orkiestrą. Wiadomość paliła mu usta, ale zdołał ją jakoś wypowiedzieć.

– Więźniowie! 5 marca 1953 roku o godzinie dziesiątej wieczorem w kremłowskiej kwaterze przestało bić serce towarzysza Przewodniczącego Rady Ministrów Związku Radzieckiego, Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Józefa Stalina. Śmierć wodza stanowi niepowetowaną stratę dla ludu pracującego Związku Radzieckiego i całego świata.

Fala zdumienia zalała twarze więźniów, tak samo jak we wszystkich łagrach rozrzuconych po terytorium Związku Radzieckiego. Echo tej wiadomości wprawilo w osłupienie cały Gułag. Nikt nie spodziewał się czegoś takiego, nie dlatego, żeby Stalin uważany był za nieśmiertelnego – choć niektórzy gotowi byliby się podpisać i pod takim zdaniem – ale dlatego, że do więźniów nie docierały wcześniejsze wiadomości i komunikaty nadawane przez radio w ciągu poprzednich czterdziestu ośmiu godzin.

Pierwsze oficjalne informacje podało Radio Moskwa czwartego marca o szóstej dziewiętnaście. „Stalin jest poważnie chory”. Wszyscy zostali postawieni w stan gotowości. Związek Radziecki i reszta świata czekały na dalsze wiadomości. Radio ciągle przekazywało informacje wysyłane z Kremla. „W nocy z pierwszego na drugi marca Stalin padł ofiarą krwotoku mózgowego i stracił mowę. Ma sparaliżowane prawe ramię i lewą nogę”. Emisja lekarskich biuletynów informacyjnych trwała przez cały dzień, powtarzano je, mieszając też z nowymi wiadomościami. „Tętno towarzysza Stalina wynosi 120 przy częstotliwość oddechu 38 na minutę”. W końcu nadszedł pierwszy komunikat z siedziby Komitetu Centralnego. „Towarzysz Stalin stracił przytomność. Komitet Centralny i Rada Ministrów wyrażają nadzieję, że w tych trudnych dniach partia i naród radziecki potrafią zmanifestować nierozzerwalną jedność oraz spójność i zdwoją wysiłki w budowie komunizmu w naszym kraju”.

Tak jak to zwykle bywało w przypadku przemówień wygłaszanych w radiu przez sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, dziennik „Prawda”, którego publikację opóźniono o cztery godziny, przedrukował dosłownie wiadomości emitowane przez Radio Moskwa. „Pacjent cierpi na poważne zaburzenia rytmu serca. Ciśnienie krwi wzrosło do wartości maksymalnej 220 i minimalnej 120 mm Hg. Temperatura ciała wynosi 38,2 stopnia Celsjusza. Obserwuje się objawy niedotlenienia organizmu. W chwili obecnej stosowane są procedury terapeutyczne mające przywrócić u pacjenta funkcje życiowe organizmu”.

Tamtej nocy czujność nadzorców była znacznie obniżona, bo strażnicy bardziej niż pilnowaniem więźniów zajmowali się rozmowami prowadzonymi w swoim gronie na temat przyszłości. Dlatego skazani przemieszczali się spokojnie między obozem męskim a kobiecym. Wszyscy słyszeli rozmaite plotki. Każdy znał jakieś szczegóły i fakty i trzeba się było nimi wymieniać. Więźniowie nie rozumieli dlaczego, ale mieli wrażenie, że wiadomość o chorobie Stalina dała im większą wolność.

– Słyszałem, że z pobliskiego obozu wyciągnęli Ilię Zbarskiego, specjalistę od balsamowania zwłok, który podjął się mumifikacji Lenina po tym, jak profesor Aleksiej Abrikosow zrobił to w sposób prowizoryczny. Abrikosow wstrzyknął Leninowi w aortę sześć litrów mieszanki alkoholu, formaldehydu i gliceryny. Biednego Zbarskiego zamknęli w obozie rok temu pod zarzutem, że był szpiegiem niemieckim i żydowskim nacionalistą. A przecież wcześniej przez lata opiekował się mumią ojca rewolucji. Nawet w czasie niemieckiego oblężenia nie rozstawał się z trupem, żeby zachować go w idealnym stanie.

Władimir, który to opowiadał, był jednym z więźniów gotowych podejmować największe ryzyko, gdy chodziło o przechodzenie do części kobiecej. Właściwie ryzykował zawsze i wszędzie. Tego wieczoru bez trudu przyciągnął uwagę swoich

towarzyszy.

– I po tym, jak to wszystko robił – ciągnął dalej – oskarżyli biednego Żyda, że jest niemieckim szpiegiem. Taka jest nasza ojczyzna! Ale wydaje się, że teraz go znowu będą potrzebować. Każą mu zrobić to samo ze Stalinem. Wiadomo, że nie będzie łatwo. Ciekawe, jak można w trumnie ukryć, że miał jedno ramię dłuższe od drugiego.

– Pamiętacie, jak wyglądały ulice w dzień pogrzebu Lenina? – spytała Anastazja, rozemocjonowana jak nigdy. – Jestem pewna, że kolejki do trumny Stalina będą sto razy dłuższe. Chociaż większość pójdzie, żeby się upewnić, że naprawdę umarł i że nie chodzi tylko o nową sztuczkę: sprawdzenie, czy Rosjanie wystarczająco głośno zawodzą, bo jak nie, to zarządzi nową czystkę.

Więźniowie nauczyli się w obozie śmiać w duchu, w środku, bez robienia hałasu, tak żeby nie zostać odkrytym i uniknąć represji ze strony strażników. Wszyscy wydawali się uszczęśliwieni usłyszaną wiadomością i zachwyceni zaimprovizowanym spotkaniem towarzyskim.

– Mam nadzieję, że długo umierał. Jeśli naprawdę Bóg istnieje, powinno tak być, choćby po to, żeby pomścić miliony pomordowanych, których ten potwór wykończył.

– Szkoda, że nie ma wódki, żeby się napić za śmierć tego syna zapijaczonego szewca, który nawet nie był Rosjaninem. Sam Gruzin, a uczył wszystkich, jak powinien żyć prawdziwy Rosjanin. To trzeba ludziom dobrze wytłumaczyć. Tak jak z Hitlerem, którego cały świat bierze za pieprzonego niemieckiego faszystę, a przecież tak naprawdę to był pieprzony faszysta austriacki.

– Władimir, proszę cię, mów ciszej – poprosiła Lina. – Zabiją nas wszystkich za te twoje toasty.

– A wiesz co? Mnie tam obojętnie. Wszystko, co mówię, to prawda. Stalin nie tylko skazał na śmierć miliony ludzi, nawet takich, którzy byli lepszymi rewolucjonistami niż on sam, ale zamordował też marzenia o socjalizmie, o sprawiedliwym społeczeństwie rządzone przez proletariat. Obrabował nas z praw, które dała nam rewolucja. A wszystko w imię wolności i demokracji. Długo trwało, zanim ten pies zdechł.

– Cicho... – kilka więźniarek nalegało, żeby zapanował nad swoimi słowami. – Nie boisz się, że mogą cię usłyszeć?

– A, ci... – powiedział lekceważąco, odnosząc się do obozowych strażników. – Teraz są bardziej zmartwieni niż ty i ja. Wielu z nich zaczyna już widzieć siebie po tej stronie. Jeśli rzeczywiście następcą Stalina przyniesie ze sobą nowy klimat, to właśnie oni mogą z łopata w dłoni poczuć mroźny wiatr.

Rozmowy strażników nie odbiegały bardzo od tych, w których brali udział więźniowie – ani treścią, ani tonem.

– Czy można rządzić krajem, jak się waży sto dziesięć kilo? – spytał jeden z wartowników, mając na myśli wygląd Nikity Chruszczowa, który miał zostać następcą Stalina<sup>42</sup>.

– Skoro ten miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu w wieku dwudziestu dziewięciu lat... – odpowiedział jego kolega, odnosząc się z kolei do Stalina. – Nie pamiętasz, że otaczał się niskimi ludźmi? Na przykład szef NKWD, Nikołaj Jeżow, miał mniej niż półtora metra. A jego osobisty sekretarz, generał Aleksander Poskriebyszew, jak siedział,

to mu dyndały nogi, a głowa ledwo wystawała nad stół. Stalin nie lubił wyglądać na zdjęciach na malutkiego, dorabiał sobie wysokie obcasy przy butach, żeby sprawiać wrażenie wyższego.

– Komendant rozmawiał z Moskwą. Podobno przygotowali dla towarzysza Stalina trumnę wykładaną czerwoną satyną. Wystawią ją w Sali Kolumnowej Domu Związkowego. Już teraz w kolejce stoją setki tysięcy ludzi, żeby go zobaczyć. Ubrali go w mundur generalissimusa, a wszystkie jego orderzy wyłożą na czerwonych poduszkach, które ułożą w nogach nieboszczyka.

– A jaka była przyczyna śmierci?

– Mówią, że wylew krwi do mózgu. Może dlatego ma jedną pięść zaciśniętą i nikt nie potrafił mu jej rozewrzeć, nawet jak go kładli do trumny.

– Wylew. Jak u Lenina. Historia jest ciekawa i lubi się powtarzać.

Jeden ze strażników jeszcze bardziej ściszył głos. Jeśli chodzi o swobodę rozmawiania, tej nocy obozowi funkcjonariusze przypominali więźniów.

– Mnie zawsze mówili, że Lenin został otruty – wyszeptał. – I podobno zajął się tym sam Stalin.

– W chwili śmierci przy Stalinie byli komisarz ludowy do spraw wewnętrznych Ławrientij Beria, Nikita Chruszczow oraz inni ministrowie i bliscy współpracownicy.

Jeden ze strażników przyjrzał się badawczo twarzy swojego towarzysza, który wypowiedział te słowa.

– Co jest? Wiesz coś więcej?

– Ja? Nie. Ale według tego, co mi mówił komendant, ludzie już zaczęli gadać i Moskwa w tej chwili kipi od plotek. Nie wszyscy wierzą w oficjalne komunikaty medyczne, jeśli chodzi o przyczyny śmierci. Mówią, że Stalin zaczął się źle czuć po wypiciu kieliszka koniaku, który najwyraźniej mógł być zatruty...

– Towarzysz Stalin zawsze wolał wódkę, nie wiem czemu miałby zmienić zwyczaje akurat teraz – skomentował te słowa najbardziej odporny na plotki strażnik.

– Mówią też, że doszło do gwałtownej kłótni z Bериą i Malenkowem, bo Stalin chciał zarządzić nowe czystki. Najpewniej miało to być przeciwko lekarzom w związku ze spiskiem białych fartuchów. Miał taką obsesję. Właściwie zesłał do obozu całą swoją ekipę medyczną, bo jej nie ufał. Więc leczyli go jacyś nowi, którymi kierowała kobieta. Podobno w trakcie kłótni upadł na podłogę, na marmur, i uderzył się w głowę.

– Upadł czy go przewrócili?

– I jeszcze coś – powiedział strażnik, który wydawał się najlepiej poinformowany, choć mogło to być wynikiem bujnej wyobraźni. Ale niekoniecznie, jeśli wziąć pod uwagę, że pełnił funkcję prawej ręki komendanta obozu, który zamknął się w swoim gabinecie, przy zgaszonym świetle, pijąc wódkę, paląc bez przerwy papierosy i nieustannie trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Strażnik nadal uświadamiał swoich kolegów. – Mówią, że Beria, kiedy już sądził, że Stalin nie żyje, zaczął krzyczeć do innych obecnych przy jego łóżku: „Towarzysze, jesteśmy wolni. Wreszcie tyran umarł. To ja was uwolniłem, to mnie powinniście być wdzięczni”.

– To było wyznanie? – spytał któryś ze strażników, nieco rozbawiony.

– Nie wiem. Jedyne, co jest pewne, to że długo umierał. Cierpiał godzinami, i to

w towarzystwie publiczności. Wszyscy przypatrywali się jego bólowi. Lekarze też nie odwagili się nic robić, bo się bali, że zostaną rozstrzelani, jeśli Stalin wyzdrowieje i nie spodoba mu się ich decyzje. Oddałbym wszystko, żeby wiedzieć, co mu chodziło po głowie, kiedy otwierał oczy i widział te wszystkie spojrzenia, które sprawdzały, czy jeszcze oddycha, czy już umarł. A im przecież wcale nie chodziło o osobiste zainteresowanie ani przyjaźń czy podziw, tylko chcieli podzielić się jego władzą, rzucić się na nią. Gdyby mógł, na pewno zarządziłby nową czystkę, tym razem wśród swoich następców.

Im dłużej rozmawiali, tym mniej ich ta rozmowa przerażała i z tym mniejszym szacunkiem odnosili się do swojego boga, któremu jeszcze kilka dni temu okazywali religijną cześć, czyli do dopiero co zmarłego radzieckiego przywódcy. Michaił, dowódca całej grupy, jako pierwszy odważył się powiedzieć, co myśli – zresztą nie stało to w sprzeczności z tym, co sądziła cała reszta.

– W gruncie rzeczy, towarzysze, Stalin był marnym politykiem, wypadkiem przy pracy w historii komunizmu. Nie patrzcie tak na mnie! Wiecie, że mam rację. Nie był nawet marksistą ani rewolucjonistą. Wszystkich nas oszukał. Przecież wynajął nawet aktora, którego ucharakteryzowali tak, żeby wyglądał jak on i żeby wystąpił w filmie dokumentalnym w scenie przylotu na lotnisko, na którym lud go witał jako zwycięzcę... Kazali nam wierzyć, że to on, chociaż w gruncie rzeczy Stalin nie był nigdy na pokładzie samolotu, bo się bał latać! Ta cała farsa sięgała tak daleko. Może to nie jest najlepsza chwila, żeby o tym mówić, bo umarł dopiero kilka godzin temu. Ale na dobrą pamięć trzeba ciężko zapracować. A on nie szanował nikogo ani niczego. Był okrutny wobec swoich i obcych. To on mówił, że bolszewik nie powinien mieć rodziny. Jestem pewien, że mówił to po to, żeby usprawiedliwić represje wobec krewnych skazanych. Żeby diabli wzięli jego duszę!

Rozmowa strażników, mająca sekretny charakter i ożywiana wypijaną wódką, stawała się coraz gorętsza. Wykazywany przez rozmówców brak zahamowań pokazywał, że pamięć o własnej podległości bywa krótka. Podobne procesy zachodziły w całym kraju. Zawsze zaczynało się od ostrożnych szeptów, którym towarzyszyły jednak nadzieje na zmianę kursu. Poza tym wszyscy wydawali się dużo lepiej poinformowani, jeśli chodzi o szczegóły rządów Stalina, niż wtedy, kiedy Ojciec Wszystkich Narodów jeszcze żył.

– Powiedzieć, że był okrutny, to nic nie powiedzieć – skomentował inny ze strażników, zachęcony jasnym i szczerym charakterem słów Michaiła. – Pamiętacie obchody jego siedemdziesiątych urodzin, kiedy zaprosił nawet przewodniczącego Chińskiej Partii Komunistycznej Mao Zedonga, żeby go posadzić w pierwszym rządzie? No więc dziewczynka, która deklamowała wiersz wychwalający Stalina, to była córka Aleksandra Poskriebyszewa, jego osobistego sekretarza. Oczywiście mała Natalia nie wiedziała, że człowiek, któremu oddawała hołdy i o którym mówiła: „Żyje obok nas, kochamy go, a on nas prowadzi tam, gdzie władza rad każdego dnia będzie jaśniała i umacniała się”, zarządził zamordowanie jej matki, Bronisławy Metallikowej, za to, że ośmieliła się prosić Berię o łaskę dla swojego aresztowanego brata.

– To nie był człowiek. Nie miał litości nawet dla własnego syna, więc jakżeby miał się litować nad innymi? – Chodziło o Jakowa Dżugaszwilego, syna Stalina z małżeństwa

z pierwszą żoną, Jekatieriną Swanidze. Jakow walczył w Armii Czerwonej, został wzięty do niewoli w trakcie bitwy pod Smoleńskiem podczas ofensywy wojsk niemieckich na Moskwę i przeniesiony do obozu jenieckiego w Sachsenhausen. Kiedy Stalina poinformowano o sytuacji syna, nie chciał nic dla niego zrobić. Uważał go za zdrajcę, który poddał się żołnierzom wroga, pozwolił się ująć i wykorzystać. Niemcy bowiem ubrali go w charakterystyczny niemiecki płaszcz wojskowy i sfotografowali na tle hitlerowskich oddziałów, po czym upublicznili zdjęcie. Niezadowolony z tego Stalin zarządził, żeby żona Jakowa, Julia Melcer, otrzymała taki sam wyrok i była tak samo prześladowana jak krewni osób uznanych za wrogów ludu i zdrajców. Kiedy Niemcy zaproponowali ojcu Jakowa wymianę syna na jednego z jeńców niemieckich, Stalin odpowiedział: „Nie mam syna o imieniu Jakow”. Być może dlatego zatwierdził rozkaz numer 227 komisarza ludowego do spraw obrony z 28 lipca 1942 roku, że wszyscy żołnierze armii radzieckiej, którzy się poddadzą albo zostaną schwytani przez wroga, mają być uznani za zdrajców. „Wróg wysyła co dzień coraz więcej sił na front i nie licząc się ze stratami, postępuje w głąb Związku Radzieckiego, opanowując nowe terytoria, niszcząc i plądrując nasze wioski i miasta, gwałcąc, mordując i rabując mienie narodu radzieckiego. Niemiecki najeźdźca kieruje się w stronę Stalingradu i jest gotowy zapłacić niezbędną cenę, żeby zająć Kubań i północny Kaukaz, bogate w ropę i pszenicę. Wielu ludzi przeklina Armieję Czerwoną za to, że wycofuje się na wschód i pozostawia nasz naród na pastwę Niemców” – mówił sam Stalin, uzasadniając nowy rozkaz.

– Przecież on nawet nie poszedł na pogrzeb swojej matki, bo nie przebaczył jej, że od małego bił go ojciec, a jeszcze bardziej tego, że kazał mu wstąpić do seminarium duchownego! – ożywił się kolejny ze strażników. – Na pogrzeb drugiej żony, Nadieždy, też nie poszedł! Pamiętacie? Mówili nam, że umarła na zapalenie ślepej kiszki, ale nikt w to nie wierzył. Popełniła samobójstwo, strzeliła sobie w pierś, najpewniej ze wstydu, że zakochała się w potworze. A co zrobił Stalin? Uznał ją za kontrrewolucjonistkę. Chodził po korytarzach Kremla, skarżył się i przeklinał ją, że porzuciła go i zniszczyła mu życie. Co za ironia! O to samo ona miała do niego pretensje, mówiła mu w twarz, że jest tyranem, który dla przyjemności upokarza własne dzieci, żonę i naród rosyjski, że nie da się z nim żyć. No i rzeczywiście okazało się to niemożliwe, chłopaki. Dziwne, że nie kazał jej rozstrzelać tak jak innych, którzy ośmielili się go skrytykować albo źle na niego spojrzeć. Zabił wszystkich szefów NKWD, którzy działali przecież jako ramię Stalina i realizowali jego śmiertelną paranoję! Chłopcy, on nawet kazał rozstrzelać niemieckiego urzędnika, który przyjechał do Moskwy, żeby poinformować o zbliżającej się inwazji wojsk Hitlera na Rosję. Bo nie podobało mu się, co ten Niemiec mówił, chociaż ostrzegał go przed rzeczywistym niebezpieczeństwem. To był szaleniec.

– Myślicie, że kiedy umierał, ktoś narysował jego karykaturę? Stalin tak lubił rysować karykatury swoich współpracowników w upokarzających pozycjach. Kiedyś narysował ministra finansów, Nikołaja Briuchanowa, nagiego i powieszzonego na sznurze za genitalia. A obok rysunku napisał: „Powiesi się go za jaja i jeśli wytrzymają, zostanie uznany za niewinnego, ale jeśli puszczą, utopi się go w rzece”. To był chory człowiek.

Jeden ze strażników, starając się, żeby rozmowa nie rozgrzewała się równie szybko jak wódka w ustach jego kolegów, próbował się wtrącić, żeby uspokoić nastroje.

– My, Rosjanie, zawsze byliśmy bardzo radykalnie nastawieni. Nie wszystko wyszło z chorego umysłu Stalina, część prac w sprawie aresztowań i deportacji była wykonana wcześniej. Chyba zapomnieliśmy, że już w 1736 roku istniało prawo, według którego mieszkańcy wioski mogli zdecydować, że któryś z nich ma zły wpływ na pozostałych. Starszyzna mogła wtedy podzielić własność tego człowieka i zażądać, żeby się wyniósł. Już wtedy państwo mogło go skazać na banicję. Nie pamiętacie, że Chruszczow w 1948 roku powoływał się na to prawo, żeby uzasadnić politykę zsyłania chłopów zrzeszonych w kolchozach? Wszyscy korzystali z przeszłości, chociaż wieszali na niej psy albo całkiem o niej zapominali. Problem z Rosjanami jest taki, że nigdy nam się nie chciało zadać sobie trudu i poznać własną historię. Ze strachu, z wygodnictwa albo ze wstydu. Kara zsyłki jest wymieniona po raz pierwszy w rosyjskim prawie w 1649 roku. Była bardziej humanitarna niż kara śmierci, napiętnowanie albo okaleczenie.

– Zobaczymy, czy teraz Rosjanie będą obwiniani za to, co zrobił szalony Gruzin – wtrącił się jeszcze jeden ze strażników, wyraźnie poruszony. – Czy Niemcy obwiniają się za to, co zrobił Hitler?

– Prędzej czy później zaczną, choćby tylko za to, że to oni go wybrali w głosowaniu. Każdy naród ma takiego tyrana, na jakiego zasługuje.

– Ważne, że, dzięki Bogu, człowiek z wąsem poszedł już do piekła – powiedział Michaił, podnosząc szklanekę i chcąc dokończyć mowę przeciwko zmarłemu przywódcy. – Już nie będzie mógł mordować ludzi dla kaprysu. Wiecie, że spośród bolszewików i członków partii, którzy nieśli trumnę Lenina, nie żyje już ani jeden? Wszystkich pozabijał. Oszukał ich, nie zauważyli, jak zdobywa władzę, i zapłacili za to życiem. Ich błąd polegał na tym, że go nie docenili, bo myśleli, że to kretyn bez własnego zdania. Więc my też nie mogliśmy się tego wszystkiego spodziewać. Stalin okradł nas z praw, które dała nam rewolucja, a na dodatek zrobił to w naszym imieniu.

– Michaił, mówisz o człowieku, który rządził tym krajem – powiedział Dimitrij, jeden z wartowników, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co usłyszał w ciągu kilku godzin po śmierci przywódcy. – O człowieku, który potrafił uprzemysłowić naszą ojczyznę, który walczył o to, żeby oddać władzę ludowi, który pierwszy pokonał Hitlera pod Stalingradem...

– Nie zapominaj, dlaczego zwyciężył – przerwał mu sucho Michaił. – Dlatego, że się nie wtrącał w przebieg bitwy i zostawił wszystko w rękach generała porucznika Wasilija Czujkowa, który dowodził 62 Armią. Dlatego udało się zwyciężyć...

– Bez Stalina nie byłoby porządku...

– Jakiego porządku, towarzyszu Dimitrij? – spytał Michaił, trochę za bardzo podnosząc głos. – Przecież tu był tylko bałagan.

– Z pewnością, towarzyszu... – Dimitrij zbierał argumenty. – Ale to był nasz przywódca. To on zadziwiał świat, on zażądał od aliantów połowy Europy, a oni się zgodzili. To za jego zdrowie sam Churchill wznosił toast i życzył mu, żeby żył wiele lat, największy wódz wszech czasów i wszystkich narodów...

– I morderca, nie zapominajcie, towarzyszu. A przynajmniej nie zapominajcie o ponad pięciu milionach ludzi, którzy umarli na Ukrainie. Połowa z nich to były dzieci, a umarli przez tę politykę prowadzoną w imię proletariatu – powiedział cynicznie

Michaił. – Jestem pewien, że jeśli któregoś dnia ujawni się, co się działo w naszej ojczyźnie i w tych obozach, Stalin przejdzie do historii jako największy tyran w dziejach. Ty też o tym nie zapominaj.

– Przecież i ty zabijałeś ludzi – wypalił Dimitrij, mając nadzieję, że rozbroi rozmówcę za pomocą jego własnych oskarżycielskich argumentów.

– Tak jak i ty – odpowiedział Michaił, dopijając pozostałą w szklance wódkę. – Ale on zabijał dla kaprysu, pod wpływem szaleństwa i żądzy ludobójstwa, cieszył się tym, podpisywał wyroki śmierci, a potem szedł do teatru albo do kina. A myśmy to robili, bo nie mieliśmy wyjścia, przecież gdybyśmy odmówili wykonania rozkazów, stalibyśmy się ofiarami, a nie katami. A razem z nami poszłyby nasze rodziny. On wymyślił to błędne koło. Poza tym w naszym fachu lepiej nie mieć pamięci. To jedyny sposób, żeby przeżyć. Czy to nie ty tłumaczyłeś tym, którzy wchodzili tą bramą, że aby być szczęśliwym więźniem, trzeba zapomnieć o wszystkim, co się przeżyło, i wymazać z pamięci wszystkie wspomnienia, bo inaczej człowiek porównuje obecne życie z przeszłym? Chyba my też musimy zrobić to samo.

– Kto wspomina przeszłość, niech straci jedno oko. A kto zapomina o przeszłości, niech straci oboje – powiedział inny ze strażników, cytując znane rosyjskie przysłowie.

Choć niektórzy z funkcjonariuszy skrzywili się, żaden już nie wystąpił w obronie pamięci Stalina. Pomimo żałoby i państwowego pogrzebu, który szykowano w Moskwie, w obozach Gułagu nie był to czas wygłaszania pochwał. Tym zajęła się „Prawda” i znany spiker Jurij Lewiatan za pośrednictwem mikrofonów moskiewskiego radia.

Nigdy dotąd rozmowy prowadzone przez więźniów nie przypominały tak bardzo rozmów, w których brali udział strażnicy. Niektórzy wydawali się wyczuwać już nowe wiatry, całkiem inne niż dotychczasowe – te wiejące znad Arktyki, tnące skórę twarzy, piekące w oczy, szczypiące dłonie i odmrażające stopy więźniów. Te nowe wiatry przypominały wolność – albo marzenie o niej.

Inaczej niż zwykle, wszyscy spędzili noc, rozmawiając, i to bez strachu, że ktoś ich usłyszy.

– Lina, wiesz, na co mam nadzieję? – spytał młody pianista, który był niegdyś uczniem Siergieja. – Że przez te głośniki przestaną w końcu nadawać Bacha i zaczniemy słuchać Prokofiewa. Ale nie *Powstań, ludu Rusi*, tylko *Suitę scytyjską*, *II Koncert fortepianowy*, *Symfonię klasyczną*, piękne fragmenty z *Romea i Julii* albo z *Kopciuszka*, albo *V Symfonii*.

Lina uśmiechnęła się. Zawsze się uśmiechała, kiedy mowa była o Siergieju. W tym szczególnym dniu wielokrotnie o nim myślała. Zastanawiała się, jak przyjął wielką nowinę, co w tym momencie robił, czy usłyszał ją przez radio, czy też zakomunikował mu ją któryś z sąsiadów bądź przyjaciół, jaka była jego reakcja. I czy – tak jak ona – pomyślał o osobie, która fizycznie znajduje się bardzo daleko, ale myślami jest przy nim. Pragnęła, żeby teraz wreszcie się do siebie zbliżyli, tak jak w gruncie rzeczy marzyła przez cały czas. O tym przecież myślała każdego dnia, kiedy się budziła.

Piątego marca 1953 roku to data, której Rosjanie nigdy nie usuną ze swojej zbiorowej pamięci. Także Lina miała tej daty nigdy nie zapomnieć. A jednak, wbrew temu, co myślała, w jej przypadku wynikało to z zupełnie innej przyczyny.



<sup>42</sup> W pierwszych chwilach po śmierci Stalina przejęcie władzy przez Chruszczowa nie było jeszcze wcale pewne.

Linie wiele razy śnił się Siergiej. Ale tym razem było inaczej. Sen był bardzo przyjemny, jak wszystkie, w których się pojawiał, jednak po obudzeniu się w Linie pozostał jakiś ślad niepokoju, którego nie umiała określić ani rozszyfrować. Może chodziło o trzyczęściowy, nieskazitelnie biały garnitur, który Prokofiew miał na sobie we śnie, może o jego szeroki uśmiech albo spojrzenie. Po raz pierwszy marzenie senne nie kończyło się wizją ich dwojga idących w dal, trzymających się za ręce i znikających na horyzoncie. Ona została kilka metrów z tyłu i patrzyła, jak Siergiej oddala się samotnie. Odwracał się raz po raz i posyłał jej uśmiech... Mimo wszystko Lina czuła się bliżej niego niż kiedykolwiek wcześniej, miała wrażenie, że sen na kilka chwil się zmaterializował. Wydawało jej się nawet, że czuje zapach perfum, które mu zawsze kupowała. Poczowała znów dotyk jego skóry i warg, wyraźniej niż w dawniejszych snach usłyszała jego głos. Przez chwilę zdawała sobie sprawę, że jej ciało przekracza barierę nieświadomości, oddala się od zwykłej rzeczywistości, wchodzi na jakąś odległą płaszczyznę, bardziej zmysłową, prawdziwszą, gdzie czuje się wolna i gdzie znów odnajduje sens ich dawnego, wspólnego życia. Obudziła się z uśmiechem na twarzy, ale z lekką goryczą w ustach, która w formie zgagi docierała aż do żołądka. Od kilku dni Lina miała problemy gastryczne i im właśnie przypisywała te poranne doznania.

W połowie dnia nadal nosiła skrzynie ze śmieciami i odpadkami. Po wyjeździe doktora Erika Sommera zabrano ją ze szpitala i przydzielono jej prace związane z utrzymaniem porządku na terenie obozu – te same, którymi zajmowała się poprzednio. Było widać, że strażnicy zlecają jej mniej wyczerpujące prace niż pozostałym więźniarkom i starają się nie wysyłać jej tam, gdzie śnieg jest najgłębszy i najtwardszy. Z drugiej strony, organizacja wydarzeń kulturalnych pozwalała jej przeznaczyć więcej czasu na obowiązki związane z tymi imprezami niż na samą pracę skazanej. Jej dzień obejmował teraz zaledwie osiem czy dziewięć godzin pracy, zamiast dawniejszych czteremastu.

Skończyła właśnie sprzątać barak kuchenny i ruszyła w kierunku latryn, żeby się nimi zająć. Po południu miała próbę z udziałem innych więźniów i musiała się spieszyć, żeby skończyć pracę, gdyż inaczej nie dostałaby pozwolenia na udział w zajęciach kulturalnych. W połowie drogi do latryn zobaczyła idącą w jej kierunku Innę. Kobieta szła powoli, bez charakterystycznej dla niej sprężystości. Nawet nie pozdrowiła jej z daleka zwykłym skinieniem głowy. Lina pomyślała, że coś się musiało stać: może po prostu zły dzień, może list z niedobrymi wiadomościami, a może jakaś dolegliwość fizyczna. Zbliżając się do przyjaciółki, widziała coraz wyraźniej zdenerwowanie na jej twarzy. Inna nie była sama. Obok niej szła Dasza, jedna z niedawno przybyłych więźniarek. Wyglądała, jakby naśladowała zboląłą minę Inny. Linie przyszło na myśl, że w końcu ziściły się obawy przyjaciółki: zapewne poinformowano ją, że zostanie przeniesiona do innego obozu. Była to częsta praktyka, stosowana przez obozowe władze po to, żeby więźniowie nie czuli się zbyt dobrze w atmosferze przyjaźni zadzierzgniętych w barakach. Kiedy któryś ze skazanych zaczynał się przyzwyczajać do kolegów

i zdobywał oparcie w innych więźniach, nadchodziła informacja, że zostaje skierowany do innego obozu. Lina postanowiła nie snuć dalszych domysłów. Woląca usłyszeć od samej Inny, co się wydarzyło, zanim niecierpliwość rozsądzi jej głowę. Kiedy się spotkały, mina przyjaciółki nie pozostawiała wiele miejsca na nadzieję, że może chodzić o jakieś dobre wiadomości.

– Będzie lepiej, jak porozmawiamy w środku. Muszę ci coś powiedzieć.

Lina podporządkowała się bez słowa. Inna była blada, drżał jej głos, i nie tylko głos. Dasza szła za nimi, jakby w tym miejscu czuła się bezpieczniej, jakby uwalniała ją to częściowo od odpowiedzialności za wiadomość, z którą przyszły. Kiedy były już wewnątrz baraku dla więźniarek, Inna znów zwróciła się do Liny.

– Może byś usiadła.

– Nie chcę siadać. Co się dzieje? – spytała Lina, patrząc na Daszę, która była jeszcze bardziej zakłopotana niż ona. Inne więźniarki będące w pobliżu od razu zbliżyły się do nowo przybyłych, słysząc, że coś się dzieje albo ma się wydarzyć. – Denerwuję się. Przenoszą cię? Mnie przenoszą?

– Dasza ma za zadanie sprzątać budkę wartownika przy bramie. W tym tygodniu nie miała dyżuru, ale że...

– Inna, nie interesuje mnie rozkład dyżurów Daszy – przerwała jej gwałtownie Lina. – Proszę cię, powiedz mi, co się dzieje.

– Było włączone radio i usłyszała coś... i nie wie, jak ci to powiedzieć...

– Więc niech spróbuje powiedzieć szybko, bo inaczej będę musiała wyciągnąć to z niej siłą – powiedziała Lina, zmieniona nie do poznania, z oczami utkwionymi w młodej kobiecie. Jej wybuch przyniósł pożądany skutek.

– Spiker mówił o koncercie symfonicznym, który właśnie niedawno odbył się w Argentynie – powiedziała w końcu Dasza, przemagając strach i połykając niektóre słowa. – A potem powiedział, że chodziło o hołd złożony kompozytorowi Siergiejowi Prokofiewowi, zmarłemu kilka tygodni wcześniej w Moskwie.

Twarz Liny przybrała ten sam kolor co śnieg, który przykrywał wszystko wkoło i który właśnie zaczynał znikać ze względu na porę roku. Zakryła usta dłonią, jakby chciała opanować zdumienie i powstrzymać wymioty. Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała słowa, które wypowiedziała swoim dziecięcym głosem Dasza. Przecież to niemożliwe. Musi chodzić o jakiś błąd. Na pewno dziewczyna nie usłyszała dobrze.

– Jesteś pewna tego, co mówisz? – spytała, próbując przełknąć kawałek betonu, który nagle znalazł się w jej gardle. – Nie pomyliłaś się? Nie chodziło o inne nazwisko? To by było całkiem naturalne, może radio było nastawione zbyt głośno albo zbyt cicho, a może ktoś do ciebie w tym momencie mówił, wydawał jakieś polecenia albo byłaś czymś rozproszona... – Lina przerwała tę wyliczankę, widząc, jak młoda kobieta kręci przecząco głową.

– Jestem pewna. Spiker powiedział „Siergiej Prokofiew”.

– Ale to niemożliwe – oznajmiła Lina, wstrząsana dreszczami obejmującymi całe ciało. – Wiedziałabym o tym. Powiedzieliby mi. Synowie by mi napisali. To niemożliwe. Mylisz się. Wszyscy się mylą! Albo chcą mnie oszukać, żebym cierpiała. Już nie wiedzą, jakie tortury wymyślić, i przyszło im do głowy, że śmierć Siergieja będzie dobrym

sposobem. Inna – powiedziała, rozpaczliwie szukając spojrzenia przyjaciółki z nadzieją, że znajdzie w nim wsparcie dla swojego absurdalnego rozumowania. – Prawda, że to tak musi być? Powiedz!

– Lino, Siergiej nie żyje.

Inna miała powody, żeby mówić z taką pewnością siebie. Nie tylko miała informacje z radia, ale udało jej się też skłonić jednego ze strażników, żeby potwierdził tę wiadomość. Dopiero potem postanowiła przekazać ją przyjaciółce.

Próbowała ją uspokoić, ale okazało się to nieosiągalne. Lina wypadła z baraku i zaczęła biegać bezładnie, bez określonego kierunku. Już nie wyglądała jak cień, jak prawie wszyscy więźniowie w obozie, tylko jak ktoś umarły za życia, duch, bezwolne, śmiertelnie ranne ciało, bezsilne, poruszające się bez celu, ponieważ nie ma już dla niego miejsca na świecie. Wszystko przestało istnieć, wszystko zniknęło. Nie słyszała nawet głosu strażnika, który krzychał, żeby wróciła do baraku, żeby przestała chodzić po placu. Groził, że jeśli go nie posłucha, zastrzeli ją. Mogłaby stracić życie tam na miejscu; upadła na śnieg, osuwając się na dłonie i kolana, tracąc oddech i próbując nadać jakiś sens temu, co właśnie jej powiedziano. Grupa więźniarek pobiegła w jej stronę, prosząc jednocześnie wartownika, żeby nie strzelał. Dwóch strażników zbliżyło się, żeby rozpędzić tę grupkę. Jednym z nich był ten, który potwierdził Innie wiadomość o śmierci Prokofiewa. On też kazał pozostałym kobietom, żeby podniosły Linę i zabrały ją z placu, jeśli nie chcą, żeby trafiła do karceru. Wszyscy byli zadowoleni, że od śmierci Stalina strażnicy w większości obozów zaczęli się zachowywać bardziej po ludzku. Gdyby nie to, w ciele Liny znalazłoby się już kilka kul albo na jej brzuch, plecy i głowę spadłby grad bezlitosnych uderzeń, albo cierpiałyby zimno, ból i głód w karnej celi. Cokolwiek by się stało, byłoby jej wszystko jedno. Była już martwa.

Tego samego wieczoru strażnik, który powiedział Innie o śmierci kompozytora, kazał Linie przyjść do baraku kuchennego. O tej porze wszyscy już stamtąd wyszli, a prawdopodobieństwo, że ktoś się pojawi, było raczej małe. Chyba że chodziło o jakieś potajemne spotkania między którymś z obozowych funkcjonariuszy a więźniarką, oparte na czystym szantażu lub trochę głębszym uczuciu. Takie wezwanie nie było czymś normalnym, ale Lina nie bała się już niczego. Niewiele ją obchodziło od chwili, kiedy dotarła do niej straszliwa wiadomość. Na dodatek chodziło o jednego z członków obozowego personelu lepiej traktujących zarówno ją, jak i wszystkie inne więźniarki. Kiedy weszła do baraku, strażnik już na nią czekał. Nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień, wyjął z kieszeni spodni kopertę i wręczył kobiecie list. Koperta była otwarta i Lina nie miała wątpliwości, że strażnik przeczytał to, co było w środku, jak to się zwykle działo w obozie. Spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem. Nie rozumiała, dlaczego dostarcza jej list w taki sposób.

– Nie zamierzałem ci go dawać, ale teraz to już by nie miało żadnego sensu. – Do tego ograniczyły się jego wyjaśnienia. Wiedział, że jak tylko Lina przeczyta list, wszystko zrozumie. – A teraz idź.

– Mam się go pozbyć? – spytała, czując się zobowiązana odwzajemnić zaufanie, które najwyraźniej okazał jej strażnik.

– Teraz już wszystko jedno. To nie oni mnie prosili, żebym ci go nie przekazywał –

powiedział, mając na myśli funkcjonariuszy odpowiedzialnych za dostarczanie lub zatrzymywanie korespondencji więźniów. – To była moja decyzja.

Lina wyszła z baraku, niczego nie rozumiejąc. Pragnęła dotrzeć do swojej pryczy, przeczytać list i zrozumieć niejasności. Serce biło jej w tempie stu uderzeń na minutę, a w głowie kłębiły się wątpliwości. Czego takiego miała się nie dowiedzieć jeszcze parę dni wcześniej? I dlaczego teraz dostała list?

Usiadła na pryczy i wyjęła papier. Autorem listu był Światosław. Lina czytała zżerana przez ciekawość. Chciała pić litery i słowa dużymi haustami i odkryć wielką tajemnicę zawartą w liście. Syn opowiadał jej, że Oleg się ożenił i wkrótce zostanie ojcem. „Będiesz zachwycona, kiedy poznasz jego żonę. Jest dobra, ładna i kocha go” – cieszył się. Podawał też szczegóły dotyczące farby, którą wybrał do pomalowania mieszkania, pisał o małych zmianach, które wprowadził w domu, o niemal codziennie przekazywanych przez Frosię pozdrowieniach dla Liny, a w końcu też o zakończeniu jego miłosnej historii z Mają. Ta część nie sprawiała jej przyjemności, bo we wcześniejszych listach można było zauważyć, jak bardzo Światosław jest w tej dziewczynie zakochany. Ale najgorsze dopiero miało nadejść.

Syn Liny postanowił zostawić na koniec najważniejszą wiadomość – informację o śmierci Siergieja. Donosił, że w dniu śmierci ojciec był spokojny, ale nie czuł się dobrze i chodził z trudnością. Lecz jego umysł pozostał równie jasny i twórczy jak zawsze, choć ręce nie poruszały się już z taką zręcznością jak przed laty. Od czasu upadku, który przytrafił mu się w dniu skazania Liny, coraz bardziej podupadał na zdrowiu, nie był już tym samym człowiekiem. Niemniej, korzystając z nieuwagi Miry, która bardzo poważnie traktowała wydany Siergiejowi przez lekarzy zakaz komponowania, poświęcił część poranka na poprawianie jakiejś partytury. Pracował nad próbami swojego nowego baletu *Baśń o kamiennym kwiecie*, które zaczęły się kilka tygodni wcześniej. Przyszedł do niego lekarz i Prokofiew ożywił się do tego stopnia, że wyszedł na spacer z żoną medyka. Po skromnym posiłku parę godzin odpoczywał, ale zaczął odczuwać silne bóle głowy. Pomyślał, że czeka go kolejna migrena, ale wszystko się skomplikowało. Ledwie mógł oddychać, nie potrafił się wysłowić, a kiedy to wreszcie zrobił, mówił rzeczy pozbawione sensu, bredził. Przez godzinę był w strasznym stanie. Nikt nie potrafił mu w żaden sposób pomóc. Prokofiew zmarł wskutek wylewu krwi do mózgu, a przynajmniej tak mówili lekarze. Lina widziała w liście całe zdania zaczernione przez cenzora, który zostawił tylko jedno słowo: „tragiczny”. Co to miało znaczyć? Co tam było na tyle poważnego, że nie chciano, by te słowa przeczytała? Włożywszy w to dużo wysiłku i oglądając tekst pod światło, Lina zdołała odcyfrować tekst gęsto zakreskowany przez cenzora. „I cóż za okrutny i tragiczny zbieg okoliczności: tata umarł tego samego dnia co Stalin”. Lina musiała usiąść. Poczowała zawrót głowy. Słowa listu drżały, jakby targały nimi te same emocje co nią. Anastazja i Inna złapały ją pod ramiona, powstrzymując przed upadkiem. Próbowaly zrozumieć, co się dzieje, stwierdziły, że to treść listu tak wstrząsnęła Liną. Zdobyły dla niej trochę wody, którą Lina wypita całkiem nieświadomie. Nic nie czuła. Nie wiedziała nawet, czy odczuwa pragnienie, czy nadal bije jej serce. Była całkiem nieobecna, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w nicość. Z jej ust nie padło ani jedno słowo.

Właśnie odkryła ironię przeznaczenia. Tak jakby nie dość było jego igraszek z Prokofiewami, musiało splatać im jeszcze ostatniego figla. Siergiej Prokofiew zmarł tego samego dnia co Józef Stalin. Później dowiedziała się, że Siergiej odszedł pięćdziesiąt minut przed tym, który był odpowiedzialny za strącenie go do piekieł. Nie mógł nawet poczuć satysfakcji, że przeżył swojego kata, który zrujnował mu życie, niszczył jego muzykę i rodzinę; satysfakcji, że doczekał śmierci osoby, której rządy uniemożliwiły mu komponowanie zgodnie z własną wolą, z własnymi emocjami, i pozbawiły świat jego muzyki. Przeznaczenie nie pozwoliło Prokofiewowi ucieszyć się tym niewielkim luksusem, choćby miał trwać zaledwie kilka minut. Był to kolejny wyrok, kolejna tortura sięgająca poza śmierć. Ten sam kaprys losu sprawił też, że ciało Siergieja musiało pozostać aż trzy dni w domu, należącym do rodziców Miry Mendelson i położonym blisko placu Czerwonego, ponieważ uroczystości żałobne po śmierci Stalina przeszkodziły w jego przewiezieniu. Ulice, place, budynki, aleje, każdy zaułek w centrum Moskwy był zajęty z powodu uroczystości pogrzebowych zmarłego przywódcy partii. Przyjaciele, którzy dowiedzieli się o śmierci Prokofiewa, nie mogli nawet wysłać do jego domu kwiatów na znak żałoby, bo wszelkie dające się znaleźć w mieście kwiaty ozdobne – od wieńców cmentarnych po proste wiązanki kwiatów – były przeznaczone do upiększenia uroczystości pogrzebowych Stalina. Gdyby Lina wiedziała o tym, cierpiałaby jeszcze bardziej. A gdyby wiedziała, że dziennik „Prawda” nie opublikował wiadomości o śmierci wielkiego kompozytora bezpośrednio po niej, tylko dopiero sześć dni później, doszłaby do wniosku, że Ziemia zaczęła się kręcić w drugą stronę. Nekrolog Prokofiewa ukazał się na 116 stronie głównego periodyku muzycznego w kraju. Sto piętnaście wcześniejszych stron poświęcono na wykazanie, jak wielkim melomanem pozostawał zawsze Józef Stalin. Lina mogła dziękować losowi, że nie знаła tych szczegółów. Przyczyniłyby się jedynie do pogłębienia jej rozpacz.

Po kilku godzinach była w stanie zebrać myśli i zrozumiała, że strażnik postanowił początkowo nie przynosić listu, żeby oszczędzić jej wiadomości o śmierci Prokofiewa. Ale dowiedziawszy się, że ta wiadomość i tak już do niej dotarła, nie widział powodów, żeby dłużej zatrzymywać list. Przynajmniej czerpała jakąś pociechę z lektury słów syna i z poznania szczegółów śmierci męża. Wtedy też zrozumiała wyjątkowy charakter swoich ostatnich snów, w których Siergiej pojawiał się ubrany na białe, nikał samotnie gdzieś na horyzoncie, jakby uciekał przed samym sobą.

Przez wiele dni Lina bez przerwy płakała. Opłakiwała utracony cel życia i rozpaczała, że nie mogła być u boku Siergieja, kiedy umierał. Była przy nim w najlepszych momentach jego życia i powinna być też w ostatnich. Siergiej był przecież jej prawdziwym i jedynym miejscem na ziemi, jej życiem, jej przeznaczeniem, którego Mira Mendelson i Józef Stalin nie potrafili jej zabrać. Zrozumiała to. Nie mogło być gorszej tortury.

Czasami przeznaczenie przynosi nam dar w postaci osób, które pojawiają się w naszym życiu i nie znikają z niego nigdy – nawet kiedy odchodzą – bo są wieczne. Życie Liny zawsze naznaczone było obecnością osób, które pewnego dnia odchodziły, choć nadal pozostawały u jej boku. Jej historia to opowieść o przyjaciółach, którzy nigdy jej nie opuścili. Historia Liny nie odbiegała od innych losów, chyba że pod tym jednym względem: Lina potrafiła znaleźć ludzi do kochania i zamknąć ich w uścisku, a ludzie ci nigdy nie stawiali się dla niej nieobecni. Od chwili gdy dowiedziała się, że Siergiej nie żyje, jedynymi dwiema podporami, dzięki którym wciąż trzymała się na nogach, byli Światosław i Oleg. Tak jak w swoim czasie wierzyła, że istnieje jakaś niewidzialna ręka, która ma za zadanie przeszkodzić jej rodzinie w otrzymaniu wizy wyjazdowej ze Związku Radzieckiego, tak teraz z kolei była przekonana, że jakaś siła pozwoli rodzinie Prokofiewów znów się połączyć. Jedyne, dzięki czemu Lina wciąż się nie poddawała, kojarzyło jej się z tym, co sam Prokofiew mówił o swojej twórczości: „Moja muzyka jest bardziej rzeczywista niż czas i przestrzeń”. Miłość Liny do niego i do synów też taka była, mimo wszelkich przeszkód, jakie napotykała na swojej drodze.

Pozwolenia na widzenie wydawano raz w roku, zarówno członkom rodziny więźniów, jak i im samym. Obie strony powinny wystąpić na piśmie o zgodę na spotkanie i wykazać, że zachowanie skazańca spełnia wymogi niezbędne dla udzielenia prawa do widzenia. Więzień musiał dołączyć do podania zaświadczenie od władz obozowych, stwierdzające, że zachowywał się właściwie, nie był skazywany na karę karceru i wypełniał normy produkcyjne. Natomiast starający się o widzenie krewny musiał udowodnić bliskie pokrewieństwo ze skazanym – najlepiej więzy krwi – a także odpowiednią postawę społeczną i niekaralność. Wyrok otrzymany przez krewnego, z którym miało nastąpić widzenie, był jedyną dopuszczalną plamą w życiorysie. Były to warunki trudne do spełnienia, bo właściwie każdy mógł sprowokować w życiu takiej osoby jakiś incydent – wyłącznie po to, żeby uniemożliwić wizytę u skazanego albo żeby po prostu skomplikować cudze życie.

Najtrudniejsze było przejście przez proces selekcji. Sprawiało to większą trudność niż rozmowa przy staraniach o pracę, w trakcie której kandydat musiał wykazać, że nie był nigdy zatrzymany ani nie miał nikogo zatrzymanego w rodzinie. Pytano o to jeszcze przed przystąpieniem do rozmowy o kwalifikacjach zawodowych. Był to pierwsze z wielu sit, które odsiewały większość składanych podań. Ostateczna decyzja nie należała do Głównego Zarządu Poprawczych Obozów Pracy – jak sądziło wielu ludzi – ale do placówki NKWD najbliższej miejsca zamieszkania ubiegającego się o widzenie krewnego. Światosław znalazł najbliższy oddział NKWD przy ulicy Czkałowa. Czekał na odpowiedź ponad pięć lat, w końcu dostał wezwanie do stawienia się w celu odbycia pierwszej rozmowy. Od chwili, gdy wszedł do urzędu, pociły mu się ręce. Miał nadzieję, że jego rozmówca nie poda mu na powitanie dłoni i nie zauważy, że jego jest lepka. Dowolny szczegół mógł spowodować odrzucenie podania. Młody Prokofiew składał je już szósty raz w ciągu ostatnich pięciu lat. Najpierw musiał odczekać, aż minie rok od

zamknięcia matki w więzieniu, żeby mieć prawo do starania się o widzenie. Potem prawie przez rok nie dostawał odpowiedzi na swoje kolejne podania, aż w końcu odmawiano mu zgody.

– Pan jest cudzoziemcem? – spytał funkcjonariusz.

– Moja matka jest Hiszpanką, ale na rosyjskim paszporcie. Ojciec jest Rosjaninem, babcia jest Rosjanką, a ja mieszkam w Związku Radzieckim od ukończenia piętnastego roku życia.

– Tak, ale urodził się pan w Paryżu.

– Gdzieś się człowiek musi urodzić. – Natychmiast zdał sobie sprawę, że jego odpowiedź mogła się nie spodobać funkcjonariuszowi i nie pomoże mu w uzyskaniu pozwolenia. – Nie jestem winny, że się tam urodziłem.

– Człowiek zawsze jest czemuś winny. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

W spojrzeniu człowieka, który rozpatrywał sprawę jego wizyty w obozie, Światosław nie widział wielkich szans. Miał wrażenie, że z każdym zadawanym pytaniem zgoda na widzenie oddala się.

– Wie pan, już sześć lat nie widziałem matki. – Funkcjonariusz nawet nie podniósł oczu znad leżącego na stole formularza. – Wiem, że musi pan mieć dość słuchania tych, co siadają po tej stronie i mówią, że ich krewni nie zrobili niczego złego, więc ja już tego nie powiem. Prawdopodobnie matka coś musiała zrobić, skoro tak uznała partia. – Ta ideologiczna zagrywka, szykowana przez długi czas w domu i w oczywisty sposób sprzeczna z jego rzeczywistymi odczuciami, wywarła na urzędniku na tyle silne wrażenie, że pofatygował się, aby spojrzeć na Światosława. – Ale to jednak jest moja matka. Choruje i na pewno długo już nie pociągnie. Proszę tylko, żeby mi pan pozwolił zobaczyć ją po raz ostatni żywą. O nic więcej.

Zastanawiał się, czy nie przesadził w swoich deklaracjach, choć wydawało mu się, że nie. Niewiele wiedział o stanie zdrowia Liny, ale mógł się go domyślać. Wystarczyło popatrzeć, w jakiej formie ludzie wracają z Gułagu, i posłuchać ich opowieści, żeby wyrobić sobie pojęcie, jak musi się miewać jego matka. „Wystarczy spojrzeć człowiekowi w oczy, żeby się dowiedzieć, czy był w Gułagu” – mawiano. Światosław zobaczył, że funkcjonariusz bierze do ręki pieczętkę i przybija ją na jego podaniu. Nie był pewien, o który wariant chodzi: odmowę pozwolenia czy jego udzielenie. Mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty udzielać wyjaśnień. Nawet ci siedzący w okienkach lubili bawić się cudzym cierpieniem.

– Odpowiedź przyjdzie do pana do domu, pod adres zapisany po prawej stronie podania.

– Kiedy?

– Nie jestem wyrocznią.

– Ale mógłby pan nią być. Niech mi pan tylko powie, co było na pieczętce.

– No jasne, wystarczyłoby to zrobić – powiedział tamten, wytrzymując wzrok rozmówcy. Światosław uznał, że ten przedstawiciel rodu ludzkiego nie pracuje w podziemiach Łubianki. Strach było pomyśleć, dokąd doprowadziłoby jego upodobanie do zadawania cierpień. – Proszę odejść, muszę zająć się innymi towarzyszami.

– Bardzo dziękuję.



Światosław usłuchał polecenia i ruszył w kierunku wyjścia, ale raz jeszcze odwrócił głowę, żeby spojrzeć na twarz funkcjonariusza. Miał ochotę złapać go za szyję, potrząsnąć nim i – w chwili, gdy nikt by nie patrzył – łupnąć go kolaniem w miejsce, gdzie by go najbardziej zabolalo. Patrzac za siebie i jednocześnie zmiierzajac ku drzwiom, nie zauwazył, że pojawila się przed nim dziewczyna, z którą zderzył się, nawet jej nie widzac. Najpierw zaczął ją gwałtownie przeproszac, a dopiero potem zorientował się, z kim rozmawia. Była to Maja, kobieta, z którą parę lat wcześniej przeżył intensywny romans, w której się szaleńczo zakochał i której wciąż jeszcze nie zdołał się pozbyć z głowy ani z serca. To ona pewnego dnia postanowiła zerwać ich związek, nie podając żadnych wyjaśnień poza dość prymitywnymi i mglistymi wymówkami. I to właśnie ona pojawila się teraz znienacka tuż przy nim. Przyglądał się jej przez kilka chwil. Była piękna jak zawsze. Wydawało mu się, że widzi szczególny blask w jej spojrzeniu, w którym dojrzał i smutek, i wstyd.

– Cóż za niespodzianka, kopę lat! Co ty tu robisz? – zapytał Światosław.

– Pracuję. – Wyraz twarzy jej byłego narzeczonego sprawił, że pożałowała tej odpowiedzi. – To nie moja zasługa. Ojciec załatwił mi tę pracę. Miał znajomego...

Światosław dostrzegł w jej twarzy zmieszanie.

– Przepraszam, nie chciałem ci sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot – odpowiedziała natychmiast Maja.

– Wydaje mi się, że jednak tak.

– Powiedz, czemu tu przyszedłeś? Czego potrzebujesz?

– Moja matka jest w obozie, w...

– Wiem – odpowiedziała krótko.

– Wiesz? – spytał zdziwiony. Nie on jej o tym opowiedział.

– Tak, przypadkowo się dowiedziałam, ale teraz to nieważne. Powiedz, czego potrzebujesz? Mogę ci pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie sędzę.

Kobieta nadal mu się przyglądała. Czula, jak narasta w niej poczucie winy za to, co zrobila trzy lata wcześniej.

– Nigdy mi nie przebacysz?

– Muszę iść – powiedzial, zbierajac z podłogi papiery, które wypadły mu z rąk, gdy się zderzyli. Nie chiał odpowiedziec na jej pytanie, żeby jej słowa nie zabrzmialy mściwie. – Cieszę się, że jesteś w dobrej formie.

– Poczekaj. Podaj mi przynajmniej numer, pod którym zarejestrowano twoje podanie.

Światosław chiał odejść, oddalic się od niej. Nie mógł przebywac ani sekundy dluzej w towarzystwie kobiety, którą nadal kochal i która go zostawila. Ale mozliwosc zobaczenia matki, chocby najwatlejsza, kazala mu przelknac własna dumę. Poszukal w kieszeni kopii podania, którą wręczył mu funkcjonariusz.

– Obiecuję ci, że zrobię, co się da.

– Jasne – odpowiedzial niechętnie, bo słyszał tę obietnicę już wiele razy. – Do widzenia, Maju.

– Do widzenia.

Zaczekała jeszcze chwilę, patrząc, jak Światosław zmierza w stronę wyjścia. Kiedy zniknął jej z oczu, Maja spojrzała znów na cyfry odbite na podaniu. Pomyślała, że pójdzie do swojego biura. Była już spóźniona, ale musiała zatrzymać się w łazience. Kiedy była już sama, wybuchła rozpaczliwym płaczem. Kochała kiedyś tego mężczyznę jak nikogo innego. W gruncie rzeczy nadal go kochała. Ale jej ojciec, ważny funkcjonariusz partyjny, zmusił ją, żeby go zostawiła, grożąc jej represjami skierowanymi przeciw niemu i jego młodszemu bratu, a także samej Mai.

– Musisz sobie poszukać chłopaka odpowiedniego z punktu widzenia naszych ideałów, kogoś, kto nie ma w życiorysie takich plam jak matka zamknięta w Abez i ojciec uznany oficjalnie za wroga ludu. Nie pozwolę, żeby moja córka przymierała głodem z cudzoziemcem. Masz sobie znaleźć rosyjskiego chłopaka. Nie będę tego więcej powtarzał.

Wiedziała, że ojciec może spełnić te groźby. Zrobił już tak w przypadku matki, jej siostry i innych osób, które do pewnego momentu uważał za bliskie. Maja wolała ukryć prawdę przed Światosławem. Znała go dobrze, wiedziała, jaki ma charakter, i bała się, że mógłby popełnić jakieś szaleństwo. Uważała, że lepiej będzie, kiedy mu powie, że przestała go kochać i że ich związek nie ma przyszłości. Tego ranka widziała go po raz ostatni. Ale zdążyła jeszcze zająć się tym, żeby podanie odpowiadające numerowi wypisanemu na kartce od Światosława zostało załatwione pozytywnie.

Niedługo potem, kiedy Światosław poszedł do swojej skrzynki na listy, żeby wyjąć z niej korespondencję, znalazł tam kopertę z oficjalną pieczęcią. Była to przesyłka z biura, do którego wybrał się zaledwie parę tygodni wcześniej. Szybko otworzył list, nie czekając z tym na towarzystwo Olega, który był w domu. Poczul w piersi wybuch radości. Wreszcie pozwolili mu zobaczyć matkę, pięć lat po złożeniu pierwszego podania. W dodatku poinformowano go, że Lina Prokofiew została przeniesiona do innego obozu, położonego bliżej. Według tego, co opowiadali niektórzy znajomi, w obozie tym panowały mniej surowe warunki. Od kilku tygodni Lina była w Poćmie w Republice Mordowii. Temperatury były tam łagodniejsze, ciemności nie panowały aż przez sześć miesięcy w roku, a kwiaty żyły dłużej niż dziesięć dni. Wyobraźnia ze zdwojoną siłą podsunęła Światosławowi obraz Mai. Nie miał żadnych wątpliwości, komu zawdzięcza ten cud: po pierwsze, pozwolenie na widzenie, a po drugie, ceną informację o przeniesieniu matki – nie było to często praktykowane. Wiedział, że Maja, całe lata od chwili, kiedy go zostawiła, spłaca swój dług wobec niego. Zawsze podejrzewał, że tamta decyzja dziewczyny musiała zostać czymś wymuszona, ale dopiero piętnaście lat później dowiedział się, że chodziło o nacisk wywierany przez jej ojca.

Ponad rok po śmierci Prokofiewa i ponad sześć lat od chwili, kiedy widzieli matkę po raz ostatni, Światosław i Oleg wyszli z domu przy ulicy Czkałowa z zamiarem udania się do Mordowińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Punktem docelowym była Poćma, gdzie znajdował się łagier, do którego w 1954 roku przeniesiono Linę. Była to jedna z konsekwencji amnestii, jaką nowy rząd Związku Radzieckiego ogłosił po śmierci Stalina. Wszystkich z wyrokami poniżej pięciu lat wypuszczono na wolność, a pozostałym więźniom obiecano rewizję spraw. Ani nowy sekretarz generalny partii, Nikita Chruszczow, ani szef NKWD, Ławrientij Beria, nie byli zwolennikami

funkcjonującego systemu Gułagu – nie ze względu na liczbę ofiar, tylko przez brak opłacalności ekonomicznej charakteryzujący to, co Stalin przedstawiał jako wydajne przedsiębiorstwo produkcyjne. Po śmierci radzieckiego przywódcy zaczęto podawać w radiu informacje na temat nielegalnych metod stosowanych przy zatrzymaniach osób, w śledztwie i w trakcie odbywania kar w więzieniach i w łagrach.

Lina była tak poruszona wiadomością o śmierci Siergieja, że nawet się nie ucieszyła, kiedy zawiadomiono ją o zmniejszeniu jej kary pozbawienia wolności i ciężkich robót z dwudziestu do ośmiu lat – z których odsiedziała już sześć. Także przeniesienie do obozu o łagodniejszym rygorze nie wydało jej się dobrą nowiną. Teraz już nic nie mogło jej ucieszyć.

To była długa i męcząca podróż. Jechali kilkoma pociągami, wiele kilometrów musieli pokonać pieszo, ale w końcu przybyli do obozu w Poćmie. Po drodze Światosławowi i Olegowi rzucały się w oczy olbrzymie, czarne plamy pośród rosyjskich stepów – były to łagry, rozrzucone po całej niezmierzonej, wiecznie zmarzniętej, lodowej równinie. Gułag w całej swojej okazałości, plamiący nie tylko rosyjski krajobraz, ale – o wiele później – także zbiorowe sumienie połowy świata. Ktokolwiek odbywał taką podróż, musiał widzieć obozowe zabudowania. Wśród przejeżdżających był też niejeden światowy przywódca. Obozów nie dało się nie zauważyć ze względu na ich rozmiary i charakter zabudowań. Ci, którzy widzieli te obrazy przez okna pociągu, nie byli w stanie oderwać od nich oczu. Gułag pozbawił życia miliony ludzi, a miliony innych pozbawił mowy.

– Sądysz, że kiedy pozamykają te obozy, bo przecież kiedyś je pozamykają – rzucił Oleg, który zdaniem jego brata zawsze grzeszył naiwnością i nadmiarem optymizmu – sfilmują je, tak jak robiły wojska amerykańskie, wchodząc do hitlerowskich obozów?

– Wątpię. To jest Rosja. – Światosław mówił ścisłym głosem. Chociaż byli w przedziale sami, przyzwyczaili się już do szeptu i wiedzieli, że w Związku Radzieckim szpiegujące oczy i uszy mogą im towarzyszyć w najdziwniejszych i najmniej oczekiwanych miejscach. – Ten kraj nie przypomina żadnego innego. A poza tym Rosjanie wolą nie pamiętać przeszłości, bo teraźniejszość i przyszłość wydają im się już dostatecznie skomplikowane. Rosja nie chce pamiętać, bo wspomnienia boją, upokarzają i zawstydzają. Nie licz też na poczucie winy.

– Czemu uważasz, że zbrodnie Stalina nie wywołają takiej samej odrazy jak zbrodnie Hitlera?

– Bo hitlerowcy byli źli, a Rosjanie są tylko zdeformowani.

– Co to znaczy?

– Że Stalin był zły, ale nie tak zły jak Hitler. Dla wielu to jest inna kategoria zła. Posiadanie wspólnego wroga silnie wiąże ludzi i państwa. Dlatego Francja, Anglia i reszta Zachodu patrzy na to wszystko i udaje, że nie widzi, albo opuszcza wzrok. Nie może być tak, że ktoś, kto zwyciężył Hitlera, okazuje się takim samym masowym mordercą jak on albo jeszcze gorszym. Ciekawe, jak to będą tłumaczyć, jak uzasadnią to milczenie współników, jak to sprzedadzą reszcie świata. Najlepiej siedzieć cicho i patrzeć w drugą stronę. Jestem pewien, że tak właśnie będą chcieli robić. Nawet komuniści, którzy żyją w innych krajach. Nie słyszałeś, jak niektórzy intelektualiści francuscy wychwalali

budowę socjalizmu, która według nich była dziełem Stalina? Nie pamiętasz, jak pisarz Louis Aragon w 1933 roku wychwalał Gułag jako narzędzie reedukacji człowieka przez człowieka? Zamiast widzieć w Gułagu państwowy program eksterminacji realizowany najdłużej w historii w czasach pokoju, ten człowiek w swoim komunistycznym zaślepieniu mówił o nim jak o mechanizmie patriotycznego kształcenia społeczeństwa radzieckiego. A co teraz pomyślą...

Początkowo, za każdym razem, kiedy słyszał lub czytał w prasie o takich przypadkach wsparcia dla dyktatury, przepisywał te wypowiedzi do małego zeszytu z myślą o tym, że kiedyś mu się te cytaty przydadzą. Nie rozumiał na przykład słów Dubois<sup>43</sup>: „Stalin nie pragnął ani pochlebstw, ani zemsty. Był rozsądny i pojednawczy”. Jeszcze trudniej mu było zrozumieć Bernarda Shawa: „Nie możemy się stroić w piórka moralistów, kiedy Związek Radziecki, nasz najbardziej przedsiębiorczy partner, likwiduje w ludzki i roztropny sposób garstkę wyzyskiwaczy i spekulantów, żeby uczynić nasz świat bezpiecznym miejscem dla uczciwych ludzi”. Trudno było pojąć wyrazy solidarności przekazane przez Rafaela Albertiego: „Umarł Stalin. Ojciec, nauczyciel i towarzysz. Chce mi się płakać, chce mi się śpiewać. Niech oświeci mnie czysta woda, niech oświeci mnie twoja czysta dusza – teraz, tej nocy, kiedy odszedłeś”. Albo oświadczenie Pabla Nerudy: „Stalin idzie naprzód. Właśnie tak: w białej bluzie i w szarej robotniczej czapce. Stalin spokojnym krokiem wszedł do Historii w towarzystwie Lenina i wiatru”. Tysiąc i jeden raz Światosław przeczytał słowa Jeana-Paula Sartre’a: „Aby nadzieja nadal żyła, musimy – pomimo wszystkich błędów, okropieństw i zbrodni – głosić oczywistą wyższość obozu socjalistycznego”. A także słowa Bertolta Brechta, który na pytanie amerykańskiego filozofa Sidneya Hooka o miliony ofiar stalinowskich czystek odpowiedział: „Im bardziej są niewinni, tym bardziej zasługują na śmierć”. Światosław nie wiedział, co zrobi w przyszłości z takim zestawem lapidarnych zdań, ale wciąż, przez wiele lat, wypełniał notes wpisami czarnym atramentem.

– Przypomnij sobie – mówił teraz do Olega – francuską delegację, która przyjechała na Ukrainę w czasie wielkiego głodu, a władze na tę okazję oczyściły teren z trupów, z ciał chłopów. Na ich miejsce przywieziono podstawione osoby z kanapkami w rękach, oglądające witryny sklepów, które na chwilę zapełniono towarami. Francuzi stwierdzili, że prasa zagraniczna publikuje kłamstwa i że Ukraina jest wspaniałym, zielonym ogrodem, w którym ludność nie cierpi głodu. Co Francuzi mogą wiedzieć o kłamstwach radzieckiej propagandy?

– Przypominam ci, że sami jesteście Francuzami – skomentował jego słowa Oleg. Światosław uśmiechnął się, słysząc uwagę brata. Odziedziczył ten uśmiech po matce. Mógł się wydawać czarujący, choć czasem skrywał całkiem inne intencje.

Pociąg wyruszył z opóźnieniem, a potem intensywne śnieżyce zatrzymały wszystkie składy na kilka godzin. Synowie Liny dotarli do obozu zbyt późno, żeby zobaczyć matkę jeszcze tego samego dnia, ale władze obozowe zaproponowały im miejsce, w którym mogli zostać na noc. Oczekiwane spotkanie musiało się odwlec o kilka godzin. Nazajutrz rano młodzi mężczyźni poszli do jednego ze sklepów w miasteczku, gdzie kupili jakieś ciasto i butelkę wódki, żeby uczcić urodziny Światosława. Wśród rosyjskich ciast ulubionym Liny był tort Napoleona. Żartowała nieraz, że lubi go, bo jego

nazwa przypomina jej Francję. Lecz czegoś takiego nie sprzedawano w sąsiedztwie obozu.

Umieszczono ich w sali przeznaczonej na spotkania rodzinne. Musieli czekać prawie piętnaście minut, aż w końcu zobaczyli wchodzącą do sali Linę. Wszyscy troje przyglądali się sobie, siedząc blisko siebie jak nigdy, ale tak, jakby byli obcymi ludźmi. Mieli wrażenie, że wracają z długiej i pełnej cierpień podróży. Nieważne było, jaką cenę zapłacili, żeby tam przybyć: wreszcie dotarli. Lina zostawiła w mieszkaniu przy ulicy Czkałowa dwóch młodzieńców, a teraz zjawili się u niej dwaj dorośli mężczyźni. W każdym razie wyglądali jak dorośli. Czas wszystkim wystawił rachunki. Światosław przyglądał się matce. Ostatni jej obraz, jaki zachował, był wizerunkiem kobiety ładnej i eleganckiej, ubranej w lekką suknię w drobną czarno-zieloną kratkę. Miała też wtedy na sobie szary blezer Siergieja i malowała usta, żeby wyjść na ulicę i odebrać paczkę. Ten obraz był jak wytrawiony ogniem w jego pamięci o dniu 20 lutego 1948 roku. Od tamtej chwili nie widział już matki. Teraz patrzył, jak się postarzała, jakby życie ją przygniotło. Wyglądała na drobniejszą niż dawniej. Cierpiała na artretyzm, który zostawił na jej ciele niszczące piętno, podobnie jak problemy ze wzrokiem, ciężkie zapalenie naczyń oka i cała lista innych problemów zdrowotnych. Lina kaszłała często i gwałtownie, a jej oczy wyglądały tak, jakby zamieniły się w głębokie studnie, w których kryły się tajemnice mogące zniszczyć ludzką duszę. W tamtej chwili wiedział, że nigdy nie spyta matki o piekło, przez które przeszła, chyba że ona sama, z własnej woli zdecyduje się o tym opowiedzieć. W jej spojrzeniu było zbyt dużo bólu, zbyt wielka pustka, mieszanina strachu, cierpienia i niedowierzania. Światosław świetnie rozumiał, co opowiadało wiele osób, które spędziły w łagrach jakiś czas jako więźniowie: „Żeby stwierdzić, czy ktoś był w tej przetwórni ludzkiego mięsa, wystarczy spojrzeć mu w oczy. Nie należy polegać na wyglądzie fizycznym, potwierdzenia trzeba szukać w oczach”. Światosław czuł się bliżej ludu rosyjskiego, kiedy i on starał się zapomnieć przeszłość.

Uściskali się tak, jak żadne z ich trojga nigdy wcześniej nikogo nie ścisnęło, jakby chcieli w tym uścisku pomieścić cały utracony czas, całe nieprzeżyte życie, wszystkie niepowstałe nigdy wspomnienia, niewypowiedziane słowa. Chcieli w jednej chwili przeżyć ponad siedem lat nieobecności, utraty, oddalenia. Bali się, że nie starczy im czasu, żeby to wszystko odzyskać, ale władze obozowe pozwoliły im przedłużyć wizytę do trzech dni; mogli spędzać razem trzy do czterech godzin dziennie. Czuli się tak, jakby pozostały im już ostatnie sekundy życia i w pewnym sensie tak właśnie było.

Ostatniego dnia Światosław miał poważną minę, wyglądał na bardzo zmartwionego. Wyraźnie coś go trapiło i nie pozwalało cieszyć się pozostałym im jeszcze czasem tak jak w poprzednich dniach. Przez chwilę miał wątpliwości, czy powinien zrobić to, co planował, w końcu pokonał swój opór. Matka miała prawo wiedzieć. Zbyt wielu rzeczy została już pozbawiona, zbyt wiele działo się poza nią, nie należało już jej tego robić.

– Mamo, chciałem ci coś pokazać. Nie byłem pewien, czy powinienem, ale myślę, że w gruncie rzeczy chciałabyś to zobaczyć. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym cię pozbawił czegoś tak bardzo twojego.

Lina spojrzała na niego zdziwiona, nie rozumiejąc gry słów, do której uciekł się jej

syn. Zachowywała spokój. Powiedziano już jej najgorszą rzecz, jaką mogła usłyszeć w życiu. Nie istniała żadna wiadomość, która swoim dramatyzmem mogłaby rywalizować z wieścią o śmierci Siergieja. Światosław wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i wyjął z niego mały kartonik. Była to fotografia; Lina wzięła ją do ręki z taką delikatnością, jakby chodziło o serce dziecka, które łatwo uszkodzić. W jej twarzy odbił się ból wywołany oglądaniem zdjęcia. Przedstawiało Siergieja. Jego syn zrobił tę fotografię – jedną z ostatnich, które ukazywały Prokofiewa – w 1952 roku, zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią kompozytora. Lina z trudem go rozpoznała. Wydawał się postarzały o dwadzieścia czy trzydzieści lat, pozbawiony niezwyklej energii, która zawsze w nim kipiała, elegancji, którą demonstrował przez wszystkie wspólnie przez nich spędzone lata. Nie miał krystalicznie czystego, niebieskiego spojrzenia, które zastąpił na fotografii apatyczny odcień szarości. Lina nie zamierzała nawet pytać Światosława, co działo się wtedy z ojcem. Wiedziała to bardzo dobrze. Nie potrzebowała, żeby ktokolwiek jej o tym przypominał – a jednak jej synowie to zrobili.

– Mnie też ciężko jest na niego patrzeć – powiedział Światosław.

– Nie jest podobny do siebie. – Lina była w stanie powiedzieć tylko tyle.

– Zrobiłem je jesienią 1952 roku. Ma spojrzenie pełne smutku.

– To nie jest smutek, synu – odparła jego matka. – To desperacja, wściekłość, bezsilność. Znam go dobrze.

Lina nie potrafiła używać czasu przeszłego, mówiąc o Siergieju. To nie było uświadomione działanie, po prostu tak jej wychodziło.

– Od czasu, kiedy zniknęłaś, od kiedy... – Oleg zamilkł nagle. Spojrzenia matki i brata potwierdziły, że imię tamtej kobiety stanowi tabu; żadne z ich trójki nigdy go już nie wypowiedziało. Oleg zaczął zdanie jeszcze raz. – W ostatnich latach nie był sobą. Przestał nawet dbać o siebie, wciąż chodził w piżamie, w szlafroku nieprzewiązanym paskiem. Nie chciał wychodzić z domu. Nie chciał nas widzieć, jakbyśmy przestali istnieć, jakby go nie obchodziło, co się z nami stanie.

– Ale to nie on. Nakłonili go do takiego zachowania – wtrącił się Światosław. – To ona. Nawet nie pozwalała nam go odwiedzać we dwóch. Mówiła, że musimy przyjeżdżać pojedynczo, bo nie chce, żebyśmy zamęczali ojca naszymi problemami.

Światosław przemilczał wiele epizodów związanych z Mirą Mendelson, żeby nie dokładać matce cierpień. Nie lubili się wzajemnie, czy może raczej nienawidzili się. Synowie Liny widzieli w niej przyczynę wszystkich nieszczęść i osobę odpowiedzialną za sytuację, w jakiej znalazła się matka. Mira zaś traktowała ich jako część przeszłości Siergieja – przeszłości, którą uważała za zagrożenie i którą za wszelką cenę chciała od niego odsunąć. Dochodziło między nimi do wielu nieporozumień, czasem przebiegających gwałtownie, pośród krzyków i wzajemnych obelg. Mira zarzucała im, że wykorzystują ojca, że przyjeżdżają do niego tylko po to, żeby go prosić o pieniądze albo jakieś przysługi. A oni widzieli w niej wielką manipulatorkę, która zamieniła Siergieja w marionetkę, lepiła go jak z gliny wedle własnego widzimisie. W ostatnich czasach nie byli już w stanie rozmawiać ze sobą bez wybuchów i gróźb. A Siergiej zawsze stał pośrodku, grając w tym wszystkim rolę obojętnego widza. Wydawało się, że niczego nie widzi ani nie słyszy.

– Ale kiedy byliśmy z nim, ożywał się – ciągnął dalej Światosław. – Utracił swoją osobowość, charakter, siłę, ducha, chęć życia, chociaż nie zagubił zdolności tworzenia. Zachował ją nienaruszoną, ale nie pozwalali mu jej używać. Musiał się chować, żeby komponować. Miał takie smutne spojrzenie. – Oczy Światosława wypełniły się łzami, a jego emocje udzieliły się matce. – Zawsze pytał o ciebie, chociaż opuszczał przy tym wzrok, jakby się wstydził, jakby się czuł odpowiedzialny za to, co się z tobą dzieje. Ale to nie było tak, mamó – powiedział gwałtownie, żeby ją przekonać. – Musisz mi uwierzyć. Nie było dnia, żeby o tobie nie myślał. Nigdy mi tego nie powiedział, wiesz, że on nie potrafił wyrażać swoich prawdziwych uczuć... Ale wiem, że wielu rzeczy żałował, przede wszystkim tego, że cię zostawił i że przyjechał do Związku Radzieckiego.

– Wierzę ci, kochanie. Poza tym ja to zawsze wiedziałam. Potrafiłam to wyczuć. Twój ojciec śnił mi się wiele razy i nawet w jakiś sposób przeczułam jego śmierć. Nie pomyślcie, że jestem szalona, ale pewnej nocy śniło mi się, że wasz ojciec jest ubrany cały na białą i zachowuje się zupełnie inaczej niż we wcześniejszych snach. Był obecny przez tych sześć lat i będzie obecny przez resztę mojego życia. I w waszym życiu też. – Lina popatrzyła na młodszego syna, który wydawał się walczyć z całą armią wątpliwości zasnuwających jego twarz cieniem. Zmarszczone brwi i zagubiony wzrok to było dziedzictwo Siergieja. – Słyszałaś, co mówiłam, Oleg?

– Tak, mamó.

– Więc co się dzieje? Co ci się tam kotłuje w tej główce?

– Bo nie rozumiem, dlaczego ojciec przestał cię kochać.

Na twarzy Liny wykwitł chyba najbardziej szczery w całym jej życiu uśmiech.

– A kto ci powiedział, że przestał?

<sup>43</sup> W.E.B. Dubois (1868–1963), amerykański socjolog i historyk.

„Wyjeżdżam dziś wieczorem. Ósma trzydzieści. Całuję. Mama”.

Ten prosty telegram, który Lina wysłała do synów 30 czerwca 1956 roku ze stacji telegraficznej w Poćmie, oznaczał koniec koszmaru.

Izba Wojskowa Sądu Najwyższego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich przyjęła do rozpatrzenia rewizję jej sprawy, podobnie jak większości więźniów, i 15 czerwca 1956 roku postanowiła anulować wyrok i zamknąć postępowanie. „Nie miał miejsca czyn przestępczy”. Lina przez dłuższą chwilę wpatrywała się w tych pięć słów ze stempla przyłożonego do zaświadczenia sądowego – pięć słów stwierdzających, że ostatnie osiem lat przeżyła w łagrze bez żadnego powodu. Że bez powodu zabroniono jej pożegnać się z miłością jej życia. Że złamano jej życie i marzenia mimo „braku czynu przestępczego”, jak się wyraził sędzia, pułkownik Lichaczow, przewodniczący izby sądowej, która wypuściła ją na wolność. Trybunał nie zrozumiał zbyt dobrze, dlaczego kobieta nie ucieszyła się, tylko patrzyła na sędziów, jakby oczekiwała jakiegoś wyjaśnienia, a może nawet przeprosin. Jeszcze bardziej nie mógł pojąć, że była ona jedynym więźniem Gułagu, który odmówił podpisania przed sądem aktu skruchy.

– Ale dlaczego mam wyrazić skruchę, jeśli panowie sami mi mówią, że nie popełniłam żadnego przestępstwa? – ośmieliła się powiedzieć z wyrzutem.

Przez chwilę bała się, że naraża w ten sposób na szwank dopiero co odzyskaną wolność, ale nie zamierzała milczeć. Przypomniała sobie więzienne powiedzenie, którego podczas odsiadki nasłuchiwała się aż do obrzydzenia: „Kto tu wchodzi, nie traci nadziei, a ten, co wychodzi, niech się za bardzo nie cieszy. Kto tu nie był, w końcu tu trafi, a kto był – nie będzie w stanie zapomnieć”. Pomyślała, że jej wolność nie jest warta tyle samo co osiem lat temu. Chciała stamtąd wyjść, ale była świadoma, że nie ma już tego człowieka, który powinien na nią czekać na zewnątrz. Więc nie musiała się spieszyć. Nie odrzucała wolności, ale wszelkie emocje przeżywała już z mniejszą intensywnością. Zdołali jej zabrać wszystko oprócz godności, której zamierzała chronić jak dawniej – kiedy była zamykana w karczerze, w piwnicach Łubianki czy w swoim ostatnim obozie w Gułagu. A to, że uparcie pytano ją o Siergieja Prokofiewa, który nie żył już od ponad trzech lat, zwiększało tylko jej determinację.

– Już nigdy nie zamierzam podpisywać się pod kłamstwami. Zrobiłam to raz pod wpływem tortur, a głównie ze względu na groźby pod adresem moich dzieci. Ale koniec z tym. – Stanowczość widoczna na twarzy Liny kontrastowała z niedowierzaniem członków trybunału. – Teraz to panowie zdecydują, czy podpiszą moje zwolnienie, czy nie.

Podpisali. Lina była pewna, że zrobili to raczej ze względu na znudzenie izby, która rozpatrywała jej sprawę, niż ze wstydu czy z powodu wyrzutów sumienia. Poza tym władze radzieckie narzuciły wdrożenie nowego etapu rozwoju kraju i starań o odpowiadający mu wizerunek państwa. Na dodatek sędziowie mieli pewnie dość oglądania wychudzonych, staro wyglądających ciał, zniszczonych i zaniedbanych, ludzi



o pustych spojrzeniach, których wola została zmiażdżona, a odwaga pogrzebana w jakiejś wspólnej mogile obok ich dawnych obozowych towarzyszy, którzy nie zdołali przeżyć. Z tego powodu członkowie trybunału nie mieli ochoty zajmować się dłużej kolejnym przypadkiem, i to jeszcze wykazującym tak silny charakter.

Lina nie wiedziała, że ta sytuacja dotyczyła tego, co dawało się wyczuć w obozie od chwili śmierci Stalina. Nie zdawała sobie sprawy, że cztery miesiące wcześniej, w lutym 1956 roku, podczas obrad XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Nikita Chruszczow, sekretarz generalny KPZR i przewodniczący radzieckiej Rady Ministrów, przedstawił swoim towarzyszom tajny raport, w którym demaskował nadużycia popełnione przez swojego poprzednika na tym stanowisku, Józefa Stalina. Opowiedział też w oskarżycielskim tonie o zainicjowanych w latach trzydziestych czystkach i rządach terroru, którym poddane były narody Związku Radzieckiego. Wszyscy delegaci zobowiązali się, że utrzymają w tajemnicy to wystąpienie, z którego wynikało, że na proletariackim Olimpie prześladowano, torturowano i mordowano proletariat. Wszyscy dochowali tajemnicy, z wyjątkiem jednego, który przemycił tekst referatu na Zachód<sup>44</sup>. Był to tekst zbyt smakowity, żeby pozostać w ukryciu. Miesiąc później „The New York Times” opublikował fragmenty tajnego raportu. Świat zaczynał się dowiadywać, co wydarzyło się w Związku Radzieckim, ale nie wszystkiego, czego należało się dowiedzieć. Niemniej formy traktowania ludzi złagodniały. Lina nie mogła czytać o tych sprawach, ale potrafiła stwierdzić, że coś się zmienia, widząc zachowanie sądu, który rozpatrywał jej sprawę, i reakcję na jej nieustępliwość. Niczego nie podpisała, nie wyraziła żadnej skruchy. Wysłuchała pouczenia sformułowanego jak groźba i wygłoszonego przez jednego z sędziów. Poinformował ją, że nie wolno jej mówić o tym, co przeżyła w łagrze. Nawet się nie zaniepokoiła, nie miała też żadnego zamiaru odpowiadać. Jej pamięć podsunęła wspomnienie chwili, kiedy sędzia Riumin kazał jej podpisać formularz 206, w którym zobowiązywała się do nieujawniania metod stosowanych w trakcie śledztwa prowadzonego w jej sprawie w więzieniu Lefortowo. Pomyślała, że już nigdy nie podpisze tego rodzaju dokumentu.

Absurd nadal dominował w działaniach oficjalnych instancji partyjnych. Odmawiano jej swobody opowiadania o własnym życiu. Nie zamierzała już z tym walczyć. Schowała pismo z wyrokiem sądu, zaświadczenie o zwolnieniu, bilet na pociąg do Moskwy i paszport ostemplowany w łagrze w Poćmie, który przypominał jej, że jako więzień polityczny pozbawiona jest praw obywatelskich. „Ale nie piszą tu, że nie było czynu przestępczego? Dlaczego nadal mnie traktują jak więźnia politycznego?” – zastanawiała się, nie przejmując się tym zanadto. Była już przyzwyczajona, że rosyjska ojczyzna jest pełna sprzeczności. Odwróciła się i poszła pozbierać swoje rzeczy. Dołożyła do małego tobołka jedynie kolorową chustkę – prezent, który Lina pokochała od pierwszej chwili, a który otrzymała od jednej z więźniarek z obozu w Abez, fotografię z próby jednego z koncertów organizowanych w obozie oraz egzemplarz *Gracza* Fiodora Dostojewskiego подарowany jej przez młodego pianistę, ucznia Prokofiewa. I to był bagaż, który został jej z całego życia w gułagu. Zwrócili jej w papierowej torbie przedmioty zdeponowane po aresztowaniu i uwięzieniu na Łubiance osiem lat wcześniej.

Tak jak w przypadku lalek matryoszek, torby wkładano jedną w drugą przy każdym przeniesieniu Liny. Wysypała zawartość na kolana: nie było ani śladu złotej bransoletki i zegarka, który dostała w prezencie od Prokofiewa, ani obrączki, nie znalazła też dwudziestu dziewięciu rubli i pięciu kopiejek, które miała w torebce w dniu aresztowania. Pozostały tylko klucze, szminka i coś, co z radością odzyskała po tak długim czasie: guzik w kształcie liścia – od płaszcza kupionego przez jej matkę w jednym z wielkich domów towarowych w Moskwie, kiedy Lina była dzieckiem. Ten guzik towarzyszył jej przez całe życie, z wyjątkiem lat spędzonych w łagrze. Uśmiechnęła się na jego widok. Wspomnienia i związane z nimi przedmioty przywracały jej życie. Mocno ścisnęła guzik w dłoni, jakby chciała z jego pomocą cofnąć się w czasie. Zastanawiała się nad tym także wtedy, kiedy wręczono jej potwierdzenie wyjazdu z obozu. Zrobiłaby wszystko jeszcze raz dokładnie tak samo oprócz jednego, oprócz decyzji, której całe życie żałowała: powrotu do Związku Radzieckiego w 1936 roku i zamieszkania wraz z rodziną w Moskwie. Była przekonana, że Siergiej tej decyzji by nie podjął, gdyby tylko zastanowił się chwilę i pomyślał o jej odczuciach. Żadne z nich dwojga nie było już potem tą samą osobą. Miłostwa Liny stała się częścią scenariusza, w którym zapisano również historię najgorszych intryg i zdrad w dziejach Europy, scenariusza zrealizowanego w teatrze pełnym światła i cieni charakterystycznych dla XX wieku. Spektakl dobiegał końca, ale nie było słyhać końcowych oklasków. Lina pomyślała, że brakuje głównego gwiazdora; nie miała ochoty wychodzić na scenę i kłaniać się bez niego.

Pożegnała się z kilkoma przyjaciółkami więźniarkami, które jeszcze pozostały w obozie. Większość wyszła już wcześniej: Inna, Anastazja, Olena, Tatiana...

Przechodząc przez żeliwną bramę ostatniego łagru, w którym przebywała przez pięć miesięcy, dotrzymała słowa danego Anastazji i nie obejrzała się za siebie. Nie chciała dać Gułagowi jeszcze tej satysfakcji: nie wyniesie stąd jego obrazu uwiecznionego na siatkówce oka. Przeszłość miała zostać na swoim miejscu. Lina zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i poszła dalej. Powtarzała sobie w głowie pierwsze słowa bajki *Piotruś i wilk*:

„Pewnego pięknego ranka Piotruś otworzył furtkę i wyszedł z ogrodu na szeroką i zieloną łąkę... Na najwyższej gałęzi wielkiego drzewa siedział mały ptaszek, przyjaciel Piotrusia. Widząc chłopca, ptaszek przywitał się z nim.

– Jak się masz, Piotrusiu? Tu w górze jest spokojnie. Ale uważaj, to miejsce jest niebezpieczne. Z lasu może wyjść wilk, a ty jesteś za mały, żeby wędrować samemu.

– Takie duże dzieci jak ja nie boją się wilków i lubią biegać po łąkach”.

Na kilka chwil jej życie zamieniło się w bajkę – bajkę o wieczności i odwadze. Był to wystarczający powód, żeby na twarzy Liny wykwitł jeden z tych uśmiechów, które tak bardzo podobały się Siergieju. Spojrzała w niebo, a jej uśmiech trwał. Myślała, że może Siergiej na nią patrzy. Miała niemal sześćdziesiąt lat i właśnie zaczynała nowe życie.

<sup>44</sup> Niedługo po wygłoszeniu przez Chruszczowa w nocy z 24 na 25 lutego 1956 roku „tajnego referatu” stał się on znany – prawdopodobnie nie bez udziału samego Chruszczowa – korespondentom zachodnim w Moskwie, został też oficjalnie przekazany przedstawicielom „bratnich partii”; dalej rozpowszechnili go m.in. działacze partyjni

z Polski i Jugosławii.

Kiedy pociąg dotarł na dworzec w Moskwie, zapadła już noc. Lina była zdenerwowana oczekującym ją nowym życiem. Lekko zakręciło jej się w głowie, kiedy miała wysiąść z wagonu i postawić stopę na peronie. Przez kilka chwil wpatrywała się w podłogę, na którym trzeba było stanąć. Brakowało śniegu, którym byłby pokryty peron. Wyglądało to całkiem inaczej niż w miejscu, które stanowiło jej siedlisko przez ostatnie lata, i ta odmienność ją niepokoiła, wzbudzała w niej dziwne uczucie niepewności. Był 1 lipca, ale pamięć przyzwyczajęń nie zna się na kalendarzu. Przez chwilę Lina bała się, że wszystko okaże się snem i już niedługo obudzi się na pryczy w obozowym baraku.

– Proszę pani, potrzebuje pani pomocy? – spytał mężczyzna, który czekał za nią na możliwość wyjścia z pociągu. Ten grzeczny głos nieznajomego uspokoił ją. Mężczyzna nie krzyczał, nie obrażał jej, nie próbował nawet jej popchnąć, żeby się pospieszyła. Czowała się poruszona tą sceną, wolną od wszelkiego pośpiechu i napięcia. Nieznajomy za pomocą prostego pytania zadanego życzliwym tonem przełamał jej ośmioletnie przyzwyczajenie do innych zachowań. Przez chwilę czowała pokusę, żeby wybuchnąć płaczem i uściskać go, choć tak naprawdę żywiła w sercu pragnienie, żeby jej życie wróciło do normy. Przerazało ją, że nie jest na to gotowa i że takie pełne przewrażliwienia reakcje mogą stać się jej zwyczajem. Musiała przywyknąć do nowej rzeczywistości i nie popadać na każdym kroku w nadmierne emocje.

– Bardzo pan miły. Ale już sobie dam radę – odpowiedziała mężczyźnie, obdarzając go jednym z uśmiechów, które też musiały się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

Światosław i Oleg czekali na nią niedaleko od wyjścia z jej wagonu. Lina pierwsza ich zauważyła. Rozbawiło ją, jak synowie w poszukiwaniu matki zagląдают przez kolejne okna do wnętrza pociągu, zamiast skierować wzrok na peron – tam, gdzie właśnie stała. Postanowiła dać im trochę czasu, nie chciała ich ubiegać. Wołała, żeby odnaleźli ją sami. Kiedy wreszcie im się to udało, z trojga osób zrobiła się jedna. Nie mieli odpowiednich słów, żeby wypowiedzieć to, co czuli. Lepsze były uściski. Uściski zawsze były lepsze.

Do mieszkania przy ulicy Czkałowa dotarła prawie o północy. Nie było to już to samo mieszkanie, z którego wyszła 20 lutego 1948 roku. Władze radzieckie przydzieliły jej inny lokal przy tej samej ulicy. Był mniejszy, ale dość wygodny. Lina wiedziała, że nie zostanie tam długo. Miała zamiar pozostać we własnym mieszkaniu, od nikogo niezależna, i zacząć załatwiać formalności związane z wyjazdem ze Związku Radzieckiego.

Kiedy dotarła do domu, spotkała tam dwie młode kobiety, które ją ucałowały, jakby właśnie odnalazły swoją matkę. W ten sposób Lina poznała swoje synowe. Byli jeszcze inni goście: dwaj mali chłopcy, jej wnuki. Obaj nosili to samo imię: Siergiej. Cieszyła się z tego przyjęcia, ale była już naprawdę zmęczona podróżą i nagromadzonymi emocjami. Było to po niej widać. Nie wyglądała jak kobieta, o której synowie tyle opowiadali swoim żonom. Lina od razu po przyjeździe do Moskwy zdała sobie sprawę ze swojego fizycznego wyniszczenia. Dlatego odczekała dwadzieścia cztery godziny, żeby stawić

czoło chwili, o której od kilku lat marzyła. Chciała ładnie wyglądać, podobać się, odzyskać swoją naturalną elegancję, swój czar. Wiedziała, że utraciła świeżość, wigor, że młodość opuściła ją niemal niepostrzeżenie. Ale nadal była Lina Prokofiew, którą wszyscy znali. Musiała jedynie się ubrać, nałożyć makijaż i uczesać się tak, jak tylko ona umiała. Potrzebowała dwóch dni, żeby tego dokonać i przystąpić do najważniejszej czynności, jaka ją czekała. Światosława nie zaskoczyła propozycja matki. Olega też nie. Czekali na to od chwili, kiedy otrzymali od niej telegram 30 czerwca 1956 roku.

– Chodźmy zobaczyć się z waszym ojcem.

Cmentarz Nowodziewiczy wydawał się czymś więcej niż tylko miejscem pochówku. Wyglądał jak park, w którym urządzono wielkie muzeum. W tamtejszej ziemi pogrzebani byli wielcy ludzie kultury, sztuki, nauki oraz zasłużeni działacze społeczni Związku Radzieckiego<sup>45</sup>. Groby pisarzy, muzyków, reżyserów filmowych, tancerzy, dowódców wojskowych, lekarzy, poetów i kompozytorów były prawdziwymi mauzoleami, dziełami sztuki z brązu, żelaza, granitu i różnych innych materiałów, którymi posłużono się w celu przedstawienia osobowości i rangi osoby spoczywającej pod ziemią. Można było obejrzeć wierne portrety zmarłych, a nawet rzeźby przedstawiające całe ich postacie. Na grobie jednego z kapitanów walczących w drugiej wojnie światowej ustawiono czołg, na płycie grobowca oficera lotnictwa znalazło się śmigło samolotu, na kamieniu nagrobnym ministra łączności – telefon. Na niektórych grobach wyryto wzory matematyczne, nuty na pięciolinii, fragmenty wierszy. Lina przeszła obok grobu primabaleriny Anny Pawłowej: w granitowym bloku wyrzeźbiono jej klasyczną sylwetkę na scenie, jakby tancerka zamierzała trwać przez całą wieczność w baletowej spódniczce i z ramionami wzniesionymi nad głowę. Pamięć Liny podsunęła jej wspomnienie wieczoru, kiedy w operze paryskiej odbywała się premiera *I Koncertu skrzypcowego* Prokofiewa, zaraz po ich powrocie z Niemiec, gdzie właśnie wzięli ślub. Lina w tym czasie stwierdziła, że jest w pierwszej ciąży. Właśnie na tę premierę przyszła Anna Pawłowa.

– Jak miło cię widzieć – powiedziała wtedy – gdziekolwiek by to było.

Kolejny żart losu.

Dostrzegła też grobowiec przyjaciela, Siergieja Eisensteina: wyrzeźbiony w białym kamieniu profil przytwierdzony do czarnej granitowej płyty. Przejmował ją dreszcz na widok mogił innych przyjaciół i towarzyszy życia – Włodzimierza Majakowskiego, Nikołaja Miaskowskiego, śpiewaka i aktora Fiodora Szalapina. Tyle chwil spędzili razem na wspólnych marzeniach. Miałyby ochotę porozmawiać z nimi, ale powstrzymała się ze względu na to, co mogliby pomyśleć jej synowie. Szli dalej przez cmentarz, żeby dotrzeć do grobu Siergieja. Lina odnosiła wrażenie, że przeżywa jakieś makabryczne i nierzeczywiste spotkania. Przypadkiem trafiła po drodze na grób Nadieždy Allilujewej, drugiej żony Stalina. Według tego, co mówili ludzie, radziecki przywódca przyjeżdżał w to miejsce nocami i płakał niepokieszony. Lina nigdy nie wierzyła w tę absurdalną legendę: uważała, że to absolutnie niemożliwe, żeby człowiek pozbawiony uczuć przelewał łzy nad czymkolwiek grobem, a już szczególnie wtedy, gdy to on – jak twierdzono – odpowiadał za jej śmierć, a nie pistolet Walther, który położono obok ciała Nadieždy.

Cmentarz, liczący ponad sześćdziesiąt hektarów powierzchni, był miejscem, w którym można było prześledzić odwieczne rosyjskie sprzeczności, kaprysy losu i wymierzone przezeń policzki. W tej ziemi spoczywały ofiary i oprawcy, członkowie partii komunistycznej i szefowie NKWD, pochowani w odległości niewielu metrów od ludzi, których osobiście prześladowali, aresztowali i mordowali. Ta sama historia, którą od zawsze przesycyony był rosyjski step, uporczywa obecność zemsty i cierpienia – bardziej rzeczywistych niż życie. Związek Radziecki podążał za swoją historią pełną wielkich zdrad i skomplikowanych intryg, a cmentarz Nowodziewiczny był jednym z rozdziałów tej historii.

Były tam tysiące grobów rozrzuconych w bezładny sposób, bez zachowania jakiegokolwiek porządku. Jeśli ten wielki moskiewski cmentarz należałoby określić jednym słowem, byłoby to słowo „chaos”. Lina cieszyła się, że są z nią synowie, bo trudno tam było odnaleźć poszukiwany grób, jeśli nie miało się kogoś, kto znał jego lokalizację i występował jako przewodnik.

Dotarwszy do mogiły Siergieja Prokofiewa, poczuła ucisk w piersi. Nigdy nie wyobrażała sobie, że tak będzie wyglądało ich spotkanie, że oddzielać ich będzie kamienny chłód czarnego marmuru, na którym wyryte zostało imię jej męża oraz daty urodzin i śmierci:

SIERGIEJ SIERGIEJEWICZ

PROKOFIEW

23 IV 1891 – 1953 5 III

Zaskoczył ją dziwny zapis dnia, miesiąca i roku śmierci, tak jakby ktoś chciał zmylić tą datą osoby odwiedzające grób albo może ukryć ją w celu uniknięcia przyszłych rozważań na temat przeznaczenia. Dla Liny to, że Prokofiew umarł tego samego dnia co Stalin, nie było jednym ze zwyczajnych i częstych kapryśków losu, ale aktem zemsty.

Pomnik nagrobny wydał jej się zanadto skromny, jeśli wziąć pod uwagę wielkość człowieka, którego szczątki tam spoczywały. Brak było jakichkolwiek ozdób czy szczegółów odróżniających go od innych grobów i świadczących, że w tym miejscu złożono na wieczność jednego z największych kompozytorów rosyjskich XX wieku, człowieka równego Strawińskiemu czy Czajkowskiemu. Spodobało jej się tylko to, że grób otoczony był roślinnością, drzewami i krzewami o zielonych liściach, które wydawały się go osłaniać i wypełniać ostatnią wolę zmarłego, jakby były świadome miłości Prokofiewa do przyrody. Lina uklękła przy grobie. Jej dłonie gładziły pionową płytę, która dumnie wznosiła się w górę. Poczowała chłód kamienia. Jej palce biegły po literach i cyfrach napisu, jakby chciały go zetrzeć i w ten sposób przywrócić Siergiejowi życie. Przez kilka minut nie była w stanie powiedzieć ani słowa, jakby i w jej piersi spoczął prawdziwy kamień. Synowie przypatrywali się tej scenie, dzieląc z matką milczenie i rozpacz, którą wypełnione było jej serce.

Po dłuższej chwili Lina wyprostowała się z pewnym trudem, stanęła między synami i wzięła ich za ręce. Stali w trójkę przy grobie męża i ojca, przy grobie wielkiego

Prokofiewa. W końcu otworzyła usta, które jeszcze przed chwilą zaciskała, próbując opanować emocje.

– Teraz jesteśmy wszyscy razem. Nikt się między nas nie wciśnie.

<sup>45</sup> Cmentarz istnieje od XVI wieku, wielkich ludzi kultury chowano tam także w czasach przedradzieckich. Na tym cmentarzu pochowany jest m.in. Nikołaj Gogol.

## Uwagi

♪ Lina Prokofiew naprawdę przeżyła to wszystko. Opisane w książce zdarzenia były częścią jej życia.

♪ Nigdy nie mówiła o swoich obozowych doświadczeniach. Nie ze strachu, ale dlatego, że chciała odebrać własnej pamięci możliwość wspomnienia tamtych przeżyć. Ten rodzaj zapomnienia był jej prywatną zemstą za to, przez co kazano jej przejść. Od czasu przebywania w radzieckim łagrze do końca swoich dni Lina żyła w strachu, że zostanie aresztowana na ulicy; truchlała, kiedy blisko niej przejeżdżał samochód. Nigdy nie przestały jej nękać koszmary związane z przesłuchaniami na Łubiance i w więzieniu Lefortowo, a także z pobytem w łagrze.

♪ Kiedy była już na wolności, zdołała odzyskać świadectwo małżeństwa i ponownie je poświadczyć, dzięki czemu uzyskała status wdowy po Siergieju Prokofiewie. Zmieniła w ten sposób ostatnią wolę kompozytora, który zapisał całą swoją własność i prawa autorskie drugiej żonie, Mirze Mendelson. Ustanowiwszy swoje prawa, wywalczyła też prawa dla synów: Światosława i Olega. Otrzymała taką samą jak Mira wdowią rentę, wynoszącą siedemset rubli.

♪ Lina uznała za swój osobisty obowiązek zachowanie pamięci o Siergieju Prokofiewie i jego muzycznym dziedzictwie. Po wyjeździe ze Związku Radzieckiego założyła fundację jego imienia, sprawującą pieczę nad dziełami kompozytora.

♪ Pierwszy raz od wyjścia na wolność pojawiła się publicznie w Moskwie 24 września 1956 roku, na koncercie z okazji pięćdziesiątych urodzin Szostakowicza. Wykonywano wtedy jego koncert skrzypcowy. Od tej pory – podobnie jak to było, zanim małżeństwo Prokofiewów dotknęły represje władz – Lina stała się regularną uczestniczką moskiewskiego życia kulturalnego. Zwykle chodziła na premiery z jednym z wnuków, Siergiejem, który był żywym obrazem swojego dziadka. Nadal zachowała zdolność uwodzenia, elegancję, łatwość obcowania z ludźmi i umiejętność prowadzenia rozmowy na dowolny temat w jednym z wielu języków.

♪ Był tylko jeden utwór muzyczny, którego Lina nie była w stanie słuchać. Kiedy nadawano go w radiu, szybko prosiła o wyłączenie aparatu. Był to marsz wojskowy *Poliuszko polie* śpiewany przez chór Armii Czerwonej. Melodię tę słyszała nieustannie na Łubiance. Dźwięki marsza sprawiały, że Lina czuła się tak, jakby znów przeniesiono ją do więziennej celi.

♪ Po wyjściu z obozu do końca życia nie przestawała marzyć o chlebie. Nie potrafiła usiąść do stołu, na którym nie byłoby kawałka chleba. Zjadała go wolno, odrywając z kromki małe kęsy, które delikatnie wkładała do ust.

♪ Lina zdobyła egzemplarz książki Borysa Pasternaka *Doktor Żywago*, wydanej we Włoszech w 1957 roku. W Rosji ukazała się ona dopiero trzydzieści lat później, w 1988 roku. Wcześniej uniemożliwiały to cenzura i represyjna postawa władz radzieckich, które przeszkodziły też autorowi w odebraniu Literackiej Nagrody Nobla w 1958 roku. Czytając historię o miłości Jurija i dwóch kobiet – Lary i Toni – Lina nie przestawała się uśmiechać i płakać. Chociaż nie zdołała się nim wiele nacieszyć po wyjściu z obozu –



Pasternak zmarł bowiem 20 maja 1960 roku – zawsze go kochała i była mu wdzięczna, że w czasie jej uwięzienia nieustannie pytał o nią Światosława i Olega.

♪ Lina dowiedziała się przez radio o śmierci Ernesta Hemingwaya 2 lipca 1961 roku. Bardzo poruszyła ją wiadomość, że pisarz – który zaprosił ją na pierwsze w jej życiu ostrzygi w paryskiej Le Pantheon – popełnił samobójstwo w swoim domu w Ketchum w stanie Idaho. Zawsze pamiętała, że w tym samym 1953 roku, w którym zmarł Prokofiew, Hemingway zdobył Nagrodę Pulitzera za *Starego człowieka i morze*, a rok później – Literacką Nagrodę Nobla.

♪ Pewnego dnia, w pociągu wiozącym ją do Polski, Lina spotkała jednego ze swoich głównych i najbardziej okrutnych śledczych. Został pracownikiem kolei radzieckich, jak wielu dawnych funkcjonariuszy i strażników. Nie poznał jej, ale ona nie była w stanie zapomnieć jego oczu. Widząc jej zmieszanie, niegdysiejszy funkcjonariusz więzienny spytał:

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

Lina odpowiedziała mu:

– Nie, teraz już nie. Ale nie może mi pan też zaszkodzić.

Mężczyzna nie zrozumiał tej odpowiedzi, choć mógł się domyślać jej sensu, mając świadomość swojej przeszłości. Ukłonił się i zakończył krótką rozmowę.

♪ W 1962 roku, kiedy Igor Strawiński odwiedził Moskwę w związku z koncertem w Sali Wielkiej stołecznego konserwatorium, spotkał się z Liną i jej synem Światosławem, których osobiście zaprosił na swój występ.

– Twój ojciec i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi – powiedział do Światosława.

Zawsze powtarzał, że Siergiej Prokofiew zachowywał się naiwnie w świecie polityki. A jego powrót do Moskwy określił jako „ofiara złożoną tej suce – bogini sławy”.

♪ W 1974 roku Linie udało się wyjechać ze Związku Radzieckiego po napisaniu listu do szefa KGB, Jurija Andropowa. W liście wyjaśniła, że musi udać się w podróż, żeby zobaczyć się z synem i wnukiem mieszkającymi w Londynie. Poza tym jest osobą zapraszaną przez różne teatry w Europie i nie rozumie, dlaczego władze Związku Radzieckiego nie pozwalają jej wyjechać. Lina czuła się dwukrotnie szczególnie dotknięta taką odmową: po raz pierwszy, gdy rząd francuski postanowił odsłonić tablicę ku czci Siergieja Prokofiewa w miejscu, gdzie kompozytor przez lata mieszkał razem z Liną (rue Valentin Haüy 5), drugi raz podczas premiery *Wojny i pokoju* Prokofiewa w operze w Sydney. Na jednym z foteli w pierwszym rzędzie położono wówczas czerwoną różę dla podkreślenia nieobecności Liny. Być może dlatego rząd radziecki w końcu pozwolił jej wyjechać i wydał długo oczekiwaną wizę.

♪ Lina zamieszkała w Londynie, ale regularnie jeździła do Francji. Kiedy przyjechała do Paryża, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było poproszenie taksówkarza, żeby zawiózł ją na rue Valentin Haüy. Chciała obejrzeć tablicę pamiątkową na kamienicy, w której mieszkała z Siergiejem.

♪ Szczególnie boleśnie odczuwała niemożność spotkania się z Coco Chanel, która zmarła w 1971 roku. Ale nie przestawała odwiedzać jej sklepu, podobnie jak nie zarzuciła zwyczaju wypijania co rano wielkiego kubka kawy z mlekiem na tarasie którejs z paryskich kawiarni. Chodziła też na długie spacerunki po swoich ulubionych dzielnicach,

miejscach i zakątkach, które odkryła razem z Siergiejem podczas pierwszego pobytu w Paryżu. Wielokrotnie zauważała, że wszystko i wszyscy przypominają jej o nim. Chciała pójść na rue de L'Odeon, żeby w antykwariacie Shakespeare and Company, należącym do jej przyjaciółki Sylvii Beach, kupić egzemplarz książki Ernesta Hemingwaya *Ruchome święto*. Nie znalazła księgarni. Któryś z sąsiadów wytłumaczył jej, że została zamknięta w grudniu 1941 roku, kiedy Sylvia odmówiła sprzedaży ostatniego egzemplarza *Finnegans Wake* Joyce'a niemieckiemu oficerowi. Nigdy już później pod tym adresem nie otwarto sklepu z książkami, ale w latach pięćdziesiątych pewien Amerykanin, George Whitman, otworzył inny antykwariat, pod numerem 37 przy rue Bûcherie, na brzegu Sekwany i blisko katedry Notre Dame. Po śmierci Sylvii Beach nazwał swój sklep Shakespeare and Company. I właśnie tam Lina kupiła książkę Hemingwaya. Nie mogła się doczekać, aż dotrze do hotelu, żeby zatonać w stronicach powieści. Przysiadła na małej drewnianej ławce ustawionej przed niewielką księgarnią i zaczęła czytać. „Jeśli miałeś szczęście mieszkać w Paryżu jako młody człowiek, to dokądkolwiek się udasz przez resztę życia, idzie on za tobą, bo Paryż jest świętem ruchomym”\*.

♪ W 1984 roku w Bonn wystawiano operę *Ognisty anioł* Siergieja Prokofiewa. Lina nie ustawała w wysiłkach, żeby odnaleźć doktora Erika Sommera i zaprosić go na spektakl. Spotkali się wieczorem w dniu premiery, wypełniając w ten sposób wzajemne przyrzeczenie, że jeszcze się zobaczą.

♪ Pod koniec lat siedemdziesiątych Lina odwiedziła swoje rodzinne miasto, Madryt, gdzie próbowała odnaleźć korzenie rodziny Codinów. Później wdowa po katalońskim kompozytorze Federicu Mompou zdobyła dla niej i wysłała jej pocztą świadectwo urodzenia Juana Codiny. Ale Lina nigdy nie zobaczyła tego dokumentu, ponieważ zmarła kilka dni przed nadejściem przesyłki.

♪ W ciągu piętnastu lat, które przeżyła po wyjeździe z Moskwy, nie przestała chodzić na spektakle, premiery, przyjęcia i uroczystości w ambasadach, w których klarowność jej słów – szczególnie kiedy spotykała się z politykami – poruszała sumienia. Nie interesowało jej, czy rozmówca jest Francuzem, Niemcem, Polakiem, Brytyjczykiem czy Rosjaninem. Lina znów rozmawiała ze swobodą, którą na osiem lat jej odebrano.

– Czy pan wie, że na Ukrainie w czasie potwornego głodu i terroru w latach 1932 i 1933 Stalin wymordował więcej Ukraińców niż Hitler Żydów? Sądzi pan, że kiedyś w końcu świat zechce to dostrzec? Dlaczego artykuł 53 radzieckiej konstytucji stanowi, że każdy człowiek będzie miał prawo do odszkodowania za krzywdy wyrządzone mu za sprawą nielegalnych działań i decyzji organów państwowych, skoro w praktyce nic takiego się nie dzieje? Dlaczego nikt nie kręcił filmów w łagrach, tak jak to robiono w hitlerowskich obozach koncentracyjnych? Dlaczego świat został pozbawiony tego widoku? Dlaczego do 1966 roku Niemcy Zachodnie osądziły osiemdziesiąt sześć tysięcy hitlerowskich przestępców, a w Związku Radzieckim pod sąd trafiło zaledwie trzydziestu zbrodniarzy stalinowskich? Dlaczego pod numerem 3 przy ulicy Granowskiej żyje sobie spokojnie człowiek, który był ministrem spraw zagranicznych Stalina, Wiaczesław Mołotow, podczas gdy jego ofiary muszą się przeprowadzić albo przechodzić na drugą stronę ulicy, jeśli nie chcą go widzieć?

Rzadko otrzymywała od swoich rozmówców inną odpowiedź niż znaczące spojrzenia czy potakiwanie głowami. Często reakcją na te wszystkie „dlaczego” było tylko milczenie. Lina czuła się dumna, że mogła przekazywać dalej w świat wyjaśnienie, którym podzielił się z nią doktor Erik Sommer, kiedy mówił jej, że w Gułagu nie istnieje pytanie „dlaczego”. Przydawało się w takich przypadkach. Podczas spotkania w ambasadzie francuskiej Lina zaskoczyła małżeństwo Chiraców, pytając ich, dlaczego są tak prawicowi.

– A dlaczego pani nie jest, po tym wszystkim, co pani przeżyła w Związku Radzieckim? – spytał z kolei Chirac.

– Dlatego, że to nie miało nic wspólnego z ideologią lewicową czy prawicową. To była wyłącznie kwestia rządów terroru.

♪ Dzięki pośrednictwu zaprzyjaźnionego małżeństwa Linie udało się doprowadzić do zawieszenia licytacji, którą zamierzał urządzić londyński dom aukcyjny Christie’s. Sprzedawane miały być osobiste przedmioty należące do Prokofiewa, między innymi list miłosny w formie pożegnania, napisany przez Siergieja do Liny, kiedy postanowił zostawić ją dla Miry Mendelson. Dokumenty Lina sama dostarczyła ambasadorowi francuskiemu w Rosji na długo przed swoim aresztowaniem. Liczyła wtedy, że niebawem wróci do Paryża, i chciała, żeby te rzeczy wydostały się z kraju. Kiedy ambasador zmarł, jego syn postanowił sprzedać pamiątki po Prokofiewie. Linie udało się odkupić całość kolekcji i zostać jej wyłączną właścicielką. Nikt inny nie przeczytał pożegnalnego listu Siergieja, a Lina za każdym razem, kiedy to robiła, kończyła lekturę, płacząc.

♪ Władze radzieckie podejmowały intensywne starania, żeby namówić Linę do odwiedzenia ZSRR. Jedną z ostatnich prób związana była z obchodami dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin Prokofiewa w 1981 roku. Ale Lina zawsze odmawiała. „W ciągu jednego życia nie popełnię dwa razy tego samego błędu”.

♪ Lina dokładała starań, żeby nauczyć swoje wnuki dwóch rzeczy: po pierwsze, jaki jest najlepszy sposób na uśmiechanie się.

– Próbuje to robić tak, jakbyście wymawiali przedłużone „z”.

Druga, nie mniej ważna rzecz: żeby nigdy nie przestawali walczyć.

– Życie jest cudowne, jeśli nigdy nie przestaje się o nie walczyć.

Ta mądra nauka matki Siergieja, Marii Grigoriewny, zawsze jej towarzyszyła.

♪ Przez całe życie Lina starała się nie robić niczego wbrew własnemu sumieniu – z jednym wyjątkiem: kiedy podpisała zeznanie sędziemu śledczemu Riuminowi, przyznając się do tego, że była szpiegiem. Zrobiła to, ponieważ grożono skrzywdzeniem jej synów, o ile nadal będzie odmawiać podpisu.

♪ Podczas pobytu w Bonn Lina źle się poczuła. Trafiała wówczas do szpitala. Tam obchodziła swoje dziewięćdziesiąte pierwsze urodziny, a jej przyjaciele i krewni zadbali, żeby to był szczególny jubileusz. Telefon w jej pokoju nie przestawał dzwonić. Lina odbierała gratulacje, dostała też nieoczekiwany prezent: odwiedził ją zespół biorący udział w przedstawieniu *Ognistego anioła* Siergieja Prokofiewa wystawianym w Kolonii.

♪ Stan serca Liny zaczął się wyraźnie pogarszać, a złośliwy nowotwór żołądka zapowiadał rychły koniec. Jej syn Oleg zdecydował, że matka zostanie przeniesiona do szpitala w Londynie.

♪ W ostatniej fazie choroby Lina myliła pielęgniarzy ze strażnikami z Łubianki, którzy po nią przychodzili. Krzyczała do nich: „Jestem niewinna! Jestem niewinna!”.

♪ Ostatnią wolą Liny było, żeby pochowano ją na cmentarzu Meudon na przedmieściach Paryża, obok matki Siergieja, Marii Grigoriewny. Lina nigdy się nie dowiedziała, gdzie została pochowana jej własna matka, Olga Niemyska. Nie знаła też daty jej śmierci. Od chwili aresztowania 20 lutego 1948 roku Lina o niej nie słyszała. Światosław wiedział, że babcia wydała swoje ostatnie pieniądze na wysłanie telegramu: „Martwi mnie wasze milczenie”. Olga nigdy nie dostała odpowiedzi. Wnukowie nie chcieli jej odpisywać do czasu, kiedy Lina wyszła na wolność. A wtedy było już za późno.

Co za nieszczęście: kobieta z wyższych sfer, córka radcy stanu, pochowana we wspólnym grobie.

♪ Lina Prokofiew zmarła nad ranem 3 stycznia 1989 roku w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Swojego męża, Siergieja Prokofiewa, przeżyła o trzydzieści sześć lat, Mirę Mendelson, zmarłą w czerwcu 1968 roku – o dwadzieścia jeden. Mirę pochowano obok Prokofiewa na cmentarzu Nowodziewicznym w Moskwie; u stóp nagrobka kompozytora umieszczono tablicę z czarnego granitu z inskrypcją na jej cześć.

♪ Pewnego dnia Linie śnił się podwójny grób. Nie wydawało jej się to jakimś makabrycznym majakiem, tylko romantycznym znakiem, że historia jej miłości jest trwalsza niż upływ czasu. Być razem nawet po śmierci. Razem na zawsze. Ale rzeczywistość znów nie pozwoliła jej spełnić marzeń i miejsce Liny zajęła inna kobieta. Mira do śmierci mieszkała sama. Od czasu, kiedy władze zaleciły jej, żeby nie opowiadała o swoim życiu z kompozytorem, pisała artykuły o Prokofiewie. Lina natomiast chętnie opowiadała o ich wspólnych latach. Przynajmniej w tym sensie Hiszpanka wygrała swoją prywatną wojnę o odzyskanie należnego jej miejsca w świecie.

♪ Lina nigdy nie wybaczyła Mirze Mendelson. Odrzucała wszelkie jej próby doprowadzenia do spotkania twarzą w twarz. Zawsze obwiniała ją o swoje nieszczęścia.

♪ Jej syn Oleg zmarł 20 sierpnia 1998 roku po kąpiel w morzu. Lina tak bardzo lubiła te kąpiele... Znaleźli go synowie, zauważyli na jego twarzy wyraz zaskoczenia. Choroba, której się nabawił podczas wojny, i trudne warunki życiowe przyspieszyły jego koniec.

♪ Światosław zmarł w 2010 roku.

♪ W 2011 roku w Madrycie, w miejscu narodzin Liny – przy ulicy Barbara de Braganza 4 – odsłonięto upamiętniającą ją tablicę. „W tym domu urodziła się LINA PROKOFIEW (CAROLINA CODINA NIEMYSKA), 1897–1989, śpiewaczka i żona kompozytora Siergieja Prokofiewa”.

♪ Lina nigdy nie przestała kochać Siergieja, któremu wszystko wybaczyła i któremu za wszystko była wdzięczna. Nigdy nie przestała opracowywać dla niego nowych uśmiechów.

## Pozostałe uwagi

– System obozów nazywany Gułagiem został oficjalnie zlikwidowany 25 stycznia 1960 roku rozporządzeniem radzieckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

– Archiwa radzieckie zostały po raz pierwszy częściowo otwarte w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

– Niemożliwe jest precyzyjne ustalenie liczby więźniów i osób zamordowanych w łagrach. Najbardziej wiarygodne szacunki mówią, że w trakcie siedmiu dekad komunizmu w Związku Radzieckim w mniej więcej pięciuset łagrach przetrzymywanych było około dwudziestu dziewięciu milionów ludzi. Według różnych szacunków życie straciło w nich od piętnastu do dwudziestu milionów osób.

– Szacuje się, że w epoce stalinowskiej w łagrach zmarło od ośmiu do dziesięciu milionów ludzi. Do radzieckich obozów należących do Gułagu wysłano w tym czasie od szesnastu do osiemnastu milionów osób.

– Oblicza się, że w ciągu zaledwie dwóch lat – 1932 i 1933 – w okresie wielkiego głodu (znanym jako *Hołodomor*) na Ukrainie zmarło od pięciu do siedmiu milionów ludzi. Głód spowodowany był decyzją władz radzieckich o rekwirowaniu chłopom ukraińskim pól podczas przymusowej kolektywizacji. Dwudziestego trzeciego października 2008 roku Parlament Europejski przyjął rezolucję uznającą *Hołodomor* za zbrodnię przeciw ludzkości.

– Według „oficjalnych” danych w Gułagu znalazło się 4966 Hiszpanów, z tej liczby 4506 osób to republikanie, a 460 – nacjonaści. Zmarło 300 osób.

– Józef Stalin był w latach 1945 i 1948 nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla za „wysiłki na rzecz zakończenia drugiej wojny światowej”.

## Źródła cytatów

Jeśli nie zaznaczono inaczej, przekłady cytowanych fragmentów dzieł literackich pochodzą od tłumacza.

1. Jorge Luis Borges, *Cambridge*, w: *Twórca; Pochwała cienia*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, Warszawa 1994, s. 100.

2. Byron, *Don Juan XI 711–712*, w: *Wybór dzieł*, t. 3, przeł. Edward Porębowicz, Warszawa 1986.

3. Jean-Pierre Claris de Florian, *Świerszcz*, przeł. Klaudia Fabian.

4. Włodzimierz Majakowski, *List z Paryża do towarzysza Kostrowa o istocie miłości*, w: *Kocham*, przeł. Adam Włodek, Kraków 1987.

5. Fiodor Dostojewski, *Białe noce*, przeł. Władysław Broniewski i Gabriel Karski, Warszawa 1986.

6. Włodzimierz Majakowski, *Posłuchajcie*, w: Wiktor Woroszyński, *Moi Moskale*, przeł. Wiktor Woroszyński, Wrocław 2006.

7. Włodzimierz Majakowski, *Listy do Lili Brik*, przeł. Wiktor Woroszyński, Kraków 1973.

8. Osip Mandelsztam, *Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi*, w: *Późne wiersze*, wybór, przekład i oprac. Stanisław Barańczak, Londyn 1977.

9. Ernest Hemingway, *Ruchome święto*, przeł. Bronisław Zieliński.

10. „Prawda”, przeł. Wiktor Woroszyński.

11. Fiodor Dostojewski, *Wspomnienia z domu umarłych*, przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1955.

12. Osip Mandelsztam, *Wspomnienie dziewczyny*, przeł. Stanisław Barańczak.

13. Tekst listu częściowo za: *O twórczości Sergiusza Prokofiewa. Studia i materiały*, Kraków 1962, cytowane w: Krzysztof Meyer, *Dymitr Szostakowicz i jego czasy*, Warszawa 1999.

14. Fragment rezolucji za: Krzysztof Meyer, *op. cit.*

15. Ernest Hemingway, *op. cit.*